

STENOGRAMY ANNY JAMBOR

Świat otwarty na oścież

TOM III

WARSZAWA 1960

CZĘŚĆ PIERWSZA

PIERWSZE DOMY W SZWAJCARII

Styczeń-październik 1936

Wieczór Trzech Króli

Godzina jedenasta. Znów zostałam samotna. Wszyscy odjechali. Na pożegnanie zwierzyli mi różne tajemnice rodzinne i odjechali. Mam na myśli Marcina. Opuścili Polskę już jako szwajcarscy obywatele. Florencja nigdy tego obywatelstwa nie utraciła, a Marcinowi kanton Waadt podarował je na Gwiazdkę.

Przejęłam wierzycelność Florencji w firmie „Sol”, dwadzieścia tysięcy złotych. Kupiłam Marcinowy domek przy ulicy Sonnenweg w Bazylei za czternaście i pół tysiąca franków szwajcarskich. W ciągu miesiąca będę miała tytuł własności na Sonnenweg - przechowają w „Acacii”. Pozwolenie kupna gładkie, bratanka obywateli szwajcarskich. Ciekawe. U nich każdy kanton rządzi się po swojemu, niemal jak oddzielne państewka. Otwarta droga, Anno! Projektowano mój pobyt w Bazylei w okresie świąt wielkanocnych. Domek z meblami. Podarowali mi umeblowanie dwóch pokoiów na piętunku, których nigdy nie wynajmowali nikomu. Po prostu Marcin był w nich zameldowany od dawna, od daty kupna domu. Tak robią wszyscy. Od czasu do czasu pokazywał się w Bazylei, kręcił się, był przecież współpracownikiem światowej firmy chemicznej „Ciba” w Bazylei. Moc znajomych i przyjaciół, nic dziwnego. Nasz prezydent Mościcki również i dzisiaj jeszcze jest obywatelem szwajcarskim. Helwecja w roku 1815 ogłosiła wieczystą neutralność. Porządny paszport, to nie są jakieś Nicaraguy! Otwarta droga, Anno...

Podobno ładny ogródek. Na parterze od dawna mieszka ta sama rodzina nauczycielska. Poważni ludzie. Marcin zawsze u nich w życzliwej gościnie. Tysiąc dwieście franków komornego rocznie, z tego na czysto dla właściciela dokładnie osiemset dwadzieścia.

Naturalnie przypomnieli niemal odruchowo o tym, abym nikomu nie zwierzała się z tej transakcji. Wierzę.

Opowieści. Kreiss o Zajliczu i Zajlicz o Kreissie. Paryskie i warszawskie rozmowy Marcina. Naprawdę - dwudziestoletni. Jussuf Zaj w charakterze dragomana egipskiej agencji Banku Austro-Węgierskiego. Lata dziewięćdziesiąte piąte w ubiegłym stuleciu. W tym samym czasie trzydziestoletni dr Emil Kreiss również w Egipcie. Urzędnik bankowy, prawdziwy wiedeński doktorat prawa. W połączeniu z Akademią Eksportową. Jakaś afera, włamanie, morderstwo nawet, kradzież większej sumy, pół roku w więzieniu, ale wkrótce już z powrotem na wolności. Nowy zawód Jussufa. Handel kamieniami. Dwa lata. Następnie zniknięcie z Egiptu i powtórne spotkanie z Kreissem, ale już w zmienionych warunkach. Krótkie lata przed wybuchem wojny światowej. Dośpiwajmy sobie resztę. Kreiss jako agent Zacharowa, Giuseppe Zaj jako bogaty plantator w Nicaragui. Hiszpańskie małżeństwo, dzieci. Wojna światowa. Awanturnicza żyłka wepchnęła Zaja z powrotem do basenu Morza Śródziemnego - podobno matka była pochodzenia serbskiego. Rodzina matki zamieszana w kolejne mordy królów serbskich. Gorąca krew. Luka w historii człowieka. Ostatecznie już jako Zajlicz w Belgradzie, mający bliskie stosunki z powojennym dworem jugosłowiańskim. Interesy z Emilem Kreissem. Złe i dobre. Stara znajomość. Na koniec opowieść o Nahass

Paszy i o waffdystach. Człowiek bogaty, przynajmniej jakieś dwa miliony dolarów według relacji Kreissa, Drugie tyle przepadło bezpowrotnie w Egipcie.

Opowieść Zajlicza o Kreissie była bardziej powściągliwa. Łatwiej bowiem rozmawiać o zmarłym, niż zdradzać tajemnice jeszcze żyjącego.

Nowy interes z Kreissem polega właściwie na zwłoce. Na razie niby zrobiono interes na Rumunię. W Constanzy załadują na statek o nie znanym dla nas porcie przeznaczenia. Interes na obie strony. Zapewne dostawa dla Włochów. Dwa miliony i trzysta tysięcy złotych. Kruszyna. Próba. Dostawa dla zamydlenia oczu, ponieważ równocześnie będą ładować w Gdyni na statki pod flagą panamską. Przez podstawionych ludzi. Ale to już inny interes, na starych ścieżkach dostaw dla Abisynii. Trudno obecnie rozgryźć różne powiązania. Nie można było odmówić zrobienia interesu, można było jedynie rzecz przewlec i opóźnić. Nawet gdy się o tym pisze, włosy... jak to napisać? W powieściach piszą, że strach podnosi włosy do góry, bujda, nic podobnego, robi się tylko niewyraźnie koło serca i czasami zasycha w gardle.

Mr David - taki sobie. Mocny rudzielec. Anglik o wyglądzie pastora. Czarno ubrany, czerń wyraźnie odcina się od nieskazitelnej bieli kołnierzyka i mankietów. W krawacie szpilka z czarną perłą. Chyba prawdziwa, w takim razie obnosi mały mająteczek w krawacie. Maniery chłodne. Język niemiecki i francuski, oba mocno przechwalone. Chyba wszystkie trzy na raz. Pewny siebie, jak to potrafi tylko Anglik w kilka godzin po wylądowaniu w obcym dla siebie mieście. Tak samo byłoby zresztą w Pekinie czy Kalkucie. Był naturalnie u nas na wszystkich przyjęciach.

Jutro po raz pierwszy zjawię się na parterze już w oficjalnym charakterze. Na razie jednak do dziesiątego razem ze stryjkiem Józefem. Ciekawa jestem, jak mnie przyjmą obecnie. Tuchołka wyjechał skwaszony. Był zimny i patrzył pochmurnie.

- Nie spodziewałem się takiego obrotu spraw - powiedział mi zamiast gratulacji.

Zebrań akcjonariuszów zagajał prezes Fajans. Przeprowadził sprawę gładko i błyskawicznie. W sumie trzydzieści jeden osób. Marcin reprezentował Szwajcarię, stryj Józef siebie i Gdańsk, Mr Garden akcjonariuszów londyńskich. Murowana większość, reszta to tylko papierowa dekoracja.

Przyjęcia były wspaniałe. Dwóch obcych kelnerów, nieoberwani i elegancy. Niedzielne zebranie pań, właściwie pogawędka przy czarnej kawie. Protokół dla formalności napisany został już kilka dni naprzód. Z panią Lucyną Moderską nie mamy kłopotów. Fikcja, ponieważ w dalszym ciągu będzie to królestwo panny Beaty. Początkowo boczyła się, ale od razu zagaiłyśmy: - A nasza kochana panna Beata naturalnie z dotychczasową prowisją...

W ten sposób zaczął się mój Nowy Rok. List ciotki Magdy odczytywałam już w Warszawie kilkakrotnie. Zamknęłam go do stalowej kasetki w mojej skrytce ściennej. W tych dniach paczkę z akcjami umieszczę w sejfie bankowym, na miejscu sprzedanych papierów Marcina. Nie rozpakowałam jej dotychczas.

Czas jednak na zgaszenie światła. Jutro czeka mnie pracowity dzień.

W tym roku bez zabaw i bez karnawału. Inaczej mi to tłumaczą moje żyjące ciotki, ale we mnie jest obecnie dużo smutku. Zamiast tego wszystkiego, zamiast tej paczki związanej sznurkiem wołałabym usiąść tuż obok mojej zmarłej ciotki i rozmówić się z nią serdecznie. Dziwne! Ludzi ceni się i kocha zazwyczaj dopiero wówczas, gdy się ich utraci.

Ale cóż? Są rzeczy, których nie można odrobić, czasu nie można cofnąć, a śmierci zwalczyć i pokonać.

Trzeba żyć. Trzeba się kręcić między ludźmi. Człowiek jest tylko częścią jakiejś koralowej rodziny. Tylko życie w rodzinie jest silne i mocne, zasłonięte od - sama nie wiem, jak napisać? Od trudności życiowych i gospodarczych. Reszta to jedynie złudny kalejdoskop, po prostu rurka z tektury i kilka kolorowych szkiełek. Pamiętam, w dzieciństwie zepsułam taką zabawkę. Chciałam koniecznie zobaczyć, co jest w środku. Trudniej jest jednak zajrzeć w głąbię naszego życia.

Niedziela - 12 stycznia

Bardzo ciężki tydzień. Stryjek odjechał wczoraj wieczorem i zostałam sama z Anglikiem - niemową. Inżynier Pakulla wyjechał gdzieś nad granicę bolszewicką oglądać drzewostan i właściwie tylko pilnuję „wicedyrektora” Mizresa. Honorowa nazwa dla prokurenta, któremu po skończeniu prawa nie chciało się iść do sądu i od razu po wiedeńskim doktoracie wylądował w warszawskim banku. Przynajmniej on jeden u nas wie, czego chce, i nie potrzeba tłumaczyć mu handlowego elementarza. Grunt, że zna się na podatkach, od razu widziałam to po mojej sprawie.

Na drugi dzień po Trzech Królach zwałił się do nas na Nowym Świecie jakiś specjalny rewident z Izby Skarbowej. Owszem, cyfry są w porządku, ale ma odmienne zdanie co do mnie w latach 1934 i 1935 jako kierownika przedsiębiorstwa. Nie było długiego gadania, wyszło na jaw moje stanowisko w ministerstwie i sprawa przyjęła dość nieprzyjemny obrót. Wszystko byłoby w porządku, gdybym na przykład była zwykłym urzędnikiem w obcej firmie na południowe godziny. Nawet kumulacja obu dochodów nie uderzyłaby we mnie, jest na to jakiś okólnik ministerstwa skarbu. Wysokość wynagrodzenia oraz siedemdziesięcioprocentowy udział w firmie przesądziły sprawę, w dodatku wobec niskiego stosunkowo kapitału zakładowego. *Summa summarum* - korektura w podatku dochodowym firmy. Zapłaciliśmy podatku 6216 złotych od dochodu zeznanego 39 115 złotych, doliczono nam obecnie do dochodu jakieś nieporozumienia wydatkowe w kwocie zł 1945,26 oraz wybraną przeze mnie pensję kierownika osiem tysięcy, jednym słowem w ciągu siedmiu dni nasza spółka musi dopłacić do podatku dochodowego złotych 1981,25. Trudno, numer nie przeszedł, już zapłaciliśmy wczoraj, w sobotę, z bólem serca. Tyle zachodu w małych interesach. Lepsza jest spółka akcyjna, tam tkwią specjaliści i chyba takimi sprawami nie będą kręcić mi głowy. Doktor Tadeusz Mizres stara się zostać duszą przedsiębiorstwa. Anglik - niemowa, dyrektor Pakulla - mruk, przynajmniej dobrze, że temu trzeciemu nie zbywa na ochocie do gadania. Stale gada, nie proszony, nie pytany.

Dobrze, że nie pośpieszyli się z przepisaniem udziału generałowej na panią Lucynę Moderską. Z panną Beatą obecnie przyjaźń, dopasowały się, tylko że musiałam przy czarnej kawie powstrzymać zapal nowego sitka na kołku, to znaczy nowej kierowniczkę, do badania i zgłębienia sprawy sześciu procent niżej konkurencji w sprzedaży hurtowej, o co naszą pannę Beatę w dalszym ciągu boli głowa. Jej zdaniem - ogólny obrót spadłby niewątpliwie, lecz wzrosłby za to globalny czysty zysk. Trudno jej jednak powiedzieć, że mnie właśnie na tym nie zależy!

Zresztą ten rok, jak mówią znawcy, zapowiada się znacznie gorzej, o ile nie dostaniemy się na listę dostawców COPu w Sandomierzu i Rzeszowie. Ale na to jeszcze czas. Gdy zajdzie potrzeba, to popchnie się sprawę...

W moich domach mieszkania na trzech piętrach są już gotowe, mogłabym wynajmować. Obecnie prawie wychodzą z drugiego piętra. Za dwa tygodnie będzie gotowe pierwsze piętro, za cztery - partery. Mniej więcej w połowie lutego. Wpakowałam dalsze osiem tysięcy. Do zakończenia jeszcze jakieś piętnaście tysięcy, później, na wiosnę, już tylko malowanie klatki schodowej, ale dopiero po wprowadzeniu się lokatorów, aby nie uszkodzili mi ścian przy wnoszeniu gratów. Nachodzą mnie różni kandydaci, chcą płacić komorne z góry, najwięcej dokucza mi nasz administrator z Hortensji. Nasz „prezes” jakoś do tej chwili nie załatwił sprawy w „Pocisku”, najlepiej byłoby od razu wszystko hurtem. Bez kłopotu i bez detalicznych historii nie wiadomo z kim.

Co do reszty, to smutno. Poczty i fotografie z Zakopanego, listy z Chicago, Wiednia i Paryża, przynajmniej dobrze, że z Montreux nie przysyłają zleceń, widocznie wyczerpał im się dowcip lub zmęczeni się. Transporty do Rumunii już zostały wysłane. Nie pytałam o

zawartość, w gruncie rzeczy nic mnie to nie wzrusza. Prowizja? Coś zapewne od Mokotowa, ale to będzie drobiazg, a w Kreissa jakoś nie bardzo wierzę.

Poza tym bale, wczoraj i dzisiaj. Propozycje, odmowa z mojej strony i zdziwienie. Mr David mieszka na razie w hotelu i stołuje się we własnym zakresie. Na dzisiejszym obiedzie u mnie milczał, gadał jedynie profesor Wydra, za niego i za mnie. Po angielsku. Niewielka to pociecha. Napisałam w tej sprawie do Florencji, niech mi doradzi, czy sprawę zostawić otwartą, czy też poczynić jakieś kroki w kierunku zbliżenia się. Spróbuję również pomówić na ten temat z Elfrydą, gdy będzie prywatny telefon z Gdańska. To przecież przyrodni brat jej obecnej macochy, londyńskiej żony muzyka Fryderyka Gardena. Właściwie również i oni są z nim bardzo zimno, bez zbytniego entuzjazmu rodzinnego. A może to jakiś tamtejszy styl życia?

Inkaso z weksli wpływa. Na razie były tylko dwa protesty, w każdym razie dobrze, że paczkę złożyłam do inkasa, a nie do dyskontu. Oba weksle w moim starym banku, to dobrze.

Od dziś za tydzień będziemy miały zestawienia bilansowe na Nowym Świecie. W biurze spółki panuje chłodna atmosfera. Pani Wiszniewska zeszywniała. Tytułuje mnie „panią radcą”, nawiązanie raczej do mojego ministerstwa niż do parterowych zagadnień. Co do łączenia tych dwóch funkcji, nie ma przeszkód, ponieważ inna branża i nasze drzewo nie ma nic do czynienia z moim działem pracy w ministerstwie. Tak przynajmniej mówił mi dyrektor naszego departamentu, wieszował przy okazji dostania się przeze mnie do spółki akcyjnej, która według niego ma przed sobą wielką przyszłość - i tak dalej. Wie wszystko od doktora Szarskiego, z którym żyje w przyjacielskich stosunkach.

Cóż napisać więcej? Rozbiłam procedurę na małe części i poszczególne fragmenty noszę na zmianę w teczce biurowej, a nawet w torebce. Czytam, psiakrew, wyuczę się na pamięć jak kanarek. To nie jest żadna sztuka, gdy chodzi o krótką metę. Psu na buty, od tego mamy pod ręką dr Mizresa i aż dwóch radców prawnych z nazwiskami. Na razie są to synekury dobrze płatne, po tysiąc złotych miesięcznie za dwie godziny dziennie, ale stryj Józef mówi, że z czasem będą mieli sporo do roboty. W drzewie jest dużo drobnych zatargów, które trzeba prowadzić przed sądy. Nie można machać ręką, ponieważ bardzo wiele drobnych spraw składa się na setki poważnych tysięcy złotych. Nie można ustępować, tak mi tłumaczyli nasi prawnicy zaraz na samym wstępie znajomości. Chcą widocznie mieć pełne ręce pracy, niech zatem mają, koszty tej zabawy i tak zapłacą nasi klienci.

Dr Mizres powiedział mi wczoraj tajemniczo:

- Interesy rozkręcą się dopiero wówczas, gdy podniesiemy nasz kapitał zakładowy do trzech milionów.

Skąd ja wezmę dwieście tysięcy? Ale z myśleniem o tym jeszcze czas. Na razie moja parszywa procedura cywilna! Właśnie zbliża się jej programowa godzina. Obecnie żyję podobnie jak w czasach studenckich, ustaliłam sobie rozkład godzin i godziny dla poszczególnych zajęć. Na razie w biurze spółki od wpół do piątej do szóstej. Półtorej godziny. Podpisuję wspólnie z Anglikiem. Niektóre, mniej ważne sprawy - jedno z nas z Pakullą lub Mizresem. Ci ostatni podpisują wspólnie tylko korespondencję bezfinansową, nie pociągającą dla nas żadnych zobowiązań pieniężnych.

Środa - 15 stycznia

Odwiedziny. Siódma godzina wieczorem. W momencie gdy wróciłam na górę, aby przebrać się do wyjścia na miasto. Całe szczęście, że kilka minut przedtem był telefon od profesora. Naprzód byli u niego, z racji tabliczki na drzwiach: Martin Jambor.

Podobno Marcin zawsze płacił. Pięćset złotych. Trudno nie wierzyć. Inkasent w charakterze poważnym. Może trochę ponury, ale to już inna sprawa. MOPR, organizacja pomocy więźniom politycznym. Odruchowo wręczyłam dodatkową setkę, od siebie, jak

zaznaczyłam. Badawcze spojrzenia i zamiast podziękowania dwa słowa: - Dobrze, dziękujemy. - Liczba mnoga. Rzecz prosta, bez pokwitowania.

Na kolacji profesor Wydra. Rozmowy na te tematy. Jest zdania, że tego nie można zwalczyć przy pomocy policji. Gdy nabrzmieje wrzód, nie należy zaklejać go plasterkiem angielskim. A z drugiej strony otwarcie stwierdził, że na to nie ma rady i od czasu do czasu na kartach historii świata muszą przewalać się różne rewolucje, bodaj nawet bardzo krwawe.

- Krew - mówił - odświeża atmosferę i pierze nasze myśli z brudów różnych aktualnie przebrzmiałych przyzwyczajień. Można by do tych słów dodać symboliczne powiedzenie Nietzschego: Tak mówił Zarathustra...

Czasami, gdy siedzę sama w mieszkaniu przy ulicy Hortensji, czuję się jakby odcięta od świata. Wrażenie pogłębia być może zakamarkowy charakter ulicy, wąskie przejście koło sklepu Wedla i cicha ponurość najbliższej okolicy. W tych warunkach niekiedy zapominam, że właśnie za tym skrzyżowaniem naszej uliczki, koło Wedla, znajdują się uliczne wrota do milionowego miasta. Niby lubię to miasto, nie umiałam jednak zróść się z nim i w jakiś sposób je pokochać. Bo w życiu można kochać miasta, a nawet poszczególne w nich domy. Nawet przedmieścia Paryża oraz dwie uliczki, przy których w narożniku stoi willa „Acacia” z witrażem Mehoffera i starą, kalwińską szafą w bibliotece Marcina na parterze.

Czwartek - 16 stycznia

Trochę wypoczynku. Wczoraj w naszym biurze pojawił się pan prezes rady nadzorczej, bardziej dla pucu niż z rzeczywistej potrzeby. Przyszedł się pochwalić, że kupił plac przy ulicy Narbutta za trzysta pięć tysięcy plus dwa procent dla pośrednika, którym jest naturalnie nasz kochany budowniczy. I ja powinnam coś przy tym uszczknąć, ale fraszka, wstyd byłoby się przypominać. Dobry sobie! Namawiał mnie do budowy wspólnego domu. Oni zarobili grube miliony na moim nieboszczyku i mogą budować sobie luksusowe domy. Napisało mi się: nieboszczyk, ponieważ wczoraj zmarło się królowi angielskiemu i tak mi się skojarzyło z Zajliczem. Nowym królem zostanie Edward, książę Walii. Wesoły młodzieniec, pokazywano mi go w Cannes z rakieta w ręce. Nosek zadarty w górę i supersnobizm. Nigdy nie przypuszczałam, ale ostatecznie taki król to jedynie figurant na przedstawieniach teatralnych podczas otwierania i zamykania Izby Gmin. Co to mnie zresztą obchodzi, że Anglicy będą mieli wesołego króla?

Poza tym kuję, kuję!

Wtorek - 21 stycznia

Przyjęcie imieninowe u teściów młodego Orzechowskiego. Imieniny pani profesorowej. Zebranie ożywione dla mnie jedynie gośćmi ze Starej Wsi. List od Leokadii. Już są w Krynicy, ale pisze, że królowa polskich wód mineralnych nie wywarła zbytniego wrażenia na gościach z Francji. Panorama Giewontu była dla nich podobno bardziej pociągająca.

Czwartek - 23 stycznia

Montreux, list ze zleceniami, jak zwykle. Polecony, ponieważ uwagi na temat spółki drzewnej. Ano, mieszkając w „Acacji” trzeba umieć zarobić na jej utrzymanie. Interesują się wszystkim, więcej widzą z oddalenia niż ja z bliskiej wysokości dwóch pięter. W sobotę wieczorem zebranie w naszych „lakierach”. Panna Beata przedstawi projekt bilansu.

Piątek - 24 stycznia

List z Poznania, przypomnienie o terminach mojej poprawki. Bardzo grzecznie ze strony tego młodego asystenta. Mój budowniczy zamknął rachunki dla mnie za rok 1935, dokładna cyfra: zł 68 742,16 - zapłaciłam mu końcówkę trzy tysiące z drobnymi czekiem na mój nowy bank, aby nie płątały się rachunki ze starego roku. Mówił, że czyni starania o

uzyskanie różnych zaświadczeń, potrzebnych do uzyskania potrącenia wydatków na budowę - z tegorocznego podatku dochodowego. Trzeba będzie o tym pomyśleć. Podobno nie obejdzie się bez podarunków w magistrackim wydziale budowlanym. Trzeba będzie dać, takie proste drogi zawsze są najtańsze!

Włosi wygrali podobno jakąś kluczową bitwę. Zapewne nasza amunicja strzela na wiat po obu stronach. Ja to biorę lekko, lecz nasz profesor bardzo przeżywa ostatnie wydarzenia.

Niedziela - 26 stycznia

Wczorajsze zebranie udziałowców firmy „Sol”: generałowa i ja oraz obie panie, pani Lucyna i panna Beata. Dopasowały się do siebie i rozmyślają o powiększeniu firmy. Nęcą je perfumy. Dobre sobie!

Obrzydły mi cyfry. Interesująca dla mnie była jedynie wysokość faktur wystawionych przez firmę Maltz w drugim półroczu. Niewiele, dziewięćdziesiąt siedem tysięcy złotych. Od razu wyliczyłam sobie moje pięć procent, zaledwie pięć tysięcy sto genewskich franków.

Moje obciążenie w lakierach wynosi okrągło czterdzieści dwa tysiące złotych, osobno stare, osiem tysięcy złotych z roku 1934, ale te zostaną rozliczone osobno i inaczej. Czysty zysk wyniósł w zeszłym roku zł 85 246,80 - przyjdzie zapłacić z tego firmowego podatku dochodowego około dwudziestu tysięcy złotych. Do podziału między wspólniczki sześćdziesiąt pięć tysięcy. Tysiąc złotych specjalnej gratyfikacji ode mnie dla panny Beaty, ciepłą rączką bez pokwitowania i w cztery oczy.

Ludzie bawią się, z jednego balu na drugi. Na zewnątrz mam wymówkę: żałoba po ciotce. Dostosowałam nawet do tego mój dawny styl ubierania się raczej w ciemne i spokojne kolory.

Dzisiejszą niedzielę spędziłam nie wkuwając procedury. Niech ją zresztą... Czasami klnę Stelmachowskiego, chociaż on nie jest winien, że mi wkleił poprawkę. Belfer to niemyślący automat. Pech wyłącznie po stronie studenta, nigdy nie wiadomo, co będzie, pytania to kwestia przypadku, po prostu zwyczajna loteria. Myślę jednak, że tym razem zdam. Jeszcze dziesięć dni. Zobaczymy! W dodatku każdemu belfrowi się zdaje, że właśnie jego przedmiot jest najważniejszy. Czasami, gdy jest przedsiębiorczy, potrafi stworzyć koło najgłępszego przedmiotu jakąś sztuczną aureolę ważności i później przez całe życie jedzie na takim wypracowanym koniku. Wszystko zależy od osobistego tupetu takiego profesora. Rzadko jednak zdarza się, aby prawdziwy uczony stworzył sobie dodatkowe podwórko udreżeń dla studentów w postaci złośliwego egzaminowania. Bardzo często natomiast pedantyczne wymagania profesorów stanowią jedynie zręczną pokrywkę dla zamaskowania własnej ignorancji naukowej.

Byłoby moim pragnieniem w następnych blockach oderwać się od finansów. Przecież koło mnie przesuwa się również inne życie, jakieś bardziej myślące. Chociaż z drugiej strony żadnej myśli nie zaszkodzi mieć jakiś zasobny fundament. To głupstwo - gdy wymienia się Diogenesa. On również miał kłopoty w postaci obywateli, którzy mu zazdrościli - jedni filozofii ubóstwa, a inni spokoju w beczce.

Na czym stoję? Dwa domy czynszowe na Pradze, kamienica w Poznaniu prawie bez długów, złotówkodajne lakiery „Sol”, synekura w spółce akcyjnej i paczka z akcjami po ciotce Magdzie. W każdym razie wyzwoliłam się od bławatów. To nie był interes dla mnie. I nareszcie zniknęło już nasze nazwisko z wąbrzeskiego szyldu! Obecnie krótko: „Wąbrzeski Dom Mody”.

W tej chwili mam w bankach zaokrąglone cyfry na kontach, dziesięć w nowym banku prezesa Fajansa, a dwadzieścia i pół w moim starym Banku Handlowym. Sprawa wynajęcia domów przez „Pocisk” jest na dobrej drodze, pewnie zapłacą mi za cały rok z góry.

Stoję nareszcie mocno na czterech nogach, domy, lakiery, drzewo, akcje i konta bankowe. Jakoś idzie. Wyplątałam się i jestem nareszcie na własnym!

Nie mam dotychczas cyfry przekazów z Paryża do Genewy. Znam jedynie zamkniętą cyfrę zakupów Zajlicza w roku 1935, jakaś końcówka: 3640 franków szwajcarskich dla mnie. Według mojego obliczenia - ogółem Paryż przekazał do Dubowa około sześćdziesięciu dwu tysięcy franków szwajcarskich, z czego odejdzie plus minus dwadzieścia tysięcy na kupno domku w Bazylei.

Znam cyfrę paryskich dolarów, dokładnie 7462 per ostatni grudnia. Wykaz nadesłali porządnie, w liście poleconym, z kopią do potwierdzenia dla nich. W Londynie dalsze dwa tysiące funtów - jak wiadomo w drzewie.

Jakoś idzie, moja Anno. Ale pamiętaj o tym, że dokładnie 10 maja w tym roku skończysz 28 lat. Osiem lat temu jeszcze mocno tkwiłam w Bydgoszczy u mojej ciotki Katarzyny i w odrapanym pokoiku dla maszynistek. Postarzała się w tym czasie moja dusza, ciało wędnie. Wmawiają we mnie męża i w ogóle małżeństwo. Resztki rodziny, znajomi, czasami nawet i ja sama. Czy ja wiem?

Wtorek - 28 stycznia

Zośka i wujek Kowalski nad ranem. Po południu jadą oboje do Łodzi. Bławatne interesy. Wujek uczy się na starość nowej branży. Zośka w ministerstwach ze swymi śrubkami. Obiad zjedzą beze mnie, muszę tkwić w biurze, ponieważ oczekujemy wezwania na konferencję u ministra. „Wąbrzeski Dom Mody” ciągnie klientelę. Ludziom przewraca się w głowie. Dobrana nazwa firmy robi swoje. Specjalne napisy na opakowaniach, torby, torebki, kartony, sznurek tasiemkowy z napisem i nowe rączki drewniane do trzymania sznurka. Mody... widocznie nie było jeszcze w naszym miasteczku, dopiero sprowadził ją kupiec z Grudziądza, nazwiskiem Jan Kowalski. Głupstwo. Ale nie żałuję i życzę wujkowi dobrego powodzenia.

Obie historie rozwodowe już się odbyły. Rozwód sądowy z dopisaniem w sentencji wyroku zastrzeżenia, że rozwodnicy mogą zawrzeć związek małżeński dopiero po upływie jednego roku. W kilka dni po uprawomocnieniu się wyroku sądowego kircha również udzieliła rozwodu, ta sama kircha, która swego czasu tak uroczyście wpajała w Jana Kowalskiego i Julię primo voto Murską - zasady wzniosłej nierozłączalności małżonków. Wujek nie jest głupi, referował bardzo krótko i dokończył wypowiedzeniem pięknej sentencji, że dwa razy w życiu nie umiera się od tej samej trucizny.

Koniec z pisaniem. Konferencja. Zapraszają. Na razie bez bloczka. Zafundowali sobie ostatnio stenografa. Stary dziad ze spróchniałymi zębami, w przerwach, gdy nie notuje w bloczku, tym samym ołówkiem dłubie w czarnych i wyszczerbionych zębach. Ano - taka moda. Podobno po południu wyklada na kursach dla stenotypistek. Brudas. Palce ma pożółkłe od papierosów, za paznokciami żałobę, jakby od urodzenia. Chyba się nigdy nie myje? Trzeba iść.

Czwartek - 30 stycznia

Rano był list z Krynicy. Wracają do Warszawy w niedzielę rano. Samochodem. Po drodze w Krakowie ubędą im francuscy goście, jadą wprost do Paryża. Kto wie, czy nie przez Szwajcarię. Czy wstąpią do Montreux? Leokadia mogłaby napisać trochę obszerniej. Dopisek wujcia Benedykta: „Dobrze użyliśmy, było miło i wesoło”. Wierzę, on ma dobrze, ale cóż? - równocześnie ma... starość.

Czytam i czytam. Czasami śni mi się procedura w postaci profesora Stelmachowskiego. Belferska zjawia siada na foteliku koło łóżka i stara się pognębić mnie pytaniami. Kto wie, czy nie krzyczę w nocy, w każdym razie czasami budzę się, a po przebudzeniu zjawia się u mnie myśl: oblał mnie? Egzamininy prawnicze i w ogóle egzamininy dobre są dla głupich kóz w wieku

dwudziestu lat. Przecież właśnie w takim wieku zdałam mój pierwszy egzamin prawniczy na bardzo dobrze! To było również pierwsze niepotrzebne głupstwo. Zaczęłam bardzo górnolotnie, a skończyłam na poprawce z byle jakiej procedury cywilnej.

Niedziela - 9 lutego

W ubiegłą niedzielę byłam w Paryżu od godziny siódmej rano do godziny dziesiątej wieczorem. We wtorek prosto z dworca zjawiłam się w biurze. W piątek rano zdałam poprawkę w Poznaniu i w dwie godziny później jechałam już z powrotem do Warszawy. Nieźle. Opuściłam zaledwie dwa dni biura. Po prostu nie przyszłam, nawet nie uprzedzałam, jakoś przeszło. Poniedziałku nie zauważono, co do piątku było proste stwierdzenie faktu: wczoraj złożyłam w Poznaniu dyplomowy egzamin prawniczy. I koniec. W ogóle koniec z tymi historiami uniwersyteckimi! Sułkowski w grzeczny sposób namawiał mnie na doktorat, ale chyba z tego nic nie wyjdzie. Już bardziej dogadza mi koncepcja Marcina: zapisanie się w Lozannie normalnie na uniwersytet, na jakieś końcowe dwa lata. Później w cenie dwóch do trzech tysięcy złotych można by kupić sobie jakąś gotową pracę, a oni do ustnych egzaminów nie przykładają wagi. Są natomiast specjaliści, którzy za wynagrodzeniem zbierają materiały, przygotowują konspekty, a nawet gotowe prace doktorskie. Podobno w ten sposób praktykują ci, którzy na te wszystkie ceregiele nie mają czasu, a mogą wydać kilka tysięcy franków...

Stelmachowski rozpoczął rozmowę od zapytania, czy to moja krewna została powołana do zarządu drzewnej spółki akcyjnej? Chłodno zaprzeczyłam:

- Nie, panie profesorze, to ja we własnej osobie.

Już po złożeniu poprawki profesor sondował mnie w dalszym ciągu:

- Zapewne pani objęła tam stanowisko radcy prawnego?

- Nie panie profesorze, spółka nasza zatrudnia dwóch radców prawnych i kilku „tego rodzaju” urzędników, do zarządu spółki weszłam z powodu poważnego udziału w kapitale zakładowym tego przedsiębiorstwa między innymi...

Po takim powiedzeniu zapanował między nami chłód, profesor skłonił mi się tylko na stojąco, bez podawania ręki. Jak to mówią - zatkało go. Nie dziwię się temu.

Tym razem czekałam dobrą godzinę w grupce kilku takich samych nieszczęśników z poprawkami. Egzaminowano pojedynczo. Jeden ze studentów szarżował i opowiadał głupie kawały. Między innymi i o profesorze. Podobno podczas któregoś z egzaminów Stelmachowski zadał niespodziewanie takie pytanie?

- Niechże mi pan opowie, jaka jest różnica między sądem powiatowym a okręgowym?

Kandydat pochodził z mocno sędowniczej rodziny, jego ojciec był bowiem pisarzem hipotecznym, podobno z Łodzi. Młody student bez namysłu wypalił:

- Ależ proste, panie psorze, u nas na przykład w Kongresówce powiatówki mieszczą się przeważnie w starych odrapanych ruderach, wynajętych od ludzi, sądy okręgowe naturalnie już w większych miastach. Rosjanie pobudowali tu i tam masywne budynki, to i porządek w nich jest, i już całkiem inaczej.

Młodemu człowiekowi z miejsca wkleili poprawkę - według mnie niesłusznie, bo odpowiedź studenta była całkiem do rzeczy, a jedynie profesorowi nie wypadło zbyt dobrze z pytaniem.

Ale ostatecznie co mnie do tego wszystkiego? Przeszło, minęło, nawet sam uniwersytet jest dla mnie w obecnych warunkach nieważny.

Życzliwemu asystentowi prof. Sułkowskiego zrobiłam prezent z sześciu polskich tomików Sagi Forsytów. Właśnie je zobaczyłam po drodze do Zamku i kupiłam, nawet jeszcze przed egzaminem. Ucieszył się. Chociaż co przyjdzie takiemu niemiłodemu już chłopakowi z tej książki? Okulary w czarnej rogowej oprawie, grube szkła. Mól książkowy. Sekretarce z dziekanatu wręczyłam w żartach pudełko z czekoladkami Wedla. Po czym wsiadłam do samochodu i od razu dałam dęba do domu. Powrotna droga była bardzo ciężka.

Nasypało śniegu. Miałam ochotę zbroczyć do Szczytnik, ale nie można było przeciągać struny w biurze. Bałam się. Teksturkę dyplomową przyślą mi pocztą.

Paryż. „Cztery Kamienie”. Ciotka Temmi i Elza, Patrycja bowiem przebywa w Mentonie. Paryż z lekka przyprószony śniegiem. Nowa, nieznana mi dotychczas szata. Frontowy dom przy ulicy Zielonego Mostu zdążył jakby szernieć, jakoś nie razi już bielą tynków. Zresztą w miłym kolorze popielatoróżowym. Mam zamiar w podobny sposób pomalować moje domy na Mińskiej.

Interes prosty jak drut. Mimo to była rozmowa w cztery oczy, a później w trzy pary oczu. A zatem ciotka Temmi i gość, który pod pewnymi warunkami ma dostać ode mnie „w cztery oczy” gotówką trzydzieści tysięcy złotych. Okrąglą kwotę - bez pokwitowania. Za co?

Ludzie na ogół nie myślą. Ten jednak przekalkulował i przy okazji służbowego pobytu w Paryżu zajrzał do książki telefonicznej, a następnie zaryzykował taksówkę na ulicę Czterech Kamieni. Podobno u nich w Paryżu czy we Francji są to sprawy normalne, a w Ameryce zwyczajowo ustalone.

O samej transakcji mam nic nie wiedzieć. Po prostu nie istnieje dla mnie. W rozmyślaniach Mrs Maltz - konieczność nawet takiego, a nie innego załatwienia, ponieważ „myślący” przedstawiciel z Polski mógłby bez żadnych przeszkód umieścić to zamówienie w innej firmie konkurencyjnej, w tym samym Paryżu. Moja jednak w tym zasługa, że jakiś mały, nic nie znaczący zakup „Stalowej Woli” naprowadził filozofa z biura zakupów na pomysł porozmawiania z firmą Maltz. W wypadku zakupu w innej polskiej firmie ten sam filozof byłby zapewne wyszukał w książce telefonicznej inną firmę zagraniczną. I tyle. Gdy się uda, murowane trzydzieści tysięcy jako cena piętnastogodzinnego pobytu w pięknej stolicy świata. To była w dodatku niedziela, czyli pewnego rodzaju przygodny kaganiec na buzi - wobec wystaw wypełnionych tym wszystkim, czego kobiety i ludzie w ogóle pożądamy. Pojeździłam sobie jednak po ulicach dla przyjemności, pewnie ze dwie godziny.

Z prywatnych czy rodzinnych spraw: ciotka Temmi i Elza wypytywały się o warszawski sposób bycia naszych ostatnich gości. One w gruncie rzeczy są zadowolone z tego, że pan Krymułt odczepił się od Patrycji.

Ostatnio był u nich Marcin, opowiadał o moich domach na Pradze. Francuskie kuzynki śmiały się, ponieważ Marcin określił to podobno w sposób lapidarny: „Nasza Anna po raz drugi zdała egzamin dojrzałości, tym razem na własną rękę i bez cudzej pomocy”.

To chyba wszystko. W Paryżu mówi się o tym, że sprawa abisyńska jest przesądzona na rzecz Mussoliniego. Dowiedziałam się również, że domek w Bazylei został już przepisany na moje nazwisko. Na samym końcu, ponieważ dla genewskiego banku moim adresem jest wyłącznie willa „Acacia” w Montreux, o Warszawie nie ma tam mowy.

Lakiery w Jugosławii wzięły kompletnie w łeb. Interesy na Bałkanach zawsze bywają krótkotrwałe. W każdym razie dobrze wspominają Józefa Zajlicza. Według nich był to człowiek z grubymi milionami, z których większa część zaginęła po jego śmierci. Rachunki pozostawił czyste. Była mowa również o jego synu. W każdym calu hiszpański caballero, nie nastawiony jednak na sprawy europejskie. Robi w hodowli bydła i podobno w górnictwie. Bogaty w tamtym pojęciu. Nicaragua, kraj mało nam znany, chyba z mnóstwa znaczków pocztowych, tylko tyle wiem o nim z mojej własnej przeszłości.

Nic więcej o Paryżu. Wczoraj wieczorem wspólnie z Mokotowem jeździłam na ulicę Narbutta. Na terenie przyszłej budowy spotkaliśmy naszego budowniczego. Nie bacząc na śnieg, chodził po terenie i medytował. Później pojechaliśmy wspólnie z nim do małej, śmiesznej restauracyjki na Marszałkowskiej, blisko Placu Zbawiciela. Ciemna buda. Wchodzi się przez sklep kolonialny, w tyle średnich rozmiarów pokój ze stolikami z dębowego drzewa, bez obrusów. Nakrywają każdemu gościowi arkuszem świeżego białego papieru. Jedzenie podobno dobre. Dla znawców. Klientela złożona prawie wyłącznie z wyższych oficerów i urzędników państwowych. Osobliwe miejsce, o ile się nie mylę, pod numerem 144. Na

szyldzie napis: „Jabłoński, dawniej J. Herbst”. Podobno lokal ze starą tradycją, osobiście jednak wolę „Langnera” na Placu Teatralnym. Zbyt wielki tłok - nie dla mnie.

Przyparłam do muru naszego prezesa w sprawie moich domów na Pradze, przecież za dwa tygodnie wszystko będzie gotowe. Pozostanie tylko pomalowanie klatki schodowej, ale na to jeszcze czas, gdy się zrobi ciepło i gdy ustawi się rusztowania do tynkowania - za jednym zachodem. Przyrzekł pochodzić za tym najdalej jutro, w poniedziałek, od samego rana i za świeżej pamięci. Przesada z tym chodzeniem, oni załatwiają takie interesy w „Europie”, w południowych godzinach, jednym słowem tak lub nie, resztę załatwiają urzędnicy.

W drzewie - podpisuję. Niby czytam, ale na ogół nie mam żadnych uwag i życzeń. Uczę się w milczeniu. Co najwyżej nasz Anglik przychodzi do mojego gabinetu i muszę mu tłumaczyć niektóre z naszych polskich listów. Bestia leniwa, niczego się dotychczas nie nauczył. Chodzi własnymi drogami, w czym mu nie przeszkadzam. Nie narzuca mi się, nie szuka bliższej komitywy, mnie z tym wygodnie. Montreux mówi, że to się samo ułoży.

Relacja o Zakopanem i Krynicy była dość skąpa. Wstąpili do Warszawy jak po ogień i w kilka godzin później poszli spać, a wczesnym rankiem nasz pan Karol wiozł ich już dalej do Górek i Szczytnik. Leokadia rozpromieniona i odmłodzona, podobno zdecydowała się już na spędzenie w Krynicy całego marca. Proponowała wspólny wyjazd Wirewiczowej, ale nic nie wiadomo. Z plotek na razie tylko tyle, że młoda żona niemłodego już Mr de Crymoulta mocno bierze go do galopu. Szkoda, że nie było mnie na tym przedstawieniu w naszych górach.

Wujcia Benedykta gościł na dole profesor Wydra, Leokadia królowała u mnie na górze. Na razie ani słowa o zwrocie pieniędzy, to dobrze. Zdaje się, że trzeba będzie trochę pomóc lakierom przyplływem świeżej gotówki. Zobaczę. Będę lepiej wyglądać wobec Paryża.

Panna Beata mówi, że w tym roku obrót ustalili się w granicach najwyżej pięćuset do sześciuset tysięcy złotych. Podobno konkurencja mocno się rusza. Również nieco obniżyli ceny, ale jeszcze nie do naszych sześciu procent. Nie zależy mi na tym, moje myśli są gdzie indziej.

Na imieniny do Bydgoszczy nie pojedę. Nie mogę sobie na to pozwolić, biuro. Napisałam już list do Zośki, aby doręczyła w moim imieniu kosz kwiatów, podałam wyraźnie: przynajmniej za dwieście złotych.

Jutro rano spodziewamy się stryja Józefa, przebywa gdzieś za Wilnem z naszym panem Pakullą.

Środa - 12 lutego

Smutno. List od pani Woźnikowej. Przed tygodniem mała złamała na sankach lewą rękę, ale wszystko szczęśliwie. Na razie w łóżku, ale codziennie odwiedza ją nauczycielka. Mała nie straci roku. W pierwszej chwili byłam zła i mówiłam sobie: powinni byli lepiej uważać. Ale sama wiem, że dziecka nie można upilnować. W dodatku w Rabce; mnie by również nie upilnowali. Cały list był wypełniony jedynie opowiadaniem o złamanej ręce. Tylko w post scriptum wzmianka o tym, że pokoje są przepełnione. Krzywe literki Marty: „Niech kochana ciocia Anna przyjedzie do nas, to nie będzie bolała mnie ręka”. Może nawet bym pojechała, ale nie wychodzi. Chyba w jaką niedzielę, ale dopiero w końcu miesiąca. Tymczasem wyślę jutro paczkę z zabawkami i książkami. Dzięki Bogu, ma już swój własny dom, nikt go jej nie odbierze. Nie wie o tym, to również dobrze.

Relacja budowniczego, w przyszłą sobotę jest wyznaczony odbiór techniczny moich domów przez wydział budowlany. I znów w cztery oczy wręczyłam budowniczemu dwie pięćsetki na wiadome cele oraz osobno dwie setki na libacje w restauracji. Komisja składa się z trzech osób, to chyba wystarczy. Zresztą dałam tyle, ile żądał. Po bytności w Paryżu zobojeźniałam na taki styl. Ten sam i niezmienny od czasów Adama i Ewy.

Czwartek - 13 lutego

Rozmowa ze stryjkiem w cztery oczy u mnie na górze i o wszystkim bardzo szczerze. Wypadki posuwają się bardzo szybko. Stryjek wyplątał się już z głupiej afery „Gebruder Brock”. Firmę nabył za cenę również trzystu tysięcy guldenów stryjeczny brat Foerстера, który obecnie wszystko może w Gdańsku. Stryjek dołożył do tego interesu owe dodatkowe trzysta tysięcy, które musiał wpłacić do kasy partyjnej. Doskonały wynalazek. Ale mówi, że to dla niego wielkie szczęście. Ogółem wszystkie straty z tego tytułu oblicza on na milion guldenów, ponieważ cena nabycia została wpłacona w wekslach, których nie będzie można zdyskontować, a bezpieczniej nawet nie próbować inkasować. Takie to są obecnie interesy w Gdańsku.

Nie zwróciłam początkowo uwagi, że obok nazwiska Elfrydy Garden, jako członka naszej rady nadzorczej, jest podany londyński adres jej ojca. Obecnie rozumiem. Resztę, po części, dopowiedział mi stryjek. Elfryda od samego początku ustalała się w Londynie, zapewne w niedługim czasie uzyska, razem z ojcem, obywatelstwo angielskie. Szczęść Boże! Stryjek wyobraża sobie, że mu się uda w ciągu dwóch do trzech lat zlikwidować wszystkie interesy w Gdańsku. A wówczas?... Była mowa również o stryjku Juliuszu, który podobno kusi wszystkich, by osiedlili się w Chicago.

Interesy drzewne rozkręcają się. Na początku rozmyślałam nad tym, w jaki sposób podobna firma może rozpocząć swoje interesy. Obecnie mniej więcej połapałam się. Kontraktują, wpłacają zadatki, urządzają wyręby kolumnami miejscowych robotników pod komendą obcych nadzorców, których sami przysyłają, kupują lub w najgorszym razie urządzają prowizoryczne tartaki, resztę ceny płacą przy odbiorze. Załadunek na wagony, okręt w Gdańsku, a reszty dokonują już londyńskie firmy. Może i ja pojedę do Londynu w interesach naszej spółki? Trzeba będzie brać częściej do ręki angielskie książki. Profesor dobrze radzi.

A propos profesora. Oddał mi kopię mojej pracy dyplomowej, a na zapytanie - odpowiedział, jak zwykle bezpośrednio, za co go specjalnie cenię:

- Popelniła pani, Anno, poważny błąd. Dwa dyplomy uniwersyteckie, mniej więcej w tej samej dziedzinie nauk, to właściwie za dużo i za mało. Trzeba było od razu po zakończeniu sprawy z ekonomią pomyśleć o napisaniu pracy doktorskiej, bo u tego, jak mu tam, profesora Sułkowskiego. A tak - miała pani dużo trudów, zachodu, kłopotów i rozczarowań - tu profesor uśmiechnął się, pomyślał zapewne o poprawce z procedury - i właściwie nie opłaciła się wyprawa tej skórki. Doktorat to zawsze coś innego niż dwa dyplomy magisterskie, stopień w dodatku mało znany za granicą.

Ma rację. Teraz wiem już wszystko. Profesor naprzód skończył filozofię w Wiedniu z najwyższym, cesarskim odznaczeniem. Otrzymał specjalny dyplom na pergaminie, mocno wyzłocony, ponadto pierścień od cesarza austriackiego i osobiste, dożywotnie szlachectwo. W Getyndze zjawiał się już jako Ritter Vydra von Fischotterfels i tam popełnił następne dwa doktoraty. Zresztą mówi o niemieckich doktoratach w sposób osobliwie żartobliwy. Podobno w uniwersyteckich bibliotekach spoczywa przynajmniej sto lub dwieście tysięcy doktorskich rozpraw, napisanych ot tak sobie, *pour bien passer le temps*, po prostu tylko dla satysfakcji i dlatego, że Niemcy kochają się w tytułach i odznaczeniach.

Z bliższych spraw jeszcze to, że przed dwoma tygodniami stryj Józef nabył od pana Blaufuksa owe dwa tartaki pod Rymanowem za dwieście trzydzieści tysięcy, łącznie z zapasem drzewa. Na wiosnę odsprzeda je naszej spółce. Kupione zostały na nazwisko ciotki Elfrydy. Dziesięć tysięcy dla mnie, zaokrąglone, jak się wyraził stryj. Płatne jednak na miejscu, w złotych. Na ogół stryjek jest bez humoru i mówi, że życie w Gdańsku staje się coraz trudniejsze. Wierzę, po tym, co słyszę.

Poza tym właśnie dzisiaj odbyło się płatne posiedzenie zarządu. Łącznie z dyrektorami. Podobno przeszkadza nam lubelski wojewoda. dr Józef Roźniecki, były oficer legionowy. Ale już się chodzi koło tego, aby mu dać do ręki parasol, w ten sposób nazywają tutaj posyłanie na emeryturę oficerów, zatrudnionych na urzędach, w momencie gdy stają się niewygodni. Ten pan Roźniecki żyje w przyjaźni z naszym generałem, ale to jednak nie pomaga. Podobno jest to człowiek jeszcze młody, lecz uparty i nie da się przekonać jak inni. Mają mi go pokazać na jakimś przyjęciu z brydżem. Zobaczę zatem Józefa Nieprzekupnego, który broni drzewek w lesie. Nasz prezes bierze to ze strony humorystycznej i mówi:

- Co będzie, gdy wyrąbiemy drzewa? Po pierwsze nie zawiniemy się z tym tak szybko. A gdy wyrąbiemy, to nastawimy się na import jakiegoś obcego drewna. Zresztą drzewo można doskonale zastąpić lekkim aluminium i bakelitem. Nie ma smutnienia... przyspieszy to u nas budowę huty aluminium!

I jak zwykle Władek dokończył w sposób jemu właściwy:

- Proszę państwa, w pewnym gronie poważnie zastanawiano się nad tym, że już obecnie kobiety tracą coraz więcej swoje cechy kobiece. Na to jeden z obecnych panów rzekł mądre słowa: „Korzystajmy zatem z okazji, moi panowie, nie wiadomo, co będzie z kobietami za dwadzieścia milionów lat”. Podobnie jest z naszymi lasami.

W ogóle Mokotów nastawił się obecnie na opowiadanie świńskich kawałów. Nie w moim to stylu, muszę jednak brać w tym jakiś bierny udział. Brak zainteresowania maskuję uśmiechem. Ze statku bowiem płynącego na morzu nie można wysiąść, a portu, dogodnego dla siebie, na razie nie widzę...

Sobota - 15 lutego

Sześćset złotych od pani Kalatowej z Czarza. Ona oddaje, mimo że jest jej niezawodnie ciężko, a mój szwagier Tuchołka?

Dzisiaj podpisałam umowę z „Pociskiem” - na trzy lata. Przejmują oba domy we własną administrację i za cenę dziesięciu procent od komornego będą wykonywać drobne naprawy własnym kosztem. Nasz administrator nie będzie z tego zadowolony. Poszło mu koło nosa, ponadto stracił na wynajęciach lokali, zawsze byłoby mu coś przyszło do ręki. Wynajmuję od pełnego roku, połowa lokali ma być do objęcia już od marca, reszta w miesiąc później. Netto dla mnie z tego tytułu dwadzieścia trzy tysiące i czterdzieści złotych, płatne każdego roku w ciągu stycznia. Pierwsze komorne przekażą mi już pojutrze.

Również dzisiaj wręczono mi w pięknym portfeliku z krokodylowej skóry, obłożonym złotymi ramkami, studolarowe banknoty. Dwadzieścia sztuk. Podobno uzgodniono to z Marcinem. Pół procent za interes z Kreisse. Portfel rodem z Paryża, osobisty dar pana prezesa, jak się sam nazwał i pochwalił. Dopiero obecnie uwierzyłam, że Kreiss był zjawiskiem z tego świata i że interes doszedł do skutku. Wówczas, w okresie rozmów z Marcinem w dzień Trzech Króli, bardzo płytko brałam te nowe abisyńskie sprawy. W ogóle ten tydzień był hojny w pieniądze. Oby tylko nie zaczęły się obecnie drugie lata Hioba! Jakoś idzie, nie można narzekać. Obecnie mam wszystko pokończzone i uregulowane, chodzi już tylko o regularne nakręcanie sprężyn i oliwienie różnych interesów przy pomocy ludzi, którzy myślą nawet wówczas, gdy nasze rządy wysyłają ich do tak lekkomyślnego miasta, jakim jest Paryż.

Mój świeży dyplom jakoś bez wrażenia. Nikt się nim nie interesuje. Nawet stryjek Józef powiedział mi, gdy się cokolwiek chwaliłam:

- Moja Anno, na początku roku trzeba myśleć o gotówce i rozkręcaniu wiosennych interesów, dyplomy w tym ani trochę nie pomagają.

A moja mokotowska protektorka zauważyła przed kilku dniami:

- Moja Anno, od kiedy wdałaś się w interesy z naszymi panami, całkiem zaniedbałaś stroje. Przecież ty nie masz się w co ubrać. Wszystko stare rzeczy, których obecnie już się nie

nosi. Musimy wziąć się do ciebie, wspólnie z Leokadią. Interesy interesami, ale kobieta w twoim położeniu winna trochę więcej dbać o wygląd. Czas na przykład, abyś sprawiła sobie porządne czarne karakuły i obfitą pelerynkę ze srebrnych lisów. Przecież ty doprawdy wyglądasz czasami jak jakaś... sierota.

No i cóż więcej? Sprawa budowy kamienicy przy ulicy Narbutta posuwa się naprzód, plany są już w połowie gotowe, budowa podobno dwumilionowa, ale ukończenie dopiero w przyszłym roku, na jesieni. Konstrukcja stalowa, komfort pierwszej klasy z windami. Ano, ano! Przypominam sobie nieraz pierwszy prezent ofiarowany mi niegdyś przez ówczesną jeszcze pułkownikową, ów generalski szlafrok przywieziony z Paryża przez Władka. Oj, wtedy byłam rzeczywiście opuszczoną sierotką z małego miasteczka! Ale czy moja przyjaciółka marzyła podówczas o stalowej konstrukcji przy ulicy Narbutta? W tym czasie oni wszyscy siedzieli w kieszeni u Katelbacha.

Stryj Józef odmówił udziału w budowie domu w Warszawie. Do mnie powiedział na osobności:

- W Londynie, to rozumiałbym, ale tutaj?

I jakoś uśmiechnął się przy tym dziwnie boleśnie. W ogóle stryjek stracił w ostatnich czasach swój dawny humor.

Środa - 19 lutego

Leokadia w Warszawie. Nie wspomina o długu, obie z generałową projektują toalety dla mnie. Zostaje do końca tygodnia. Obie jadą na marzec do Krynicy. Wmawiają we mnie gwałtownie to samo. Krynica to wypoczynek, zagranica to kołowrotek wrażeń. Zresztą trudno mi projektować, wiele rzeczy nie zależy już ode mnie.

Czwartek - 20 lutego

List od Marcina. Chwali rozsądne załatwienie sprawy w Paryżu. Potwierdza Bazyleję, pisze ogólnie, że otrzymał nowy list od Krystynka. Podobno się żeni. Do mnie jednak nie pisze. A zresztą on sobie, a ja od dawna również... sama sobie.

Sobota - 22 lutego

Komisja budowlana przyjęła domy jako ukończone i w poniedziałek wyda odpowiednie zaświadczenia. Wczoraj wprowadziło się już czterech lokatorów. Nie byłam, obecna podczas tej ceremonii, dowiedziałam się o tym z ust naszego wszystkowiedzącego administratora z ulicy Górskiego. Nie ma do mnie pretensji, powiedział mi nawet z pewnego rodzaju uznaniem: - A to się pani radcy udało! - Obecnie czekam już tylko na formularze wypełnione przez mojego poznańskiego administratora. Poza tym biorę udział w szale z zakupami i krawcowymi. Materiały angielskie, moc bielizny, wszystko sprawia wrażenie małej wyprawy ślubnej. Przyglądam się tej hecy z zainteresowaniem. Leokadia w swoim żywiole. Pan Petras zagoniony. Jeżdżą i obwożą mnie jak jakieś ciele na wydaniu. Kiwam na wszystko głową. generałowa doradza, Leokadia płaci rachunki.

Niedziela - 23 lutego

Wyszło szydło z worka. Wszyscy jedziemy na spokojny miesiąc do Krynicy. Pokoje już zamówione. Starsi państwo Orzechowscy, młoda Orzechowska, Gabrysia, Leokadia i generałowa. We mnie dopiero na końcu wmówiono te marcowe wakacje. wyjeżdżamy ostatniego lutego wieczorem. Bierzymy tylko jeden samochód, do Krynicy pojedzie luzem, szkoda byłoby w zimie zdrowia na takie dalekie tury z Warszawy.

List z Rabki. Wszystko dobrze. Mały poprawił się humor i apetyt, uczy się, a z ręką już prawie dobrze, tylko że w gipsie, a to nie jest zbyt miłe. Całe szczęście, że skończyło się na tym, w przyszłości będzie ostrożniejsza.

Co do Krynicy, to właściwie przeważał u mnie list Kazi ze Lwowa. Przyjadą oboje, z dzieckiem i niańką. Cieszę się, to jest przecież również moja Anna.

Poniedziałek - 24 lutego

Zwróciłam Nowemu Światu całe moje zadłużenie wynikłe z zeszłego roku, jedenaście tysięcy dwieście. Obecnie pozostają już tylko rozliczenia z pierwszego roku. Łamigłówka.

Doktor Mizres siedzi nad moimi zeznaniami o dochodzie za rok zeszły. Specjalista. Wszyscy troje już zdążyli się zaprzyjaźnić, obie moje panie z lakierów i nasz doktor. Obie baby wyraźnie lecą na niego. Kto by to mógł przypuścić? Gdyby nie interesy obu przedsiębiorstw, nie wiedzieliby o swoim istnieniu na świecie. Widocznie przeznaczenie. Pani Moderska? Przecież ona jest starsza od tego pana Tadeusza czy „naszego kochanego doktora”, ponieważ obie go w ten sposób przywabiają. Jeszcze rozumiem panią Lucynkę, ponieważ ma gdzieś w Galicji kamieniczkę po pierwszym mężu, ale nasza panna Beata z uliczki Freta? Podoba mi się jej powiedzonko: „Mieszkamy na Freta z górą sto lat”. Tkwi w nim jakaś swoista duma arystokracji Starego Miasta w Warszawie, mimo że brakuje tu słów: we własnym domu.

Dzisiaj po południu Leokadia pojechała do Górek. Przyjechał po nią Maksiu, płakał mi naturalnie w mankiet. Uzałam się nad nim jak rodzona siostra i pocieszałam, jak umiałam. Podobno Kunicki parceluje drobne folwarczki, chce w ten sposób wyciągnąć sto tysięcy więcej. Niszczy pracę wielu lat. Maksiowi żal Różankowa, gdzie się urodzili oboje z Hertą i gdzie się wychowali.

- Widzisz - mówiłam - dla gołębi ten dom jest domem rodzinnym, gdzie się urodzą ich małe. Bądź zadowolony, że wydosłałeś się z dusznego Pomorza, i wspominaj ojca, który osadził cię mocno w Królestwie. Tutaj jest twoja obecna ziemia i twoja nowa ojczyzna... rodzinna!

Nie wiem, czy dobrze go pocieszałam...

W Abisynii toczą się decydujące walki w okolicach jakiegoś Tambien. Włosi górą, co podobno Anglików doprowadza do szału.

Czwartek - 27 lutego

Prawie nie zauważyłam wczorajszego Popielca. Byłam mocno załatana. Doktor Mizres zaciągnął mnie nawet do naszego Urzędu Skarbowego. Wolałabym dać łapówkę, a sama tego nie załatwiać. Już załatwione, ale widocznie chciał mieć w ręce wszystkie atuty i ciągnął mnie po różnych pokojach. Było niełatwo. Złożyłam zeznanie o dochodzie, obecnie chodzi jedynie o to, czy każą mi płacić w tym roku podatek od różnicy, czy też już w tym roku uznają mi wszystkie koszty budowy, własne i mojego poprzednika. Ostatecznie gra warta świeczki.

Dla pamięci: całość moich dochodów za rok 1935 wyniosła w obliczeniach zł 101 809,95 już kompletnie netto, po uwzględnieniu wszystkich potrąceń. Skarbowcy chcą uznać mi w tym roku i zaraz do potrącenia jedynie kwotę moich własnych kosztów budowy z roku ubiegłego: zł 68 742,16 plus zwrot zapłaconych przeze mnie kwot podatku dochodowego w dziale II, to znaczy od zwróconej przeze mnie pensji kierownika firmy „Sol”. Według nich powinnam obecnie, w tym roku, zapłacić podatek dochodowy od różnicy, to znaczy około pięciu tysięcy złotych. Mizres uparł się i chce w tym roku przeprowadzić całość. Może ma rację? Stało na tym, że sprawa ma się oprzeć o Izbę Skarbową, boją się na własną rękę. Decyzja ma zapaść jutro, dość szybko działają, mimo że nie dostali łapówki.

Również jutro przyjeżdża do Warszawy Leokadia z kompletnym ryszunkiem wakacyjnym. Kuferki pojedą samochodem, a my bardzo wygodnie, tylko z neseskami. Bilety już wykupione.

Namawiałam naszego profesora na krynickie wakacje. Owszem, ale dopiero po dziesiątym marca. Rozumiem, ma u siebie jakieś miesięczne zebranie.

W tym tygodniu było sporo listów, z czego dwa z Wiednia. Matylda namawia mnie na wyjazd do San Remo, na dwa tygodnie, a Heinrichowie zapraszają wprost, bez żadnych dodatków. Właściwie list napisała Anna, a Heinrich - leń dopisał zaledwie kilka słów. Młoda Elfryda u ojca w Londynie, podobno załatwia gdańskie interesy. W biurze dostałam gładko urlop, mówili jedynie o perspektywach wysłania mnie w nowej ekipie zagranicznej. Podobno Szwajcaria, ale mnie się nie chce wierzyć, aby właśnie taka podróż wpadła mi sama w ręce. Zobaczymy, to ma być dopiero najwcześniej w końcu kwietnia lub na początku maja, ale tylko na kilka dni.

Jutro będzie trudny dzień, odbieranie stroików u krawcowych. Cztery argusowe oczy moich opiekunek. Obie wmawiają we mnie, że ostatnio opuściłam się i jestem oberwana. Co do mnie, to najlepiej czuję się w moim rezedowym płaszczu skórzanym, sprezentowanym mi w Marsylii przez Leokadię. Nie zwracam w nim uwagi i dobrze się czuję. Śmieję się i twierdzę, że płaszcz i ja stanowimy jedną całość, podobnie jak skorupa i ślimak.

Stryj Józef powiedział mi dzisiaj rano podczas śniadania:

- Wy wszyscy wyjeżdżacie, a mnie przyjdzie samemu przysiedzieć fałdów w Warszawie. Z naszego prezesa-generała słaba pociecha, on tylko fruwa po świecie, a ja muszę tkwić w Warszawie, w momencie gdy właśnie rozkręcają się nasze drzewne interesy. Powinienem jeździć po prowincji, a nie siedzieć w biurze.

Ostatecznie stryjek mówił bez złości, a nawet przyrzekł przysłać nam do Krynicy ciotkę, skoro tylko Elfryda wróci z Londynu. Gdzieś w połowie miesiąca.

Moje interesy: prawie sto dwa tysiące dochodu w Polsce. Ale swoją drogą sporo się namartwiłam w zeszłym roku. Niełatwo było mi wypłacać się z bławatów i dopiero szczęście czy przypadek, że wujek Kowalski przyszedł nam z pomocą w postaci pomysłu z porzuceniem Grudziądza. Widocznie tak już bywa w życiu, że każdemu z nas brzydnie w pewnym momencie wszystko, co go otacza, i nagle porzuca to, w czym tkwił od młodości. Miasto, dom, mieszkanie, no i jakąś tam Julcię. Ciekawa jestem, co robi obecnie ta kochana Julcia Murska? Sto dwadzieścia tysięcy dla takiej damy to albo bardzo wiele, albo bardzo mało. Może te pieniądze staną się dla niej od razu jakąś odskocznią w górę; lub czy ja wiem? Przeje po prostu gotowe pieniądze z byle kim, może nawet z tym subieckiną, z którym przyłapano ją na gorącym uczynku.

Jakie to wszystko głupie! Niemal powieściowy epizod. Dwaj detektywi opłacani przez zdradzanego męża, włamanie się do mieszkania i od razu dramatyczna scena. Podobno oboje byli kompletnie nadzy. W każdym razie wzięcie udziału w takim spektaklu kosztowało naszego wujka dużo rozczarowań, no i sto dwadzieścia tysięcy. A układało się przecież dobrze. Julcia pilnowała się, dopóki była tylko utrzymanką bogatego kupca Jana Kowalskiego, później jakoś mniej się miała na baczości i od razu zrobił się skandal. Stało się, nie odstanie się. Podobno w wyroku rozwodowym jest pomieszczona klauzula, że strona winna, w tym wypadku Julcia, nie może poślubić współwinnego złamania wiary małżeńskiej, to znaczy nazwanego imiennie po nazwisku owego kochanka. Dobre i złe. Ale ostatecznie, co mnie to wszystko... Grunt, że pomogło mi w moich kłopotach z bławatami, reszta furda! Swoją drogą to jest głupie i durne zastrzeżenie, nie z tego świata.

Piątek - 28 lutego

Pytia w Izbie Skarbowej odłożyła decyzję do terminu płatności drugiej raty podatku dochodowego, to znaczy do listopada. Albo w tym terminie zapłacę podatek dochodowy od różnicy, który mi następnie potrąca przy obliczeniach zakończonych z domem w roku 1937, albo odczekają z obliczeniem do przyszłego roku. Przypomnieli sobie równocześnie o dopłacie w wysokości czternastu procent z powodu nieposiadania przeze mnie męża lub kogoś, jak mówili - na utrzymaniu... W tym wypadku była mowa o rodzicach, rodzeństwie itp. Wypadło dość komicznie, obróciliśmy to w żart, na razie sprawa w zawieszeniu do

listopada. Doktor Mizres i nasz budowniczy pokręcą się w tych sprawach, chodzi o urzędowe oszacowanie wartości wstępnej budowy dokonanej przez nieboszczyka Piaseckiego. Wszystko budował w sposób niechlujny, bez rachunków, materiały nie wiadomo skąd, widocznie z powietrza, jak się zdarzyło. Nie posiadając jednak dochodów do opodatkowania, nie interesował się możliwościami potrącenia wydatków jak w moim wypadku. Liczył jedynie na przyszłe nieopodatkowanie komornego.

Z krawcowymi poszło gładko. Ciotka Leokadia i Wirewiczowa były jakoś w dobrym humorze z racji jutrzejszego wyjazdu.

Śmieszy mnie sprawa z ową czternastoprocentową karą dla nie posiadających... męża ni żony. Zaglądałam do ustawy w godzinach wieczornego wysiadania na parterze. Gdybym nie była uchwyciła się w porę dwóch szkieletów na Mińskiej, byłabym musiała wybulić w tym roku prawie dwadzieścia osiem tysięcy podatku dochodowego, plus ta zwyczajka dla „panny”, to znaczy prawie cztery tysiące złotych. O tyle mniej kosztują moje domki. Przyszło mi na myśl, ile będzie mnie kosztował mój jakiś ewentualny przyszły mąż. Podobno można to sobie uregulować w intercyzie. Różnie o tym mówią. Chyba gdyby się poślubiło jakiegoś pana Karśnickiego... Ale ten poszedł mi już koło nosa, znalazła się mądrzejsza ode mnie. Już zdążyła urodzić mu syna, a co najważniejsze, nie umarła przy porodzie.

Ale to wszystko są głupstwa. Grunt, że jutro jedziemy do Krynicy. Zapomnę o wszystkim, będę cieszyć się jedynie powietrzem, słońcem i śniegiem, który właśnie obecnie tam dopisuje. Mam ochotę wykrzyknąć: - Hallali!!!

Właściwie powinnam wyjechać za granicę. Miesiąc w „Aca-cii”? Ale kto wie, tam mogłoby być niespokojnie. Genewa blisko, możliwość podróżowania. Mogłabym również po raz pierwszy w życiu zamieszkać na pierwszym pięterku - w moim już domku na Sonnenweg. Nazwisko tego profesora gimnazjalnego, który wynajmuje całość domku, bez pięterka: doktor Arnold Horno, botanik. Ale cóż, jadę do Krynicy. Może tam wypocznę?

Sobota - 29 lutego

W biurze na wyjeźdny dopadł mnie nasz budowniczy. Pięć tysięcy, ostatnie już przed tynkowaniem domu. Materiały na miejscu, już tylko sama robocizna. Poza tym nic nowego. Bagaże odjechały dzisiaj wczesnym rankiem, samochodem. Niepotrzebne gadania w biurze: - Ona jedzie znów do Krynicy, ona tylko jeździ. - Hołota, mam na myśli oba moje przedpokoje z urzędnikami.

Krynica - poniedziałek - 2 marca

Nasza kobieca paczka w „Soplicowie”, dla wujcia nie było już miejsca, na razie w „Patrii”. Lwowski kram z dzieckiem w „Witoldówce”, po staremu, u znajomych. Wujek Kowalski z Wąbrzeźna - spodziewany dopiero w środę rano, umieści się również w „Witoldówce”. Panowie Liteńscy na odmianę w „Kasztelance”. Wszystko mniej więcej w pobliżu. „Witoldówka” - stara drewniana rudera, ale wspomnienia na nieboszczyka starego doktora Skórczewskiego, który był przyjacielem doktora Baumana. Obecna właścicielka - nie w moim guście.

Jutro jak zwykle wizyta u lekarza i z miejsca pierwsze kąpiele. Tymczasem „Krynyczanka” w charakterze wody stołowej oraz „Zuber” z „Janem”, ponieważ wszyscy to piją. Owczy pęd. Dzisiaj po raz pierwszy popołudniowy dansing.

Mój pokój na drugim piętrze, ale za to mam kawałek balkoniku po stronie południowej. Starsze panie na pierwszym piętrze. Traktują mnie jak podlotka, a starsza pani Orzechowska mówi mi: moje dziecko, co mnie drażni. No, ale trudno. Gabrysia ma pokój obok rodziców. U wujcia Benedykta ustali się zapewne kącik brydżowy. Duży pokój, historie do spania i mycia się w rodzaju alkowy, oddzielonej portierą od reszty pokoju. Ze samochodem było trochę kłopotu, ale pan Karol umieścił się jakoś w pobliżu stacji kolejowej. Komunikacja przy

pomocy telefonu. A zresztą tutaj dla fasonu jeździ się sankami. Wszędzie blisko. Pogoda i słońce. Towarzystwo możliwe, raczej za spokojne, jeżeli chodzi o nasz pensjonat. Sfery ziemiańskie, bez hałasu, wynalazek starszych państwa Orzechowskich. Okazało się, że pokoje były już od dawna pozamawiane. Dzisiaj położyłam się do łóżka już o godzinie dziesiątej. Nie chce mi się spać, ale gaszę światło.

Wtorek - 3 marca

Plotki, plotki. Urozmaicamy sobie życie opowiadaniem nawet starych historii przy każdej okazji. Podobnie zresztą jak dawniej i jak zawsze w Krynicy. Krynica po raz trzeci lub dziesiąty to jedynie powtórzenie tego, co było w ostatnich dniach poprzedniego pobytu. Po prostu stwierdza się, że nic nie zmieniło się od ostatniego razu. Co najwyżej ogląda się w przejściu jakiś świeżo postawiony budynek, którego dawniej nie było. Na deptaku niemal zawsze dawni znajomi, już w pierwszej godzinie dreptania tam i z powrotem. Lekarze również zawsze mówią to samo. Kilka rodzajów przemówień, w zależności od zewnętrznego wyglądu pacjentki. Pod postacią doradzania małżeństwa - zwykle fizjologiczne zalecenia. Mówienie w formie wyświechtanych szablonów. A zresztą, wszyscy diabli! Szkoda czasu na opisywanie tego wszystkiego.

Jutro imieniny Kazi. Zawczasu przygotowałam prezent. Torba z krokodylowej skóry, kupiona w Gdańsku. Podobno pochodzenia wiedeńskiego, tak ją reklamowała sprzedawczyni w celu zachęcenia berlińskiej, jak sądziła, klientki. Michał na pewno nie pomyślał o takim prezencie, on wierzy po dawnemu w kwiaty.

Czwartek - 5 marca

Miłe imieniny. Popołudniowe przyjęcie w pokoju Michałostwa. Babcia Baumanowa bardzo miła. Wszystko jest tam miłe i porządne jak oni. Jakiś czar wesołego spokoju. Mała Anna spała, obudziła się dopiero pod koniec zabawy. Niańka przyniosła ją do naszego pokoju. Kichała i odganiała rączkami dym, którego nie lubi. Posadzono mi córkę chrzestną na kolanach. Z początku boczyła się, z lekka nadąsana, po kilku chwilach przełamała jednak lody i zaczęła jakieś niewyraźne: cio. Nic dziwnego, może to nawet nie było: cio od ciotka, a jakieś generalnie stosowane: cio.

Pan Franz-Joseph zdobył się na taniutki dowcip i powiedział głosem, który miał udawać rozrzewnienie:

- Naszej pani Annie jest doskonale z dzieckiem na kolanach.

Co do mnie, nie przepadam za dowcipuszkami w takim stylu.

Sobota - 7 marca

Leżę. Właściwie koniec, ale dzisiaj dopiero leżę. Moje towarzystwo pogrzmiało na saneczkową wycieczkę. Pogoda, słońce i dużo śniegu. Wszystkie dni tego pierwszego tygodnia były podobne do siebie. Dzięki Bogu spokój, nie dochodzą do nas żadne wieści z dalekiego świata, to znaczy z tej rzeczywistości, do której powrócimy za trzy tygodnie. Dla mnie znaczy to: pokój w ministerstwie, popołudniówka na parterze, a w przerwach „Ziemiańska” na górce i „Europa”. Czasami „Bristol” i „Langner” oraz brydż tam, gdzie zaproszą, lub tam, gdzie każą. Poza tym tutaj na miejscu w Krynicy dziesięć swatek spośród najbliższych i stary pan Liteński, który to wszystko zagania do kupy. Uśmiecham się w duchu do tej reżyserowanej humoreski. Gdy zdecyduję się na to, nie zniewolą mnie jakieś staroświeckie sentymentalizmy, po prostu powiem: „Tak, ten”, i na tym będzie koniec. Przełożę karty i zacznę jakąś nową grę, w której zasadniczo nowościami mogą być jedynie te przykrości, które trudno przewidzieć z góry. Do małżeństwa należy podchodzić krótko i raczej na zimno. W ten sposób dostrzega się błędy. Tym się ono różni od innego kupna, że nabywa się towar w bardzo kunsztownym opakowaniu różnych konwenansów i przesądów,

na które składają się w równym stopniu obycie towarzyskie i obłuda, również towarzyska, co jest poniekąd równoznaczne. Złe przyczają się, a nerwowa krótkość czasu uniemożliwia zdemaskowanie.

Wypisałam te słowa w sposób niezwykle cyniczny, ale jestem jak zwykle podczas tych moich trzydniówek z lekka podenerwowana. To przejdzie. Jutro być może wstanę z łóżka prawą nogą i na pewno znowu uśmiechnę się do życia i ludzi.

Czwartek - 12 marca

Dzisiaj przed południem zjawił się nasz profesor i dali mu pokój niemal w moim pobliżu. Od razu ożywił śpiącą atmosferę. Profesor na obcym gruncie zatracił swój belfersko-bibliotekarski wygląd. Taki sobie starszy pan. Równie dobrze mógłby należeć do rodziny książąt heskich, wśród których spędził swoje dojrzałe lata. Od razu opowiadania przeniosły się w inne rejony, na grunt stosunków włoskich i angielskich. Wychowankowie profesora są blisko spokrewnieni z obu królewskimi rodzinami.

Wszystko jest mocno z sobą skrzyżowane i związane na potrójne węzły życia, królewskie, rodzinne i masońskie. Reszta świata funkcjonuje w pobliżu już tylko dla samej dekoracji i nadania wszystkiemu akcesoriów wspaniałości.

Sobota - 21 marca

Dzisiaj, ponieważ wszyscy odkryli w kalendarzu opata i świętego Benedykta, oblewaliśmy zatem okazję trochę w „Patrii”, ale dyskretnie i powściągliwie. Podobnie było zresztą w dniu św. Józefa. W przeddzień zjawili się w Krynicy wszyscy troje i zamieszkali właśnie w „Patrii”. Nobliwie i luksusowo, lecz według mnie dość niewygodnie. Tegoroczne imieniny w Krynicy - w rodzaju zjazdu krewnych i przyjaciół. W Warszawie podobno spokojnie. Interes sam się kręci. Najgorsze sprawy już się przewaliły. W interesach najważniejszy jest jedynie pierwszy moment organizacyjny, rozruch, resztę dorabia czas i płatni fachowcy.

Elfryda i moc opowieści o sprawach londyńskich. Ona ma zamiar całkowicie wykreść się z Gdańska. Co do mnie, nie zwierzałam się z moich zamiarów. Zbyt to wszystko jest w proszku i w minimalnych rozmiarach. Ona już wiedziała o moim domku w Bazylei. Pochwaliła i przy okazji zwierzyła mi się, że dokonała przerzutu większej gotówki do Londynu. Od razu kupiła za nią pięciopiętrową kamienicę czynszową w nie znanej mi z położenia Willesden Lane, podobno ma to być dzielnica z przyszłością.

Podczas tych opowiadań niemal zdecydowałam się. Przy pierwszej bytności w Szwajcarii lub gdy zobaczę się z kimś stamtąd, zapytam o możliwości nabycia czynszowej kamieniczki, na przykład w Genewie. Tam na pewno jest drogo, ale przecież i Genewa posiada jakieś tańsze dzielnice.

Niedziela - 22 marca

Tak manewrowałam, że usiadłam do sanek tylko z obu starszymi panami. Trochę na wesoło, a trochę ironicznie powiedziałam:

- Wujciu Benedykcie, pan Liteński namawia mnie od dawna na małżeństwo. Niby dla mojego dobra, tymczasem tak wygląda, że ma na myśli jedynie pana Rudolfa. Ale pan Rudolf jest mocno przywiązany do swego oficerskiego munduru, a ja miałabym ochotę na coś innego. Na przykład - na osiedlenie się na stałe w Szwajcarii lub we Włoszech. Co pan myśli, panie Franciszku? Takie jakieś inne życie, Lozanna czy Montreux. W każdym razie nie Warszawa - w dalszym ciągu!

Powiedzenie moje mocno zaskoczyło pana Liteńskiego. Przypatrywał mi się niezwykle uważnie, po czym powiedział mniej więcej w ten sposób:

- Oficerstwo mego syna to nie jest przecież jakiś zawód do zdobywania środków utrzymania. Takie sobie wygodne wypełnienie czasu, ponieważ do niczego naprawdę nie zobowiązuje. Można każdej chwili porzucić. Wieś ostatecznie i jakieś kresowe królestwo w rodzaju pana starosty Tuchołki. Można by również odbudować nasze rodzinne gniazdo w górach, z naszych Podjasek można by stworzyć niezgorszy mająteczek. Mój Rudi nie przywiązał się jednak zbytnio do koni, do psów i polowania, jak to zwykli czynić oficerowie. Ostatnio zapalił się do samochodów, brzęczy mi, żebym mu kupił samochód, jakiś bardziej pokazowy wóz. Ta warszawska panna Dwidówna zawróciła mu głowę sportowymi wozami.

I od razu rozmowa skręciła na samochody i na warszawskie towarzystwo. W każdym razie papa mocno kręci się koło życiowych interesów swego synka. A sam pan Rudolf? Ano, jak zwykle w takich okazjach. Skończył chyrowskie gimnazjum, ma ogładę towarzyską. Na pewno księża jezuici uczyli różnych rzeczy życiowych. Gładki. Jak dotychczas nie wyjeżdża z oznakami jakiegoś zakochania, co zapisuję na dobro jego rachunku. Umiarkowany, uprzejmy, lecz w miarę chłodny. Nie wygłupia się i nie przesadza.

Poniedziałek - 23 marca

Listy z Montreux, lecz z treścią obojętną. O interesach ani słowa.

Wtorek - 24 marca

W pociągu. Dojechał mnie w Krynicy telegram od Elzy. Muszę zapłacić. Jako umówiony termin: jutro i pojutrze, naturalnie w Warszawie, u mnie w mieszkaniu. Szybko się zdecydowałam i w godzinę po otrzymaniu telegramu siedziałam już w dziennym pociągu do Warszawy. Chwilowo nie żałuję, pogoda zepsuła się i zapowiadali trzy do czterech dni pluchy. W każdym razie wracam do Krynicy natychmiast po załatwieniu sprawy z gościem. Obecnie, gdy mi się to wszystko ułożyło w głowie, mam szacunek i uznanie dla jego pomysowości. Przecież on myśli tak samo, jak i ja myślałam podczas moich pierwszych debiutów warszawskich.

Ciekawa jestem, czy jutrzejsze doręczenie mu przeze mnie pieniędzy następuje po przekazaniu należności za dostawy do Paryża? Jak się robi w takich sytuacjach? Rozumiem, nieboszczyk „Z”, ale to był lewentyński gentiluomo, na swój sposób z butonami... Ale już sprawa z Mr Emilem tkwi dotychczas w powietrzu. Czas, czas wszystko okaże.

Tarnów. Jak wygląda takie galicyjskie miasteczko? Muszę kiedyś zafundować sobie kilkugodzinny pobyt w takim Tarnowie. Ile ma mieszkańców?

Już wiem. Zapytałam konduktora, był zdziwiony taką ciekawością, ale okazało się, że trafiłam na patriotę tarnowskiego. Urodzony tutaj, przypadek. Podobno sześćdziesiąt tysięcy. Muszę kiedyś...

Problem konkurenta Rudolfa Liteńskiego to właściwie historia tych moich trzech tygodni w Krynicy. Dodatek do gazówek, masażów i oblewania wodami. Smarkate czasy włóczenia się we dwoje po zakamarkach Góry Parkowej już przeminęły i w tym roku zjawiał się poważny problem szybkiego przeprowadzenia sprawy z małżeństwem. Od razu samo zakończenie, epilog, bez prologu i trzech zwyczajowych odsłon z antraktami.

Leokadia: - Aby jakoś czymś życie wypełnić. - Zagadnienie smażenia konfitur w wiejskim dworze.

Wujcio Benedykt: - Mąż? To jakaś, że tak powiem, forma życiowa, tablica drogowa z napisem. A zresztą cóż ja mogę o tym wiedzieć? Stary kawaler, co innego mój kuzyn Liteński. On miał tam, w swoim Wiedniu, sporo doświadczenia.

Państwo Orzechowscy: - Pozycja towarzyska.

Gabrysia (powiedziane to było w sposób wielce naiwny): Małżeństwo to dom, porządny dom, dom ze stosunkami, dom... Deklamacje na temat domu. Ale trudno było ustalić: home czy house.

Ciotka Elfryda: - Rzecz zrozumiała. - Wspomnienie o miłości w jej pierwszym małżeństwie i o przyjaźni w drugim.

Kazia - Ależ dzieci, dzieci, Anno, człowiek się w nich odradza.

Michał: - Mąż i żona to dwoje serdecznych przyjaciół, bez względu na pogodę i niepogodę - w domu zawsze świeci słońce...

Wujek Jan Kowalski: - Żeby było z kim życzliwie porozmawiać.

Lekarz: - Fizjologia, tylko osobiście nie wiem, w jakim rodzaju. Balzakowska powieściowa czy też po prostu - jakaś zwykła i medyczna?

W końcu i profesor Wydra: - Małżeństwo? Nie wiem, osobiście to mnie ominęło. Nie znam się na tym. Słowa apostoła Pawła na temat małżeństwa - w liście do zepsutych czy tylko niecierpliwie ciekawych i dociekliwych Koryntian, z gorszych zresztą sfer społecznych. - Poza tym, z akademickiego punktu widzenia, małżeństwo to jest dopasowanie się dwojga osób, z tym że każde z nich będzie w stanie i gotowe ustąpić drugiemu w detalach życia codziennego. Perfumy, fryzura, deseń ubraniowy, kolor tapety, rodzaj papierów wartościowych i wspólny wybór hotelu za granicą czy też mądre rozsadzenie partnerów podczas domowego brydża. A na koniec wiele jeszcze innych głupstw życia codziennego, pani Anno, brutalna trudność w koronkowym problemie... wspólnej sypialni.

A co powiedział kandydat?

- Mój ojciec kładzie mi codziennie do głowy, że jedynie doskonale małżeństwo może dać pełnię życia.

Mała Anna ma również ustalone zdanie w tym względzie: - Cio?

Zdanie natomiast dużej Anny jest również ustalone. Wyświechtany komunał salonowych rozmówek wiedeńskiego Franzi II. Wreszcie jeszcze jedno powiedzenie wujcia Benedykta, na osobności i w cztery oczy:

- Udanie się małżeństwa zależy od mądrze spisanej intercyzy ślubnej. Intercyza - to pudełko z czekoladkami. Nie należy dopuszczać do tego, aby strona dająca pozwoliła od razu objeść się stronie biorącej. Przesyt, obżarstwo, wymioty i wszystkie kłopoty z bardzo obżałowanymi skutkami.

I na tym właściwie był koniec. *C'est tout de la question du mariage! Ce dernier en goût d'une perfection? C'est plus qua la sottise. - Le mariage c'est là mettre des coulisses pour faire la dorure des sordides de notre vie intime.* - Słowa kuzynki Elzy Dubow, wypowiedziane kiedyś podczas wieczornych zwierzeń o kochankach, którzy już byli i przeminęli.

W dodatku trudność we fizjologicznym obejrzeniu towaru, nie dlatego, że nie wypada, lecz dlatego, że w pełni przychyliam się do zdania Leokadii sprzed kilku lat, jeszcze z okresu sąsiedowania naszych pokoi w Poznaniu. Jak bym słyszała jej słowa:

- Och, moja kochana Anno, być może byłoby to i dobre w jakichś młodzieńczych latach. W wieku niedojrzałych winogron i dziewiczych dreszczyków. Lecz nie w naszych współczesnych latkach. Cha, cha... Kandydatka w dwudziestych ósmym latach i kandydat w dobrej czterdziestce...

Ano, problem Anny i Rudolfa. Anna, gdyż lekarze mówią o mężu, a wszyscy z otoczenia podsuwają jej właśnie tego Rudolfa w charakterze niezawodnego „kogutka od bólu głowy”, a Rudolf, ponieważ zapewne jego rodzony ojciec tłumaczy mu codziennie od dłuższego czasu takie czy inne korzyści. No, zobaczymy, może coś z tego wypadnie, o ile oboje debiutanci nie wypadną z fasonu. Rudolf Liteński - w dodatku recydywista. Pierwsza żona? To chyba niezbyt ważne, znam opowiadania w kilku wersjach. Młody oficer na kwaterze w wiejskim dworze, czasu wojny. No i ożenił się szybko, zbyt pochopnie, oboje byli bardzo młodzi, rodzina nie dopilnowała... i rozeszli się. Później ona wyszła powtórnie za mąż, tym razem już mądrze, w swojej własnej sferze regionalnej, za hreczkosieja, a oficer, po zakończeniu wojny, pociągnął do miasta. Wówczas dopiero po raz pierwszy w życiu zaczął myśleć. Lata rozmyślań, czterdziestka, przysrebrzone z lekka włosy na skroniach, nowe

poglądy na życie, szkółka ze strony ojca, mocniej otrząskanego na szerokim świecie. Po drodze, jak to pięknie mówił ojciec, polowania, konie i psy, ma się rozumieć różne kobiety, ale ostatecznie jakaś granica w tym wszystkim. Redukcja wachlarza życiowego, samochód, jakaś tam panna Dzidówna jako tło, no i ja - Anna Jambor. Psiakrew, rzeczywiście bigos różnaitości. Prawie antykwariat. Ale cóż? I tak trzeba będzie się kiedyś zdecydować. Lepiej, aby był jakiś znany w rodzinie Rudolf Liteński, niżby to miał być ktoś poznany na przykład na balu, przy brydżu lub wprost przy stoliku kawiarnianym.

Czego ja właściwie oczekuję od tego przyszłego męża? Chyba jedynie przyzwoitości i dobrego wychowania. Reszta łatwa przy stworzeniu życiowej oprawy. Aha, również i owa intercyza, o której mówił pan Benedykt Szczytnicki. Szkoda jednak, że syn pana Liteńskiego nie posiada życiowego charme'u pana Szczytnickiego. No, ale nie można marzyć przecież o przeszczepieniu dobrego wychowania pana Benedykta w całość cielesnej zjawy pana Rudolfa. *Non possumus velle sicut vellemus...*

Imię Rudolfa? Chyba nie straszące wspomnieniem szlacheckiej lojalności galicjan, a obecnie już w jakimś filmowym brzmieniu. Ale to nie jest istotne.

Leokadia na wesoło:

- Lepiej, Anno, dwa razy w tygodniu zjadać spokojne posiłki, niż od czasu do czasu przejadać się na ucztach. Niestrawność i tak dalej. Mąż? Regularność fizjologii, mów, Anno z lekarzami. Sama to wiem. Oni wmawiali we mnie to samo, gdy byłam w twoim wieku, ale cóż? Wówczas dławilo mnie wspomnienie Braunholda. Problem włókł się jak kula u nogi. Musiałam odczekać, jak to wiesz dobrze. Ale ty, Anno... Pan Rudolf Liteński to będzie jedynie zadanie przypilnowania i ustawienia tego wszystkiego od samego początku, od pierwszej nocy i od pierwszego dnia, który nastąpi po tej nocy... w małżeństwie. Nie jesteś przecież drugą smarkatą Leokadią, którą rodzony ojciec po ślubnym gwałcie bezmyślności położył do łóżka staremu i bogatemu lubieżnikowi.

Kraków. Ponury dworzec, zakopcony i zawsze brudny. Prawie ciemno. Postój. W każdym razie dzisiaj prześpię się w moim własnym domu.

Elfryda. Jej obecne zdanie o życiu. Widocznie w nowym otoczeniu szybko przyswaja sobie nowe poglądy. Anglicy są narodem zimnym i wyrachowanym. Nasz biurowy rudzielec na przykład jest prawie antypatyczny. Dlaczego nie żeni się? Jak wygląda jego prywatne życie warszawskie? Nie wiem. Znalazł sobie kolegów w ambasadzie. Oni w dziwny sposób trzymają z sobą, mocno łączą ich wspomnienia uniwersyteckie. Prosto z mostu zapytałam Elfrydę, czy rodzina nie knuje jakichś zamiarów: ona i Mr David? Ależ nie, od razu zaprzeczyła. Otworzyła usta, żeby coś jeszcze powiedzieć, ale wyraźnie wstrzymała się w ostatniej chwili. W tych warunkach trudno było pytać dalej. Kiedy ja przejadę się do Londynu? Chyba już najwyższy czas.

Koniec z pisaniem, przedział wypełnia się. Amatorzy na Warszawę. Już mamy komplet, sześć osób. Czas zabrać się do jedzenia, wyjąć z walizeczki kurczę i termos z herbatą. W każdym razie zostaną w Warszawie przynajmniej dwa dni. Ciekawa jestem, czy moje domki na Pradze wypełniły się już lokatorami?

Środa - 25 marca

Wieczorem. Jakaś miejscowość Gondar została podobno zajęta przez wojska włoskie. Koniec bliski. Niemcy wypowiedzieli traktat locarneński. Francuski parlament ratyfikował pakt francusko-sowiecki. Sytuacja we Francji mocno niejasna. Hitler przemawia twardym językiem. Uważa pakt z Rosją za zagrożenie Niemiec. Trzeba będzie pomyśleć o moich dolarach w Paryżu, diabli wiedzą, co się może tam wydarzyć. Może naprawdę byłaby lepsza Szwajcaria?

Prowizję myślącego urzędnika załatwiłam dzisiaj po południu. Pieniądze doręczyłam mu w skórzanej teczce z zamkiem amerykańskim, kupiłam po drodze z banków. Dodatkowy

wydatek: czterdzieści dwa złote, już z mojego osobistego rachunku. Według mnie - zasłużył. Zatrzymałam go na angielskim podwieczorku, zamiast herbaty wybrał jednak kawę. Wypytywałam o wrażenia paryskie. Był tam już trzykrotnie, ale nie widział nic poza hotelami, taksówkami i lekturą Bottina. Wspomnił krótko, że buduje dom, nie znam jednak jego nazwiska. Trudno było zapytać: a jak się pan nazywa? Na wszelki wypadek polecałam się z farbami, gdyby znów wpadł na jakiś wynalazek. Już spenetrował historię pokrewieństwa z „Czterema Kamieniami”. W ogóle urzędnik z głową otwartą.

Dwa listy od doktora Kunickiego, których nie odesłano mi do Krynicy. W obu listach propozycja odkupienia mojego udziału w śrubkach. Daje gotówką okrągło dwadzieścia pięć tysięcy. Co on ma na myśli? Może chce zmontować koalicję i naszą Zośkę wystawić plecami do wiatru? Podobno niezależnie od udziałów pożyczył „śrubkom” sto tysięcy. Drugi list to ponaglenie o moją decyzję. Oba listy wpakowałam do koperty i wysłałam do Zośki. Co mam robić? Może ona kupi, może się jej to przyda? O pieniądze nie chodzi w tym wypadku.

Generał nie ma żadnych wiadomości od Kreissa. Podobno siedzi gdzieś blisko frontu. Co by się wydarzyło, gdyby ujawniono jego dwustronne dostawy? Na takim froncie nietrudno o zlikwidowanie jakiegoś niewygodnego cywila. Moja umówiona prowizja piechotą nie chodzi. Osiem tysięcy dolarów. Osobiście nawet nie znam jego adresu.

Na Mińskiej dobrze. W przyszłym tygodniu mają zamiar ustawić rusztowania. Otynkowanie domów jeszcze przed Wielkanocą, mury podobno są dostatecznie wyschnięte. Spiesz się? Na razie budowniczy nic nie wspominał o pieniądzach, dobrze, ponieważ na kontach pozostało niewiele ponad piętnaście tysięcy. Liczyłam pobieżnie w notesie, u papy Dubowa winno być z górą ponad osiemdziesiąt pięć tysięcy franków, o ile Elza przekazała już te trzydzieści plus trzydzieści. Coś niecoś dojdzie do tego z procentów i z przychodu na akcjach, ale niewiele. Koło stu razem, może jednak niecała setka. Dom, dom, Anno, waluty spadają a domy stoją! Niech się dzieje, co chce, ale na święta jadę do Montreux, naturalnie przez Bazyleję. Jakoś wykręcę w biurze. Pan Rudolf? Ależ czekał na mnie tak długo, to może poczekać jeszcze trochę. Zresztą sama nie wiem, mam na razie ważniejsze sprawy na głowie.

I jeszcze jedna wiadomość. Osobliwa czy śmieszna, ale istotna. Pan Tadeusz Mizres prosił mnie o protekcję na Mokotowie. Zwierzył mi się, że myśli poważnie i że dokonał, jak to sam określił, rozsądnego wyboru. Pani Lucyna Moderska. Ruszył z kopyta, wyobraża sobie, że wszystko pójdzie dobrze, jeszcze przed wakacjami. Kamieniczka stoi podobno w Krakowie, przy ulicy Czarnowiejskiej, trochę obdłużona, ale jest i stoi.

A co powiedziała mi o małżeństwie nasza generałowa? Właściwie była zajęta kuracją, kąpała się na zapas, widocznie była u dwóch lekarzy i brała kąpiele w sposób dubeltowy.

Według niej mąż w domu to kłopot i wygoda. To ostatnie wiadomo dlaczego, a kłopot, ponieważ tak utarło się od wieków. Męża trzeba trzymać krótko, za mordę, i trzeba koniecznie regulować jego uczynki. Pieniądze w rękach żony, to znaczy owe „czyste” dochody, co do „obrotowych”, to również wszystko pod kontrolą. Podobno na ogół w interesach żony są mądrzejsze od mężów. Powiedziała mi wyraźnie:

- Gdyby nie ja, to by nie było nawet willi na Mokotowie i nigdy nie stanęlibyśmy mocno nogami przy ulicy Narbutta.

W młodości generał podobno również mocno wierzył i dopiero ona go utemperowała i... podkuła.

- Gdyby nie ja - mówiła - to by dotychczas siedział w jakimś gabinecie z dwiema gwiazdkami i patrzyłby smętnie przez okno, wyczekując trzeciej godziny, aby wpaść na chwilę do domu na obiad, a później smyk co najwyżej z kolegami na piwo lub na „crazy” do owego „Herbsta” przy ulicy Marszałkowskiej, gdzie byliśmy ostatnio z naszym budowniczym. Generał? Nigdy w życiu! Beze mnie byłby się im tylko z daleka przyglądał, jak świętym obrazkom w kościele. Co najwyżej pułkownik, tuż przed samą śmiercią. A tak, to ja go popchnęłam i jakoś poszło.

Rudolf Liteński? W sam raz taki sobie major, również do samej emerytury. Stary jego ojciec - cwaniak, od pływania w długach i załatwiania żydowskich interesów w ministerstwach, gdzie ma trochę znajomości z dawnych czasów. A i mnie te różne jego Blaufuksy już gardłem wyłażą. No, ale to już taki jego styl życia od samego urodzenia i owo pływanie w brudnej wodzie obu panów Liteńskich...

Małżeństwo z Rudolfem? Owszem, ale po pierwsze trzeba byłoby go natychmiast po ślubie odseparować od starego kanciarza, a po drugie samej od razu nakręcić całe życie, dom, jego wojskowe biuro i wszystko poza biurem. W dodatku musi zostać wojsku, ponieważ na drugi dzień po zdjęciu munduru byłby niczym. Druga gwiazdka? To będzie trudno, Anno, on jest za głupi na podpułkownika. Chyba gdyby ulokować go w jakimś pułku na zapomnianym torze, gdzieś w Grajdołku lub Pikutkowie. W Warszawie taki numer nie mógłby przejść, pan Rudolf już sporo głupstw narobił i ostatecznie nie posiada mocnych pleców. On wierzy co prawda w majora Dziadosza, którego zrobili wojewodą w Kielcach, ale Dziadosz jest gotowy na wszystko, a nasz Rudolf jest za głupi do tego i zbyt tchórzliwy. Dziadosz dobry w knajpie, na polowaniu i przy dziwkach, ale na tym koniec. Ja mojego starego trzymam z daleka od niego i sam Dziadosz boi się mnie jak ognia, znam bowiem różne jego sprawki. On już mocno nawywijał!

Poza tym Rudolfek jest przystojniaczek i ma powodzenie u maszynistek w ministerstwie. Z pułku go się w swoim czasie pozbyli, był dwa lata w Wilnie, ale utarła się o nim opinia: upadły anioł. Nie wiedzieli, co zrobić, i jak zwykle - utopili w ministerstwie. To również trzeba zapisać na minus tej całej sprawy i dlatego Liteński utknął na majorze. Długi w dodatku jego i długi papy, obaj łupią niezgorzej w baka. A przy tym bywa rozmaicie. Te tam jakieś ich dobra - „Wielkie G...o”, trzeba byłoby od razu włożyć w nie dwieście lub trzysta tysięcy złotych, a na razie położyć na tym twardą rękę i odciąć ich od hipoteki. Intercyza? Owszem, nawet bardzo konieczna! Ale cóż? Oni wezmą od ciebie pieniądze, zabezpieczą je na hipotece tego „g...a”, a później, po spłaceniu twoimi pieniędzmi swoich długów, rozpoczną stary proceder od nowa.

Tak to bywa, Anno, na świecie. Idealnych mężów brak. O ile kobieta zaraz od samego początku nie ustali swojej pozycji, to jest stracona na całe życie. Ile ty masz tych wszystkich pieniędzy do kupy? Milion? Oni obaj gotowi zjeść go w rok, w dwa. To jest taka rasa zdeklasowanych szlachciców urzędniczych na dobrach Wielkie i Małe G...o. Ale nie myśl, że to wyjątki. Są jeszcze gorsi od nich.

Koniec z wywodami generałowej. U nich panuje obecnie moda na słowa zaczynające się od d..., g..., k... Leżałyśmy obok siebie po kąpieli i wypoczywałyśmy przed wyjściem na deptak. Ale to nie jest ostatecznie tak ważne. Generałowa wali grubiańskie prawdy prosto z mostu i niczym się nie zraża. Ma pewność siebie i obraca swoim Władziem w prawo i w lewo. Wymusztrowała go po raz drugi w życiu. Nie trzeba jednak brać tego wszystkiego znów tak dokładnie. Ona strzela nawet do zająca z karabinu maszynowego.

Właściwie już wszystko załatwiłam w Warszawie. Jutro po obiedzie pojedę do Krakowa, przenocuję i wczesnym rankiem - pierwszym autobusem do Rabki. Mała się ucieszy, a ja na własne oczy przyjrzę się gospodarstwu w pensjonacie „Magda”. Już nawet zdecydowałam się ma prezent dla Marty, widziałam na wystawie, ale dzisiaj w pośpiechu nie zdążyłam kupić. Francuski aparat do wyświetlania filmów. Majątku nie kosztuje, a mała będzie mogła imponować swoim rabczańskim koleżankom. Sprawi jej dużo przyjemności. Od razu zaabonuję przysyłanie filmów na wymianę, pierwsze trzy trzeba kupić, następnych dostarczają w listach poleconych. Dla obu pań jednakowe upominki, czarny jedwab na sukienki, mam jeszcze tego sporo u siebie w domu. Pozostałości, które przywiozła Zośka. Resztki pochodzące z moich rodzinnych bławatów. Ufff, jak to dobrze, że udało mi się z tego wyplatać.

A teraz spać, jak to co trzy strony wypisywał Imć Samuel Pepys w drugiej połowie XVII wieku...

Kraków - czwartek - 26 marca

Nocuję. Umieściłam się w „Hotelu Francuskim”. Już po kolacji. Jutro o szóstej autobusem do Rabki. Po drodze w pociągu spotkałam jedną z koleżanek uniwersyteckich. Naturalnie z dzieckiem. Chłopczyk, dwa lata. Jak ten czas leci. Starzeję się. Mam wrażenie, że na zawsze zostanę Anną Jambor, nawet gdy kiedyś zdecyduję się na podzielenie losu z jakimś mężem.

Rabka - piątek - 27 marca

Dużo radości. Marta chuda, lecz żywa i pełna humoru. Pani Horodyńska zawojowana. Obie panie w zgodzie i zawzięcie gospodarują. Chciały mi przedstawiać rachunki. Słuchałam wszystkich z zainteresowaniem, przez grzeczność. Mała dobra sobie. - Ciocia Anna kupiła nam dom. - Powiedziała to takim tonem, jak by mówiła: - Ciocia Anna przywiozła mi aparat do wyświetlania filmów. - Swoją drogą, było wiele uciechy z takimi filmami, jak Buster Keaton i Harry Lloyd. Wesołe filmy, mimo że trącą myszką. Tani prezent, niecałe dwieście pięćdziesiąt złotych, sześć filmów na własność. Ściana jako ekran. Pokoje w pensjonacie takie sobie, trochę różnej graciarni i zbieraniny, ale obie panie myślą o ulepszeniach, na co chcą poświęcić czyste zyski. Ciekawe. Uradziły, aby małej otworzyć książeczkę PKO, i wpłacają na nią co miesiąc dokładnie takie kwoty, jakie byłyby zmuszone płacić dawnej właścicielce, tej pani Dekorde z Krakowa. Nie umiałam rozgryźć, czyj to był pomysł, której z pań.

Zostają całą sobotą w Rabce. Do Krynicy dopiero w niedzielę rano. Pogoda, taką samą zapowiadają na jutro. Mała, jak to mówią, wniebowzięta. Z ręką dobrze, to już tylko kwestia ponoszenia gipsu do końca. Od kilku dni chodzi do szkoły. Przed obiadem wylegiwałam się w słońcu na leżaku, w południe wróciła mała ze szkoły i świergoła koło mnie jak młody wróbel. Wieczorem były rozmówki rodzinne. Towarzystwo w „Magdzie” spokojne i solidne. Sporo porządnych znajomych ściągnęła pani Horodyńska. Atmosfera miła. Kucharka z Krakowa, również z kręgu dawnego otoczenia pani Horodyńskiej. Prawdę mówiąc, wolałabym tutaj na miejscu dokończyć moich wakacji. Ale cóż, każdy z nas jest mocno związany z otoczeniem, wśród którego się kręci. Willa „Magda” to mimo wszystko jakiś dalszy, porządny już w tym wypadku, ciąg Wąbrzeźna czy Różankowa.

Chyba dobrze wszystko urządziłam? Obecnie jednak, o ile zdecyduję się na małżeństwo, trzeba będzie to urządzać na nowo. Willa czy pensjonat to jeszcze nie jest kompletne wyposażenie i zabezpieczenie losu Marty. Trzeba będzie i o tym pomyśleć. Nie wyobrażam sobie w tym otoczeniu męża, któremu można by szczerze opowiedzieć o Marcie. Mógłby ją potraktować jako potencjonalne uszczuplenie majątku swej przyszłej żony. Ludzie są rozmaici, nigdy nie można przewidzieć. Lepiej zamilczeć, przynajmniej na razie. Taki mąż - to zawsze jakaś wielka niewiadoma.

Sobota - 28 marca

Wczorajszą noc przespałam spokojnie i błogo, jak małe dziecko. Dzisiejsza jednak nie będzie taka. Nabiłam sobie głowę różnymi myślami. Przecież mogłabym stworzyć sobie jakieś spokojne życie. Szczęście nie polega na wielkości i bogactwie. Mogłabym zlikwidować wszystko tutaj na miejscu i prysnąć w świat. Urządzić się na boku, gdzieś za siedmiu górami, za siedmiu rzekami. Nawet w oderwaniu od rodziny, od stryjków, od „Acacji”, od masonów i tak dalej. Ot tak po prostu wypchać worek dolarami i wyjechać gdzieś w nieznane. Przybyć gdzieś również jako nieznana. Niewiele potrzeba w życiu. Kawalek dachu nad głową, trochę jedzenia na talerzu i trochę słońca. Słońca i spokoju. Ale cóż, tymczasem jutro znów z powrotem do Krynicy. Mała zryczała się dzisiaj podczas kolacji, nie chciała iść spać. Chciała

jechać ze mną i do mnie. Takie to są już dzieci. Zapewne taka sama i ja byłam w jej wieku. Koniec łagodnej sielanki. A teraz trzeba zgasić światło i usnąć.

Krynica - niedziela - 29 marca

Nawymyślali mi. Powiedzieli, że trzeba było dać urlop interesom. Dobrzy sobie, a generałowa na osobności wypytywała o swoją ulicę Narbutta. Od razu wzięli mnie do galopu towarzyskiego i włożyli karty do ręki. Jakoś nie posiadam namiętności w tej dziedzinie. Ale ostatecznie - w jakiej posiadam?

Nie podoba mi się sposób gry młodszego z panów Liteńskich. Że stary Liteński gra jak zawodowiec, to jeszcze rozumiem. Czym do licha ma sobie wypełnić życie? Na tercjarza się nie nadaje, ponieważ mimo swej elegancji jest mocno cyniczny w guście osiemnastego wieku. Ale pan Rudolf?

Stara, że ją tak nazwę w tej chwili, pani Orzechowska dawała mi dzisiaj rady. Były dwa stoliki brydżowe i akurat obie miałyśmy chwilę wolnego czasu. „Po matczynemu” szepnęła mi do ucha:

- On się zmieni, ty będziesz miała na niego wpływ. Cóż zresztą - kończyła już swobodniej - wojsko, koledzy i koszary - Ale to wszystko da się zmienić... my ci w tym pomożemy!

Dobra sobie. Oni wszyscy są dobrzy, każdy na swoją własną modłę. Głowa mnie boli, mimo że połknęłam aż trzy aspiryny Nic innego nie miałam pod ręką. Spać, spać, psiakrew! Rabka i ta Krynica, niebo i ziemia. Ale cóż, nie wszyscy mogą pomieścić się w niebie. Na ziemi grają w brydża, piją wódkę i oszukują się wzajemnie.

Jutro ostatnie pożegnanie z wodami, ostatnia kąpiel, po południu lekarz, który z uśmiechem będzie wmawiał znaczną poprawę zdrowia, a we wtorek tratata! Odjazd. Z jednej strony - wypoczęłam, ale z drugiej strony - zbyt wielkie towarzystwo było raczej umęczeniem niż przyjemnością. Najlepiej wyjeżdżać samotnie, można samemu regulować wszystko. Chcę - to dobrze, a nie chcę, to również dobrze. Wśród obcych wypoczywa się lepiej, ponieważ siłą rzeczy zapomina się o tym wszystkim, co nas męczy i gniecie. Znajomi na każdym kroku to przypomnienie codziennego życia. Tak jak w biurze. Biuro? Boże, myślę o tym ze wstrętem.

Warszawa - sobota - 4 kwietnia

Koniec rodzinnego zjazdu. Leokadii oddałam dziesięć tysięcy, nie żądała więcej. Każdy pojechał w swoją stronę, a ja zostałam na razie sama. W biurze już dzisiaj panował nastrój świąteczny w związku z jutrzejszą Niedzielą Palmową. Głupia pani Moderska pragnęła otworzyć jutro nasz sklepik z lakierami. Widocznie chciała, by ludzie odpracowali w ten sposób pół pensji, które kazałam wypłacić w czwartek. Sprzeciwiłam się tym niepotrzebnym cudom. Ona jest dziwnie chciwa, ale myśli głównie o sobie. Tynkowanie domów po świętach, nie można było inaczej, ponieważ w Warszawie nie dopisywała pogoda. W ogóle należało z tym odczekać do lata. Poza tym nic nowego. Z Montreux były wiadomości, ale jedynie połączone z poleceniami różnych wypłat, których czasami doprawdy nie mogę zrozumieć. Ostatnio wypłacałam w cztery oczy po kilka tysięcy bez pokwitowania, gdyż takie otrzymałam zlecenia. W niektórych wypadkach nie znam nawet nazwisk ludzi, którzy się do mnie zgłaszają. Przychodzą, mówią umówione hasło i płacę. Wilcze dziecko w charakterze kasjera - i tyle - na razie.

Dzisiejszy obiad we dwójkę razem z profesorem przeciągnął się prawie do kolacji. Zaczęło się od tego, że w sposób dość lekki zapytałam:

- Powiedz mi, profesorze, czy jest Bóg?

Profesor Wydra milczał przez chwilę. Zrozumiałam to jako pewnego rodzaju napomnienie, że pragnie odgraniczyć lekkomyślne pytanie od poważnej odpowiedzi.

- Owszem - rzekł krótko, marszcząc brwi - bardzo wiele przemawia za tym, że w istocie jest Bóg. Nawet w założeniu nauk przyrodniczych, pani Anno...

Historia życia ludzkiego składa się w istocie z szeregu faktów, których wartość określają pojęcia obiektywne i subiektywne. Reszta znajduje się na marginesach dość szerokich, aby na nich móc umieścić po społu rzeczy mądre i głupie. Jeden z tych marginesów zamyka się w sferze zimnych cyfr i konieczności gospodarczych. Na drugim panuje kraina wszelakich możliwości zaspokojenia namiętności i wyżycia. Czerwonym burzliwym strumykiem krwi i zmysłów płyną wśród tego nasze żądze i namiętności, bez różnicy i bez oddzielania dobra od zła, które nie łącząc się z sobą ani równoważąc, zlewają się właśnie na kartach tego, co na wstępie - odważyłem się - określić jako sumę faktów...

Wszystko razem wzięte - to jedynie jakieś kolejne pociągnięcia pędzlem malarskim. W środku niezmiennie utrwała się grubszy zarys życia, takiego jakim ono było faktycznie, a na brzegach pozostają jeszcze jakieś smugi i smużki lub więcej czy mniej wystrzępione drogi tych walk, które toczyły się, lub tych - które przeoczyliśmy w naszym życiu... Cóż, Madame, symfonii życia nie można wygrać na trąbce czy na grzebieniu, bodaj najbardziej kunsztownym pod względem dogmatów! Zawsze gdzieś po drodze zawadzimy o jakieś gładkie i szklane powierzchnie tajemnic, w których jak w krzywym zwierciadle odbija się nasze własne zdumienie z powodu niemocy i powierzchowności tego wszystkiego, co przechodzi rozmiary naszej papierowej wiedzy.

Człowiek winien dążyć do wykrywania prawdy o życiu. Ale pani, Madame - zapytała mnie o Boga?

Nie wiem. Mój przyjaciel, angielski astronom i matematyk, sir Arthur Eddington - zapewniał mnie zawsze w sposób przebywający, że istnieje Bóg.

W chwilę po zakończeniu dzisiejszej rozmowy - profesor przysłał mi przez pana Karola książkę w skromnej płóciennnej oprawie, zatytułowaną: *New Pathway in Science*. W środku, jako dedykacja, krótkie słowa: Mojemu drogiemu przyjacielowi z biblioteki w Getyndze. A.E.

Czy będę w stanie to przeczytać? Może. Ale czy pojmem?

Poza tym profesor Wydra stosuje ostatnio nowy system. Abonuje wycinki z gazet i ważniejsze wydarzenia spisuje na oddzielnych karteczkach. Czyni to niezwykle pracowicie. Dla przykładu zapisuję treść dwóch takich karteczek:

19.III. Premier węgierski Gómbös wraz z ministrem spraw zagranicznych po oddaniu wizyty w Wiedniu wyjeżdżają z kanclerzem Schuschniggiem i austriackim ministrem spraw zagranicznych, by zobaczyć się z Mussolinim w Rzymie.

Opinia polska, że Locarno było błędem, ponieważ zabezpieczało pokój na Zachodzie, bez troski o Wschód. Odnowienie Locarna, jak i pakt czterech, byłoby takim samym błędem w interesie pokoju („Gazeta Polska”).

25.III. Dodatkowy „instrument” do protokołu rzymskiego z 17.III.1934 r. został podpisany w Rzymie.

Dzisiaj profesor sfabrykował następującą notatkę:

31.III. Niemcy przedkładają mocarstwom swój plan pokojowy na miejsce Locarna: dwudziestopięcioletni pakt o nieagresji między Francją a Belgią z jednej strony i Niemcami z drugiej, pakt powietrzny, rozbrowienie moralne, ewentualny powrót Niemiec do Ligi Narodów z warunkiem przywrócenia praw równości Niemiec z innymi państwami w zakresie kolonialnym i odcięcie Covenantu od traktatu wersalskiego.

Wielka Brytania potwierdza swe zobowiązania locarneńskie w stosunku do Francji i Belgii. W Belgii sfery decydujące w senacie postanawiają wnieść projekt powiększenia obronności państwa.

Profesor twierdzi, że obecne szkoły zbyt wiele poświęcają uwagi historiom przeszłości i nie przygotowują uczniów do pojmovania aktualnych zagadnień politycznych. W tym ma dużo racji. Na przykład w bydgoskim gimnazjum nasza profesorka literatury polskiej dopiero

krótko przed maturą wyplątała się z trzech wieszczów i o reszcie do dnia dzisiejszego opowiedziała nam literalnie w kilku godzinach. To samo było z historią: stanęłyśmy niemal na wybuchu wojny światowej, a o dalszych wydarzeniach dowiedziałyśmy się, jak z łaski, w jednej godzinie.

Ale teraz spać.

Niedziela - wieczorem

Zośka nad ranem. Moc wiadomości. Skorzystałam z mojego dzisiejszego leżenia i wymówiłam się od kolacji na Mokotowie. Zośka sama tam pogrzmiała, a ja dzięki temu mam trochę spokoju. A zatem od początku:

Zaczęło się od sprawy mojego udziału w śrubkach. Kunicki montuje jakąś niewyraźną akcję. Widocznie ma zamiar zawładnąć śrubkami, które podobno rokują duże możliwości rozwojowe. Zdołali nawiązać stosunki ze Stalową Wolą i na tym fundują swoje najlepsze nadzieje. Nie mogłam wszystkiego zrozumieć, ponieważ Zośka opowiadała bardzo chaotycznie. Tylko jedno pojęłam, że Zośka wetknęła mi do ręki weksel na dwadzieścia pięć tysięcy złotych, płatny 1 lipca. Podpisy firmowe „śrubek” i naturalnie grzecznościowe żyro wujka Kowalskiego: „Wąbrzeski Dom Mody”. Mogę dyskontować. Siostra przywiozła już gotowe formularze, jutro mam podpisać u notariusza.

Ale to tylko drobiazg. Zośka - w ciąży. Prędko to poszło, a sama świadomość tego jest bardzo świeżej daty, sprzed tygodnia. Byłam mocno zdziwiona, ale Zośka wyrąbała mi po swojemu:

- Tobie dobrze tak mówić, Anno. Jesteś jeszcze młoda. Trzeba trzymać chłopca, przywiązuje się go do siebie dzieckiem. Mój pochodzi ze wsi, a tam małżeństwo rozumieją tylko z dziećmi. Mnie życie nie płynie po różach jak tobie.

Wszystko inne było już blade i obojętne. Małomiasteczkowe plotki o ludziach, których albo nie znam, albo są mi obojętni. Dużo gadania bez treści. Nie śmiałam oponować w sprawie udziału w śrubkach i ledwie pohamowałam się, by nie naprowadzić Zośki na urządzenie zamiany na jej udział w moich lakierach. Zmilczałam, gdyż nigdy nie wiadomo, o co powstają nieporozumienia w rodzinie. Pal diabli, ja i tak te moje warszawskie lakiery traktuję na dalszym planie; wystarczy, że interes kręci się obecnie prawie bez mojej pomocy.

W każdym razie dobrze, że ostatnia nitka łącząca mnie z Pomorzem przerwie się jutro u notariusza. Sprzedaż per 1 stycznia tego roku, tak że w moim tegorocznym bilansie dochodu nie będzie już tej pozycji. Jestem zadowolona. W życiu nie należy denerwować się i nigdy nie trzeba działać odruchowo i zbyt pochopnie. Czasami bowiem tak bywa, że różne rzeczy przychodzą same i w sposób najmniej oczekiwany. Kiedy indziej człowiek walczy bezskutecznie ze złym efektem i ze stratą nerwów, czego zawsze szkoda. Koniec śrubkom! Mocno przeszkadzały mi one w koncentracji myśli. Właśnie wczoraj myślałam o tym, że byłoby dobrze spłacić Bank Gospodarstwa Krajowego, ciążący na rabczańskiej willi. Niewiele więcej od kwoty weksla Zośki. Ano - spłacę. Może nawet przed pierwszym lipca, gdy nic nie wejdzie mi w drogę. Lubię w życiu czyste historie i czyste hipoteki na domach. Moje domki na Pradze mogą sobie jeszcze zaczekać. Przemówił mi do wyobraźni pomysł obu pań z wpłacaniem dzierżawy z pensjonatu na książeczkę oszczędnościową małej Marty. Niechże zatem ma czysty dom!

Poniedziałek - 6 kwietnia

Po południu Zośka odjechała z powrotem do swego królestwa śrubek i do - męża. Pani Strękocińska, trudno przyzwyczaić się do tego nowego nazwiska w naszej rodzinie. Jakoś - nie pasuje.

W sklepiku na Nowym Świecie obie panie rozmawiają jedynie o naszym stoisku na tegorocznych Targach Poznańskich. Przeznaczyłam na to trzy tysiące. Ale nie mam zamiaru

uczynić z mieszkania starego doktora - jakiegoś karawanseraju dla panienek, które będą obsługiwać stoisko. Pani Moderska była zdziwiona takim stanowiskiem. Niech sobie.

Dzisiaj rano rozmawiałam w biurze na temat kilku dni urlopu w okresie świąt. I tak wszyscy wieją, protestantom dają dodatkowe dwa dni wolnego, piątek i sobotę. Co do wtorku, to jakoś... Po prostu nie przyjdę do biura, taki sobie poświęteczny *blauer Dienstag*. W czwartek wieczorem do Berlina, prościutko bez zatrzymywania się do Bazylei, pierwszy nocleg w domku przy Słonecznej Drodze, sobota - rozejrzenie się w bazylejskiej sytuacji, dobiecie późnym wieczorem do „Acacii”, dwa pełne dni świąteczne u Marcinów i wtorek bardzo wczesnym rankiem załadowanie się do pociągu. Środa przy biurku w Warszawie! Jak dobrze pójdzie, to nawet nie zauważą mojej nieobecności. Na Mokotowie poproszę, żeby informowali o moim wyjeździe na wieś, to zawsze dobrze wygląda. W drzewie nie będzie kłopotu, ponieważ Mr David wyjeżdża już w środę wieczorem i w tygodniu świątecznym posiedzą sobie obaj panowie z dyrekcji, Pakulla i Mizres, dwaj panowie: Em-Pi, jak ich nazywa w skrócie nasz Anglik. Tylko nie wiadomo, od czego on to skraca: od parlamentu czy od wojskowej policji?

Swoją drogą - wygoda z tym Davidem. Mam dobrą i bezpłatną konwersację. Ciekawe, że uczę się drzewa od razu w obcym języku. Lakiery we francuskim, drzewo w angielskim. Stosunki jakoś się ułożyły. Firma rozwija się. Niemal z każdym tygodniem przybywa jakiś poważniejszy obiekt i nasza nowa placówka w terenie. Naturalnie większa część tego powstaje na tropach dawnej działalności starej firmy gdańskiej. Rozumiem politykę, ale to idzie po linii naszej rodzinnej działalności, przecież i tak spółka do nas należy. Wolę drzewo niż bławaty. Bardziej interesujące. W bławatach metry i łokcie w detalu, tutaj raz uciągnięcia w rodzaju handlowych majstersztyków. Drzew się nie liczy i nie widzi, w naszym pojęciu istnieją jedyne wagony i kubiki. Co do mnie, nie zabieram głosu, natomiast wszystkiego słucham uważnie. Już przyzwyczaiłam moje otoczenie, że wyjmuję bloczek i notuję. Piszę w ten sposób pewnego rodzaju kronikę naszego towarzystwa akcyjnego. Niemniej wkręcam się, mnie nie potrzeba wiele tłumaczyć. Dopiero obecnie pojmuję sens powiedzenia, że w wielkim handlu wystarcza giełda i gazeta z biuletynami. Towaru nie potrzeba oglądać na własne oczy, do tego są dziesiątki płatnych specjalistów. Kupcowi tylko trzy cyfry spędzają sen z oczu: dłużnicy, wierzyciele i - saldo!

Jutro w biurze napiszę kilka listów w sprawach mojego wyjazdu, trzeba będzie przygotować Marcinów na moje odwiedziny. Wiem, że zostają w domu, a chociażby wyjechali, to sobie poradzę. Co prawda z papą Dubowem wołałabym rozmawiać w trzy pary oczu, śmieszne powiedzenie, to znaczy w trójkę, z kimś z „Acacii”. No, ale i bez nich potrafię. Co oni powiedzą na mój projekt kupienia kamienicy w Genewie? Domy - to jednak spokojny i pewny interes.

Wielki Wtorek - 7 kwietnia

Humoreska! Kompletnie zapomniałam o moim prawniczym dyplomie i oto właśnie dzisiaj nadeszła z Poznania rolka z kartonikiem. Przecież sobie nie oprawię w ramki obu dyplomów? Na razie kartonik leży na biurku. Osobliwie wygląda zestawienie: pierwszy egzamin z wynikiem bardzo dobrym, a ostatni z poprawką. Tfu! Co z tego przyszło temu panu Stelmachowskiemu? A mnie z dyplomu również nic. Taka poprawka z głupiej procedury świadczy jedynie albo o uporze danego belfra, albo o ptasim mózdzku. Przecież tylko prawdziwy cymbał nie potrafiłby przygotować się do takiej poprawki w ciągu sześciu tygodni. Dla mnie była to niepotrzebna strata czasu i zdrowia. W dodatku kujonowski efekt na krótki termin.

Pan Petras spacerował dzisiaj po mieście w sprawach wizowych. Jemu to idzie bardzo gładko. Nie pytam. Wystarczy, że załatwia. Profesor nie myśli o świątach, zamknął się i ma jakąś terminową pracę. Był telefon z Górek, pytali się, czy przyjadę. Liza nie umiała

odpowiedzieć, trzeba będzie jutro zadzwonić. Pojadę całkiem skromnie, bez bagaży. Do takiej podróży nie potrzeba żadnych przygotowań. Mimo woli przypomina mi się moja ostatnia podróż do Paryża. Opłaciła się. Kosztem dwóch biletów kolejowych i skórzanej teczki zarobiłam trzydzieści tysięcy złotych, prawie sześć tysięcy dolarów.

Środa - 8 kwietnia

Nie wiem, czy starym zwyczajem napisać: psiakrew, czy też nie. Dzisiaj w południe podano mi do wiadomości, że przeznaczili mnie do składu pięcioosobowej delegacji, która dokładnie w poniedziałek 20 kwietnia ma wyjechać do Berna. Na miejscu w środę rano, a od czwartku konferencje. Trzymali to w tajemnicy, a obecnie tak nagle. W związku z tym zaraz od wtorku po świętach harówka z konferencjami i z kompletowaniem materiałów, które mamy zabrać z sobą. Tydzień dzikiej harówki. U nas zawsze taki narwany styl pracy i wyjazdów. Marcin miał rację, mówiąc, że ten wyjazd nastąpi w końcu kwietnia. Oni zawsze wszystko wiedzą wcześniej. Zaraz po obiedzie wysłałam ekspresowy list do Montreux. Zagraniczne święta poszły mi koło nosa. Trudno. Tydzień później. Berno i Bazyleja niedaleko, zobaczę mój domek i pomówię z moimi w „Acacii”.

Czwartek - 9 kwietnia

Byłabym przegapiła imieniny Michała. Dopiero wejrzenie na kalendarz biurowy przypomniało mi o tym. Wysłałam woźnego na pocztę z depezą. Jakoś ujdzie - wieczorem napiszę list z datą wczorajszą.

Wieczorem. O dziesiątej godzinie zjawiała się u mnie w biurze biedna Pelasia. O mój Boże! Znow w ciąży. Czwarty miesiąc. Cóż to za głupie stworzenie. Obecnie śpi snem sprawiedliwej kobiety i matki w pokoju gościnnym. Tuchołka skończony dureń. Pelasia mówi, że rozciągnął interesy na bardzo szerokim froncie, chciał połknąć więcej, niż mógł, i znow jest bez gotówki. Na nazwisko ciotki kupił jakieś tartaki i widzi w nich złotą studnię.

Efekt wiadomy. Pelasia przywiozła pakiet akcji naszej spółki, które nabył w swoim czasie Tuchołka dla kalkulacji wejścia do rady nadzorczej. Pelasia miała to sprzedać w banku. Cóż miałam robić, kupiłam, zapłaciłam tyle, ile dawali w banku, jedenaście tysięcy osiemset, po sto osiemnaście złotych za akcję. Wzięłam dziesięć tysięcy z konta Marcina, ponieważ tam na razie wielka obfitość pieniędzy. O moich dwunastu tysiącach nie było mowy, nie przypominałam, bo i jak? Pelasia albo płacze, albo się śmieje. W przerwach rodzi dzieci, to jedno wychodzi jej dobrze, a w męża wpatruje się jak w obrazek. Ciele. Ale mi jej żal.

Piątek - 10 kwietnia

Dzisiaj po południu pani Moderska wyjechała na święta do Galicji, a panna Beata klarowała mi różne rzeczy u mnie w mieszkaniu. Sama się zaprosiła pod pretekstem omówienia interesów pierwszego kwartału.

Krótko. Panna Beata uniknęła wielkiego nieszczęścia, według swego własnego określenia. W porę uskoczyła, jak mówi, ponieważ upewniła się co do tego, że nasz pan dr Tadeusz Mizres jest pochodzenia żydowskiego. Obaj z bratem wychrzčili się dopiero na uniwersytecie, trzeci brat nie poszedł za ich przykładem i jest obecnie rabinem gdzieś w małym miasteczku. Ten, który jest lekarzem w Krakowie, zamierza wyemigrować do Palestyny, mimo że się kiedyś ochrzcił. Dobry sobie! Śmieszna historia i śmieszni ludzie. Ze słów panny Beaty w większym stopniu przebijało zadowolenie, że nie zaszła zbyt daleko z tym małżeństwem, niż nutka na temat utraty dość dogodnego przecież kandydata na męża.

Nie warto opisywać detali. Napoiłam pannę Beatę mocną kawą i likierami, wyszła ode mnie uspokojona i zadowolona. Na zakończenie zwierzyła mi się:

- Ja z panią Lucyną jestem bardzo dobrze, ale ona poleciała na tego Żyda i całkiem serio wzięła się do małżeństwa. Ona jest z Galicji, a tam u nich wszystko jest pomieszane z sobą. Ich trudno odróżnić.

A to dobre. Co do świąt, to jeszcze nic nie wiem. Może namówię profesora? Niezdecydowany. Wyjechalibyśmy jutro po obiedzie, a wrócilibyśmy w poniedziałek przed wieczorem. Spokojne święta, na wsi tym razem nie spodziewają się nikogo.

Nie opisuję moich stosunków w biurze, bo i w jakim celu? Jestem tam tylko gościem, wypełnię, co mi każą, ale nie zagrzeję miejsca. Do końca roku już niedaleko, dłużej nie zostanie.

Sobota - 11 kwietnia

Profesor zdecydował się, to ładnie z jego strony. Czekamy tylko na przygotowanie samochodu. Dzisiaj nadszedł list z Montreux z datą wtorkową. Data na znaczku. Marcin pisze, że zobaczymy się wkrótce, w końcu miesiąca, ponieważ zostałam włączona do delegacji. Skąd wiedział wcześniej ode mnie? Profesor Wydra rozmawiał z nim w czwartek rano, podczas mojej nieobecności w domu, i zawiadomił, że nie przyjadę do nich na święta.

Od wtorku rzeczywiście harówka. Zapowiedzieli szereg konferencji na miejscu w Warszawie, od razu uprzedzali, że do późnej nocy. Niech ich... Liza przymówiła się o zabranie na wieś. Nie chciała jechać do matki w Gdańsku. Mówi coraz poprawniej po polsku, a z francuskim również nie najgorzej. Koniec z pisaniem. Jedziemy.

Górki - przed spaniem

Ciekawa jestem, czy mi się uda wcześniejszy wyjazd z Warszawy? Oni sami mówili, że wyjeżdżają dopiero w poniedziałek wieczorem, ponieważ nie chcą zepsuć sobie niedzieli. Z tego wynika, że do soboty skończymy. Dobrze by było. Nie czekałabym do wieczornego pociągu, a koło południa pojechałabym do Poznania i dalej do Berlina. Stamtąd już gładko, gdzieś późnym wieczorem w Bazylei. Właściwie nic nie wiem bliższego o tym moim nowym nabytku. Na fotografii wygląda niepozornie. Podobno ogród i stare drzewa. Dawna chłopska zagroda bez ziemi. Naprzód sprzedali grunt sąsiadom, którzy nie potrzebowali zabudowań, a później nawinał się Marcin i sprzedali mu dom z radością. Wersja Florencji, ale ona zawsze do wszystkiego podchodzi w sposób swobodny i z lekkimi kpinami. Zobaczę na miejscu. Marcin mówił mi wyraźnie, że wszystko, co zastanę na poddaszu, to moje. Dodatek do domku, który ma stworzyć mi warunki do ewentualnego osiedlenia się w Szwajcarii i w ogóle... Marcin zastrzegł się kpiąco jedynie przed tym, abym nie wyrzuciła z szafy jego osobistych rzeczy, szczoteczki do zębów oraz pidżamy. Widocznie czasami zawadza o Bazyleję. Czy on porzucił swój dawny zawód chemika? Przecież tkwił w tej „Cibie” - kilka ładnych lat, pojawia się ona często w różnych opowiadaniach. Ma tam sporo znajomych. Doktor Arnold Homo? Ale trzeba iść spać. Tam na dole szaleją w kuchni. Jutro galowy obiad w Górkach. Rano przegląd okolicy w kościele, po drodze kilka wizyt na stojąco, no i ten obiad z gośćmi. Pojutrze obiad w Starej Wsi i powrót do Warszawy. Spokojny program świąteczny, ponieważ bez nadeptywania na odciski, jak to się ma rzecz zwykle na większych zjazdach rodzinnych.

Czwartek - 16 kwietnia

Harówka, ale kończymy. W Bazylei będę o godzinie szóstej z minutami wieczorem. Na dworcu wsiadę do taksówki. Dla przyzwoitości zatelegrafuję z Berlina. Wypada. Okazuje się, że jeden z naszych panów jedzie również wcześniej, tym samym pociągiem. Zatrzymuje się w Berlinie, chce przy tej okazji, jak twierdzi, zwiedzić miasto i pójść w niedzielę do opery na Lohengrina. Już spenetrował to w programach umieszczonych w dzienniku. Namawiał mnie na to samo, dobry sobie. Ja - i Wagner! Jutro rano pošlę pana Karola do Cooka, aby zamówił

dla mnie sleeping. Jadę całkiem skromnie. Jedna waliza, niezbyt dużo w niej stroików, jak to nazywa Mokotów, i neseser. Jak zwykle w skórzanej rezedzie, z której już wysmiewają się wszyscy znajomi. Ale mnie właśnie w tym płaszczu jest bardzo wygodnie. Tylko tyle, że do czapki samochodowej muszę upinać włosy w specjalny sposób i jest potem kłopot z przeczesywaniem.

Piątek - 17 kwietnia

Dzisiaj miałam u siebie nieoczekiwanych gości. Na obiedzie we troje, a podczas kolacji około dziesiątki. Tak się złożyło, że Franusiowie z Katowiec. Po raz pierwszy u mnie w Warszawie. Franuś mówi, że ich drogi nie prowadzą do Warszawy, i zadowolają się Katowicami i Krakowem. Poza tym stale jeżdżą do Niemiec, mają tam jakieś interesy, niedaleko zresztą, bo w Gliwicach. Ciekawe, jakoś to małżeństwo chwyciło. Nie pytam Franusia, co słyhać z pierwszą żoną, nie chcę przypominać tego w ogóle, skoro i on milczy. Może tego małżeństwa całkiem nie było? Ale to żart, wypowiedziany kiedyś przez drugiego brata ciotecznego w Bydgoszczy, gdy troszkę sobie podchmielił. Naturalnie nie było przy tym jego obecnej żony. Franuś powiedział nam wówczas: Pierwsza żona od Boga, druga od ludzi.

Dzisiaj wrócił z Londynu Mister David. Jutro rano przyjeżdża stryj Józef, ma dla mnie jakieś sprawy do przekazania Marcinowi. Kółka się kręcą.

Wczoraj otrzymałam od pani Kalatowej nowe sześćset złotych. Na odcinku przekazu napisała, że jej idzie jakoś lepiej, sumitowała się, że resztę odda jeszcze w tym roku, ale dopiero po żniwach. Ona biedna oddaje, a pan starosta Tuchołka? No, ale to Pelasia, nie można mu nic napisać. Tak się mówi, ale gdy zajdzie potrzeba, to i tak wszyscy im pomożemy.

Spać, ziewam. Jakoś wykręciłam się od picia. Maczałam usta, udawało się. Właściwie pił tylko nasz Franuś i dwóch generałów, których przyprowadził z sobą Wirewicz. Jak zwykle.

Sobota - 18 kwietnia

Piszę w biurze. Wróciłam przed chwilą z banku, chodziłam w celu porozmawiania z prezesem Fajanssem o sprawach naszej spółki. Akcje idą w dalszym ciągu powoli w górę, ponieważ w sferach giełdowych mówi się o podwyższeniu kapitału zakładowego. Prezes doradza dwie kolejne emisje, jedna po drugiej, ule obie jeszcze w tym roku. Druga emisja w stosunku: dwie akcje nowe na jedną uprzywilejowaną oraz jedna na jedną przy zwykłych akcjach. Półtora miliona złotych. Trzecia emisja: trzy akcje nowe na jedną uprzywilejowaną i po dwie na zwykłą akcję drugiej emisji. Łamigłówka, której sens pojęłam od razu bez podpowiadania. Posiadacze uprzywilejowanych akcji pierwszej emisji będą mogli sobie w sposób im wygodny regulować przyływ gotówki na dość znaczną ilość akcji, które i tak nie będą posiadać wpływu na bieg spraw. Trzeba będzie obecnie dobrze uważać. Skąd ja wezmę tyle pieniędzy na dokupywanie? W sumie około czterystu czterdziestu tysięcy złotych, przy kursie sto za sto. Naturalnie różnice procentowe przy zakupie nowych emisji gdzieś od 92% do 96%. Do czasu, rzecz zrozumiała, że tajemnica. Prezes Fajans śmiał się i powiedział, że posiadając tak jak ja pięćdziesiąt tysięcy w akcjach założycielskich, mogę zarobić lekko na tych kombinacjach do stu tysięcy, a nawet więcej... o ile nie przegapię okazji i posłucham życzliwych rad.

Moja spółka wpłaciła mi już na konto siedem i pół tysiąca za pierwszy kwartał. Właściwie równie dobrze mogłabym podjąć obecnie resztę do trzydziestu tysięcy. Ale na razie nie potrzebuję. Weksel Zoński leży u mnie w domu. Czy zapłaci w terminie? Właściwie szkoda było blankietu wekslowego.

Franusiowie zostają w Warszawie do poniedziałku. Mieszkają po staroświecku w hotelu „Brühlowskim”, podziękowali za gościnę na Hortensji, twierdzili, że przyjechali z całym

towarzystwem. Para małżeńska z córeczką na wydaniu, jacyś krewni Franusiowej. Byli u mnie na kolacji.

O dwunastej jeszcze jedna konferencja, ale wszyscy wiedzą, że wyjeżdżam wieczorem, i nie zrobią mi kawału. Nie zapowiada się zresztą, aby coś przeszkodziło w moim wyjeździe. Wieczorem tłumne pożegnanie na dworcu. Pewnie będą znów wiechcie z kwiatami i pudła z czekoladkami. Wiozę paczkę dla Zosi, która nie była na świętach u rodziców i spędziła je w Montreux. Namówiła do tej ekskursji nawet babcię Wieroczkę. W ogóle ze starą damą jest wielka przyjaźń, widocznie Zosia umiała ją zainteresować. Wieroczka przedtem nie chciała nigdzie wyjeżdżać. Może carski generał stwarzał taki nastrój, a może przesadzali z tymi opowiadaniem? Wirewiczowa już obecnie planuje wakacje we Włoszech, pełne dwa miesiące wspólnie z ciotką Leokadią, Budowy domu ma przypilnować generał, pewnie w restauracji u „Jabłońskiego”. W tym roku zresztą ma stanąć jedynie stalowa konstrukcja, wypełnienie ścian nastąpi dopiero w przyszłym roku, na wiosnę. Jest o czym myśleć. Potężna budowla, jest w co ładować pieniądze!

Wołają. Lee...cęę... Przyznam się, że myślę jedynie o moim domku przy Słonecznej Drodze.

Niedziela - wieczorem

Gdy zeszedłam ze stopni wagonu i przystanąłam obok tragarza, wpadł na mnie średniego wzrostu krępy i barczysty Szwajcar z rudą brodą w kształcie łopaty i od razu zapytał: - Anna Jambor? Frau Anna Jambor? - Po czym ujął mnie mocno za ramiona, odchylił głowę w tył, jak gdyby chciał mi się dobrze przyjrzeć, i rzekł:

- Ach... to ty jesteś Anna mojego Marcina?

I pocałował mnie w oba policzki gestem jakiegoś pewnego siebie wujaszka ze strony matki. W pół godziny później rodzinny samochód doktora Horno wyrzucił nas oboje na podwórkę mojego szwajcarskiego domku. Przez kuchnię weszliśmy do wnętrza i dr Horno powiedział po prostu do swej żony:

- To jest nasza Anna.

W chwilę później zasiadliśmy do kolacji. Od razu wszyscy mówili mi „ty”, z wyjątkiem dwóch urwisów, którym zapowiedziano: - Tante Anna.

Dostałam się w jakiś nowy dla mnie świat ludzi dziwnie prostych i nieskomplikowanych. Dr Arnold - koło pięćdziesiątki, syn szwajcarskiego chłopca spod Interlaken, żona Margot o dziesięć lat od niego młodsza, córka miejscowego ogrodnika. Jeszcze jedna Margot - w ostatnich tygodniach przed maturą. Andreas w czwartej klasie gimnazjalnej, a Will w drugiej. Dziewczyna czarna po matce, chłopcy rudzi po ojcu. Do kompletu ciotka żony po matce, stara panna, w dobrej sześćdziesiątce.

Domu jeszcze nie oglądałam. Zresztą pokoje tu nie są ważne. Jest ich na dole po dwa z każdej strony, pośrodku na przestrzał od frontu do podwórza biegnie jakaś olbrzymia izba. W tyle od podwórza mieści się kuchnia ze wszystkimi akcesoriami i kompletami miedzianych garnków i patelni, kredensami, od frontu wyłożona starym, mocno szerniałym dębem od podłogi do sufitu. Sufit właściwej kuchni wybielony, natomiast w przedniej części czarne szerniały belkowania. Podobno przed jakimś dziesiątkiem lat istniało jeszcze przepierzenie pomiędzy dwiema częściami tej raczej sieni. Dzieci zaproszyły ogień czy też służa nie dopilnowała. Zająły się drzwi i w ostatniej chwili zdołano uratować dom. Pokazywano mi ślady pożaru na drewnianym obramowaniu ścian. Później ścianki przedziałowej już nie odbudowano i tak zostało. Jako wspomnienie przetrwała jedynie granica na podłodze. Po stronie kuchni właściwej śnieżnobiałe drzewo idealnie; wymytej podłogi, a w części przedniej - gładkie pomimo swej starości szerniały płyty dębowej posadzki. Nic dziwnego, dom leży na skraju starego lasu dębowego. Na moim terenie rośnie ich niestety tylko czternaście sztuk,

reszta już na posiadłości, która należy do jakiegoś zwariowanego Anglika. Tyle zdąży tam zapamiętać z krótkich opowiadań moich nowych przyjaciół.

- Mamy również pokój stołowy - powiedzieli mi - ot tam - wskazali ręką w kierunku jakichś drzwi. - Ale jadamy wszyscy razem tutaj w naszej kuchni.

Postawili duży prostokątny stół dębowy pośrodku tych obu dawnych izb. Połowa stołu stoi na podłodze wymytej do białości, a druga połowa na wywoskowanym dębie. Stół przykryli widocznie na moje powitanie lśniącem obrusem i postawili na nim pierwsze wiosenne kwiaty ich kraju.

Nowy dla mnie świat i ludzie. Czerstwi, masywni, mocni w biodrach. Twarze spokojne, pucułowate, opalone, w oczach doktora Arnolda chochlik naturalnej wesołości.

Opowiedzieli mi, że dom stoi na granicy obu subkantonów bazylejskich, miejskiego i wiejskiego. Mój ogród schodzi do małego potoczku, Eichelbachu, po drugiej stronie ciągną się już pola wiejskiego subkantonu. W odległości kilometra znajduje się ostatni miejski przystanek tramwajowy.

Dwa pokoiki na poddaszu, jak mówił Marcin. Gdy obejrzę wszystko, opiszę. Tymczasem siedzę w starym fotelu. Owinęłam się w jeden ze szlafroków, które znalazłam w szafie, trzymam bloczek na kolanach i przyglądam się nowemu dla mnie w swej formie sprzętowi, który służy w tym pokoju za łóżko. Wnęka w ścianie całkowicie wypełniona, wyłożona z boków i z góry jasnym drzewem. Na górnej krawędzi drewniany drążek i nałożone na niego kółka od zasłony. Przyznam się wobec samej siebie: po raz pierwszy w życiu położę się do takiego łóżka. Łoże obszerne, podwójne, jak by to powiedziano gdzieś daleko stąd, na przykład na naszym Pomorzu. Góra poduszek. Cztery, ułożone jedna na drugiej, aż pod samo niebo tej wnęki. Nie ma naturalnie wody bieżącej. Gdy o godzinie dziesiątej starsza Margot zaprowadziła mnie do tego pokoju, tuż za nami weszła jedna z dziewcząt służebnych z dzbankiem gorącej wody. Gotowała się obok naszego stołu w kuchni, która na pewno ma sto lat. Moja kuchnia. Piszę te słowa, aby się roześmiać. Ale tak szeroko, od ucha do ucha, jak to czyni dr Arnold głaszcząc przy tym równocześnie swoją łopatę z rudych włosów.

Dziwnie do tego pokoju nie pasuje światło elektryczne. Bardziej nadawałyby się świece w lichtarzach. Ściany nie są otynkowane. Facjatka zbudowana z drzewa. Stare szerniałe drzewo, podobne tym - ze starych domów zakopiańskich. Jedynie inaczej wypełnione są fugi pomiędzy belkami. Natomiast sąsiedni pokój posiada ściany otynkowane i wyklejone tapetą w paski pionowe. Popielato-niebieskie, sprawdziłam. Ale o tym jutro, za dnia, gdy obejrzę wszystko przy dziennym świetle.

Dobranoc, Anno. Dom, który nabyłaś i w którym dzisiaj po raz pierwszy usniesz, nie nadaje się do ekspresów Berlin-Bazyleja. Ludzie, którzy w nim mieszkali, nie jeździli nawet dyliżansem z pocztylionami, co przygrywali na trąbce. To prości chłopcy szwajcarscy przed wielu laty postawili ten dom. Siedem pokoleń Hoferów, jedno po drugim, łatwo to sprawdzić, nie potrzeba aktów. Na pobliskim cmentarzu stoją jeszcze płyty nagrobne. Smutne myśli przyszły mi w tej chwili do głowy: gdzie będzie twój grób, Anno? Że będzie - to pewnik. Ale nie trzeba o tym myśleć. Władek Wirewicz powiedział mi na dworcu:

- Bywałem w tym bazylejskim domku Marcina, a nawet wspólnie z nim przespałem tam dwie noce. Sprawi ci, Anno, moc niespodzianek. Miał rację Marcin, że cię ubrał w ten domek. Z waszej rodziny ty jedna pasujesz do tej staroświeckiej rudery.

Śmiałam się, lecz nie miałam czasu na wynajdywanie dowcipnej odpowiedzi, ponieważ generał wtykał mi równocześnie do rąk pakę z czekoladkami i mówił:

- A to są ode mnie „Wedle” dla pani Arnoldowej, przypilnuj jednak, aby ich nie zjadł od razu na poczekaniu doktor Horno. Pozdrów wszystkich pięknie ode mnie.

W drugim pokoju bije zegar, to dobrze, czas spać. Jeszcze ostatnia myśl, która przychodzi zawsze, gdy się znajdę sam na sam ze ścianami starych domów:

- Co przeżywali ludzie w ścianach tego domu? Pragnęłabym dziedziczyć po nich - myśli dobre. Przecież w tym domu ukrywała się miłość naszego Marcina do obu sióstr kolejno. Dość. Rzucam bloczek. Jutro? Ależ już jest jutro, przecież minęła północ. Jeden dzień bliżej śmierci.

Eichelbach - poniedziałek - 20 kwietnia

Podoba mi się ta nazwa. Może tak właśnie nazywać będą ten dom? Właściwie powinno być: Eichenbach, ale wszyscy wymawiają: Eichelbach, od żołądzi a nie od dębów.

Dzisiejszy dzień był wypełniony po brzegi wrażeniami. Obudzili mnie o godzinie wpół do siódmej wnosząc dzbanek z ciepłą wodą. W trzy kwadransy później siedziałam już z całą rodziną w tramwaju. Profesor i młodzież w drodze do gimnazjum, a Margot ze mną, by pokazać w Bazylei wszystko, co mi się może przydać. Około południa było spotkanie z profesorem w ratuszu i przedstawienie mnie w dwóch biurach. Oni mnie zameldowali w domu przy Drodze Słonecznej prawie równocześnie z dokonaniem wpisu hipotecznego, dokładnie 30 stycznia. Nigdy mi o tym nie wspomniał Marcin: dr Horno jest od kilku lat członkiem rady kantonu bazylejskiego, zasiada równocześnie w radzie miejskiej. Ma wszędzie otwarte drzwi. Jeden z urzędujących radców, dr Wuls, uśmiechnął się do mnie na powitanie, zdjął nawet okulary w złotej oprawie i przywitał mnie piękną francuszczyzną.

Dziwna była ta półgodzinna rozmowa. Obaj radcowie miejscy mówią po francusku w sposób wykwintny. Ja dość kulawo, owszem, wysławiałam się gładko, ale jeszcze brak mi finezji. No ale oni od dziecka mówią obu językami. Sytuację uratował mój nowy przyjaciel, doktor Horno.

- Jak wiesz, *mein liebe, Doktor und Kollege* - mówił - oni pochodzą spod Stralsundu i mają sporą przymieszkę starej szwedzkiej krwi. Później, przed stu laty, przodek naszego Marcina zakochał się w Gdańsku i utknął na tamtym Pomorzu. Zmienili nawet nazwisko i porzucili rycerskie obyczaje.

I ciągnął już dalej po niemiecku:

- Opuścili w nazwisku parę liter i zajęli się kupiectwem. No i obecnie ustalają się u nas. Daleka to droga do nas, moja Anno, ale my jesteśmy krajem wolnych ludzi i nasza ojczyzna przygarnia wszystkich, co pragną żyć z nami i wśród nas.

Dalszy ciąg poszedł już bez zarzutu. O ciotko Katarzyno, jakże byłam ci wdzięczna dzisiaj za ową niemieczyznę, która wypełniła mi młodość w twoim domu!

Mój doktor wie o wszystkim. Z całą swobodą światowego człowieka podtrzymał rozmowę u miejskiego dygnitarza:

- Oni tam jeszcze po trochu pilnują reszty swoich interesów w Warszawie, tak od razu nie można wszystkiego porzucić.

W tym samym gmachu wpłaciłam przy okazji jakiś podatek gminny. Własnoręcznie podpisywałam deklaracje przy okienku, a patronująca temu Margot informowała zaprzyjaźnionego kasjera:

- Nasza nowa właścicielka przy Sonnenwegu, bratanica dawnego właściciela. Osiedla się u nas na stałe.

O dobrzy ludzie! Jakież inny jest ten świat! Jakże inną jest ta czterdziestoletnia Margot Horno! Zawsze ceniłam Szwajcarię i jej mieszkańców, ale obecnie skłaniam głowę: my jesteśmy tylko napuszonymi barbarzyńcami. Jakże oni mówią po prostu i szczerze: Jesteśmy chłopami na wolnej ziemi helweckiej.

Na obiad podążyłyśmy do domu. O wysiadaniu na kawiarnianych kanapkach nie było mowy. Po drodze załatwiłyśmy zakupy i Margot pokazywała mi wszystko w taki sposób, jak gdybym od jutra miała zająć się tym osobiście. Żadna z moich rodzonych sióstr nie stawiała tych zagadnień w równie szczerzy i życzliwy sposób. Obiad zjedliśmy przy

wspólnym stole na dole w kuchni. Wszyscy razem, z obu dziewczynami służebnymi i jakimś starym pomocnikiem gospodarczym, którego przedstawiono mi w krótki sposób:

- To jest nasz Wilhelm, który pracuje *mit uns zusammen*.

Po południu pokazywano mi wszystko po kolei. Dom, pokoje, podwórko, budynki gospodarcze. Niemal ręką dotykałam wszystkich dębów, policzyłam je dokładnie i cieszyłam się nimi. Mogą być te dęby spokojne, nie grozi im z mej strony żadne niebezpieczeństwo. Obejrzałam nawet mur z płaskich kamieni, postawiony przed kilku dziesiątkami lat przez naszego sąsiada, owego zwariowanego Anglika. Twórca muru granicznego już nie żyje, ale w dalszym ciągu chimera ciąży nad posiadłością w sąsiedztwie. Syn niemal wstępuje w ślady ojca, mimo że zjawia się tutaj raz w roku na kilka tygodni.

Historię opowiadała mi Margot. W latach osiemdziesiątych niemłody już wówczas Anglik kupił trzydziestohektarową posiadłość na licytacji. W owym czasie ta strona miasta żyła jeszcze spokojnym życiem wiejskim i wokół ciągnęły się zwykłe chłopskie gospodarstwa. Licytacja odbyła się po śmierci ostatniego z rodu von Eichelsburgów. Stąd właśnie owa nazwa: Eichel i Eichelbach. W Szwajcarii, jak mi opowiadał Marcin, żyje jeszcze dotąd sporo rodzin, które przechowują w skrzyniach stare dyplomy szlacheckie ponadawane im w średniowieczu przez różnych niemieckich cesarzy. Nie na wiele to się zdało, ponieważ dyplomy przyjęli, lecz równocześnie umieli obronić się przed zalewem cesarskich urzędników.

Ale o Angliku. Jakiś dalszy syn angielskiej rodziny z bardzo burzliwą przeszłością. Jeszcze do dzisiejszego dnia pokutują wspomnienia o jego udziale w zamierającym już handlu niewolnikami. W końcu jednak rozpoczęła się nowa historia w jego życiu. Gdy osiedlił się w Eichel, miał już dobrze koło pięćdziesiątki. Kupił dębowy las ze starym kamiennym domem po von Eichelsburgach i całkowicie zdziwaczał - po zamknięciu się w obrębie swej posiadłości. Jedyne go syna wychowywała żona w Londynie. Syn zjawił się w Bazylei dopiero po śmierci ojca, krótko przed wybuchem wojny światowej. Pospolite i nic nie mówiące nazwisko angielskie: Fox. Obecny Mr Fox już w wieku dobrych lat siedemdziesięciu. Przędzalnie bawełny w Kalkucie.

Posiadłość Eichel została odgradzona od świata. Z naszej strony, jak już napisałam, trzymetrowej wysokości mur z płaskich polnych kamieni, dochodzący do samego potoku. Podobny mur odgradza posiadłość dziwaków od strony sąsiada, bliższego miasta. Sonnenweg ma charakter raczej drogi prywatnej, która jednakże od wielu lat była używana przez wszystkich sąsiadów. Fox Pierwszy usiłował odgradzić całość swej posiadłości, ponieważ pomiędzy ową drogą prywatną a szosą ciągnie się jeszcze spory kawałek ziemi, należącej do kompleksu Eichel, około pięciu hektarów. Stare przywileje używania drogi zwyciężyły. Fox musiał skapitulować przed sąsiadami. Obecnie owe pięć hektarów lasu pomiędzy szosą a Drogą Słoneczną są starannie osiatkowane i dodatkowo osłonięte wysokim żywopłotem od strony wewnętrznej. Podobny płot siatkowy i żywopłot przeciągnięto wzdłuż drogi od jednego muru granicznego z kamieni do drugiego. Na długości prawie pół kilometra droga biegnie wąwozem ograniczonym z obu stron siatką, a na wysokości kilkunastu metrów nad głowami szumią stare dęby. Nie trzeba dodawać, że wąwóz jest mocno zacieniony i tylko w niewielu miejscach przebłyśka słońce. Tunel wśród dębów. Jest ich bardzo wiele. Wszystko jest dokładnie przeliczone, na dużej posiadłości 1547 sztuk, na enklawie pomiędzy drogami 318. We właściwym Eichel, w starym domu kamiennym, podobno z basztą sprzed trzystu lat, mieszka pięcioro służby, natomiast na terenie enklawy przebywa jedynie stary dozorca pamiętający jeszcze czasy Foxa Pierwszego.

Enklawa ma również swoją własną historię. W środku terenu młody Fox wyciął partię starych dębów i postawił magnacki cottage w stylu angielskim. Podobno ponad dwa dziesiątki pokojów, olbrzymi hali z kominkami na kłody drzewa, galeria obrazów, zbiory muzealne.

Na dodatek historie romantyczne. Podobno w starym Eichelsburgu straszy od dwustu lat. Mają własną zjawę Białej Damy, która chodzi po pokojach w baszcie i wzdycha. W angielskim cottage'u - pamięć niezbyt jeszcze dawnej tragedii otrucia się żony młodego Foxa. Było to już w okresie zakupu starego domu przez Marcina i zamieszkiwania w nim rodziny Hornów. W roku dokładnie 1924. Nie pytałam o szczegóły.

Z drugiej strony posiadłość graniczy z dwoma hektarami ziemi należącej do doktora Arnolda, to jeszcze ziemia miejskiego subkantonu bazylejskiego. Teren rozciągnięty wzdłuż owej prywatnej drogi, dwieście metrów długości. Tył terenu wchodzi w potoczek, za którym ciągną się dalsze trzy hektary doktora, lecz należące już do wiejskiego subkantonu. Tutaj w Szwajcarii poszczególne kantony rządzą się własnymi prawami, niczym oddzielne państewka. Kanton jako całość liczy poniżej pięciuset kilometrów kwadratowych, z czego na obszar miejski przypada niecałych czterdzieści. Kantony łączy wspólne umiłowanie wolności i pokoju. Nawet subkantony to również poważny problem odrębności prawnej.

Pięć hektarów ziemi doktora Horno to plantacja ogrodnicza. Zakupiona została przez niego wkrótce po zamieszkaniu w Marcinowym domu i urządzona jeszcze za życia przez jego teścia ogrodnika. Obecnie pozostaje w dzierżawie, termin upływa w roku 1938. Do tego czasu młoda Margot wykształciła się w ogrodnictwie i obejmie szklarni w swoje władanie. Doktor niemal uprzedził moje pytanie i powiedział z rozbrajającą szczerością:

- Przyzwyczaiłem się do Martina, obecnie z radością powitałem kogoś z jego rodziny w starym domu. Za dwa lub trzy lata wybuduję dom po wiejskiej stronie rzeczki i w dalszym ciągu będziemy miłymi sąsiadami.

Nie pytałam naturalnie, czy doktor Horno nie myślał kiedyś o kupnie starego domu.

Granica pomiędzy naszymi posiadłościami zaznacza się w postaci zwykłej drogi, można w nią wjechać samochodem czy wozem. Od strony drogi, wzdłuż naszych działek, front posiadłości doktora odgradzony jest siatką na wzór Anglika, natomiast front przed moim domem obsadzono jedynie zwykłym żywopłotem, dochodzącym do ramion ludzkich. To chyba już wszystko z naszej strony drogi. Z drugiej strony posiadłości Mr Foxa, od strony miasta, to już zwykła posesja willowa. Nowoczesny dom, oddzielony od Drogi Słonecznej ogrodem kwiatowym, bez starych drzew. Mój dom nosi numer trzeci.

Wzdłuż siatki Anglika została wydeptana zwyczajowa ścieżka z prawami użytkowania, których nie można obalić. Pieszna ścieżka, po której na przełaj dochodzi się do szosy, a później już tylko pół kilometra do końcowego przystanku miejscowego tramwaju. W przeciwnym kierunku - około dwustu metrów do mostku nad naszą rzeczką i granica obu subkantonów.

Przyszło mi w tej chwili na myśl, że pomimo wszystko, pomimo zgromadzenia wielu środków w dalszym ciągu nie mam ustalonej przyszłości. To chyba związane z kobiecością mojej istoty. Mężczyzna ma prostszy i mniej skomplikowany cel przed sobą: zgromadzenie majątku, a tuż obok stworzenie własnej rodziny. Żona, dzieci i od razu gotowy cel życia. Problem kobiety natomiast to problem przyczepki do samochodu. Pierwszy wóz z motorem, to męski rodzaj życia, kobieta raczej tylko z tyłu na przyczepkę. Całkiem jak chłopska podróż na jarmark do miasta lub w niedzielę do kościoła. Na wózku mężczyzna z batem w ręce i lejcami w garści. Wiejska baba, w chusty omotana, zawsze siedzi w takim chłopskim wózku plecami oparta o plecy chłopa. Koło niej dzieci. Baba natomiast pilnie uważa, aby czegoś po drodze nie uronić z wózka, odwieczny problem stania na straży dobra rodzinnego. Rola kobiety, broniącej substancji materialnej przed nieobliczalnością ojców rodziny.

Jest już późna noc, po bardzo pracowitym dniu. Mój pierwszy dzień w przyszłej ojczyźnie.

Marcin przybywa jutro wczesnym rankiem. Mam na niego poczekać w domu, gdyby się spóźnił. Dzisiaj dzwonił do „Acacji”, nie zastaliśmy, podano nam telefon w Bernie. W dwie godziny później połączyliśmy się z Marcinem. Właściwie rozmawiał doktor Horno, a my przysłuchiwałyśmy się wesołej rozmowie. Marcin na kpiąco, wesoło, mimo że

marginesowe wiadomości nieszczególne. Elza przybyła na święta do ojca w Genewie i uległa atakowi ślepej kiszki. W drugie święto poddała się operacji i jeszcze dotychczas przebywa w lecznicy. Święta były zatem mocno pokręcone. Florencja chwilowo w Genewie, dotrzymuje towarzystwa chorej.

A teraz spać. Poduszki zapraszają. Nie chcę od razu na początek obrażać miejscowych obyczajów. Pierzyna. Wczoraj odsunęłam ją na bok, spałam bez nakrycia, zaciągnęłam jedynie zasłonę nad łózkową wnęką. Nad ranem było jednak chłodno - z powodu uchylonego lufcika w oknie - i z przyjemnością nasunęłam na siebie ową tylekroć przeze mnie wyśmiewaną pierzynę.

Cóż jeszcze? Do tramwaju piętnaście minut. Można jednak podnieść rękę do góry i pomimo braku przystanku zatrzymać któryś z autobusów. Taka przyjemność kosztuje pięćdziesiąt centymów, nie majątek, gdy się komuś spieszy. Autobusy rano co pół godziny, później co godzinę. Tramwaj co kwadrans. Trochę bliżej do przystanku autobusowego, ale rzadziej kursują i trzeba później jechać z powrotem. A ja nie lubię cofać się w życiu. Głupstwa piszę. Dobranoc, Anno!

Nie. Jeszcze muszę zanotować, że w drugim pokoiku wiszą powiększenia fotograficzne moich dziadków. W dużym formacie, zapewne jeszcze z początków naszego stulecia, wnioskując ze strojów i z oprawy. Ciekawe. Marcin umieścił fotografie rodzinne w starym domu, ale nie zabrał ich później do Warszawy. Nie przepadam za tego rodzaju obrazami, ale skoro stryj Marcin je zawiesił, niech zatem wiszą. Nie znałam prawie tej babki. Agnieszka, pomorskie imię wielu dziewcząt na wsi.

Zasypiam. Jutro Marcin i nowości z dalekiego wielkiego świata. Nasz profesor Wydra mieszkał również na tym piętaku. Wówczas gdy uszedł z Niemiec. Był chory, pielęgowali go. Rozumiem i to. Problem bratnich listków akacji... A kwiecie akacji? Tak, silnie pachnie, ale durzy swym zapachem i jak wszystko na tym świecie - przemija. Kończy się życie, opadają płatki i wiatr rozwiewa je na wszystkie strony. Śmierć.

Ale to nic. Z wiosną drzewo akacji wypuszcza świeże listki i obsypuje świat nowym kwieciami. Rozumiem i to. My, ludzie, przemijamy, pokolenie za pokoleniem, natomiast idee trwają... życie jest nieśmiertelne.

Wtorek - 28 kwietnia

Wieczorem. Długie rozmowy z Marcinem na górze. Obecnie obaj panowie zamknęli się na dole w gabinecie i rozmawiają. Marcin tam nocuje. Szofera odesłał do hotelu w mieście. Dużo nowości. Nasz Krystyn ożenił się. Wyzłocony kartonik. *Faire-part* dwustronne, po francusku i po hiszpańsku. Adres brata: Sao Paulo, Brazylia; adres bratowej: Langhelo, Gt - de la Pampa, Arg., jasne, że Argentyna. Zawiadomienie o zawarciu związku małżeńskiego, bez podania gdzie, kiedy i w jaki sposób. Po prostu fakt dokonany i tyle. Estrella de los Valles de Soredano. I nic więcej. Marcin przywiózł komplet z kopertą. Doręczono mu w Montreux, w ubiegły piątek. Ciekawa jestem, czy w Warszawie zastanę podobne zawiadomienie? Nie wyobrażam sobie, aby takie małżeństwo zostało sklecone w sposób amerykański w ciągu kilku godzin czy kilku dni. Po drugie, znając nastawienie życiowe Krystyna, jestem pewna, że nie ożenił się ot tak, z dnia na dzień, byle jak i lekkomyślnie. Naturalnie w dalszym ciągu Christian Jamsborck, tylko w tym wypadku połączone nie w postaci „von”, lecz w zwykłym francuskim wydaniu: de. Na jedno wychodzi. Estrella, Estrella. Wyobrażałam sobie, że takie imiona spotyka się tylko w powieściach. A tymczasem jedyna bratowa i od razu Estrella. Dobrze przynajmniej, że nie jakaś nowa Erna. Hiszpanka zapewne, sądząc z nazwiska. Chociaż, kto to wie?

Marcin obiecuje, że otrzymamy szczegółowe informacje w ciągu miesiąca. Ma sposoby - wierzę. Trzeba zatem odczekać. Poza tym był list z Chicago od stryjka Juliusza. Pyta Marcina, czy już wydali mnie za męża, ponieważ w tym guście pisał do niego ostatnio stryj

Józef z Gdańska. Narzeka, że mu nie odpisują na listy. Pisze, że ma zamiar przysłać mi w prezencie pudełko papieru listowego, wieczne pióro i pięć dolarów na znaczki pocztowe. Wszystko się przyda. Dobrze, że pisze z humorem, znak, że nie gniotą go jakieś poważniejsze kłopoty.

Dom w Genewie. Dwa domy do wyboru. Obejrzę w najbliższych dniach, gdy się urwę naszym panom z delegacji. Z Berna niedaleko. Ciekawe. Oba domy w dyspozycji domu bankowego papy Dubowa. W pierwszym wypadku trzeba byłoby wyłożyć sześćdziesiąt pięć tysięcy gotówką, w drugim koło stu pięćdziesięciu tysięcy. Zresztą najprzód obejrzę, a później zdecyduję się. Marcin radzi kupno większego domu, mówi, że jakoś „oboje” damy radę. Dobry sobie. Ja i on.

Od Marcina dowiedziałam się, że parcela naprzeciwko po drugiej stronie drogi jest do nabycia. Ale Marcin mówi, że to nie miałoby sensu. W tym miejscu można by wybudować jedynie jakąś kosztowną, jednorodziną willę lub dwie ze względu na spory wymiar tej działki (tysiąc siedemset metrów kwadratowych z górą). Obaj z Hornem przewidują co prawda rozwój miasta w tym kierunku, ale według nich ma to nastąpić dopiero za jakieś dziesięć lat. W tym kierunku nie buduje się fabryk - dzięki Bogu. Lokata zatem na bardzo odległy termin, to znaczy nie dla mnie.

Ze smutnych wiadomości. Nasz znajomy markiz z Montecatini umarł w szpitalu dla obłąkanych. Dostał ataku furii i serce nie wytrzymało. Zresztą wiek. Królowie są niewdzięczni, dyktatorzy rzeczywiście im dyktują. Mussolini nawet na ilustracji nie wygląda zachęcająco. Odęty i w dodatku jak parobek w mundurze.

Muszę sama sobie powiedzieć, że nie palę się do tych berneńskich konferencji. Marcin natomiast przypomniał, że trzeba wytrwać do końca tego roku. Mogliby wynaleźć sobie kogo innego do siedzenia w warszawskim ministerstwie, na przykład jednego z tych, którym co miesiąc wypłacam pieniądze.

Poza tym całkiem świeża nowina: profesor Wydra wyjeżdża w połowie maja na dwa miesiące do Ameryki.

Marcin wprowadził mnie dzisiaj w sposób komicznie uroczysty do wszystkich szaf, półek, skrytek i tak dalej. Na pozór wszystko jest pozamykane na klucze i kluczyki, ale cały ten kram jest w stalowej kasetce włożonej do jednej z szafek biurka. Oba kluczyki, od kasetki i od biurka, były dotychczas wkładane do jednej ze szufladek w głowach łóżka. Wiedzieli o tym wszyscy domowi. Także schowanie, ale trzeba będzie w dalszym ciągu zachować tradycję w domu, gdzie lokatorzy na powitanie całują właścicielkę w oba policzki, publicznie na dworcu, i mówią jej od razu: - To ty jesteś Anna?

Przyjaźń, jak widzę, jest najcenniejszym skarbem w życiu. Ano, obaj przyjaciele rozmawiali o mnie na długo jeszcze przedtem, nim się tu zjawiłam we własnej osobie.

Mój domek został zbudowany przez Johanna Hofera w roku 1782, był kilkakrotnie przebudowywany, początkowo istniały tylko trzy izby oraz owa wielka kuchnia, którą dopiero później przedzielono na dwie części. Prawą stronę, licząc od wejścia, dobudowano przed stu laty mniej więcej, a facjatka łącznie z obecnym dachem pochodzi z osiemdziesiątych lat. Wówczas doczepiono również do budynku szwajcarski ganek rzeźbiony w drzewie, od strony południowej, i właśnie na ten ganek wybito drzwi oszklone z drugiego pokoju na pięterku. Zwykłą osobliwością szwajcarskich domów są takie kryte schodki, prowadzące na zewnątrz domu, na ścianie od strony podwórka na górkę. Ta wisząca w powietrzu klatka schodowa wykonana jest w całości z drzewa i posiada na dole kompletne drzwi wchodowe, zamykane na klucz. U góry schodów są drugie takie same drzwi, po otwarciu których staje się od razu na podłodze pięterowej sionki. Na wprost nich leży mój pokój do spania, na prawo drugi pokój oraz W.C., które na górce jest urządzone w sposób mocno prymitywny. Trochę to będzie niewygodne w porze zimowej, pomimo dość szczelnego obicia ścian na górce i korytarzyka prowadzącego do tego gabinetu samotności. Podobno sionka na górce jest ciepła, ponieważ

przez wewnętrzny otwór schodowy nagrzewają ją piece kuchenne. Sporo zresztą jest w tym domu różnych przybudówek. Właśnie dzisiaj obejrzałam sobie owe zakamarki.

Na parterze znajduje się sypialnia małżeńska, stołowy, pokój wspólny Margot i ciotki, dalej pokój chłopców i pokój służbowy. Prymitywna łazienka z wanną i piecem na węgiel. Jakaś komórka i całość poprzecznej budowli związana jest z budynkiem gospodarczym. Podobno w dawnych czasach drzwi tego budynku gospodarczego, stodoła, obora i chlewnia były otwarte w stronę podwórka wewnętrznego. Później, już za czasów gospodarki obu doktorów, oczyszczono podwórko i przerzucono wiejskie gospodarstwo w stronę tylnego ogrodu. Wówczas też zbudowano dodatkową izdebkę z oknem i drzwiami wychodzącymi na ogród - dla starego Wilhelma, który pracuje... *mit unszusammen*.

Arka Noego. Pokoje z niskimi pułapami, całość przykryta dachem ze szerniałej papy, ale wszystko czyste i wzorowo naprawiane. Po szwajcarsku naprawdę czyste. W pokojach podłogi zapuszczone na ciemno brązową farbą i doskonale wywoskowane.

Hornowie czują się tu dobrze. Powiedzieli mi po prostu:

- Dzięki Bogu, powodzi się nam, wszyscy jesteśmy zdrowi, mamy apetyt, dzieci się chowają.

Nie analizują życia i nie rozbierają go na gramy. Są szczęśliwi. Mają nawet łączność ze światem. Liść akacji łączy w nich i w ich życiu przeszłość z przyszłością i w ten sposób stwarza im wygodniejsze warunki do zniesienia teraźniejszości. Doktor Arnold śmieje się od ucha do ucha i trzyma wówczas mocną, szeroką chłopską ręką dół swojej kwadratowej brody. Od pierwszego dnia pobytu w tym domu powiedziałam sobie w myślach: (<) to pierwszy człowiek w moim życiu, który w sposób serdeczny realizuje idee Colasa Breugnon.

Podoba mi się tutaj. Dom, w którego murach mogą powstawać interesujące myśli. Niby rudera, ale dr Arnold mówi, że dobrze konserwowany może przetrwać jeszcze sto lat. Jego własny ojciec mieszka na wsi pod Interlaken, w domu, który zbudowano przed trzystu laty. Na belce tego domu, w kuchni, jest wyryty rok 1618. Szczęśliwy kraj, w którym historie domów liczy się na wieki!

A teraz przed snem zjem czerwone jabłko ofiarowane mi dzisiaj po kolacji przez Margot. Podobne jabłka otrzymali w dniu dzisiejszym wszyscy domownicy, obie dziewczyny i stary Wilhelm. Rumiane jabłka, błyszczące jeszcze dzisiaj, choć już koniec kwietnia. Z tych jabłoni, które profesor botaniki posadził w ogrodzie po lewej stronie starego domu. Osiemdziesiąt dwa drzewka owocowe, niskopienne, specjalnie dostosowane do tutejszego klimatu, wytrzymałe na zimno.

Cóż jeszcze? Dzisiaj przed południem Marcin zaprowadził mnie do miejscowej kasy oszczędności miasta Bazylei. Przedtem wręczył mi dwa tysiące franków. Jeden zatrzymałam w torebce, a drugim otwierałam sobie konto w kasie. Marcin utwierdza mnie w mieście w podobny sposób, jak to czynił dr Horno w dniu wczorajszym. Przedstawiono mnie znajomemu notariuszowi: - Anna Jambor, która ustala się w domu przy Sonnenweg. - Wszystko wspólni znajomi, wszędzie otwarte drzwi. Łagodne spojrzenia, spokojnie ukrywana ciekawość, jaka będzie dla nas ta Anna, ale tuż obok szczerza wiara w to, że dopasujemy się, że nie sprawię im zawodu.

Berno - środa - 29 kwietnia

Nie warto było się śpieszyć. Nasze bractwo pojechało z Berlina jakimiś łamanymi pociągami osobowymi i dobrnęli do Berna dopiero dzisiaj w południe. Zamieszkałam w „Grand Hotelu”, jak to było przewidziane w Warszawie. Po obiedzie Marcin pojechał z powrotem do domu, a ja zostałam samotna w nieciekawym mieście. Była co prawda możliwość umieszczenia mnie prywatnie w gościnie u znajomych, ale Marcin połapał się w ostatniej chwili, że to wyglądałoby niewygodnie ze względu na podobny wypadek w Wiedniu. Zamiast czterech panów przyjechało tylko trzech, czwarty zjawi się dopiero w

poniedziałek. Jutro i pojutrze odbędą się tylko nasze wewnętrzne rozmowy z personelem poselstwa, pierwsza ze Szwajcarami dopiero za tydzień we wtorek rano. Wszystko ślamazarnie. Praca rozpocznie się jutro o godzinie dziesiątej rano.

Po obiedzie obesłam miasto dookoła, co nie jest bardzo trudną rzeczą. Marcin twierdzi, że sto tysięcy mieszkańców tego miasta przygląda się kilka razy dziennie swojemu herbowemu niedźwiedziowi na złotej taśmie i czerwonej tarczy, a w przerwach robi dziurki w serze eksportowym, dzięki czemu ten ser ma takie powodzenie za granicą. Ponadto część mieszkańców zajmuje się w wolnych chwilach biurokracją związkową. Jak na świeżej dacie obywatela republiki to chyba nie najgorzej.

Marcin dopowiedział mi dzisiaj przy obiedzie szczegóły samobójstwa żony Foxa Drugiego. Było to w latach dziewiętnastych, czy dwudziestych, gdy rewolucja rosyjska wyrzuciła na tutejszy teren sporo uciekinierów. Stary Fox był poważnie zaangażowany w fabrykacji wstążek na skalę światową. Osobiste dziwactwa nie przeszkadzały mu w prowadzeniu interesów i ulokował w jedwabiu majątek zdobyty na handlu niewolnikami. Rządził z daleka, ponieważ w ostatnich latach prawie nie opuszczał swojej rezydencji w Eichelsburgu. Młodszy Fox na własną rękę zdobywał majątek w Indiach, korzystając w tym względzie ze spadku po matce. Z ojcem był mocno na bakier. Ostatecznie pomiędzy ojcem i synem doszło do jakiejś zgody i właśnie około dwudziestego roku młody Fox zaczął zjawiać się w bazylejskich fabrykach swego ojca. Młoda emigrantka rosyjska, a raczej córka takich emigrantów. Bieda, prawie nędza, co w Szwajcarii utrudnia życie. Ostatecznie robotnica w fabryce wstążek, sześć osób na utrzymaniu z jednego niemal zarobku młodej dziewczyny. Nie wiadomo dokładnie, jak było, ostatecznie jednak odbył się ślub z Foxem Drugim, który miał podówczas już blisko sześćdziesiątki. W kilka lat po ślubie młoda pani Fox poznała jakiegoś młodego inżyniera, w którym się zakochała. Krótkie spięcie, awantury, perspektywa powtórnej nędzy dla rodziny, która zdążyła już przyzwycząć się do dobrobytu swojego bogatego zięcia. W rezultacie załatwienie sprawy w sposób właściwy mistycznej i przewrażliwionej duszy rosyjskiej, trucizna i koniec. Opustoszał angielski *cottage*. Zmarł w tym czasie Fox Pierwszy i pogłębiły się dziwactwa Foxa Drugiego. Oba domy opustoszały, choć w dalszym ciągu utrzymywano w nich służbę. Obecnie Mr Fox zjawia się co roku na kilka tygodni i zamieszkuje w starym domu eichelsburskim. Nic dziwnego, że każdorazowy jego przyjazd budzi w okolicy nowy przyływ zaciekawienia wśród sąsiadów. Opowiadają, że od chwili wyniesienia trupa młodej żony Foxa nikt nie przekroczył progów angielskiego *cottage'u*.

Obaj Foxowie usiłowali wykupić posiadłość Hoferów, ale zabrali się do tego w sposób brutalny i nic z tego nie wyszło. Naprzód stary Fox odgradził się murkami od obu sąsiadów, a później obrzydzał im życie utrudnieniami na drodze, o której już pisałam. W rezultacie chłopci zawzięli się. Siódmy z rzędu Hoferów w tych stronach, Johann, właściciel czternastu hektarów, z czego trzy po tej stronie rzeczki, wyjechał w roku 1912 do swego stryja w Kanadzie i tam dorabiał się na drzewie w okolicach Montrealu. Na gospodarstwie została jego siostra, stara panna i ułomna w dodatku, która zmarła dopiero w roku 1921. Po jej śmierci pola za rzeczką zostały sprzedane sąsiadom, którzy jednak nie chcieli kupić starego domu. Dwa hektary, które należą obecnie do doktora Homo, zostały zakupione przez owego architekta z sąsiedztwa, który jednak po kilku latach nabył tereny położone naprzeciwko, bliżej szosy, i na nich wybudował willę. Od niego dopiero odkupił ziemię Horno. Tymczasem Marcin, który przyjaźnił się z architektem, doszedł do porozumienia z Montrealem i nabył dom z ogrodem i owymi czternastu dębami na bardzo korzystnych warunkach. Wpłacił dziesięć tysięcy franków w gotówce, na resztę uzyskał pożyczkę właśnie w tym banku, gdzie otwarłam sobie konto. Jedynym warunkiem, jaki postawił Johann Hofer z Montrealu, było zaręczenie, że ta posiadłość nigdy nie zostanie sprzedana Foxom. Naturalnie Marcin znalazł poręczycieli, jemu już w owych czasach nie było trudno o ich pozyskanie.

Powiedział mi całkiem otwarcie, że teren miałby poważną wartość po zburzeniu starego domu, który swym położeniem uniemożliwia wybudowanie nowego. Równocześnie jednak właśnie posiadanie takiego starego domu stwarza dogodne warunki dla aklimatyzowania się jego właściciela w Szwajcarii. Gdyby nie inne względy, Marcin uzyskałby obywatelstwo tutaj, w Bazylei, równie dobrze, jak w kantonie Waadt. Ale tamci pośpieszyli się dla innych okoliczności, związanych nie tyle z „Acacją”, co z... akacją.

A tak, gdy kiedyś po wybudowaniu przez Hornów willi w sąsiedztwie będę zmuszona pomyśleć o własnym gospodarstwie w tym starym domu, równie dobrze jak oni będę mogła trzymać sobie własną, szwajcarską krowę, robić w domu sery, ale nie takie z dziurkami, lecz takie, jakie robią Hornowie, zwykłe białe dobre sery domowe. Idylla. Nie klnę tym razem, cieszę się podobnie jak bydgoska Anna, gdy na któregoś pierwszego kupowała sobie nową torebkę za dwadzieścia złotych ku zgorszeniu ciotki Katarzyny, która wyrzucała jej taką rozrzutność.

Taki stary dom i szwajcarskie gospodarstwo przyda się naszym jamborowym dzieciom, zmiana klimatu zawsze dobrze robi, a podróż do Bazylei nie kosztuje majątku. Niechże mają swoją ciotkę Annę w Szwajcarii!

Z rzeczy bliskich. Marcin ma w tym wszystkim jakiś udział, nie wtajemniczał mnie na razie. Więcej wie o naszych troskach w zakresie umowy handlowej ze Szwajcarią niż my sami, którzy tkwiłszy nad tym w Warszawie od dłuższego czasu. Oto co zrobię. Tutaj mocno przestrzegają sobotniego popołudnia. Zaraz po obiedzie, a nawet przed nim, wyjadę do „Acacji”. Pociągi doskonałe. Uradziliśmy z Marcinem, że w niedzielę rano przejedziemy się do Genewy, a w poniedziałek rano zjawię się z powrotem w składzie wędrownego trupy trzech warszawskich ministerstw, jak to określił Marcin. Nie podoba mi się to zbytnio, ale trudno. Przyszło mi na myśl w tej chwili, że obecnie załatwiam własne interesy za granicą na koszt mojego biura. Tamte sprawy są jedynie na dokładkę.

Domy - dwa na razie do wyboru, pomimo że papa Dubow ma ich sporo na sprzedaż. Oni właśnie robią w domach, jak mawiał nasz dziadek Benon.

Już się prawie zdecydowałam. Naturalnie naprzód trzeba zobaczyć. Trudno fiksować takie kupno na podstawie kartkowego opisu. Trzypiętrowy dom na dość odległym przedmieściu, w niezbyt pięknej dzielnicy, sześćdziesiąt pięć tysięcy gotówką i wisi na nim trzydzieści cztery tysiące miejscowej kasy oszczędności na pięć i pół procent z obowiązkiem upłacania po dwa tysiące rocznie, oraz okrągło osiemdziesiąt tysięcy banku Dubowa na pięć i ćwierć procent, ale z warunkiem wypowiedziania kredytu na pełny rok z góry, najdalej do końca stycznia każdego roku. Obustronny warunek, naturalnie dłużnik może spłacić kredyt wcześniej, ale z obowiązkiem zapłaty procentów za cały rok do końca, plus oprocentowanie za następny rok. Trzeba byłoby zatem od razu z góry w ciągu stycznia ustawiać sobie wszystkie możliwości spłaty czy też upłaty.

Jeżeli chodzi o łamigłówki z wypowiedzianiem kredytu w banku Dubowa, to znów nie jest to pełna strata pięciu i ćwierć procent za jakiś dłuższy okres. Posiadając gotówkę na spłacenie tego kredytu, można by umieścić ją na rachunku w jakimś banku z umówionym z góry terminem wypłaty, ale w tym wypadku banki szwajcarskie płacą najwyżej trzy i jedną ósmą procentu rocznie. W odpowiednim terminie można by takimi pieniędzmi spłacić dług u Dubowa, w każdym razie ze stratą dwóch i coś procentu od sumy.

Drugi z domów przynosi rocznie prawie szesnaście tysięcy netto, na identycznych warunkach kredytowych, ale roczna spłata dla kasy wynosi pięć tysięcy, a dochód czysty z wymaganej wpłaty gotówkowej - zaledwie cztery tysiące czterysta. Jasna kombinacja. Dubow pożyczył właścicielom domu - rodzeństwo! - maksymalnie wysoką kwotę stu trzydziestu tysięcy i przy takim zestawieniu właściciele muszą dopłacić np. w tym roku do tego domu plus minus sześćset franków. Nic dziwnego, że w takich warunkach nie kalkuluje się posiadanie domu z tymi obciążeniami.

A zatem na razie mała kamieniczka i wypowiedzenie staremu bankierowi przynajmniej połowy długu, zawczasu, najlepiej już w grudniu tego roku. Zresztą nie mam zamiaru pozbywać się od razu wszystkich franków w Genewie.

Biedna jestem, nie mam nikogo, przed kim mogłabym się uzalić i snuć moje kombinacje, takie czy inne. Cyfrowe - i owe, które nasuwają mi tysiące pytań i miliony wątpliwości. Jeden jedyny bloczek wysłuchuje mnie cierpliwie i umożliwia mi spokojne podchodzenie do problemów.

O kupnie domów była mowa jeszcze w Eichel. Doktor Horno wysłuchał opowiadań i powiedział:

- Owszem, pięknie, ale ze starym Platonem Dubowem trzeba postępować ostrożnie. Najlepiej mieć u niego pieniądze na koncie, ponieważ są pewne, natomiast nie opłaca się zaciągać w jego banku pożyczek i kredytów. Znamy się na tym. My w Szwajcarii operujemy ósemkami procentu, no i od razu takie ćwierć procent mniej niż w Miejskiej Kasie Pożyczkowej. Dom? Owszem, ale na początek radziłbym ten mniejszy. Domy są zawsze do nabycia.

Marcin był przy tej rozmowie, nic nie mówił, jedynie uśmiechał się. Może jednak jest wiele przesady z tym Dubowem. Przykład: moje lakiery, które się kręcą i które wetknęto mi do ręki, że tak powiem, gratis. A w swoim czasie, podczas mojego pierwszego pobytu w Paryżu, nie zadałam sobie trudu i nie zwiedziłam nawet fabryki przy Quatre Pieds!

Jutro czeka mnie głupi dzień, już to widzę. Będą oglądać mnie raczej jako kobietę, a nie jako radcę ministerialnego. Ten magister, nawet dwukrotny, to brzmi nijako. Miał rację profesor Wydra, że to niezwykle głupi stopień akademicki. Trzeba mi było zaraz po pierwszym dyplomie zrobić doktorat. Miałam przecież środki na to. Rok później byłabym znalazła się w Warszawie. Ale znów z drugiej strony nie byłoby Belgradu, Zajlicza, lakierów i tego, co w końcu nastąpiło. Obecnie już za późno, głowę mam nabitą czym innym. - Doktor - to brzmi jednak inaczej. Nawet majątek tego nie wyrówna, chyba że bardzo wielki. W moich warunkach powiedzą co najwyżej: ona ma kilka kamienic, fabrykę lub dobra ziemskie, ale tym trudno jest zaimponować. Na świecie sporo jest ludzi zamożnych i bogatych.

A może pójść na koncepcję Marcina, zapisać się na jakiś szwajcarski uniwersytet?

Berno - czwartek - 30 kwietnia

Nudny dzień. W dodatku padał deszcz. Nie wiadomo, po co kupiłam sobie parasolkę, i dopiero na ulicy zorientowałam się, że to trochę głupio - parasolka do skórzanego płaszcza. Jutro zaproszenie na obiad do naszego posła. Taki sobie dom przy Elfenstrasse. Nomen omen. W każdym razie obiad w piątek. Ale w tym kraju nie poszczą. Natomiast nasi warszawiacy piją wódkę zamiast wody sodowej. Ja zatrzymałam się właśnie przy tej ostatniej. Byliśmy dzisiaj razem na obiedzie i kolacji. Towarzyszyło nam dwóch bubków z tutejszego przedstawicielstwa. Próbowali mnie zabawiać i chcieli pokazywać mi Szwajcarię. Dobrzy sobie, tylko na to czekałam. W każdym razie jutrzejszy obiad wieczorem, na modłę francuską, trzeba będzie ubrać się jakoś inaczej.

Rozmawiałam telefonicznie z Marcinem. Elza już u siebie w domu, to znaczy w genewskiej garsonierze. Florencja wróciła dzisiaj rano do „Acacii”. Wszystko dobrze, czekają na mnie w sobotę z obiadem.

Piątek - 1 maja

Chyba tylko tyle, że w rozmowie potocznej powiedziałam coś w tym rodzaju:

- A na niedzielę wybieram się do Lozanny, moja kuzynka studiuje na tamtejszym uniwersytecie.

W odpowiedzi usłyszałam od naszego posła:

- Ale chyba pani radca wstąpi po drodze do Montreux?

Było to powiedziane tak oględnie, dyskretnie i wyłącznie dla mnie samej, że zdążyłam się tylko z lekka uśmiechnąć i dodać:

- Naturalnie.

A zatem wiedzą o mnie więcej, niż sądziłam. Nic zresztą dziwnego, nazwisko Marcina i moje łatwo zapamiętać, a skojarzenie reszty nie jest takie trudne. Marcin musi być znany w Szwajcarii i na pewno wiedzą o jego szwajcarskim obywatelstwie. W dodatku poprzednio bardzo często wyjeżdżał z Polski do Szwajcarii. Teraz już rozumiem te jego różne wyjazdy!

Gdyby byli eleganccy, toby powiedzieli: - Jutro sobota, niechże pani magister jedzie już rano do Lozanny. - A tymczasem wódz naszej wycieczki oznajmił mi dzisiaj w południe:

- Oni tutaj urządzają w niedzielę obchód związany z rocznicą Konstytucji 3 Maja, wypada, abyśmy wzięli w tym udział. Będą oficjalne osobistości.

Może sobie wyobraza, że na te uroczystości przybędzie prezydent Rady Związkowej i udekoruje go jakim orderem? Może nie wie, niebożę, że Szwajcarzy nie obwieszają się orderami, nie mają własnych i nawet zabronili swoim obywatelom noszenia u siebie w kraju obcych odznaczeń.

Dzień pierwszego maja przeszedł bez żadnych wrażeń. Tylko w niektórych gazetach były małe wzmianki. Oni kupują swoich robotników podwyżkami po pięć centymów na godzinę, gdy zajdzie konieczność. I dlatego kalkulują w ósemkach procentów i urządzają hocki klocki z wypowiedzeniami kredytu na rok z góry. Może to i lepiej, ponieważ obie strony mają sporo czasu do namysłu. W dodatku zawsze można wypowiedzieć kredyt w terminie umówionym, a gdy trudno zgromadzić gotówkę na czas, można zaciągnąć nowy kredyt. To są tylko dodatkowe koszty, ale właśnie one zmuszają ludzi do chłodnego i ostrożnego podejmowania decyzji.

„Acacia” - sobota - 2 maja

W tym samym pokoju. Willa pusta. W całym domu tylko Marcin i Florencja. Tutaj dopiero początek wiosny. Na jutro zapowiadają pogodę - radio i miejscowi ludzie. Po drodze wstąpimy do Lozanny i zabierzemy Zosię. Obiad w pałacu Dubowa. Jeżeli nic nie zajdzie, będzie na nim również Elza Dubow. No i naturalnie dom bankowy ze wszystkimi przedstawicielami rodziny. Dobrze, że zabrałam prezenty dla Milizów: zakopiańską szkatułkę i dwie lalki krakowskie. Poznam brata starego Dubowa, owego Nika, byłego oficera i hulakę z czasów carskich. Obecnie jest trochę przygaszony, ponieważ dokucza mu podagra. Gdy byłam w Genewie, przebywał na kuracji w sanatorium. Mam się przygotować na serię opowiadań o jego ucieczce z Rosji przez Turcję. Topili okręt, na którym płynął, i tak dalej, ale nie uprzedzajmy faktów, ponieważ stary Nik opowiada o tym po kilkakroć każdemu, kto wpadnie w jego ręce, chce czy nie chce.

W poniedziałek konferencja w poselstwie już o godzinie dziewiątej rano. Pewno będą przetrawiać niedzielne uroczystości, nie szkodzi, wobec posła jestem wytłumaczona, na moich kolegów gwizdałabym, ale niestety nie umiem. Z muzykalnością u mnie prawie źle. W moim salonie stoi co prawda pianino, ale rzadko kto z gości podniesie wieko i zagra kilka pasaży. Wszystkiego na świecie nie można posiadać i nawet cudowne dzieci nie znają się na wszystkim. Znów muszę wspomnieć napis na Marcinowej szafie: nie mogę chcieć tak, jak bym chciał!

Marcin ma nowy samochód. Olbrzymiego buicka, osiem cylindrów, sześćosobowy, pomiędzy wnętrzem a przedziałem dla szofera szklana tafla. Porozumiewanie się przez pewnego rodzaju wewnętrzny telefon. Wąż i tuba, w dodatku sama tuba ukryta w rodzaju futerału. Dyskrecja rozmów zapewniona. Nowy nabytek w postaci szofera. Starszy jegomość, zamieszkały od wielu lat w Montreux, żonaty, dzieci w szkołach. Stateczny - jak mówi Marcin.

Florencja podobnie jak Leokadia i Wirewiczowa twierdzi, że powinnam odświeżyć sobie garderobę. Namawiała mnie, byśmy razem pojechały do Paryża. A urlop? Jej łatwo, mnie trudno, prawie niemożliwe. Wszystko wie z listów. Przywiozłam jej fotografie z Krynicy, przy okazji dowiedziałam się, że moje warszawskie panie mnie w tym uprzedziły. Dzisiaj po kolacji zamknęłyśmy się same w pokoju i przenicowałyśmy cały świat naszych wspólnych znajomych bez najmniejszej litości. Jedni Hor-nowie byli z tego wyłączeni, ponieważ Florencja powiedziała od razu:

- To wyjątkowo porządni ludzie. Ty, Anno, również zrobiłabyś dobrze, gdybyś powoli zlikwidowała Polskę i przeniosła się na stałe do Szwajcarii, chociażby na początek do tego domku nad Eichelbachem. Znalazłabyś sobie tutaj na miejscu spokojnego męża w rodzaju Arnolda i z czasem zniosłabyś nawet podobnie płomienną brodę.

Rozmowa przeskoczyła następnie na inne tory i Florencja palnęła bez ogródek i bez lukrowania sytuacji:

- Weź sobie raczej, Anno, na razie jakiegoś kochanka. Pan Rudolf? Owszem. Nie gniewaj się, że mówię to, ale nawet nasza tak oblatana na wszystkie strony Elza miałaby za mało dowcipu do tak ryzykownego kroku. Może jakiś przelotny stosuneczek, ot tak, dla zdobycia nowych wrażeń. Powiem ci otwarcie: Liteński w charakterze męża byłby zbyt trudny do prowadzenia. Nawet z kochankiem tego typu trzeba byłoby dobrze uważać, aby nie popełnił jakiegoś... świństwa.

Nie podtrzymałam rozmowy, udałam, że nie przywiązuję do niej wagi. Ale przypomniałam sobie, jak po obiedzie w Górkach usiadł koło mnie i opowiadał mi o swej młodości:

- Naprzód wożono mnie z jednego kąta do drugiego. Nie chodziłem do szkoły, trzymano mi różnych korepetytorów i zbijałem baki. Matki właściwie nie pamiętam, stałe był tylko ojciec i siostra, a później przybył szwagier, ów von Kreckwitz, niemłody już facet i trudny do zrozumienia przez młodego chłopca. Po kilku latach oddano mnie nagle do Chyrowa, a tam również nie było łatwo z księżmi i różnymi utytułowanymi hrabiami i drągalami. Prawda, oblali mnie przy maturze i wówczas na złość wszystkim, nie mając już nic do stracenia, „wskoczyłem” do Legionów pana Piłsudskiego. Czy pani wie, że maturę zdałem dopiero po wojnie? W roku dwudziestym pierwszym, gdy już miałem rangę porucznika. Było za późno, nie chciało mi się uczyć, nie chciało mi się nagiąć do jakiegoś innego życia. Ciotka Orzechowska chciała, żebym się uczył, odkomenderowano mnie nawet na studia do Krakowa. Ale cóż, mieszkalem na ojcowskich Dębniakach i nic nie wypadło z mojego uniwersytetu. Słyszała pani zapewne o moim małżeństwie? Ano, posłano mnie do Zamościa na werbunek do Wehrmachtu za czasów Rady Regencyjnej. Ożeniłem się z pierwszą lepszą panienką, która mi się spodobała. Była jeszcze wojna, człowiek się długo nie namyślał. Nie uzgodniłszy naszych charakterów, oboje byliśmy bardzo młodzi, ja miałem dwadzieścia dwa lata i byłem podporucznikiem, ona miała niewiele ponad siedemnaście, a teść - wierzył tylko w gospodarowanie na wsi, na czym ja się nie znałem. Jedyńca, matka już nie żyła, a ciotka mojej żony patrzyła w mój oficerski mundur jak w święty obrazek. I tak wszystko się rozleciało. Dopiero później znalazła się ciotka Orzechowska i jej rady. W okresie wojny wujostwo utknęli we Włoszech, nie było ich, nie miał kto radzić, a ojciec siedział w dalekim Salzburgu. Trudno mi było na świecie. Gdy nie udała się historia z krakowskim uniwerkiem, wysłano mnie do pułku w Wilnie, w dwa lata później znalazłem się w ministerstwie.

Przyznaję, że opowiadanie pana Litenskiego zrobiło na mnie pewne wrażenie. Wydało mi się szczere i naturalne. Nie narzucone i nie zrobione na pokaz. Sama nie wiem. Trudny problem, ponieważ w naszej rodzinie i w mym otoczeniu dotychczas nie było analogicznych sytuacji.

Na przykład: generał Wirewicz. Zaledwie kilka lat starszy od Litenskiego. Inny typ, po innych torach toczyło się jego życie. A tymczasem pan Liteński i ten jakiś sportowy

samochód, który ostatecznie kupił mu ojciec. Te ich dobra. Sam pan Rudolf potwierdził, że nadają się jedynie do pięknych, górskich polowań, ale dochodu nie przynoszą. To ostatnie nie jest ważne, posiadam dostateczną ilość pieniędzy, aby życie wygodnie urządzić, nawet przy wkalkulowaniu jakichś niespodzianek ze strony tego przyszłego męża.

Zresztą nie spieszy mi się specjalnie. Za kilka dni skończę 28 lat. Ani dużo, ani mało. Za dużo na miłość, a za mało jeszcze na wychodzenie za mąż ot tak sobie, tylko dlatego, aby mieć męża. Trzeba będzie rozejrzeć się w sytuacji. Od Faustyna Kruczka do Rudolfa Liteńskiego? Pośrodku był jedyny tylko przyzwoity kandydat: pan Karśnicki, W dodatku pan Liteński dotychczas nie oświadczył mi się, jedynie rodzina wskazuje nam obojgu na możliwość takiego małżeństwa. Może nawet Rudolfa pociąga więcej panna Dzidówna, ale na pewno obaj panowie Liteńscy spenetrowali to samo, czego dokonała już generałowa. Córka byłego właściciela ziemskiego, ale sama już bez ziemi i bez gotówki. Jakieś ostatnie resztki majątku i stąd zapewne pochodzi ów pomysł stworzenia koło swej osoby aureoli zawziętej sportsmenki. Wabik taki sam dobry jak wszystkie inne, a celem - chęć złapania bogatego męża.

Co mówiła Florencja? Ostatecznie księżę Walii nie ożeni się ze mną, a takiego typu od kobiecej obory, jak ów, ze wszech miar porządny pan Karśnicki - nie pożądam. Problem hodowli dzieci.

Pozostaje jeszcze miłość, jakaś szansa czy nadzieja w tym kierunku. Zresztą, kto to może wiedzieć?

Ale to głupstwo. Emocje emocjami, a mnie przydarzyła się, jak zwykle, kobiecość w momencie najmniej pożądanym. Ale cóż, kobiety bardzo często muszą zaciskać zęby i uśmiechać się do kartek w kalendarzu. Taki nasz los!

Występ u starego Dubowa. Spróbuję powiedzieć rekinowi: sprzedaż takiego domu to dobra lokata dla nadwyżek gotówkowych banku, ponieważ stanowią doskonałą ewikcję na ewentualne wahania w postaci tych stu tysięcy, które trzeba byłoby wyłożyć u notariusza.

Gdy dzisiaj oglądałam „Acację”, wydała mi się już znacznie mniej piękna i urocza niż przed rokiem. Dom jak dom, po zredukowaniu wszystkiego, co mniej interesujące, pozostałyby jedynie witraż Mehoffera i napis na szafie z czasów kalwińskich. Witraż można by skopiować, a napis wyrzeźbić na dziesiątku innych szaf...

Berno - wtorek - 5 maja

Mam wrażenie, że stary Dubow od wczorajszego dnia przestał uważać mnie za kobietę. Spojrzał nawet na mnie z zainteresowaniem. W dodatku moi bliscy nie byli obecni podczas tej rozmowy. Oboje grali w karty, a rozmowa odbyła się w czworo, stary Dubow, jego wnuk dr Miliz i Elza. Sprawilo mi to duzo zadowolenia, gdyż użyłam niesłychanie małej ilości słów. Po prostu powiedziałam z uśmiechem, lecz nadzwyczaj pewnie:

- Żarty, panie dyrektorze (ponieważ tak tytułują Płatona Dubowa), jakiś nowy egzamin maturalny? Naturalnie, bez żadnego wahania, zresztą zdecydowałam już tydzień temu w Eichel, mniejszy dom i bez konieczności dopłacania do kredytów w pierwszym roku.

Dr Miliz potraktował moje oświadczenie z angielską flegmą, natomiast Elza roześmiała się w podobny sposób, jak to czyni doktor Arnold. Szeroko, bardzo szeroko.

Dom - taki sobie. Podobno zdałoby się otynkowanie. Co do mnie, to uważam, że w Warszawie mógłby uchodzić za pokazowy. Podobno znośni lokatorzy. Drobni urzędnicy i rzemieślnicy. Pracują, płacą komorne punktualnie, ponieważ taki zwyczaj panuje na miejscu. Żyją bez zaległości i nie nadwierżają przyszłości dla nadużywania współczesności - powiedzenie Elzy Dubow.

Umówiłam się z dr Milizem, że poleci wygotowanie aktu notarialnego najdalej do środy. Przypuszczalnie będę mogła urwać się na pół dnia w tym tygodniu i zdążę podpisać przed wyjazdem.

Naturalnie wczoraj zaczęło się dopiero koło dwunastej. Niepotrzebnie spieszyłam się, w biurach poselstwa - jedna głupia - byłam już kwadrans przed dziewiątą. Trochę rozmawiałam o niczym, oni siedzą w Bernie, a stale rozmyślają nad tym, co się dzieje w Warszawie i w Krakowie. Dzisiejsza kolacja również wspólna, trzymamy się razem.

Berno - środa - 6 maja

Obie konferencje ze Szwajcarami niezwykle nudne. W dodatku poselstwo nie ma stenografki. I znów radca Jambor z bloczkiem w ręce, coś w rodzaju kontroli młodego człowieka, którego doczepiono do nas w celu sporządzania protokołów z narad. Szwajcarzy są dokładni, systematyczni, ale w stosunkach handlowych masywni i bez polotu. Mówią bez elokwencji, ich urzędowa niemczyzna jest sztywna, a język francuski, mimo poprawności, jakoś bez wdzięku.

Montreux - czwartek - 7 maja

Nie myślałam o tym i nie byłam przygotowana myślowo na tego rodzaju wiadomości. Ale po kolei. O godzinie pierwszej w południe zjawił się Marcin i zabrał mnie samochodem do Genewy. Dopiero tam zjedliśmy obiad w restauracji. Bank Dubowa przysłał pieniądze do notariusza przez urzędnika. Ceremonia podpisywania aktu była dość długa i nudna, poznałam przy tej okazji dotychczasowych właścicieli domu. Brat i siostra, młodzieniec dość lekkomyślny, jak na tutejsze stosunki. Siostra poważna. Zabrali pieniądze i ulotnili się, a my wdaliśmy się w rozmowę z notariuszem o tym, że oni spuścili ponad sto pięćdziesiąt tysięcy w ciągu czterech lat, co wszyscy biorą im za złe. Zjedli kapitał, zamiast ograniczyć się tylko do dochodu. Ale to już ich rzecz. Został im jeszcze jeden dom, owe sto tysięcy, na który nie znajdą się tak prędko nabywcy. Na razie rodzeństwo wyjeżdża w dłuższą podróż do Algieru, tutaj wszystko wiedzą.

Ale nie o tym trzeba napisać. Gdy kwitowałam urzędnikowi bankowemu odbiór siedemdziesięciu tysięcy, w trakcie liczenia pieniędzy przez rodzeństwo, przedstawiciel banku zapytał mnie w imieniu dr Miliza, jakie daję dyspozycje odnośnie przeznaczenia przekazu dolarowego, który wpłynął do nich we wtorek. O mało mnie nie zatkało. W pierwszej chwili zrobiło mi się gorąco, coś ścisnęło mnie pod sercem, ale to mogło równie dobrze wyglądać na chwilę namyślenia się. Kobiecość jednak, psiakrew! Gdybym była mężczyzną, na pewno lepiej wytrzymałabym takie sytuacje. Zęby mi się zwarły, słabe mam nerwy, psiakrew. Ostatecznie bąknęłam, aby na razie zatrzymali dolary na koncie jako osobną pozycję w dolarach, bez zamiany na franki. Marcin siedział koło mnie i był zdziwiony wydaniem takiego polecenia, początkowo wydało mu się, że chodzi o jakiś przekaz spółki drzewnej. Krótko zaprzeczyłam, później zagadał nas notariusz na temat rodzeństwa i jakoś przyszło. Dopiero wieczorem w Montreux rozcięłam kopertę bankową i znalazłam w niej wyjaśnienie. Dokładnie 8115 dolarów z datą wpływu do Genewy 4 maja, mój własny przekaz z Londynu z dnia 30 kwietnia. Równie zatem dyskretnie jak nieboszczyk Zajlicz. Nareszcie!

Marcinowi oddałam już dwa tysiące. Na frankowym koncie mam w tej chwili dokładnie 7912,82 franków, akcje przedstawiają podobno wartość około dwudziestu tysięcy. Te, które z wyboru banku pozostały, ponieważ część została sprzedana w celu uzupełnienia tych siedemdziesięciu tysięcy, doręczonych mi u notariusza. Moja część kosztów wyniosła 2817 i pół franka. No i koniec. Jestem właścicielką dwóch realności w Szwajcarii. Dolary Zajlicza w Paryżu, reszta z nich oraz nowe dolary Kreissa w Genewie. Coś za dobrze?

Już kilkakrotnie zamierzałam porozmawiać szczerze z Marcinem na temat moich prowizji. Wstrzymywało mnie to jednak, że oni obaj z naszym „prezesem” wykręcili mnie właściwie plecami do wiatru w postaci ćwierci procentu w pierwszym wypadku oraz połowy procentu w drugim. Tego było jakoś za mało. Przecież gdyby nie moja belgradzka znajomość, nigdy nie doszłoby do tego interesu. Ale z drugiej strony Belgrad to była moja posada w

ministerstwie, a posada to znów Marcin. Zamknięte kółko, splot różnych zależności i być może nie warto naprowadzać rozmowy na te tematy. Ale czy będę mogła w przyszłości rozmawiać z mężem o tych sprawach? Ostatecznie czy Marcin i Florencja rozmawiają o wszystkim? Wiem, że Florencja robi trochę interesów na własną rękę, zwłaszcza giełdowych, wykorzystując informacje Marcina i rady Elzy. Ona również, a nie kto inny, ustalała moje zakupy i sprzedaże akcji. To wszystko jest z sobą ściśle powiązane.

Jutro raniutko z powrotem do Berna. Mam pociąg o szóstej z minutami. Przed południem nasze wewnętrzne narady, podobno dzisiaj mieli się porozumieć szyfrem z Warszawą. Po południu o piątej konferencja ze Szwajcarami, skończy się w nocy. W poniedziałek ostateczna konferencja i o ile nic nie wyskoczy, we wtorek do domu.

Te wszystkie konferencje - to wzajemne obełgiwanie się. My nie mamy dostatecznej ilości walut, aby kupować w drogiej Szwajcarii, oni zaś mają towary na zbyciu. My również chcielibyśmy do nich eksportować, ale albo nie stanowimy konkurencji pod względem ceny i jakości, albo nie posiadamy atrakcyjności w towarach. Rzeczy nie są łatwe. Dobrobyt Szwajcarii polega na gospodarności i pracowitości. Piękność kraju stanowi również stałą pozycję w dochodzie narodowym. Nasze Tatry są ładne, ale nie umiemy zorganizować ich jako pozycji w dochodzie kraju.

Co do mnie, to wracam przez Wiedeń. Spędzę dwie noce w pociągu, ale bodaj na krótko odwiedzę Heinricha i Annę. A teraz spać, jutro obudzą mnie bardzo wcześnie rano.

Piątek - 8 maja

Przed chwilą wróciłam do hotelu i zastałam notatkę portiera o odebraniu telefonu z Montreux. Powiedzieli, żeby koniecznie przyjechać na niedzielę, ponieważ mają gościa z Warszawy. Pewnie naszego profesora, spodziewano się go w przejeździe do Ameryki. Do hotelu wróciłam dobrze po północy. Konferencje przeciągnęły się. W poselstwie i tak będą siedzieli do rana nad zredagowaniem protokołu. Specjalny kurier zabierze go w sobotę rano do Warszawy. Polecą samolotem. Ostatnia konferencja przesunięta na środę. Komplikacje. Za to w poniedziałek laba. Powiedzieli nawet, że niekoniecznie musimy tkwić w Bernie. Dwóch naszych panów jedzie jutro do Paryża i wrócą we wtorek rano.

Szkoda, że profesor wyjeżdża. Zostanę sama na warszawskim wygnaniu. Do nikogo otworzyć ust. Na górce w „Ziemiańskiej” ludzie dawno już stracili poczucie zdrowego dowcipu, a w „Europie” sztywno jak w woskowym panoptikomie.

Montreux - sobota wieczorem

Marcin z profesorem w Genewie. I to już rozumiem. Florencja tym razem dość obojętnie czy otwarcie podkreśliła charakter tego wyjazdu: - Marcin należy do Wielkiej Rady Administracyjnej - nie pytałam już, do jakiej...

W „Acacii” byłam, około godziny czwartej po południu. Długie rozmowy z Florencją. Tematy finansowe i matrymonialne. Oni „przepuszczali przez głowę” opowieści o staraniach panów Liteńskich i ostatecznie nie wyrobili sobie konkretnego zdania na ten temat. Podobno Elza powiedziała Florencji:

- Ostatecznie co ma robić Anna w tej głupiej Warszawie? Małżeństwo do niczego nie zobowiązuje. Męża można opuścić, można go również przepędzić, gdy się nie nada. Z wychowaniem go będzie dość trudno, ponieważ pan w takim wieku ma już swoje nawyki, ale trudno. Grunt, żeby to nie kosztowało od razu całego majątku. Małżeństwo małżeństwem, a interesy interesami. Anna ma zmysł do businessu, bierze interesy na chłodno, nie wkłada w to duszy i serca. Ale szkoda byłoby, żeby byle kto ciosał jej kołki na głowie. O ile jednak historia źle wypadnie, to mam nadzieję, że Anna w porę pozbędzie się niewygodnego męża. A może właśnie się uda?!

I tyle. Dzisiaj byliśmy we dwie w sąsiedniej willi na małym przyjęciu. Amerykanie mieszkają prawie stale w Montreux, dwa razy w roku jeżdżą na kilka tygodni do Buffalo w celu pokręcenia sprężyn i śrubek w swoim interesie. Bezdzielni, koło pięćdziesiątki. On „robi” w dalszym ciągu w ojcowym businessie (fabryki gotowych ubrań), ona jest rodem ze Szkocji. Poznali się na jakiejś wycieczce przed dwudziestu laty, no i ustaliło się małżeństwo. Spokojni ludzie, podobno bardzo zamożni. W willi tylko oni dwoje, czworo służby, dwa samochody. Nazwa willi od imienia pani domu: Jane. Przyjmują dwa razy w miesiącu. Trudno było pytać, czym wypełniają sobie czas od rana do wieczora. Podobno mało wyjeżdżają. Wspaniała biblioteka. Pan domu w stylu pastorskim, trudno byłoby domyślić się w nim jakiegoś związku z fabrykacją gotowych ubrań.

Czy ja wiem? Bogaci - owszem, ale samo ich życie jest jakieś dziwnie blade i sztywne. Bez uśmiechu. A raczej owszem, z jakimś przyklejonym towarzyskim uśmiechem na twarzy. W Montreux osiedlili się wkrótce po wojnie i wybudowali sobie willę. Znają obecnego Foxa. Od razu powiedzieli:

- Słyszeliśmy, że pani nabyła domek w sąsiedztwie syna handlarza niewolników. On usiłuje stworzyć konkurencję Chińczykom. Bawelna mu nie wystarcza i buduje obecnie w Kalkucie olbrzymie fabryki tanich jedwabów.

Dowiedziałam się dzisiaj, że bogactwo liczy się dopiero od dwudziestu milionów dolarów. Przed wojną wystarczała połowa tego, po wojnie namnożyło się sporo milionerów i dlatego poszczególne miliony, jeden lub kilka, uległy mocnej deprecjacji.

Berno - wtorek - 12 maja

Byłam dzisiaj na rodzinnym obiadku u naszego posła. Dyskretnie, bez moich współtowarzyszy. Rozmowy były utrzymane na lżejszym poziomie. Panie wypytywały się o stosunki towarzyskie w Warszawie, siedzą w berneńskiej prowincjonalnej dziurze i nudzą się. Niewiele mogłam opowiedzieć, niemal przyznałam się, że jestem załatana i zaharowana. Dziwiły się, wyobrażały sobie, że pracuję w naszym ministerstwie jedynie z nudów i dla stworzenia sobie jakiegoś kółka znajomych. Widocznie miały już informacje i dlatego zainteresowały się moją osobą. Ze swej strony rozmawiałam raczej o wiejskich majątkach naszych krewnych, a nie o drzewie, o którym również wiedziały.

Na ogół nudno.

Dzisiaj wysłałam obszerny list do Zośki. Przecież za trzy dni będą jej imieniny. Zośka - jako matka. Ciekawa jestem, jak to będzie wyglądać? Mam na myśli „śrubki” i dom. Ale ona sobie poradzi, zawsze była praktyczna i zaradna. Ma już 34 lata.

Profesor Wydra był dziwnie skupiony i pogrążony w myślach. Ma przed sobą długą podróż, jak to można było wywnioskować z ogólnych rozmów na ten temat. Ustalono, że Marcin zjawi się w Warszawie mniej więcej w połowie czerwca. Na miejscu ustali z bratem ostateczną linię postępowania przy wypuszczaniu drugiej i trzeciej emisji akcji.

Profesor wyjedzie dokładnie 28 maja włoskim statkiem do Nowego Jorku. Z Genui. Do tego czasu pozostanie w „Acacii”, Marini wspominał, że ich obu czeka bardzo pracowity tydzień.

Pożegnałam się już z nimi. Jeżeli się uda, przed opuszczeniem Szwajcarii wskoczę do Eichelbachu. Postanowiłam ustalić się przy tej nazwie. Bazyleja - to brzmi bardzo po miejsku, przypomina fabryki i duże skupisko ludzkie. Eichelhach... to moje czternaście dębów! Pragnęłabym również pożegnać się z Hornami i zacerpnąć z tego pożegnania spory ładunek optymizmu, Z projektowanych dziesięciu dni zrobiły się już murowane trzy tygodnie. Ale spodziewamy się jutro skończyć.

Berno - środa - 13 maja - wieczorem

Właściwie już koniec. Wszystko ustalono i zafarbowano. Jutro rano podpisanie czystopisów, w południe coś w rodzaju przyjęcia, wcześniej, to znaczy raczej drugie śniadanie, zresztą zapowiedziano, że skromne. Tutaj nie bawią się w długie libacje, surowsze, protestanckie obyczaje. W warszawskim biurze teoretycznie już w poniedziałek, można się spóźnić o jeden dzień. A zatem spokojnie i koniec.

Przed godziną rozmawiałam telefonicznie z Marcinem. Zapowiedział przyjazd Florencji. Pojedzie ze mną do Eichelbachu i przenocujemy razem w starym domu. Ciekawe. Pewnie paczka nowych zleceń. Rozmowy z Florencją właśnie w tym domu! W piątek po południu przez Zurych i Feldkirch, noc w pociągu, w Wiedniu w sobotę, koło siódmej rano.

Piątek - wieczorem w pociągu

Siedzę w wagonie restauracyjnym i czekam na danie kolacyjne. Wpatruję się w tej chwili w kieliszek wermutu i rozmyślam nad różnorodnymi sprawami. Czuję się w jakiś dziwny sposób zagubiona w świecie. Wczoraj jeszcze w Bernie, jakieś toasty, które nigdy nie zostaną zrealizowane, ale tak każą dobre obyczaje towarzyskie, wieczór z porządnymi ludźmi w starym domu, nocleg z Florencją w jednym łóżku za zasłoną, przedpołudnie w ogrodzie pod dębami i trochę kręcenia się po uliczkach Bazylei. Rozmowy, bardzo wiele rozmów. Poznanie moich nowych sąsiadów z drugiej strony Drogi Słonecznej, na razie ze względu na brak czasu rozmowa tylko przez siatki ogrodowe. Wszystko gładko. Florencja mile widziana przez wszystkich, podobnie jak i ja - dla dzieci Tante Florentine, nawet dla młodszej Margot. Nic dziwnego, dzieci wychowały się „na oczach” Florencji.

Przedemną znów z powrotem Warszawa i troski samotności w czterech ścianach. Ilość posiadanych pokoi czy domów nawet w niczym nie zmienia faktu pustki koło mnie. Czasami nawet najbardziej wyłożone ściany jakiegoś mieszkania - duszą.

W Bazylei wydałam kilkaset franków. Pod komendą Florencji zakupiłam trochę bielizny osobistej, dwie pidżamy, płaszcz kąpielowy i szlafrok. Mydła, wody kolońskie i dwie, sama nie wiem po co, aż dwie szczoteczki do zębów. Różne drobiazgi, nawet pudełko z papierem listowym. Modny papier z wytłaczanymi niezapominajkami u góry. Obecnie mogę przysiąc nawet, że mieszkam na pięterku. Głupstwa, głupstwa.

Poza tym zlecenia i zlecenia. Wszystko bez notowania. Ponieważ nie będzie profesora na pierwszym piętrze, obciążają mnie różne dodatkowe sprawy. Tylko na dalekiej pustyni człowiek zależy jedynie od powietrza, słońca i wody. A tak każdy z nas depcze w jakimś nie kończącym się szeregu. Każdy przystanek na drodze życia opóźnia nas w marszu do celu. Może się zdarzyć, że życzliwi znajomi pójdą naprzód, a ktoś z nas pozostanie w tyle. Nowe twarze, nowi ludzie i nowi konkurenci.

Zurych. Umieściłam się już w wagonie sypialnym. Jakaś bardzo gruba pani w charakterze kandydatki na wypełnienie dolnego łóżka. Niemieckie „dobry wieczór” i na tym koniec. Jedzie również do końca, to znaczy do Wiednia. Do granicy niedaleko, na razie siedzimy, po przejechaniu granicy podniosą do góry moje łóżko. Ona czyta gazetę, a ja gryzmołę w bloczku.

Przy wyjeździe z Berna okazało się, że nasi panowie przybędą do Warszawy dopiero we wtorek rano. Mają zamiar zwiedzić Solurę, Rappersvill i Genewę. Całkiem dobrze mogą zjawić się w biurze dopiero w środę rano. Mogli zaraz tak mówić, bez niepotrzebnego kręcenia. Ale u nas tak zawsze.

Już przejechaliśmy granicę. Austriaccy celnicy nie lubią szwajcarskiej czekolady w ilości ponad dwieście gramów i papierosów powyżej czterdziestu sztuk. Szwajcarzy na odmianę oprócz czekolady nie przepadają za obcymi jedwabiami i koronkami. Poza tym skomplikowana kwestia walut. Ale to wszystko głupstwa. Do Wiednia będę miała spokój. Już leżę na swoim łóżku. Zabieram się do spania. Oby tylko ta gruba dama nie chrapała. Dobrze,

że śpi na dole, górne łóżko mogłoby się pod nią załamać. A gdyby się nawet nie oberwało, nie mogłabym zasnąć, ustawicznie myślałabym o tym.

Wiedeń - sobota - 16 maja

Turkenschanzstrasse, po przeciwnej stronie drogi ściana drzew parkowych. Trochę dalej od centrum, dobre cztery kilometry tramwajem do uniwersytetu i kliniki. Willa pamiętająca jeszcze cesarskie czasy i dlatego w stylu pretensjonalnym. Dzielnica nie za bardzo pańska, ale idealny spokój. W takich willach mogły ukrywać się różne miłostki wesołych habsburskich czasów. W pobliżu widać sporo interesujących domów otoczonych miłymi ogródkami. Wygodne mieszkanie dla młodej pary małżeńskiej. Być może zbyt wielkie dla młodego lekarza i studentki medycyny. Na dole dwa pokoje lekarskie, bardzo ładny hall, jeszcze jeden przedpokój, pokój i dwa spore pokoje w amfiladzie, stołowy i salon. Na piętrze cztery pokoje mniejszych rozmiarów, sypialnia, gabinet z biblioteką, pokój gościnny i jeszcze jeden pokój, pusty i nie urządzony. W suterynach kuchnia, dwa pokoiki dla służby i centralne ogrzewanie. Kucharka i pokojówka. Spory ogródek z różami, morelami i niskopiennymi jabłoniemi. Wygracowane i wylizane, ogrodnik dochodzący. Umeblowanie nowoczesne, nowe aż do przesady, prosto z magazynu. Część obrazów została przywieziona z Hermsdorfu. W pokoiku na dole rezyduje daleka ciotka Anny, koło pięćdziesiątki, z domu von Lewald. Podano mi tylko panięskie nazwisko, widocznie małżeńskie nie było ważne. Dama w czerni, ze złotym krzyżykiem na stojącym kołnierzyku. Nie trzeba dodawać, że niemiecki dom. Ani jednego wspomnienia polskości, mówi się jedynie o Stralsundzie i Hermsdorfie. Z rzadka nawet pojawia się pamięć o Zinnrode.

Taksówka zawiozła mnie do willi około godziny ósmej rano. Oboje moi krewni już byli w mieście. Przyjęła mnie właśnie pani von Lewald. Nie potrzebowałam wymieniać nazwiska, od razu poznała mnie z fotografii, resztę wiedziała z opowiadań rodzinnych. Byli zresztą uprzedzeni i przygotowani listownie na mój przyjazd. Przez stryja Józefa. Dobrze, że skreśliłam na Wiedeń.

Po zainstalowaniu się w willi, zaraz zadzwoniłam do Matyldy, która w ciągu godziny zjawiła się u mnie. Miła jak zawsze, mówiła, że nie bardzo jest rada mojemu bratu stryjecznemu w Wiedniu, ponieważ odbiera jej gości. Ciotka Lewald natomiast posłyszawszy nazwisko: Meissl nie była zachwycona wizytą. Wieczorem Heinrich wyjaśnił mi powody. Von Lewaldowie są szlachtą z dziada pradziada, a ojcowskie nazwisko Matyldy - von Stolzberg - jest świeżej daty, jak tutaj powiadają... ringbaron za pięćdziesiąt tysięcy koron austriackich. Głupota, co mnie obchodzą nazwiska, Matyldę bardzo lubię i koniec. Głupie fanaberie wojskowej szlachty, to już przebrzmiało. Elza miała rację ze swymi powiedzeniami.

Matylda oddała mnie w ręce krewnych dopiero o godzinie pierwszej. Poprzednio skomunikowałyśmy się telefonicznie z Heinrichem. Objeżdżałyśmy Wiedeń samochodem Matyldy, około jedenastej wdepnęłyśmy na śniadanko do wujka w hotelu „Astoria”. Wykwintne śniadanko, nie obliczone na przejedzenie się, lecz zdolne zadowolić najwybredniejsze podniebienie. Wina w małych dawkach, ale jakie! Zgadało się o tym i o tamtym. Oni mają jeszcze jeden hotel w bliskim sąsiedztwie, Hotel „Meissl u. Schadn”, 135 luksusowych pokoiów, własność pana Meissla, ale we wspólnej administracji rodziny Matyldy. Pan Meissl jest spodziewany w tych dniach w Wiedniu, ponieważ pragnie ustabilizować się w Ameryce, to znaczy ożenić się. W Wiedniu zjawi się w celu zakończenia spraw majątkowych. Wszystko w zgodzie, Matylda nie ma zamiaru wyjść powtórnie za męża. Mówi, że i tak niedługo będzie miała rozrywkę z zięciami, gdy córki dorosną. Resztę wiem od Florencji, ta znów od Elzy Dubów. Matylda ma przyjaciela, który jednak ze względu na przywiązanie do dzieci nie może rozejść się z żoną. Ta żona - ma również przyjaciela! Matylda przywiązała się do niego, on nie może zdobyć się na uregulowanie swoich spraw.

Ileż w tym wszystkim komplikacji! Może nawet poznam oboje, ponieważ wszystko kręci się - jak zwykle - w zamkniętym kółku znajomych.

Od obiadu do późnego wieczoru spędziliśmy czas na rozmowach. Na samym wstępie pokazano mi podobny kartonik, jak w Montreux. Estrella de los Valles de Soredano. Nadeszły już fotografie. Na jednej z nich oboje państwo młodzi, uśmiechnięci do siebie, pomiędzy nimi dziewczynka w wieku może lat ośmiu do dziesięciu. Na odwrocie fotografii niemiecki napis gotykiem: *Uns're liebe Kleine!*

Okazało się, że Krystyn napisał dość obszerny list do Heinricha jeszcze kilka tygodni przed ślubem, ale prosił o dyskrecję, widocznie bał się, abyśmy mu z odległości nie urzekli narzeczonej. Trudno, trzeba i to przeboleć, skoro było mu tak wygodnie.

Historia taka sobie. Papa z poważnym udziałem w Companhia Siderurgice Belgo Mimeira w Sabara koło Rio de Janeiro. Zwykle i pospolite nazwisko amerykańskie Wilson, bez jakichkolwiek dalszych informacji. Argentyński milioner hiszpańskiego pochodzenia, señor Ruiz de los Valles de Soredano, nieboszczyk od czterech lat. Stąd owe Langhelló w stanie de la Pampa. Estrella widocznie jako imię dorobione z powodu dźwięcznego brzmienia. Koło trzydziestki. Podobno rudowłosa piękność, ale tego nie widać na fotografii. Córeczka po owym señor Ruizie. Papa Wilson jako były szef nowego zięcia. Zapewne dobra kariera życiowa dla naszego brata, o ile zdoła się utrzymać we właściwych cuglach męża i zięcia. Nowy adres młodej pary w Sao Paulo, gdzie Krystyn pilnuje obecnie interesów amerykańskich udziałowców w tym belgijskim towarzystwie. W Langhelló zapewne legendarne sto tysięcy sztuk bydła i przysłowiowe tereny wielkości naszego powiatu. Córeczka w rękach byłej wdowy jako prosty problem zabezpieczenia majątku przed dalszymi krewnymi. Ano, ano. Ciekawa jestem, co dojdzie do tych informacji, gdy otrzymamy bezpośrednie wiadomości przez Marcina?

Młoda para wiedeńska zacudowana w sobie w sposób poważny. Nadali się do siebie. Na zimno myślą o przyszłości. W połowie 1938 roku wyjadą do Ameryki, natychmiast po uzyskaniu dyplomu lekarskiego przez Annę. Wszystko jak w zegarku. Myślą jedynie o swoich studiach w klinice i na uniwersytecie, troskę o resztę zdjęła z nich ciotka Anny. Jakiś odpowiednik starszego pana Liteńskiego, chodząca heraldyka.

Oboje przyjęli mnie bardzo serdecznie. Zdawałam sobie sprawę z tego, że nie bardzo palili się do jutrzejszego obiadu u Matyldy. Ale uśmiechnęli się, spojrzeli na siebie i zgodnie powiedzieli: - I dobrze.

Heinrich nabrał jakoś uśmiechu, Anna skupiona, ale radosna. Nie znoszę ludzi skrzywionych i skwaszonych. Rozumiem, nie mają żadnych trosk i mogą urządzać sobie życie według własnego gustu i bez przymusu. Ale wokół spotykam ludzi wiecznie niezadowolonych i zgryźliwych lub trwających w pogoni za chimerami. Heinrichom pomaga charakter zawodu lekarskiego, który zasadza się na ustawicznej dociekliwości i eksperymentowaniu z nieznanym. W przeciwieństwie do wszystkich zawodów prawniczych, które zajmują się jedynie rozgrzebywaniem rzeczy znanych. W tym również leży nieporozumienie mojego życia. Nieopatrznie wybrałam sobie rodzaj wykształcenia martwy i ponury. Całe szczęście jednak, że nie potrzebuję tkwić w tym dla zdobywania chleba codziennego - w przysłowiowym pocie czoła.

Wiedzą o kupnie domu w Bazylei. Rozumieją je we właściwy sposób. Równocześnie oboje mówią o Nowym Jorku za dwa lata jako o wartości stałej, a nie przelotnej. Sprawę londyńskiej aklimatyzacji Elfydy Garden uważają za fakt dokonany. Co prawda Anna powiedziała mi podczas kolacji:

- Powinnaś, Anno, nabyć ruiny Jamsborgu oraz jakiś przyległy majątek i stworzyć sobie właśnie tam punkt operacyjny.

Ale to były jedynie słowa... grzeczne słowa.

Ostatecznie można by i tego dokonać, ale w jakim celu? Mam zamiar skierować raczej do Hermsdorfu jakiegoś dobrego malarza z poleceniem wymalowania mi obrazu z ruinami. Ale na tym również wypadnie mi skończyć z tamtymi historiami. Jakoś przeszła mi ochota do odgrzebywania wspomnień. Niechaj moi przodkowie spoczywają w spokoju pod grobowymi płytami na cmentarzu hermsdorfskim. Łącznie z tymi, których spaliły szwedzkie wojska w okresie wojen fryderycjańskich. Co najwyżej mogliby podarować mi kilka portretów rodzinnych z hermsdorfskiego pałacu. Na przykład ową ostatnią z rodu oraz jej męża, a mojego pradziada w prostej linii. Przecież obecni właściciele nie mają nic wspólnego z nimi. Co najwyżej mogliby wielbić ową Magdę, która poślubiła kupca Rotha. Wspomniałam o tych portretach w lekki sposób niemieckiej Annie, powinna była to zrozumieć.

W poniedziałek przed południem wizyta u profesora Neumanna w klinice uniwersyteckiej. Przecież nie na darmo Heinrich jest u niego asystentem.

Na murach ogłoszenia o koncercie Jana Kiepurę. Poszłabym z ochotą, ale Heinrichowie wątpią w możliwość kupna biletów. Zadzwoń jutro rano do pułkownika z „Astorii”, twierdzi, że może wszystko w Wiedniu. *Eine wiener Leichtschatzerei*. Swoją drogą, pomimo braku starego cesarza, Wiedeń jest ślicznym miastem. Sporo zieleni, ruch, jedynie ludzie na ulicach jacyś jakby smutni. Podobno gniecie ich kryzys gospodarczy, jeszcze dotychczas nie otrząsnęli się z wojennych wspomnień. Nie można się temu dziwić. Jakby Tuchołkowy problem - duży pałac, mały majątek w ziemi, wszystko w dodatku ponad miarę obdłużone. Co w tej chwili robi Pelasia? Pewnie śpi i marzy w spokoju o urodzeniu nowego dziecka. Ona tylko to potrafi. Co mnie z nimi łączy? Chyba nic. Estrella, Strękociński i wiecznie odęty Piotruś Tuchołka. Niewiele mam z rodzeństwa, każde poszło swoją własną drogą i zapomniało. Może nawet nie myślą o mnie?

Spać, Anno.

Niedziela - 17 maja

Niewiele mi przyszło z samego Kiepurę. Naturalnie łoża i kwiaty. Bardzo skromniutko wyglądałam, nie byłam na to przygotowana. Ale co innego: Mr Kreiss we własnej osobie. Spostrzegłam go na parterze. W pół godziny później służący w hotelowej liberii doręczył mi wiązankę kwiatów. Skąd on wytrzasnął ją w tak pośpiesznym tempie? Krótki bilecik: „Czy mógłbym oczekiwać panią jutro po południu o godzinie piątej?” I adres jakiejś nie znanej mi kawiarni. Co prawda zbyt pewność, że przyjdę, ale bądź co bądź to jest niewątpliwie człowiek, który dotrzymuje słowa.

Trudno byłoby napisać, że nie przejęłam się tym nagłym spotkaniem. Wiedeń jednak jest miastem młodości Mr Kreissa, być może zwykły jaskółczy szlak wielu powrotów. Po koncercie wiedeński wujek zaprosił nas na kolację. Matylda, Heinrichowie, pułkownik i ja, ponieważ pani Lewald wykręciła się bólem głowy z całego niedzielnego programu. Stara dama ma w sobie tyle arystokratycznego chłodu, że ja sama uległam sugestii i powiedziałam dzisiaj podczas śniadania kilka zdań na temat, że z Meisslową, von Stolzbergami i Eibenschutzami łączą mnie tylko interesy finansowe. Miałam na myśli Elżę i Genewę, ale to wszystko rozszerzyłam generalnie i na siebie. Zresztą nasze drzewo ma już i tak sporo korespondentów w całej Europie. Stryj Józef w bardzo misterny sposób przerzucił większość dawnych interesów gdańskich do nowej spółki. Szczęśliwie stara dama nie powiedziała mi, że można mieć interesy finansowe z kimkolwiek, ale nie potrzeba od razu przyjaźnić się powiedzmy z Meisslami itp. Doskonale to jednak wyczułam. No, ale ona nie rozumie, że świat inaczej się obecnie kręci niż w latach jej młodości. W dodatku omyliłam się: ma już 64 lata. Nic dziwnego, gdy była w moim wieku, dopiero zaczynało się nasze stulecie.

Ale to wszystko głupstwo. Kreiss - i jutrzejsze spotkanie. Jak to pójdzie i o czym będziemy rozmawiać? Z tymi dostawami na Rumunię to nie wszystko było w porządku. No, ale i tak diabli wzięli Negusa, nie pomogła mu nasza amunicja. Kreiss na pewno zagrał

właściwą kartę na finiszu, ponieważ jestem przekonana, że przerzucił się w krytycznym momencie na dostawy dla Włoch. Rozumiem to doskonale. Dostawy dla Abisynii to była gotówka z góry w europejskich bankach. Kreiss na pewno pieniądze pobrał, lecz opóźnił dostawy. Transporty morskie można każdej chwili skierować w innym kierunku, od czasu gdy wynaleziono telegraf bez drutu. Spryciarz. W dodatku wobec Włoch wybielony jak anioł. Nasi panowie jakoś się poszkapili. Stawiali na Abisynię - pomimo innego stanowiska naszego rządu. Znam powody tego poparcia. Rozgrywka ponad głowami Włoch i zemsta - Braci - za układ laterański Mussoliniego z Watykanem....

Dzisiaj rozmawialiśmy o ostatniej sytuacji walutowej. We Francji bardzo źle, w rodzinie Meisslów liczą się ze spadkiem szwajcarskiego franka. Jak to dobrze, że w obu wypadkach mam na koncie dolary, a nie franki! Te parę tysięcy u Dubowa nie liczy się, nie warto nawet zmieniać. Teraz dopiero rozumiem, dlaczego pytali mnie u notariusza, co mają zrobić z londyńskimi dolarami. Bardzo dobrze, żeby Dubow nie myślał, że ma do czynienia z głupią polską gęsią. Od dzisiejszego dnia przestawiam się całkowicie na dolary. Co prawda od takich kont liczą znikomy procent, półtora jeżeli w Genewie, a dwa w Paryżu, ale to się opłaci. Dolar nigdy nie rąbnie w dół, oni obecnie ostrożniej kalkulują niż w trzydziestych latach.

„Cztery Kamienie” również kalkulują w dolarach. Ciotka Temmi powiedziała mi kiedyś z przekąsem:

- Franki dobre są jedynie w torebce, gdy się idzie na drobne zakupy.

Oni w ogóle uważają Francję za swoją kolonię. Ciekawa jestem, co wypadnie z tych wszystkich awantur we Francji i Hiszpanii. Wszędzie wciskają się komuniści i bolszewicy. Profesor Wydra powiedział mi ostatnio w Montreux, że brak idei na Zachodzie wywołuje zamrażanie podskórnej wody w starych murach europejskich tradycji. Gdy wszędzie słońce nowej wojny światowej, woda będzie mogła rozsądzić takie stare omszałe mury. W każdym razie jest źle. We Francji zwyciężyła lewica tylko dzięki poparciu ze strony komunistów. W dodatku Francuzi pojmują wszystko w sposób emocjonalny, z silnym wyładowaniem gorących instynktów.

Jutro profesor Neumann o trzy na dwunastą w południe. A po południu: Kreiss, Kreiss i Kreiss!!!

Poniedziałek - 18 maja

Obiad u profesora Neumanna. Południowy i zorganizowany bez wielkiego wysiłku. Oboje gospodarze, dorosła córka, Heinrich i obie Anny Jambor. Zapewne pierwsze wiosenne kurczęta, dodatkowa butelka wina z okazji zagranicznego gościa. Bez konieczności na razie wycinania migdałka. Wskazanie kuracji wodolecznicznej i hartowanie, hartowanie. Łącznie z chodzeniem boso po trawie i po rosie rannej. Zalecenie przeprowadzenia kuracji w jakimś zakładzie według systemu dr Kneippa, naturalnie w Niemczech. Wycinanie migdałków czasami pomaga, czasami szkodzi na inne rzeczy, mówił profesor.

Wieczorna kolacja u Eibenschutzów. Anna i Heinrich poświęcili się i poszli. W tym tygodniu przyjdzie im złożyć kilka wizyt, ale trudno. Znajomości zawsze mogą się przydać, nie wolno unikać ludzi dla takich czy innych chimer dalekiej ciotki.

Kreiss. Na samym końcu - o Kreissie. Dawniej wypisałam pół bloczka na temat rozmów w ciągu godziny, którą przesiedzieliśmy w małej wiedeńskiej kawiarence. Kreiss wręczył mi lwie karteczki bibułowych pokwitowań bankowych, jakie zazwyczaj otrzymuje się w banku przy wpłatach gotówkowych. Jedno z nich opiewało na dolary wpłacone w Londynie i posiada moje nazwisko i adres genewskiego banku wypisane maszyną bankową z dodatkiem: na zlecenie własne. W porządku. Mr Kreiss wpłacił w moim imieniu i żadne inne nazwisko nie figuruje na tym. Natomiast druga bibułka to bankowe pokwitowanie na dwieście osiemdziesiąt tysięcy franków wpłacone przez p. Z. w paryskim banku. To, że również wpłacone zostały w moim imieniu, bez podania nazwiska wpłacającego, to drobiazg wiadomy

mi z awizu bankowego, natomiast gorzej, ponieważ karteczka pochodzi z papierów znalezionych w pałacu kairskim. W jaki sposób Mr Kreiss znalazł się w posiadaniu tych papierów - nie powiedział. Wspomnił jedynie, że odzyskanie papierów, które należały do „jego przyjaciela”, sporo go kosztowało.

Widocznie nabrałam hartu duchowego, ponieważ podczas całej rozmowy wykazałam chłód i nie zatkało mnie, jak się to mówi. Mr K. doskonale orientuje się w wysokości prowizji, wspomniął nawet wyraźnie, że śmierć jego przyjaciela kosztowała mnie około dziesięciu tysięcy dolarów. Jak on doszedł do tego? W każdym razie nie wyszłam z zimnego fasonu i wysłuchałam do samego końca. Później nie wdawałam się w żadną dysputę, tylko po prostu i po kupiecku powiedziałam jedno jedyne słowo: - Dobrze. - Moje nowe zadanie jest niezwykle łatwe i jasne. Mam nie dopuścić do jakichkolwiek większych porozumień w Warszawie z jego konkurentami, których mi imiennie wymienił. Kryje oferty w każdej wysokości i odbiera wszystko. Dla mnie w dalszym ciągu dwa procent, z czego mam pokryć drobne wydatki. To również rozumiem. Doradzał otwarcie konta w Londynie. Podał dwa adresy korespondencyjne, umówiliśmy się co do szczegółów.

W końcowej fazie naszej rozmowy w Mr Emilu obudziły się wiedeńskie wspomnienia z dawnych czasów i ze starego businessmana wyskoczył nagle i nieoczekiwanie wiedeńczyk. Opowiedział mi nawet w sposób humorystyczny i na wesoło, w jaki sposób stary Stolzberg dorobił się tytułu baronowskiego. Mr K. wszystko wie, widocznie przestudiował nasze stosunki rodzinne i znajomości. Udawałam, że przyjmuję to w sposób naturalny, sam przez się zrozumiały.

Ciekawe. Jakoś podchodzę do tych nowych spraw na zimno. W dodatku po raz pierwszy w życiu mam nareszcie świadomość, że to są moje własne interesy. Po raz pierwszy w życiu! Ciężki to był dzień. Jutro przed południem cały czas poświęcam Matyldzie, Kupię sobie trochę wiedeńskich drobiazgów. Rodzinne popołudnie. Wieczorem sleeping i raniutko niemal wprost z pociągu do biura. Prysznic w domu, śniadanie i znowu pokoik w ministerstwie. Jak oni umieją zrobić z dziesięciu dni prawie cały miesiąc? A mnie to nie bawi. Wolalabym jeździć po świecie nie pamiętając o jakichś terminach przymusowego powrotu do biura.

Warszawa - czwartek - 28 maja

Dom. Na parterze oczekiwali mnie z utęsknieniem, ponieważ stryjek odjechał do Gdańska przed tygodniem, dyrektor Pakulla gdzieś w lasach, a Mr David nie ma jakoś nabożeństwa do doktora Mizresa. Nie znosi go i tyle. Powitał mnie z radością i sam zaprosił się na obiad. Wyjawszy krótką przerwę około godziny szóstej, przesiedział u mnie prawie do północy. Wieczorem zjawił się Mokotów żądny wrażeń i opowiadań o Szwajcarii. Nie było mi to na rękę, ponieważ zaraz pierwszego dnia spiętrzyły się różne sprawy. Do biura w ministerstwie przyleciała pani Moderska i usiłowała mnie sondować, co ja myślę o jej ewentualnym małżeństwie z panem Tadeuszem. Niemal pobłogosławiłam ten związek, co mnie to szkodzi? Chyba to jedno, że Mizres będzie sobie wyobrażał, iż takie małżeństwo zbliży go do rodzinnych stosunków w naszej spółce. Co najwyżej przybędzie u mnie na przyjęciach jakiś drugi komplet statystów.

Z nowości tylko to, że podczas mojej nieobecności doszli do porozumienia z lokatorem na pierwszym piętrze. Dali mu pięć tysięcy odszkodowania i wynosi się już od pierwszego czerwca z naszego domu. Lokal zajmuje nasza spółka. Przebudują, odnowią, zlikwidują kuchnię, a w pokojach frontowych urządzią dwa gabinety. Jeden dla Anglika, a drugi dla stryjka Józefa i dla mnie, wspólny, z dwoma biurkami. Mamy przyjąć nowych urzędników. Firma rozwija się całą parą. W ostatnich tygodniach zaangażowano bardzo poważne kapitały. Na razie pożyczki bankowe i kapitały stryja Józefa wprowadzone do warszawskiej firmy. W bardzo szybkim tempie stryj Józef przestawia się na Warszawę. Gdańskiem kręci ciotka Elfryda, Gardenówna znowu w Londynie, pilnuje tamtejszych interesów. Tyle.

Jutro rano żałobna msza za ciotkę Magdę u Wizytek na Krakowskim Przedmieściu. Ostatnio śniła mi się. Nic nie mówiła, a jedynie wpatrywała się we mnie. Jutro Marii Magdaleny, dawno już to sobie postanawiałam.

Piątek - 29 maja

Żałobna śpiewana msza rozstroiła mi nerwy. Kolacja na Mokotowie, byłam zgaszona. Krótkość życia czyni z nas śmiesznych maniaków, usiłujących zamknąć w głupich kilkudziesięciu latach maksimum wszystkiego, co jest dostępne dla ludzi na tym świecie. *Vita brevis, ars longa*, lecz nie o jakiejś sztuce kamiennej czy słownej pragnęłabym napisać. *Ars vitae*. W różny sposób pojmujemy tę sztukę życia i błądzimy w ciemnościach pomiędzy wszystkimi siedmiu grzechami głównymi i siedemdziesięciu siedmiu lekkimi. Wszystko jest głupstwem, nawet nie owym: *vanitas*, a zwyczajnie głupstwem.

Niedziela - 31 maja

Korzystam z tej niedzieli i leżę. Prawie na leżąco przyjąłm pannę Starzeńską. Plotki, ploteczki. No, ale tak każe gościnność. Panna Starzeńską wzdycha do dawnych dobrych czasów, gdy w jej biurze królowała Florencja. Obecnie wszystko się urwało, ponieważ mój następca okazał się zimnym draniem. Chce zrobić widocznie karierę w szybkim tempie i idzie po trupach. Moja była koleżanka nie powiedziała tego wprost, ale tak wyglądało, że czekała na jakieś moje powiedzenie: - A może tak tego przyjemniaczka usunąć, skoro jest taki mądry? - Ostatecznie można by to zrobić bez specjalnego wysiłku. Nikt go nie popiera. Wyobraża sobie, że „streberstwem” zrobi karierę. Nic nie przyrzekłam, ale jeszcze o tym pomyślę. W lipcu przyjemniaczek idzie na urlop, można by go w tym okresie przenieść na przykład gdzieś na odległą prowincję. Z powrotem - do jego Galicji. Lubię mądrych ludzi, ale w rodzaju paryskiego filozofa, a nie takich, którzy lecą na innych jedynie dla samej sztuki wyżywiania się w biurokracji. Tacy są najbardziej niebezpieczni i należy ich tępić. Problem karaluchów, mnożą się szybko, gdy się temu w porę nie zaradzi.

Poniedziałek - 1 czerwca

Ufff! Dzisiaj dokonałam wyczynu. Jakoś mi to wychodzi. Obecnie myślę bardzo szybko. W dniu dzisiejszym nasz administrator przedłożył mi do podpisu przedłużenie kontraktu dla lokatora na drugim piętrze. Już miałam położyć podpis na tym akcie, gdy wtem całkiem przypadkowe słowa pana Hołobli naprowadziły mnie na ideę, którą natychmiast zrealizowałam.

Zeszłoroczna umowa z tym lokatorem wyraźnie obejmowała konieczność załatwienia sprawy ewentualnego przedłużenia kontraktu na następny rok najpóźniej jeden kwartał przed upływem roku mieszkaniowego. Momentalnie zdecydowałam się i powiedziałam zimno naszemu rządcy:

- Ach, prawda. Całkiem zapomniałam, że z tym lokalem postanowiliśmy inaczej. Zresztą w kontrakcie jest wyraźnie zastrzeżone, jak pan widzi: uzgodnienie wynajmu na dalszy rok winno nastąpić co najmniej na jeden kwartał przed zakończeniem każdego roku mieszkaniowego. A przecież ten rok kończy się 1 lipca. Ładnie. W porządeczku. Lokator nie powinien mieć o to żadnych pretensji. Widocznie nie zależało mu na mieszkaniu u nas.

W dwie godziny później przeżyłam wizytę wzburzonego sąsiada. Przyjąłm go uprzejmie, lecz chłodno i nie ustąpiłam z pozycji.

- Zapłacił pan co prawda komorne za rok z góry, nic jednakże nie włożył pan ani w remont mieszkania, ani w odstępnę. Sytuacja jest gładka, zresztą trzeba było w porę zawiadomić nas o pańskim zamiarze przedłużenia kontraktu na rok następny. W kontrakcie było to wyraźnie zastrzeżone.

Gość wzburzony zachowywał się dość niegrzecznie, mówiąc, że jeszcze nic nie wiadomo, ponieważ on napisze zaraz do pana doktora Jambora i tak dalej.

Odpowiedziałam mu w sposób pański, przez zęby:

- Ależ proszę, proszę bardzo. Właśnie ze stryjem kończymy sprawę... nabycia przeze mnie tego domu.

Gościa zatkało i opuścił moje mieszkanie tak wściekły, że zapomniał powiedzieć: do widzenia. Wierzę, że go to wytrąciło z równowagi. Nauczy się w przyszłości zawierać inne kontrakty najmu i lepiej będzie pamiętać o sprawach dnia codziennego. Jestem całkowicie w prawie, na kontrakcie nawet mucha nie usiądzie.

Na wszelki wypadek zaraz jutro w biurze napiszę polecony ekspres do Montreux. Moja decyzja była prosta i krótka. Odnowię mieszkanie po tym lokatorze i połączę je z moim obecnym mieszkaniem. Co mam sobie żałować! Gdybym ostatecznie wyszła za mąż, to nie miałabym gdzie ulokować tego męża. Swoją drogą z tym kontraktem draka pierwszorzędna. Nauka nie idzie w las, dobrze się nadumałam nad karteczkami, na których były wypisane warunki kupna dwóch genewskich kamienic. O ile sobie przypominam, to nie jest jakiś bliższy znajomy czy też bezpośrednio czyjś protegowany. Taka sobie, zwykła znajomość w dół. Zresztą podobno zamożny i było mu wygodnie mieszkać przy spokojnej ulicy Hortensji w środku miasta. Co najwyżej będzie opowiadał o mnie, że jestem jędza. Niech sobie. Prócz komornego grosza prawie nie włożył w to mieszkanie.

Wtorek - 2 czerwca

Sąsiad porusza niebo i ziemię. Znalazł drogę nawet na Mokotów. Władkowi powiedziałam, że mnie obraził w moim własnym mieszkaniu, że znalazł się w sposób nieprzyzwoity, a przyjaciółce wyznałam całą prawdę. Początkowo nic nie mówiła, ale po chwili odtajała i przerzuciła się na wesoły ton:

- Może masz rację, w każdym razie podziwiam twoją szybkość decyzji. A zatem, Anno, myślisz czasami troszeczkę o małżeństwie?

Wieczorem ściągnięto mnie na Mokotów. Kolacja była z gadaniem. Po północy, dopiero przed chwilą, wróciłam i z bloczkiem w ręce rozmyślałam nad tą hecą. Prawdziwa awantura arabska.

Na jutro zamówiłam sobie naszego budowniczego, niech wszystko pomierzy i zaprojektuje. Ciekawa jestem, co powie Marcin, napisałam mu w liście: „Mam zamiar wyjść za mąż i dlatego historia z kontraktem wpadła mi w ręce jak z nieba”.

Czuję, że dzisiaj nie zasnę z emocji.

Piątek - 5 czerwca

Dzisiaj po południu odwiedził mnie administrator w charakterze parlamentariusza. Ofiarowywał w imieniu lokatora kwotę dwóch tysięcy złotych jako zwrot kosztów remontu, bez konieczności kwitowania odbioru tej kwoty. Głupiec. Roześmiałam się i powiedziałam kilka słów, które zaskoczyły naszego totumfackiego:

- A ile przyrzekł panu, panie Hołobla?

Próbował zapierać się, ale po chwili przyznał się do przyrzeczonego mu tysiąca złotych, jeżeli mu się uda nakłonić mnie do podpisania kontraktu na dalsze trzy lata.

Śmiałam się perłowo, jak to określają u nas na Pomorzu. W milczeniu otwarłam szufladkę biurka po moim dziadku Benonie i wyjęłam z niej książeczkę czekową. Napisałam na czeku tysiąc złotych cyfrą i słownie, po czym podałam czek naszemu rządcy.

- Oto pański tysiąc złotych - powiedziałam - pan, panie Antoni, ma szczęśliwą rękę w moich interesach.

Czarna kawa i mocny koniak dokończyły reszty. Lokator i tak ubędzie z domu w terminie, a w panu Hołobli utwierdziłam w ten sposób opinię o sobie jako o dobrej kupcowej.

On na moje interesy patrzy jeszcze z perspektywy lakierów z Nowego Światu. Anna Jambor od tego czasu odsunęła się w przyszłość w siedmiomilowych butach.

Jutro obejrzę projekt naszego budowniczego. Już rozważał na podstawie planów możliwość przebudowy mojego piętara i powiedział, że nie będzie specjalnych trudności. W starym domu przeróbki nie są trudne, mury są mocne. Po prostu wybuduje się nową ścianę w klatce schodowej i przedsionek schodowy skróci się do niezbędnej szerokości. Równocześnie przesunie się ścianę środkowego pokoju od frontu o jakieś dwa metry ku oknom i w ten sposób uzyska się miejsce na urządzenie nobliwego hallu. Wszystko jest do wykonania w krótkim czasie. Na pewno nie będzie kosztowało tych pięciu tysięcy, które nasza spółka musiała wypłacić lokatorowi z pierwszego piętara. Ale on miał kontrakt jeszcze na dwa lata. A nawet dłużej, ponieważ do końca 1938 roku.

Jakoś wszystko się kręci pod dobrą datą.

Wtorek - 9 czerwca

Zośka od niedzieli, jak zwykle w interesach. Już znać jej ciążę. Śrubki w rozkwicie. Sporo wiadomości. Ona również dostała od naszego brata wyłożoną tekturkę, ale na tym koniec. A zatem tylko jedyny Heinrich został uhonorowany listem z fotografiami. Nic dziwnego, oni obaj wychowali się razem. Zośka zostaje do jutra.

Piątek - 12 czerwca

Wczoraj byłam na obiedzie u młodych Orzechowskich. Obaj panowie L. oraz starsza pani Orzechowska. Próbuje mi matkować. Dalszy ciąg wielkanocnej rozmowy z panem Rudolfem. Miałam ochotę zapytać: - Czy pan wie o tym, że rodzina nas swata? - Ale dałam spokój, ponieważ w pobliżu kręcił się jego ojciec i nie było okazji.

Sobota - 13 czerwca

Lokator napisał do mnie „taki sobie” list. Dalszy ciąg grubiaństwa. Widocznie próbuje tą drogą, ale nie rozumiem jego idei.

Niedziela - 14 czerwca

Wczesnie rano był telefon z Montreux. Dzwoniła Florencja. Marcin w Paryżu. Zdążył przeczytać mój list przed wyjazdem. Podobno śmiał się z mojego pomysłu z małżeństwem. Zgodził się na powiększenie mieszkania, zastrzegając, abym z zawarciem małżeństwa odczekała przynajmniej do jego przyjazdu, co ma nastąpić dokładnie w ten piątek. W sobotę wielkie przyjęcie na dwadzieścia osób na pierwszym pięttrze. Rozumiem, że to związane z nieobecnością naszego profesora. Naturalnie kupa zleceń. Byłam zmuszona wziąć do ręki bloczek i ołówek. Całe szczęście, że rozmawialiśmy po niemiecku, gdyż nie było słyhać dobrze.

Jutro przyjeżdża do Warszawy stryj Józef.

Poniedziałek - 15 czerwca

Nasi radcowie prawni rozpatrywali dzisiaj treść listu mojego sąsiada z drugiego pięttra. Na prawniczej stronie odmowy przedłużenia kontraktu rzeczywiście nawet mucha nie siądzie. Byłam całkowicie w prawie, umowa zabezpiecza to w sposób bezsporny. W dodatku sposób wynajęcia oraz wysokość komornego bez zwrotu kosztów wyłożonego remontu i odnowienia mieszkania były w istocie natury grzecznościowej. Sedno rzeczy leży w tym, że pan inżynier napisał wyraźnie: „Postępuje pani gorzej niż Żydzi”! No i na tym koniec, list został napisany wyraźnie, własną ręką podpisanego, podpis czytelny, inżynier w dodatku zrobił kopię tego listu i dał ją do przeczytania panu Hołobli z dodatkiem słownym: - A to jej napisałem. Pójdzie babie w pięty! - Wszystko nosi znamiona obrazy osobistej i murowany wyrok w sądzie.

Trzeba naprzód myśleć, a później dopiero mówić. Z pisaniem jeszcze gorzej, najlepiej nie pisać. Mam go w ręce. Osobiście potraktowałam tę sprawę z humorem, ale jeden z radców wziął na kiel i powiedział: - Takim chuliganom nie wolno przepuszczać. Jutro sprawa zostanie odpowiednio nakręcona i najdalej pojutrze zostanie wniesiona skarga do sądu. - Rzeczywiście tragifarsa, ponieważ większość udziałów przedsiębiorstwa, w którym pracuje autor listu, należy właśnie do... Żydów.

Przyznam, że mnie to wszystko mało obeszło, będę się przyglądała całej hecy z oddalenia. Przecież nawet moja obecność w sądzie nie będzie konieczna. *Scripta manent.*

Środa - 17 czerwca

Wieści przez administratora. Facet odgraża się, że nie opuści mieszkania. Strachy na lachy, chociaż swoją drogą wobec zbliżających się wakacji sądowych wyrok i eksmisja mogłyby odwlec się o kilka miesięcy. Zobaczmy, kto kogo przetrzyma.

Budowniczy uzgodnił ze mną dzisiaj szczegóły przebudowy na pierwszym piętrze. Całość potrwa najwyżej trzy do czterech tygodni. Wszystko obmyślane już w ostatecznym kształcie. Mam pewien pomysł, który pozwoli mi wykorzystać jako motyw herby rodziny von Jamsborg, a także motyw akacjowy z willi „Acacia”. Przywiozłam też sobie fotografię Mehofferowskiego witrażu.

Spółka drzewna puszcza się również na luksusy. Mają być zmienione stopnie na schodach. Nowe stopnie dębowe, czarne, okucia mosiężne i czerwony dywan z parteru do drugiego piętra. Trzecie piętro pozostaje na razie bez zmian. Zresztą w obu wypadkach znajomi i nie przeszkadzają. Jedna z rodzin buduje sobie w tym roku willę w Radości. Mają wyprowadzić się już w jesieni, to są ci z większym mieszkaniem.

Naturalnie założenie kaloryferów w nowym lokalu naszej spółki na pierwszym piętrze oraz w przedłużeniu mojego piętra. W związku z tym przebudowa kotłowni, ponieważ stary piec nie był obliczony na takie powiększenie. To pokryje już spółka akcyjna. Co do moich kosztów, to w przybliżeniu około siedmiu tysięcy. To są naturalnie koszty przebudowy w surowym stanie, bez artystycznych dodatków, jak szafy, kraty, oświetlenie, pomalowanie i tapetowanie. Te rzeczy osobno. Wszystko jest już pomierzone, zaprojektowane i wszystko się wykonuje w przyspieszonym tempie.

Sporo to pochłonie gotówki, ale przecież to moje pierwsze w życiu koszty urządzania mieszkania. Dotychczas wszystko robiły mi ciotki, ale według własnego gustu. Niechże choć ten jeden raz będzie po mojej myśli!

Czwartek - 18 czerwca

Nasi radcowie umieją chodzić koło interesów. Termin rozprawy sądowej został wyznaczony już na 2 lipca. Jutro zostanie doręczone stronom zawiadomienie o terminie. Rada byłaby zobaczyć niewesołą minę pana inżyniera. Cała sprawa była dotychczas trzymana w ścisłej tajemnicy. Stryj Józef co prawda powiedział mi krótko: - Na co tobie, dziewczyno, taka głupia sprawa w sądzie? - ale ja jestem innego zdania. Dlaczego mam pozwolić na wypisywanie do mnie ordynarnych listów? W dodatku ten zwrot: „gorzej niż Żydzi”. Zresztą jutro przyjeżdża Marcin, zobaczymy, co on powie.

Sobota - 20 czerwca

Na dole przyjęcie na większą ilość osób. Całkowicie zamknięte towarzystwo. Nie wezwano mnie, abym pełniła rolę honorowej damy, sami panowie. W dodatku nawet bez stryjka Józefa. Ten przynajmniej postąpił dyplomatycznie, wsiadł rano do samochodu i pojechał w okolice Białegostoku w interesach drzewnych. Wraca dopiero we wtorek. Marcin zostaje do końca miesiąca. I będzie sporo czasu na rozmowy.

Dobrze wyczułam. Marcin był oburzony treścią listu. Inżynier usiłował rozmawiać z nim już w rannych godzinach. Było to wkrótce po mojej wstępnej rozmowie ze strykiem. Podobno wpuszczono gościa do przedpokoju, a dopiero później, gdy Karol meldował Marcinowi jego przybycie, ten powiedział przy otwartych drzwiach: - Nie ma mnie w domu dla tego pana ani dzisiaj, ani w ogóle. - Tego samego dnia po południu doręczono lokatorowi zawiadomienie o terminie sądowym.

Diabli mnie biorą. Godzina ósma. Najlepiej będzie, gdy się przebiorę i pojedę na Mokotów. Niech sobie - Bracia - radzą i jedzą w spokoju.

Niedziela - 21 czerwca

Marcin wysypiał się przed południem i dopiero koło godziny drugiej, zgodnie z wczorajszymi projektami, wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy starym szlakiem do „Wierzbickiego” w Radomiu. My, to znaczy dwoje z Mokotowa, Marcin i ja. Wieczorem usiedliśmy spokojnie u mnie w mieszkaniu i przegadaliśmy prawie do północy. Interesy, interesy. Nic nie mówiłam, jedynie słuchałam i notowałam sobie wszystko w myślach.

Wtorek - 22 czerwca

Szybko działają. Nasz inżynier otrzymał dzisiaj wypowiedzenie posady, którą zajmował. Ponadto okazało się, że cały jego dobrobyt opierał się wyłącznie na dochodach z tej firmy. Zarabiał sporo i wydawał wszystko od ręki, dzięki czemu stwarzał pozory majątku. Wypowiedzenia nie oznajmiono mu w dodatku przez dyrektora. Ten wyręczył się listem bez koperty, posłanym przez panienkę z sekretariatu w celu pokwitowania odbioru na dołączonej kopii. Gdy domagał się wyjaśnienia, dyrektor go nie przyjął i kazał mu powiedzieć przez woźnego, że sam powinien odpowiedzieć sobie na to pytanie. W dodatku zwykle trzymiesięczne wypowiedzenie. Na tak kruchych podstawach gruntował się dobrobyt mojego sąsiada. A kłaniał mi się na schodach dość pospolicie i jakby z łaski. Ale to ostatecznie taka sobie urzędnicza historia. Marcin mówi, że wszystko dobrze. Gdy taki pan pochodzi trochę szukając nowej posady, wyjdzie mu to na zdrowie. W dodatku tak dobrze płatnej nie znajdzie, a w Warszawie będzie mu w ogóle trudno o posadę, chyba w... Oenerze.

Środa - 24 czerwca

Osobliwa próba pojednania. Adwokat naszego przeciwnika zapytywał na razie prywatnie mojego radcę prawnego, czy nie zgodziłabym się na wzięcie udziału w konferencji pomiędzy obu adwokatami. Odmówiłam, oświadczając, że sprawa jest dostatecznie jasna i że uważam moją obecność przy tego rodzaju rozmowach za całkowicie zbędną, podobnie jak moją obecność na rozprawie w sądzie.

Dzisiaj oglądaliśmy wspólnie z Marcinem szczegółowe projekty przebudowy mojego piętra. Marcin nic nie mówił, jedynie po odejściu budowniczego powiedział mi:

- Słuchaj, Anno, wydaje mi się, że ty jakoś mało myślisz o zlikwidowaniu warszawskich interesów. Przebudowa mieszkania to drobiazg, dziecinna zabawka, jak by to określić, ale ostatecznie byłby już czas, abyś to wszystko...

W kwestii małżeństwa zdanie Marcina jest raczej neutralne, uważa to za sprawę delikatną i wybitnie osobistą. Powiedział mi otwarcie:

- Taki mąż czy inny to ostatecznie nieważne. Uważaj jednak, aby ten mąż - z wyboru rodzinnego otoczenia - nie zaciążył zbyt mocno na twoim życiu osobistym i na twojej przyszłości. Łatwo jest wyjść za mąż, trudniej jednak odczepić się od kogoś, kto dopiero później pokaże rogi i okaże się niemożliwy w bliższym pożyciu. Co do mnie, to nie mam zbyt wielkiego przekonania do oficerów. Władek był wyjątkiem, chociaż i on czasami umie bryknąć. Dobrze przynajmniej, że jego żona potrafi to wszystko utrzymać w garści. Ociosała go, ale ile to kosztowało trudu. W dodatku nie podobają mi się te szlacheckie wygłupiania się

starego Liteńskiego. Można i tak, ale trzeba wiedzieć, gdzie i z kim. Gdybyż to było tylko „gonienie się królików” w głowie byłego c. i k. biurokraty galicyjskiego, ale ten pan Franzl naprawdę żyje już niepotrzebnie na obecnym świecie. Żebyż to była tylko pozycja na fotelu w kącie pokoju i z kartami do pasjansa w ręce. To może być jednak wielka dziura bez dna w twoim przyszłym małżeństwie.

Czuję, że moje tłumaczenia wypadły blado. Bo i cóż powiedziałam Marcinowi? Staralam się podejść z humorem i na wesoło:

- No i cóż mam robić? Florencja zalecała mi raczej wzięcie sobie kochanka niż wychodzenie za mąż dla samego małżeństwa. Ale ostatecznie kochanek kochankiem, a latka lecą. Później byłoby trudniej ze znalezieniem męża, a wyczekiwać na jakąś nagłą i niespodziewaną miłość... To nie jest tak łatwo i kwestia jakiegoś szczęśliwego, a bardzo rzadkiego wypadku. W jaki sposób zresztą odróżnić prawdziwą miłość od dziesiątka innych porywów, które wybuchają szybko i gasną jeszcze szybciej? Pan Liteński daje w pewnym stopniu gwarancje, wszyscy w rodzinie znają go i jego ciotka Orzechowska...

W tym miejscu Marcin przerwał mi i machnął ręką beznadziejnie na wspomnienie pani Orzechowskiej:

- To są tylko - powiedział - czarujący ludzie, dobrzy jako partnerzy do odbycia wspólnej podróży zagranicznej. Zresztą nie dziwię się im, że starają się ubić interes z ożenieniem Rudolfa w rodzinie.

Ostatecznie nie przekonałam stryja Marcina do pana Liteńskiego i widząc beznadziejność problemu skreślił znowu na sprawy finansowe. To już sama wiedziałam. Kobieta w moich warunkach byłaby głupia i lekkomyślna, gdyby wypuściła pieniądze z rąk.

Marcin zdziwił się, że ustaliśmy to na zimno i bez omówienia spraw bezpośrednio. Bo do tej chwili nie było między nami ani jednej rozmowy na ten temat. A przecież w tym roku już chyba z dziesięć razy spotkałam się z panem Rudolfem w różnych lokalach, ale zawsze było to w licznym towarzystwie. Ostatecznie trzeba będzie tę sprawę załatwić i omówić.

- No i cóż - powiedziałam. - Mówisz, że pojmuję sprawę w sposób kupiecki. Co mam jednak robić? Dokonać wyboru męża przy stoliku kawiarnianym, z anonisu w gazetach, przez biuro kojarzenia małżeństw czy też spośród tych, którzy zaczepiają mnie od czasu do czasu na ulicy?

- Tylko żeby ci ten mąż nie zaciążył na całym życiu. Ty, Anno, podchodzisz do tego problemu identycznie, jak przy przebudowie mieszkania. Masz możliwość, masz pieniądze, zwidziało ci się i od razu za telefon, budowniczy przyjdź i budowniczy wal ściany w domu stryjka Marcina.

Oboje roześmieliśmy się i na tym zakończyły się nasze rozmowy o małżeństwie.

Poza tym wiele miłych pozdrowień od Hornów i z Paryża. Mnóstwo nowych fotografii. Patrycja wyjątkowo zdrowa, marzy o wyjeździe z dziećmi nad morze. Kupili małą fermę koło St. Malo i właśnie w niej urządzają sobie tegoroczne wakacje. Zaproszenia. Idylla, własna krowa, własna plaża, trochę dzika, jak wszystko jeszcze dotychczas w Bretanii.

Czwartek - 25 czerwca

Nic nie wskazuje na to, żeby inżynier wyprowadził się na pierwszego lipca. Trochę mnie to denerwuje, ponieważ sprawa może przeciągnąć się do jesieni, ale trudno. Zresztą do pierwszego już niedaleko, kilka dni.

Dzisiaj odbyła się wielka narada w sprawie nowych akcji. Tylko rodzina. Obaj - stryjkowie, Mr David, generał i ja. Zresztą więcej nie potrzeba. Pojutrze urządzam śniadanie, miejscowi członkowie rady nadzorczej, prezes Fajans, doktor Szarski i krewny Loreta z lasów, nie mogę jakoś zapamiętać jego nazwiska. Wieczorem duże przyjęcie na Mokotowie, imieniny Władka. Wyśmiewałam się dzisiaj, że kupię mu w prezencie tuzin krawatów. Prezent już mam, w postaci obrazu Jana Moniuszki. W wojskowym guście, pośrodku płotek

wiejski, z jednej strony młoda dziewczyna, z drugiej ułan napoleoński. Tanio nabyłam za pośrednictwem pana Ciesielskiego z ulicy Brackiej, tego samego, który w swoim czasie odświeżał miniatury z góreckich strychów. Wstąpiłam do niego, by się dowiedzieć o adres jakiegoś malarza, który mógłby wykonać dla mnie olejne powiększenia czterech miniatur znalezionych w skrytce biurka po dziadku Jamborze. Trudno bowiem zawiesić na ścianach nowych pokoi same krajobrazy i kwiaty.

Prezent dla generała jest w guście wojskowym, względnie tanio, osiemset pięćdziesiąt złotych plus sto dziesięć złotych za nową stylową ramkę, ponieważ stara była mocno zapluskwiona.

Niedziela - 28 czerwca

Wczoraj rano zjawili się goście z Górek i ze Starej Wsi. Komplet z wujciem Benedyktem na czele. Nie byłam w biurze, brak na to czasu. Rozmowy. Głupia sytuacja. Wszyscy znajomi uważają nas za skojarzoną parę narzeczeńską, a tymczasem nie dochodzi do skutku żadna konkretniejsza rozmowa między nami. Owszem, pan Liteński trzyma się w cuglach. Wygląda korzystniej bez ojcowskiego tła na bliskim horyzoncie. Tylko w dalszym ciągu jeszcze karty, które mnie się nie podobają, nie tyle same karty, co raczej sposób gry.

Leokadia zachwycona projektem przebudowy mieszkania. Ofiarowała się z gotowością wypróżnienia na te cele do reszty lamusa na strychach w Górkach. Taka sama gotowość ze strony pani Orzechowskiej: - Moje kochane dziecko! - Ale coż robić! Może to jest naprawdę serdeczna życzliwość?

Dzisiaj po południu odbyła się nowa konferencja pomiędzy adwokatami. Mój radca prawny zawiązał się. Mówił mi, że szykuje się z mówką na temat pisywania listów. Inżynier winien pilnować cyrkli i rysownicy, a nie brać się do literatury listowej.

Rozmowy - rozmowy. Leokadia zostaje u mnie cały tydzień. Później pojedzie na kilka dni do Poznania, a w połowie lipca ma zamiar wylądować w Montreux.

We wtorek zaręczyny pani Lucyny. Oficjalne, z podejmowaniem gości. Na razie mieszka w dwóch pokojach w willi na Mokotowie. W przyszłości mają zamiar umieścić się w domu przy ulicy Narbutta. Popatrz, popatrz... Trzeba będzie pójść i wysadzić się na jakiś prezencik. Może tylko kwiaty? Nie wiem, zapytam się generałowej.

Poniedziałek - 29 czerwca

Dzisiaj po południu doszło w gabinecie mojego radcy prawnego do ugody. Inżynier ma własnoręcznie napisać list przeproszający mnie. Ceremonia odbędzie się w przytomności mojego administratora i stróża, wobec których lokator odgrażał się w stosunku do mojej osoby. Jako świadkowie występują obaj adwokaci. Treść oświadczenia o charakterze wprost poniżającym i płaszcącym. Wyprowadzka jutro przed południem, scena z Canossą w gabinecie mojego radcy prawnego o godzinie siódmej wieczorem. Tak to bywa w życiu.

Jutro wrócę do domu dopiero po pożegnaniu stryjka Marcina na dworcu. Obiad zjem w mieście, popołudnie spędzę na oglądaniu ulicy Narbutta, wieczór na zaręczynach pani Moderskiej, późnym wieczorem przy pociągu z Marcinem. Co do prezentu, to tylko kwiaty. Mam poczekać z tym do ślubu. Wirewiczowa jakoś nie wierzy jeszcze w to małżeństwo. Lucynka już kilkakrotnie robiła kawały z zaręczaniem się. Co do mnie, jestem innego zdania, Mizresowi zależy na tym i przeprowadzi interes do końca.

Wtorek - 30 czerwca

Gdy wróciłam do domu z dworca, zastałam klucze na stoliku w przedpokoju. Klucze od mojego dawnego mieszkania. Od jutra zacznie działać nasz budowniczy. Teraz, gdy to wszystko już się skończyło, odczuwam pewnego rodzaju niesmak na wspomnienie głupiej historii z inżynierem. Może byłoby prościej dać kilka tysięcy odczepnego i pozbyć się go w

sposób normalny? Ale skończyło się. W życiu bywa rozmaicie, nieustannie musimy być przygotowani na ochłapanie nas błotem przez samochód lub na oplucie przez kogoś z okna, gdy przechodzimy ulicą.

Leokadia porzuciła mnie na dworcu i zabrała się na godzinkę do młodych Orzechowskich. Wróci zapewne późno. Sama jestem i właśnie, dzisiaj bardziej niż kiedy indziej pragnęłabym z kimś życzliwym porozmawiać, bodaj się po dziecinnemu uzalić. A tu tymczasem puste ściany mieszkania i na pociechę dwie pastylki weronalu, które zażyję, gdy położę się do łóżka. Piszę te słowa po swojemu, w salonie, który *al giorno* oświetliłam. Starym zwyczajem siedzę mocno wcisnięta w stary fotel przed portretem mojej prababki Anny. Uśmiecha się do mnie, zdaje się występować z ram mocno wyverniksowanego i błyszczącego portretu, malowanego ręką jej kochanka i mojego pradziadka równocześnie. Kochanka, ponieważ to było małżeństwo z miłości. Była szczęśliwsza ode mnie. Kochała, wyszła za mąż z miłości. A ja? Cóż, wszystkiego w życiu nie można posiadać. *Non possum velle picut vellem...*

Środa - 1 lipca

Dzisiaj po południu opuścił mnie stryj Józef. Zostaję sama z Mr Davidem do połowy miesiąca. Stryj udaje się do Londynu, mają dokonać tam zamknięcia półrocznych rachunków.

Od jutra zaczyna działać nasz burzymurek. Również jutro od samego rana mają opróżnić mój obecny gabinet. Komenderuje pan Karol Petras. Budowniczy tańczy koło mnie, przecież włożyłam mu do ręki złote jabłko w postaci ulicy Narbutta. Wirewiczowie posiadają pieniądze i budowniczy nie ma z tym kłopotu. Zdaje się, że dali mu do poznania, iż nie skończy się na tym jednym domu za dwa miliony. A w Warszawie mówią, że budowniczowie co trzeci dom stawiają dla siebie. Co mnie do tego, grunt, że wykończy w terminie przebudowę mojego mieszkania. Dał słowo, że odda mi robotę całkowicie wykończoną w sobotę dnia 25 lipca. W niedzielę przypadają moje imieniny i mam zamiar urządzić pierwsze naprawę porządne przyjęcie.

Poza tym wokół mnie szary zwyczajny dzień i te same, co dawniej, kłopoty. Zdaje się, że już pojutrze wejdę do mieszkania kuchennymi schodami. Można jednak trochę pocierpieć.

Czwartek - 2 lipca

Dzisiaj przed południem zawiozłam do banku paczkę z akcjami. Odcięłam kupony za rok bieżący, a owe kilkanaście tysięcy w innych papierach oddałam do sprzedania na giełdzie. Dałam równocześnie zlecenie zakupu pięćdziesięciu tysięcy nominalnych w Warszawskich Listach Zastawnych. Postanowiłam ustalić się w tych papierach, będę miała okrągło trzysta tysięcy. Papiery w sejfie, za dużo kręci się w pobliżu robotników.

Sobota - 4 lipca

Dzisiaj Leokadia wyjechała do Górek na dwa dni. We wtorek jedzie do Poznania, spotkamy się w Górkach w przyszłą sobotę wieczorem, mówi, że wróci do Polski na moje imieniny, nie wierzę, nie będzie się jej chciało. Ale trudno. Ona ma również swoje cele w życiu, właśnie w postaci podróżowania. Na razie łamię sobie głowę, czym wypełnić gołą ścianę w hallu. Według rysunku 620 cm na 420 cm, licząc od podłogi do sufitu.

Ano, na razie chodzę... kuchennymi schodami.

Wtorek - 7 lipca

Z akcjami załatwione. Dopłaciłam gotówką 3145 złotych. Schowałam do sejfu dalsze pięćdziesiąt tysięcy w Listach Zastawnych. Na moim koncie pojawiła się kwota dwudziestu pięciu tysięcy złotych z inkasa weksła Zośki - dotrzymała słowa. Gdy poczta doręczyła mi zawiadomienie, uśmiechnęłam się do tej cyfry. To była przecież ostatnia niteczka łącząca

mnie z Pomorzem i z moim rodzeństwem. Koniec, finis, amen. Jutro załatwię w Banku Gospodarstwa Krajowego całkowite spłacenie długu ciężącego na rabczańskiej willi. Niech moja mała siostra ma dom z czystą hipoteką. To będzie spokojne zabezpieczenie jej wychowania i wykształcenia.

Czwartek - 9 lipca

Odwiedził mnie mądry urzędnik. Interes bardzo prosty. Jego koledzy szkolni pracują na kolei przy zakupach. Chodzi w tym wypadku o nabycie większej partii dobrej czerwieni do malowania sygnałów. Obliczyli na circa sto trzydzieści tysięcy złotych netto loco Paryż, na tych samych warunkach jak pierwszy interes. Trochę drożej, ponieważ dwadzieścia tysięcy dla niego, około trzech tysięcy więcej, niżby to wypadało z rachunku, ale to jest kombinowany interes ze współnikami. Zgoda, załatwię. Interes do szybkiej realizacji. Oni mają już w rękach ofertę firmy „Sol”, która posłużyła im do skalkulowania Paryża. Oby tylko, ale co do tego, jestem pewna... Firmie „Sol” pójdzie interes koło nosa, właśnie ten interes, o którym opowiadała mi niedawno pani Lucynka z takim entuzjazmem i wypiekami na twarzy. Dobrze, że nikt w sklepie nie widział papierka z moją umową z „Czterema Kamieniami”. To nie byłaby lektura dla nich.

Właściwie jeżeli o mnie chodzi, przestałam interesować się dniem codziennym moich lakierów. Zbyteczne, obie panie pilnują swoich interesów, a tym samym i moich.

Natychmiast po odejściu gościa napisałam oględny list do Paryża, wprost na ręce Temmi. Można by właściwie pomyśleć o uzyskaniu zniżki celnej dla moich lakierów, chociaż kto wie, czy to byłoby możliwe wobec naszych obecnych, przyjacielskich stosunków z Niemcami. Może nawet lepiej nie ruszać tej dziedziny. Obecnie i tak tylko moje lakiery konkurują z niemieckimi i jakoś na rynku uspokoiło się. Dziwi mnie tylko to, że dotychczas żydowscy hurtownicy w Warszawie kupują na obie strony. Muszę zainteresować tą sprawą naszego doktora Mizresa.

Był telefon z Poznania. Leokadia przypomina sobotę. Mieszka naturalnie na Wyspiańskiego. Sprawę z BGK załatwiłam. Kwit mazalny dla hipoteki prześlą bezpośrednio do Rabki pod adresem małej właścicielki. Już wysłałam list w tej sprawie do pani Woźnikowej. Na książeczce oszczędnościowej Marty będzie przybywać obecnie cztery tysiące osiemset złotych rocznie, niech ma tę przyjemność, a obie panie na pewno tego dotrzymają.

Piątek - 10 lipca

Od rana Franuś Świetlik w gościnie. Interesy kończy jutro rano, może namówię go na wycieczkę do Górek. Chodził po rozgrzebanych pokojach i kiwał głową. Robi mi wymówki, że nigdy nie odwiedzam ich w Katowicach. Ale kiedy? Czy oni zdają sobie sprawę z tego, że ja nie mam czasu na jakieś własne przyjemności? Przecież dobrze łamię sobie głowę nad wszystkim.

W tę niedzielę będą również pracować.

Poniedziałek - 13 lipca

Leokadię poniosły moje sprawy z urządzaniem mieszkania i zostaje w Polsce do moich imienin. Przyjechała ze mną do Warszawy i mówi, że będzie siedzieć murem. To znaczy, że będzie latać, a po trochu z nią i ja. Wróciłyśmy do Warszawy dopiero dzisiaj rano. Do biura przyszałam dobrze po dziesiątej. Wczoraj byłyśmy w kościele na pierwszej mszy, to znaczy o szóstej rano. Mimo niedzieli przejrzałam do reszty strychni. Leokadia mówi, że same książki będą ważyć chyba ze trzy tony.

Zabiorę jednak tylko połowę, nie wypada jakoś obdzierać Górek do szczętu. Maksiu nie mówił, nawet nam pomagał, mimo że ma głowę nabitą zniwami. W południe przyjechali

państwo Orzechowscy i zostali na obiedzie. Zabiorę wszystkie obrazy ze strychów i oprócz tego osiem z dołu. Według mojego wyboru. Prócz tego dostanę od Leokadii kompletny salon w stylu Ludwika XVIII, mocno zniszczony, trzeba będzie dorabiać jeden fotel. Do tego olbrzymi zyrandol z kryształami, na trzydzieści sześć świec, dotychczas jeszcze nie przerobiony na elektrykę. Jutro jedzie po to wszystko pan Petras z dwoma samochodami ciężarowymi.

Ciekawe, czy protegowani pana Ciesielskiego skończą olejne powiększenia miniatur? Całość cztery tysiące bez ram, pięć portretów, maluje trzech kopistów, każdy po parze małżeńskiej, rodzice Martina i rodzice jego matki. Pastora maluje kto inny, podobno kobieta. Wszystkie portrety w stylu epoki, wyverniksowane, gładkie, szkoła monachijska, z herbami u góry. Naturalnej wielkości głowy i popiersia. Ramy zostaną wzięte ze starych obrazów, przycięte i jedynie odnowione. Robota podobno już daleko posunięta. Czeka mnie jeszcze zapłacenie rachunku za materiały do tych portretów, płótno i farby, kwestia starych ram, oraz prowizja dziesięciu procent dla pana Ciesielskiego za zmontowanie całości. Pewnie około dwóch tysięcy. Prędko, ponieważ wakacyjny okres. Majster pociesza mnie, że wszystko będzie gotowe już koło dwudziestego. Zastrzegłam się, aby portrety nie wyglądały na zbyt nowe, aby dodano im sztucznie pewnej starości. Pan Ciesielski uśmiechnął się i powiedział, że to rozumie się samo przez się, łącznie z użyciem właściwego stylu w malowaniu, które musi być dokładne i wymuskane, w stylu końca osiemnastego wieku. Widzę, że rozumie się na rzeczy.

Nie mogę skarżyć się w tych dniach na brak urozmaicenia.

Czwartek - 16 lipca

Szwagier Strękociński! Od razu prosto do mnie w gościnę, jak chłopci na wsi. Uważa to za całkiem naturalne. Pomieściłam go na dole w pokoju gościnnym. Ma zostać kilka dni, bardzo mi nie w porę. Chyba nie będzie wymagał adorowania? Na razie dość mrukliwe rozmowy, on umie gadać tylko o swoich maszynach do wyrobu śrubek, typowy inżynier. Kupili właśnie czwarty automat za czterdzieści sześć tysięcy marek. Chodzi o cło i o pozwolenie przywozu, trzeba będzie mu to załatwić. Mam w Komisji Przywozowej prezesa Purskiego, a zatem dość gładko, przypilnuje panna Starzeńska. Trzeba będzie jej za to...

Dzisiaj zaczęli gipsować sufit w moim dawnym gabinecie. Tapety w bardzo odważnym guście. Fiołkowy kolor ze złoceniami. Wytłaczane. Ostatecznie tło we fiolecie, drobne bukietki, drobna siateczka w złotym brązie. Pan Geldhab powiedziałby: - Bardzo droga tapeta. - Ja mówię skromnie: - Tapeta według wyboru tego młodego rysownika, którego już poznałam. - W szczegółach inwencja i wylatywanie ciotki Leokadii po sklepach. Niemała to robota. Zasłony do okien i tiule według wyboru artysty-tapicera. Ten ostatni jest naprawdę artystą.

W biurze jestem gościem, ale obecnie są wakacyjne ogórki. Pies z kulawą nogą nie zachodzi do mnie, dają mi żyć.

Sobota - 18 lipca

Meble poszły wprost do stolarza, obrazy na Bracką. Głupstwo. Nie żyjemy w czasach Hrabiego Monte Christo, nie mam pod ręką milionów i Bertuccia, opat Feria nie podarował mi tajemnicy skarbów po ostatnim księciu Spada. W najgorszym razie wyprawię imieniny na pierwszym piętrze.

Postanowiłyśmy z Leokadią, że gościom pokażę jedynie nowy hall i stary przebudowany gabinet. To i tak będzie bardzo dużo! W terminie będą dalsze pokoje, ale w stanie surowym, plus centralne ogrzewanie i wszystkie roboty instalacyjne.

Dwa lub trzy lata temu byłabym się irytowała. Szwagier ściągnął na obiad jakichś dwóch nieznanym mi panów. Cywilni urzędnicy z ministerstwa spraw wojskowych, którzy

załatwiają sprawy dostaw. To nic, że wprowadził ich przez kuchenne schody, ale tacy goście na obiedzie bez uprzedzenia! Leokadia była zła, natomiast ja zaśmiewałam się jak mała dziewczynka. Tylko tyle, że po obiedzie wykręciliśmy się z domu, a szwagier Strękociński podejmował ich w dalszym ciągu czarną kawą, cygarami i koniakami u siebie w pokoju gościnnym na dole. Gdy wróciliśmy do domu późnym wieczorem, Liza powiedziała mi z pewnym wahaniem:

- Pan inżynier usnął po czarnych kawach, panowie odeszli, a myśmy nie budzili na kolację.

Dobrze, że odjeżdża w poniedziałek wieczorem. Tacy szwagrowie nie umilają życia. W dodatku ten z Grudziądza jeszcze nie odkrył faktu istnienia sklepów z kwiatami. Może w gruncie rzeczy jest i dobry, bo towarzysko naiwny, ale bądź co bądź został tylko z grubsza ociosany siekierą, pomimo politechniki i gwiazdki oficera rezerwy.

Poniedziałek - 20 lipca

Klatka schodowa już całkowicie ukończona. Dorobiono jedynie wygipsowania na górnej linii nowej ściany i zaciągnięto podkład pod późniejsze malerunki olejne, dokładnie takie same, jakie były na starej ścianie, która uległa wyburzeniu. Tego jednak dokona się dopiero po moich imieninach. Dwa tygodnie roboty dla ściennych pacykarzy, lakiery naturalnie z firmy „Sol” bez rachunku, wprost z magazynu.

Dodatkowo w hallu dwa kaloryfery w niszach przy podłodze. Otrzymają ozdobną kratę z kutego żelaza. Gładki wzór kraty, jakby spłaszczona szachownica, ostrymi końcami w górę. Pręty skręcone w strucelki. Całość w prostych ramkach, nie wystająca poza linię ścian. Kraty i umieszczone ponad nimi w górze na wysokości dwóch metrów od podłogi kandelabry w kształcie latarni o kwadratowych podstawach. Coś w rodzaju prostopadłościanów, boczne krawędzie ze skręconego żelaza o profilu kwadratowym, ścianki wypełnione podobną kratą, jak na osłonach kaloryferów, tylko tyle, że w pajęczym wykonaniu. Na razie próby z taflami z pofalowanego szkła w kolorze bladego złota, lecz prawdopodobnie ustalimy się jednak przy białym szkłem mrożonym i chropawym.

Górne światło w hallu kryte, jedynie u sufitu po obu stronach wnęki powstałej przez cofnięcie ściany gabinetu - na całej długości. Wewnątrz, w celu uzyskania równomierności smugi świetlnej, zamiast zwykłych żarówek, rurki jarzeniowe Philipsa.

Czwartek - 23 lipca

Odnowiony gabinet całkiem gotowy. Dzisiaj oglądałam portrety na Brackiej. Kończyli wkładanie do ram. Takie sobie, ale pomyśleli rzeczywiście o tym, by nie wyglądały zbyt świeżo i sztucznie je zestarzyli. Nie wiadomo, jak to będzie wyglądało po kilku latach. Porządne kopie olejne robią obecnie tylko w Monachium, zwłaszcza jeżeli chodzi o stare portrety.

Dzisiaj włożyli na próbę półkola z herbami i motywem akacji. Mają dorobić jeszcze pręty z dołu, przeznaczone do nasunięcia kółek do zasłony. Do jutra w południe. Odwołali mnie z biura, ponieważ rysownik nie mógł pogodzić się z tapicerem co do koloru zasłon. Ostatecznie stanęło na tym, że zasłony będą z ciężkiego aksamitu w kolorze ciemnosłonecznikowym, gęsto sfałdowane. Podłogę pokryją jutro rano grubym filcem w kolorze jasnopopielatym. Szkła w kolorze naturalnego szkła w wykonaniu mocno chropawym, lane.

Ściany hallu - to arcydzieło lakierów firmy Maltz. Śnieżnobiałe, idealnie gładkie, bez smug i równocześnie bez najmniejszego połysku. Jak oni tego dokonali, nie wiem, dość że taka matowa biel stoi, jak mówią malarze. Doradzał we własnej osobie sam pan Manitus, mój wielce zaprzyjaźniony klient i odbiorca na porządne lakiery i emalie.

Podobnie matowe są drzwi bocznych szaf. Wszystko równe, w jednej powierzchni ze ścianami. Obszerne są te szafy. Można do nich wejść. Szerokość drzwi mniejsza, około jednego metra. Wnętrza wyłożone drzewem, czerwony fornir mahoniowy. Zamiast klamki przy drzwiach od szaf guzik do naciskania, również niewystający, a jedynie oznaczony czarną obwódką. Po naciśnięciu sprężyna umieszczona wewnątrz lekko wypycha drzwi ku otwarciu. Pod tego rodzaju zatrzaskiem u dołu niewidoczny prawie otwór do zamka Yale.

Rysownik powiedział mi dzisiaj pod koniec sporu z tapicerem:

- Ja, proszę pani, duszę włożyłem w zaprojektowanie tego hallu, nie pozwolę popsuć mego dzieła złym kolorem zasłon.

Przyrzekłam mu co prawda tysiąc złotych, gdy wszystko „klapnie”. Naturalnie tak na boczku, bez wiedzy jego pryncypała. Trzeba będzie jeszcze coś dodać, chyba kupię mu porządną srebrną papierośnicę, niewielki wydatek, a widziałam, że wyjmował papierosy ze zwykłego pudełka.

Ale w dalszym ciągu ściana w hallu jest goła. Na wszelki wypadek pomysłodawca całego hallu umieścił w pewnych miejscach jeszcze przed wyprawieniem ściany punkty z naciętymi wewnątrz otworami z gwintem. Można będzie zawsze zawiesić obrazy lub arras, o którym marzy mój rysownik. Budowniczemu i rysownikowi śniły się w głowie jeszcze tajemnicze drzwi z gabinetu do hallu, zamaskowane, ale oparłam się tym wybrykiem powieściowej zaiste fantazji.

Pozwoliłam sobie tym razem. Nie krępowałam artystów i rzemieślników. Po raz pierwszy w życiu urządziłam sobie coś, na co miałam ochotę i do czego podchodziłam z pewnym roznamiętnieniem.

No tak, dzisiaj wchodziliśmy już od frontu. W ostatnich dniach nie miałam pociechy z Leokadii. Sprawy kulinarne. Trzydzieści osób do stołu, jest o czym myśleć. W Warszawie niełatwo zaimponować jedzeniem. To miasto posiada kult dobrego jedzenia, w Paryżu podają może wykwintniej i z finezją, ale dobrego warszawskiego jedzenia nikt nie zakasuje na całym świecie.

Drzwi wejściowe szerokie, dwuskrzydłowe, jesionowe, proste w rysunku. Zwykła mosiężna tabliczka: Anna Jambor, gładka, bez pretensji, okrągłe litery w stylu rzymskich inicjałów, nawet o tym pomyśleli! Od strony hallu biały kolor drzwi.

Piątek - 24 lipca

Skończone. Naturalnie tysiąc złotych wręczyłam w srebrnej papierośnicy. Było to już późnym wieczorem i oboje sprawdzaliśmy jeszcze raz świetlne efekty. Artyści są tylko artystami.

Chłopiec nie ucieszył się z podarunku, lecz robił sobie wyrzuty, że nie wpadł na pomysł oświetlenia motywów zdobniczych w półkulach od strony wewnętrznych korytarzy. Jestem przekonana, że spędzi kilka bezsennych nocy nad projektowaniem tego oświetlenia.

Ten miesiąc wypełniło mi niemal w całości mieszkanie. Ile drobiazgów! Pomimo to Leokadia nie darowała mi krawcowej. Dwie nowe suknie, trzy pary pantofelków, właśnie dzisiaj zdążyli przynieść.

Jestem zmęczona. Jutro w południe, gdy wrócę z ministerstwa, zawiesimy portrety w moim gabinecie i na tym będzie koniec. Portrety zawiesi zresztą osobiście pan Ciesielski. Łatwo, ponieważ na wysokości trzech metrów od podłogi, wzdłuż nowej ściany biegnie mosiężny drążek do zawieszania obrazów na sznurach, podobnie jak w muzeach. O wszystkim pamiętali. W każdym razie stary ramiarz obejrzy swoje dzieło i wypije przy tym lampkę wina. Miniatury znalezione w skrytce dziadka ożyją na nowo dopiero na ścianach mojego drugiego, męskiego gabinetu.

Czuję, że dzisiaj usnę jak kamień. Kazałam Lizie obudzić mnie wcześniej, chociaż trudno mi będzie rozstać się z łóżkiem. Był list serdeczny od Matyldy, oni tam w Wiedniu również obchodzą imieniny.

Sobota - 25 lipca

Ile ludzie wkładają entuzjazmu w różne rzeczy. Ów młody człowiek, to znaczy rysownik od budowniczego, przyleciał do mojego ministerstwa prawie razem ze mną. W nocy nie spał, ponieważ przyszło mu na myśl, że te wszystkie ozdoby z kutego żelaza będą wyglądać bardzo surowo i zimno w swej czerni. Pragnie jeszcze dzisiaj zabrać się do wyzłocenia niektórych szczegółów. Wyobraża sobie coś w rodzaju wyzłocenia niektórych krawędzi, co miałyby ożywić całość. Rozmawiałam z nim grzecznie, ponieważ fanatyków nie należy odstraszać odmową. Fanatycy również potrzebni są na świecie. To jakby, powiedzmy, pchły, ugryzie, człowiek podrapie się, ale czasami również obudzi się i właśnie takie przebudzenie wychodzi mu na dobre!

Młody człowiek ma w sierpniu urlop. Jakoś mu dali. Zarabia marnie, trzysta złotych miesięcznie, ale jest zadowolony. Nie dziwię się, że mój tysiąc stanowi w jego życiu coś w rodzaju wygranej na loterii. Uzgodniliśmy, że nie pojedzie na urlop i przepracuje ten miesiąc u mnie. Takie same trzysta złotych i utrzymanie, a zresztą zobaczymy. I tak będzie miał sporo roboty, chociażby uporządkować owe trzy tony książek zabranych z Górek. Przyda się.

Jest godzina dziesiąta, ale za chwilę likwiduję się. Mam jeszcze sporo latania, w dodatku zaraz po obiedzie - posiedzenie naszego zarządu w spółce. Sprawy nowych emisji. Naprzód sami, a dopiero później z inżynierem Pakullą i Mizresem. Dobrze przynajmniej, że ciotka Leokadia zdjęła mi z głowy cały ciężar z gastronomią przyjęcia.

Ufff!!! Godzina jedenasta wieczorem. Ile człowiek może znieść różnych rzeczy w ciągu jednego dnia!

W biurze już dzisiaj składali mi życzenia. Jedni obłudnie, drudzy z obliczeniem, że mogę się im na coś przydać. Niektórzy wyobrażali sobie, że już dzisiaj urządzę u siebie przyjęcie imieninowe. Aby mogli wyspać się w niedzielę. Lepiej jednak normalnie w niedzielę, ponieważ przynajmniej połowa z gości nie zawali mi całej nocy. Dobrzy sobie. Ale z mojego ministerstwa tylko dwóch dyrektorów, jeden przygrzmi na pewno z żoną, mimo że jej nie znam, ale będą chcieli spotkać się z naszym ministrem przynajmniej na moich imieninach. Nie bardzo mi się widzi przyście obu moich pań z lakierów, ale trudno. Albo obie, albo żadna. A nasz dr Mizres również nie daruje okazji. Mokotów wspominał wczoraj o Góreckim, oni obecnie są bardzo dobrze z sobą. Pewnie robią interesy, ponieważ Władek często przesiaduje u ministra. Nie widzi mi się również generał Kasprzycki, ale to są starzy koledzy. Przynajmniej ten przybędzie solo, z aktorkami przecież jakoś nie wypada. Grabowski - jak zwykle. Bagatela, trzydzieści cztery osoby, bez domowych. Dwóch kelnerów z „Bristolu”. Ale w tym już głowa Leokadii, nie moja. Zaproszeniami dyryguje Mokotów. Wszystko razem się składa, ponieważ mają wykorzystać moje imieniny jako miejsce spotkania na terenie neutralnym; na widoku jak zwykle interesy.

Mr David ma również dobre pomysły. Jedliśmy dzisiaj razem obiad, obejrzał sobie jeszcze raz mój nowy hall i powiedział: - Trzeba unowocześnić klatkę schodową. Jego również męczą te różne wywijasy na ścianach sprzed pół wieku. Sam zaproponował odbicie wszystkich gipsideł i sztukaterii. Proste ściany, surowe w swoich liniach, naturalnie matowy olej w kolorze białym i jasnopopielatym. Ciemny dąb naszych nowych schodów i czerwień chodnika znakomicie stonują się w sposób poważny i nobliwy. Podobno już rozmawiał na ten temat z naszym budowniczym, to kwestia dziesięciu dni. Ustaliliśmy, że rozpoczną najdalej w środę po moich imieninach. Koszty pokryje spółka, ponieważ parter i piętro to jest ich królestwo, moje piętro w tym wypadku na dokładkę. Stryj Józef i Mr David nabierali mnie przy tej okazji jako pełnomocnika domu na odnowienie fasady kamienicy, ale wykpiłam się,

mówiąc, że jeżeli o nas idzie, to przecież nigdy nie przyglądamy się tej fasadzie. Samochody podjeżdżają pod samą bramę i dopiero po wejściu do domu przyglądamy się ścianom korytarzy, schodom i tak dalej. Przyrzekłam, że pomaluję dom, gdy go kupię od stryjka Marcina, i na tym się skończyło. Ani myślę! Odnowimy front, gdy będziemy mieli zamiar sprzedać kamienicę, na przykład spółce, w celu uzyskania lepszej ceny w oszacowaniu. Obecna fasada w sam raz pasuje do ulicy Wojciecha Górskiego. Cały dowcip tego domu polega na tym, że znajduje się w centrum miasta i równocześnie trochę na boku, z dala od hałasu i smrodu takiej na przykład ulicy Marszałkowskiej między Chmielną a Królewską.

Mój artystyczny ramiarz sprawił mi niespodziankę. Że pięknie pozawieszał olejne powiększenia portretów, to rzecz zrozumiała w jego fachu. Równocześnie jednak przywiózł „trzy kawałki sztuki” i ustawił je w hallu jeszcze przed moim powrotem z biura do domu. Kopia skrzyni Strozich, kopia starego krzesła renesansowego z wysokim oparciem oraz kopia holenderskiego obrazu z początku XVIII wieku. Skrzynia renesansowa w czarnym dębie, styl krzesła mniej więcej również z początków XVI wieku, obraz w pewnym stopniu szerniały, jednakże autentyczna kopia pochodząca z połowy XVIII wieku. Skrzynia o długości prawie trzech metrów, z wyglądu podobna do staroświeckiej trumny. Podstawa ciężko spoczywająca na podłodze, liczne krawędzie i gzymsy, u podstawy i wokół wieka, we frontowych narożnikach głębokie wypukłe rzeźby dwóch aniołków, takich, jakie tworzył włoski renesans w najlepszym okresie. Frontowa płyta gładka, nie wiadomo dlaczego i czy dobrze wyłożona palisandrem. Taki sam zresztą ciemny palisander wewnątrz. Masywna, ciężka, stara robota majsterska sprzed trzech ćwierci wieku. Twórca przywiązał się do tego kawałka mebla, obecnie wnuki sprzedają po jego śmierci. Podobno rzecz wartościowa, lecz jak przyznaje pan Ciesielski, brak nabywcy, gdyż nie ma ona praktycznego zastosowania. Podobno tanio, dwa tysiące złotych. Mieli wielki kłopot z wniesieniem, ciężkie jak kasa żelazna, wnosili na pasach, aby nie uszkodzić gzymsów. Czy ja wiem? Może i pasuje do tego hallu? Ciekawa jestem, co powie na to nasz entuzjasta-rysownik. Krzesło tanie, oderwana co prawda sztuka, lecz miła w rysunku. Mniej więcej całość, o ile mogłabym polegać w tym na własnym zdaniu. Krzesło zostało znalezione u antykwariusza na Świętokrzyskiej. Mój ramiarz mówi z humorem, że zabrał mu to krzesło po prostu spod siedzenia. Sto lat, a może i więcej. Falsyfikat, lecz dobrze skopiowany. Trochę zniszczony, ale do odnowienia.

Z obrazem - cała historia. Dwa metry osiemdziesiąt centymetrów na dwa metry czterdzieści, w leżącym, jeżeli tak można określić, formacie. Obraz wędruje podobno od lat po różnych antykwariatach i bardzo często zmienia właścicieli. Do malowidła przyczepiła się nawet nazwa: „Zdobycie Koldyngi”. Rzeczywiście na obrazie widnieją spiętrzone mury, przystawione drabiny, bitwa w najlepsze, pancerze, hełmy błyszczące, walka na całego, trupy.

Czy ja wiem zresztą? Trzy kawałki rzeczywiście wypełniły hall i ożywiły go. Można powiedzieć, że zaludniły. Może, stanowiłoby to jakiś komplet? Na razie wiszą i spoczywają, zobaczymy, co powiedzą na to imieninowi goście. Obraz oddany do obejrzenia, może zostać kilka dni, nawet i tydzień. Obecnie są wakacje, pies z kulawą nogą nie zagląda do warszawskich kunst-handlerów.

Oryginalna kopia holenderska, co do tego znawcy nie mają żadnych wątpliwości. Żartem powiedziałam panu Ciesielskiemu, że gdybym się zdecydowała, to dałabym pięć tysięcy, ale gotówką i bez długich ceregieli.

Mr David radził nabyć jeszcze rycerską zbroję i ustawić ją na kołkach z lewej strony obrazu. Na razie „skrzynia Strozich” stoi pośrodku pod obrazem, w niewielkiej odległości od ściany, a z prawej strony ukosem postawiono krzesło.

Stryjek Józef nic nie mówił przy angielskim krewnym, a dopiero wieczorem, podczas kolacji, powiedział do Leokadii:

- Widzisz, nasza Anna jeszcze nie oderwała się od jamsborgskich historii.

Twardo zabrzmiało to „g” w ustach stryja Józefa.

Ostatecznie - jaki obraz miałabym powiesić w tym wymarzonej przez mnie hallu? Przecież nie Kossaka, ponieważ to wyglądałoby tuzinkowo. - Patrzcie, stać mnie na powieszenie w przedpokoju Wojtka Kossaka. - Powieszenie „Koldyngi” stwarza pewnego rodzaju spokojną muzealność. Co prawda jest to dalsze podkreślenie herbów z półkola nad wejściem do korytarza prowadzącego do moich dotychczasowych pokoi, ale przecież równocześnie motyw akacji prowadzi w inną krainę. Ciekawa jestem, co powie na to wszystko profesor Wydra? Chyba nie weźmie mnie za snobkę. Jakoś trzeba było to wszystko urządzić, skoro powiększyło się mieszkanie. Przecież w tym nie ma problemu Geldhaba, mało złota, kute czarne żelazo. Co do tego ostatniego, na pewno jakieś mocno wyzłocone esy-floresy z drzewa byłyby kosztowały znacznie mniej.

Był telefon z Montreux, że profesor przybędzie do Warszawy dokładnie 19 sierpnia, rannym pociągiem z Wiednia. Unika Niemiec i Berlina, to rzecz zrozumiała. Na razie, jak powiedział mi podczas ostatniego naszego widzenia w Szwajcarii, jest znowu obywatelem, austriackim, kraju, w którym się urodził.

Kończę, trzeba usnąć. Już tylko same głupstwa do zanotowania. Jutro rano przyjedzie z Górek „moja kochana Wiktoria”, niby do pomocy Helenie. Przywiezie tuzin różnych tortów, w tym jeden o średnicy osiemdziesięciu centymetrów. Wiejskie cuda. Na wsi nudzi się ludziom. Prawdziwy *Schlaraffenland*.

Gdybym mogła gwizdnąć na cały świat, to znaczy na wszystkich znajomych, kazałabym wymalować wprost na całej ścianie kopię krainy pieczonych gołąbków. Widziałam taki obraz. Kilku parobasów leży obalonych pod drzewem, a wszystko samo lezie im do gęby. Porządny holenderski obraz w mocnym kolorycie. Ale cóż, nie można tak. Nawet Makart, pomimo że dobry malarz i oryginał, musi królować u mnie jedynie w sypialni. Kopia Tycjanowskiej córki Lawinii „Dziewczyna z paterą owoców” również wisi co prawda w pokoju stołowym, ale mimo udatności kopii - w jakimś nieważnym kącie. Kto wie nawet, czy nie wypadnie przenieść tej kopii do któregoś z gościnnych pokoi.

Pannie Starzeńskiej załatwiłam już jej troskę życiową. Naopowiadałam Wirewiczowi, że ten bubek przeszkadza nam w interesach. Mówiłam, że mam zamiar rozpocząć akcję na temat ulgowych stawek celnych dla moich lakierów. Na razie przeniosą go na stanowisko naczelnika wydziału w stanisławowskiej Izbie Skarbowej. Miejsce prawie jego urodzenia, daleko, to się uspokoi. Panna Starzeńska przypuszczalnie zasiądzie na moim dawnym miejscu w skarbie. Zna się na rzeczy. Wstąpiła do mnie dzisiaj z życzeniami, wkrótce po ramiarzu. Wspomniałam jej o tym jako o sprawie załatwionej. Była rozjaśniona do tego stopnia, że wybrała koniak zamiast wina. Czasami trzeba zrobić ludziom, coś dobrego, w dodatku to leży w naszych interesach. Obecnie wylamujemy drzwi dla naszych kopalniaków, które wywozimy do Belgii, i będziemy mieli właśnie pogaduszki w skarbie. Sam prezes Purski i Centralna Komisja w tym wypadku nie wystarczą.

Środa - 29 lipca

Rozkleiłam się właśnie w tych dniach, gdy musiałam trwać na nogach. O imieninach - chyba później. W niedzielę, koło południa, zjawiła się nasza nowa rodzina z Pomeranii. Imieninowa niespodzianka. Do Gdańska dojechali koleją, stamtąd samochodem. Pani v. Goltorpp z Brunhildą, Heinrichowie i ciotka Elfryda. Niemieccy goście w sypialni Marcinów na dole, stryj i ciotka również na dole w pokoju gościnnym, u mnie Anna i Heinrich, a ja skromniutko na kanapie w gabinecie Marcinowym. Dzisiaj już wszystko przeminęło, przewaliło się. Heinrichowie pojechali naszym samochodem firmowym do Krakowa i na tydzień do Zakopanego, ciotka Elfryda i panie z Hermsdorfu sleepingiem do Gdańska, Zostałam absolutnie sama na gospodarstwie, ponieważ Mr David wczesnym rankiem wybrał się na kilka dni gdańskim samochodem stryjka Józefa gdzieś pod bolszewicką granicę, na Wileńszczyznę. Zmiana samochodów z powodu szofera, który włada językiem angielskim i

polskim. Szofer firmowy zna niemiecki, problem porozumiewania się z Heinrichami, wszystko znakomicie pokręcone. Pan Petras od wczoraj zajmuje się innymi sprawami, tak wypadło. Jutro idę do biura tylko na kilka godzin, trzeba będzie posiedzieć na dole.

Chciałabym opisać wszystko, ale dzisiaj nie mam siły. W każdym razie muszę napisać, że „skrzynia Strozich” nie byłaby w stanie pomieścić wszystkich prezentów materialnych, ponieważ kwiaty uważam za dary o charakterze idealnym.

Wśród tych prezentów... Sama nie wiem, do czego taki prezent zaliczyć. Otóż ciocia Orzechowska uprowadziła nas oboje do spokojniejszego kąta i na osobności powiedziała niezmiernie ciepłym tonem:

- No, młodzi, kiedy się pobierzecie? Kochane dzieci! Ty, Anno, powinnaś stać się dla naszego Rudolfka - Oleńką z „Potopu”, on naprawdę nie miał dotychczas dobrze w życiu.

Leokadia była w pobliżu i podeszła do nas. Pani Orzechowska podtrzymała rozmowę. Obie z Leokadią roześmiałyśmy się wdzięcznie, no i mnie wypadło powiedzieć:

- Ależ ja nie znam prawie pana Liteńskiego. Tak rzadko się spotykaliśmy.

Kandydat na męża zrobił powieściową minę i szepnął w sposób romantyczny:

- Pani Anno, czy mógłbym mieć nadzieję?

Życie nie jest łatwe, na każdym kroku stajemy wobec wielu dróg rozstajnych.

Czwartek - 30 lipca

Głowa mnie boli. Mokotów wywlókł mnie dzisiaj w południe na wieś. Tacy sobie dziedzice. Władek rozmawiał z generałem Góreckim, nikt nie mówi mu: ministrze, tylko: generale, a ja pałkowałam przy stoliku brydżowym. Był Loret z Lasów Państwowych, ten cały czas tkwił w kącie ze stryjkiem Józefem. Kibicował im krewny Loreta, ten, który dekoruje nam radę nadzorczą. Jutro całe bractwo zwali się do mnie. W przyszłym tygodniu trzeba będzie odbębnić kilka wizyt w obie strony. W sam raz, gdy moja klatka schodowa będzie rozrzezana, psiakrew!

Majster dobry sobie. Przyleciał koło dziesiątej rano, rozmówił się już ze swoim wiejskim klientem. Chciał uzyskać nieco wyższą cenę. Ostatecznie wystawiłam czek na pięć tysięcy. Może zrobiłam głupstwo? Może, ale każdy z nas robi tyle głupstw. Jeden obraz więcej w domu. Nawet ich nie liczyłam, niektóre z nich jeszcze jako depozyt Marcina i Florencji. Wiszą na ścianach, lecz nie należą do mnie. Być może ten obraz nie jest wart nawet połowy tej ceny, ale jakoś dobrze się z nim czuję w moim nowym hallu.

Za krzesło zapłaciłam gotówką, drobiazg. Co do skrzyni, to jeszcze nie wiem.

Ano - obraz jest mój. W najgorszym razie ofiaruję go do królewskich pokojów na Wawelu jako dar Anny Jambor, vel Anny von Jamsborg und zu Hermsdorf, bo przecież i tak mogłabym się nazywać, a miałabym do tego więcej praw niż te dwie niemieckie Brunhildy i Doroteje.

Imieniny. Szkoda, że mieszkanie nie było wykończone. Ale trudno.

Nie powiem, żebym czuła się dzisiaj dobrze. Reńskie wino jest obrzydliwe. Etykieta na butelce o niczym nie stanowi. Jutro pójdę do ministerstwa tylko na jakieś dwie godziny. To zresztą już moje ostatnie miesiące.

Godzina trzecia nad ranem, a nie mogę zasnąć. Zażyłam dwa proszki na sen i już kilkakrotnie gasiłam światło. Głowę mam jak z ołowiu. Tfu. Gdybym mogła się wyrzygać...

Piątek - 31 lipca

Panna Starzeńska z urzędowym papierkiem w ręce. W moim nowym gabinecie na pierwszym piętrze. Już ma na piśmie nominację na coś w rodzaju prowizorycznego radcy i przejmie od jutra funkcję po tym sztywnym bęcwale. Wdzięczność i tak dalej. Nasze kopalniaki będą mieć gładką drogę.

Sobota - 1 sierpnia

W południe po powrocie z ministerstwa zastałam naszego rysownika i tapicera. Właśnie zdejmowali słonecznikowe zasłony i przymierzali nowe, purpurowe. Rzeczywiście, racja była po stronie młodego człowieka. Do renesansowej skrzyni i malowidła z historycznymi mordami odpowiednia jest tylko purpura, mocna purpura. Z takiej purpury rzymscy kardynałowie mogliby kazać uszyć sobie nocne szlafroki, aby nawet na chwilę nie wypaść z fasonu. Kolor zaimponował nawet mnie, córce... chciałam napisać, lecz właśnie, że nie napiszę. Dawnym aksamitem pokryje się stare fotele do pokoi gościnnych, które przywieźli z Górek.

Gdy koło czwartej zawiesili ostatecznie nowe portiery, sprowadzili sobie w charakterze Parysa mojego starego ramiarza z Brackiej. Ale to wszystko tylko miłe głupstwa, a tymczasem warto utrwalić cośkolwiek z moich imienin sprzed tygodnia.

Podczas przyjęcia i podejmowania gości nie wiedziałam, kim się najbardziej zajmę. Rozdzierałam się pomiędzy obu ministrów i naszych niemieckich krewnych. Jak dobrze się złożyło, że zastali mieszkanie w trakcie powiększania i przeróbki, dawne moje trzy pokoje od frontu byłyby wyglądały mniej niż skromnie, ponieważ pokoi w oficynie nie ma co wliczać do rachunku. Jakoś zręcznie wykręciłam, że ze względu na spółkę akcyjną muszę tkwić przy ulicy Hortensji, bo przecież wyniosłabym się do willi z ogrodem i dalej od śródmieścia. Wypadło nie najgorzej. Zastali mój gabinet w zmienionej formie z kopiami portretów rodzinnych. Byli zdziwieni, ponieważ zestarzałe przez malarzy kopie w dopasowanych oryginalnych ramach ze starych portretów sprawiają wrażenie oryginałów. Nie protestowałam i nie podejmowałam rozmowy na ten temat.

Przede wszystkim mój fiołkowy gabinet ze złotymi bukietami udał się nadzwyczajnie. Nowa ściana bez drzwi - długości prawie ośmiu metrów i wysokości pięciu metrów. Imponująca jest płaszczyzna tej ściany i stwarza miłą perspektywę. Portrety są zawieszony w sposób muzealny, na jedwabnych sznurach. Pośrodku naturalnie berlińska kopia Chodowieckiego. Z lewej strony dwa portrety umieszczone blisko siebie, w identycznych ramach, rodzice Martina, z prawej - rodzice matki Martina. Szwedzki kapitan w wyłocnym mundurze morskim, złagodzony jedynie białym żabotem koronkowym, wystającym spoza rozpiętego surdutu. Herb kapitana Markholma niezwykle prosty w rysunku, na czerwonej tarczy ukośna wstęga z dołu do góry, niebieska ze złotą gwiazdą pośrodku. Labry złote z czerwienią, nad zwykłym hełmem trzy białe pióra. Zupełnie jak na znalezionej miniaturze. Prababka bez herbu, nie było go na miniaturze, widocznie była to żona z miłości.

Podobnie jest bez herbu portret wujka matki Martina, owego szwedzkiego pastora Collensa, niewiadomego bliżej pochodzenia i zamieszkałego w Szczecinie. Może byłoby i można wyświetlić to na miejscu (metryki, akta miejskie i kościelne), ale na to trzeba by czasu, a trudno znów zaprzętać tym pastora z Hermsdorfu. Pastora Collensa w surowej czerni, z wąziutkim jedynie paseczkiem bieli kołnierzyka i ze skromnym żabotem pod szyją, umieściłam na razie na bocznej ścianie od strony dawnego salonu. W tym kącie stoją dwa stare fotele. W drugim kącie na ukos stoi moje stare biureczko Jamborowe, obok z prawej strony portret prababki Zofii z Wildorfów. Pod tym portretem także fotel. Porządny dywan ze spadku po Żoliborzu, na nim pośrodku pokoju odnowiony ostatnio stół ozdobiony markieterią. Ci, którzy go odnawiali, mówią, że to udana kopia sprzed stu lat. Gdy go znalazłam na strychu w Górkach, brakowało mu jednej z nóg. Ponadto miłe chłopaki, mam na myśli tych, którzy sprzedali nam Górki, pokrajali go nożem tu i tam. Obecnie z trudem tylko można dostrzec ślady dawnego zniszczenia, W dniu imienin stał tu wazon z kwiatami. W przyszłości będzie inaczej. W suficie ampla z tysiąca kryształowych kulek o średnicy przynajmniej jednego metra, pochodząca z dawnego rodzinnego antykwariatu na Żoliborzu.

Czuję się dobrze w moim gabinecie, mimo że urządzam drugi gabinet w nowym skrzydle, jak to określił z humorem wujcio Benedykt.

Prezenty. Najcenniejsze były trzy portrety, przywiezione przez niemieckie kuzynki. Podobno miały trudności celne, musiały uzyskać specjalne pozwolenie na wywóz do Gdańska. A stamtąd poszło już bez kłopotu. Wyjęły obrazy z ram i zwinęły w rulon. Ramy mają nadejść osobno, w skrzyniach, koleją. Trzeba będzie clić i uzyskiwać polskie pozwolenia. Najważniejsze jednak są płótna, o stare ramy nie byłoby trudno w naszej Warszawie. Ale w tym wypadku będą to ramy oryginalne, zżyte z portretami od wielu lat.

Utta zu Hermsdorf w dziewiczej urodzie piętnastu lat. Tego portretu nie pokazano mi podczas mojej bytności u nich. Na drugim portrecie z lat już dojrzałych, tym, który wisi w hermsdorfskiej bibliotece, Utta ma nieprzyjemne spojrzenie. Tu jest zupełnie inna. Stare malowidło z połowy XVIII wieku i jak zwykle w tym okresie - bez podpisu, wykonane przez anonimowego malarza. Młodzieńczość postaci, kalectwo nie zostało zaznaczone drobnym bodaj szczegółem.

Pradziad, ojciec Heinricha, pochodzi natomiast już z późniejszych lat. Portret malowany w ostatnich latach życia, w surducie mundurowym z czerwonym kołnierzem, orderzy, ale równocześnie prawy rękaw podwinięty do góry i przypięty do munduru. Wspomnienia bitwy pod Reichenbach w roku 1762, jak to przypominała mi pani von Goltorpp. W tamtym wiejskim domu obowiązują ściśle daty historyczne.

Gdy nadejdą ramy, portrety Utty i Fryderyka zawiesimy prawdopodobnie w drugiej linii, na górze ponad kopią Chodowieckiego. Ofiarodawcy wspomnieli mi, że na dolnym brzegu ram portretowych znajdują się tabliczki z napisami i datami. Portrety są sporych rozmiarów, znacznie większe od moich kopii, jakiś metr dwadzieścia na metr czterdzieści, do tego dojdą jeszcze ciężkie ramy.

Najmilszy mi jednak z tych portretów jest konny portret ojca naszego pradziada, również Fryderyka, tego, którego spalili Szwedzi wraz z naszym Jamsborgiem. Nie jest to oryginał. W archiwach hermsdorfskich zachowała się notatka, że został wymalowany na podstawie miniatury po śmierci pradziada, już w okresie małżeństwa jego syna z dziedziczką Hermsdorfu. W inwentarzu figurował jako „Portret mężczyzny na koniu” i mało kto wiedział, kogo przedstawia. Jest mocno szerniały, w dużym formacie, da się jednak rozjaśnić. Gdy nadejdzie przesyłka z ramami, wszystko powędruje na ulicę Bracką.

Ten portret zajmie miejsce, na którym obecnie wisi portret pastora Collensa.

Bogate prezenty, zgoła inne niż kopia portretu Chodowieckiego. Sprawily mi wielką przyjemność i radość. Czulaam w nich jakby żywe nawiązanie łączności ze starym gniazdem rodzinnym. Przecież na te portrety patrzyły w swoim czasie żyjące oczy Martina i jego ojca.

Zdaję sobie sprawę z głupiego snobizmu, ale było mi też przyjemnie, że mogłam niemieckie kuzynki zaprowadzić do mojego wspólnego gabinetu ze strykiem na pierwszym piętrze. Spółka akcyjna to w każdym razie coś porządniejszego niż pokoik radcy ministerialnego z wyblakłymi ścianami i mocno wydeptanym dywanem za trzy grosze. W dodatku nowy hali to również jakiś w swoim rodzaju poważny krok naprzód w mym życiu. Pomimo że nie moje ręce go wykonały, w każdym razie tkwi w tym świadomość, że umiem wydać pieniądze w sposób nobliwy. Inna kobieta w moich warunkach kupowałaby jedynie kiecki i świecidełka, a w dalszym ciągu gniołłaby się w jakiejś garsonierze.

No a taka jednopokojowa garsoniera z łazienką to przecież z natury rzeczy zachęta i ramy do sprowadzania sobie kochanków. Bo i o czymże ma myśleć taka kobieta? Cóż ona ma w życiu koło siebie? Cztery ściany, a w nich czasami łóżko francuskie z baldachimem lub nowoczesny tapczan i narzuty z firmy „Ład”. Samotność w większym mieszkaniu jest jakoś łatwiejsza do zniesienia.

Liza. Melduje, że pan Karol Petras... Trzeba przyjąć, trzeba wrócić do życia. Interesy - pomimo godziny jedenastej wieczorem. Trzeba się ubrać.

Wróciłam do domu. Godzina druga w nocy. Rozmawiałam z Londynem z aparatu na poczcie. Tak zresztą było uzgodnione. W ciągu najbliższych godzin mam otrzymać

odpowieź w postaci telegramu. Muszę skomunikować się z Paryżem. Wstąpiłam na oryginalną drogę, ale trudno. Wszystkie drogi są dobre, jeżeli prowadzą do celu.

Idę spać. Naturalnie weronał, ale trudno, zbyt duża skala wrażeń. Jak dotąd, wszystko mi się udaje w tej sprawie. Pomimo że ma razie rzecz tylko z podsłuchania. Ale nasz kochany pan Władysław niepotrzebnie się pochwalił:

- Mamy nowego Kreissa, w Hiszpanii robi się dla nas druga Abisynia.

Wtorek - 4 sierpnia

Trudno o wszystkim pisać. Brak czasu i w ogóle... Trudna rola, sceniczna. Niedzielny telefon w południe: „Trzy procent wyżej, kupujemy wszystko i zaraz, jeżeli trudności, najdalej do pięciu procent”. Telefon zamiast telegramu. Wieczorem w niedzielę zapytałam na Mokotowie podczas kolacji:

- A może byśmy jednak pozostali przy starym panu „K”? Jakoś nam się udawało, a tymczasem nowy człowiek, nowe kłopoty i nowe niewiadome.

Władek popatrzył na mnie i powiedział kpiąco:

- Aha, nasza Anna myśli o prowizjach. Ale chyba nic z tego, ponieważ już prawie dobijamy do celu.

Cóż miałam robić? Skorzystałam z adresu zostawionego mi przez stryjka Marcina. Nie poszłam w poniedziałek do biura i w ciągu jednego dnia zlikwidowałam sprawę. Konkurenta wsadzono do nocnego sleepingu i ponieważ miał przy sobie paszport rumuński, odstawiono go do rumuńskiej granicy. Zapewne w tej chwili medytuje już po tamtej stronie, co dalej robić. Opisałam to zaledwie w kilku zdaniach, lecz treść jakże brzemienna jest w skutkach.

Zmęczona jestem. Uzgodniłam w rozkładzie jazdy godzinę przybycia pociągu do granicy i dokładnie o godzinie wpół do czwartej ściągnęłam „W” do mojego mieszkania. Przybył, ponieważ załgałam się ważnym interesem w drzewie, lecz zamiast przyjąć go na dole w biurze - poprosiłam na górę. Usiedliśmy w salonie. Zapytałam o interesy hiszpańskie i ponowiłam propozycję nawrotu do naszego starego kontrahenta. Pan Władysław próbował wykpić się dowcipuszkami, pytając, o którego kontrahenta chodzi, czy o tego z diamentami w brzuchu, czy o tego żyjącego. Uśmiechnęłam się, przymrużyłam oczy - taką sobie od niedawna wystudiowałam pozę - i powiedziałam po prostu:

- Bez bujania, Władku, jeżeli mamy zrobić interes, to zrobimy go szybko. Dajemy dwa procent więcej od konkurencji...

Mąż mojej przyjaciółki roześmiał się na te słowa, ale po chwili spowaźniał i zapytał już całkiem serio:

- Kto daje? Przecież nie ty, Anno? Dwa procent. A to dobre!

Przebiegłam natychmiast:

- A dlaczegoż bym ja nie miała dawać? Równie dobrze mogę na tym zyskać lub stracić. Przecież chyba stać mnie na pokrycie strat?

Roześmiałam się także i bąknęłam pod nosem na wesoło:

- Co najwyżej sprzedam jeden z moich pięciu domków.

W tym momencie Liza poprosiła, jak to poprzednio zadysponowałam. Przeszliśmy do innego pokoju, zajęliśmy się jedzeniem. Odsunęłam małe kieliszki i własnoręcznie wyjęłam z kredensu butelkę koniaku. Nalałam dwie angielski, które były przygotowane do wody sodowej. Milczeliśmy i zajęliśmy się obgryzaniem kurczaków, powoli i jakby z namysłem. Pod koniec obiadu zadzwonił telefon z Mokotowa, Wład rozmawiał sylabami: tak, nie, dlaczego. Do czarnej kawy usiedliśmy w fotelach, w kącie pod portretem „Wujka Collensa”. Liza podsunęła bufet na kółkach. Mój gość wlał sobie na początek pół angielski gorzkiej, wcisnął do tego cytrynę i dolał drugie tyle wody sodowej. Przypatrywałam mu się w milczeniu, po pewnej chwili usłyszałam pytanie:

- Czy z tymi dwoma procentami poważnie mówisz, Anno?

Potwierdziłam. Oboje dopiliśmy kawę, po czym rozstaliśmy się prawie w milczeniu.

Obecnie po upływie dwóch zaledwie godzin siedzę przy moim biurku członka zarządu na pierwszym piętrze i spisuję opowieść o warszawskim wilku żelaznym. Mimo woli wspominam na tarczę któregoś tam Wolfenhagena. Ciekawa jestem, czy jego wnuczka, owa Utta, umiałaby się znaleźć w takim położeniu.

Zabluffuję w dalszym ciągu. Wieczorem wejdę do głównego urzędu telegraficznego i wyślę wiadomość do Londynu: „Na dobrej drodze, przyjazd do Warszawy zbyteczny”. Ponieważ dzisiaj jest wtorek i dzień nieparzysty, nadawczynią będzie Lena Jaków. To wystarczy. W takiej sytuacji można uczynić na razie tylko tyle.

Środa - 5 sierpnia

Rano. Dałam namówić się generałowi i jedziemy za dwie godziny na jutrzejszy zjazd legionowy w Krakowie. Generał z żoną w swoim samochodzie, ja w towarzystwie obu panów Liteńskich. Sami się zaprosili, podrzucili ich młodzi Orzechowscy. W nocy rozmawiałam z Paryżem. Bardzo oględnie, bez podawania szczegółów. Mówiłam o wyjeździe na trzy dni do Krakowa. *Pour bien passer le temps, pour gagner, pour Laire la Fin.*

Urlop na trzy dni, byli nawet zadowoleni, postawią mi dobrą kreskę w naszym ministerialnym kole Bebewueru. Pan Franz Joseph Drugi ma podejmować nas w swoim drewnianym, jak mówi, dworku w krakowskich Dębnikach. Pan Rudolf początkowo miał jechać własnym wozem, ale później postanowili inaczej. Jak na razie, bardzo miło. Generał milczy, ale jest nachmurzony. Do ministerstwa wpadł na bardzo krótko. Orzechowscy zadzwonili do mnie wczoraj z własnej inicjatywy. Nie pytam.

Budowniczy wstąpił do mnie raniutko i zabrał czeki. Gdy wrócimy, klatka schodowa będzie już na wykończeniu. Przesną nas straszyć wiedeńskie secesje i nimfy ze sztucznych marmurów. To była przecież obrzydliwość - te wnęki w ścianach, a w nich ni stąd, ni zowąd greckie boginie. Za jakiś tydzień pokoje po tamtej stronie będą całkowicie gotowe. Mój rysownik wariuje z wynalazkami. Wyżywa się tak, jak by to miało być jego własne mieszkanie. Piętnastego obie panie jadą do Montreux, Leokadia i Wirewiczowa.

Koniec z pisaniem. Dzwonił Mr David, trzeba pojechać jeszcze do „Drzewa”, przez dużą literę, ponieważ robimy obecnie duże interesy.

Kraków - piątek - 7 sierpnia

Wesołej hecy na krakowskich błoniach nie warto chyba opisywać. Mieszkamy w „Grand Hotelu”. Dzisiaj Dębniaki wystąpiły z obiadem. Tylko my sami, bez obcych, jak powiedzieli gospodarze. Ale nie mam czasu na opisywanie krakowskiej majówki. Kraków jeszcze dzisiaj jest pijany po wczorajszym dniu. Miasteczko zaśnie dopiero za kilka dni snem c. k. emerytów aż do następnych Oleandrów i legionowych parad na Błoniach.

Hallali! Nasz generał powiedział mi dzisiaj w ogródku pana Liteńskiego:

- Nie wszystko rozumiałem w mym życiu, ale naszej ostatniej historii to już absolutnie nie rozumiem.

Miał na myśli nasze interesy. Udałam, że nie wiem, o co chodzi, zrobiłam minę z głupia frant. Oboje roześmieliśmy się.

- Ano - powiedział po chwili - chyba zrobimy ten interes na plus dwa procent. Ale ty, Anno, nie znasz przecież cen. Może ci powiedzieć cokolwiek?

Roześmiałam się i wymieniłam kilka cen. Nauczyłam się ich podczas owej kawiarnianej godziny w Wiedniu. Wypłynęłam. Mój partner od razu spoważniał.

- Nigdy nie spodziewałem się tego, Anno! Kapituluję - dodał szybko, ponieważ zbliżali się do nas gospodarze. Zdążył jedynie szepnąć: - Ale co powie na to Marcin?

Wieczorem uwolniliśmy się od panów Liteńskich i w mocno generalskim gronie poszliśmy na kolację w „Grandzie”. Miałam obok siebie Władka, z drugiej strony siedział

Grzmot-Skotnicki. Nie było okazji do rozmowy. Dopiero później, gdyśmy wracali na górę do pokojów, Władek powiedział mi krótko i tym razem poważnie:

- Zgoda, Anno, dwa procent wyżej od tego du... - słowo skręciło mu się pod nosem - chociaż ja miałem wrażenie, że ten trzeci, który odpadł z gry, mógłby być bardziej interesujący dla Marcina. Tak mi się wydało, ale ostatecznie zobaczymy za kilkanaście dni.

W tej chwili przeciągam się w łóżku i myślę sobie: Gdyby nie moje przyjęcie imieninowe, nie byłabym wpadła na to, że kręci się po Warszawie konkurencja. Nie wiedział o tym nawet ów wszytkowiedzący pan Emil. Sto złotych wręczone przez Karola Petrasa portierowi w „Bristolu” pozwoliło od razu na ustalenie nazwiska i innych szczegółów. A dalej poszło już bardzo łatwo. Gdy podałam nazwisko do Londynu, sprawa natychmiast nabrała rumieńca.

Mam stracha jednak przed tym, co powie Marcin. Oni zawsze robią wspólne interesy. Mam zresztą wrażenie, że dyryguje Marcin. Ale w tym ostatnim wypadku myślę, że to miało pójść bokiem...

Jutro jedziemy do Zakopanego. Właściwie już dzisiaj, za cztery godziny, o wpół do szóstej. Uzgodniłam telefonicznie z Heinrichem. Czekają na nas. Trzeba pożegnać się z niemiecką Anną. Oni pojedą już bezpośrednio do Wiednia, Heinrichowi w przyszłą niedzielę, szesnastego, kończy się urlop. Do Warszawy wracamy w poniedziałek wieczorem. Liteński już dzisiaj jedzie do Warszawy. Czasami gdy pomyślę, że to może być mój przyszły mąż, nie umiem sobie tego wyobrazić. Sama nie wiem. Może tak - może nie. Na razie myślę jednak o innych sprawach.

Chyba nie usnę.

Zakopane - niedziela - 9 sierpnia

Prawie dwadzieścia milionów. Majątek. Mam specyfikację napisaną ołówkiem na kartce papieru. Moje cyferki kreślone pod dyktando Władka u „Trzaski”. W dodatku tylko dwa procent zamiast trzech albo nawet pięciu. Zobaczymy.

Anna zachwycona Zakopanem. Egzotyka góralska, nauczyła się co najmniej stu słów po polsku. Heinrich nigdy nie objawiał zainteresowania w tym kierunku, Co prawda usiłował rozmawiać po polsku z dziećmi u starych Kawczyńskich, ale było tego niewiele. Jakoś sobie dają radę. Wśród górali jest sporo dawnych c. k. wojaków. Wszyscy na pewno spod znaku Szwejka, chytry naród, wyglądają na to. Ale co mnie to obchodzi? Spać! Legionowe wakacje zmęczyły mnie. W dodatku napięcie nerwów w ostatnich dniach. Czy ten obecny interes dojdzie do skutku w zakreślonych rozmiarach? Chyba tak, takie interesy udają się. Gorzej z drobnymi interesikami, tam ludzie zastanawiają się nad każdym zerem po każdej cyfrze. W małych interesach ryzykuje się zazwyczaj całością majątku, w dużych tylko różnicą pomiędzy haussą a baissą. Tak mi tłumaczył prezes Fajans na moich ostatnich imieninach. Ludzie na dorobku drżą przed utratą całego kapitału obrotowego, w dużych interesach ma się do czynienia w najgorszym wypadku tylko z utratą zarobku. Zawsze można wszystko sprzedać po cenie zakupu albo o kilka procent niżej tej ceny, ze stratą. Głupstwo, niczym nie ryzykuję w tym wypadku. Pośrednictwo wymaga jedynie uwagi, dowcipu, znajomości i odrobiny szczęścia. To są również wartości ekonomiczne. Co by na to powiedział profesor Taylor? Właśnie dzisiaj otarłam się o niego na Krupówkach. Nie poznał mnie, bo i skądże? Na ułamek sekundy jego blade rybie oko przemknęło się koło mojej postaci. Stałam obok wozu w moim rezedowym płaszczu skórzanym. Widocznie cadillac więcej go zainteresował niż mój stary płaszcz. Głupstwo, psiakrew! W każdym razie mam trochę tremy.

Wysłałam umówioną depeszę. Przepuszczalnie we wtorek rano ktoś zjawi się u mnie w Warszawie. Cierpliwości, Anno.

Warszawa - poniedziałek - 10 sierpnia

Wracaliśmy w wesołym towarzystwie. Oba wozy były mocno wyładowane niedobitkami z legionowych uroczystości. Słownik bardzo śliski i pieprzny. Za każdym razem trzeba obowiązkowo śmiać się, inaczej nie wypada. Trudno, tacy już oni są. Dzisiaj rano w Krakowie poznałam Składkowskiego, także generał, ale taki od lewatywy, jak mówi Władek. Lekarz, ale obecnie pozuje na ministra. Niedawno dali mi do czytania jego dwa tomy wspomnień z czasów służby legionowej. Miałam możliwość porównać autora z oryginalnym człowiekiem. Sama nie wiem, jaki wypowiedzieć sąd. Profesor Wydra twierdzi, że to są historie możliwe tylko na krótką metę. Ale co będzie dalej? Na to nie umiał mi odpowiedzieć. W każdym razie - szopka - jak mówi Wirewicz. A znów ten poznany przeze mnie Składkowski bierze wszystko bardzo na serio.

Mój prezes jakoś zachmurzony, dopytywał się, czy zdążyłam już porozumieć się z panem „K”. Na odmianę pytałam, czy już ostatecznie zerwał z „naszą” konkurencją. Ponieważ nie byliśmy sami w tym momencie, właśnie siedzieliśmy w Radomiu na obiedzie u „Wierzbickiego”, Władek zaklął szpetnie pod nosem i powiedział podnosząc kieliszek w górę:

- Cóż, psiakrew, interes sam szedł w ręce, ale rozpląnął się. Co tu dużo mówić, Anno, facet rozpląnął się nam w powietrzu.

- W takim razie niepotrzebnie pospieszyłam się z mymi procentami - szepnęłam drwiąco, ale generał w harmiderze nie zrozumiał dobrze moich słów. Może to prawda, ale przed pociągnięciem za rączkę hamulca bezpieczeństwa trudno było przewidzieć. Nie warto żałować tego, co się już nie odstanie.

Wtorek - 11 sierpnia

Załatwione. Nie wyobrażałam sobie, że pojedę do Szwajcarii nagle i bez jakiegokolwiek przygotowania. W dodatku w towarzystwie Władka. Nie mam nawet czasu pisać. Jutro rano będziemy w Wiedniu. Przystanek na kilka godzin. Jakaś rozmowa. Później zaraz przez „Acację” do Genewy. Jeszcze widać nie oduczyłam się popadania w zdenerwowanie, W ministerstwie gładko. Nie zapytywali specjalnie, byli uprzedzeni, w jaki sposób, tego nie analizowałam. Jadę bez bagaży. Obecnie lecę na obiad do „Langnera”, jakieś towarzystwo, którego nie znam bliżej. Jutro przyjedzie z Gdańska ciotka Elfyda, ponieważ stryj Józef bawi w Londynie. Trzeba dopilnować interesów na dole. Nie wiadomo, kiedy wrócę. Może tydzień i dłużej. Do widzenia, bloczku. Wydaje mi się, że teraz nie zawsze będzie można ci powierzać myśli.

Po południu randka z panem Rudolfem. Akurat zawracanie głowy w nieodpowiednim momencie, gdy chodzi o sprawy poważne. Jedziemy do Katowic moim samochodem. Petras - rzecz zrozumiała. Do pociągu wsiądziemy dopiero w Pszczynie. Mokotów chciał obdarzyć nas bagażami. Te nasze panie dobre sobie. One wyjadą dopiero w sobotę, ale przez Pragę, chcą zatrzymać się tam jeden dzień. Co mi do tego. „Langner”, tego jeszcze dzisiaj brakowało.

Trzeba będzie wstąpić do ramiarza, jeszcze gotowi by odebrać mi sfalszowanych „Strozzich”. Końcowej fazy urządzania mieszkania dopilnuje młody rysownik. Tyle spraw do załatwienia, a jeszcze dzisiaj i on kręcił mi głowę. Chodziło o wybór tapety do nowego gabinetu. Droga tapeta, skóra na mocnym płótnie, imitacja skóry hiszpańskiej wytłaczanej w wzory. Podobno na Wawelu jest sala wybita bardzo starą skórą. Nie wierzę, to musi być również falsyfikat, przecież pokoje królewskie były doszczętnie wypalone, gdy się zabierano do odbudowy Zamku. Ale, psiakrew, co mnie to wszystko obchodzi? Gdy wrócę, ureguluję resztę rachunków, kupię różne chippendale i tak dalej. Głupstwa, wiecznie te same głupstwa.

Oby tylko domu nie okradli, gdy mnie nie będzie. Obecnie w mieszkaniu kręci się moc obcych ludzi. Za dwa dni wróci Petras i dopilnuje. Tymczasem Liza.

Podczas podróży do Wiednia nie znamy się. Pojedziemy - osobno. Rozumiem, zaczynam rozumieć coraz więcej rzeczy na tym świecie!

Wiedeń - środa - 12 sierpnia

Gościna u Matyldy w Baden. Wyjeżdżam dalej dopiero jutro nocnym pociągiem. Nasz prezes pojechał już dzisiaj prosto do Montreux. Mnie czekają jutro różne rozmowy. Jak ta Zofia Gütschow wyrosła! Ma wspaniałe oczy Kleopatry, dolna część twarzy w trójkąt, takich twarzy nie spotyka się u nas. Heteryczny wygląd, będzie miała w życiu powodzenie. Już je zresztą ma. Podobno dobre kilkanaście milionów dolarów. Co ich łączy z wiedeńskimi finansistami? Skąd Meisslowie i tak dalej... do nich? Ci ostatni zdążyli rozejść się w spokoju i dr Meissl urzęduje już na stałe swoje nowe życie amerykańskie. Matylda bez specjalnych wspomnień, było, nie ma - tak mówi. W dodatku odpowiada na moje pytania bez zdziwienia, nie przejmując się nimi. Wie od Elzy, że mi stręczą jakiegoś „przystojnego majora”, zdążyła zorientować się w historiach salzburskich. Znają nie tyle siostrę Rudolfa ze słyszenia, ile osobiście owego starego barona von Kreckwitz, który ociera się w Wiedniu o większe pieniądze. Ma drugą żonę, ale na całym świecie utarła się już taka moda, że ludzie wyliczają wszystkie poprzednie żony, ditto mężów. Zapraszam Matyldę do Polski. Nie tyle ona zapaliła się do egzotycznej Warszawy, co właśnie Zofia Gütschow. Ta dziewczyna zdążyła już wszystko objechać, nie była jedynie w Polsce i w Sowieciech. Ale tam nie może, ponieważ jej rodzina w tragiczny sposób uciekła stamtąd podczas rewolucji. O matce nie mówi się, podobno pochodziła z bardzo wysokiej arystokracji dworskiej. Ciekawa dziewczyna.

Matylda również śmieje się z mojej skórzanej rezy, mówi, że Elza prosiła ją w imieniu naszych pań, aby namówiła mnie na kupno nowego płaszcza. Zobaczymy, przyrzekłam uczynić to jutro, o ile zdążę. W dodatku trzeba będzie poskładać różne wizyty, łącznie z bytnością na Türkenschanzstrasse.

Podróż była - taka sobie. Zasnęłam zaraz po przebyciu granicy czeskiej. Jechałam sama w przedziale.

Montreux - piątek - 14 sierpnia

Florencja w Paryżu, załatwia interesy. Jutro spotkam się w Genewie z Elzą. Moi dwaj panowie bardzo mili, ugrzeczniejsi, jedwabni, Marcin patrzy na mnie w jakiś nowy sposób, rozmawiamy na razie na tematy literackie. Jutro poważne rozmowy w jakiejś willi pod Genewą, po raz pierwszy w mojej obecności.

Zamieszkałam w moim pokoju. W „Acacii” taka cisza, że aż w uszach dźwięczy. W ogóle spokojny zakątek, ludzie zamożni stronią od hałasu. Szwajcaria wie dzie w tym prym. Co prawda już się trochę uspokoiłam, ale w każdym razie...

Czy moje mieszkanie zastanę wykończone po powrocie? Portretowe historie. Meble. Gorączka z urządzeniem hallu. Z oddalenia to wszystko maleje. Moje nowe mieszkanie, a tymczasem ja sama! wędruję po świecie. Ale cóż? Tylko ludzie biedni ze wszelakich sił dmuchają w swoje ognisko domowe z trudem wywalczone czy sklecone w obawie, aby im nie zgasło.

Prezenty, upominki. Mnie dają, ja daję i w ten sposób zamyka się kółko stosunków towarzyskich. Wiele razy dostaję prezenty osobliwe i zgoła nieoczekiwane. Chociażby i ostatnio. Stryjostwo - luksusowy Rosenthal na dwadzieścia cztery osoby, przydał mi się zresztą podczas imieninowej kolacji. Elfryda zdążyła przysłać mi z Londynu przez ciotkę starą broszkę z rubinami, pochodzącą jeszcze ze starych czasów gardenowskich. Generał przywiózł starą tacę, ręcznie kutą w srebrze. Moja Helena dobrze ją określiła: - Waży przeszło osiemnaście kilo! - W dniu imieninowym ozdobiła wierzch włoskiej skrzyni w hallu. Tam ją skromnie położył ofiarodawca, ale zrozumiałam to jako kawał. Własnoręcznie umieściłam ją w starym gabinecie na stole z Górek, stojącym na środku pokoju. Każda inna

żona byłaby zazdrosna o taki prezent, tylko nie nasza przyjaciółka. Jak ją kiedyś nazywałam? Madame Sans Gene! Bo i tak wyglądała wówczas na tle zbieraniny legionowych żon.

Wirewiczowa ofiarowała mi sporą paczkę brukselskich koronek. Powiedziała, że podzieliła się ze mną jak z siostrą. Ciekawa jestem, kto jej przeszmułował? Wujcio Benedykt wystąpił z porządnym perskim dywanem, cztery na pięć, powód do zazdrości starej Orzechowskiej. Ona sama, zamiast prezentu, wystąpiła z powieściowym frazesem o Oleńce. Leokadia również dywan, specjalnie nabyty, odpowiedni do owych ludwików, które odnawiają. Porządny prezent. Mr David przyniósł zawinięte w papier dwa angielskie sztychy w oryginalnych mahoniowych ramach, o narożnikach z kości słoniowej. Miejscowa zdobycz. Powiedział chłodno, że w Warszawie nie znajdują się na sztychach i że warto czasami pogrzebać w starych antykwariatach.

Z najbogatszym jednak darem wystąpił Kubuś Cielecki. Jego pradziad był szambelanem króla Stasia i oto pocziwy Kubuś przywiózł mi oryginalnego Bacciarellego. Jeden zapewne z kilku tuzinów Stanisławów Poniatowskich, których wymalował w sekrecie przed swoim patronem i sprzedawał za porządne dusie tym, co je mieli. Byłam zdziwiona takim prezentem, ale oboje ofiarowali mi go naprawdę szczerze, mówiąc, że to nagroda za swaty. Swoją drogą Marysia tyje, tyje. Wiejska dziedziczka całą gębą. Kubuś na wesoło głupekowaty, jak dawniej. Jego siostra wychodzi w tym roku za mąż, gdzieś niedaleko w okolicy. Zapraszali na ślub, trzeba będzie pojechać.

Ale trzeba również zgasić światło i pójść spać. Tam na dole moi panowie obmawiają Annę Jambor. W każdym razie nigdy nie dowiedzą się całej prawdy o tym, jak było. Może kiedyś, gdy Marcin i ów warszawski adres spotkają się na pierwszym piętrze, prawda wyjdzie na wierzch, ale i wówczas będzie to zaledwie połowa prawdy. Całość opowiem chyba jedynie mojemu wspólnikowi od tego interesu, on jeden jest w stanie pojąć to tak, jak było, i nie zadawać dalszych pytań. Nasi panowie są zbyt detaliczni. Nawet - Marcin, Grunt, że ja względnie szybko się emancypuję.

Sobota - 25 sierpnia

Dzisiaj gości mnie na razie Elza w swojej garsonierze. Jutro wcześniej rano jadę do mojego Eichelbachu. Hornowie są już uprzedzeni telefonicznie. Niedzielny obiad. Władek poleciał samolotem do Paryża, ale wróci w terminie.

Trudno o wszystkim pisać, jest tego zbyt wiele. Stary Płaton zapytał mnie na wstępie, czy już zdążyłam obejrzeć mój dom. Roześmiałam się i odpowiedziałam swobodnie, że nie odczuwam takiej potrzeby, skoro dom znajduje się w administracji jego banku. Rekin uśmiechnął się nieznacznie. Żeby go zaskoczyć, powiedziałam lekko:

- A tę końcówkę długu ureguluję w najbliższym czasie.

Z weselszych wiadomości chyba to, że nasz kochany profesor wraca do Warszawy jako honorowy konsul Wenezueli. Wszystkiego byłabym się spodziewała, tylko nie czegoś podobnego. Obecnie przebywa w Brukseli, ponieważ amerykańska republika przydzieliła Polskę do tego miasta. Ale oni nie mają żadnych interesów z Warszawą i owo konsulostwo jest istotnie tylko honorowe. Była mowa również o tym, że profesora Wydrę specjalnie honorowano w Caracas. Dopiero obecnie dowiedziałam się, że to jest stolica Wenezueli i że Caracas posiada uniwersytet założony jeszcze w XVIII wieku. Doktor Wydra został tam obecnie honorowym doktorem i profesorem. Podobno wraca już z wenezuelskim paszportem. Wszystko wiedzą i pokazali mi nawet dość grubą „biblię” po niemiecku napisaną, historia hiszpańskich kolonii w XVI wieku, historia rodziny Welserów z czasów Karola V i owego miasta Caracas, oddanego Welserom w zastaw - przez cesarza rzymskiego narodu niemieckiego. Ciekawa jestem, nad czym obecnie będzie pracował nasz konsul honorowy. Na naszym domku przybędzie jakaś fantazyjnie pomalowana blacha, podobna tym, jakie wiszą na Hundegasse 65 w pobliżu firmowego domu „Garden u.Sohn” w Gdańsku. Tamten gdański

konsul nazywa się Antonio Wiatrak i powiesił sobie aż trzy owalne blachy z herbami, nie pamiętam jakich krajów. Ale dopiero obecnie przypomniał mi się, poznałam go kiedyś u bankowych Gardenów. Podobno wielki spryciarz i robi interesy na paszportach amerykańskich. W chwilach wolnych od takich zajęć trudni się dodatkowo pośrednictwem w kawie guatemalskiej.

Trzeba jednak dokończyć lodów, zamknąć bloczek i pójść na wieczorną wizytę do Milizów. A tutaj tak przyjemnie, ciepło, miły powiew od jeziora.

Eichelbach - niedziela - 16 sierpnia

Miłe uczucie. Wyładowałam się z tramwaju i od razu powiedziałam sobie: jestem u siebie w domu. Moje pierwsze spojrzenie pobiegło ku dębom. Zielone, mocne w kolorze, chyba wszystkie powyżej dwustu lat. Hornowie powitali mnie z wylewnym hałasem, mimo że Szwajcarzy uchodzą za ludzi zimnych. A jednak umieją się weselić, gdy zechcą, wśród swoich, a za taką mnie uważają.

Czerwonej Łopacie, tak bowiem nazywam w myślach doktora Arnolda, przywiozłam w prezencie piękny zielnik naszych górskich roślin, Margot zakopiańską kasetkę do robótek kobiecych, młodsza Margot dostała woalową bluzkę, również z zakopiańskimi haftami, a obaj chłopcy albumy z polskimi markami pocztowymi.

Prezenty przygotowałam sobie zawczasu, największy kłopot sprawiło mi nabycie zielnika, dopiero panna Beata gdzieś go wychodziła dzięki swoim znajomościom. Profesor Horno szalał z radości. Utrafiłam mu do gustu, chociaż sam pomysł ofiarowania takiego upominku nie był trudny. Naturalnie celnicy szwajcarscy byli bardzo dokładni, zapłaciłam cło od wyszywanej bluzki, kasetkę jakoś przepuścili. Byli zdziwieni zielnikiem, nie wiedzieli, jak się do niego ustosunkować. W końcu machnęli ręką i powiedzieli, że to jest pierwszy wypadek w ich praktyce granicznej. Nie jestem zachwycona stosunkami na tych granicach. Gdyby nie szybka orientacja mojej przygodnej towarzyszki podróży, wiedenki, z którą rozmawiałam, byłoby mi przyszło zapłacić grube cło za nowy płaszcz skórzany zakupiony w Wiedniu, który wyglądał bardzo podejrzanie obok mojego starego. Ale moja wiedenka wzięła go na swój rachunek i jakoś się nie przyczepili. Niby nie są to wysokie kwoty, ale właśnie my wszyscy tego bardzo nie lubimy.

Od Elzy dowiedziałam się, że Paryż wyśle w tych dniach drugą partię „hamburskiej czerwieni sygnalizacyjnej”, ponieważ kompletowali jakieś detale. A zatem dobrze, że chwyciło. Każdy rodzaj handlu ma dwie niezmiennie powtarzające się emocje: czy chwyci? - oraz ową końcową: chwyciło! Pośrodku są szare dni kupieckie, wypełnione różnie, łzami i radością. Nic dziwnego, kupiecką jestem córką, pomimo tych moich esów-floresów z herbami nad drzwiami w warszawskim hallu.

Eichelbach - poniedziałek - 17 sierpnia

Moc nowych znajomych i na każdym kroku wyjaśnienia: - Bratanica naszego Martina, która przenosi się do nas na stałe. - Jutro raniutko wprost do Genewy. O dwunastej spotkanie z panem „K”, o czwartej rozmowy w willi Milizów. Ostateczne podanie rąk po ubitym interesie. Wieczorem spotkanie z naszym profesorem, zatrzymuje się w Genewie między pociągami. Dzwonił w tej sprawie Marcin.

Czerwona Łopata powiedział mi dzisiaj:

- Na twoim miejscu, Anno, zlikwidowałbym całkowicie te dalekie warszawskie interesy. Zamieszkałabyś wśród nas, rozejrzelibyśmy się za jakimś solidnym mężem dla ciebie. A zresztą masz dom, kamienicę w Genewie również, wiem od Marcina, nic nie mów, to tajemnica tylko dla innych. Z warszawskich pieniędzy kupiłabyś sobie porządne akcje. A więc czegoż byłoby ci jeszcze potrzeba? Spokojne życie. Rzuć, Anno, te wszystkie interesy

na dalekim świecie i powiedz sobie słowami Kandyda: *Tout cela est bien, mais il faut cultiver notre jardin.*

I Czerwona Łopata szarpnął swą płomienną brodę prawdziwego Szwajcara, śmiejąc się do mnie w stylu Colasa Breugnon.

Genewa - wtorek - 18 sierpnia

Męczący dzień. Dobicie do portu. Z profesorem nie wiem, czy rozmawiałam dziesięć minut. Od razu go porwali i wsadzili do samochodu. Jedzie przez Wiedeń. Obecnie czekam na samochód, wybieram się na jeden dzień do Montreux z Florencją, która przyjechała razem z profesorem. Marcin nocuje w Genewie. Jutro po południu przyjeżdżają do „Acacji” nasze warszawskie panie. W czwartek rano polecę samolotem przez Paryż do Londynu w towarzystwie dr Miliza. Sprawy naszej spółki. Piątek i poniedziałek - praca, środkowe dni na weekendzie w domu Fryderyka Gardena. Jakoś nie robi to na mnie wrażenia, otrzaskałam się ze zmianami. Marcin i Florencja jadą za kilka dni do Warszawy. Dr Miliz zostanie do środy w Londynie, później jeden dzień w Paryżu, dwa dni w Genewie i najdalej w poniedziałek 30 sierpnia zjawi się u nas w Warszawie. Zebranie akcjonariuszy naszej spółki w sprawie drugiej emisji. Nieźle. Jestem zmęczona.

Przyznam się, że obojętnie przyjąłm dzisiejsze oświadczenie Marcina:

- A nasza Anna na razie weźmie urlop w ministerstwie do końca roku. Władek załatwi z Góreckim, a później wręczymy ją do Centralnej Komisji Przywozowej na handlowego konsultanta, jeżeli nie da się inaczej. Tam siedzi Purski, warto, aby obok niego usiadła nasza Anna. W ministerstwie posadzimy... - I tu padło nazwisko nic mi nie mówiące.

Wład popatrzył na mnie i dopiero po dłuższej chwili poparł Marcina jednym słowem:

- No dobrze.

Później zamyślił się, i rozmowa przeskoczyła na inne tematy. Jeżeli o mnie chodzi, nie wyraziłam żadnego poglądu, boć przecie i nie było warto. Tylko tyle, że nie stanęłam na baczność i nie wykrzyknęłam:

- Tak jest, według rozkazu, panie kapral!

A więc to tak? Wszystko załatwione w jednym zdaniu. Anna tu, Anna tam. A sama Anna nie miała przy tym nic do powiedzenia.

Przy spotkaniu w cztery oczy Mr Emil rozpoczął od złożenia mi spóźnionych życzeń imieninowych i w sposób zresztą bardzo gładki, światowy wręczył mi pudełeczko z firmą paryską przy ulicy Rivoli. Nie wiem, ile karatów w platynowym pierścionku. Chyba z osiem. Miał przy tym uśmiech na swojej wyżółkłej twarzy, który zdawał się mówić: - Do tamtego kompletu - ale te słowa nie zostały wypowiedziane. Rachunek za kosztowny prezent wyrównałam w sposób możliwie szybki, opowiedziawszy krótko i zimno historię pozbycia się konkurenta. Mr Emil tym razem nie wytrzymał i roześmiał się, jego oczy na moment rozbłysły wesołością. Trwało to jednak niezmiernie krótko, po czym usłyszałam:

- *Cetait justement un coup d'etat, madame.*

Jeżeli interes zostanie zrealizowany do samego końca, murowane pół miliona z wielkim hakiem. Skończyły się porękawiczne. Obaj moi panowie pytali mnie później o wysokość prowizji, udałam, że nie rozumiem pytania, i powiedziałam, żeby się wykić:

- Złóżcie się obaj i kupcie mi porządne futro na zimę, to znaczy do pokazania się w lokalach.

I dodałam:

- Ponieważ wydałam już wszystkie pieniądze na przebudowę mieszkania.

Obaj śmiali się jak studenci na wakacjach, a w końcu Marcin zapytał mnie prosto z kantu:

- I... naprawdę nie chcesz, Anno, nic więcej?

Uśmiechnęłam się drwiąco:

- Przecież Władek może poświadczyć, że ten interes robiłam na własną rękę. Ofiarowałam nawet całe dwa procent więcej niż konkurencja.

Spojrzeni na siebie w milczeniu, dopiero później Wirewicz bąknął:

- A teraz Anna będzie pilnowała nas w Warszawie.

Tak to już jest na świecie. Im bliżej człowiek znajduje się miejsca, gdzie wysadzają skały, tym większą bryłę może sobie wybrać. Tylko tyle, że można przy tym mocniej dostać w zęby. No i samo życie biegnie szybciej, człowiek starzeje się. Chociaż i bez tego by się zestarzał, co prawda w nieco inny sposób.

Jutro rano obejrzę sobie po trochu i spokojnie Montreux na piechotę. Dawno już o tym myślałam, ale nigdy nie było czasu i okazji. Mark Twain napisał w którejś ze swoich nowel, że najwięcej w drodze dostrzega pieszy wędrowiec z kijem w ręce. Pisząc o kiju miał zapewne na myśli opędzanie się od psów.

Śpijmy, Anno. Nawet na wielkich gościach świata trzeba się czasami zdrzemnąć! Kilka lat temu byłabym w nieskończoność przymierzała moje nowe szkiele. Nic podobnego. Tylko tyle, że trzeba będzie jutro pozbyć się w jakiś sposób pudełeczka z paryską firmą. Początkowo miałam zamiar wrzucić je do jeziora, lecz w tej chwili przyszedł mi do głowy inny, prostszy pomysł. Zrobię małą paczuszkę i wyślę jako list polecony do Czerwonej Łopaty z prośbą o przechowanie do mego najbliższego przyjazdu.

Jeszcze wczesna godzina. Jedenasta. Wstawili mi do pokoju aparat radiowy mikroskopijnych rozmiarów. Amerykański, w formie damskiej torebki. Gra cichutko, lecz bardzo wyraźnie. Nastawię go na naszą Warszawę.

Komunikat z Hiszpanii. W sam raz utrafiłam... płyną transporty wojsk marokańskich. Nowe pięć tysięcy legionistów z Ceuty wylądowało w Algeciras. Otwarto cieśniny Gibraltaru dla przewozu wojsk. Wyprawa morska na Baleary. Armia czerwona zajęła Irvicę i Formentorę na Majorce. Anarchiści stanęli po stronie rządu madryckiego. Partia komunistyczna, odkładając swe ostateczne cele, przyłączyła się w okresie przejściowym do demokratycznej rewolucji burżuazyjnej. Pismo anarchistyczne „Solidaridad Obrera” twierdzi, że Hiszpania sprzed 19 lipca przestała już istnieć, a zamiast niej istnieje tylko naród pod bronią. Generał Mola po zajęciu Tolosy zajmuje stanowiska na granicy francuskiej.

Spać, spać. Ta warszawska muzyka jazzowa gra mi na nerwach. Ale ostatecznie cóż, do wszystkich diabłów, czy od razu mają grać marsze żałobne jedynie dlatego, że w Hiszpanii rewolucja? W tym kraju rewolucje są na porządku dziennym, dobrze, że jakoś wytrzymali w okresie, gdy zwiedzałyśmy te ich Malagi i Sewille!

W porę utwierdziłam moje interesy. Gdyby doszła do skutku umowa z tym rumuńskim bubkiem, wszystkie interesy byłyby mi poszły koło nosa. W dodatku w takim czasie! No i mój „K” powiedział mi wyraźnie: - Od wszystkich warszawskich interesów.

Montreux - środa - 19 września

Generalowa jeszcze nie zdążyła porządnie wsiąść do samochodu, a już zaczęła:

- Wiesz, Anno? Ten pan Tadeusz myśli całkiem rozsądnie. Już od pierwszego września będzie nazywał się bardzo pięknie: doktor Tadeusz Mireski. Nasza podstarzała Lucynka będzie panią Mireską. To brzmi nawet całkiem niezle. A czy ty wiesz, że ona ma już 46 lat? Ale skoro szczeniak leci na nią...

Leokadia wytrzymała z nowościami aż do chwili, gdy panie odświeżyły się i zasiadłyśmy do podwieczorku:

- Mieszkanie pierwsza klasa, Anno. Ramy z Gdańska już nadeszły. Petras oddał wszystko do twojego ramiarza, a ja już wybrałam dla ciebie chippendale u Sroczyńskiego. Zapłaciłam sześć i pół tysiąca, biurko, dwa fotele, szafa, okrągły stół, cztery dalsze fotele i w tym samym stylu serwantka. Trochę to nie bardzo z taką serwantką w bibliotece, ale można będzie wyłożyć tam zbiór starych monet. Wycyganisz od Kubusia Cieleckiego, po jego ojcu,

ale on się w tym nie lubuje. Leży w skrzyniach i mało kto do tego zagląda. To będzie nawet bardzo oryginalnie. A ten twój rysownik to tausendkünstler. Umie wygrzebywać spod ziemi. Wzdłuż dużej ściany w nowym gabinecie, tej bez okien i drzwi, ma zamiar ustawić w równym szeregu pięć półek oszklonych, tafle kryształowe zsuwane, półki wysokie na dwa dwadzieścia, stolarze mają odebrać drzewo pod kolor chippendali, doskonała, równa linia. Na razie wstrzymali się z zawieszaniem obrazów nad tymi szafkami. Młody człowiek segreguje książki, dali mu do pomocy panienkę z dołu. Kanapka, wiesz, Anno, ta z prawej strony drzwi, przylega do półek z książkami, bardzo wygodna, dopasowana do mebli. Nad nią młodzieniec zawiesił miniatury z Górek. W sam raz miejsce dla nich. Mówiliśmy, że takie zestawienie, bardzo odważne - może być tylko u naszej Anny. Dywan damy ten od Benedykta, pers, już przymierzałyśmy. Obrazy z Górek rozwieszał twój protegowany majster. Wiesz? Ten aksamit w słonecznikowym kolorze już oddany do tapicera, pokryje fotele w gościnnych pokojach. Młody mówił, że to będzie w amerykańskim guście. Gdy ci się nie będzie podobać, damy na Nowy Świat. A co do męskiego pokoju, to będzie gotowy za kilka dni. Kominek cacy, tapczan pod oknem z obudową, już dawno był gotowy, ale kazałyśmy zmienić obicie na taką samą skórę jak w gabinecie. Nowość, takich tapczanów nie robi się na co dzień.

Nie przerywałyśmy opowiadania Leokadii. Trudno - niech się wyżywa. Ona ma pasję do urządzania wnętrz.

- A do nowego gabinetu zdobyłam bardzo odpowiedni żyrandol. Dwa razy po osiem świec w dwóch kondygnacjach. W stylu holenderskim, trzy kule, jedna pod drugą, cienkie smukłe ramiona. Elfryda wyszukała go w Gdańsku i przysłała. A tym twoim nowym hallem wszyscy się zachwycają. Byli na kawie młodzi Orzechowscy, chcieli mnie odwiedzić, przyprowadzili ze sobą Rudolfa Liteńskiego. Bardzo szarmancki, umie się znaleźć, od razu z różami.

I tak wypadnie, że dla mnie zostanie jedynie złożenie podziękowań w prawo i lewo. Później jeszcze regulowanie rachunków za te wszystkie ekstrawagancje. Wreszcie nastąpi seria podejmowania gości. W dodatku jakaś rola po powrocie do Warszawy, coś jakby nowe przedstawienie, zmiana programu. Dalsza zapewne reżyseria w rękach Marcina. Co on powie na to wszystko? Powinien być zadowolony, ostatecznie wypadło po jego myśli. Nowe drogi w życiu to jakby podróżowanie na ślepo w przyszłość. Stary złodziej zawsze jest najlepszy, bo znajomy i można z nim się szybciej dogadać.

Ano tyle. Już pożegnałam się ze wszystkimi.

Nie wiadomo, jak długo w Londynie. Mają wytłumaczyć mi różne rzeczy, aby można było lepiej zsynchronizować u nas, przy ulicy Hortensji. Marcin ma dzwonić. W każdym razie wspólny powrót z dr Milizem do Paryża. „Cztery Kamienie” po drodze. Szkoda, że tylko sama ciotka Temmi. Z prawdziwą przyjemnością uściskałabym nasze dzieci.

Le Bourget - czwartek - 20 sierpnia

Cudowna pogoda. Gładko poszło. Skromne śniadanie, bez płynów. Zalecenia Marcina. Doktor Miliz milczący. Wygląda, jak by miał tremę w powietrzu. Na mnie nie robi to żadnego wrażenia. Trochę emocji było tylko po wylocie z Genewy.

Trudno pisać.

Londyn - tego samego dnia wieczorem

Pomiędzy poszczególnymi dzielnicami Londynu są mniej więcej tego rodzaju różnice, jak między Pińskiem, który znam tylko z opowiadań naszych urzędników, a Lwowem, Krakowem, Katowicami, Poznaniem, Warszawą i Gdańskiem.

Paddington, gdzie mieszkają Gardenowie, jest dzielnicą bogatych mieszczan, a South Lambeth, gdzie stoi czteropiętrowy dom czynszowy Elfrydy, pomimo pięknie brzmiącej

nazwy: Dorset Road - jest londyńską dzielnicą ludzi niezamożnych. Dzielnica Whitechapel to w dalszym ciągu środowisko złoczyńców, gangów i prostytutce. Muzyk z żoną i Elfrydą mieszkają w Paddington przy Queen's Road, bardzo blisko ogrodów Kensington. Stacja kolejki podziemnej prawie pod nosem, Bayswater. Na razie wypisano mi te wszystkie nazwy na bilecie firmowym naszej spółki drzewnej. Sama firma mieści się na Finsbury przy Sun Street. Biuro zobaczę dopiero jutro. Na razie umieszczono mnie w pokoju gościnnym przy Queen's Road w mieszkaniu Elfrydy. Właściwie to jest wspólne mieszkanie z jej ojcem, ale posiada oddzielne wyjście do klatki schodowej, mały przedpokoik, dwa pokoiki z łazienką i przez ten przedpokoik wejście do hallu mieszkania Fryderyka Garden i jego angielskiej żony. Owej przyrodniej siostry naszego Mr Davida. Służący, kucharka, szofer i jakaś dochodząca kobieta do pomocy w sprzątaniu mieszkania. Dom należy do wujka pani Fryderykowej Garden.

Widziałam dotychczas salon i pokój stołowy. Macocha Elfrydy w rodzaju „Błedej Twarzy”; podobno jest bardzo uduchowiona, spirytystka, ale od takich właśnie roi się w Londynie i w Anglii. Marcin uprzedził mnie, że ma króliki w głowie, tego jednak nie można brać ani dosłownie, ani serio. Wieczorowy obiad nie był krępujący, starsi gospodarze na chłodno uprzejmi, nikt nie rzucał mi się na szyję. To znów inny świat.

Elfryda jak zwykle poważna, solidna, skupiona. O powrocie do Gdańska nie ma mowy. W najbliższym czasie dobije do angielskiego paszportu. Dopiero dzisiaj dowiedziałam się, że od bardzo dawna była wkręcona w angielską naturalizację. Zameldowanie, stan posiadania, rodzina i tak dalej. Rzecz prosta, że wszyscy trzymali wodę w ustach, aby to nie psuło im stosunków w Gdańsku. Nauka dla mnie. Muzyk i jego żona przebywają w Londynie najwyżej dwa do trzech dni w tygodniu. W inne dni cała domowa menażeria wędruje w całości do wiejskiej posiadłości odległej o godzinę drogi koleją, w mieszkaniu zostaje tylko kucharka. Elfryda tkwi prawie stale na Queen's Road i jeździ do ojca w sobotę po południu. A na co dzień króluje przy Sun Street, gdzie zajmuje mniej więcej takie samo stanowisko jak ja na pierwszym piętrze przy ulicy Hortensji.

Na pierwszy rzut oka miasto jest ponure i bez wdzięku. Podobno z dzisiejszą pogodą nie było źle, ale gdy około godziny szóstej po południu jechałyśmy wozem wzdłuż Tamizy, przestrzeń była zasnuta gęstą mgłą. Oglądałyśmy czynszową kamienicę Elfrydy, ponieważ miała tam do załatwienia kilka interesów. To nie to samo, co z moimi domkami przy ulicy Mińskiej. Tutaj trzeba osobiście wydeptywać swoje funty szterlingi, warszawskie złotówki przychodzą znacznie łatwiej.

Jak na gościa spędzającego pierwszy dzień w Londynie, to nie mogę powiedzieć, aby mnie specjalnie adorowano. Starsi Gardenowie pożegnali się ze mną zaraz po obiedzie, życzyli mi dobrego wypoczynku po podróży i koniec. Elfryda wywiała gdzieś na jakąś konferencję - dla interesu, jak się wyraziła. Zostałam sama w pokojach Elfrydy i w braku lepszego zajęcia wzięłam się do bloczka. Byłabym mogła wyjść z domu i trochę pochodzić po ulicach, ale nie chciałam, by moje pierwsze wrażenia londyńskie wysnuwały się z wieczornej mgły. Zresztą mam dość wrażeń jak na jeden dzień. Pierwsze śniadanie z biskoptami do łóżka pod brodę w Montreux, gorzka herbata z sucharkami podczas kawiarnianej rozmowy z Marcinem w Genewie, drugie francuskie śniadanie na lotnisku pod Paryżem, a obiad już na Queen's Road. Świat mocno się skurczył od czasu napisania przez Juliusza Verne powieści o podróży naokoło świata w osiemdziesięciu dniach.

Dom Elfrydy kosztował dwadzieścia sześć tysięcy funtów i przynosi na czysto rocznie 1590 funtów, tj. sześć procent. Można by z tego żyć wygodnie, naturalnie bez specjalnych ekstrawagancji. Czy Elfryda wyjdzie kiedyś za mąż? Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Krystyn był tak bezczelny, że przysłał do Londynu ślubną fotografię, taką samą jak do Wiednia. Miły braciszek. Rodzonym siostrzynom jedynie kawałek złoczonego kartonika. Estrella. Elfryda mówiła o tym całkiem obojętnie, widocznie urządziła sobie życie inaczej. Rozumiem

ją i nie rozumiem. Ale cóż miała robić, walczyć o swoje szczęście czy narzucać się ze swoją miłością?

Doktor Miliz zatrzymał się u swego kolegi z uniwersytetu, którego ojciec jest wpływową figurą w angielskim parlamencie. Przysłali po niego samochód, rozstaliśmy się już na lotnisku w Croydon.

Piątek - 21 sierpnia

Byłam co prawda na to przygotowana i nie można tego określić mianem rozczarowania. Ta cała nasza londyńska spółka to jedynie trzy pokoiki doczepione do znacznego biura adwokackiego „Garden et Co”. Niewielki postęp od czasów Dawida Copperfielda, jeżeli chodzi o tego rodzaju stare biura adwokackie. W naszym biurze spółki drzewnej tylko pięciu urzędników, Elfryda i znów jakiś krewny Gardenów. Podobno mają gdzieś jakieś magazyny, ale nie warto było tego oglądać, chyba przy okazji. Ciekawość w tym kierunku wyglądałaby na jakąś niepotrzebną penetrację. Przepisywanie faktur. Pewnie nie ima najmniejszego związku z naszą warszawską spółką akcyjną. Proste kombinacje. Trudno byłoby zdekspirować jakieś kontakty z wyjątkiem normalnych stosunków handlowych. Trzydzieści warszawskich tysięcy winduje się tutaj do pięćdziesięciu tysięcy, z uwzględnieniem naturalnie dewizowej wartości. Za zgodą Marcina wpłacam obecnie do tego interesu nowe dwa tysiące funtów. Jeden przekażę z Paryża, drugi od papy Dubowa. Elfryda patrzyła na mnie zdziwiona, gdy wspomniałam o tych nowych przekazach. Później zapytywała mnie, czy to są moje własne udziały, czy rodziny szwajcarskiej. Ciekawe. Interesy handlowe osłabiają serdeczność rodzinnych stosunków. Gdy pomiędzy nami nie było pieniędzy, moje stosunki z Elfrydą były bardziej serdeczne i intymne. Obecnie wszystko zaczyna się wyrównywać w kierunku tylko miłej i życzliwej poprawności, takiej na przykład jak wobec Elzy Dubów. A może dlatego, że starzejemy się obie z Elfrydą? Ludzie drewniej w podobny sposób jak szparagi. Z biegiem lat każdy z nas przyodziewa się w wiele skór, przez które trudno przebić się przyjaźni z młodzięczych lat. A może tutaj działa jedynie obcość nowego środowiska. Teatralne kulisy nowego mieszkania i miasta. Nie wiem.

Moja rola w Londynie, jak dotąd, mocno oficjalna. Korzystają nawet z mojego przyjazdu, ponieważ dowiedzieli się wszystkiego w sprawie nowych emisji akcji. Nikt z nich nie pojedzie do Warszawy na walne zebranie. Mr David wystarczy, ma odpowiednie pełnomocnictwa. A zresztą tym razem będzie to jeszcze zebranie rodzinne, dopiero później, razem z trzecią emisją napłynie do nas masa drobnych akcjonariuszy. Nie wiadomo po co i w jakim celu, ale napłyną łącznie z milionami złotych, które wprowadzą do naszego kapitału zakładowego, a o to tylko chodzi.

Jutro rano będzie trochę wolnego czasu. Elfryda ma obwieść mnie po mieście. O ile naturalnie dopisze pogoda. Przecież warto zobaczyć coś więcej nad trzy ulice. Jutro również wpłacę sto funtów i otworzę sobie rachunek czekowy w tym samym banku, co nasza firma londyńska. Potrzebne ze względu na moje interesy. Papa Dubow nie musi wiedzieć o wszystkim, zresztą tak będzie dla mnie wygodniej. Z ciekawości pojedę zobaczyć również bodaj z daleka dom mojego londyńskiego adresata, z którym rozmawiałam przez telefon. Naturalnie z daleka i bez gapienia się. Może przydać się w przyszłości, nigdy nie wiadomo, co wyskoczy pojutrze lub za dwa lata.

Millbourn House - sobota - 22 sierpnia

Domek. Wokoło sporo takich samych domków, fantazyjnie obitych olejno malowanymi deskami. To właściwie nie są nawet deski, a jakieś listwy. Taki sobie dom bez najmniejszego wdzięku. Nasz house pomalowany jest na jasnolila. Sąsiedni razi oczy kolorem pomarańczowym i nie wiadomo dlaczego eternitowym dachem w kolorze niebieskim. Śliczne natomiast są ogródki, słynne w tej miejscowości z hodowli róż. Ale brak wiekowych dębów,

jak moje w Eichel. Z przyjemnością wyjęłam rodzinne zdjęcia z Hornami i prezentowałam mój letni *house* pod Bazyleją w Szwajcarii. Anglikom trzeba zawsze dodawać nazwę kraju przy wymienianiu miasta, oni nie są tędzy w geografii poza granicami swego kraju.

Uczyliłam to z przyjemnością, dodając chłodno:

- A w Genewie mam kamienicę czynszową.

Później, już w pokoju gościnnym, gdy Elfryda mówiła mi ostatnie dobranoc, usłyszałam:

- Zatem ty, Anno, nastawiłaś się całkowicie na Marcina. A co z twoimi zamiarami wyjścia za mąż? Ciotka opowiadała, że to już blisko. Pan Rudolf Liteński. Czy on również przeniesie się na stałe do Szwajcarii?

Byłam w kropce. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Jakiś mocno odmienny styl życia. Inny sposób bytowania. Pomimo że myślowo jestem nastawiona na różne Niemczyzny. Poza tym to ten sam domek, w którym nasz brat poznał Hansa von Jamsborck. Na własne szczęście czy nieszczęście - to trudno odgadnąć. Ale to już jego rzecz, w happy-endzie ma Estrellę i swój nowy, bardzo nowy świat. Co do tych informacji, na które czekaliśmy, nie warto o nich wspominać. Wyliczenie pozycji majątkowych o niczym nie stanowi. Człowieka nie sposób tak odgadnąć, zwłaszcza gdy nazywa się Estrella de los Valles de Soredano. Z urodzenia zwykła amerykańska panna Wilson. Tylko tyle, że matka tej Estrelli była również hiszpańskiego pochodzenia, ze St. Louis, z domu Bermudez, o pospolitym już imieniu Dolores. Dziadek Estrelli jeszcze żyje, gdzieś pod tym właśnie St. Louis, plantacje bawełny. Matka Estrelli jest po raz drugi zamężna, również w Sac Paulo, przędzalnie bawełny.

Drugi mąż Estrelli... „niejaki Christiano de Jamsborck, podobno inżynier z europejskim wykształceniem. Około trzydziestu lat, przed przybyciem do Sao Paulo pracował w ambasadzie niemieckiej w Waszyngtonie. Bardzo obrotny, kierował odlewniami w Sao Paulo, ówczesny zarobek osiemset amerykańskich dolarów miesięcznie, własny samochód, szofer z Europy. Wywiad z Waszyngtonem ustalił, ale w sposób niepewny, jakieś kontakty z krewnym w Chicago. Przed ślubem wydawał około pięciu tysięcy dolarów miesięcznie, źródła dochodów trudne do ustalenia. Obserwacja wskazuje na giełdę. Kontakty z niemieckimi dyplomatami. Jego brat Hans pracuje w charakterze attache politycznego w Buenos Aires, wykształcony w Anglii. Służba nie umie udzielić informacji, korespondencja nie przychodzi wprost do mieszkania. Należy do miejscowego klubu niemieckiego. Znajomość z obecnym teściem, Mr Wilsonem, została zawarta w domu prezesa f. Gompanhia Siderurgica Belgo Mineira. Bliższe dane odnośnie osobistego majątku Mr Christiano nie są znane, zalecałoby się jednak ostrożność z udzieleniem kredytu ponad sto tysięcy am. dolarów. Do B. B. i do R. C. nie należy”.

Jak widać, brazylijscy informatorzy potraktowali naszego brata jako obiekt do zakredytowania.

Jeszcze jedno. Londyn Londynem, a prowincja prowincją, pomimo ogródków z różami i domków obitych deszczułkami w kolorach krzyczących o pomstę do nieba. Pipidówki istnieją widać na całym świecie, w tutejszej są trochę lepsze waterkłożety niż w naszym Zakopanem, ale reszta... Wmawiają w siebie różne wielkie rzeczy może dlatego, że noszą na co dzień podwójne kołnierzyki i chodzą sztywno w melonikach resp. w cylindrach. Trzymają forsy w Banku Angielskim, młodszy synowie wyżywają się w koloniach, a różni mariniści owiewają tchnieniem poezji podróże angielskich statków na dalekich morzach. Business, reklama, tradycja, parasolki starych dam na wysokich trzonkach, czarne toczki na perukach, wypasieni Bobby na krzyżówkach ulic, zapleśniałe kancelarie adwokackie z aktami sprzed trzystu lat i mocno fotogeniczna gwardia królewska przed pałacem buckinghamskim. Oto jest cała Anglia, Zjednoczone Królestwo czy też Great Britain et Corp. Kanty takie same jak i u nas,

może cokolwiek większe, ponieważ na jeden funt szterling składa się coś ponad dwadzieścia sześć naszych złotych.

Ano, wypisałam to wszystko w stylu owej polskiej dziennikarki, z której tak wyśmiewał się Henryk Sienkiewicz na kartkach swoich Listów z podróży po Ameryce.

Dobranoc. Elfrydzie powiem przy okazji, żeby następne lakiery do pomalowania domku w Millbourn zamówili w firmie Maltz w Paryżu, Rue des Quatre Pieds, korzystnie, bo ze zniżką rodzinną. W Warszawie byłoby nawet gratis, ale koszty przesyłki...

Nie widzi mi się ten Londyn. Ale trudno, trzeba dotrzeć do końca. Przynajmniej dobrze, że wyjazd o jeden dzień wcześniej. W środę rano pofruniemy do Paryża, na miejscu koło godziny dziewiątej rano. W sobotę rano w Warszawie. Strrrach! Marcin będzie tam znacznie wcześniej. Ale przecież nie urwie mi głowy. Powinni być zadowoleni, że dzięki mnie dobili tak gładko większego interesu. Dla nich obu prawie dwa miliony.

A teraz spać. Figle przychodzą mi do głowy- Gdyby na moim miejscu była panna Beata, marzyłaby o podobnych domkach pod Warszawą. Tysiące takich domków, a wszystkie pomalowane lakierami zakupionymi w firmie „Sol” przy Nowym Świecie. Kochane są te nasze panusie, panna Beata, która nie chciała, i pani Lucyna, która zechciała... W dodatku znaczny postęp, ponieważ ów pierwszy, pan Moderski, był zaledwie notarialnym koncypientem.

Czy warto przyjechać na weekend pod Londynem, aby pisać o takich głupstwach? W dodatku przychodzi mi na myśl Erna. Ale tej chyba nie spotkam. Zginęła w przestrzeni, podobnie jak jej francuska matka. Złą miała krew ta Dubonne, tak powiedzieli w Hermsdorfie.

Niedziela - 23 sierpnia

Od samego rana deszcz leje jak z cebra i mgła snuje się na wysokości mniej więcej kolan w górę. Podobne mleko jak czasem w zakopiańskich górach. Śniadanie przynieśli do łóżka pod brodę, jajka na bekonach, kto wie, czy nie polskich. Herbata. Później przyszła Elfryda pocieszać mnie, że u nich bardzo często zdarza się taka właśnie pogoda. Na południowe śniadanie przebrnęliśmy we mgle do pomarańczowego domku. Krewni i znajomi. Jakoś idzie z moją angielszczyzną dzięki biurowym pogawędkom z Mr Davidem. Ubolewają, że musimy siedzieć w Warszawie, rozumieją to jako interesy. Poznałam dzisiaj odrębną pozycję z podręcznika zoologii. Emerytowany pułkownik, całe życie spędził w Indiach. Takich u nas nie ma. Starość doczepiona jest do jego postaci jako nieustająca okazja do opowiadania przygód. Anglicy bynajmniej nie są tacy niemi, za jakich uważają ich u nas, Francja ma swego Tartarina z Tarasconu, rosyjscy emigranci opowiadania z cesarskich czasów w guście powieści Lejkina. Anglia - emerytowanych pułkowników. My zaś mamy hrabiów przebywających ustawicznie za granicą i wypełniających karty naszych powieści historiami w guście eleganckich czytelników. Różne rodzaje wymawiania litery: er, pozostałe różnice są minimalne. Pomieszanie wykwintnej elegancji z ordynarnym chamstwem jest u nas pospolite.

Poza tym nudno. Deszcz pada bez przerwy, a z parteru przenika do naszych pokoików na górce muzyka Chopina. Tylko tyle, że mocno nieporządna i nie dogrywana do końca.

Jutro rano poderwiemy się z łóżek o dzikiej godzinie, śniadanie zjemy w pośpiechu i będziemy starały się włączyć do podmiejskiej kolejki. Dostanie się samochodem byłoby bardziej kłopotliwe. W biurze o dziesiątej rano. Londyńskie kolejki podmiejskie są fantastyczne. Takie same mniej więcej, jak nasz kochany samowarek do Otwocka. Może tylko trochę czystsze. Mr David jeździ na weekendy trochę dalej, prawie sto kilometrów, do jakiegoś kolegi z uniwersytetu, który niedawno odziedziczył tytuł któregoś tam z rzędu wicehrabiego, a poprzednio zabawiał się posłowaniem do Izby Gmin. Tytuł w tym wypadku przywiązany jest do bardzo starożytnych ruin.

Wieczorem. Moja Helenka, gdy zechce i gdy ją poproszę, przyrządza znacznie lepsze kolacje. Ale trudno. Na tym koniec niedzielnej wycieczki do krewnych na przedmieściu Londynu. Elfryda mówi, że jej ojciec wpadł w jakiś niesamowity trans nerwowy. Podobno dzisiaj urządzają specjalny seans spirytystyczny z wynajętym medium, ale beze mnie i bez Elfrydy. Ona się do tego nie nadaje. Osądzili, że ja również, chwała Bogu, nikt mnie nie chwyci za kolano, bo tego nie lubię. To właśnie Mrs Gloria, żona muzyka, orientuje się we fizjonomiach od pierwszego wejrzenia. Seans ma się odbyć w innym domku, może dzięki temu duchy nie wystraszą nas tej nocy.

Gaszę światło. Słychać krople deszczu bijące o okiennice. W zimie podobno w domku jest bardzo zimno. Kominki, ponieważ centralne ogrzewanie jeszcze tu nie dotarło. Hydrofor również często nawala, już znacznie lepiej jest u nas w Konstancinie.

Londyn - poniedziałek

Mgła. Nic nie widać. Nawet Cook nic na to nie poradzi. Dr Miliz zostaje jeszcze jeden dzień. Ja lecę jutro rano o godzinie wpół do siódmej. Niech się dzieje, co chce. Zresztą podobno jest nieprzyjemnie tylko podczas startu, ma się wrażenie, że samolot zawadzi o jakiś budyneczek. Nad morzem przeciera się mgła. U wybrzeży Francji podobno słoneczna pogoda, tak brzmią urzędowe komunikaty. W Londynie załatwiłam wszystko, co do mnie należało, oglądanie koronnych klejnotów odkładam sobie do lepszej pogody. Zresztą nie ma kto po mnie płakać.

Kupiłam sobie śmieszne drobiazgi, niewiele, celnicy się nie pożywią. Odwiedziłam również londyńską agenturę gdańskiej firmy „Garden u. Sohn”. Dwa pokoiki z telefonem, trzech pracowników, dwóch tutejszych i gdański specjalista techniczny od drzewa, importowany z własnej woli. Owszem, tam przekręca się gdańskie guldeny na angielskie funty szterlingi i zbiera się gotówkę na kupno drugiego domu czynszowego dla młodszej Elfrydy.

Rozmowy z kuzynką. Jakies nijakie tym razem. Widocznie kobiety zawiedzione w miłości kamienieją. Uśmiech nie zawsze może pokryć skrzywienie ust. Elfryda jest obecnie poważna nad miarę. Poza tym nie było nastroju, ponieważ sprawy biurowe wypompowały ze mnie całą ochotę i zainteresowanie dla nowego miasta. Taki to jest business!

Paryż - wtorek - 25 sierpnia

Zwariowany dzień. Ciotka Temmi skorzystała z mojego przyjazdu i zrobiła sobie wakacje. Pogoda. Stroje. Wydałam kupę pieniędzy. Pod komendą Mrs Maltz, widocznie doszła do niej rodzinna gadka, że jestem obdarta. Z cłem będzie tym razem naprawdę niedobrze. Dwie gotowe suknie wieczorowe, wyjściowy kostium, moc jedwabnych fidrygalków i w ogóle... Mają pożyczyć mi walizę. Mrs Maltz mówi, że nie warto kupować. Waliza to głupstwo, ale to, co do niej włożę! Wybiera się do nas. Na razie bez określenia terminu, ale jeszcze w tym roku. Śmiała się, że będzie okazja, od razu mi wyrąbała:

- Na twój ślub, Anno, przecież Florencja wyraźnie opowiadała. Jakiś pułkownik. Awansowali już, psiakrew, Rudolfa Liteńskiego o dwie gwiazdki w górę.

Wypytywała się też drobiazgowo o szczegóły handlu naszym drzewem. Co do lakierów, trzeba będzie trochę rozejrzeć się w naszych przekazach do Paryża. Może uda się przyspieszyć. Ale bez specjalnych wymówek, płacimy Paryżowi odsetki, im to jest mniej więcej obojętne, ponieważ mają kredyty w banku, a nas takie odsetki kosztują taniej niż nasze kochane domowe banczki. Ci kropią od razu dziesięć i ćwierć, a nawet dziesięć i trzy ćwierci. Interesy, interesy. Jaki cel ma na przykład Mrs Maltz w tym swoim zbieraniu dolarów? Nie wiem, ona chyba również nie wie. Może dla emocji lub dla zabicia czasu na co dzień, ponieważ w święta i wieczorami grywa w brydża i chodzi do paryskich kabaretów. Ale tym nie można wypełnić sobie całego życia.

Jutro z rana trzeba będzie pogrzebać się trochę w papierzyskach przy ulicy Czterech Kamieni, wieczorem odjazd do Warszawy normalną drogą, koleją przez Liege. Jeden dzień wcześniej w domu, i tak strach przed Marcinem. Ale przecież on sam mi powiedział, że to rodzaj hamulca bezpieczeństwa, gdy zajdzie potrzeba. Była zatem potrzeba, pociągnęłam, hamulec działał bez zarzutu, no i na tym powinien być koniec. Marcin nie stawiał mi przecież żadnych ograniczeń czy zastrzeżeń.

Jutro po południu spróbuję odwiedzić moich starych znajomych, z ambasady. Pułkownika już nie ma w Paryżu, lecz radcostwo obrastają mchem jednego miasta.

Czwartek - 27 sierpnia

W pociągu. Dojeżdżamy do Berlina. Nie chce mi się pisać. Mam bardzo ciekawe towarzystwo. Wracają z Nizy. Młode małżeństwo. Paplają z sobą, nie zwracając na nikogo uwagi. Wyobrażają sobie, że nie znam języka polskiego. Prawie cały dzień przesiedziałam w wagonie restauracyjnym. W przedziale sypialnym jechałam sama, pierwszą klasą, przecież płaci Beocja z krainy drzewa przy ulicy Hortensji. Taki posterunek w wagonie restauracyjnym jest bardzo ciekawy, stwarza możliwość obserwowania bliźnich.

Warszawa - piątek - 28 sierpnia

Krótko. Koło południa obaj nasi panowie zaciągnęli mnie do „Apfelbauma” i kazali przymierzyć kilka futer. Wybrałam to, które mi się najwięcej podobało, ponieważ tak chcieli. Jakieś drobne poprawki, lecz uporają się z tym. Nurki. Dopiero po powrocie do domu, gdy zostałam sama, uświadomiłam sobie cenę. Nic szkodzi, mają dosyć pieniędzy. Ze składu futer przeszliśmy do „Europy” i tam dopiero Marcin pokazał mi wycinek z rumuńskiej gazety. Jakoś przesylabizował. Michael Drămbărescu został aresztowany w Bukareszcie i w najbliższym czasie ma stanąć przed sądem. Dziennik sprzed kilku dni. Zrobiło mi się gorąco, oblałam się potem. Ale wytrzymałam i nie poleciałam do toalety, jak to robią nasze kochane panie w momentach wzruszeń. Pomimo że właśnie dzisiaj... ale to głupstwo! Wład szepnął:

- Tak, to był ten trzeci konkurent. Całe szczęście!

Mnie nie potrzeba było tego mówić. Później, gdy wróciliśmy do domu, Marcin zapytał mnie krótko, po męsku:

- Skąd wziął ci się w głowie pomysł wykorzystania adresu, jak wpadłaś na taką możliwość?

Musiałam opowiedzieć szczegóły. Potem trzeba było usiąść na dobre dwie godziny z obu stryjkami na pierwszym piętrze i zatopić się w drzewnych cyfrach naszej pani Wiszniewskiej. Rozmowa z Marcinem była niezwykle krótka. Bez uśmiechu i bez jednego zbędnego słowa.

Mieszkanie zapięte na ostatni guzik. Nawet katalog książek umieszczonych w szafie gabinetu męskiego prawie gotów. Młody człowiek zabrał się do tego bardzo inteligentnie, zakupił znormalizowane kartoteki. Helena mówi, że codziennie siadywał do późnej nocy. Oba przedpokoje boczne sprawiają wrażenie korytarzy w muzeum. Zapchane obrazami. Jedyne ściana nad półkami w gabinecie pozostała nie zajęta, jakby w oczekiwaniu na zawieszenie portretów rodzinnych przyszłego pana męża.

Przyznaję, że obleciałam całe mieszkanie jeszcze w płaszczu i kapeluszu. Naprzód wpadłam do mojego fiołkowego gabinetu. Wszystkie trzy portrety z Hermsdorfu odświeżone i na swoim miejscu. Pastora Collensa zawieszono na dawnym miejscu kopii Chodowieckiego. Fryderyk na koniu wygląda imponująco. Dopiero po włożeniu do ciężkich ram malerek z XVIII wieku wychodzi wspaniale.

Ludwiki bardzo dobre, stonowane z jedwabnym obiciem ścian, dywan Leokadii również. Ma dobry gust. Srebrna taca Władka znalazła właściwe miejsce na środkowym stole w damskim gabinecie. Historyczne mordy w hallu powitałam jak bardzo dobrych znajomych.

Miły wariat w istocie z lekka pozłocił niektóre krawędziowe fragmenty na ozdobach z kutego żelaza. Może nawet było to potrzebne ze względu na stare, dobrze wyślacane ramy obrazu.

Wieczorem wszyscy zeszli się u mnie na górze i pomimo zmęczenia starałam się być uprzejmą gospodynią dopasowaną do odnowionego mieszkania. Profesor bardzo miły. Pytałam, czy mam zmienić profesora na konsula, wszyscy się śmiali łącznie z doktorem Wydrą. Ja mam uczyć się języka hiszpańskiego. Ciekawe. Zlecenie od Marcina. Podobno Marcin i Florencja już od dłuższego czasu wkuwają w siebie ten „światowy” język.

Marcin pytał:

- Na co ci to wszystko, Anno? Przecież tego mieszkania nie zabierzesz do Szwajcarii.
- A właśnie - odrzekłam - nawet ozdoby z żelaza wykręcę i zabiorę.

Na takie dictum Marcin roześmiał się wesoło, całkiem w stylu Czerwonej Łopaty. Trochę się zawstydziałam mojej dziecinady.

- Wiem, że nie zabiorę, lecz właśnie dlatego, niech ci, którzy tutaj zamieszkają po mnie, powiedzą, że Anna Jambor miała dobry gust!

Na razie nie rozumiem wielu rzeczy. Na przykład mają kupić na moje nazwisko sąsiedni dom, przylegający do parterowych biur. To, że przebiją ścianę, rozumiem, ale dlaczego od razu kupować dom? I w dodatku na moje nazwisko.

W biurze nie byłam. Płatny urlop do końca roku załatwili sami bez mojego współdziałania. Mam pełnić jedynie funkcję konsultanta w Centralnej Komisji Przywozowej, ale tam sobie nie oberwę rękawów przy pracy, najwyżej kilka godzin tygodniowo. W moim referacie: Austria, Szwajcaria, Włochy i Jugosławia, może mi coś jeszcze dodadzą.

Stryj Józef otrzymał już list od Elfrydy z Londynu:

- Trudno - powiedział - trafiłaś na mgłę, Londyn jest pięknym miastem, tylko trzeba trafić na pogodę.

Poczekam, może kiedyś innym razem, jak w piosence. Tymczasem posiedzę sobie trochę w domu, w Warszawie. Po walnym zebraniu wszyscy mnie opuszczą i zostanę sama z obu panami Em-Pi. Mizres porzuca stare nazwisko, lecz zostaje przy literze inicjałowej. Może było mu żal monogramów. Ale na czym on mógł mieć monogramy. Jeżeli Lucynka ma srebro po pierwszym mężu, to utrafiła z monogramem. W każdym razie to nowe nazwisko jest bardzo... zręczne. Nawet dobrze brzmi: Mireski. Gdański stryjek jest zadowolony z tej zmiany. Mizres bardzo wyraźnie podpisywał się na korespondencji. Pachniało to żydostwem, a na to w Gdańsku są obecnie bardzo uczuleni. Ileż zawracania głowy w tych naszych stosunkach.

Jutro czeka mnie romans z lakierami. Poza tym dostałam anonimowy bilecik: „Kiedy mógłbym panią zastać? Będę w Warszawie pierwszego lub drugiego września, pozwolę sobie”. Owszem, niech sobie pozwoli, lubię mieć do czynienia z ludźmi mądrymi i myślącymi. Dwadzieścia tysięcy. Przypominam sobie, że on buduje dom. Mam nadzieję, że pierwszy jeszcze z lokatorami, drugi już wyłącznie dla siebie.

Co to za idea, do starego diabła, z kupowaniem domu na moje nazwisko? Znowu pokręci mi się mój podatek dochodowy.

We wtorek po walnym zebraniu przyjęcie na pierwszym piętrze w mieszkaniu Marcina. Jeżeli nic nie przeszkodzi, to w dwa dni później urządzę coś w rodzaju poświęcenia nowego mieszkania. Zresztą nie wiem, jak wypadnie z datą.

Z nurkami udało się. Mogłabym co prawda uzyskać od nich znacznie więcej w gotówce, ale to nie byłoby to samo. *Noblesse oblige*, niech wiedzą, że nie mają do czynienia z nieopierzoną jeszcze gęsią. Szkoda, na razie trzeba będzie jeszcze ździebko poczekać z włożeniem futra. W Warszawie jest ciepło, bardzo ciepło.

Polscy celnicy obdarli mnie na granicy z całej gotówki. Ale cóż, tylko w poezji zdarzają się zbójce, którzy recytują piękne wierszyki, natomiast granicznicy zbójcy przewracają w walizkach i od razu mówią, kto, ile i za co ma zapłacić. Byli wpatrzeni w banknoty dolarowe,

którymi płaciłam cło, ale karatów na palcu nie zauważyli. Udawałam, że nie dostrzegam ich zdziwienia. Normalnie dolary ludzie wywożą poukrywane i pozaszywane, gdzie Bóg zdarzy i ludzki dowcip dopisze.

Jutro również cyfry i cyfry. Tylko tyle, że nie o ósmej w ministerstwie, ale z perskim dywanem pod nogami w naszym rodzinnym gabinecie na pierwszym piętrze.

Sobota - 29 sierpnia

List od Zośki. Przyjeżdża pojutrze. Nie bardzo, ale trudno, siostra. Dzisiaj wysłałam polecane listy do Paryża i Genewy, mają prowadzić mi wszystko w dolarach, u „papy” również aż do odwołania rachunek bieżący wyłącznie w dolarach. Zawdzięczam to nowym karteczkom profesora Joachima Dawydra, ponieważ tak nazywa się obecnie obywatel Wenezueli. Marcin zapytany przeze mnie nic nie odpowiedział, bąknął jedynie pod nosem:

- Tak wypadło.

Futro, właściwie ucieszę się nim tylko kilka dni, a później oddam je do przechowania. Gdyby ktoś wiedział, że mam takie futro w mieszkaniu, toby mnie zarżnął. Co prawda podczas mojej nieobecności zrobili na dole szklaną klatkę dla portiera, ale siedzi tam tylko od wpół do ósmej prawie do dziewiątej wieczorem, w porze obiadowej zastępuje go nasz stary dozorca, z czego jest niesłychanie dumny. Klatka schodowa wspinała w swojej prostocie bez sztukaterii i bez wiedeńskich nimf w gipsie, lakierach i sztucznych marmurach. To była prawdziwa obrzydliwość, że też ludzie mogli to dawniej znosić.

Pani Lucyna rozanielona. Wieczorem przychodzi do naszych biur i zabiera swoją perłę do kawiarni, pewno i gdzie indziej... A może nie, jeżeli jest rozsądna.

Dzisiaj od samego rana przychodziła mi na myśl Rabka. Ostatnio miałam wiadomość krótko przed moim wyjazdem za granicę. Dopiski małej, prośby o przyjazd, kilka fotografii z ciotkami i jakimś psem o uszach do samej ziemi. Osobiście nie mam nabożeństwa do małych psów. Kłopot w ogóle z psami. Gdy się człowiek przywiąże do psa, powstaje problem przyjaźni. A później wyrzuty, że to tylko pies, a nie człowiek.

Ależ wypisuję bzdury! Dopiszę zatem jeszcze jedną: człowiekowi robi się żal, że pies jest dobry, a ludzie źli i podli.

Ponieważ jestem samiuteńka w mieszkaniu, ubiorę się w moje futro i poświęcę trochę czasu na wygłupianie się przed lustrem. Niegdyś lubiłam to robić. Krygowałam się i robiłam jakieś sztucznie dystygowane miny do lustra. Mała Anna. Ładna - mała. Ale czyż naprawdę mam wyrzec się wszystkich odruchów głupoty, gdy jest miła?

Niedziela - 30 sierpnia

W południe tkwiłam w „Ziemiańskiej” z panem Rudolfem. Po południu długie rozmowy z Marcinem. Rady - *en tous cas* - wyliczone w sposób drobiazgowy. Spokojny dzień. Władek gdzieś na wsi pod Modlinem. W związku z wyborami do sejmu nowe konstelacje i konsternacje polityczne. Profesor Wydra wyjechał znów do pałacyku w Natolinie.

Poniedziałek - 31 sierpnia

Zośka nieważna. Stek głupich opowiadań o śrubkach i nowych kantach doktora Kunickiego. Kolacja u młodych Orzechowskich. Niby dalszy ciąg wczorajszych imienin. Raz obchodzą na Marię, innym razem na Różę, jak im jest wygodniej. W każdym razie komplet rodzinny. Oboje państwo Orzechowscy ze Starej Wsi, pan Szczytnicki i kilka nowych twarzy z rodziny, których dotychczas nie oglądałam lub na które nie zwracałam uwagi. Obaj stryjkwowie, bo trudno było odmówić. Starsi państwo Orzechowscy już nie wiem który raz w tym roku odkładają wyjazd do Montecatini.

Zośka została zabrana również na kolację i nie wiadomo dlaczego była adorowana. Chyba z powodu zbliżającego się rozwiązania. Wszystko w nastroju rodzinnym, bez obcych.

Pan Szczytnicki w roli swata, kto by się był tego spodziewał? Przerobili go. Sama nie wiem. Z imienin wróciłam już przed dobrą godziną, ale jeszcze do tej chwili jestem wzburzona. Tkwę w dalszym ciągu w paryskiej kreacji wieczorowej. Wsunęłam się mocno w stary fotel. Tak się złożyło, że usiadłam pod szwedzkim pastorem. Stary salon oświetlony w pełnej gali. Aby się jakoś uspokoić, piszę w bloczku.

Pan Szczytnicki powiedział:

- Lata lecą, Anno, a w końcu i tak trzeba wyjść za mąż. Ja także zwlekałem, wszystkie okazje minęły i zrobił się ze mnie stary grzyb. I tylko to jedno dobre, że posiadam jaki taki majątek. Ale wkoło mnie jest pustka i czasami dobrze muszę pomyśleć, dokąd mam wyjechać z mojej wsi. A gdy już wyjadę, to widzę koło siebie życie innych ludzi, moich rówieśników, którzy się poženili, mają rodziny, dzieci, wnuków i tak dalej. Że ten nasz Rudolf jest szalawila, to wszyscy wiemy, ale zawsze krewny i przypilnujemy, aby nie brykał i aby wszystko było dobrze. W dodatku ty, Anno, masz swój własny majątek i rozum, Rudolf da sobą pokierować, jemu również obrzydło już kawalerskie gospodarstwo. Nawet nie wiesz o tym, że on zaraz po świętach przeniósł się do młodych Orzechowskich. Rzucił dawne towarzystwo, karty, spowaźniał i jednego obecnie ma hyzia - to samochód, który mu kupił ojciec. Zgódź się, Anno.

Ciocia Orzechowska znów zaczęła od: „kochane dziecko”, tylko że tym razem dodawała co słowo: „moja droga Anno”.

Sprowadzili w końcu i pana Rudolfa Liteńskiego. Jaki to miało dalszy przebieg, nie wiem dokładnie, ponieważ wszyscy na raz zaczęli gadać, po chwili zjawiała się reszta rodziny, sprowadzili do pokoju obu stryjków. Marcin nic nie mówił, miał minę poważną, to jedno spamiętałam. Natomiast stryj Józef przystąpił do rzeczy trzeźwo i w sposób kupiecki:

- No dobrze - powiedział - ale nasza Anna jest kupieckim dzieckiem, a pan Liteński nie zna się na tych sprawach. Nam byłoby trudno pozbyć się Anny z naszych majątkowych interesów. To nie jest panna do wzięcia - tylko z posagiem. W dodatku o ile cała rodzina gwarantuje, to i my moglibyśmy poprzeć to małżeństwo, ale pod warunkiem, że nowe gospodarstwo Anny w niczym nie rozbije naszych rodzinnych planów finansowych. A przecież chyba państwo zdajecie sobie sprawę z tego, że nasza spółka drzewna jest znacznie bardziej skomplikowana niż zarządzanie majątkiem ziemskim. Nie ubliżam bynajmniej panu Liteńskiemu, ale byłoby dobrze, gdyby na razie poświęcił się w dalszym ciągu swojemu wojsku. Tyle lat służy, to nawet byłoby mu trudno rozstać się z mundurem.

A co ja odpowiedziałam? Bardzo mętnie w każdym razie.

- Nie wiem doprawdy, takie rodzinne małżeństwo. Bo przecież my znamy się tak mało. Oboje mamy własne upodobania i przyzwyczajenia. Różnica kilkunastu lat. Ale to nie jest takie ważne. Co do mnie, to na przykład dzieci nie leżą w moim programie życiowym. A pan Rudolf? Ojciec pana Rudolfa zawsze z żalem wypomina, że nie ma wnuków. Czy pan Rudolf zdaje sobie sprawę z tego, że mój zawód wymaga odbywania licznych podróży zagranicznych? Czy pan Rudolf zdaje sobie sprawę z tego, że w moich projektach życiowych leży osiedlenie się w Szwajcarii najdalej za dwa lub trzy lata? Przecież w styczniu nabyłam tam posiadłość. W Bazylei. I tylko w tym zamiarze. W dodatku czy nasze charaktery zgodzą się z sobą? Przecież moja matka i moje babki wychodziły za mąż z miłości. A tutaj małżeństwo - łączone tylko przez rodzinę. I ja mam się zaraz zdecydować?

Zagadano mnie. Wszyscy gadali na raz. Nie zdołałam nawet zapamiętać, co. Później, zmęczona tym wszystkim, powiedziałam jakby odruchowo:

- No dobrze, ale według was kiedy to miałyby nastąpić?

Wszyscy od razu zamilkli i zaczęli przyglądać się sobie w sposób dziwnie niepewny. Co do mnie, to właśnie w tym momencie wytrzeźwiałam. Pierwsza przemówiła pani Orzechowska:

- To zależy od ciebie, moje kochane dziecko. Przyznaję, że przeszarżowałam:

- O, jeżeli o to tylko chodzi, skoro już ma być, to może być i za miesiąc.

To nieważne, że wyszłam z tych imienin z dwoma pocałunkami, które Rudolf złożył na moich policzkach. Później odwoził mnie na ulicę Hortensji. Wywindowaliśmy się wspólnie z Zośką na moje piętro i tam w hallu nastąpiło pożegnanie na dzień dzisiejszy. Znów dwa pocałunki w przytomności Zośki. Tym razem w usta. Nie wiem dlaczego w tym momencie przyszła mi na myśl Erna von Jamsborck i pocałunki jej namiętych warg.

I oto siedzę pod portretem pastora rozmyślając. Nikt nic nie powiedział na ów termin: za miesiąc. Czuję się tak, jak dziewczka na wsi, gdy ją parobcy uchwycą z tyłu za ręce i nagle a niespodziewanie wyleją jej na głowę wiadro zimnej śmigusowej wody.

Ostatecznie - psiakrew! Wcześniej czy później. Ten lub inny. Z kochankami również mógłby być kłopot. Chyba tylko u jednej Elzy numery z kochankami przechodzą bez specjalnego wrażenia, pozostawiając jedynie grafomańskie ślady w brulionach.

Mąż. Pan Rudolf Liteński. Ale chyba bez tych bzdurstw w stylu jego ojca. Pani Anna Liteńska. Można byłoby jeszcze powiedzieć: nie. Ale później wszyscy by się obrazili i wyglądałoby głupio.

Mam ochotę pomyśleć to, co w tej chwili pisze ołówek: *va banque!* Tylko tyle, że życie zamiast wygranych *en plein* trzydziestu pięciu położy mi jedynie Rudolfa Liteńskiego w charakterze męża.

Jeżeli małżeństwo dojdzie do skutku, to trzeba będzie trzymać Rudolfa z dala od ojca... Tak będzie lepiej i bezpieczniej.

A jednak oni to zręcznie przeprowadzili!

Środa - 2 września

Nie było czasu na pisanie. Wczorajszy dzień zaczął się od bukietu czerwonych róż. To było - albo dobrze, albo bardzo układnie. Później miałam wizytę pani Orzechowskiej. Siedziałam przy śniadaniu w rannych powiewnościach kobiecych. Przede mną postawiono ów bukiet od pana Rudolfa. Scena z powieści. Przeżywałam tanie serdeczności. Asystowała mi podczas ubierania, trudno było się jej pozbyć. Wysłuchałam tysiąca rad. Nawet i tego, że oni oboje, to znaczy pani Orzechowska i jej mąż, postanowili odłożyć, swój tegoroczny wyjazd do czasu mojego ślubu. Później porwały mnie sprawy poważne, przysłano z pierwszego piętra. Pan Miliz przyjechał z Wiednia i nieopatrznie stanął w hotelu. Z powodu wczorajszych awantur ze swatami wszyscy zbaranieliśmy i przegapiliśmy jego wizytę. Ale ostatecznie sprowadziliśmy go na ulicę Hortensji i został ulokowany jako honorowy gość rodzinny w męskiej sypialni z kominkiem. Luksusowo.

Walne zebranie. Śmieszne, ponieważ tym razem zjawilo się sporo całkiem obcych osób, reprezentujących „aż” sto trzydzieści siedem i pół tysiąca złotych. Było tego bractwa czterdzieści sześć osób. Jakoś z trudem pomieściliśmy się. Humoreska, ponieważ akcje uprzywilejowane mają po dwa głosy na jedną akcję. No, ale taka jest prawna forma. Wszystko gładko. Na razie wybrano jeszcze jednego członka rady nadzorczej w osobie naszego konsula z Wenezueli. Ostatnie miejsce pozostało na razie nie obsadzone. Przedstawienie bilansu za pierwsze półrocze, czarujące perspektywy, podniesienie kapitału zakładowego o półtora miliona złotych, dla akcji uprzywilejowanych po dwie nowe akcje za jedną starą, po kursie sto za sto, natomiast zwykłe akcje jedna za jedną, ale po kursie 92.

Bardzo krótki termin subskrypcji, tylko do końca września, w tym terminie trzeba wpłacić 25%, reszta płatna najdalej do końca listopada. Poza tym zgoda na podwyższenie uposażenia członków zarządu od pierwszego stycznia 1937 roku. Stryj Józef sto dwadzieścia, Mr David sto, a ja pięćdziesiąt tysięcy. Różne drobne upoważnienia. Głupstwo przewlokło się nieoczekiwanie do godziny dziewiątej wieczorem, ponieważ paru naiwniaków, posiadających kilka akcji, zadawało nam niemądre pytania: dlaczego? Na przykład: dlaczego już obecnie przewiduje się uposażenie członków zarządu od stycznia 1937 roku, pomimo że bilans

działalności za rok 1937 zostanie przedłożony walnemu zgromadzeniu akcjonariuszów dopiero w końcu kwietnia 1937 roku? Podziwiałam takt i zimną krew prezesa Fajansa:

- Czy ktoś z państwa ma zamiar zabrać głos w tej sprawie?

Moja Helenka przeklęła tych stuzłotowiczów. Na górze liczone się z zakończeniem hecy o godzinie wpół do ósmej wieczorem, a tymczasem usiedliśmy przy stole prawie o dziesiątej. Trzeba było podobno robić nowe ciasto francuskie na paszteciki. No, ale ostatecznie jakoś poszło.

Jutro uczta zaręczynowa w ścisłym gronie rodzinnym. Wyjątek dla Władka i naszego konsula, ale oni przecież jakby rodzina. Właściwie od dzisiaj rządzi w mieszkaniu starsza pani Orzechowska. Po południu przeniosła się do mnie i umieściła w gościnnym pokoju w „starym skrzydle” mojego piętra. Matkuje mi, a równocześnie zdejmuje z głowy różne ciężary.

Już zdążyły nadejść telefoniczne życzenia z Montreux. Rozmawiał Marcin. Podobno Florencja miała wyrazić się krótko: - Spodziewałam się tego po ostatnich rozmowach z Anną. - Ciekawa jestem, skąd ona to sobie wykombinowała? Leokadia powiedziała po swojemu: - Dzięki Bogu! - Generałowa: - Byle tylko umiała go podkuć tak, jak ja zdołałam to uczynić z moim Władkiem. Z wojskowymi żony muszą inaczej postępować niż z cywilną bandą. - Kto wie, czy to nie jest tylko wymysł Marcina, chociaż podczas mojej rozmowy z nim był obecny Wirewicz i obaj zarykiwali się śmiechem w sposób prawie nieprzyzwoity.

Na koniec poniedziałkowej ceremonii rodzinnej zdjęto mi z palca pierścioneek, ten od stryjka Juliusza, Być może nawet, że sama wręczyłam go Rudolfowi. Rodzinny kandydat nie był widocznie przygotowany na taki pośpiech. Wyręczyła go zręcznie ciocia Orzechowska, wkładając mi na palec swój własny pierścioneek, szafir i wokoło osiem brylancików. Koszyczkowa robota, podobno jeszcze z jej czasów panięskich. Nie zależałoby mi specjalnie na brylancie od Mr K., ale nie byłoby miło zaręczyć się właśnie tym kamieniem. Upominek otrzymany z rąk stryjka Juliusza - jakiś przyjemniejszy.

Dr Miliz zostaje do niedzieli. Ma obejrzeć sobie dokładnie nasze strony i nasze interesy.

Czwartek - 3 września

Napisałam ponownie lotniczy ekspres do Genewy, aby natychmiast po otrzymaniu listu sprzedali wszystkie moje akcje bez względu na kurs i za całość, łącznie z saldem mojego dolarowego rachunku, zakupili złoto po kursie dnia. To samo mają zrobić po otrzymaniu przekazu z Paryża. Nie wiem, ale wydaje mi się, że złoto powinno w tych dniach pójść w górę. List wysłałam jako polecony. Ciekawa jestem, co powie na to stary Dubow?

Dzisiaj uczta zaręczynowa. Nowy telefon z Montreux. Tym razem ja rozmawiałam, głównie z Leokadią. Wracają, będą w Warszawie koło dziesiątego. Po drodze planują zakupienie dla mnie w Pradze wyprawy bieliźnianej. Oj te ciotki i głupstwa! Ja nie umiałabym pomyśleć o tym, może się z czasem nauczę. Z latami przychodzą nawet takie mądrości.

Dzisiaj zawiesili na naszej kamienicy mocno kolorową blachę z herbem Wenezueli. Jakieś skrzyżowane pałasze i sztandary. Podobna blacha wisi od dawna na naszej ulicy pod numerem trzecim. Meksyk. Chyba w takich konsulatach nie ma ruchu? W każdym razie na drzwiach mieszkania stryjka Marcina na pierwszym piętrze został zmieniony bilet wizytowy: Joachimo de Dawydra. Ano, szczęście Boże nowemu tytułowi i nowemu nazwisku. Profesor uzyskał z kolei trzecią ojczyznę w życiu. Wszystkiemu winny związki rodzinne z Eibenschutzami. Ale kto mógł kiedyś przewidzieć różne dzikie w gruncie rzeczy komplikacje. Profesor przysłał mi kwiaty. Dopiero później powiedział, że nie chciał, aby słowa mąciły wymowę kwiatów. Powiedzenie w rodzaju Heinego. Jak bardzo to do niego podobne.

Godzina wpół do szóstej. Chyba skończę z siedzeniem. Trzeba będzie nabić się w grandtoaletę, która pozwoli na prezentowanie kamieni w uszach i kamienia na palcu. Moi zobaczą ten kamień dopiero dzisiaj po raz pierwszy. W sam raz okazja.

Co prawda stare diamenty ciotki Leokadii mocno zaćmiewały biżuterię innych pań na moim przyjęciu imiennym. Barbarzyńskie to są klejnoty, lecz mają swoją wymowę. Warto są podobno około stu tysięcy, to już prawie majątek, kamienica. Swoją drogą nasz dziadek musiał czuć się głupio, gdy je wypuścił z ręki.

Idę. Już przeczuwam, że ciocia Orzechowska będzie mną kręcić przed lustrem, gdy się ubiorę. Chcieli mi sprowadzać specjalnie fryzjerkę do poprawienia włosów przed samym przyjęciem, głupie fanaberie.

Wieczorem. Moc kwiatów. Goście już wyszli, ciotka poszła spać i nareszcie zostałam sama. To niekiedy sprawia ulgę. Zdaje mi się, że mężowi nie będzie można powiedzieć: Idź, zostaw mnie samą, ponieważ pożądam ciszy i samotności. Wieczór porządnie mnie wymęczył, ale przeszło to, co i tak kiedyś musiało się stać. Sama nie wiem. Jestem w położeniu człowieka, któremu zawiążą oczy i powiedzą: Idź, ale pamiętaj, że z jednej strony są moczary, a z drugiej przepaść. Tak właśnie wyglądają ścieżki, po których ludzie spacerują w życiu.

Piątek - 4 września

Jutro podpiszę u notariusza akt kupna sąsiedniego domu. Trzysta tysięcy gotówką, na dwieście weksel, około stu siedemdziesięciu zostaje na hipotecę. Hipotek było więcej, ale nasi adwokaci odmalowali. Jako zabezpieczenie tego rodzaju transakcji - moje zwykłe oświadczenie na piśmie, że kamienicę kupiłam w imieniu i na rachunek Marcina Jambora, zamieszkałego w Montreux, Szwajcaria. Dodatkowe pokwitowanie na otrzymane przeze mnie pieniądze. Sama nie wiem, dlaczego tak, ale nie pytam, Różnicę w podatkach mają mi pokrywać osobno.

Strykowie rozmawiają z naszymi prawnikami na temat intercyzy ślubnej. Jutro zjawi się w Warszawie starszy pan Liteński. Nie mógł wcześniej, ale zjawi się. Na razie był telegram z życzeniami, dość pospolicie: „Przyszłej młodej parze staropolskie szczęście Boże”.

Ano.

Pani Orzechowska projektuje ślub na czwartego października, niedziela, Matki Boskiej Różańcowej. Podobno szczęśliwy dzień dla małżeństw. Starej daty - ta pani. Ale trudno jej przypominać, że Matka Boska, chociażby Różańcowa, to jakoś nie kwadruje ze ślubem protestanckim.

Gdyby chodziło o mnie, zadowolilibym się bardzo cichutkim ślubem na Lesznie i bez gapiów. Po prostu zawiadomienie *post factum*, wysłane już po naszym wyjeździe z Warszawy. Ale na to jeszcze czas, zobaczę, co mi doradzi Leokadia. To jest moja prawdziwa ciotka, a nie grzecznościowa pani Orzechowska. W każdym razie na serio dyryguje, wszyscy się jej boją. To znaczy: własny mąż, Rudolf, ja i moja gospodyni.

W „drzewie” otrzymam urlop na październik, ale zapowiedzieli mi, że później będę musiała odsiedzieć kamieniem. Praca zapowiada się nie na żarty, firma rozkręca się.

Niedziela - 6 września

Jestem zmęczona. Starszy pan Liteński utkwiał na kilka dni u młodych Orzechowskich. Zgadzą się na wszystko. Ciekawe. Zostałam sama na gospodarstwie. Marcin odjechał, stryj Józef w Gdańsku, Mr David w Wilnie, generał nieuchwytny. Pierwsze transporty podobno już ładują w Gdyni. Dzisiaj miałam telefon z Londynu, aby wszystkie partie przyspieszyć co najmniej o miesiąc. Nie czuję nóg, języka i rozumu. Głupio brzmi to zestawienie.

W dodatku różne wizyty, życzenia itp. Popłaciłam wszystkie długi za przebudowę mieszkania i dopiero wówczas uprzytomniłam sobie, że wydałam prawie całą gotówkę. Jest o

czym myśleć. Na razie czerpię z konta Marcina, które obecnie dziwnie spuchło, jeśli tak można powiedzieć.

Trzeba będzie rozmówić się z bankiem. W końcu miesiąca około czterdziestu tysięcy, a w końcu listopada reszta do stu pięćdziesięciu siedmiu tysięcy. W dodatku intercyzowe historie. Dwieście tysięcy ustalonego posagu zabezpieczonego na majątku Podjaski, własność starszego pana Liteńskiego, bez specjalnego sprawdzania hipoteki. Podobno na trzecim numerze chcą w ten sposób spłacić inne długi, aby oczyścić majątek. Tak powiedzieli Orzechowscy. Za tym trzecim numerem tkwią jeszcze dalsze kwoty. Reszta mojego majątku w całkowitej i wyłącznej mojej dyspozycji. Na utrzymanie domu obie strony mają wkładać rocznie po dwadzieścia tysięcy złotych. Każda ze stron sama administruje własnym majątkiem. Całkowity rozdział majątkowy. W wypadku rozwodu suma posagowa całkowicie do zwrotu w ciągu jednego roku.

Marcin daje mi sto tysięcy na jeden rok, zapisze się na hipotece z ulicy Mińskiej, drugie sto znajdę w Poznaniu. Odczekam do przyjazdu Leokadii. Może Maksiu?

Ciekawe. Narzeczone w dawnych czasach marzyły o miłości, a ja muszę urozmaicać sobie chwile wolne od pałkowania na dole rozmyślaniami o cyfrach posagowych.

Sobota - 12 września

Przedwczoraj rano wróciły obie panie. Leokadia od razu zabrała się do mnie. Krawcowe. Przywiozły furę różnych rzeczy z Pragi. Czasami jestem wprost nieprzytomna. Rudolf razem z ojcem wyjechał na trzy dni do Krakowa. Jeszcze nie ma urlopu na październik, ale Mokotów sto załatwi. Wszyscy wyobrażaliśmy sobie, że uda się z jego drugą gwiazdką. Są jakieś trudności. Ma wrogów, sprawa posuwa się tępo. Jeżeli nawet dostanie, to przeniosą go z ministerstwa gdzieś na prowincję, byle nie do jakiegoś Wilna lub jeszcze gorzej. Jego własna wina, zbyt długo tkwił na stopniu majora, wszyscy koledzy już dawno go przeskoczyli.

Niedziela - 13 września

Leokadia wyjechała na dwa dni do Górek, ale wraca.

Poniedziałek - 14 września

List z Genewy. Oficjalna wiadomość, że wszystko załatwili. Akcje sprzedali po dość korzystnym kursie, przekazy z Paryża otrzymali. Zgodnie z moją dyspozycją całość w złotych monetach dolarowych na depozycie u nich. Pochwaliłam się profesorowi, powiedział, że zrobiłam dobrze.

Nie umiem myśleć o tym moim małżeństwie. Jestem jak otumaniona. Przynajmniej dobrze, że narzeczony trzyma się w chłodnych cuglach i nie wyjeżdża z jakimiś specjalnymi czułościami, ponieważ w tej chwili byłyby one dla mnie... czy ja wiem?... zawadą. Małżeństwo z rozsądku ma również swoje dobre strony.

Profesor podsuwa mi codziennie swoje karteczki z notatkami stanowiącymi kwintesencję wydarzeń politycznych.

Małżeństwo. Czasami wydaje mi się, że najlepiej byłoby powiedzieć obecnie: nie! Nawet z dodatkiem: idźcie do wszystkich diabłów! Ale gdy pomyślę, ile komplikacji w rodzinie spowodowałoby moje wycofanie z afery, ręce mi opadają i ogarnia mnie niemoc. Wtedy chciałabym nawet, żeby to stało się nawet jutro czy dziś, byle jak najprędzej.

Wtorek - 15 września

List z Brazylii od Krystyna. Fotografie i spóźnione opisy. Kilka zdań po angielsku od mojej bratowej. Musztarda po obiedzie. Ja również postąpię w ten sam sposób. Leokadia wróciła. Komenderuje. Jutro wraca Rudolf. Muszę przyzwyczaić się do tego nowego terminu:

mąż. Na użytek rodziny Rudolfek. Ojciec mówi mu: Rudi, a synowi zdarza się to prawdziwie wiedeńskie słowo... Franzl.

Przecież Rudolf wypełni mi znaczną ilość godzin. Wedrze się do mojego życia, Leokadia mówi, że małżeństwo jest pasmem wzajemnych nieustannych ustępstw.

Niegdyś tęskniłam do kogoś, komu mogłabym zwierzać się z kłopotów dni - i życia. Czy w Rudolfie znajdę pojętnego słuchacza i w jakim zakresie? Czy nie udławią mnie różne banalności? Tysiąc pytań, na które nie znajduję odpowiedzi. Pytać zaś innych ludzi nie warto. Bo i kogóż?

Sobota - 19 września

Rudolf wrócił z ojcem. Stary bardzo ugrzeczniony. Projekt intercyzy jest gotowy. Stryj Józef z powrotem w Warszawie. Jutro rano ma przyjechać ciotka Elfyda specjalnie do mnie, ale na krótkie dwa dni. Władek mówił, że Kasprzycki przyrzekł mu ostatecznie drugą gwiazdkę na jedenastego listopada, ale przeniosą go. Obecnie wszyscy kręcą się, żeby to był Kraków. W krakowskim DOK siedzi generał Narbutt-Łuczyński, nie bardzo dobrze z naszymi, ale jakoś mu tłumaczą. Musieli poruszyć w tej sprawie aż Śmigłego-Rydza. W każdym razie dopiero na listopad. W związku z tym projektują, że Rudolf wystąpi na Lesznie w ubraniu cywilnym. Później wyjedziemy za granicę, a trochę może sobie jeszcze pochodzić z jedną gwiazdką. Wszystko to są głupie historie.

Dzisiaj Rudolf powiedział mi, że kazałam malować portrety przodków, a nie pomyślałam dotychczas o własnym portrecie. Może ma rację, ale w istocie dotychczas myślałam więcej o przeszłości niż o przyszłości.

Był list od Hornów i od Matyldy.

Poniedziałek - 21 września

Interesy. Staram się wszystko jakoś pozagrzebywać. Budowniczy i Mizres, pardon, dr Mireski, wydeptali już w Izbie Skarbowej ustalone wartości budowy domów na Mińskiej. Będę mogła potrącić z dochodu za lata 1935 i 1936 dokładnie 204 748,70 złotych. Wystarczy, aby prawie nic nie zapłacić podatku dochodowego. Przynajmniej z tym mam spokojną głowę. Z hipotekami również prawie gotowe, dałam zlecenie notariuszowi na obciążenie Mińskiej na sto dwadzieścia tysięcy złotych. Dalsze sto tysięcy na poznańską hipotekę ma dostarczyć pan Szczytnicki, jak uradzono w Starej Wsi. Obie historie podpisuję pojutrze u notariusza. Osiem procent rocznie, niedrogo. Marcin tylko na jeden rok, pan Szczytnicki z półrocznym wypowiedzeniem w styczniu i w lipcu. Leokadii oddałam nareszcie dziesięć tysięcy i mam obliczyć się jeszcze za praskie płótna. Pieniądze płyną jak woda. Dodatkowe dwadzieścia tysięcy od Marcina to pozycja dla mądrego urzędnika. Jestem trochę zmęczona przygotowaniem. Zbyt szybko, można było odczekać do Gwiazdki, ale jakoś chyba wybrnę.

Jutro mam załatwić z bankiem sprawę drugiej emisji moich akcji. Kupa pieniędzy. Kredyt jak zwykle w banku drogi, dziesięć i jedna czwarta procentu, złombarduję listy zastawne. Wystarczy tego z nadwyżką. Może mogłabym to inaczej urządzić, to znaczy taniej, ale pal diabli!

Wczoraj po południu urządziłam coś w rodzaju podwieczorku rodzinnego. Byli młodzi Orzechowscy, Mokotów, Leokadia i obaj panowie Liteńscy. Niby żartem wspomniałam kilkakrotnie, że nasze małżeństwo nie przewiduje możliwości dzieci. Wyraziłam się, że nie mam zdrowia do dzieci. Rudolf nic nie odpowiedział, a stary próbował obrócić moje słowa w żart, mówiąc na wesoło, że nigdy nic nie wiadomo, że dzieci to łaska boża i tak dalej, aż do znudzenia. Że śpieszy mu się do wnuków, z ich nazwiskiem i tym podobne dyrdymałki. Już bardziej podobał mi się w Montecatini ze swoimi herbarzowymi hockami-klockami.

Później rozmowa przeskoczyła na moje stenogramy. Przypomnieli sobie historie z czasów wycieczki na „Piłsudskim”. Wmawiałam w nich, że to u mnie już przeszło,

wypierałam się w żywy kamień, ale nie bardzo wierzyli. Władek zdobył się na błazeński witz i powiedział:

- Jeżeli nie piszesz stenogramów, to pokaż.

Właściwie te moje stenogramy to był jedynie martwy powiernik moich myśli. Chyba znajdę w Rudolfie rozsądnego partnera do rozmów? Może nie do wszystkich, ale do takich, jakich człowiek pożąda w szarych godzinach życia, gdy wszystko brzydnie i pojawia się zniechęcenie.

W każdym razie podczas podpisywania intercyzy ślubnej jeszcze raz wobec poważnych świadków wyraźnie podkreślę sprawę z dziećmi. Na wszelki wypadek...

Poza tym krawcowe, nawet szewc z ulicy Trębackiej, ostatni wynalazek Wirewiczowej. Poleciała go podpułkownikowa Gano.

Ceremonia ślubna przyspieszona o jeden dzień, już w sobotę trzeciego października, przed południem o wpół do dwunastej. Wy tłumaczyłam moim paniom pewnego rodzaju konieczność urządzenia śniadania poza ulicą Hortensji. Dostyc zrzęcznie czy brutalnie stawiałam kwestię. Gdyby to był ślub katolicki, można by go urządzić w wiejskim domu moich najbliższych krewnych, to znaczy w Górkach u ciotki Leokadii. Urządzenie natomiast przyjęcia w Warszawie, nawet u krewnych, wyglądałoby na problem panny młodej jako sieroty. A znów u mnie na drugim piętrze - byłoby mocno kulawo. Zbyt po kupiecku czy mieszczańsku. A zatem śniadanie na dwadzieścia osób w „Europie” lub „Bristolu” w osobnej sali. Chyba nawet to ostatnie, tam czuję się mniej sztywno. Zresztą bez hałasu i wystawności, tylko najbliższa rodzina.

Środa - 23 września

Korzystam z przyjazdu stryjka Józefa i jadę na dwa dni do Rabki. Wieczornym pociągiem. Przed chwilą wróciłam od notariusza. Wujcio Benedykt przyjechał do Warszawy. Jakiś smutny. A może tylko mi się wydaje? Zapytywał kilkakrotnie, jak układają się stosunki między nami. Wspólny obiad u mnie, późno, około czwartej, ze względu na ministerstwo Rudolfa.

Mówiłam wszystkim, że jadę do Katowic, kazałam nawet wykupić sobie taki bilet. Odprowadzą mnie przecie do pociągu, trzeba to jakoś upozorować. Prosiłam stryja Józefa, przytaknął. Będzie się nazywać, że jadę w interesach naszej spółki. Powiedziałam mu, że mam do załatwienia sprawy lakierów, które nie wymagają Nowego Świata. Gładko przeszło. Nie wiadomo bowiem, kiedy będę mogła zobaczyć moją małą. Starszy pan Liteński pęta się jeszcze po Warszawie. Nie mam do niego nabożeństwa, gdyż wydaje mi się, że właśnie w nim leżało źródło różnych nieudanych pociągnięć w życiu Rudolfa. Staram się wierzyć w tym względzie opowiadaniom pani Orzechowskiej.

Koniec z pisaniem. Dzwonił Władek, za chwilę przyjedzie do nas z dyrektorem Lasów Państwowych. Zdaje się z Radomia. Trzeba będzie i to przeżyć.

Cieszę się na widzenie z Martą. Pisała w ostatnim liście, aby jej przywieźć kolejkę do nakręcania z wagonikami. Dziwne marzenie u dziewczynki, ale już kupiłam. Elektryczna - do włączania w kontakt, ale prąd z transformatora o napięciu sześciu wolt. Tłumaczyli mi, że całkiem bezpieczne urządzenie. Leży zapakowana w walizce.

Dzisiaj był list ze Lwowa. Nie wiadomo jeszcze, czy przyjadą wobec choroby matki Kazi. Mała Anna zdrowa, przysłali kilka fotek. Michał jak zwykle rubaszny na wesoło, dopomina się o dużo dzieci w naszym małżeństwie, poleca się jako bezpłatny akuszer, wypomina płodność rodziny Kawczyńskich spod Nowego Miasta. Też się wybrał! Oni to rozumieją po swojemu.

Rabka - czwartek - 24 września

Nie spodziewali się mnie. Ten dzień miał wiele godzin. Godziny spędzone w radości należy liczyć podwójnie i potrójnie. To jednak bardzo przyjemne, gdy wokół siebie blisko ma się ludzi szczerych i życzliwych. Mała zdążyła już powiedzieć mi dobranoc przynajmniej dziesięć razy. Co chwilę wbiegała do mojego pokoju i nowe dobranoc! Stosunki pomiędzy paniami w dalszym ciągu są pełne harmonii i zrozumienia.

Pokazywałam im fotografię z Rudolfem. Pani Woźnikowa była zdziwiona, że wychodzę za mąż za oficera. Powiedziała otwarcie, że zawsze myślała o lekarzu. Skąd taki pomysł? Nie umiała mi tego wytłumaczyć. Pani Horodyńskiej podczas rozmowy w cztery oczy mówiłam otwarcie, że wojskowi zdarzali się dość często w naszej rodzinie. Ale nie o tym chciałabym napisać...

Inteligentna kobieta zadała mi proste pytanie. Według niej należałoby postawić sprawę małej jako kwestię rodzinną właśnie w momencie zawierania mojego małżeństwa. Mówiłam jej, że nie będę miała własnych dzieci, lecz usłyszałam odpowiedź:

- To zawsze tak się mówi, a później życie inaczej się kształtuje.

Tłumaczyłam, że ujawnienie prawdy w niczym nie zmieniliby mojego stanowiska wobec małej. Opowiadałam o naszej rodzinie i o tym, że każde z nas urządziło sobie osobiste życie na własną rękę. Materialnie nic by Marcie z tego nie przyszło, wątpię nawet, czy moje rodzeństwo zdobyłoby się wspólnie na gest kupienia jej domu w Rabce. Co najwyżej składaliby się na jakieś miesięczne przesyłki pieniężne. W końcu wspomniałam o testamencie złożonym przeze mnie u grudziądzkiego notariusza. Pani Horodyńska drgnęła na te słowa i spytała natychmiast o datę sporządzenia. A później od razu dodała:

- A mąż?

Dziwiła się opowiadaniom o treści ślubnej intercyzy. Nie mogła tego pojąć. W końcu powiedziała mi w sposób tak bardzo serdeczny, że nie mogłam wziąć jej tego za złe:

- Lepsze jest najgorsze małżeństwo z miłości niż te modne małżeństwa w sferach zamożnych. Towarzyskie małżeństwa - dodała po dobrej chwili. Czuję, że pani Horodyńska potknęła się jakby. Na pewno miała zamiar powiedzieć: kupieckie, ale światowa ogłada nie pozwoliła jej na to. I na tym zakończyły się nasze rozmowy. Prosiłam ją, by zachowała w dalszym ciągu tę samą serdeczność dla małej. Obie niemal popłakałyśmy się.

Ostatecznie - małżeństwo. Od dawna się na nie zanosilo w ten czy inny sposób. Dawniej nie pytano młodych panien o zdanie, kojarzono małżeństwa i ostatecznie jakoś było. Rodziny pilnowały. I w moim wypadku nie zbraknie mi życzliwych krewnych i przyjaciół.

Mąż. Dwojaki problem. Kochanek i przyjaciel. Co do pierwszego, to zdaje się, że jest w moim typie fizycznym. Trudno było wypróbować. Można tak, można inaczej. Wybrałam jedną z tych możliwości. Być może pragnę urządzić sobie życie małżeńskie w stylu odrobinę nowoczesnym, stać mnie na to, nie potrzebuję wchodzić do kuchni, nie potrzebuję doglądać prasowania, mogę oszczędzić sobie dziesiątka innych pospolitych rzeczy. Za pieniądze inni ludzie zrobią to lepiej ode mnie.

Fizyczność to jedynie miły dodatek do życia codziennego. Natomiast właśnie owa przyjaźń ma wypełnić długie godziny szarego codziennego życia. Wydaje mi się, że Rudolf potrafi to ocenić i uszanować. I on łamał się w samotności długich godzin, których nie można wypełnić tylko kartami, samochodem czy rozmową z przyjaciółmi od kawiarnianego stolika. Czy mówił mi to szczerze? Właśnie o to w tym wypadku chodzi.

Ponadto - myśli. Los i bogowie wyposażyli człowieka w nadmiar myśli, które znacznie przekraczają jego możliwości. Niedobrze jest myśleć. Lepiej poddać się w życiu codziennym odruchom bezmyślności i z zadowoleniem odkładać serwetkę po smacznym obiedzie. Być może i w tym pomoże mi moje małżeństwo.

Powtarzam zatem: *va banque!*

Warszawa - sobota - 26 września

Przed chwilą był u mnie profesor Wydra. Wiadomości. Minister finansów Vincent Auriol ogłosił decyzję rządu francuskiego o zdewaluowaniu franka od 26 do 35,2%. Równocześnie podał do wiadomości układ trzech państw: Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Francji w celu utrzymania waluty francuskiej i zapobieżenia zakłóceniom w wymianie z powodu dewaluacji franka. Utworzono wymienny fundusz wyrównawczy. Rada Federalna Szwajcarii uchwaliła dzisiaj rano trwać przy złotym franku. Po południu wskutek wielkiego odpływu złota z banków szwajcarskich ogłoszono dewaluację franka od 24 do 34,5%.

Nic. Przepisałam po prostu kartkę z notatką profesora do mojego bloczka. Wycucie czy rozumowanie. Profesor mówi, że to było od dawna do przewidzenia. Polska waluta według niego związała się z dolarem w okresie ustabilizowania się kursu złotego na poziomie 5,30 za dolara zamiast pierwotnego kursu 8,90 w stosunku do dolara wyrażonego w złocie wymiennym.

Ano, warto czasami kogoś posłuchać. Właściwie niczym nie ryzykowałam, odsetki od dolarów na kontach szwajcarskich i tak były bardzo niskie. Koniec końców u starego Dubowa mam w depozycie ładną kupkę złota, 10 620 dolarów w złocie. Tym razem nie będzie żadnym bluffem, gdy napiszę, że to nie zrobiło na mnie piramidalnego wrażenia. Oswoiłam się z cyframi i otrząsałam z różnymi niespodziankami.

Sprawy mokotowskie postępują według programu. Ładują drugą partię w Gdyni. Podobno dwa panamskie statki. Akredytywy przechodzą gładko.

W biurze wzięli mnie w obroty w niespełną godzinę po przyjeździe z dworca. Czekali na mnie. Po południu stryjek wyjechał samochodem do Gdańska. U nas wszystko zmienia się z godziny na godzinę. Od razu różne sprawy z tym moim fikcyjnym domem w sąsiedztwie. Śmieszne, ale obejrzałam go sobie dzisiaj osobiście od piwnicy do strychów. Występowałam w roli nowej właścicielki. Swoją drogą wówczas u notariusza całkiem gładko przyjęli mój weksel na dwieście tysięcy, płatny co trzy miesiące po sto tysięcy. Tylko z jednym żyrem stryjka Józefa. Wydostanie lokatorów z sąsiadującego parteru - to już będzie kłopot pana Hołobli, który dostał jeszcze jedno królestwo. On ma talent do tego. Stary sklep z mieszkaniem, pięć dużych izb. Nowy „mój” dom to rudera. Przewrócimy w nim wszystko do góry nogami. Według planów różnica poziomów w obu domach wynosi tylko trzy stopnie, w nowym domu niższy poziom. Nie zostawimy przejścia przelotowego ze starej bramy. Nie warto i byłoby zbyt niebezpiecznie.

Ale czas oderwać się od interesów! Za tydzień mój ślub. Jutro podejmuję trochę gości na obiedzie. Ostatnie moje... panińskie przyjęcie.

Niedziela - 27 września

Obudził mnie telegram z Genewy. *Gratulujemy wczorajszego dnia - Florencja*. Ciekawa jestem, czy to przemówiło do bankowej wyobraźni staremu Platonowi Dubow? Ano, zarobiłam więcej niż na szwajcarskich odsetkach bankowych. Zawdzięczam to naszemu profesorowi. Sobie też, inna, głupia, puściłaby takie poglądy mimo uszu.

Poniedziałek - 28 września

Podpisaliśmy umowę przedślubną. Ustnie omówiliśmy drobne szczegóły wykonania. Jako świadkowie stryj Józef, który wrócił do Warszawy w południe, oraz pan Benedykt Szczytnicki. Wobec notariusza wręczyliśmy starszemu panu Liteńskiemu czek na dwieście tysięcy złotych, płatny w krakowskim banku. Wyjechał jeszcze dzisiaj do Krakowa załatwić pilne interesy. Wszystko przygotowane. Podobno te dwieście tysięcy mają postawić majątek Liteńskich na nogi. O ile starszy pan Liteński zabierze się do tego w sposób rozsądny, tak powiedział pan Szczytnicki. Głupia i w gruncie rzeczy nieprzyjemna scena. Francuskie obyczaje załatwiania takich rzeczy u rejenta. Krótka kolacja proszona u „Langnera”, wobec

wieczorowego wyjazdu mego przyszłego teścia. Zaprosił wujcio. Boli mnie głowa po tym wszystkim. Nie mogę pisać, zrobię to, co robiłam dawniej, dwie pastylki weronalu i koniec. No, jeszcze kilka dni napięcia.

Wtorek - 29 września

Wszystko już prawie gotowe. Walizy podróżne i ich zawartość. Wyjazd bez biżuterii. Na ogół wygodnie, lecz mocno po angielsku. Tak określiła to moja ciotka Leokadia. W „Ziemiańskiej” na kanapce ustaliliśmy trasę podróży poślubnej. Wiedeń, Salzburg, Montreux, Bazyleja, Paryż, Cannes, dwa tygodnie w San Remo i niestety powrót na drugiego listopada do warszawskich biur, ponieważ koniec urlopu. Wątpię, czy uda się to wszystko „zrobić” w ciągu czterech tygodni.

W ogóle to już chyba moje ostatnie zdania w bloczkach do stenografii. Trzeba zakończyć pisanie z wiarą, że małżeństwo położy kres tego rodzaju zwierzeniom. Nie wiem doprawdy, co zrobię z bloczkami? Ledwo mieszczą się w walizce, do której je składam.

Koniec. Przecież dzisiaj wtorek, a w sobotę znajdziemy się już razem nie tyle w pociągu i w podróży poślubnej, co w drodze ku szczęściu w następnych dniach, miesiącach i latach. Szczęście czy tylko nowość? Nie łudzę się, że wszystko będzie wtedy dobre i doskonałe, byle tylko było spokojne.

Oby słowa zamieniane z mężem starczyły bodaj za część tej pociechy, której niejednokrotnie dostarczały mi te linijki bloczka do stenografii.

Piątek - 2 października

Ostatnia noc, ostatnie chwile przed jutrzejszym ślubem. Ale mimo wszystko, mimo dzisiejszego przeżycia, uśmiecham się do mojego losu. Nawet i lepiej, że wśród wielu akordów powodzenia właśnie na tym moim jakby finiszu znalazł się zgrzyt. Pragnęłabym widzieć w tym przeblągnięciu losu, ofiarę za wiele dotychczasowych powodzeń.

Bo i cóż z tego, że dzisiaj wczesnym rankiem zjawiała się w moim mieszkaniu młoda i przystojna panna, która w sposób, trzeba przyznać, niewyzywający, oświadczyła mi, że była w ciągu czterech lat przyjaciółką pana Rudolfa Liteńskiego?

Bez gniewu i z martwą twarzą wysłuchałam zwierzeń tej istoty, która przecież opowiadała o swoim życiu. Tragedia czy tylko pomyłka? Mój Boże, cztery lata. Jakże trudno jest czasami opowiedzieć o takich czterech latach w ciągu godziny. Słuchałam. Historia radości i smutku, wypełniona po brzegi zawodami i żałami, ale wszystko już wystygłe i jakby uspokojone.

Nie skakała mi do oczu, nie wymyślała, nie zazdrościła, jedynie opowiedziała historię dziewczyny, która z małego miasteczka Sieradza pod Łodzią po złożeniu matury wywędrowała do Warszawy i ostatecznie znalazła posadę w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Resztę dośpiewałam sobie już w wyobraźni. Przecież to mogła być moja własna historia. Rudolf Liteński i zadurzenie się młodej dziewczyny. Miłość. Później było rozmaicie, po drodze nawet skrobanka. Na zakończenie prawo silniejszego i przeniesienie tej oto dziewczyny z ministerstwa do DOK Łódź. Bardzo łatwo, bo do tego nie było potrzeba zbyt wielu znajomości. Mężczyźni chętnie pomagają sobie w takich wypadkach. Pół roku temu. Jeszcze i tak dobrze, bo w Łodzi żyje jakaś rodzina, a zatem lżej.

Brudy w postaci drobnej hipoteki, która została sprzedana przez młodą dziewczynę, oraz kilku tysięcy złotych oszczędności, które kochanka złożyła w darze kochankowi, gdy popełnił zwykle wojskowe głupstwo i przegrał dziesięć tysięcy złotych przy zielonym stoliku w ciągu jednej nocy.

Było to przed dwoma laty. Wyraźne dowody, kilkanaście listów kochanka, nawet jakies jego pokwitowania. Dziwne. A równocześnie, jak zawsze w życiu, wszystko zamknięte i określone przez zimne cyfry, dokładnie jedenaście tysięcy złotych.

Pytanie skierowane do mnie w przeddzień ślubu, o którym ta dziewczyna dowiedziała się dopiero przed kilku dniami. Usłyszała w dodatku, że jej były kochanek żeni się z bardzo bogatą kobietą. Kto jej doradził przybycie do Warszawy? Nikt, całkiem zwyczajnie, nikt. Dlaczego nie poszła do byłego kochanka - zapytałam bardzo oględnie - a dlaczego przybyła do mnie? Chciała upewnić się, jak wyglądam. Być może - mówiła - pragnęła ostrzec mnie przed swoim byłym kochankiem.

Psiakrew, nic nie wiem! Gdy dziewczyna urwała nagle opowiadanie, w gabinecie zrobiła się cisza. Fiołkowy gabinet. Ona siedziała tyłem do portretu pradziada Fryderyka na koniu, a ja twarzą do niego. Promienie rannego słońca ślizgały się po czerwieni stroju szlachcica sprzed dwustu lat. Trzeba było coś zrobić. Poprosiłam pannę do biurka, zmieniliśmy miejsca, a ja otwierałam wieko starej pamiętki po grudziądzkich przodkach. Wyjęłam kartkę papieru i niemal dyktowałam słowa pokwitowania. Wymieniłam dokładnie kwotę długu zaciągniętego u niej przez Rudolfa Liteńskiego, a następnie wobec upływu dwóch lat cyfrę pokwitowania zaokrągliłam do piętnastu tysięcy. Patrzyłam, jak drżące palce urzędniczki wodziły piórem po kartce papieru, widziałam, jak pisze imię i nazwisko, łódzki adres i datę dzisiejszego dnia. Później z przegródek biurka wyjęłam odpowiednią książeczkę czekową i wypisałam czek na piętnaście tysięcy.

Papiery ujawniające i potwierdzające wydarzenia z przeszłości, czek i pokwitowanie leżały obok siebie. Spojrzałam na dziewczynę, w której oczach dostrzegłam jakieś błyski niepewności. Może miała wątpliwości - co do czeku?

Zaraz zadzwoniłam na Lizę. Zjawiła się w swoim uniformie pokojówki z zamożnego domu. Zabrała dopiero co wypisany przeze mnie czek i wyszła po gotówkę do kasy na parterze. Uprzedziłam kasjerkę telefonicznie i po dziesięciu minutach Liza wróciła na górę. Minuty upłynęły w milczeniu. Nie było już tematu do rozmowy, wszystko zostało wypowiedziane. Papiery i pokwitowanie wetknęłam do szuflady, a banknoty podsunęłam w stronę gościa. Nie patrzyłam jej w twarz, obserwowałam jedynie ręce. Ręce - płakały. Później obie wstałyśmy. Popatrzyłyśmy sobie w oczy i wówczas usłyszałam słowa pełne łez:

- Ja jednak szczerze i naprawdę kochałam pana Rudolfa. Proszę pani, proszę mi powiedzieć, czy pani go również kocha?

Czułam w tym momencie, że odpowiedź twierdząca byłaby sprawiła ulgę dziewczynie. Patrzyła na mnie jakimiś wystygłymi oczyma, ale czułam, że pomimo wygaśnięcia miłości nie może się jeszcze z tym pogodzić. Pragnęła jedynie jakiegoś odruchu serdeczności, czegoś w rodzaju pocieszenia.

- Nie - zabrzmiały moje bezbarwne słowa - nie zawsze zawiera się małżeństwa z miłości. Przyjaźń, sympatia, proszę pani, wspólne upodobania, grono wspólnych znajomych, krewnych...

- Życzę powodzenia. Dziękuję.

I na tym wszystko się skończyło. Rozstałyśmy się bez podania sobie ręki.

Czas kończyć, stary rodzinny zegar wydzwania w tej chwili północ. Dostojne uderzenia. Wszyscy już śpią. Pani Orzechowska podczas kolacji kładła mi w głowę dobre rady „kochającej cici”, jak przysporzyć szczęścia jej pupilowi. Ciotka Leokadia już w cztery oczy, na zimno tłumaczyła mi - maksymy z czasów dni i nocy spędzanych z Braunholdem. Anna Jambor nie zwierzała absolutnie żadnych własnych poglądów. Słuchała. Rozważała w myślach to wszystko, co na początku dzisiejszego dnia usłyszała z ust obcej dziewczyny.

Czy Rudolf dowie się kiedyś o tej historii. Przecież nie mam złudzeń co do tego, że część moich posagowych dwustu tysięcy poszła czy pójdzie na popłacenie różnych różności. Niech tam zresztą. Ale bardzo często takie historie odchodzą w przeszłość. Wspomnienia z latami zacierają się.

A ja? Czy włożyłabym takie pieniądze do torebki? Chyba - nie. I właśnie dlatego mogę wypisać w tym bloczku nie wiem już który raz w tych ostatnich dniach:

- *Va banque*, Anno! Ale cóż, moje portrety nie umieją przemówić. Gdyby mogły, być może rzekłyby mi w jakimś życzliwym odzewie:

- *Bonne chance*, Anno Jambor!

CZĘŚĆ DRUGA MAŁŻEŃSTWO

Listopad 1937 - sierpień 1938

Eichelbach - któregoś tam dnia...

Rok czasu. Miesiąc dłużej, miesiąc krócej, (to nie jest ważne. Wypadki, ludzie i nieludzie, cyfry pomieszane ze łzami, które nie płyną z oczu, lecz bolą, smutki i radości, kalejdoskop obrzydliwych spraw, wszystko to, czego się zawsze obawiałam, co nawet w myślach starałam się odpychać od siebie. Ponad siły. Ale i moja w tym wszystkim wina, moja. Kolory fantazji nie zawsze odpowiadają szarości dnia powszedniego. Nawet i niedzielnego, a właśnie ja wyobrażałam sobie małżeństwo jako zjawisko od święta. Zapewne przegrałam z tego powodu.

Ale stało się. Ostatecznie zdawałoby się, że to tylko rok życia i materialna strata jakiejś kupki pieniędzy dla kobiety niebiednej.

Nie wszystko udaje się w życiu. Wmówili we mnie, a ja sama podeszłam do małżeństwa w sposób tylko kupiecki. Wydawało mi się, że miejsce uczucia może zająć przyjaźń czy sympatia.

Tymczasem całe moje życie postawiłam na kartę. O krok byłam od śmierci. Dwa żebra złamane, śmierć przedwcześnie wydanego na świat dziecka, zapalenie płuc, zapalenie mózgu, oto co mnie spotkało na granicy pomiędzy życiem i niezyciem.

Kwestia przypadku i omyłek, kwestia popędliwości i chamstwa. Ot takie opowieści z przeszłości, których nie sposób wymazać z pamięci. Na które nie można wylać oliwy zapomnienia, nie można wylać dość łez zwątpienia w to, czy życie jest dobre, czy życie jest piękne. Ale równocześnie odradza się pasja życia, pragnienie wypłynięcia znowu na powierzchnię. W dodatku płytką gnojówka zawsze jest gorsza od głębi czystej wody.

Pamięć żyje, wspomnienia nie giną, a żyć trzeba. Być może z tego źródła powstało owo skrzywienie ust pastora Collensa, widoczne na starej miniaturze. Stąd zapewne owo zamyślenie na portrecie Anny Liteńskiej, malowanym w kwietniu tego roku przez poznańskiego malarza Hanytkiewicza. Portret damy z towarzystwa w czerni sukni wieczorowej na tle fiołkowego gabinetu. Chociaż nie moda była po temu, w ręku damy zjawił się wachlarz ze strusich piór, wpółotwarty i zasłaniający w ten sposób część wydekoltowanych piersi.

Ale to nic! Tyle tylko, że znowu w moim ręku bloczek do stenografii.

Znów upłynęło kilka dni. Na razie spokój. W cichości tych dwóch pokoików w Eichelbachu znajdzie się sporo czasu na rozmyślanie. Wokół ludzie życzliwi, a to jest ważne. Czyste ręce sporządzają zdrowy balsam. Ranni po bitwie leczą swoje rany, pies je liże. Później i tak czekają nas nowe rany i nowe lata niewiadomej przyszłości. Uśmiechnij się, Anno, życie jest piękne samo w sobie. Trzeba zatem umieć i to znieść czy przeżyć.

Co powiedział mi Czerwona Łopata, gdy nagle i niespodziewanie zjawiłam się w starym chłopskim domu? Byliśmy sami, domownicy przebywali w mieście. Nie zdziwił się, że przyjechałam z kuframi. Co prawda on jeden z rodziny Hornów rozmawiał z moimi krewnymi w Montreux o tym, że z małżeństwem nie wypadło i że byłam bliska zagłady. To znaczy - śmierci.

- Bitwy nie są ważne - powiedział mi na przywitanie - wygrywa zwykle ostatnia batalia, a każdy z nas walczy do samej śmierci, z życiem, z ludźmi, z samym sobą. Głowa do góry, Anno!

Domownicy wrócili po kilku godzinach i jak gdyby nigdy nie usiadłam z nimi do kolacji w starym domu. Jak bym wróciła do nich po jakiejś nieważnej kilkudniowej wycieczce. Bez pytań. I poczułam się dobrze z nimi.

A później któregoś dnia rzekł mi botanik:

- Nie trzeba, Anno, worywać się zbyt głęboko w grudy życia. Odwalanie skib ponad siły ciężkich i twardych niepotrzebnie spala w nas energię życiową. Nie trzeba zbyt silnie wykręcać do góry knota w lampie żywota, czytaj, Anno, pogodne myśli Rabindranatha Tagore.

W tych samych dniach poczta doręczyła mi upominek od Matyldy Meissl: *Vom Winde verweht* - Margaret Mitchell. Na egzemplarzu Matylda skreśliła kilka słów: „Książka ta była dla mnie pokrzepieniem, utwierdza w chęci życia, przeczytaj ją, Anno”.

Na morzach rozbijają się każdego dnia okręty. Jedne toną, z innych ratują się ludzie. Czasami na szczątku jakiejś deski. Nie wątpię jednak w życie i nowe budują okręty. Przeżycia? No, dobrze. Ale i te blakną z upływem lat. Trzeba się otrząsnąć. Trzeba starać się żyć i nowe budować okręty! Ale już takie, które lepiej oprą się burzom życia.

A zresztą może zbyt delikatnie obnosiłam swoją istotę po tym świecie?

Dobrze mi tak, niepotrzebnie wszystko analizowałam, lepiej było nauczyć się ciosy parować i atakować. A ja po wyjściu ze szpitala uległam atakowi histerycznemu na widok pobożowiska, na którym zostałam pokonana. Uciekłam z własnego mieszkania i skryłam się w gościnnym pokoiku na Mokotowie. Głupstwo. Ale chyba dość na dzisiaj.

Lepiej zagłębić się w opowieść o losach Scarlett. Pokrewna jakaś dusza, bliższa mi nawet niż zadowolone z siebie postacie Forsytów, uwieńczone nagrodą Nobla.

Jutro przybywają do mnie moi krewni z „Acacii”. Podczas pierwszej wizyty byłam złamana i przybita. Spróbuję zabawić się w Scarlett, powitam ich z lekkością i swobodą kobiety, która myśli, lecz nie przeklina.

Eichelbach - sobota - 20 listopada

Jakoś sobie radzimy. Marcin na dole w gabinecie Arnolda, my we dwie z Florencją na górce. Głupio mi z obciętymi włosami. Czuję się jak aresztant. Ale trudno. Zapalenie mózgu w moich warunkach nie było fraszką. Prawie nie chorowałam w życiu z wyjątkiem owego gardła, a tu od razu wianuszek różnych chorób. Ale przeszło. Trudno mi idzie pisanie, ale czuję, że gdy wszystko opiszę, spadnie ze mnie brzemię złych wspomnień.

Jutro w dalszym ciągu goście z Montreux. Nie mówią o tym, co się stało, i nie pytają o jutro. To bardzo dobrze. Nie wkładają do świeżych ran świderków ludzkiej ciekawości. Gorzej było z Patrycją, gdy zjawiała się w Mentonie, by mi dotrzymać towarzystwa. Wytrzymałam zaledwie dwa tygodnie i uciekłam do Eichelbachu.

Marcin mówił o cyfrach i pieniądzech, lecz czynił to oględnie i bez namietności. Stary Dubów spłacony do zera, jakieś dolarowe konto u niego, około sześciu tysięcy, we frankach drobiazgi z komornego. Kupka złota nienaruszona. Bez wrażenia. Londyn zapowiada się w tym roku równie dobrze. Belgia z kopalniakami prawie dobrze. O warszawskich cyfrach nie było mowy, tam rządzi Leokadia. Zrobili ją zastępcą członka zarządu, lecz w dalszym ciągu uznają mnie na stanowisku. Rodzina liczy się z moim powrotem do Warszawy. Na razie nie myślę o tym. Wystarczy mi cień i szum moich dębów w ogrodzie oraz towarzystwo rodziny Hornów.

W tej chwili moi krewni wywiali gdzieś z wizytą. Oni nie mogą żyć bez kręcenia się między ludźmi. Zostają do poniedziałku, nie spieszy im się. Na razie na szerokim świecie interesy drzemią. Jedyne kreissiady toczą się bez przeszkód. Równiutko, regularnie i bez najmniejszych nieporozumień. Czasami właściciel kamienicy ma więcej kłopotu z lokatorami niż my z Kreissem. Swoją drogą to pierwszy porządny człowiek w interesach, którego spotkałam w życiu. Dokładny i równocześnie z gestem. Przecież mógł poprzestać tylko na

umówionych dwóch procentach, a tymczasem podzielił się ze mną połową różnicy między dwu procentami dla Wirewicza a pięciu limitowanymi dla tego interesu. Nic dziwnego, że tak broniłam jego interesów przy następnej transakcji. Ale po cóż włączę z powrotem w cyfry?

Co prawda Marcin powiedział, że dobrym lekarstwem na wszystko jest właśnie zanurzenie się w interesach i cyfrach.

Czerwona Łopata roześmiał się na to beztrasko.

- Czasami trzeba jednak odpocząć i zrobić sobie dłuższą przerwę w tych waszych interesach. Powiedzcie mi, moi drodzy - dodał - na co wam tyle pieniędzy?

Rzecz dziwna, nie umieliśmy mu odpowiedzieć na to pytanie. Ja nie liczę się z powodu choroby. Krewni z Montreux roześmieli się, ale jakoś niepewnie, jedynie Florencja szepnęła:

- Dla sportu.

A Marcin uzupełnił po chwili:

- Pieniądze dają pewność w życiu.

Poza tym Scarlett i problem Retta. Gdybym przeczytała tę powieść przed ślubem, być może wiele rzeczy urządziłabym sobie inaczej. Na resztę napluć, piszę to po męsku! Jakież tam trzysta czy czterysta tysięcy, nie warto wspominać, gdy dobrze nadstawię fartuch, jutrzejszy dzień znów nasypie mi nowego złota. Tym razem hojnie zapłaciłam losowi. Wykupiłam się chyba. Nie warto pisać. Scarlett, i ona zmańdrzała, ale dopiero pod koniec drugiego tomu. Co do mnie, nie mam ochoty zamykać księgi żywota. Tylko tyle, że urządzię się inaczej. Jak ja wówczas wykrzyknęłam, gdy Rudolf mnie znieważył:

- Precz, łotrze, precz z mojego domu!

Ale on w złości był silniejszy ode mnie. Uderzył mnie, pchnął, pośliznęłam się, uderzyłam piersią o brzeg stołu i upadłam na podłogę. Kopnął mnie, straciłam przytomność, ale niemniej to właśnie zapamiętałam! Kopnięcie, ostatni argument tych, którzy pięścią wybijają sobie okno na świat.

Nie doszedł jednak tajemnicy pochodzenia małej Marty. Plunął mi w twarz podejrzeniem, że mała jest moją nieślubną córką, nie dał mi dojść do słowa, podsuwał mi do oczu fotografię dziecka jeszcze z okresu grudziądzkiego. Mała na kolanach u mnie, obejmująca moją szyję w sposób tak beztraski, jak to tylko potrafi dziewczynka. Ryczał, że ma własne oczy oglądał to moje dziecko nieślubne, że nie mogę temu zaprzeczyć; ponieważ mała jest do mnie podobna. Zaniemówiłam. Nie mogłam zebrać myśli. Uderzyło to we mnie nieoczekiwanie. Zbierałam myśli, nie umiałam się bronić. Otwarłam usta dopiero w tym momencie, gdy wrzasnęła:

- Wy wszystkie jesteście nierządnicami. Skąd ja mogę wierzyć, że to będzie moje dziecko?!

Brutalność tego powiedzenia otworzyła mi usta. Wybuchnęłam, ale równocześnie uczułam skurcz pod sercem. To był ruch mojego dziecka. Znów usta zwarły mi się, a zęby zacięły. Jakież spazmy konwulsyjne, z przestachu, jak mi to później tłumaczyli lekarze. Zrobiłam ruch, chciałam wzywać pomocy, chciałam zadzwonić. Upadłam na podłogę. Przytomność odzyskałam dopiero nazajutrz w szpitalu, zresztą na krótką chwilę. Zdołałam zorientować się jedynie w tym, że leżę na łóżku szpitalnym. Ostatni błysk świata i życia objawił się u mnie w spojrzeniu na biały kornet zakonnicy. Wiem, że krzyknęłam. Później przyszło zapalenie mózgu i dwa tygodnie walki o powrót do świata, do świadomości. Zaczęłam na nowo uczyć się życia, powoli, jak dziecko uczy się chodzenia.

Rudolf. Gdy mnie skopał, trzasnął drzwiami, ubrał się i poszedł do szynku, do swoich karcianych kolegów. Podobno wrócił do domu dopiero na drugi dzień. Nie interesował się moim losem, zabrał walizkę jak złodziej i wrócił do swego Krakowa. Zbył milczeniem oświadczenie Lizy, że przebywam w szpitalu. Podobno bąknął pod nosem:

- Babskie histerie.

Liza opowiadała mi, że był mocno pijany.

Ano! Szlachcic. Z herbami. Podpułkownik. Za którego ręczyła cała rodzina. Mąż, którego kupiłam. Tak mi się wówczas wydawało. Podróż poślubna. Dobrze mi powiedziała w Mentonie Elza Dubów.

- Gwizdnij na to, Anno. Mąż - to mebel, trochę gorszy od parasolki. Winien chronić od słońca i deszczu. Gdy nie spełnia tego zadania, czas rozejrzeć się za nowym. Co do mnie, byłabym wzięła go na kochanka. Dwa tygodnie. Dawałabym mu codziennie po parę tysięcy franków na grę w kasynie, ale nie więcej. Wierność u takich mężczyzn kosztuje dolary, nie warto spodziewać się po nich niczego lepszego. Problem psiaka. Jak gryzie, trzeba wziąć za kark i zrzucić z kanapy. Zawsze można zadzwonić na służącego i w porę wyrzucić za drzwi. A ty zryczałaś się, gdy wówczas przegrał w baka osiemdziesiąt tysięcy. Tobie chodziło nie o pieniądze, ale o to, że to był akurat twój mąż. Trzeba było uśmiechnąć się i po prostu pojechać samej dalej. Tak byłabym zrobiła ja, Elza Dubow. W dodatku zatelegrafowałabym do starszego pana Liteńskiego: „Proszę natychmiast wykupić synalka z kasynowych długów”. Podałabym cyfrę, niechby się tam trochę pomartwili w swoich pozostawianych majątkach. Równocześnie trzeba było upoważnić adwokatów do natychmiastowego wszczęcia kroków rozwodowych i pojechać w dalszą podróż według ustalonego programu. Wstyd? Głupstwo. Takie właśnie postawienie sprawy zdobyłoby ci szacunek w oczach tych...

I Elza zgryzła dalsze słowa w ustach. Dobrze jej mówić. Zaledwie w trzy tygodnie po ślubie. Było mi wstyd przed polską rodziną. Wołałam już załatwić sprawę z obcą mi Elzą. Od niej pożyczyłam pieniędzy. Dałam mu nawet dodatkowe dziesięć tysięcy do odegrania się. Asystowałam podczas tej ceremonii, chciałam przekonać go o nonsensie gry i w ten sposób powstrzymać od niej w przyszłości. Powieściowa naiwność. Po przegraniu ostatnich franków wyjął mi z torebki jakieś ostatnie, nieważne banknoty i wypalił prosto w oczy, już w ogrodzie kasyna:

- Po coś się wlokła dzisiaj za mną do kasyna, przyniosłaś mi nieszczęście. Chciałaś, żebym przegrał.

Gdy wróciliśmy do hotelu, potraktował mnie jak prostytutkę. Kazał przynieść do pokoju butelkę koniaku, nalał dwie szklanki, zmusił mnie do wypicia, dalej nie warto opowiadać. Nie wiedziałam następnego dnia, jak poukrywać ślady od pogryzień. A mnie wydawało się wówczas, że to był jedynie jakiś nieważny czyn oszalałego gracza, po głowie snuł mi się Dostojewski...

Całe szczęście, że kiedy piszę te słowa, nie burzy się już we mnie krew. Przeszło, ludzie mogą znieść w życiu bardzo wiele.

Wtorek - 23 listopada

Robi się coraz zimniej. Nieprzyjemny ostry wiatr. Podobno tutaj zawsze tak bywa. Nawet moje dęby nie osłaniają mnie, ponieważ wiatr dmie jakoś z ukosa, trochę od wschodu. W sobotę przyślą po mnie samochód. Pojadę z obiema Margot. Arnold nie może, bo wypada mu ważne zebranie w radzie. Imieniny Florencji. Zawsze o nich pamiętałam, począwszy od mojego pierwszego roku na uniwersytecie. Ano, nie posłuchałam. Nie doradzali mi tego małżeństwa.

Jak te młode chłopaki Hornów wyskoczyły ostatnio w górę. Dryblaszy, próbują przejść obecnie na jakieś weselsze: Tante Anchen, zamiast trochę sztywnej formy: Tante Anna.

Środa - 24 listopada

Niespodzianka. Nigdy nie byłabym przypuszczała. Leokadia z Matyldą. Z miejsca rozmowy. Wesoło. Wszystko złe uciekło za siedem gór. Bawimy się jak na wakacjach. Pierwszy naprawdę wesoły, szczęśliwy dzień od wyjścia ze szpitala. Wraca mi ochota do życia, mimo że jestem fizycznie bardzo słaba.

Czwartek - 25 listopada

Leokadia w drodze do Londynu, ale dopiero po imieninach Florencji. Namawia mnie do wspólnej podróży. Dopiero dzisiaj przemówiła na warszawskie tematy. Widocznie chciała się najpierw przekonać, czy już się uspokoiłam. Matylda wyjechała na krótko do swoich córek. Wraca jutro rano i jedziemy do Montreux. Naturalnie serdeczne zaproszenia, mimo że Florencja nie jest za bardzo z moją wiedeńską przyjaciółką. Elza będzie również, sprowadzają nawet Zosię Wirewiczównę.

Leokadia przywiozła wiadomości z Warszawy i list starszej pani Orzechowskiej. Stary Liteński musiał narobić gwałtu w swojej rodzinie. Mój warszawski adwokat rozwodowy widocznie ustnie wspomniął o zabraniu przez Rudolfa szkatułki z biżuterią ze schowka w ścianie mojej sypialni. Okazało się, że zastawił tę biżuterię w Krakowie za marne dwadzieścia osiem tysięcy. Dobrze, że go ojciec przycisnął. Leokadia mówi, że posądzała go o zamiar sprzedania kwitów, ponieważ Liteńscy mają obecnie nóż na gardle. Bardzo nieszczerą gra. Oburzyła mnie do głębi. Ta stara żmija Orzechowska śmiała napisać mi w liście:

„Cóż miał uczynić biedny Rudi, skoro został bez pieniędzy, a właśnie miał jakieś trudności finansowe? Przecież, moja Anno, żona winna pomagać mężowi. Ale my nie chcieliśmy, aby dobre (dobre, psiakrew!) imię naszego kuzyna było pomieszczone w adwokackich pismach ze sprawą takich (takich - podkreślone!) nieporozumień i dlatego od razu wykupiłam z zastawu twoje precjoza (kpiny, psiakrew!!) i doręczyłam je pani Leokadii Jamborowej”.

A później ustęp sentymentalny:

„...Panu Bogu polecamy oboje z mężem Ciebie i Twoje zdrowie. Gdy całkowicie wydobrzejesz, to pomyślisz o wszystkim spokojnie. Czas leczy i goi największe rany, a w małżeństwie trzeba umieć wybaczać. On przecież nie mógł wiedzieć... Zresztą nie udzieliłaś mu jeszcze żadnych wyjaśnień odnośnie tego dziecka. Trzeba go zrozumieć, jest bardzo nerwowy po swojej matce (a mnie co do tego?). Teraz sądzimy, że wszystko się wyjaśni i z pomocą Bożą zostanie przywrócony spokój w waszym małżeństwie”.

Opowiadania Leokadii były w ten sam deseń. Nic nie mówiłam, wysłuchałam. List przeczytałam w obecności Leokadii, po czym złożyłam go i obojętnie wsunęłam do torebki. Kosztowało to mnie trochę nerwów, ale jakoś wytrzymałam. Gdy zostałam sama, usiadłam do biurka i napisałam dwa listy. Jeden do mojego warszawskiego banku z poleceniem przekazania na adres pani Orzechowskiej w Starej Wsi kwoty trzydziestu tysięcy złotych oraz dołączenia do zawiadomienia o tym przekazie wyciągu z naszego wspólnego konta Rudolfa i Anny Liteńskich. Figurują na tym koncie trzy moje wpłaty: w styczniu dwadzieścia tysięcy, w kwietniu trzydzieści pięć tysięcy i dokładnie 10 lipca, przed naszym wyjazdem na wakacje do Krynicy, również dwadzieścia tysięcy. Z tego konta nie podjęłam ani jednej złotówki. O ile sobie przypominam, wyciągi bankowe wykazywały podjęcie czeków wystawionych przez „papę” Rudolfa - na kilkanaście tysięcy złotych, resztę podjął już osobiście Rudolf Liteński. Całość - siedemdziesiąt pięć tysięcy złotych, nieźle. Konto zjechało do zera.

List do pani Orzechowskiej krótki i chłodny, pomimo swej uprzejmości:

„...pozwoliłam sobie skierować pod adresem Szanownej Pani kwotę trzydziestu tysięcy złotych do rozliczenia kosztów wykupu mojej biżuterii zabranej bez mojego upoważnienia i zastawionej przez pana Rudolfa Liteńskiego po odwiezieniu mnie w sierpniu do szpitala. Pozwalam sobie wspomnieć również o fakcie zabrania przez pana Liteńskiego przy tej okazji pudełka ze złotymi monetami, które stanowiły depozyt mojej siostry Pelagii Tuchołkowej i które przedstawiają wartość około dziesięciu tysięcy złotych. Proszę nie mieć najmniejszej obawy odnośnie pomieszczenia tego rodzaju spraw „finansowych” w skardze rozwodowej, którą złożyłam. Gdyby Szanowną Panią interesowały bliżej sprawy finansowe mojego byłego małżeństwa, proszę przestudiować historie z hipotecznymi manipulacjami zmierzającymi do

zabezpieczenia mojego posagu w kwocie dwustu tysięcy złotych, dokonany mi zapewne wspólnie przez obu panów Liteńskich”.

No i podpis. Tym razem na odmianę, po raz pierwszy w życiu w taki sposób: Anna von Jamsborg, adres: Bazyleja, Eichelbach, Sonnenweg, w domu własnym.

Cichutko wymknęłam się z domu i wsiadłam do tramwaju w stronę miasta. Nadałam listy jako polecone, bez historycznego czy też kupieckiego znaczka na ekspres. Wysłane, na razie nikomu o tym nie wspomnę.

Ulżyło mi. Figura pani Orzechowskiej została wymazana z mego otoczenia. Kiedyś, gdy sprawy rozwodowe zostaną definitywnie zakończone, włożę do koperty pierścioneńkę zaręczynową pochodzącą od niej i napiszę krótko:

„Pozwalam sobie zwrócić pierścioneńkę, który nie przyniósł mi szczęścia. A co do pierścioneńki zaręczynowej, pochodzącego ode mnie, to pragnęłabym również i w tym zaspokoić ciekawość Szanownej Pani. Nie zdążyłam go wykupić, ponieważ pan Rudolf Liteński sprzedał go w kasynie... w okresie naszej podróży poślubnej jakiejś przygodnej osobie, która się wówczas nawinęła. Zdążyłam wtedy jedynie zapłacić ponad sto tysięcy franków różnych długów karcianych, przegranych tamże w ciągu kilku nocy”.

Dobrze, że w drodze do Mentony wstąpiłam do Rabki. Wyglądałam wówczas jak z krzyża zdjęta. Za głowę się chwyciły obie panie, nie opowiedziałam im wszystkiego, ale przysięgły mi, że nie zdradzą nikomu historii z dzieckiem. Gdyby doszło do zeznań przed sądem, potwierdzą fakt matki, odmówią jakichkolwiek wyjaśnień w sprawie ojca. Niech to pozostanie tajemnicą dla panów Liteńskich i rodziny Orzechowskich. Złodzieje nie zasługują na takie względy.

Ulżyło mi. Mogę spokojnie pojechać na imieniny do Montreux.

Sobota - 27 listopada

W „Acacii” stary pokój. Dom Marcinów ożywił się. W zamieszaniu jakoś nie wysuwają mnie na pierwszy plan. W dodatku Matylda przywiozła z sobą tę młodą milionerkę, Zofię Gütschow, z malachitowymi oczami. Florencja jest nią zachwycona. Jutro przyjeżdża z Genewy Elza z całą gromadą Dubowów. Zapowiada się bardzo wesoły dzień.

Niesamowicie schudłam. Nawymyślali mi, że nie wykorzystałam czasu w Bazylei i nie pochodziłam po krawcowych. Rzeczywiście wyglądam jak jakiś zaniedbany, ale chyba nie Kopciuszek.

Nie dam się życiu! Takie małżeństwo jak moje to było wielkie głupstwo. Gdybym to jeszcze miała jakichś dwadzieścia smarkatych lat. Dałam się nabrać. Rozumiem doskonale Florencję, która powiedziała mi dzisiaj:

- Całe szczęście, że nie byłaś zakochana w tym bydlaku.

Dopiero teraz dopytywała się o bliższe szczegóły. Mówiła, że szkoda, iż to nie są dawne czasy. Ktoś z rodziny powinien dać mu po mordzie. Może ma i rację, ale to nie jest pomysł na dzisiejsze czasy. Tylko tyle, że w aktach rozwodowych figuruje atest dwóch lekarzy, którzy mnie ratowali w pierwszym momencie po zawiezieniu do szpitala. Pięć sinych śladów od kopnięcia w okolicę brzucha. Zakwalifikowane wyraźnie jako kopnięcia, byłam w dodatku w bardzo przewiewnej sukni.

Ponura data - poniedziałek 9 sierpnia. Wracaliśmy z Krynicy samochodem przez Kraków. Wyobrażałam sobie, że zastanę Rudolfa w Krakowie. Starego Liteńskiego również nie było. Służąca poinformowała nas, że „starszy pan” bawi w swoim majątku, a „młodszy” dzisiaj rano wyjechał do Warszawy. Wsiadliśmy zatem do wozu z Wirewiczami i wieczorem rozegrał się ostatni akt małżeństwa.

Boleśnie odczułam nieobecność Rudolfa w Krakowie. W Krynicy pojawił się tylko na dwie pierwsze niedziele, interesując się zresztą jedynie partiami brydża po złotówce za punkt, co mnie niepotrzebnie denerwowało. Później wyskoczyła półmiesięczna przerwa w

odwiedzina i korespondencji. Rudolf był w tym czasie w Warszawie i wtedy zapewne wpadły mu do rąk fotografie małej, które trzymałam w jednej z szuflad biurka po dziadku. W jaki sposób otworzył biurko? Szukał widocznie pieniędzy i natknął się na fotografie. Trudno dzisiaj ustalić. Posiadał klucze od skrytki w ścianie mojej sypialni, a biżuterię i pudełko z monetami Pelasi trzymałam w stalowej kasetce przymocowanej do dna tej skrytki. Klucze od kasetki nosiłam stale przy sobie, przeważnie w torebce, czasami zostawiałam je w bankowym sejfie, gdy wyjeżdżałam za granicę. Liteński wiedział, że niekiedy trzymam pieniądze w dziadkowym biurku i stąd pochodziły jego penetracje podczas mojego pobytu w Krynicy.

Specjalnie podła historia. Wykorzystał moment odwiezienia mnie do szpitala i zawładnął moją torebką. Wyjął klucze od kasetki, skradł biżuterię i pudełko z monetami. Musiał być porządnie pijany jeszcze na drugi dzień przed wyjazdem do Krakowa, ponieważ Liza widziała moją torebkę porzuconą na podłodze męskiego pokoju. Nie znalazł jednak wszystkiego w biurku i nie wpadł na tajemniczą skrytkę, gdzie przechowywałam portfel otrzymany w swoim czasie od stryja Józefa. Ocalały w ten sposób całkiem przypadkowo dwa tysiące dolarów, owa prowizja od tartaków Blaufuksa. Widocznie znalezione fotografie małej zalały mu umysł wściekłością i nie dokończył penetracji biurka.

Z przyjemnością wróciłam do rozmów z bloczkiem. To najlepsze lekarstwo chroniące przed popadnięciem w rozpacz i melancholię. Gdy człowiek dochodzi do momentu zrozumienia swoich błędów, zaczyna się jego odrodzenie.

Szkoda dziecka. W dodatku dwa zagadnienia. Problem namiętności i pożądanie ciała kobiecego na pierwszym planie. Historia samej ciąży była osobliwa. Opowiadania, plany i postanowienia takie czy inne wobec przyływu brutalnych żądź u Rudolfa były trudne do opanowania i poddania ich jakiejś kontroli kalendarzyka. Po prostu koszarowe żądze, wybuchowe, brutalne, prawie zawsze wywołane alkoholem. Pół butelki koniaku na raz, a później trudno było mówić o jakiejś delikatności. Czasami miałam wrażenie, że nie jestem żoną, lecz uliczną dziewczką, wynajętą na godzinę za jakieś marne groszaki. Podobno niektóre kobiety zapalają się właśnie wobec tego rodzaju mężczyzn. Ano, oszukałam się. Kochankowi zawsze można pokazać drzwi we własnym domu lub trzasnąć drzwiami w jego domu. W małżeństwie trudniej. Kobieta w dodatku jest stroną słabszą, nawet - piszę te słowa z goryczą - nawet gdy posiada książeczkę czekową.

Z uśmiechem przypominam sobie marzenia o idealnym kochanku, który zjawiałby się na życzenie czy wezwanie i w sposób delikatny, lecz niemy wypełniał to, co do niego należy. O jakże głupie i naiwne były te marzenia, gdy znalazłam się w objęciach Rudolfa Liteńskiego! Syciłam nie własne żądze, lecz - cudze, niekiedy mi wstrętne, gdyż brutalne i w momentach najbardziej niepożądanych. W ten sposób ukarał mnie los.

Ano zobaczymy, jak się to wszystko rozkręci. Sprawę powierzyłam drogiemu adwokatowi, w każdym razie przyrzeczono mi załatwić to przed Bożym Narodzeniem. W skardze kazałam umieścić passus o tym, że równocześnie ze złożeniem skargi wracam do mojego panińskiego nazwiska. Kazałam wypisać *expressis verbis*: „Moja klientka ani na chwilę nie ma zamiaru noszenia w dalszym ciągu nazwiska człowieka o tak niskim stopniu etyki i honoru”. Adwokat zwracał mi uwagę na trudność i ewentualne konsekwencje umieszczenia tego rodzaju sformułowania w dużym stopniu obraźliwego, wówczas opowiedziałam mu o biżuterii i złotych monetach. Widocznie wybrał jedynie biżuterię jako argument w ustnych rozmowach z adwokatem Liteńskich. Wstyd mu było wspominać o monetach, ponieważ w pudełeczku była kartka z oświadczeniem: „Te monety stanowią depozyt mojej siostry Pelagii Tuchołkowej”. To byłaby już grubsza, jeszcze brudniejsza sprawa. Świadek w postaci stryja Józefa, któremu kiedyś przy okazji pokazywałam to pudełko jako przykład moich kłopotów z Piotrusiem.

Odzyskaną biżuterię przywiozę przy okazji do Szwajcarii i schowam w depozycie u starego Dubowa, łącznie z leżącą tam kupką złotych dolarów. Kupię sobie nową biżuterię. Nie pragnę wywoływać wspomnień. Przeszło, może kiedyś po latach...

W domu idealna cisza. Wszyscy poszli spać zaraz po kolacji. Jutro niedzielne przyjęcie imieninowe u Florencji. To bardzo ładnie, że pamiętają o imieninach. Obchodzenie urodzin uważam za głupie, łącznie z dekorowaniem tortów świeczkami. W tym roku ofiaruję Florencji jedynie moc kwiatów. Kwiaty są miłym upominkiem, ponieważ przemijają, łącząc się tym samym z dniem, który pragniemy upamiętnić. Bardziej dowodzą serdeczności, a nie tylko tego, że ofiarodawca miał w owym czasie pieniądze i mógł nabyć jakiś kosztowny upominek.

O, gdy się całkowicie uspokoję i odzyskam równowagę, zabiorę się do tych spraw całkiem inaczej. Na zimno rozejrzę się dokoła siebie. Mam doświadczenie. Przebyłam już akademię ciała kobiecego jako tylko dodatku do łóżka czy tapczana mężczyzny. Stać mnie na taki nowy styl. Co do reprezentacji, to w moich warunkach taki „pan domu” jest dla mnie zbyt cenny. Kogóż on sprowadzał do domu? Karciarzy, pijaków, awanturników. Wstyd mi było przed poważnymi ludźmi, wolałam już jeździć na niedzielne eskapady małżeńskie do Krakowa. Jakaż byłam głupia!

Mogę zafundować sobie jakąś mocno dystygowaną towarzyszkę, zarządczynię domu czy w ogóle kogoś w tym stylu. Również do rozmowy o drobiazgach dnia. Najlepszą w tym rozumieniu byłaby pani Horodyńska, ale ona jest potrzebna małej w Rabce.

Do świąt będzie już po sprawach konsystorskich. Zaproszę sobie małą na święta do Warszawy, niech się dziwią.

Niedziela - 28 listopada

Miło, miło, miło. Namawiali mnie, bym pojechała z Zofią Gūthow do owego zamku nad jeziorem Marklissa. Wymówiłam się. Jeszcze niedobrze czuję się z moją fryzurą. Wówczas w szpitalu wzięli po prostu nożyce i obcięli mi włosy. Trochę już podrosły, ale w każdym razie... Nie było wtedy czasu na ceregiele, gdy o życie chodziło. Naturalnie oficjalnie opowiada się o tyfusie z zapaleniem mózgu. W istocie to był tyfus. Tyfusowy mąż, jakby parafraza owej damy tyfusowej, opisanej przez Hansa Heinza Ewersa. Tylko że w tamtym wypadku miało się do czynienia z wyrafinowaną perwersją, a w moim - jedynie z chamstwem byle jakiego oficerka.

Jutro ubywają goście z „Acacji”. Wszyscy rankiem. Tylko Leokadia zostaje do wieczora, po drodze wstępuje do Genewy. Nocleg u Elzy. Jakieś interesy spółki drzewnej, o które nie pytam. Czuję się na urlopie, zresztą stało na tym, że do końca roku nie potrzebuję pokazywać się na pierwszym piętrze. Leokadia zostaje w dalszym ciągu w zarządzie z moją dawną pensją trzydziestu tysięcy, plus tantiemy. Widocznie znudziło się jej na wsi, w dodatku obecnie z mojego powodu mocno popsują się stosunki Górek ze Starą Wsią. Nic dziwnego. Leokadia trzyma moją stronę. Dobrze, że ma pełne dożywocie na Górkach, Maksiu jedynie administruje całością. Dla mnie lepiej, ponieważ nie będę osamotniona na Hortensji. Ponadto z wyjazdami będzie lżej, zawsze łatwiej uzgadniać nawet dłuższe nieobecności.

Co do mnie, to już obecnie przeniosłabym się na stałe do Bazylei, mnie jest w sam raz dobrze w starym chłopskim domu nad Eichelbachem. Arnold w przyszłym roku postawi nareszcie ten od wielu lat wymarzony dom po drugiej stronie żywopłotu. Będę miała miłe sąsiedztwo i przyjaciół. Takich murowanie dobrych w każdej okazji, którzy na pewno nie wykradną mi pudełka z biżuterią.

Jutro odwiozę Leokadię do Genewy. Zostanę kilka dni u Elzy. Genewa jest miłym miastem. Ma prawie wszystko to, co Paryż, natomiast Paryż w niczym nie jest podobny do Genewy. Elza znajdzie trochę czasu, pochodzimy po składach. Może krawcowa, może z nami

wyberze się Florencja? Poza tym potrzebny mi jest jakiś bardziej uczony fryzjer do moich włosów i zdaje się wizyta u ginekologa, ponieważ i to w dodatku...

Nie miałyby jednak najmniejszego sensu wlec się nad to jezioro w Sudetach. Zapraszałam Matyldę do Warszawy, może przyjedzie. One więcej wiedzą o Krynicy niż o Warszawie, ponieważ Krynica łączy się ze wspomnieniem o księżniczce Julianie Holenderskiej, a po ulicach Warszawy podobno w zimie chodzą niedźwiedzie. Może nawet przeniosę się na wiosnę do Bazylei. Co mi zrobią? Jednakże trudno tak nagle. Nie zrobili mi nic złego, oni jedni odradzali małżeństwo, a od spotkania Marcina i Florencji rozpoczęło się przecież moje inne życie. Gorzej byłoby, gdybym wyszła za mąż na Pomorzu i gdyby wówczas znalazł się jakiś duplikat panów Liteńskich.

Genewa - poniedziałek - 29 listopada

Któż by pomyślał? Wieczór spędziliśmy u znajomych. Elza, Florencja i ja. Jacys potomkowie emigrantów jeszcze z 1830 roku, nazwiskiem Brodowscy. Najstarszy z nich, inżynier Karol, tutejszy szwajcarski obywatel, dyrektor wielkiej światowej firmy „Motor-Columbus”, budowa elektrowni. Ale młodsze pokolenie bardzo wesołe. Była jakaś warszawianka i ona to zorganizowała Andrzejki z laniem wosku. Opowiedziała Szwajcarom historię tego zwyczaju, zawczasu przygotowano wosk i zgromadzono przyjaciół. Bardzo miło. Kawalek polskiej ojczyzny nad Lemanem, mimo że prawie wśród obcych.

Twory woskowe - jak zwykle. Po raz drugi w życiu zabawiałam się w ten sposób. Wmawiano we mnie, że wypadła mi kielnia masońska, Florencji wylał się jakiś kwiat, któremu nie umiano jednak nadać nazwy. U Elzy dojrzeli samochód i przepowiadali jej dalekie podróże. Dr Milizowi wrócono worek ze złotem, a jego żonie nowe dziecko, co nie było trudne przy lekkim zaokrągleniu jej figury. Organizatorka wylała sobie coś podobnego do gałazki z cierniami. Sama to w ten sposób określiła. Głupstwa, ale w każdym razie miłe.

Wtorek - 30 listopada

Trudno pisać, ponieważ tkwimy we trzy w garsonierze Elzy. Oprawdają mnie po sklepach. Naturalnie dwie krawcowe, aby było szybciej. Stare łachy mam zostawić tutaj i wrócić do Warszawy w nowych strojach, od stóp do głowy. Niech widzą, że nie upadłam, że nie wdeptali mnie w błoto. Jeżeli pójdzie w takim tempie, to do końca tygodnia wydam moc floty. Mamy na usługach rodzinnego eleganta. w osobie Nika Dubowa, któremu obecnie dopisuje zdrowie. Trochę nudziarz, ale przyjemny. Służył w Warszawie w jakimś specjalnie uhonorowanym pułku konnym, naturalnie carskim, i jak powiada: przed potopem. Niech zresztą przyjedzie. Marzy o polowaniach. Elza drażniła go mówiąc, że stary brat Płaton nie da mu pieniędzy na drogę do Warszawy, Florencja zaś na odmianę zapewniała go, że w Warszawie kupią mu powrotny bilet do Genewy. Stary miły blagier chodzi wszędzie z nami, trudno się od niego odczepić. Dzisiaj zafundował nam w cukierni kawę z tortami.

Włosy. Jakoś z nimi wybrnęłam. Cuda z ondulacją i różnymi „kręcidłami” dla ukrycia śladów szpitalnych nożyczek. Ginekolog dopiero pojutrze, jakaś sława.

Czwartek - 2 grudnia

Według starego profesora słaba pociecha na dzieci. Jakieś komplikacje, których nie rozumiałam dokładnie. Zrobiło mi się przykro. Nie rozpaczyłam co prawda, lecz niewyraźnie. Profesor odczuł to jako odruch rozpaczny, usiłował pocieszać mnie, że jeszcze nie wszystko stracone i przy zbiegu szczęśliwych okoliczności wszystko możliwe. Brzmiało to jednak raczej jak pocieszenie młodej kobiety, nie pacjentki. Znajomy Dubowów, problem rozumiały, więcej towarzyski niż lekarski.

Dziwne. O tylu rzeczach myślałam, a do tej chwili zatrzymałam na palcu ślubną obrączkę. Dopiero dzisiaj, schodząc ze schodów od lekarza, ściągnęłam z palca kawałek złota

z napisem od wewnątrz: Rudolf 3.10.1936 r. W pierwszym momencie miałam zamiar przystanąć na ulicy i wpuścić obrączkę w kratę kanału ściekowego. Niemal w ostatniej chwili pohamowałam się. Wstąpiłam do pierwszej napotkanej kawiarni i tam obrączkę owinęłam w bibułkę wyjętą ze szklanki na stoliku. Już wiem nawet, co zrobić. Zwiążę ją razem z pierścieniem zaręczynowym otrzymanym od pani Orzechowskiej i po prostu zwrócę, bez jednego słowa, w kopercie, przy pierwszej okazji.

Dziecko. A może kiedyś pokocham. Życie jest długie, to znaczy może być długie. Inne jest uczucie kobiety, która już nosiła dziecko pod sercem, a inne panny, która mówi: - Nie chcę dzieci, dzieci nie leżą w moich zamiarach życiowych.

Nie przyznałam się moim kuzynkom. Nawet ciotce Leokadii. Florencja i Elza same nie mają dzieci i mieć ich nie zamierzają. Być może nie potrafiłyby zrozumieć, a Elza gotowa powiedzieć mi brutalnie:

- To dobrze, Anno, pozbyłaś się kłopotu na przyszłość. Kochankowie nie zrobią ci już krzywdy.

No - tak, ale jestem zdetonowana i rozstrojona. Wezmę jeszcze jedną dawkę bromuralu. To na krótką metę wypruwa krew z żył i całe ciało owiewa chłodem spokoju. Przybliża ku śmierci, ale oddala myśli. Może usnę, mam do odespania wiele nocy.

Niedziela - 5 grudnia

Ściągnęłam już do mojego Eichelbachu. Zastałam list ekspres od mojego warszawskiego adwokata. Oczekuje mnie w Warszawie, prosi o przyjazd najdalej do 10 grudnia, o ile mam zamiar skończyć sprawę przed świętami. Naturalnie, że tak. Jadę jutro rano przez Berlin, pojutrze o ósmej wieczorem stanę w Warszawie.

Rozmowa z doktorem Horno. Uczciwie radzi porzucić stare kąty. Jest przekonany, że tylko jego ojczyzna mogłaby stworzyć mi trwałe warunki spokojnego szczęścia. Mimo różnicy wieku rozmawiałam z nim jak ze starszym bratem. To jest człowiek, prawdziwy człowiek, któremu można się zwierzyć. Opowiedziałam mu to, co pozostanie, na razie przynajmniej, tajemnicą dla obu stryjków i rodziny. Dla obu sióstr, ponieważ Krystyna już przebolelałam i zapomniałam.

Radził męskie postąpienie, to znaczy adopcję małej. Takie rzeczy załatwia się u nich u notariusza i dopiero później rejestruje w zarządzie miasta.

W tej chwili przyszło mi na myśl, że w czasie mojego małżeństwa nie uczyniłam żadnego kroku w celu odmiany testamentu spoczywającego w Grudziądzu. Nie wiem, jak by wyglądały sprawy prawne, gdybym była na przykład umarła wówczas w szpitalu. Dziecko nie żyło, przyszło na świat martwe. Ale gdyby było przyszło na świat żywe i gdyby umarło w kilka dni po mojej śmierci? Na pewno Liteńscy poruszyliby niebo i ziemię, aby wydrzeć małej Marcie cały spadek. Dobrze przynajmniej, że kupiłam willę w Rabce. Czerwona Łopata ma rację. Rozwód - i adopcja małej. Cóż mnie obchodzi, co będą mówili ludzie? Niech mówią, z czasem im się to znudzi, z czasem znajdą się inne nowości, a później zapomną. Zresztą Warszawa - to kwestia jednego roku.

Gdy opowiadałam doktorowi Horno historię o skopaniu, spokojny zazwyczaj Szwajcar zawrzał gniewem. Uderzył pięścią w biurko i dopiero potem uspokoił się.

- To chyba niesłychanie rzadki wypadek w tamtym kraju? - powiedział. - Zapomnij, Anno, i staraj się do tego nie powracać. Wyobraź sobie, że tego nie było, że to wszystko jest jedynie historią wyczytaną w jakiejś książce.

Tyle. Może naprawdę warto o tym nie myśleć? Ale jak to zrobić? Nerwy człowieka są czulsze niż najdoskonalszy barometr.

A zatem pojutrze w Warszawie. Doktor Horno ładował mnie nie tylko optymizmem, ale też powiedział:

- Głupstwo. Trzeba, powinnaś, Anno, wrócić do swojego mieszkania. Ty byłaś tam panią, a ten oficerek to jedynie obcy przybłąda. Wróć, zadzwoń i wejdź do mieszkania w taki sposób, jak gdyby w nim nigdy nie było tego... Liteńskiego. Mówisz o meblach, o pokoju sypialnym. Wspomnienia? Trzeba pamiętać jedynie o rzeczach dobrych. Na początku podróży poślubnej przywiozłaś tego - pana tutaj do mas, do Eichel. Ja i moja Margot od razu, pierwszego dnia po kolacji powiedzieliśmy sobie: - Z tym oficerskim lalusiem nasza Anna nie będzie szczęśliwa. On ją unieszczęśliwi, przysporzy jej wstydu. Patrzyło mu wilkiem z oczu. No i stało się, Anno.

W czasach feudalnych kazałabyś spalić cały zamek, wybudowałabyś sobie inny, nowy, ale to nie te czasy. Wracaj do domu, nie myśl o widmach, wyobraź sobie, że byli tam złodzieje i nic więcej. Naturalnie pieniądze to głupstwo, ty z Marcinem do końca życia będziecie kręcić się z grubymi pieniędzmi... bo tak trzeba.

I Czerwona Łopata roześmiał mi się prosto w twarz w sposób niemal chłopięcy.

- Pieniądze - drobiazg. Mogli ukraść prości złodzieje, mógł je zdefraudować jakiś wasz urzędnik, mogli zatem ukraść również ci panowie Liteńscy, Nie warto o tym wspominać. Przekreślić i zapomnieć. Odpisać na straty, jak to robią kupcy. Szkoda jedynie tego straconego roku, szkoda dziecka, które było twoim dzieckiem, szkoda również twoich włosów, które były piękne w naszym szwajcarskim pojęciu. Wspaniale wyglądałaś z jasną koroną splecioną z włosów. Ale trudno, Anno. Głowa do góry!

A jutro wczesnym rankiem, jak było umówione dzisiaj podczas kolacji, Czerwona Łopata odwiezie mnie na stację swoim staromodnym samochodem.

- Gdy wszystko załatwisz z rozwodem - mówił - przywieź do nas swoją Martę. Oddaj ją nam, przystosujemy ją do naszych szkół, a później wychowa się w jakimś wzorowym zakładzie. Mamy dobre szkolnictwo. W naszym kraju nikt nie kopie kobiety, która jest w... błogosławionym stanie.

Uczciwe słowa.

Warszawa - wtorek - 7 grudnia

Nie uprzedzałam telegramem. Zajechałam taksówką, zadzwoniłam, zeszła Liza, wnieśli moje walizy na moje drugie piętro, powiedziałam wszystkim: - Dobry wieczór - w taki sposób, jak gdybym rozstała się z nimi przed tygodniem. Stryjka Józefa nie było, wraca dopiero jutro po południu. Profesor Wydra przybiegł od razu na górę, spożyliśmy wspólnie kolację. Nie stawiał żadnych pytań, jedynie troskliwie przyglądał mi się ukradkiem. Lizie powiedziałam obojętnym tonem, ale prawie wesoło:

- Widzisz, zmieniłam fryzurę, będziesz miała mniej kłopotu z czesaniem. Obejrzyj sobie, to jest arcydzieło najlepszego fryzjera w Genewie. Obecnie taka moda.

A przedtem jeszcze wydałam dyspozycję usunięcia tabliczki z napisem: „Liteńscy” z drzwi wejściowych. Helena wydosłała skądś starą tabliczkę z napisem: „Anna Jambor”. Wraz z Lizą zawołały stróża z dołu i wspólnie z nim umocowały tabliczkę. Gdy dokonały tego, wróciły do mnie i powiedziały obie na raz:

- Zrobiłyśmy, proszę pani.

Na twarzy ich dostrzegłam wyraz radości. Była to pierwsza przyjemność po powrocie do domu.

Czekałam na nie we fiołkowym gabinecie. Z odwagą przestąpiłam to miejsce, na którym mnie skopano, i usiadłam w fotelu pod konnym portretem mojego pradziada Fryderyka. Zaświeciłam sobie *al giorno* i wpatrywałam się w ścianę z moimi portretami rodzinnymi, które wydobyłam niegdyś z przeszłości - dla stworzenia sobie przyszłości. Tej - która dopiero przyjdzie.

Byłam nawet w nowym gabinecie męskim. Jutro zacznę dzień od tego, że każę zdjąć portrety Liteńskich ze ściany nad szafami bibliotecznymi i odeślę je do mieszkania młodych Orzechowskich. To przecież ich kuzyn, bliski krewny.

Postanowiłam przejść do ataku. Nie sama tylko obrona związana jest z rolą kobiety w tym życiu. Trzeba parować uderzenia, na stal stal, na chamstwo zdecydowany odzew, stanowcze postępowanie!

A obecnie leżę w mojej dawnej sypialni, do której kiedyś, na prośbę Rudolfa, sprawiłam nowe meble. Dzisiaj śpię tu dla stwierdzenia, że jestem silna. Jutro, gdy się obudzę, każę te meble wyrzucić na strych i sprowadzę stare pochodzące od Leokadii. Te jeszcze zabrane z Poznania.

Czuję, że dzisiaj zasnę bez proszków. Nowe życie wstępuje we mnie. Od dzisiejszego dnia. Bez wspomnień. Nie warto! Trzeba pamiętać tylko o rzeczach dobrych, a złe wyrzucić z pamięci. Stara żmija Orzechowska na pewno po otrzymaniu mojego listu powiedziała: - Wyszła z niej szwabka, prusaczka. - Być może. Ale moi przodkowie zdobywali orderzy na polach bitew, natomiast Liteńscy wysługiwali je w wiedeńskich przedpokojach. Urzędnicze i lizusowskie orderzy, takie, jakie zdobywa się w biurach po wypisaniu morza atramentu. Fagasy.

Dobranoc, Anno. Jesteś u siebie. Tylko u siebie.

Środa - 8 grudnia

Rozmowy z adwokatem, ze stryjkiem Józefem i profesorem Wydrą. Poza tym listy i listy, na które trzeba odpowiadać. Heinrich ma już zagwarantowaną praktykę w nowojorskim szpitalu. Obeszło się bez Fundacji Rockefellerowskiej. Otwarto inne drzwi - przez Montreux. Piszą, żeby do nich przyjechać, do Wiednia lub na święta do Hermsdorfu. Obszerny list od stryjka Juliusza, już wie o moich historiach małżeńskich. Pisze, żeby nie ustępować i przepędzić. Sama wiem o tym. Ostatnio, gdy byłam za granicą, pan Liteński usiłował rozmawiać ze stryjkiem Józefem na tematy majątkowe. Stryjek przyjął go zimno i oświadczył, że nie ma nic wspólnego z zarządem mojego prywatnego majątku. Doprawdy co za tupet i miedziane czoło!

W poniedziałek niestety wspólne zejście się obu stron z adwokatami w konsystorzu. Przedtem w niedzielę próba pojednania na gruncie rodzinnym. Trudno, trzeba i to przeżyć, ma to przyspieszyć sprawę w konsystorzu. Rozumiem, że rodzina usiłuje ratować swego krewnego. Liteńskim chodzi w tym wypadku o posagowe dwieście tysięcy, które będą zmuszeni zwrócić w ciągu roku. Ale poniedziałkowa rozprawa - ostateczna.

Posiedziałam sobie dzisiaj w biurze małe dwie godzinki. Nie można od razu zbyt wiele.

Czwartek - 9 grudnia

Leokadia ma wrócić podobno w sobotę rano. Przekładamy imieniny na oktawę, wcześniej nie będzie można. Niedziela zapowiada się ponuro. Orzechowscy oblatują wszystkich. Próbują nawet wpływać na mnie i uderzają w sentymentalną nutkę wstydu. Że co to będzie, gdy się rozwiedziemy. Dobrzy sobie, przecież ich pupil już po raz drugi... Gdy im wygodnie, to zapominają o tym. Osobliwa sprawa, ponieważ ja zasadniczo nie zmieniałam wyznania do ślubu.

Nie otrzymałam odpowiedzi od młodych Orzechowskich. Napisałam do nich bilecik z prośbą o zabranie z mego mieszkania osobistych rzeczy pana Rudolfa Liteńskiego. Podczas ostatniej bytności w tym mieszkaniu wychodząc zamknął swój pokój na klucz. Nie myślę wyłamywać zamków, dzięki Bogu, mam jeszcze inne pokoje. Ale to głupstwo. Skończy się za kilka dni i od razu spadnie mi z głowy. Będę mogła spokojnie myśleć o czymś innym. Nie lubię sytuacji nie załatwionych. Wirowiczowa namawia mnie, abym wysłała naszego pana Hołobłą w celu zasięgnięcia języka o stanie majątku panów Liteńskich. Mnie to jest obojętne,

mimo że tkwi w tym mój posąg intercyzowy. Wyraźny obowiązek zwrotu w ciągu jednego roku. Nie mam na razie głowy do interesów. A ludzie są niedelikatni. Wiedzą, że jestem zajęta rozwodem, tymczasem dzisiaj po południu odwiedziła mnie pani „Lucynka Mireska”. Zapytywała, czy nie byłabym skłonna odstąpić im mego udziału w lakierach. Sprzedaliby w tym celu galicyjską kamienicę, trochę gotówką, trochę weksłami. Jej mąż jest trochę urażony, ponieważ zawiodły na razie jego nadzieje na dyrektorstwo w naszym drzewie i w dalszym ciągu jest tylko prokurentem. Tylko tyle, że podnieśli mu pensję podczas mojej choroby. Oni w oczy są bardzo mili, ale Lucynka ostrzy sobie na mnie ząbki, gdzie może. Nie mam żalu, to jest pospolite, a zatem normalne. Niech tam. Najlepiej udawać, że się nie wie.

Piątek - 10 listopada

Osa i zmija równocześnie. Nie pokazując panu Szczytnickiemu samego listu, usiłowała wmówić w niego, że napisałam do niej z zagranicy w formie bardzo niegrzecznej. Nie potrzebowałam odpowiadać, ponieważ w Eichelbachu sporządziłam kopię przed wysłaniem. Pan Szczytnicki złapał się za głowę, nic nie wiedział o biżuterii. Pokazywałam mu wyciągi z kont bankowych. Poniosło mnie, opowiedziałam historię z Martą. Przyznał, że nie mogłam inaczej. Nie wolno było ujawniać tej sprawy po śmierci naszego ojca, tym bardziej że właśnie ojciec wskazał pani Woźnikowej mnie, a nie któreś inne z dzieci. Nie zostawił w tej sprawie żadnych innych dyspozycji, ani jednego słowa na piśmie, tylko mój adres.

- W dodatku - mówiłam - Rudolf... Uderzenie pięścią w usta nie było właściwym wstępem do zapytań w tej sprawie. Gdyby był po ludzku żądał wyjaśnień, to kto wie, czy nie byłabym mu ich udzieliła. Ale od razu wypluł chamskie słowa i uderzył mnie.

Opowiedziałam panu Szczytnickiemu szczegóły całego zajścia, zademonstrowałam kopię pism rozwodowych, kopię atestów lekarskich. Przecież gdyby nie wstyd, mogłabym wyjść ze sprawą karną o pokopanie ciężarnej kobiety. Dziecko przyszło na świat nieżywe. Być może wstyd fałszywy, ale trudno inaczej.

Przyrzekł mi pan Szczytnicki pod słowem honoru, że cała historia z moją małą siostrą zejdzie razem z nim do grobu. Wyszedł ode mnie smutny mówiąc na pożegnanie, że obecnie stracił wiarę, iż ludzie są dobrzy. Stawi się w niedzielę, by mnie bronić.

Oby tylko Leokadia przyjechała jutro! Będzie mi raźniej, ponieważ stryj Józef odmówił pójścia. Twierdzi, że nie wytrzymałby i mógłby wygarnąć im zbyt wiele prawdy. Doskonale go rozumiem, może i lepiej. Pragnęłabym znaleźć się w sposób spokojny, bez nerwów i zbytecznych słów. Ale trudno, trzeba przeżyć tę niedzielę i poniedziałek.

Sobota - 11 grudnia

Obie przybyły na czas. Zośka nad ranem, Leokadia w dwie godziny później. Maglowały mnie o dziecko, tłumaczyłam, że to nie jest moja tajemnica. Trudno było się opędzić. Przecież Zośka wie, że nie moje, ponieważ trudno byłoby ukryć urodzenie dziecka mieszkając u ciotki Katarzyny. Kiedy? Gdy chodziłam leszcze do gimnazjum?

Generałowa, która była na obiedzie, powstrzymała ich zapędy.

- Nie nalegajcie, gdyby Anna mogła nam to powiedzieć, powiedziałyby.

Pokazywałam im odpis metryki Marty, wyraźnie napisane: ojciec nieznany, wraz z podaniem daty śmierci jej matki.

Niedziela - 12 grudnia

Pierwsze już minęło. Jeszcze jutrzejszy dzień.

Środa - 15 grudnia

Koniec. Jutro wydadzą mojemu adwokatowi dokumenty. Zrzuciłam z siebie brudny ciężar. Z powrotem jestem Anną Jambor. Tylko tyle, że dzisiaj wyczesalam z resztek moich

włosów sporo siwych. Pomimo że dopiero w przyszłym roku skończę niebezpieczną dawniej dla kobiet trzydziestkę. Jutro jadę samochodem do Rabki. Zabieram z sobą pana Hołobłą. Wysadzę go w Krakowie. Zobaczymy, czego się dowie.

Zośce pożyczyłam znów dwadzieścia tysięcy na weksel. Do lipca, mają nowe zamówienia. Wiedziałam, że stryj Józef wykręcił się od tej pożyczki. Siostra. Na warszawskich kontach już tylko siedemdziesiąt dwa tysiące złotych. Marcin musi poczekać na spłatę moich ostatnich długów, będzie tego ponad pięćdziesiąt pięć tysięcy. Nie mam głowy do interesów. Głupia Zośka, one zawsze zjawiają się tylko wówczas, gdy mnie potrzebują. Od Pelasi był płacziwy list. Chciałabym wyjechać gdzieś daleko, w jakieś nieznane, jak to obecnie modnie określają.

Rabka - sobota - 18 grudnia

Warto było samej wsiąść do autobusu, a panu Hołobli zostawić samochód. Właśnie dzisiaj przybył do Rabki i przed godziną zdawał mi relację. Jutro rano rozmówię się telefonicznie ze stryjkiem, w poniedziałek w południe będę miała w Krakowie telegraficzny przekaz, resztę załatwię przed wieczorem.

Sprawa hipotek na Podjaskach. Na drugim numerze wisi okrągło sto dwadzieścia tysięcy, jakiś pan Maurycy Pomerski, zamieszkały w Krakowie. Przed tygodniem był u niego starszy pan Liteński i prosił o prolongatę procentów za bieżący rok do wiosny, mówił nawet o lipcu. Stary czarował go, ale na razie nie dostał żadnej odpowiedzi. Hipoteka jest wypowiedziana na 31 grudnia. Interesująca historia. Na pierwszym numerze Ziemstwo z mizerną kwotą sześćdziesięciu pięciu tysięcy na siedem i pół procent. Odsetki płacone są punktualnie. Na drugim te sto dwadzieścia tysięcy pana Pomerskiego, stary dług jeszcze z 1931 roku, lecz obecnie już na 10%, kilkakrotnie zmieniana stopa procentowa. Później drobiazg, piętnaście tysięcy na 7%, jakaś wdowa z córką, zamieszkałe w Rymanowie, z roku 1932. Na czwartym miejscu, a nie na trzecim, jak to było umówione w intercyzie, sto tysięcy na wspólne nazwisko Rudolfa i Anny z Jamborów Liteńskich, na 8%. Cóż to za niedopatrzienie! Niby chytrze i na odległość, głupio na bliższą metę. Na piątym miejscu Henryk i Abram Wajnsztokowie, również z Rymanowa, kupcy. Dopiero j na ostatnim, miejscu Anna z Jamborów Liteńska z kwotą stu pięćdziesięciu tysięcy, 8% rocznie.

W dodatku zapisy dokonane dopiero w jakieś dwa tygodnie po ślubie, w sposób dowolny. Stary Liteński spłacił jedynie czwarty numer hipoteczny kwotą stu tysięcy złotych, wpisał na ten numer „małżonków Liteńskich”, samą zaś Annę z Jamborów umieścił na ostatnim miejscu wyścigów hipotecznych. Majątek jest wart około czterystu tysięcy, na licytacji może przynieść niewiele ponad trzysta tysięcy do podziału między wierzycieli. Ponadto zwykle zapisy hipoteczne. Jakieś drobiazgi z dożywociami z dawnych czasów. Niewiele tego, starzy ludzie już powymierali.

Pan Hołobla jedzie jutro do Krakowa, zabiera dziesięć tysięcy na zadatek dla pana Pomerskiego. Ma go obstawić do poniedziałku. Rano spiszą wstępną umowę, a cała reszta płatna w poniedziałek u krakowskiego notariusza. Mają od razu przygotować akt sprzedaży hipoteki na moje nazwisko: Anna Jambor.

I dobrze, że wybrałam się z pieniędzmi. Miałam dobre wyczucie, że się przydadzą. Gdy się uda w poniedziałek, to inaczej porozmawiamy. Jutrzejszą niedzielę poświęcę wyłącznie małej. Zostawiamy „Magdę” na łasce służby i jedziemy wszystkie do Zakopanego. Prawie nie ma śniegu, chłodno, lecz pogoda. W Zakopanem na odmianę podobno śnieg. Na razie jeszcze nie rozmawiałam na nowe tematy z rabczańskimi paniami. Powiedziałam im jedynie, że uwolniłam się od męża. Resztę rozmów odkładałam do jakiejś stosowniejszej chwili. Obie panie były zdziwione, gdy zaprosiłam od razu wszystkich na święta do Warszawy. Jeszcze nie zdecydowały się, jedna z nich musi pozostać w pensjonacie. Mała szalała z radości. Powiedziała, a raczej wykrzyknęła:

- Dopiero w Warszawie uwierzę, że ciocia Anna jest moją prawdziwą ciocią!

I zaczęła tańczyć po pokoju. Później wzięła na ręce jedną ze swoich największych lalek i usiadła koło mnie na kanapie.

- Patrz, Lusu - mówiła - ciocia Anna zabiera mnie nareszcie do siebie, do Warszawy. Jak będziesz grzeczna, to ciebie zabierze również.

Ciekawy jest ten pan Hołobla. Przy jego sprycie na pewno jest zorientowany w naszych stosunkach rodzinnych i majątkowych. Przyjechał do „Magdy” w czasie kolacji i mimo swej rubaszości zaściankowego szlachcica nie zadawał pytań. Po kolacji zdał relację, ustaliliśmy linię postępowania. Później obaj z Petrasem poszli spać. Sporo się najeździli, nie zmarnowali czasu. W tamtejszych górach drogi są ciężkie, już zawałone śniegiem. Pan Hołobla przyglądał się po trochu nam wszystkim, panem Petrasem zajmowała się jedynie Marta. Nic dziwnego, szofer, samochód i obietnica jutrzejszej podróży.

Idę spać. Jedenasta.

Kraków - poniedziałek - 20 grudnia

Jak zwykle w „Grand Hotelu”. Marta jest wspaniała. Bynajmniej nie czuje się onieśmielona. Była już dwukrotnie w Krakowie, orientuje się, chciała mnie oprowadzać. Na razie z panią Horodyńską, która dostała tydzień urlopu od swej współpracownicy, pani Woźnikowa ma przyjechać później.

Zacząłam od spraw dziecinnych, reszta bowiem bez przeszkód. Pan Pomerski - gładki człowiek, handlowiec. Słyszał o małżeństwie pana pułkownika Liteńskiego, był kilka razy na polowaniach u pana Franciszka Józefa, ale z Liteńskimi łączyła go jedynie hipoteka, również kilkakrotnie przez niego wypowiedana z powodu niepłacenia procentów. Co do samej hipoteki, to nie miał żadnych zmartwień, jego sto dwadzieścia tysięcy złotych zawsze mieściło się w wartości majątku. Hołobla zręcznie manewrował, kto wie nawet, czy w głowie pana Pomerskiego nie rodziła się myśl: kupuje żona Rudolfa Liteńskiego. Chcą oczyścić hipoteki. Jutro wynajętym samochodem jadę załatwić sprawę przepisania hipoteki na moje nazwisko.

Co będzie dalej, nie wiem, to rzecz naszych prawników. Po wyjściu od notariusza zaprosiłam obu panów do restauracji na wódkę, ponieważ pan Pomerski przymówił się.

Wczesna godzina. Dziewiąta, wczesne spanie ze względu na jutrzejszą podróż do Warszawy. Dzisiaj prószyl śnieg. Mała nie użyje po drodze.

Ano. Może uda mi się opisać to w sposób krótki. Niedziela. Ten sam salon u młodych Orzechowskich. Tylko tyle, że dostawili trochę foteli z innych pokoi. Z aktorami bardzo powściągliwie. Starzy i młodzi Orzechowscy, Maksiowie, Liteńscy, pan Szczytnicki, jakaś nie wiadomo po co sprowadzona i wielce honorowana babcia, a z naszej strony jedynie Leokadia, generałowa, Zośka i ja.

Przedstawienie odbyło się bez specjalnych obcałowywań. Rzecz zagaiła pani Orzechowska, a później starsza pani - tytułowana babcia - usiłowała wzruszyć mnie słowami pełnymi rodzinnej serdeczności w stylu Rodziewiczowny. Nie chwyciło jednak. Scena była mocno teatralna. Powiedziano nawet panu Rudolfowi Liteńskiemu:

- Idź, rzuć się ma kolana przed Anną, zawiniłeś, proś o przebaczenie.

W istocie mój były mąż upadł przede mną na kolana i coś tam mówił. Sytuację przecięłam na zimno:

- Ależ to zbędne, proszę państwa. To wszystko już było. W trzecim tygodniu naszego małżeństwa, w Mentonie, gdy pan Liteński przegrał w kasynie sto tysięcy i zależało mu na szybkim pokryciu honorowego długu.

Rudolf Liteński poderwał się z kolan jak oparzony i natychmiast usiadł obok ojca. Zapanowała cisza. Po chwili starsza pani Orzechowska usiłowała mocno zdenerwowanym tonem przedstawić mnie jako sekutnicę:

- Bo przecież nasz nieszczęśliwy Rudolf... Cóż on miał robić? Dowiedział się o sprawie tego dziecka, Anna odmówiła mu wyjaśnień. Był zdenerwowany, uniósł się, Anna była wówczas w ciąży, zemdląca, upadła na podłogę. W dodatku Rudolf był w ustawicznych kłopotach majątkowych.

Znowu zapanowało kłopotliwe milczenie. Pani Orzechowska skończyła swoją perorę, a ja nie odpowiadałam. Chłodna i beznamiętna byłam w ową godzinę. Łyknęłam rano bromuralu, trochę bolała mnie głowa, lecz mózg pracował bez zarzutu. Wszyscy patrzyli w moją stronę. Milczałam na razie. Już podrywała się Leokadia, aby przemówić, widziałam jej zdenerwowanie. Rozgniewana, byłaby im porządnie wyrępała.

- Pozwól, ciotko - szepnęłam - ja sama wyjaśnię, jak było. - Otworzyłam torebkę, wyjęłam papier i położyłam go przed sobą na stoliku:

- To jest atest, sporządzony przez lekarzy po przywiezieniu mnie do szpitala. Możecie sobie to państwo później przeczytać. Gdy się upada na podłogę, nie łamie się dwóch żeber. Pięć śladów na brzuchu od kopnięcia butem. Nic dziwnego - powiedziałam głośniejszym głosem - że moje dziecko umarło, skoro je pokopał ojciec dziecka.

W salonie „dźwięczała cisza”.

- Niedawno napisałam list ze Szwajcarii - gdzie przebywałam na kuracji - do pani Orzechowskiej. Mogą państwo, gdy zechcą, zapoznać się z cyframi, jeżeli ich to interesuje. Dwieście tysięcy przed ślubem, na jakieś tam... hipoteki, siedemdziesiąt pięć tysięcy gotówka w ciągu pierwszego półrocza tego roku, ponadto... historia zabrania biżuterii i pudełka ze złotymi monetami. Nie liczę już nawet owych stu tysięcy franków przegranych w Monte Carlo oraz wielu innych sum. Ale to wszystko głupstwo. To tylko cyfry, wyliczone jako objaśnienie do słów pani Orzechowskiej o trudnościach... majątkowych. Czy państwo sądzicie, że sprawy byłyby wyglądały inaczej, gdybym po staroświecku - w tym miejscu zrobiłam krótką teatralną pauzę - wraz z ręką była oddała mój cały majątek w ręce panów Liteńskich? Od razu moje całe - trzy miliony?

Cisza, cisza. Wszyscy spoglądali na siebie. Cyfra trzech milionów zrobiła swoje, ironicznie spojrziałam w oczy starszemu panu Liteńskiemu, który siedział niemal tuż koło mnie.

Z kolei wyjęłam z torebki zwitek papierów. Wyciągnęłam z niego jedną kartkę, resztę schowałam do torebki i zaczęłam czytanie spokojnym, odmierzoneym głosem:

„Warszawa, dnia 2 października 1936 roku. Niniejszym potwierdzam, że w dniu dzisiejszym otrzymałam z rąk pani Anny Jambor gotówką kwotę piętnastu tysięcy złotych jako zwrot wszystkich długów zaciągniętych u mnie w roku 1933 przez pana Rudolfa Liteńskiego, majora W.P., mojego kolegę w ministerstwie”.

- To bezczelność - poderwał się młodszy pan Liteński, lecz pan Szczytnicki zgasił go jednym słowem:

- Usiądź, smarkaczu, i pozwól wysłuchać nam do końca!

Czytałam:

„...Według informacji pana Liteńskiego, był w trudnej sytuacji, ponieważ przegrał w karty i chodziło o jego honor oficerski. W celu dostarczenia mu tej kwoty byłam zmuszona sprzedać spadek po moich rodzicach w postaci hipoteki oraz oddałam mu wszystkie moje oszczędności. Maria Sikorzanka, Łódź, ulica Kilińskiego 8 m. 14”.

Cisza, długa cisza, a później wybuch pani Orzechowskiej:

- Moi kochani, cóż to ma do rzeczy? Takie historie zdarzają się. Nie hańbią. Załatwia się je przy pomocy pieniędzy. To wszystko jednak nie wyjaśnia sprawy owego dziecka, którym Anna opiekuje się w Rabce.

Zerwałam się z krzesła. Chciałam coś powiedzieć. Nie mogłam. Wtedy pan Szczytnicki powstał z fotela i powiedział spokojnym głosem:

- Ja, Benedykt Szczytnicki, poświadczam, że pani Anna von Jamsborg und zu Hermsdorf, znana nam pod nazwiskiem Anny Jambor, osobiście nie ma nic wspólnego z dziewczynką zamieszkałą w Rabce, nazwiskiem Marta Kalatówna. Mnie osobiście znane jest nazwisko jej ojca, miałem również w rękach dowody urodzenia tej dziewczynki oraz akt zgonu jej matki. Nazwisko ojca zostało zawierzone szlachetności pani Anny Jambor i wszystko przemawia za tym, aby pozostało tak, jak jest.

Później pan Szczytnicki zwrócił się do mnie i powiedział:

- Pani Anno, proszę o ramię, pozwoli pani, że ją odwiozę do domu.

Kręciło mi się trochę w głowie, lecz sięgnęłam do torebki. Miałam nawet tyle przytomności, że schowałam do niej odręczne pokwitowanie Marii Sikorzanki z Łodzi. Natomiast wyjęłam już poprzednio przygotowane pierścionki i położyłam je na stoliku przed starszą panią Orzechowską. Po dokonaniu tego wyszliśmy oboje z salonu bez pożegnania.

Co było potem, wiem z opowiadania ciotki Leokadii. W salonie zawrzało. Wszyscy rzucili się w stronę Liteńskich. Maksiu powiedział mocno do słuchu obu Liteńskim. Gabrysia rozplakała się, Maksiu rzucił się do uspokajania, a nasi, korzystając z zamieszania, wyszli, również bez słowa pożegnania. Ciotka, generałowa i Zośka. I jeszcze jedno! Młody Liteński był w cywilnym ubraniu.

Scena poniedziałkowa miała jeszcze jeden dodatkowy moment. W pewnej chwili złożyłam na stole przed kompletem trzech panów w stroju pasterskim - uwierzytelnione tłumaczenie świadectwa genewskiego ginekologa. Może i to nie było potrzebne, ponieważ całość została już z góry omówiona i uzgodniona. Zaczęto od wywodów prawniczych, potem nastąpiła strona religijna. Zaklinano nas oboje w imię świętości małżeństwa chrześcijańskiego, abyśmy darowali sobie krzywdy i pogodzili się w Chrystusie, który darował winy nawet tym, co go ukrzyżowali. Przemówienie było bardzo piękne. Ogólne koszty rozwodowe wyniosły około dwudziestu tysięcy złotych.

Orzeczenie krótkie. Rozwód z winy męża. Powód: brutalne traktowanie połączone z ciężkimi urazami cielesnymi. W dodatku w ciągu trzech lat Rudolf Liteński nie uzyska nowego ślubu w kościele ewangelickim.

Uspokoiliam się. I przyrzekam sobie do tego wszystkiego już myślą nie wracać.

Leokadia spędza Boże Narodzenie ze mną w Warszawie. Gabrysia podobno rozchorowała się. Maksiu odwiedził mnie w poniedziałek wieczorem. Podobno starzy Orzechowscy wybierają się w święta na wieś do Liteńskich, a później mają pojechać wprost do Włoch. Kto wie, czy wrócą do Starej Wsi przed wiosną. To wszystko.

Warszawa - środa - 22 grudnia

Mała wypełnia sobą cały dom. Wszystko ją bawi, mimo że nie narzuca się i jest dla wszystkich grzeczna. Rozmowy ze stryjkiem Józefem. Jutro ma przyjechać ciotka Elfryda. Widocznie chcą dotrzymywać mi towarzystwa podczas tych moich pierwszych świąt u siebie.

Marta jest śmiała. Gdy posłyszała, że rozmawiam z profesorem Wydrą po niemiecku, od razu zapytała:

- A czy pan profesor umie po francusku?

Było sporo śmiechu, ale mała dość zręcznie wysławia się w tym języku. Naturalnie w bardzo skromnych granicach. Bogu dziękuję za to, że pani Woźnikowa poznała wówczas na wakacjach w Rabce panią Horodyńską. Dziecko bardzo wiele skorzystało w ostatnim roku.

Stryk Józef badawczo przyglądał się Marcie, a później, gdy zostaliśmy sami w pokoju, zapytał mnie krótko:

- No dobrze, Anno, a co obecnie zamierzasz uczynić dalej z tą...

- Jak tylko będzie można - odpowiedziałam - to zaadoptuję ją i wywiozę do Szwajcarii. Na razie powierzę ją Hornom, a później, gdy się oswoi z językami, umieszczę w internacie, również w Szwajcarii.

- Tak, to dobrze - powiedział stryj Józef i powstawszy z fotela, zbliżył się i pocałował mnie w czoło bardzo serdecznie. - Nie mówmy o reszcie, skoro ty nie chcesz mówić. Tak zresztą będzie lepiej dla tego naszego dziecka...

I na tym był koniec, ponieważ zjawił się Mokotów w komplecie, nawet z Zosią. Przynieśli mi kwiaty, życzenia, zaproszenia, serdeczności, jak zwykle.

Młody Orzechowski asystował przy pakowaniu rzeczy Rudolfa Liteńskiego. Z naszej strony była obecna jedynie Liza. W ciągu dwóch dni ciotka Leokadia zmieniła całkowicie umeblowanie pokoju z kominkiem. Nawet nie pytałam, co się stało ze starymi meblami. Tylko tyle, że zaprowadziła mnie do pokoju i powiedziała:

- Nie gniewaj się, ale urządziłam, jak mi dopisała fantazja. Po świętach zerwie się rude tapety. Stare były do niczego, nie w moim guście, a właśnie zamierzam umieścić się w tym pokoju.

Choinka stanie naturalnie w stołowym pokoju. Duża, pod sam sufit, tak zdecydowała Marta. Co do tego, że będzie bardzo strojna i bogata, nie mam żadnych wątpliwości. Chciałyśmy umieścić Martę we wspólnym pokoju z jej ciotką Horodyńską, ale bardzo prosiła i posłali jej u mnie na kanapce.

Czwartek - 23 grudnia

Ciotka Elfryda. Rozmawialiśmy w czwórkę. Stryjek postawił pytanie, co zamierzam robić z hipoteką, którą kupiłam. Obaj nasi radcowie są nieobecni, wracają dopiero po świętach. Ale nie czekając na nich, już sobie postanowiłam:

- Wystawię majątek na licytację, przedtem z intercyzą w ręce uzyskam sądowe zabezpieczenie na tym majątku mojego posagu, zarzucę nierzetelność w dokonaniu zapisów hipotecznych jako niezgodnych z intercyzą i przeznaczeniem dwustu tysięcy złotych wpłaconych przed ślubem - na wykupienie już istniejących hipotek - do „wiernych rąk” mojego przyszłego w tym czasie teścia, no i koniec.

- Tak - powiedział stryj - dobrze i ładnie. Ale ci panowie Liteńscy będą na tobie psy wieszać, ponieważ wyjdą w takim razie z majątku bez jednego grosza.

- Stryjku - odrzekłam - Hołobla jeździł i wypytywał się. Majątek wart jest najwyżej czterysta tysięcy, a przed moim numerem hipotecznym oni wymalowali dokładnie trzysta osiemdziesiąt siedem tysięcy. Ja mam ich żałować? A zresztą *noblesse oblige*, po kupnie na licytacji dam im roczny termin wykupu majątku za cenę tego, co włożę w ten interes.

Leokadia roześmiała się:

- Nie żałujmy, że Annie dali poprawkę przy ostatnim egzaminie prawniczym. Jak widzimy, doskonale obchodzi się bez naszych panów mecenasów. Ale wystarczyłoby naszkicować plan działania, a wykonanie oddać naszemu Mireskiemu, on już wszystkiego przypilnuje do ostatniego feniga. A później zapomnieć, Anno, zapomnieć, szkoda twojego zdrowia.

Koniec na dzisiaj. W mieszkaniu wszyscy latają zajęci tylko ubieraniem choinki.

Piątek - 24 grudnia

Piszę w biurze. Jaka miła niespodzianka! Kazia i Michał ze Lwowa. Nawet pani Baumanowa i nasza lwowska Anna. Oba piętra wypełnione po brzegi. Och, kochają mnie. Takich świąt nie miałam jeszcze nigdy w życiu! Nie wiem, kiedy wezmę ołówek do ręki.

Marta od razu zajęła się Anną. Ma zmysł do organizowania zabaw. Jest jednak w dalszym ciągu bardzo szczupła, wątła. Dopiero dzisiaj uświadomiłam sobie, że ona ma już dwanaście lat. Lata lecą, a ja zjawiałam się tak rzadko u dziecka. Później nawet zaniedbałam je. Kupiłam „Magdę” i - uważałam moją rolę za wypełnioną. Testament to był jedynie gest, nic więcej.

Co prawda dziewczynka miała panią Woźnikową, ale to był również jedynie wzór dobrej ciotki. Byle tylko dziecko miało wszystko, czego potrzeba. Ubranie, jedzenie, mieszkanie i troska, gdy chore.

A Marta to przecież nie jest już dziecko, które można zbyć łakociami. Za jakieś dwa lata wystrzeli w górę i zrobi się z niej podłotek. Obawiam się, że mi powie kiedyś: - Tęskniłam za tobą, ciotko Anno, gdy byłam mała, a ty do mnie wówczas przyjeżdżałaś tak rzadko. - Ja byłam prawie w jej wieku, gdy ojciec zawiózł mnie do Świetlików w Bydgoszczy i pozostawił samą. Byłam również wątła, szczupła i mocno zahukana. Tylko tyle, że Marta jest odważniejsza ode mnie. Nic dziwnego, to są skutki obracania się dziecka w pensjonatowym harmiderze. Nieustanne nowości, świat cały do podglądania, rzeczy złe i dobre. Różni ludzie przewijający się przez pensjonat. Może i źle zrobiłam, trzeba było raczej kupić mały domek i prowadzić zwykłe gospodarstwo. No, ale z drugiej strony właśnie perspektywa prowadzenia pensjonatu przeważyła u pani Woźnikowej. W dodatku nie można było inaczej. Mój problem „panny” w Warszawie i długa droga do zdobycia majątku. Pięć lat kręcenia się w tym mieście. Mój Boże, ileż zmian! Na zakończenie - fryzura źle podstrzyżonego pudła i kosmyk siwych włosów.

Dziecko. Może ono mi pomoże zacząć jakie inne życie. Tak mi właśnie powiedział dzisiaj profesor Wydra, gdy spotkaliśmy się na schodach.

- Bardzo miłe dziecko - dodał. - Jak to dobrze, że kiedyś nauczyłem się po francusku!

Roześmieliśmy się, a przyjaciel dokończył:

- No widzi pani, w Marcie się pani odrodzi. Dziecko zjawilo się w życiu pani w samą porę. Podchodzić do życia należy namiętnie, żarliwie, tylko stosunek człowieka do pieniędzy powinien być zimny, beznamiętny.

W tej chwili babcia Baumanowa adoruje dzieci. Michałowie w mieście, a Leokadia żyje ucztą wigilijną. To nie żarty, z Mokotowem zasiądzie nas do stołu szesnaście osób. W ubiegłym roku przeżyłam Boże Narodzenie na wsi u starego Liteńskiego, Było również kilkanaście osób, ale ludzie prawie nieznan. Tamten wiejski dwór mimo swej starości i fumów również był dla mnie obcy. Co prawda mój były teść otwarł wówczas ramiona i wyrzekł majestatycznie i z godnością aktora w roli starego pana:

- To jest twój dom, Anno. - Ale to były jedynie puste słowa, poza którymi nie kryło się nic.

Nie. Brakowało w tym wszystkim miejsca dla Marty. Liteńscy to niezbyt dobrzy kandydaci na powierników. Byłam co prawda żoną tylko jednego z nich, ale obaj mocno zaciążyli na mym życiu.

Późno w noc wigilijną

Niemal wszyscy wywędrowali na Pasterkę. W domu jedynie babcia Baumanowa, dzieci i ja. Wróciłam do mojego pokoju i długo wpatrywałam się w twarz śpiącej Marty. Rzeczywiście oczy naszego ojca, pierwsza to dostrzegła dzisiaj Leokadia. Ale nie wypowiedziała tego głośno. Przyłapałam ją jedynie na spojrzeniu, które przeniosła z dziewczynki na mnie.

Podarki nieważne. To tylko taki zwyczaj i nic więcej. Największą przyjemność zrobił mi pan Benedykt Szczytnicki. Przybył w momencie, gdy siadaliśmy do stołu. Leokadia, zdrajca, wiedziała o tym od dwóch dni i nic nie mówiła. To miała być niespodzianka dla mnie. Kwiaty i kwiaty!

Nie było co prawda hysterii z sianem, jak u panów Liteńskich, ale za to dużo serca, które przeoczyłam w tym czasie, gdy wychodziłam za mąż.

Właśnie dzisiaj podczas wieczoru wigilijnego Liza powiedziała mi, że ostatecznie zdecydowała się wyjść za Karola Petrasa. Romantyczna sprawa. Podobno miłość od pół roku, mimo że pracowali obok siebie kilka lat. Oboje są dziwnie rozjaśnieni. Nie wytrzymałam i

wszyscy im wieszowaliśmy. Trzeba będzie ich urządzić. Matka Lizy od długich lat związana z gdańskimi Gardenami, ona sama jest również dobrą dziewczyną. Serce i miłość. Gdzieś pośrodku przyjaźń. Ano, stało się. Przynajmniej tyle pociechy, że rozwód przybliżył mnie do mojej najmłodszej siostry. Drogiej dla mnie, bo skrzywdzonej.

Śpi. W pokoju ciepło, leży odkryta, oddycha trochę niespokojnie. Nic dziwnego, tyle wrażeń! Dla niej to nowy, jakby zaczarowany świat. Dobrze, że jest dzieckiem wesołym, z rozjaśnioną Iwarzą. Oby tylko nie spotkała w swoim życiu Rudolfów Liteńskich. Moja jednak w tym głowa i moja za to odpowiedzialność. Wychowam ją na silnego człowieka.

Słyszę, biją dzwony. Dźwięk przenika przez mury. Na tym .kończę, za dużo było wrażeń, nawet jak dla mnie.

Środa

Rano przyjechała pani Woźnikowa, wieczorem odjechała do Rabki pani Horodyńska. Poważne rozmowy. Obie panie były zaskoczone nowością w postaci adopcji. Słuchały, na początku milczały. Wyczułam jakieś nieme zapytania, ale powiedziałam im wszystko tak szczerze, jak tylko potrafiłam. Po śmierci naszego ojca byłam w niewesołym usposobieniu. Nie miałam orientacji, trzeba było wybrnąć z różnych interesów, spłacić rodzeństwo i uzyskać samodzielność. Określiłam to sobie wówczas słowem: dobrobyt. Panie słuchały i nic nie odpowiadały. Praktyczna kobieta z Pomorza i wykształcona kobieta z krakowskiej inteligencji. Obie po swojemu przywiązane do małej Marty. Po obiedzie ze względu na wyjazd pani Horodyńskiej śpiewaliśmy kolędy i wówczas pani Maria ujęła małą za ramiona i obracając ją twarzą w moją stronę, powiedziała serdecznie:

-- Widzisz, Marto, ciotki Annie zmarło własne dziecko i chce obecnie wziąć ciebie za córeczkę. Za prawdziwą córeczkę. Będziesz mieszkała razem z nią. Będziesz nazywała się tak, jak ona. I cóż ty na to?

Dziewczynka przytuliła się do swej ciotki, która ją tyle lat wychowywała, i szepnęła:

- A ciocia? Czy ciocia również przyjedzie na stałe do Warszawy?

Podeszłam do małej, która wyciągnęła do mnie rękę i starała się przyciągnąć mnie ku sobie, nie odsuwając się jednak od ciotki Woźnikowej.

- Widzisz, Marcu - powiedziała pani Horodyńska - my wszyscy chcemy, abyś chodziła do szkół w Szwajcarii. Zostaniesz umieszczona w internacie, tam będzie dużo dziewczynek, poznasz obce kraje, o których zawsze marzyłeś, ucząc się geografii. A na wakacje będziesz przyjeżdżać razem z ciotką Anną do nas, do Rabki. My będziemy cieszyć się z waszych przyjazdów, czasami również odwiedzimy cię w szwajcarskiej szkole. Będziemy dumne, gdy przywieziesz dobre świadectwo.

Jakże trudno zrozumieć małe dzieci. Marta łagodnie wysunęła się nam z rąk i podskoczyła do pani Horodyńskiej. Usiadła jej na kolanach i objęła za szyję, chowając swoją twarz. Rozpłakała się, wstydziła się jednak tego. Dopiero gdy mała Anna zjawiła się u kolan pani Horodyńskiej i zaczęła coś szczebiotać do Marty, ta zerknęła na nią raz i drugi, po czym zaczęła lewą ręką głaskać Annę po główce. Później z mokrą jeszcze od łez twarzą rzuciła kilka słów:

- A to wy chcecie wywieźć mnie tam do Szwajcarii, daleko, do takiej szkoły jak urszulanki w Krakowie, i zostawić samą? Ale do Basi Ułanowej rodzice jadą bardzo często, a ja mam zostać tam sama? To ja cieszyłam się na to, że zamieszkać z ciotką Anną, w Warszawie...

Pani Horodyńska tłumaczyła spokojnie dziewczynce, że na razie do szkoły daleko, że trzeba będzie się jeszcze dużo uczyć, że tam ani trochę nie mówią po polsku. Że zamieszka na razie w innym mieście, w Bazylei, gdzie ciocia Anna ma dom, u bardzo dobrych ludzi, i że zawsze ktoś z nas będzie z nią, albo ciocia Anna, albo któraś z nich.

Dziewczynka słuchała tego wszystkiego jakby w roztargnieniu. Biegała między nami trzema, wpatrywała się w nas i szczebiotała. Zamiast spoważnieć, stała się jeszcze bardziej dziecinna.

Mój Boże, przecież to dopiero przed dwoma tygodniami adwokat doręczył mi akt z konsystorza. Wyzwoliłam się z jednych więzów i zaraz szukam drugich. Ale te są inne. Z serca, a nie z wyrachowania czy namowy, jak to było z moim małżeństwem. Moi krewni? Zacznę od Michałów. Nigdy nie okazali mi tyle serca. Stryjostwo Józefowie z powagą, a również serdecznie. Leokadia z rozumem. Pochwaliła mój pomysł adopcji dziecka. Ale zaraz odwróciła ode mnie twarz. Rozumiem. Przypomniała sobie własne dziecko, które zmarło przed laty. Pan Szczytnicki pod choinką powiedział małej:

- Już o tobie dawno słyszałem, Marto, a ty dopiero dzisiaj zobaczyłaś swego dziadka. Wszystkiemu winna ciocia Anna, że nie przywiozła ciebie do mnie.

I Marta we wspianiałej ufności dziecka zaczęła mówić panu Szczytnickiemu: dziadziu.

Piątek - 31 grudnia - 1937

Jutro Nowy Rok. Na razie nie myślę o niczym. Rozkoszuję się nową dla mnie atmosferą rodzinną. Leokadia co prawda właśnie dzisiaj powiedziała:

- A co będzie, Anno, gdy zechcesz wyjść za mąż? Jesteś jeszcze bardzo młoda.

- Nic - odrzekłam. - Jeżeli kiedyś wyjdę za mąż, w niczym nie przeszkodzi mi Marta.

Przecież ten mój przyszły mąż nie będzie na pewno z rodziny Liteńskich.

Powiedziałam to poważnie, lecz bez złości, w sposób ciepły, miękki, co mi się dotychczas prawie nie zdarzało.

Dzisiaj urządzamy Sylwestra u nas w domu. Zaraz jednak po północy położymy się do łóżek. Nikomu z nas nie zachciewa się publicznych lokali. Wirewiczowie mają wpaść na krótko przed wyjazdem na dalsze zabawy.

Na razie interesy śpią. Na pierwszym piętrze usiądę dopiero po Trzech Królach. Stryjostwo mają wyjechać na cały tydzień do Wiednia, narady w sprawie Nowego Jorku. Do Gdańska przyjedzie Elfryda, odwiedzi mnie w Warszawie po powrocie ciotki do Gdańska. Podróże we wszystkich kierunkach. W końcu stycznia oczekujemy w Warszawie Marcina, może z Florencją. Będę miała wiele urozmaicenia. W niedzielę pani Woźnikowa wraca do Rabki, mała zostaje ze mną. Uradziłyśmy, że w połowie stycznia sprowadzi się do Warszawy drugiego opiekuna Marty, z Grudziądza. Stary emeryt pocztowy, wdowiec, bezdzietny. Poznałam go kiedyś w Grudziądzu. Michałowie wracają do Lwowa dopiero po Trzech Królach. Mała Anna bynajmniej nie tęskni za Lwowem, naznosi jej moc zabawek. Państwo Orzechowscy wyjeżdżają w najbliższy wtorek do Włoch, był telefon od Leokadii z Górek, do niej znów dzwonił Maksiu. Maksiu jest pełen optymizmu, mówił, że czas wszystko uleczy i wyrówna, a jego teściowie, gdy ochłoną, sami przyjdą do przekonania, że nie mogło być inaczej. Oni spędzili święta u Cieleskich. Marysia znów jest przy nadziei. Zarzuci świat Cieleskimi, podobnie jak Pelasia Tuchołkami. Oni jedni są dobrzy i przyzwoici. W okresie życzeń świątecznych napisali mi serdeczny list dodając, że cieszą się, iż to zakończyło się w ten sposób. Prawda, że Kubuś nigdy mi nie doradzał tego małżeństwa, co jednak składałam na konto jego awersji do wojska i zawodowych oficerów. Ale w tym wypadku nie chodziło tylko o wojsko, a o karty pana Liteńskiego. Kubuś gra jakby od niechcenia, a gdy się zmęczy, to kładzie karty na stole i mówi w sposób rozbijający: - Zmęczyłem się, proszę państwa, może innym razem. - Zresztą nikt nie chce z nim grywać, ponieważ gra jedynie z wymuszonej grzeczności.

Nowy Rok - 1938

Co ten nowy rok przyniesie? Czy wreszcie odczepię się od Warszawy i od tutejszych interesów? Ale niedawno przyrzekłam Marcinowi, że jeszcze jeden rok. Trzeba dotrzymać.

Dziwne, że nie przeleje na kogoś innego tych różnych swoich interesów. Być może są zbyt skomplikowane. Lub raczej - dyskrecjonalne.

Wczoraj było bardzo miło. Pani Woźnikowa wyjeżdża jutro, ale bardzo wczesnym pociągiem. Chce zanoć w Krakowie, nie dopytywałam się dlaczego. Mała spokojnie przyjęła wiadomość o jej wyjeździe. Oswaja się. Z Leokadią wielka przyjaźń. Nowa ciocia. Czuje się śmiało w naszej rodzinie. Nie stawia pytań, dlaczego poznaje wszystkich tak późno. Jak dziecko. Cieszy się faktami i nie analizuje szczegółów.

Niedziela - 2 stycznia - 1938

Bez zdenerwowania tym razem. Telefon z Londynu, czy nie mogłabym przybyć do Paryża przed dziesiątym stycznia. Jutro mają podać mi dokładną datę, obecnie tylko uprzedzenie. Podobno ważna sprawa. Rozumiem. Mniej więcej w końcu przyszłego miesiąca kończą się nasze ostatnie zamówienia, pewno chcą ustalić jakiś dalszy ciąg. Ano, pan każe, sługa musi. Nie można narzekać. Trzeba będzie dokończyć tych interesów. Marcin zdaje się ma zamiar wycofania się z nich, mogą liczyć tylko na Władka, oni rozmyślają obecnie nad budową drugiego luksusowego domu. On co prawda przebąkuje o kupnie majątku ziemskiego, ale Wirewiczowa trzyma się spokojnego dochodu z domów. - Grad nie wybije i oziminy nie wymarzną - mówi. Podobno to jest pewniejsze, ponieważ niewygodnych lokatorów zawsze można się pozbyć, a z urodzajami znacznie gorzej.

Mała jest zaniepokojona tym, że przestanie na razie uczęszczać do szkoły. W głowie jej się nie mieści, że można przerwać naukę w ciągu roku szkolnego. Ale poza tym jest w dobrym humorze, dopisuje jej apetyt ku wielkiej radości naszej Helenki. Dzisiaj byliśmy wszyscy na obiedzie u mokotowskich przyjaciół.

Poniedziałek - 3 stycznia

Od rana wujek Kowalski z Wąbrzeźna. Święta spędził u Strękocińskich w Grudziądzu. Ano, chrzestny ojciec, nic dziwnego. Wieczorem jadę do Paryża.

Dzisiaj rozmawiałam z Mireskim o moich wiejskich hipotekach. Długo rozważał, a później wybuchnął:

- Jeżeli dobrze się do tego zabierzemy, możemy uratować te dwieście tysięcy w całości.
- Głupiec, powiedział te słowa z taką namiętnością czy afektacją, jak by mu na tym osobiście zależało. Ale oni oboje z Lucynką pchają się gwałtem do naszego domu. Również i z Liteńskimi byli dobrze. Oportuniści. Mizres załatwiał im w Warszawie różne sprawy. Obecnie zmienili front, gdy widzą nową sytuację. Pewno wyobrażają sobie, że to przybliży ich do moich lakierów?

Dobrze, że jadę. Zobaczą może któreś z dzieci Patrycji. Już dawno ich nie widziałam. Moja mała trochę pobekiwała, że wyjeżdżam, razem z nią rozplakała się mała Anna, ale w końcu obie się uspokoiły.

Jadę bez entuzjazmu, ale trzeba. Ostatnio napłynęło sporo pieniędzy na konto w Londynie.

Środa - 5 stycznia

Marta uparła się i postawiła na swoim. Odprowadziła mnie do pociągu i kazała sobie powiedzieć, kiedy będę na miejscu w „tym Paryżu”. Później pomnożyła paryskie godziny jazdy przez kilometry z Rabki do Krakowa...

Dojeżdżamy do Paryża. Jakieś dalekie przedmieścia. Jedziemy bardzo wolno. Ludzie w domach, które mijamy, właśnie się budzą. Wspominam mój pierwszy przyjazd. Ale wówczas było lato. A obecnie nasz pociąg płynie w jakichś rannych ciemnościach.

Wieczorem. Zastałam wszystkich. Byli uprzedzeni telegramem. Serge zdaje w tym roku maturę. Ksenia wystrzeliła w górę. Ciekawe, chłopak wszystko wziął z matki, w dziewczynce

widzę bardzo wiele z Marcina. To przecież jest moje rodzeństwo, w równym stopniu jak Heinrich, Maksiu i Herta. Ślub jest rzeczą mało ważną, związki krwi są silniejsze od kościołów i konsystorzów. Kilka lat nie widziałam tych dzieci. Ale oboje pamiętają mnie dobrze. Chłopiec jest mocno wysportowany, nic dziwnego, angielskie wychowanie. Ksenia nie straciła nic ze swojej miękkości.

Czwartek - 6 stycznia

Bardzo krótko. Można by na ten temat napisać nowelkę. Dwa spotkania. Podczas pierwszego interesy zostały zakończone wręczeniem mi nowego pudełka z biżuterią. Opowiadania. Mój współnik zakochał się w młodej panienczce i ożenił się. Pod wpływem nowej żony wycofuje się całkowicie z interesów. Za kilka dni opuszczają oboje Paryż i udają się na dwa miesiące do Włoch, następnie prościutko do Ameryki. Majątek ziemski w Kalifornii, raczej dla przyjemności.

Podczas drugiego spotkania, już wieczorem, było przedstawienie mi żony, wspólny obiad, nowe opowiadania z pominięciem interesów i jakieś przyzwoite zamknięcie całości. Jutro w południe spodziewany jest przyjazd z Londynu młodego Emila Drugiego. Już wiem o nim wszystko. Cambridge, dwuletnia praktyka w fabrykach i również dwuletnia w londyńskim banku Midlanda, w tym samym zresztą, w którym posiadamy nasze konta bankowe. Od roku młody gentleman krąży tropami interesów ojca pod wszystkimi szerokościami geograficznymi. Już jest ożeniony w arystokratycznej rodzinie angielskiej i mimo swego amerykańskiego obywatelstwa mocno ustosunkowany w Anglii. Ma przejąć europejskie interesy po ojcu. Reszta jest zrozumiała, moja z nim znajomość była konieczna w tym wypadku.

Pudełeczko, jak wiele innych. Tym razem komplet. Kolczyki, pierścionek, wisiołek na szyję, agrafka i bransoletka, wszystko z koszyczkami brylantowymi, po osiem sztuk w każdym koszyczku, w środku prawdziwe rubiny szlifowane na okrągło. Wyglądają jak krople mocno czerwonej krwi, ale w świetle elektrycznym mocno są ścieniowane przez brylanciki. Wspaniały prezent, wart kilkakrotnie więcej od wszystkich moich brylantów. Ale to jest równocześnie jakby pożegnanie.

Ciekawe, ciekawe. Przynajmniej pięćdziesiąt lat różnicy wieku. Angielka, w typie delikatnym. To przecież wielka odwaga u młodej kobiety - połączyć się z tak wyschniętym gentlemanem. Obecnie „K” wygląda jak stary pomarszczony żółw, mimo wszystkich wysiłków fryzjerskich. Chyba zagadnienie wielkiego majątku. Czy miłość może przydarzyć się w tym wieku - i jak wygląda?

Piątek - 7 stycznia

Dzieci Patrycji zrobiły mi rano niespodziankę. Połączyły się z Warszawą i poprosiły Martę. Kulawa była to rozmowa, ale po drugiej stronie obok Marty stała Leokadia i jakoś poszło. Dzieci namawiały i zapraszały małą do Paryża. Doradzały jej samolot. Marta upierała się przy kolei. Powiedziały jej, że ciocia Anna jest niedobra, ponieważ zostawiła ją samą w domu.

Trzeba było powiedzieć Kseni i Serge'owi, że Marcie zmarli rodzice i ja zostałam jej matką, ponieważ nie miałam własnych dzieci.

Jutro rano samolotem do Genewy, Marcin będzie oczekiwał mnie na lotnisku. Wieczorem sleeping, na Zurych normalną drogą, w niedzielę rano w Wiedniu.

Środa - 12 stycznia

Pierwsze wymówki małej: - Miałaś wrócić za pięć dni. - Wyliczyła mi wszystkie. Nie przejechała jej nawet liczne upominki. Dlaczego i dlaczego. A mnie od razu pochłonęło biuro

i Marcinowe polecenia. Ledwo dali mi zjeść śniadanie i przebrać się. Konferencje, ponieważ wróciłam równocześnie ze stryjkiem Józefem.

Czwartek - 13 stycznia

W niedzielę rano zjeżdżają się u mnie: pani Woźnikowa z Rabki i pan Józef Karolczak z Grudziądza, ów drugi opiekun Marty. Dzisiaj wysłaliśmy samochodem w stronę Krakowa naszego administratora, do którego z własnej inicjatywy przyłączył się dr Mireski. Prosiłam, aby na razie dokonali tylko wywiadu i nie poczynali sprawy zbyt ostro. Na wszelki jednak wypadek zabrali z sobą wezwanie do natychmiastowego spłacenia stu dwudziestu tysięcy z procentami.

W drzewie sporo pracy. Firma nabrała impetu. W sobotę u mnie dwa przyjęcia, na dole jak zwykle u profesora bez pań, na górze taki sobie pierwszy brydż po moim powrocie do zdrowia, jak to się nazywa w oficjalnej wersji. Prosił o to Mokotów, całe szczęście, że nie będzie zbyt rojno. W sumie osiem obcych osób, z których trzech nie znam, ale zjawia się w towarzystwie Wirewiczów. Naturalnie generał Kasprzycki, nie bardzo mi się widzi, ale jest potrzebny do naszych konstelacji w interesach. Wirewicz po moim powrocie z miejsca ruszył do galopu. Oni mają na widoku jakieś place na bliskim Mokotowie, w tym leży cały doping. Oprócz drugiego domu na Narbutta chcą postawić jeszcze w tym roku willę na Saskiej Kępie, tę ostatnią na nazwisko Zosi, oj, te interesy, czy nie szkoda na nie życia? Ale trudno, to ich emocjonuje, a dla mnie płyną pieniądze.

Piątek - 14 stycznia

Trochę o Wiedniu. Matylda powiedziała mi całkiem otwarcie, że im pali się ziemia pod nogami. Nie ma już mowy o przerzuceniu za granicę dalszych wartości majątkowych. Gdyby o nią chodziło, sprzedawałyby domy za byle co, ale porcelanowy ojciec nie chce o tym słyszeć. Wierzy w dalszym ciągu w potęgę amerykańską i nie wyobraża sobie, aby Hitler mógł zająć Austrię. Masz profesor Wydra mówi natomiast coś wprost przeciwnego.

Promocja Anny ostatniego stycznia. Uzgodniliśmy, że nie pojedę. Będą obaj stryjkowie, ciotka Elfryda oraz być może Florencja. Naturalnie wszyscy z Hermsdorfu i stary von Goltorpp, który zawsze wyróżniał Annę.

O reszcie wiedeńskich wiadomości nie warto pisać. Obrzydzenie. Pani Orzechowska tak wysoko podnosi głowę do góry, a ta cała reklamowana przez nią rodzina od strony Podjaskich *et caetera* to nie za bardzo. Chociaż co temu była winna matka starego Liteńskiego, która siedziała na wsi, że synal całe swoje życie kręcił się po wiedeńskim bruku? Swoją drogą facet trzyma się krzepko, w Wiedniu mówili mi, że ma już prawie osiemdziesiątkę. Opowiadał o nim wujek Matyldy, ów pułkownik od hoteli. Podobno młody utracjusz Franciszek Józef Liteński, znany hulaka, karciarz i koniarz, ożenił się ku zdziwieniu wszystkich ówczesnych znajomych - z aktoreczką, śpiewaczką... jak się to podówczas nazywało. Osoba ta była bez majątku, co nie przeszkodziło, że w dwa lata później, po urodzeniu się córki, od razu wyskoczył mająteczek ziemski w Tyrolu oraz kamienica w Salzburgu. Ta ostatnia po urodzeniu się córki została zapisana wprost na jej imię. Na początku tylko przebąkiwano o jakimś bogatym protektorze dawnej artystki, pochodzącym rzekomo z wysokich sfer dworskich, później wymieniano już otwarcie jego nazwisko jako przyjaciela pani Liteńskiej. Po kilku latach sprawa się utarła, wiedeńscy plotkarze znaleźli sobie następną ofiarę. Aktorka wcale nie była wówczas taka znów młoda, „dobrze wyranżerowana”, sporo starsza od smarkacza Liteńskiego. Ów tyrolski mająteczek został w krótkim czasie schrupany i później Liteński już tylko klapertował się koło swego krewnego Chłędowskiego, owego ministra i historyka sztuki w jednej osobie. Sprawiał wszystkim wiele kłopotu, zwłaszcza gdy ustalili się w charakterze radcy ministerialnego. Był nienasycony w braniu łapówek, co nie leżało w guście wiedeńskim. Później dopiero zjawił się syn Rudolf, którego datę urodzenia znam aż

nadto dokładnie: 2 lutego 1894. Córka Elżbieta wychowywała się w klasztorach i u rodziny, ale jakoś uchowali jej ową kamienicę w Salzburgu - do dnia ślubu, a później już sama zdołała ustrzec się przed Liteńskim. Mąż jej, von Kreckwitz - taki sobie nieodrodny Austriak czy wiedeńczyk, miłośnik kasyna i koni, tyle że z grubszym majątkiem. Mam wrażenie, że siostra Rudolfa jest w pełni uświadomiona co do swego pochodzenia, ponieważ jej stosunek do starego Liteńskiego jest bardzo chłodny. Zresztą sam Liteński zachowuje się u niej z powściągliwością, sama to obserwowałam, gdy w zeszłym roku na wiosnę w przejeździe ze Szwajcarii spotkałam się u niej z moim byłym teściem.

Tak - tak - tak. Szkoda, że tego nie wiedziałam przed ślubem. W każdym razie rodzina Orzechowskich musiała wiedzieć wszystko o tych młodzieńczych eskapadach krewnego. Trudno jednak mieć o to pretensję do pana Szczytnickiego. Chociaż... Ale on początkowo odradzał mi to małżeństwo i popierał sprawę swego sąsiada Karśnickiego. Dopiero później uwierzył w możliwość poprawy Rudolfa, ponadto wszystkiemu patronowała „ciocia” Orzechowska ze Starej Wsi. Co prawda były to historie sprzed pięćdziesięciu lat, ale w każdym razie gdybym to była wiedziała, nigdy by mi w głowie nie powstała myśl o małżeństwie z „rodziną Liteńskich”, Brrr!

Co do pani von Kreckwitz, to obie gościny u niej były nacechowane chłodną rezerwą. Sama zaś kamienica w Salzburgu to stara buda, arka Noego wypakowana od piwnic do strychów lokatorami. Plugawe podwórko z rachitycznymi drzewkami i trzepaniem dywanów, o co akurat podczas drugiego mojego pobytu awanturowała się osobiście moja - jak by nie było - szwagierka. Na szczęście obecnie już tylko... była.

Sobota - 15 stycznia

Dzisiaj po południu zjawił się u mnie - kto by się tego spodziewał? - pan Faustyn Kruczek. Średnio ubrany, ale jakoś spoważniały, prawie dobrze ułożony. Podobno wrócił z Francji przed kilku miesiącami, pracuje, ma posadę w jakiejś spółdzielni mieszkaniowej na Żoliborzu. Koresponduje z Marcinem, dziwne, nic mi o tym nie wspomniano w Montreux. Rozmowa nie rozkręciła się zbyt. Herbata, krótka zresztą, ponieważ zjawił się Mr David i zeszytnieliśmy wszyscy. Przeszliśmy na francuski, ale wiadomo, że nasz londyński kuzyn uznaje jedynie angielszczyznę. Poza tym pan Kruczek nie całkiem doszlifował się w tej swojej zagranicy, ponieważ wypytywał mnie o moje małżeństwo. Nie wiedział widocznie o rozwodzie, bo gdy mu o tym powiedziałam, otworzył usta jak ryba. Być może chciał pytać o powody, ale jakoś szczęśliwie powstrzymał się w porę. Z grzeczności, lecz bez wielkiego przekonania wspomniałam przy pożegnaniu, że gdyby kiedyś przechodził w pobliżu, to proszę... Ale w mojej propozycji nie było nuty szczerości. Gdy Kruczek wyszedł, policzyłam lata, dziesięć lat od opuszczenia Bydgoszczy. W tym roku u mnie już trzydziestka.

Marta cieszy się na przyjazd ciotki Woźnikowej oraz wujka Karolczaka. Po pomorsku w tym wypadku nazwisko, a nie imię. W dalszym ciągu sypia w moim pokoju, tyle że wstawiono dla niej amerykański fotel do rozkładania. Małą bawi rozkładanie fotela na noc. Mówi, że bałaby się spać sama w pustym pokoju. Ma szczęście. Codziennie przynajmniej godzinę spędza u profesora na pierwszym piętrze, uczą się wzajemnie języków i przyjaźń murowana, mimo że mu przeszkadza. Profesor namawia mnie, abym zostawiła dziecko w Warszawie przynajmniej do wakacji. Radzi wziąć do domu nauczycielkę, Francuzkę bez polskiego języka. Ale chyba nie, lepiej od razu dać ją w obce środowisko. W dodatku Hornowie i życie prawie na wsi, mimo urzędowej Bazylei.

Co też porabia ciotka Katarzyna i Mela? Gdy wyszłam za męża, w pierwszych miesiącach kolejno zjawiali się u mnie wszyscy. A gdy byłam w ciąży, zjawiła się też ciotka Katarzyna. Dawała rady, jako prezent wręczyła mi broszurkę na temat, jak powinna zachowywać się „młoda matka”. Uśmieiałam się wówczas. Poza tym ciotka Katarzyna oglądała wszystkie kąty, wszystkiemu się dziwiła, najwięcej obrazom, portretom i meblom.

Powiedziała mi w oczy, że to wszystko jest niepraktyczne, że szkoda było na to pieniędzy, a mieszkanie jest dla mnie zbyt wielkie. Wyrzucała mi, że niepotrzebnie wycofałam się z bławatów, ponieważ Kowalski robi tam „kokosy”, które mogły być mnie przypaść w udziale. Z ciotką Katarzyną było naturalnie po dawnemu, to znaczy po niemiecku. Przyjechały obie z Melą. Ta ostatnia powiedziała mi na osobności:

- Nie dziw się, nasza matka ma już 67 lat i w dalszym ciągu jest nieznośna. Widać z tego, że ludzie nie zmieniają się.

Niedziela - 16 stycznia

Razem z panem Karolczakiem zjawił się w Warszawie nasz stary grudziądzki notariusz. Na całe dwa dni. Bardzo się ucieszyłam z tej gościny. Mówiłam pani Woźnikowej, aby pisząc do Grudziądza skierowała pana Karolczaka o poradę w sprawie potrzebnych dokumentów do naszego starego przyjaciela, i oto on sam przyjechał. Bardzo miło. Co prawda cała rzecz już została przygotowana przez naszych prawników i wystarczy jedynie samo złożenie podpisów, ale w każdym razie przyjemnie będzie, gdy to przejrzy przyjaciel całej naszej rodziny. Ucałował mnie na powitanie jak rodzoną córkę. Nic dziwnego, zna mnie od urodzenia, bodaj że był nawet u nas na chrzcinach.

Poniedziałek - 17 stycznia

Trzy podpisy wystarczyły, aby na świecie pojawiła się dwunastoletnia Marta Jambor, adoptowana córka Anny Jambor. Gdy już wszystko było załatwione, nasz stary przyjaciel wyciągnął z teczki notarialną kopię mojego testamentu, oryginał bowiem spoczywa w depozycie sądowym, złamał pieczęcie i powiedział po prostu:

- Oto jest, moi państwo, testament pani Anny Jambor, dokładnie z datą 18 kwietnia roku 1934. Z wyjątkiem drobiazgów dla rodzeństwa - ostrożność stosowana ze względów prawnych - pani Anna już wówczas zapisała cały swój majątek obecnie adoptowanej córce, Marcie Jambor.

No i cóż! Oboje dotychczasowi opiekunowie rozplakali się. Scena powieściowa. Ale i samo życie nieraz dorównuje powieściom. W obecnej postaci prawnej testament z roku 1934 nie jest potrzebny, prosiłam jednak naszego przyjaciela o pozostawienie w dalszym ciągu oryginału w depozycie sądowym. Niech sobie leży.

Po powrocie do mieszkania moja córka prócz łez wzruszenia ofiarowała różne upominki pamiątkowe. Ciocia Maria, jak ją obecnie nazywa, otrzymała złoty zegarek z bransoletką na rękę, ponieważ o takim podobno marzyła, a pan Karolczak również złoty zegarek, ale z łańcuszkiem, ciężki, w guście staroświeckim, z dedykacją wyrytą na wewnętrznej kopercie: „Od wdzięcznej Marty Jambor”, z dzisiejszą datą.

Już temu dziecku nikt nie odbierze matki. Pierwsza umarła ze zmartwienia, mnie zatem przypadła rola oszczędzenia dziecku łez. Chyba podołam, ponieważ zrozumiałam, że w naszym życiu nie o wszystkim stanowią pieniądze. Pomagają, lecz życia nie wypełniają. Nie są wszystkim.

Odbyło się również małe przyjęcie. Na pierwszym miejscu siedziała moja Marta. Z powagą, lecz równocześnie z dziecinnie rozjaśnionymi oczami. Poczciwe niebieskie oczy, tak częste w naszej rodzinie, ładniejsze nawet od moich, które mają raczej stalowe przebliski. Radośnie było w domu. Leokadia i stryj Józef ofiarowali dziecku prezenty, jak w dniu imieninowym. Sprowadzili do domu moc kwiatów, te ostatnie dla zrobienia mi przyjemności.

Jutro zajdziemy do fotografa. Opiekunowie pragną mieć fotografie. Jedna z nich pozbawiła mnie męża, lecz rzuciła mi w ramiona wątle dziecko. Dziewczynkę. Moją rodzoną siostrę.

Wtorek - 18 stycznia

Gdy po południu odwiedziłam w jakiejś drobnej sprawie naszego profesora, ten powstał z fotela, podszedł do mnie i wyciągnął obie ręce ze wzruszeniem:

- Myślałem nad tym wszystkim, Anno - powiedział - i domyśliłem się, że ta mała dziewczynka jest córką waszego ojca, który nie miał odwagi poślubić jej matki. Postąpiła pani szlachetnie. Było to jedyne wyjście. Teraz dopiero rozumiem, dlaczego pani pragnie wywieźć stąd Martę. Hornowie, w istocie to będzie na początek właściwa atmosfera dla małej. Szwajcaria - kraj ludzi wolnych. Niech pani również stąd ucieka. To warszawskie państwko nie ma najmniejszego sensu.

Pani Woźnikowa zostaje u nas w gościnie do końca tygodnia, później wraca do Rabki i zabiera z sobą pana Karolczaka. Namawia krewnego, by przeniósł się na stałe do nich, do Rabki. Obie panie już uradziły, że na początek do Eichelbachu pojedzie z nami pani Horodyńska. Później nastąpi zmiana.

Czwartek - 20 stycznia

Obaj moi pełnomocnicy znów wyjechali w podjaskie góry. Nie bardzo to na rękę mojej Lizie w charakterze narzeczonej, ale trudno.

Otóż dwa etapy. Z pierwszej podróży przywieźli mi pana Henryka Wajnsztoka z Rymanowa, łącznie z zaprotestowanym wekslem na dziesięć tysięcy złotych. Weksel z podpisem Franciszka Józefa Liteńskiego, jako żyranci Rudolf i Anna Liteńscy! Trzy podpisy. Było to dokładnie w dniu opuszczenia przeze mnie lecznicy, ucieczki z ulicy Hortensji i ukrycia się w willi na Mokotowie. Zapłaciłam dziesięć tysięcy ze wszystkimi kosztami i schowałam do żelaznej kasy w ścianie „mój” cenny podpis na wekslu panów Liteńskich. Pan Henryk Wajnsztok był zdziwiony tak gładką zapłatą i wyszedł ode mnie bardzo rozjaśniony. Oświadczył, że nigdy nie wątpił w pana „hrabiego Liteńskiego”, z którym... handlował jeszcze ich ojciec w czasach austriackich. Napomknął, że to jest ostatni weksel, ponieważ poprzedni na trzydzieści tysięcy - został prawie w terminie splecony i wówczas wystawiono jedynie weksel na końcówkę, to znaczy na dzisiejsze dziesięć tysięcy złotych.

Doskonale rozumiem, zastaw z biżuterii nie wystarczał, a nie ośmielili się tak od razu jej sprzedać. Woleli zastawić, a na resztę wystawić ów weksel.

Drugi etap - było to pełnomocnictwo do działania wystawione na nazwisko dr Mireskiego. Z notarialną kopią mojej intercyzy w ręce postawi on zarzut dokonania przez starego Liteńskiego nierzetelnych zapisów hipotecznych i uzyska tymczasowe zabezpieczenie mojego posagu w postaci umieszczenia odpowiedniego zastrzeżenia w hipotece. Uniemożliwi to Liteńskim dokonanie jakiejś podstępnej sprzedaży majątku. Równocześnie nastąpi wezwanie do natychmiastowej spłaty wypowiedzianej hipoteki stu dwudziestu tysięcy z drugiego numeru po panu Pomerskim. Tymczasowe zabezpieczenie odsetek od tych stu dwudziestu tysięcy za rok 1937 położą na domowych ruchomościach w starym dworze. Po dokonaniu tego wszystkiego nastąpi uwiadomienie przez trzecie osoby braci Wajnsztoków w Rymanowie. Naturalnie od razu będą się domagać spłacenia otwartej w tej chwili ich hipoteki. *C'est tout*. Na razie wystarczy!

Piątek - 21 stycznia

List z Montreux. Zlecenia. Leokadii przyszło do głowy pojechać do Wiednia na promocję Anny. Chce się widocznie przewietrzyć. Pewnie pojedą we dwie z Wirewiczową. I tak już obecnie umawiają się do Krynicy, ale dopiero na marzec, gdy ja wrócę z Eichelbachu. Stryj Józef wyjechał za Wilno, ten się najeździł Lucynka Mireska wysiaduje obecnie codziennie, nic dziwnego, pilnuje „swego” interesu z lakierami. A może i lepiej będzie pozbyć się tego detalicznego kramu? W tym roku i tak kończy się moja umowa z „Czterema Kamieniami”. Uzgodniłyśmy ostatnio w Paryżu, że w wypadku sprzedaży przeze mnie

Nowego Świata historii z paryskimi procentami nie będą kontynuowane w odniesieniu do pani Mireskiej. Może i sprzedam.

Na sobotnim przyjęciu u mnie wzbudziłam sensację nowym garniturem z rubinami. Doskonale jako całość do jednej z moich genewskich toalet. Zdziwienie. Zrobiłam nawet pewne wrażenie na Kasprzyckim, który powiedział mi później przy swobodnym brydżu:

- Wie pani, nigdy nie miałem przekonania do Liteńskiego. Zrobiliśmy go podpułkownikiem, ponieważ Władek przy tym obstawał, no i w dodatku... - w tej chwili starał się być szarmancki i miły - to byłoby jakoś niezbyt - małżeństwo tylko z majorem. Ale pani zapewne nie wie. Pan Liteński wystąpił z wojska i obecnie proteguje go Dziadosz, jego przyjaciel. Zrobił go na poczekaniu starostą u siebie, tylko nie spamiętałem, czy w Pińczowie, czy w Opatowcu. Nie przypominam sobie dokładnie, mówił mi o tym dr Duch z Krakowa.

Później Kasprzycki roześmiał się i dokończył: - No, te nasze kochane starostwa to ucieczka, ostatnia ucieczka. Doskonale pani zrobiła, pani Anno, trzeba było się mnie przedtem poradzić. On już w Legionach robił nam niemądre kawały.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi. Na szczęście grał z nami Wirewicz i ten jakoś szybko odwrócił rozmowę na inne tematy. Było mi nieprzyjemnie, ale dzięki Władowi zakończyło się dość zreźnie.

W ten sposób dowiedziałam się na raz dwóch nowin. Pierwszą znał Władek, choć nic nie mówił, ale druga była rewelacją dla nas wszystkich. Major Dziadosz, kielecki wojewoda, dobrze nam znany! Gościliśmy go kilkakrotnie w dębickim dworcu, raz nawet w Warszawie, musiałam uśmiechać się do wykrygowanej małpy, ponieważ był przyjacielem Rudolfa. Ano - dobrali się, pan wojewoda i pan starosta. Po jednych pieniądzech, jak się to mówi.

Sobota - 22 stycznia

Tak mało piszę o Marcie. Cztery godziny dziennie z rodowitą Francuzką. Cały dom papele tylko po francusku. Małą to bawi, ale równocześnie bierze to poważnie. Łaknie wiedzy, chłonie ją. Wszyscy przeszliśmy na język francuski, wyjątek Helenka, ale do niej mała prawie nigdy nie zagląda. Ma dobrą pamięć. W przyszłym tygodniu wystawią mi nowy paszport zagraniczny i wpiszę do niego od razu Martę jako córkę. Dobrze, że żyjemy w XX wieku, dzisiaj już nikt nie ośmieli się wspomnieć o panińskim dziecku, ponieważ mniej więcej tak to wygląda. Upłynie trochę czasu i wszystko się zatrze. Nieważne. Bazyleja ma dobry klimat, a nasze dęby zasłonią małą od północnych wiatrów. Pomyślałam w tej chwili o tym, jak powitają moje dziecko krewni w „Acacii”.

Niedziela - 23 stycznia

Na obiedzie Maksowie, czuję doskonale, że to jedynie dla Leokadii. Gabrysia w dalszym ciągu bardzo miła, lecz wychłodniała w stosunku do mnie. Naturalnie to moja wina, że nie umiałam wychować czterdziestodwuletniego Rudolfa na męża. Dobrzy sobie, a Maksiu dyplomata. Trochę on inaczej mówi, gdy jesteśmy sami, a inaczej w obecności Gabrysi. Młodzi Orzechowscy nie przyszli mimo zaprosin, podobno dzieci chore. Wymówka. Jutro Maksiu jedź do Tuchołków, skąd znów nadchodzą rozpaczliwe SOS. Gabrysia zostaje cały tydzień w Warszawie, ale zamieszkuje u brata, zrozumiałe. Jakieś naświetlania.

Według Orzechowskich widocznie ja powinnam była całować ręce Rudolfa i wszystko gryźć w sobie. Dotychczas nie pokazałam nikomu sfabrykowanego podpisu. Ciekawa jestem, który z nich? I tak się nie przyznają, ale faktu nie mogą zaprzeczyć. To przecież kryminał.

W ostatnich dniach ubiegłego tygodnia nadeszła pocztówka z obrazkiem „Queen Mary”. Podpisana jedynie inicjałami: E. i L. Widocznie zmienili projekty w ostatniej chwili i pojechali wprost do Ameryki. Emil i Lilian, łatwo się domyślić. Pozdrowienia z drogi.

Poniedziałek - 24 stycznia

Wczoraj po południu byliśmy na Shirleyce. Marta tak zadysponowała. Powoli jakoś godzi się z tym, że wkrótce znajdzie się w obcych warunkach. Nasze panie rozmawiają jedynie o wiedeńskiej podróży. Nie mam z nich pociechy. Psują mi małą, ponieważ zabierają ją na ciastka do cukierni.

Środa - 26 stycznia

Nowość w postaci dwóch bliźniaczek w Sao Paulo. Głupstwo. Noworodków się nie fotografuje. To podobne jedynie do naszego Krystyna i do owej Estrelli. W dodatku nadesłali kilka fotografii, a zapomnieli dopisać imiona dziewczynek. W każdym razie pozycja naszego brata w amerykańskiej rodzinie została wzmocniona przez urodzenie się dzieci. Chociaż kto wie, jakie panują tam obyczaje?

Jutro wyruszają nasze panie. Stryj Józef jedzie samochodem na jeden dzień do Gdańska, stamtąd dopiero do Wiednia. Prosiłam, aby nakładły w głowę Matyldzie o konieczności szybkiej likwidacji Wiednia. To samo mówi nasz profesor. Codziennie przysyła mi karteczki. Podobno są to gorące dni w historii powszechnej. Co do mnie, wołałabym trochę spokojniejsze, ot taką na przykład sytą epokę wiktoriańską. A na świecie jest niewesoło, Władek ma obecnie trudności z wykonaniem zamówień. Ktoś wyraźnie przeszkadza „tutaj na miejscu w Warszawie. Konkurencja. W dodatku wysoka polityka miesza się obecnie do kierunków wysyłkowych. Wirewicz mówi, że trzeba będzie dobrze łamać sobie głowę i ruszyć silniej z prezentami.

Wczoraj spotkałyśmy w „Europie” Józefa Nieprzedajnego z Lublina. Naturalnie dali mu do ręki parasol emeryta. Na pociechę wpakowali go do kilku rad nadzorczych, między innymi do „Pocisku”. Taki sobie, bardzo dzielny w encyklopedii, ale na tym koniec. Szkoda, że nam przeszkadzał w ordynacji Zamojskich. Podobno mogliśmy zarobić na tym parę ładnych milionów. To znaczy - strata. Ale w każdym razie rozmawia się z nim bardzo miło. Żona owszem, bardzo dystyngowana, dwie małe dziewczynki, willa, ale gdzieś nie po drodze, na Boernerowie. *Pater familias*, tylko tyle, że dobrze gra w brydża. Piszę o doktorze Różnieckim - doktor filozofii! - a wspominam jego ostatnie opowiadanie o Rudolfie Liteńskim. W swoim czasie, po wojnie, Liteński złożył podanie o przyjęcie go do Akademii Sztabu Generalnego, nie wiadomo, co mu odpisali, ale fakt, że mu powiedzieli, by odczekał do czasu założenia Akademii Furgonowej. Był to przytyk do tego, że Liteński całą wojnę przesiedział w trenach, a później na werbunku do Besslerowskiego Wehrmachtu. To ostatnie przeszkodziło mu w późniejszych awansach, inni koledzy przeskoczyli go od razu o kilka gwiazdek. Należał w dodatku do tych, którzy gładko złożyli przysięgę na rzecz obu cesarzy.

Ale to wszystko są głupstewka. Ważne jedynie to, że dzisiaj rano dzwonił z Krakowa nasz kochany Mizres. Wszystko dobrze. Już uzyskali areszt na ruchomościach, ostrzeżenie w hipotece, i co najważniejsze - w zręczny sposób pobudzili Wajnsztoków do działania.

Sobota - 29 stycznia

Męczę się sama z Mr Davidem. Uparta bestia, siedzi tak długo w Warszawie, a nie wiem, czy nauczył się stu wyrazów polskich. W dodatku nie można go rozgryźć. Chodzi własnymi drogami, ma przyjaciół w swojej ambasadzie, mieszka w garsonierze przy Alei Róż, z lokajem, który milczy nawet wobec naszego Karola, ale - trudno. Jeszcze tylko do końca roku.

Niedziela - 30 stycznia

Głupie odwiedziny. Zjawili się obaj Wajnsztokowie i zaproponowali mi... Prawdziwa humoreska. Chyba mają mnie za obraną całkowicie z rozumu. Proponowali mi kupno ich hipoteki na majątku hrabiego Liteńskiego, oni wierzą w to hrabiostwo. Według nich

powinnam nabyć tę hipotekę, skoro nabyłam numer pana Pomerskiego. W dodatku jako argument wysuwali okoliczność wykupienia przeze mnie weksla na dziesięć tysięcy. Przy tej okazji wyszło na jaw, że na owym wykupionym w październiku wekslu na czterdzieści tysięcy złotych został wymalowany również mój podpis. Chyba nigdy nie dojdę do sedna tych skomplikowanych interesów panów Liteńskich. Na co oni zużywali te wszystkie pieniądze? Nie pojmuję.

Wyśmiałam się z obu kupców srebrzyście, jak to piszą w powieściach.

Kupcy sondowali, jakie będą moje zamiary odnośnie majątku Liteńskich, czy będę licytować, czy nie kupiłabym lepiej za cenę hipotek. Dobrzy sobie. Rozstaliśmy się nie dokończywszy sprawy. Oni zagrozili mi w końcu, że spowodują wystawienie majątku na licytację, ja na odmianę uświadomiłam ich, że ostatnio zrobiłam zastrzeżenie w hipotece odnośnie mego posagu. W tym momencie roześmieli się i powiedzieli mi otwarcie, że te moje sto pięćdziesiąt tysięcy na ostatnim miejscu są właściwie bez jakiegokolwiek wartości. Jeszcze raz doradzali mi wspólną akcję, to znaczy nabycie majątku w drodze dobrowolnej umowy w wysokości hipotek. Zostali na herbacie, ale przy pożegnaniu powiedzieli mi:

- W takim razie wystawimy majątek na licytację.

- Dobrze - odpowiedziałam - mnie się nie spieszy, proszę panów.

W dwie godziny później dzwonił do mnie dr Mireski, pytając, co robić. Radziłam, aby namówić ich do szybkiej licytacji majątku. I na tym skończyło się.

Mała cieszy się z nowych strojów. Właściwie niepotrzebny zbytek, ponieważ dobrze była wyposażona już w Rabce. Ale to pomysł Leokadii. Komplet pensjonarskich ubranek.

Liza i Karol nie mogą doczekać się przyjazdu Marcina. Nic dziwnego, pragnęliby się jakoś urządzić. Z listu wiem, że Marcin chce ofiarować im mieszkanie z umeblowaniem, my we trzy złożymy się i ofiarujemy im książeczkę PKO na pięć tysięcy złotych. Leokadia, ciotka Elfryda i ja. Szkoda mi pokojówki, ale kiedyś musiał nadejść taki moment.

Poniedziałek - 31 stycznia

Dzisiaj w biurze Mizres opowiedział mi o przebiegu wizyty Wajnsztoków u niego. Wyszli rozżaleni, liczą na to, że przy zlicytowaniu majątku uda się im ocalić bodaj część swego długu. Tylko tyle wiadomości, że już nie mają w rękach dalszych weksli Liteńskich. Z dworkiem na Dębnikach jakaś skomplikowana historia, hipoteka jest obciążona do ostatnich możliwości. Figuruje tam również dwadzieścia tysięcy starych Orzechowskich, ale jeszcze z dawnych czasów, sprzed kryzysu rolnego. W każdym razie rymanowscy kupcy wystawią majątek na licytację, nawet gdyby stary Liteński czarował jakąś ugodę, ale bez gotówki. A zatem niech sprawa leci, czas będzie działał na moją korzyść.

Wtorek - 1 lutego

Sprawa Tuchołków jest prawie beznadziejna. Tuchołka rozciągnął swoje interesy na bardzo szerokim froncie. Zamiast skupić się w jednym majątku, wdał się w kupno drugiego, parcelacja jakoś nie chwyciła w tamtych stronach, zbyt blisko granicy, i w ten sposób gotówka z wyrębu lasów niewiele mu pomogła. Maksiu postawił ultimatum: albo jego rządy, albo usuwa się od rady. Gdyby tak szło dalej, toby Tuchołkowie najdalej za dwa lata wyszli nie tylko z torbami, lecz z poważnymi długami. Szwagier, jak mówi Maksiu, w błoto wrzucił co najmniej pół miliona złotych. Zamiast gospodarować po chłopsku, zabawił się w wielkiego pana. Tak to bywa, gdy kupuje się majątki na kredyt. Banki żrą szybciej, niż mogą na to zapracować obdłużone morgi. Gdy tak dalej pójdzie, będziemy mieli Tuchołków na głowie. Najlepiej byłoby, gdyby wrócili tam, skąd wyszli, to znaczy do pomorskiego Wąbrzeźna. W sam raz dla nich interesy, szkoda mi jedynie dzieci i Pelasi. Ciele!

Środa - 2 lutego

Dzisiaj rano przyjechali obaj stryjkwowie i Florencja. Nasze warszawskie panie utkwiły tymczasem na dobry tydzień w Wiedniu. W tych dniach przepisują wiedeńskie domy na Elżę Dubow oraz na genewski bank Płatona. Ojciec Matyldy nie chce słyszeć o likwidacji majątku, wierzy w swoje austriackie baronostwo, kupione za gotówkę. Głupiec. Tak mu podobno napisał ostatnio w liście nasz profesor, który jest jego kolegą z gimnazjum.

Mała jest śmiała w stosunku do krewnych z „Acacii”. Marcin milczy, Florencja bez zarzutu, oboje zachowują się w sposób naturalny. Przy stole Marta usiadła pomiędzy Florencją i profesorem. Nie zraża jej bynajmniej chłodna flegma Mr Davida, mówi do niego: *Monsieur David*, akcentując w taki sposób, jak by to było Davitte, z francuska, nie zmienia nawet - a na e. W ogóle nieźle. Goście zostają do końca tygodnia, a może i dłużej.

Stryj Józef postanowił nabyć jakąś małą willę w Konstancinie, mówi, że dusi się w warszawskim smrodzie i brudzie. Jutro jedziemy obejrzeć. Żartuje, że urządzi dla mnie pokój na górcie. Chyba nie dla mnie, ja już nie interesuję się warszawskimi górkami.

Po kolacji profesor zaskoczył nas wykładem na temat wolności i stosunków na świecie. Twierdził, że na ogół ludzie - jako masa - są z jednej strony całkowicie niemal obojętni na nowe przemiany, z drugiej zaś ich leniwa bezwładność gwarantuje możliwość kierowania nimi i ugniatania ich w potulne ciasto. Zagadnienie faszyzmu i komunizmu. Pośrodku leży zadanie masonerii, która również dąży do wywołania światowej rewolucji. Oba światy muszą się zderzyć, spotkać czoło w czoło i następnie wykrwawić. Wówczas, według profesora, nadejdzie moment ułożenia świata - od nowa.

Światowa rewolucja ma być tygłem do stopienia się różnych ideologii, ta zwycięży, która przetrzyma ową próbę ognia.

Profesor mówił z entuzjazmem. Obserwowałam słuchających. Florencja z uśmiechem, Marcin z nonszalancją pięknoducha, Mr David z lekceważeniem. Florencja ślizga się po zagadnieniach życiowych, Marcin dopasowuje je do własnych celów. Angielski kuzyn wierzy jedynie w potęgę floty angielskiej, zapasy prywatnego złota w podziemiach Banku Anglii, w mądrość Brytyjskiej Encyklopedii i niespożytą siłę twórczą młodszych synów angielskich rodzin.

Niestety profesor maluje najbliższą przyszłość w bardzo ciemnych kolorach. Przepowiada, że wszystko będzie się walić, jak domki z kart, że w przyszłości może zbraknąć miejsca na takie azyle, jakimi były podczas wojny światowej Szwajcaria i Szwecja. Hiszpania już odpadła z tego kompletu, gdyż powróciła do rewolucji jako typowego dla siebie systemu wyżywiania się. Tylko że dawne walki karlistów to było dzieciństwo w porównaniu z obecną wojną domową. Hiszpanie puszczać teraz z dymem to, co w ciągu wielu wieków zgromadzili na swej ziemi. Ładne perspektywy.

- My również kręcimy się w kółko - oświadczył wreszcie. - Naprzód dostarczaliśmy broni Abisyńczykom, ale stanęliśmy wpół drogi. Obecnie dostarczamy broni Czerwonym w Hiszpanii, ponieważ i tam w połowie realizujemy pewne nasze idee. Przy takim nieszczerem z naszej strony ogniu pragniemy upiec własne interesy, ale również tylko w połowie. Boimy się wielkiego ognia i pożaru, ponieważ płomienie mogłyby ogarnąć nas ze wszystkich stron. Puszczamy zatem w świat chińskie smoki z kolorowego papieru, groźne jedynie w rysunku i barwie.

- A więc przeżyły się jednak dotychczasowe ideologie? - zapytałam.

- Nie - odrzekł profesor. - To - nie. Po prostu wkroczyliśmy w nową epokę. To, co idzie, to będzie jedynie wyścig techniki, same zaś ideologie zmierzają swoje siły w cierpliwości i wytrzymałości nerwów. Która idea na razie zwycięży, to będzie nieważne. Prawda, doktorze? - zwrócił się profesor Wydra do naszego stryjka.

Marcin jakby ocknął się na te słowa. Zmarszczył brwi, lecz nic nie odpowiedział. Profesor również zamilkł. Jedynie Mr David zabrał głos:

- My, Anglicy, liczymy się jedynie z faktami. W polityce bierzemy zawsze w obronę słabszych i w ten sposób utrzymujemy na świecie równowagę sił. Nie lubimy siadać na szali wypadków dziejowych, jesteśmy w dodatku narodem kupieckim, pływającym na wszystkich morzach i oceanach - dodał już ciszej.

Później panowie przeszli do mojego nowego gabinetu na cygara, a my obie z Florencją poszłyśmy przyjrzeć się małej. Już spała, jak zwykle z pokopaną kołdrą. Jednak jest wątpliwość. Florencja mówi, że Szwajcaria w krótkim czasie wzmocni jej siły.

Czwartek - 3 lutego

Telegram z Paryża od Mrs Maltz. Oboje Krymułtowie zginęli w katastrofie samochodowej. Ciekawe. Pomimo wszystko wiadomość nie wywołała specjalnego wrażenia. Może na razie, ponieważ telegram nadszedł wieczorem i wszyscy byliśmy zmęczeni całodziennymi rozmowami o pieniądzach.

Jak się czuje Patrycja? Chociaż właściwie pan Krymułt od czasu swego drugiego małżeństwa był już poza burtą naszych zainteresowań. Przedtem również. Istniał jedynie jako postać sceniczna, statysta, bez prawa głosu.

Piątek - 4 lutego

Z kupna willi w Konstancinie nici. Modna miejscowość podwarszawska, ale to nie jest jeszcze powód, aby przepłacać ogrodową ziemię.

Nasz Hołobla opowiada o jakiejś Zbójnej Górze, niedaleko, na otwockim szlaku. Dwa kilometry pieszo od przystanku kolejki elektrycznej i dość uciążliwa droga dla ciężkich wozów. Ale za to czyste powietrze, sosnowy las, piasek i swoboda. Willa jednorodzinna, raczej parterowa, na pięterku dwa pokoje z dużym tarasem, kuchnia w suterynie. Styl w rodzaju pudełek od zapalek położonych obok siebie i jedno na drugim w różnych kondygnacjach, bez wdzięku, tak przynajmniej wygląda na fotografii, W niedzielę obejrzymy na miejscu.

W poniedziałek wszyscy się rozjeżdżają. W grubszych zarysach nasza rodzina ustaliła plan działania na rok bieżący. Jest o czym myśleć i będzie sporo roboty, nim to wszystko klapnie, jak zwykł mawiać stryj Józef.

Mała jest dobra. Wyliczyła sobie odległości i zaskoczyła nas dzisiaj powiedzeniem.

- Moim ciociom w Rabce zawsze było trudno wybrać się do Krakowa, mimo że to tylko sto kilometrów, a tymczasem tutaj w Warszawie wszyscy jeżdżą ustawicznie do Wiednia, do Szwajcarii i do Anglii.

Wtorek - 8 lutego

Zdaje się, że stryj Józef kupi willę w Zbójnej Górze. Czekamy jedynie na przyjazd ciotki Elfydy, to będzie przecież jej letnie królestwo. W sobotę wracają z Wiednia nasze panie. Zabawiają się naturalnie w Baden. Gdy wrócą, będzie można odwieźć Marię do Hornów. Właśnie dzisiaj doręczono mi nowy paszport zagraniczny. Wpisana córka Marta. Po raz pierwszy zawód: przemysłowiec. W ciągu najbliższych dni Karol wystara się o wszystkie potrzebne wizy. W tym roku skończę trzydzieści lat. Równocześnie może uda mi się odkręcić od tych różnych interesów. Rozmyślam nad tym, jak sobie urządzę życie do najbliższego Nowego Roku. Tak bowiem „stańło” na naszej ostatniej naradzie rodzinnej. W ogóle wszyscy wyniesiemy się z Polski. Ma to nastąpić w ciągu najbliższych dwóch lat. Gdańscy krewni wyjadą na stałe do Anglii, ja do Szwajcarii, jedynie Wirewiczowie mają zamiar wytrwać na miejscu. On jest przywiązany do tutejszych przyjaciół i tutejszego sposobu życia, ona lubi wyjeżdżać za granicę i wracać. W dodatku decydują warszawskie kamienice, w których widzi spokojny i wygodny dobrobyt, no i odgrywa w tym wszystkim rolę pewien

snobizm, ponieważ Włodek lubi od czasu do czasu pokazać się w generalskim mundurze. Mówi, że czuje się w nim młodo i że mu ubywa lat. Ano, może być i tak.

Interesy. Moją kamienicę na Hortensji kupuje spółka drzewna, wspólnie z Marcinem zarabiamy na tym około stu tysięcy złotych. Pieniądze z tego źródła włożę ewentualnie w kupno majątku Liteńskich, gdy dojdzie do licytacji. Moje listy zastawne skoczyły ostatnio na 71, kto wie, czy nie byłoby warto ich sprzedać i efekt przerzucić od razu za granicę? Marcin doradza w dalszym ciągu akcje angielskiego Vickersa. Florencja radzi nabyć jakiś solidny dom na miejscu w Genewie lub w Bazylei. Postanowiłam również spłacić hipotekę pana Szczytnickiego, ciężącą na poznańskiej kamienicy. Ostatnie wspomnienia moich posagowych historii. Nie mogę teraz uskarżać się na osamotnienie. Mała szczebiocze, opowiada mi całe swoje życie, przychodzi nawet, gdy jej dopisze fantazja, na pierwsze piętro do mojego gabinetu. W ogóle odważne dziecko, nie zginie w życiu. Co do mnie, to nareszcie mam do kogo usta otworzyć, dziewczynka wypełnia mi życie.

Dziecko absorbuje czas w sposób miły i łagodny. Mój były mąż wdzierał się w moje życie w sposób brutalny, uliczny. A zresztą czy ja miałam męża? Chyba nie, to była jedynie jakaś pomyłka życiowa, która z czasem ustali się we wspomnieniach jako pozycja cyfrowa. I na tym się skończy.

Czwartek - 10 lutego

List z Rabki. W niedzielę rano przyjeżdżają obie panie. Pani Woźnikowa pożegnać się z Martą, pani Horodyńska przygotowana już do podróży.

Piątek - 11 lutego

Niespodziewanie Pelasia. Z moją córką chrzestną. Nieśmiałe dziecko, bardzo miłe, lecz dziwnie załężnione. Z Pelasią problem nowych dziesięciu tysięcy dla szwagra. Wysłałam telegraficznie, ledwo zdołałam utrzymać ją do niedzieli. Od razu wręczyłam jej dodatkowe dwa tysiące z zastrzeżeniem, że to pieniądze przeznaczone wyłącznie dla niej. Jakaż ta moja siostra jest zawojowana! Równocześnie pomyślne wiadomości, ponieważ Maksiu zdołał ich przekonać o konieczności zlikwidowania wiejskich majątków. Tuchołka zdał już na niego cały kram. Maksiu sprowadza z Pomorza znajomych, którzy pracowali z jego ojcem. Zadanie nie będzie łatwe. Oby tylko coś z tego wynieśli na czysto. Gdyby było inaczej, Pelasia gotowa załamać się.

Swoją drogą Tuchołka jest pozbawiony wstydu, zawsze wysuwa Pelasię, gdy chodzi o sprawy pieniężne. Słaby charakter. Pelasia powitała Martę obcałowymi i pieszczotami. Mała była zdziwiona. W stosunku do Anny Tuchołkówny przybrała pozę mocno starszej siostry. Na odwrót Anna wpatruje się w nią jak w obrazek. Ale pierwsze lody zostały przełamane.

Profesor opowiadał nam dzisiaj o nowych, niesamowitych wydarzeniach w polityce międzynarodowej.

W tej chwili sytuacja w Austrii jest mocno napięta. Profesor wmawia w nas, że zajęcie Austrii przez hitlerowców to kwestia najbliższych tygodni. Szkoda wiedeńczyków, stracą do reszty swoją austriacką Gemütlichkeit, gdy Hitler przemaluje Wiedeń na brunatny kolor. Matylda!

Niedziela - 13 lutego

Goście. Nieoczekiwani w dodatku. Całe szczęście, że zamieszkali od razu w hotelu. Von Hartmann z Gdańska i dr Bold z Monachium, ów mąż Dorothei z Hermsdorfu. Obaj z ramienia Związku Prawników Niemieckich - z jakąś oficjalną wizytą u polskich prawników. Już się pokumali z sobą. We wtorek podejmę ich kolacją, Dobrze, że dzisiaj wróciła

Leokadia, ona ma głowę do tego rodzaju przyjęć. Trzeba będzie tak lawirować, aby oszczędzić naszemu profesorowi ewentualnych spotkań. Ale to jedyne przyjęcie, już w środę rano jadą dalej do Krakowa i Katowic.

W Wiedniu nie za bardzo. Z fabrykami gorzej, trudno sprzedać, a stary porcelaniarz upiera się przy pozostaniu w Wiedniu, gdzie się urodził. Głupie rozumowanie. Że też tych Żydów niczego nie nauczyły doświadczenia z hitlerowcami w samych Niemczech.

Wtorek - 25 lutego

Nie mam czasu na pisanie. Rano był telefon z Berlina, zapraszają, aby przyjechać. Odpływają w poniedziałek z Hamburga. Mała uparła się, aby ją zabrać z sobą. Sama nie wiem. Co prawda kolacja z niemieckimi gośćmi, ale na gospodarstwie zostaje Leokadia, ona to jakoś skleci. Chyba zabiorę Martę. Do Berlina niedaleko, zdrowa i duża dziewczynka. Niech się przyzwyczają do podróżowania. Wrócimy za dwa dni.

Sobota - 19 lutego

Kto by się tego spodziewał? Tkwimy na wsi w Hermsdorfie. Prawdziwy zjazd rodzinny. Gdańsk. Przyjechała nawet pani Felicja bez męża, który przebywa jeszcze w Polsce na swoich oficjalnościach prawniczych. Może i lepiej, oni we dwóch razem z dr Boldem zepsuliby atmosferę swymi pruskimi minami. Jutro rano ja z dzieckiem wracam do Berlina, reszta odwozi Heinrichów do Hamburga. Będą im kiwali chusteczkami z bulwarów portowych. Może i ja bym pojechała, ale z moim gardłem boję się wilgotnego powietrza lutowego nad morzem. Jak dotąd, Marta wytrzymuje wszystko. W Hermsdorfie przyjęli ją w sposób poważny, lecz życzliwy równocześnie. Z francuskim wypadło nie najgorzej. Heinrich na samym wstępie wyjaśnił sytuację:

- Anna adoptowała sierotę po naszych bliskich krewnych.

Stary pastor poważnie chory. Leży w łóżku obłożony książkami i starymi dokumentami. Lepiej byłoby, gdyby myślał o leczeniu, a nie o starych dziejach. Ale na wszystkie przedłożenia znajduje tyłka jedną jedyną odpowiedź:

- Wszystko jest w rękach Pana naszego, ale czuję, że żywot mój dobiega końca. Z silnej chłopskiej jestem rasy, ale to tak zawsze. Jesteśmy zdrowi, działamy i tworzymy, nagle nadchodzi moment, gdy wszystko od razu się kończy. Dopala się lampka żywota i idziemy przed tron Odwiecznego zdawać mu rachunek z naszego życia. Oto, Anno, i na mnie taki czas nadchodzi. Tobie i tej małej dziewczynce błogosławię. Staraj się wychować ją bez wątpliwości - w Bogu! Bez tych wątpliwości, które ciebie dotychczas szarpią i zawiązują ci drogę do prawdziwego żywota w Panu, do wiary w Pana.

Cóż? Wszystko inne było nieważne. Nawet zawiezenie małej Marty na ruiny w Jamsborgu i powiedzenie jej:

- Widzisz, Marciu, tutaj, w tym miejscu stał zamek rycerski, taki, o jakich czytałaś w książkach. Tutaj mieszkali nasi przodkowie przed dwustu i więcej laty, tak długo, dopóki nie przyjechali na Pomorze i tam nie osiedli.

Marta potarła rękawiczką nos, bo było zimno, i zadała mi niespodziewane pytanie:

- A dlaczego ci nasi krewni z Hermsdorfu nie odbudują tego zamku? Ja, gdybym miała dużo pieniędzy, to odbudowałabym ten zamek. Dlaczego nie robi tego ciocia Brunhilda?

Najwięcej podobały się jej szczątki wysokiej kwadratowej wieży.

- Ładniejsze są od wieżyczek w Hermsdorfie - mówiła podskakując.

W samym Berlinie było stosunkowo nudno. Ciotka pokazywała fotografie londyńskie i argentyńskie. Erna odnalazła się, wyszła za mąż. Mąż jej idzie w górę po szczeblach kariery parlamentarnej. Hans tkwi w niemieckiej ambasadzie. Widocznie z pieniędzmi u niego nie za bardzo, ponieważ ciotka wmawiała we mnie oryginał Chodowieckiego. Podobno tanio i korzystnie, tylko za półtora tysiąca dolarów. Niewielką miałam ochotę kupić obraz, niby

zartem wspomniałam, że ostatecznie kupiłabym, ale loco Bazyleja. Przy tej okazji rozmowa zesłała na sprawy zagraniczne. Stara pani jakby decydowała się na takie załatwienie sprawy, postawiła jedynie pytanie, w jaki sposób mogłabym przekazać pieniądze do Argentyny. Nie starałam się informować o szczegółach, ograniczyłam się jedynie do krótkiej wzmianki, że posiadamy stosunki handlowe z Londynem, które umożliwiają nam takie przekazy.

Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, właściwie Chodowiecki jako taki mnie nie interesuje i w swoim czasie całkowicie zadowolona się akademicką kopią obrazu i podrobionymi ramami. Zależało mi raczej na portrecie samego chłopca, a nie na malaturze sławnego Chodowieckiego. Ale trudno. Nie wiadomo jeszcze, co z tego będzie z powodu dwóch granic do pokonania.

W poniedziałek rano wracamy z powrotem do Warszawy. Odczekam do powrotu stryjka Józefa i trzeba będzie odwiedzić panią Horodyńską z Martą do Bazylei. Naturalnie przez Wiedeń.

Warszawa - wtorek - 22 lutego

Nie sądziłam, że mała nazbiera tyle wrażeń z tej swojej pierwszej podróży zagranicznej. Wszystko zobaczyła, nawet drobne szczegóły, na które starsi nie zwracają żadnej uwagi.

Czwartek - 24 lutego

Wyruszamy w sobotę w południe. Tego samego dnia jadą samochodem do Krynicy obie nasze panie, Leokadia i Wirewiczowa, zabierają do towarzystwa Lucynkę. To pewne, że stryjostwo kupią willę w Zbójnej Górze. W tej chwili jakoś wszyscy mamy sporo luźnych pieniędzy. Mój dom na Hortensji sprzedany, gotówka straszy na koncie u prezesa Fajansa. Nie mam na razie głowy do myślenia o lokatach.

Sobota - 25 lutego

List z Rzymu od starej Orzechowskiej, bardzo niegrzeczny, oraz odwiedziny pana Szczytnickiego. Pokazałam mu ten list i opowiedziałam o całości sprawy. Przeczytał i rzekł krótko:

- To było do przewidzenia, ja również otrzymałem przed kilku dniami list od siostry. Ale nic im nie pomogę w tej sprawie, jak nie umieli trzymać w rzetelnych rękach majątku, to niech idzie pod młotek, mimo że ten kawałek ziemi znajdował się od trzystu lat w rodzinie mojej matki. To nie jest nawet majątek Liteńskich, oni swój Liteniec przeputali już grubo przedtem. To była posagowa wieś po matce starego Liteńskiego, przez którą idzie jego pokrewieństwo z Belina-Szczytnickimi. Niech idzie. A ty, Anno, nie obciążaj sobie tym głowy. Jeżeli ci fantazja dopisuje, to ostatecznie kup ten majątek, ale nie wkładaj w to nerwów.

Mówiłam naturalnie o wydanych dyspozycjach i o przelaniu pełnomocnictwa do działania na imię dr Mireskiego.

Ciekawe. Dzieci nie biorą wydarzeń zbyt głęboko. Mała już przestawiła się na nowe życie. Można by to uważać za brak wdzięczności, ale z drugiej strony trudno się dziwić. Bo kimże ja jestem na razie w oczach, myślach czy sercu tego dziecka? Nawet nie pyta o swoich rodziców. Zadowolona się prostym oświadczeniem ciotki Woźnikowej, że oboje rodzice zmarli, gdy była bardzo mała. Nie pamięta zresztą matki. Wychowała się bez matczynej miłości, obracała się przeważnie między ludźmi dorosłymi.

Ale trzeba skończyć z biurem i pójść na górę. Czeka mnie jeszcze obiad, na którym - zjawi się pan Szczytnicki. Później jazda na dworzec i miejsce w pociągu. Mała wyjedzie w świat, który ma jej dać wykształcenie, a następnie stworzyć przyszłość. A ja? Jestem spokojna i zadowolona. Słowa pastora Schmidta naładowały mnie nowym optymizmem.

Baden - niedziela - 27 lutego

Matylda zdenerwowana. Wszystkiemu winien jej brat. To on jest za pozostaniem w Wiedniu. Eibenschützowie wyjeżdżają w tym tygodniu do Nowego Jorku, włoskim statkiem z Genui. W Wiedniu wszyscy są silnie zdenerwowani, nastrój nieprzyjemny, prawie wojenny. Popłoch. Początkowo miałam zamiar pozostać tu przez kilka dni, ale widzę, że w niczym nie pomogę Matyldzie. Dziwię się, przecież oni mają poważne kapitały u starego Dubowa oraz piękną willę w Davos. Wyjeżdżamy jutro w południe. W Eichelbachu zjawimy się rano. Z Hornami rozmawiałam telefonicznie. Naglili, aby się nie zatrzymywać dłużej w Wiedniu i natychmiast przyjeżdżać. Być może wpadnę jeszcze do willi Heinrichów na Grosstürken. Wypada, chociaż nie mam specjalnego nabożeństwa do starej baronówny. Ale trzeba ze względu na stosunki z hermsdorfskimi kuzynkami.

Eichelbach - środa - 2 marca

Przeżyłam dzisiaj niespokojną noc. Po raz drugi przechodziłam głupie historie graniczne. Tym razem na szczęście we śnie. Obie z panią Horodyńską przewiozłyśmy Matyldzie sporo biżuterii. Były historie na granicy austriackiej. Oni tutaj mocno obstawili i granicę, sporo ludzi ucieka z Austrii. Postawiłam się niezwykle ostro i wygrałam. Uciekłam się znów do powiedzenia w sposób montecatiniński:

- Co mnie obchodzą tutejsze sprawy? Jadę tranzytem z Polski do Szwajcarii, biżuteria jest na to, aby ją nosić, a nie trzymać w bankowych sejfach.

Czułam, że droga, którą mi doradzała Matylda - danie łapówki - byłaby fałszywa. Nigdy nie wiadomo, czy to chwyci, i nigdy nie wiadomo, ile dać. Jednym słowem zrobiłam z siebie polską hrabinę. Udało się, ale kosztowało mnie sporo nerwów. Być może przeważało przedłożenie zaświadczenia miejskich władz bazylejskich, że tam stale zamieszkuję.

Całe szczęście, że Szwajcarów na granicy interesowały jedynie zapasy tytoniu i papierosów. Baczny okiem śledzili, czy nie przewozimy zagranicznych jedwabów. Wedlowskie czekoladki, mimo zapłacenia wysokiego cła, potraktowali jak najgorszą kontrabandę. Dobrzy sobie, świat może się walić, ale szwajcarscy celnicy trzymać się będą do końca swojej taryfy.

W każdym razie przewiozłam Matyldzie różnych świecidełek przynajmniej za jakieś dwadzieścia tysięcy dolarów. Najgorsze, że to były drobne pamiątkowe sztuki z różnych czasów. Mała wartość, duża objętość. Znacznie łatwiej przewieźć przez granicę samotne butony w uszach i chociażby dziesięć karatów na palcu, byle tylko w jednej sztuce. Ale tym razem nadrobiłam tupetem i beczelnością. Co prawda Matylda była dziwnie zrezygnowana, gdy mnie o to prosiła.

- Ostatecznie, gdy ci to odbiorą, nic sobie z tego nie rób - mówiła. - To biżuteria jeszcze z moich czasów panięńskich, mam inne zmartwienia, chciałabym wywieźć ojca za granicę, a on uparł się...

Ale to wszystko nie jest ważne, to sprawy obce.

Marta jest zachwycona starym domem, ogrodem, dębami i całym nowym otoczeniem. Dobrze wybrałam tę miejscowość. Górskie powietrze jest łagodne, wszędzie stąd blisko. Marcie oddano stare łóżko po Margot w pokoju na facjacie, pani Horodyńską króluje w gabinecie z gankiem od strony południa. Zresztą to tylko na razie, później pomyślimy spokojnie, jak się urządzić.

Pani Horodyńską nie spodziewała się takiego otoczenia, zawsze wyobrażała sobie mój Eichelbach w postaci nowoczesnej willi z kaloryferami. Była zdziwiona. Dopiero później Czerwona Łopata wytłumaczył jej w swój wesoły sposób, że właśnie szwajcarski dowcip polega na posiadaniu takiego starego domu. Z dziećmi Hornów od razu wielka przyjaźń. Młodszy zapytywał, czy Marta jest dla niego przeznaczona i czy będzie z nim latać po okolicy. Ledwo przyjechaliśmy, a już była mowa o spędzeniu świąt u rodziny w Interlaken.

Jestem trochę zmęczona, historie graniczne wyprowadziły mnie z równowagi. Kto wie, czy jutro nie zjawi się u nas Marcin.

Czwartek - 3 marca

Prawdziwa niespodzianka. Niepocziwy Marcin, nic a nic nie wspominał mi o pobycie Patrycji w Lozannie. Przyjechali dzisiaj koło południa wszyscy troje, to znaczy Marcin z obu siostrami. W życiu z upływem lat wszystkie sprawy jakoś układają się. Przechodzą i przemijają. Patrycja dziwnie poważna. Ma zamiar spędzić marzec w jakimś szwajcarskim sanatorium. Niby nie jest chora, ale zamierza tak uczynić. Chce tylko, żeby to była jakaś nieznana jej miejscowość. Najgorzej oddać się w ręce lekarzom. Leczą, leczą i nieustannie coś wynajdują, zwłaszcza gdy mają do czynienia z zamożną pacjentką. A w samym chorym tkwi stale podejrzenie, że go jeszcze nie całkiem dobrze wyleczyli. Gdyby Patrycja w swoim czasie nie miała do dyspozycji większych sum pieniężnych, byłaby poprzestała na jednym sanatorium. A tak lekarze wmówili jej permanentność choroby i oto skutki. Przyzwyczajenie, które weszło w nałóg.

W dodatku coraz więcej tyje. Nie dalej jak dwa miesiące temu widziałyśmy się w Paryżu, ale w nowym otoczeniu Patrycja wygląda jakoś inaczej. Ociężała i otyła, teraz dopiero to sobie uświadomiłam.

Goście zostają do jutra. Marcin musi jechać na jakieś zebranie w Genewie, siostry wracają do babki Wieroczki. Kto wie, czy nie zabiorę się z nimi do Genewy. O ile mała się zgodzi, ponieważ nie ma mowy, aby tłukła się samochodem po takich przestrzeniach. W dodatku musi wprzód przyzwyczać się do tutejszego klimatu.

Sobota - 5 marca

Nie pojechałam. Inaczej wypadło, ponieważ dowiedziałam się, że Ksenia przebywa w internacie dla dziewcząt bardzo blisko Genewy. Pod Annecy. Łagodny klimat, w górach, coś w rodzaju R.abki, pomimo bardzo rozwiniętego przemysłu tekstylnego. Sam zakład jest oddalony od miasta o kilka kilometrów, leży nad jeziorem. Naturalnie siostry ukrytki, około dwustu dziewcząt, zakład mocno kosztowny, ale z dobrą renomą.

Tymczasem moja Marta obleciała już całą okolicę. Podobno przelazła przez mur i z bliska przyjrzała się domowi, w którym straszy. W obu domach straszy, ale obecnie najgorzej w Eichelsburgu, gdzie umarł handlarz niewolników. Bzdury. Wykrzyczałam ją, ale zjawił się Czerwona Łopata i załagodził sprawę:

- Przecież była z naszymi dryblasami, a oni wszystko tam j znają. Są zaprzyjaźnieni z psami, spotykają się z nimi nad rzeczką i wspólnie dokazują.

Mała patrzyła na mnie zdziwiona, że krzyczę, ale wytrzymała bohatersko tę naszą pierwszą sprzeczkę. Powiedziała mi tylko niezwykle otwarcie:

- W Rabce też na mnie krzyczeli, a ja się tak cieszyłam, że tutaj nie będą...

Zrobiło mi się żal i przyrzekłam małej, że pojedzie ze mną do Kseni. Nie mogłam przecież przyznać się Marcie, że sama miałam w swoim czasie ochotę przeskoczyć mur i pochodzić po ogrodzie Mr Foxa.

Niedziela - 6 marca

W dziennikach złe wiadomości i złe perspektywy. Dzisiaj byliśmy wszyscy na niedzielnym obiedzie w mieście, u krewnych Margot. Również ogrodnicy, cała rodzina z tej branży. Zamożni ludzie. Gładko. Bardzo dobrze, że przywiozłam małą. Dziewczynka w jej wieku i od razu towarzystwo. Pojechalśmy naturalnie tramwajem w obie strony. Wróciliśmy dopiero późnym wieczorem.

Uradziliśmy, że damy spokój z nauką do końca mojego obecnego pobytu w Eichelbachu.

Poniedziałek - 7 marca

List z Wiednia od Matyldy. Bardzo ogłędne podziękowania, ponieważ nigdy nie wiadomo, w czyje ręce mogą wpaść listy w takich okolicznościach.

Środa - 9 marca

Jutro rano jedziemy do Genewy. Duża paczka, ponieważ obie Margot zabierają się z nami. Dzisiaj był list z Warszawy. W najbliższych dniach kupią willę w Zbójnej Górze.

Dopisek od profesora Wydry. Pyta, jak się czuje Marta w swojej przyszłej wolnej ojczyźnie. Naturalnie, że ta Szwajcaria jest mocno wolna, ale wolność służy tutaj w pierwszym rzędzie ludziom zamożnym. Z biednymi gorzej, zwłaszcza gdy się tutaj nie urodzili i nie posiadają szwajcarskiego obywatelstwa. Słyszałam już o niejednym...

Hornowie kierują moimi krokami. Płaciłam dzisiaj osobiście w wiejskim zarządzie podatek za pierwszą połowę tego roku. Poszłyśmy obie z Margot. Gdy wrócimy z Annecy, doktor Arnold ma się dla mnie wystarać o miejscowy dowód tożsamości z fotografią, na którym będzie już zaznaczony fakt mojego stałego zamieszkania od stycznia 1935 roku. Z takim dowodem można bez wizy przekraczać francuską granicę. Dzisiaj dopisaliśmy w księgach miasta Bazylei Martę jako moją córkę. Nie stawiali żadnych pytań, wystarczyło moje własne oświadczenie i okazanie paszportu. Mała otrzyma również taki sam dowód.

W tej chwili poszła z chłopcami na łyżwy. Opiekują się nią i czynią to z przejęciem, ale spokojnie. Jakby za siedmiu górami i siedmiu rzekami. Stary dom ma swoje uroki. Nawet pani Horodyńska powoli się do niego przekonuje. Ciekawa jestem, co powie na „Acacie”? W drodze powrotnej zatrzymamy się tam jakieś dwa - trzy dni.

Genewa - czwartek - 10 marca

Zrobiliśmy przerwę w podróży. Rozbiłyśmy namioty u Elzy. Ciasno, ale bardzo miło. Jutro rano przyjeżdżają obie siostry i zaraz jedziemy do Annecy. Ciężka limuzyna od starego Płatona. Jakoś się pomieścimy. Marcin został w Montreux, jakieś narady. Zresztą to zapewne dyplomacja.

Odwiedziłam dzisiaj moją czynszową kamieniczkę. Odnowiona, fasada pomalowana, na podwórku czystość, o jakiej nawet nie marzyć w naszej kochanej Warszawie. Nie wtajemniczałam pani Horodyńskiej, bo i po co? Im mniej ludzie wiedzą o nas, tym lepiej dla nas i dla nich. Milizów nie zastałam, bawią w St. Moritz. Stary Dubów jakiś nieswój, nic dziwnego, oni mają poważne interesy w Austrii, a nigdy nie wiadomo, co może z tego wypaść, gdy Hitler zajmie Austrię. Stary pociesza się, że nikomu nie opłaci się na dalszą metę zadzierać ze szwajcarskimi bankami. Im zawsze łatwo położyć rękę tu i tam, na kapitałach, które cudzoziemcy u nich lokują. W drodze odwetu. A tych kapitałów jest niemało.

Z Elzą rozmowy o interesach. Siedzi w Genewie ze względu na niepewną sytuację polityczną. Miałyśmy czas, ponieważ Marta wyciągnęła panią Horodyńską na film Disneya „Królewna Śnieżka”. Mała nie zapomina o polskich znajomych i niemal codziennie wysyła widokówki. Śmiało podpisuje się: Marta Jambor. Napisała nawet do swojej nauczycielki w Rabce list z Eichel, dzisiaj malowała do byłych koleżanek szkolnych pozdrowienia na widokówce z pałacem Ligi Narodów. Z fasonem.

Elza podziwiała mój tupet na granicy austriackiej. Mówiła, że obecnie ta właśnie granica jest specjalnie obstawiona, ponieważ Żydzi masowo uciekają z Austrii i celnicy są nastawieni wręcz na obdzieranie. Zaskoczyła mnie wiadomością, że Mrs Maltz ma zamiar wycofać się z paryskich lakierów. Na razie sprawa nie jest jeszcze zdecydowana ostatecznie, lecz odwlecze się najdalej do końca roku. Mają zamiar sprzedać całość, fabrykę i dom czynszowy przy Pont Vert, zachowując jedynie stary pawilon. Sentymentalny gest ciotki Temmi. Elza powiedziała żartem, że ciotka mogłaby pozwolić sobie na to, aby ten stary dom

rozebrać na kawałki, ponumerować je i zestawić na nowo w jakiejś innej miejscowości. Miała na myśli Amerykę. Mrs Maltz wpadła ostatnio na pomysł kupienia jachtu i odbycia na nim podróży naokoło świata. Namawia na to Elżę, ale to nie byłoby możliwe ze względu na interesy, które właśnie obecnie wymagają ciąglego kręcenia się po świecie i czujności.

Dzisiaj stary Dubów powiedział mi znieca:

- No cóż, Anno? Dobrze pani zrobiła wybierając Szwajcarię. Na świecie zanosi się obecnie na nową serię wojen, Amerykanie nie wytrzymają w charakterze widzów, jedynie nasza Szwajcaria wytrwa na pewno w neutralności. W dodatku na szczęście uwolniła się pani od tego... hm... polskiego hrabiego. To nie był mąż dla pani. Znam ja dobrze takich paniczów jeszcze z dawnych Czasów. Chociażby mój rodzony braciszek. Karty, karty. Żebyż to był tylko brydż, ale w brydża dawniej nie grywano. Nik koźłował nas dobre dwieście tysięcy rubli.

Stary bankier wypytywał mnie o zamiary, lokaty, o projekty i o to, czy nie nabyłabym drugiego domu w Genewie. Co do tego ostatniego, ani mi w głowie. Postanowiłam wytrwać przy bazylejskim kantonie. Bazyleja ze swoim przemysłem ma przyszłość, kamienice tam nie są drogie, a Genewa każe sobie słono płacić za nagromadzenie dyplomatów z całego świata. W dodatku, kupno małej bodaj kamienicy czynszowej właśnie w Bazylei wzmocniłoby moją pozycję stałego mieszkańca w tym mieście. Dałoby gwarancję stałych dochodów, a to jedyny argument, przekonywający Szwajcarów.

Co do lakierów, to w tych warunkach - bez namysłu sprzedam naszej Lucynce. Przedtem „Cztery Kamienie” nadeślą mi nową umowę o przedstawicielstwo z ważnością na trzy lata, do końca 1941 roku, aby później nie było trudności z nowymi właścicielami paryskiej fabryki. Koniec zatem lakierniczej historii. Szczegóły już uzgodniłam z Elżą. Jedzie w przyszłym tygodniu do Paryża, to załatwi. Naturalnie moje paryskie procenty do końca tego roku.

Montreux - piątek - 11 marca

Ile radości! Po powitaniu i wycalowaniu wszystkich (dostało się nawet szoferowi), Ksenia od razu porwała za rękę małą i uprowadziła ją do swoich koleżanek. Głupio się nam trochę zrobiło, ale właśnie była dłuższa przerwa i Ksenia chciała pokazać Martę koleżankom w swojej klasie. Po kwadransie przyprowadziła ją z powrotem do nas, pauza się skończyła, koleżanki poszły do sali szkolnej, jedynie Ksenię zwolniono z lekcji.

Co prawda była już przedtem mowa o tym, aby Martę umieścić w Annecy, ale nie myślałam o tym w sposób zdecydowany. Obecnie obejrzałam sobie zakład i wszystko mi się spodobało. Naturalnie nie tak szybko i nie w takim tempie, jak to sobie wyobraziła Ksenia, to znaczy od zaraz. Trochę spokojniej i wolniej. Przecież Marta, owszem, paple po francusku, ale to dopiero początkowe, kulawe zresztą mówienie w bardzo ograniczonym zakresie. Z grubsza jednak wszystko zostało mniej więcej umówione.

Do wakacji pozostanie w Eichelbachu. Zawodowa nauczycielka, przygotowanie do Annecy, a dopiero później francuski internat. Za tą szkołą przemawia wiele. Towarzystwo Kseni i opieka Miss Kory, ponieważ właśnie ona jest nauczycielką języka angielskiego w tej szkole.

Sobota - 12 marca

Na granicy dzieją się podobno niesamowite rzeczy. Moc uciekinierów. Dzisiaj w południe dobił do naszej „Acacji” znajomy Marcina, wiedeński profesor Schrott. Matka Żydówka. Uciekł okrężną drogą przez granicę jugosłowiańską. Samolot kosztował majątek. Wszyscy drżymy o los Matyldy. Poczta odmówiła połączenia telefonicznego z Wiedniem. Linia przerwana. Brak wiadomości.

Niedziela 13 marca

Wiadomości z radia. Wiedeń zajęty przez wojska niemieckie. W Niemczech entuzjazm. Zagranica przyjmuje to chłodno. Na razie brak bliższych komentarzy. Genewskie radio podało jedynie suchy fakt. Marcin jest zdezorientowany. Jutro wczesnym rankiem jedzie do Genewy. Mówi, że to było spodziewane dopiero w pierwszych dniach kwietnia. Patrycja w Davos. Elza obrywała nam dzisiaj telefon. Marcin jest zły. Na razie utkwiliśmy w Montreux. Trzeba będzie to wszystko przeżyć tutaj, dopóki się nie uspokoi. Do Warszawy wysłałam terminową depezę okrężną drogą przez Rzym i Budapeszt, że zostaję w Montreux. Żeby się nie martwili, mogliby sobie wyobrazić, że utkwiałam gdzieś w Austrii.

Wtorek - 15 marca

Odetchnęliśmy. Telegram z Mediolanu od Matyldy. Jutro wracam do Eichel.

Środa - 16 marca

Niemiecki telegram z Warszawy. Mowa o przedłużeniu urlopu do końca marca. Rozumiem doskonale wymowę tych słów. Firmowy podpis na telegramie. Frau Direktor Anna Jambor in Basel. Po przyjeździe natychmiast zabraliśmy się wszyscy do szukania nauczycielki dla Marty. Niełatwe to jest zadanie wobec miesiąca marca, w dodatku zależałoby nam na Francuzce. Przywieźliśmy programy szkolne z Annecy. Jeżeli dobrze pójdzie, przyjmą Martę od nowego roku szkolnego do trzeciej gimnazjalnej. Za sześć lat matura. Niewiele straci. Zgodzili się na to, że Marta w ciągu pierwszego roku uzupełni różnice pomiędzy polską szkołą a francuską w postaci dodatkowych lekcji prywatnych. W drodze wyjątku zamieszka wspólnie z Ksenią w jednym pokoju. Ta szkoła to jakby jakiś francuski Chyrów dla dziewcząt. Z mniejszym drylem, ale z większym komfortem. Znam te sprawy z opowiadań Rudolfa L. Trzy miesiące czasu, jeżeli znajdziemy przyzwoitą nauczycielkę. Oni mają tam obecnie 34 dziewczynki z obcych krajów na 218 uczennic. Podobno były takie, które nie umiały ani jednego słowa przy wstąpieniu do szkoły. Dziecko jest zdolne i na pewno przełamie pierwsze trudności. Najważniejsze, że małej spodobało się otoczenie. Naturalnie od razu wyskoczyła z pytaniem:

- Ale na wakacje pojedę do domu?

Uśmiechnęłam się i zapytałam:

- A co masz na myśli?

- Ano tam, gdzie ty będziesz. Czasami zresztą możemy pojechać do Rabki, tam również mamy dom. Ciocia Woźnikowa na pewno się ucieszy, gdy przyjedziemy do niej na wakacje. A moje koleżanki? Pewnie żadna z nich nie zobaczy Szwajcarii.

Piątek - 18 marca

Odwiedziny. Kto by się tego spodziewał? Przed nasz dom zajechał elegancki wóz sportowy i wysiadł z niego samotny kierowca. Również elegancki, w skórzanym płaszczu koloru srebrnopopielatego. Sprowadzono mnie na dół do gabinetu Arnolda.

Berlińska ciotka dopięła swego. Znalazła drogę. Koledzy Hansa. Każda granica ma swoje furtki dla wtajemniczonych. Wszystko bardzo nobliwie, w dodatku dyskretnie i tajemniczo. W cztery oczy. Bez specjalnych podziękowań, z wymienieniem nawet imienia mojego braciszka. Z zapytaniem, jak mu się naprawdę powodzi, ponieważ słyszeli, że się *herz und vernünitig* ożenił w Brazylii.

Jutro mogę odebrać sobie mojego już Chodowieckiego. Naturalnie gość nie wymienił nazwiska malarza, a powiedział po prostu:

- Portret pradziadka pani, Madame, sprzed stu pięćdziesięciu lat ozdobi ściany tego równie starego domu szwajcarskiego.

Z drugiej strony ciekawa droga wędrówki obrazu, tylko jedno w tym niepotrzebne: świadek. Niewątpliwie członek niemieckiego poselstwa, dobrze i źle. Ale stało się. Na razie w programie jutrzejsza podróż do Berna.

Sobota - 19 marca

Pojechałam rannym pociągiem i wróciłam wieczorem. Sama załatwiłam wszystko. Im mniej wtajemniczonych, tym lepiej. Obraz wisi już nad komódką. Wszyscy byli zdziwieni, Arnold zapytał krótko:

- W jaki sposób, Anno?

Słyszał o tym obrazie od Marcina, wiedział również o kopii wykonanej dla mnie przed kilku laty. Wyobraził sobie, że to jest właśnie kopia. Nie prostowałam na razie, powiedziałam tylko:

- To jest nasz pradziad, widomy znak tego, że ustaliśmy się obie z Martą w starym domu.

- Ależ to jest chłopczyk - powiedziała moja córka. Trzeba było jej tłumaczyć, że każdy dziadek był kiedyś właśnie takim chłopczykiem.

Niedziela - 20 marca

Matylda już w Genewie. Rozmawiałam z nią telefonicznie.

Powiedziała mi szczerze:

- Osiwiałam, Anno, nie pytaj o nic więcej.

W godzinę później dzwoniła Elza. Ojca Matyldy zabito w pierwszym dniu po zajęciu Wiednia, jakieś fabryczne porachunki, brat dostał się do obozu. Matyldę w porę ostrzeżono, początkowo ukrywała się na wsi u znajomych, w dwa dni później przedostała się przez południową granicę, odarta prawie ze wszystkiego. Za cenę walizki z dewizami. Aby wykupić bilet do Mediolonu, sprzedała za granicą włoską futro, które miała na sobie. W Mediolanie znajomy adres i komunikacja z Genewą. Dzieje jednego dnia w historii świata.

Wczoraj nadszedł list z Warszawy. Z opóźnieniem, ale nadszedł. Na świecie zresztą już nastąpiło uspokojenie. Historia przechodzi zawsze ponad naszymi głowami. Podąża ku przeszłości, zapomina o trupach, które rozsiewa na swojej drodze.

Poniedziałek - 21 marca

Jutro ma przyjechać z Montreux nauczycielka dla Marty. Podobno młoda osoba, polecona przez znajomych. Kłopot z mieszkaniem i stołowaniem, chociaż Hornowie wyśmiali, z miejsca moje obiekcje.

- Dom duży - powiedzieli - jedzenia nie brakuje, jeden talerz więcej.

- Gdzie zresztą Marcie byłoby lepiej? - dodał Czerwona Łopata.

Trzeba będzie zbierać się do powrotu. Matylda sprowadza córki do siebie, do Genewy. Nie dziwię się jej. Jest wystraszona, pragnie widzieć dzieci, pragnie upewnić się, że żyją i że nic im nie zagraża. Rozumiem jej położenie. Powinnam pojechać do Genewy.

Właściwie niepotrzebny jest ten cały hałas o Wiedeń. Trudno się dziwić Niemcom, że dążyli do połączenia wszystkich niemieckich krajów, bardzo stara idea polityczna. Wiedeń w układzie powojennym stał się jakimś centralnym punktem handlu, w którym sami Austriacy niewiele mieli do powiedzenia. Przyszło rozładowanie i od razu odpadli pośrednicy. W ideowym nurcie tkwiło i tkwi wielu teoretyków, którzy robią plany na stulecia naprzód, natomiast handlowcy szukają rozwiązań bliższych w czasie. Oto pryncypialna przyczyna rozwiązywania łóż w Niemczech i za ich przykładem w Polsce. Tu i tam - rozwiązano mniej ważne i dekoracyjne łoża, główny trzon pozostaje nietknięty, więcej nawet, utrwala się właśnie w kraju zimnej kalkulacji, jakim jest Wielka Brytania. Polityka wobec Abisynii i Hiszpanii. Oba narody nie są ważne i dla samej sprawy stanowią jedynie teren do rozgrywek.

Trochę ideologii, natomiast wiele handlu. Światowe drogi morskie i chęć wykrwawienia potencjalnych wrogów przy pomocy jedynie złota i stosunków. Zresztą zobaczymy, jak się to wszystko ułoży po zajęciu Wiednia przez potencjał młodej idei pangermanizmu, występującego pod sztandarem narodowego socjalizmu. Profesor Wydra mówi, że z tym socjalizmem to jest tylko oszustwo, aby czymś atrakcyjnym wypełnić hitlerowski program zbudowania ustroju kompletnie totalnego. Takie ustroje buduje się jedynie w okresie przygotowywania wielkich wojen i wielkich działań.

Ale po co ja o tym wszystkim piszę? Tyle innych spraw. Dla kupca jest rzeczą obojętną, kto u niego kupuje, byle płacił w terminie. Czułości i sentymentów nie ma w kupiectwie. Kto mocniejszy, ten lepszy. Marcinowi co prawda mocno pokrzyżowały się szyki, ponieważ oni wszyscy byli nastawieni na odrębność Austrii i jej tranzytowe położenie. - Najlepsze interesy robi się w bramach przechodnych - tak mi kiedyś powiedział. Nastawia się na pewno inaczej i szybko przegrupują swoje interesy. Ja w tym wszystkim pełnię rolę małego wróbelka. Pozwalają mi dziobać i tyle.

Marcin mówił:

- Angielskie loże wystawiły nas obecnie do wiatru, czas będzie pomyśleć o wyprzedaży ich imperium. Napuścimy Amerykę. Przykre jest jedynie to, że różni nasi znajomi ponoszą klęski osobiste. Ale na to nie ma rady.

Dzisiaj powiedziała mi Marta:

- Ciocia Margot wytłumaczyła mi, że ten las dębowy za murem nie należy do nas i nie trzeba tam chodzić. Jeżeli nie chcemy, aby obcy ludzie deptali grządki w naszym ogrodzie, sami musimy dawać dobry przykład. Chłopcom to wypada, mnie nie. Nigdy już więcej nie pójde do tamtego lasu!

U nas w Polsce mówiliby się: - Nie rób tego, Marciu, to sprawia przykrość cioci Annie, mamusi i tak dalej. Tutaj nie na sentyment, lecz w ramach praktycznego rozsądku. Może tak lepiej?

Ciekawa jestem, jak będzie wyglądać ta nauczycielka dla Marty. Ma przyjechać z Zosią Wirewiczówną.

Środa - 22 marca

Owszem. Dwugodzinna rozmowa z panną Rose potwierdziła sympatię od pierwszego wejrzenia. Zjawi się na stałe w Eichel w najbliższy poniedziałek rano i nie rozłączy się z małą aż do jej pierwszego dnia we francuskiej szkole. W tym samym czasie nadejdą zapewne zamówione podręczniki. Dwieście franków i miesięcznie i pełne utrzymanie.

Zosia bardzo miła. Przenocowała u nas i było sporo gadania do późnej nocy. Nie jedzie na święta do Warszawy. Wieroczka projektuje urządzenie u niej w Lozannie rodzinnych świąt według ruskiej mody, ale w naszych datach kalendarzowych, Podobno jest projekt, aby mnie zatrzymać w Szwajcarii do tego czasu i zaprosić do Lozanny całą naszą trójkę. Zobaczymy. Jutro lub najdalej pojutrze powinien nadeść list od stryjka Józefa. Nietrudna sprawa, ponieważ w końcu miesiąca wraca z Krynicy Leokadia, a jej nie uśmiecha się na razie przebywanie w Górkach.

Czwartek - 24 marca

Jutro spotykam się z Marcinem w Bernie. Bardzo rano, mamy załatwić zamianę mojego paszportu warszawskiego na konsularny ze względu na stały pobyt w Szwajcarii. Marcin już kilkakrotnie o tym wspominał. Ponadto ma do mnie interesy.

Sobota - 26 marca

Cały dom w kinie. Ja leżę, tak wypadło i w dodatku bardzo dokuczliwie. Mogę pisać. Nabieram ochoty do tego szwajcarskiego łoża we wnęce. Minęły moje marzenia, które niedawno tak trywialnie określiła Elza:

- A jak tam, Anno, u ciebie z cherubinami?

Początkowo nie połąpałam się i dopiero uśmiech obu siostr naprowadził mnie na postać z opery. Dobrze tak powiedzieć: cherubin, gdy tymczasem, psiakrew, krzyże bołą. Ale już wolę moje dawne psiakrew niż ostatnie głupstwa sprzed roku.

Marcin zdołał rozmówić się z Warszawą, dają mi lauffpass, ale domagają się, abym wróciła już całkowicie spokojna. Zresztą wszystko inne całkiem dobrze, podobno stryj Józef wyraził się, że moje bankowe konta spuchły i mocno straszą pięciu zerami. Z listu Mireskiego wynika, że termin licytacji majątku starego Liteńskiego już w Wielki Poniedziałek. Mireski wie, co robić, ma odpowiednie pełnomocnictwo. Lepiej, żeby mnie tam nie było w tym terminie. Będzie zręczniejsz.

W Bernie całkiem gładko. Wystawili mi nowy paszport typu konsularnego, jaki wystawiają dla obywateli polskich stale mieszkających za granicą. Z terminem jednorocznej ważności, dokładnie do dnia 25 marca 1939 roku, później trzeba będzie przedłożyć do ostemplowania na dalszy roczny pobyt. Niemiecka i francuska wiza również roczna, do wielokrotnego przekraczania granic. Wszystko gładko, w poniedziałek przyłożą mi na paszporcie pieczęcie nasze władze kantonalne, z tym łatwo. Załatwi Czerwona Łopata, wybiera się tam w innej sprawie, to po drodze...

W połowie tygodnia przybędą do mnie z wizytą Matylda i Elza. Matylda zabiera dziewczynki i wszyscy jadą do Cannes. Na wypoczynek. O matce Matyldy brak do tej chwili wiadomości.

Stary Płaton podsuwa mi kamienicę w Genewie. Tym razem już bez figli z kredytami. Za gotówkę. Okrągło dwieście tysięcy franków plus pięćdziesiąt pięć na hipotecę. Podobno korzystnie, przynosi prawie sześć procent. Okazja, ponieważ obecnie wszyscy przerzucają się na ruchome akcje, to znaczy wszystko z wyjątkiem państwowych papierów pupilamych. Chyba nie, wolałabym na miejscu w Bazylei. Nie wypowiedziałam na ten temat ostatniego słowa, mówiłam, że się namyślę, napomknęłam o przypuszczalnym kupnie majątku po Liteńskich. Na wspomnienie tego nazwiska Marcin skrzywił się tak boleśnie, jak by się napił „octu siedmiu złodziei”. Jakoś obu z Płatonem korci martwy depozyt, jak oni nazywają moją genewską kupkę złota w sejfie u Dubowa. Niech leży, przyjdzie czas, będzie rada i będzie decyzja.

Marcin od zaraz wycofuje się ze wszystkich interesów z Władkiem, mam przejąć całą resztę od najbliższego pierwszego na mój rachunek. Dziwny podarek. Marcin powiedział mi krótko, że tak wypada w jego obecnych warunkach. Nie pytam o szczegóły, już zdążyłam przyzwyczaić się do jego zmarszczeń brwi i kategorycznego: tak lub nie. Co do mnie, to postawił termin dla wycofania się z tej kategorii interesów - najdalej do końca obecnego roku. Przypuszczalnie w przyszłym roku wycofamy się całkowicie z warszawskiego drzewa, wpuścimy tam nowych ludzi, a sami zlikwidujemy interesy. Już teraz wypłacimy za ledwie pięć i pół procent dywidendy, mimo że projektujemy wydanie następnej emisji akcji. Sprawa ustali się po bilansie w połowie czerwca. Marcin w tym czasie odwiedzi Warszawę. Zresztą moc zleceń, dokładny plan bitwy o wygranie interesów. W interesach mokotowskich całkowita obojętność i neutralność, przy równoczesnej uśmiechniętej życzliwości. Nic więcej. Władek został przez Marcina uwiadomiony o dyspozycjach handlowych wydanych mi obecnie, bez podania ich treści. Łamigłówa, którą trzeba będzie rozgryzać powoli i w spokoju, już na miejscu w Warszawie. Ponadto wiele innych informacji, które jednak nie nadają się do spisywania w bloczku.

Mam zlikwidować poznańską kamienicę, spowodować wypłatę starej gospodyni owego depozytu pięciu tysięcy złotych po starym doktorze, dołożyć i kupić jej jakiś domek z

ogrodem w miasteczku, z którego pochodzi. Coś w cenie dwudziestu tysięcy złotych. Mam podarować jej całe umeblowanie kuchenne oraz pokoiku, w którym mieszka. Gabinet lekarski do sprzedania. Pozostałe meble zapakować i wysłać przez firmę Hartwig do Bazylei. Na razie zostaną złożone na składzie, później wypełnią puste ściany po wyprowadzeniu się Hornów. Może i słusznie. Miło czułam się zawsze w otoczeniu tych starych mebli. W ten sposób połączę stare wspomnienia z nowymi projektami.

Kupno kamienicy zaofiaruję w pierwszej kolejności Józinkom. Gdyby im się to kalkulowało, dam im korzystne warunki. Może dla katowickich Świetlików będzie dogodne umieszczenie gdzieś na boku takiego kapitaliku. Pana Szczytnickiego mam natychmiast spłacić, niezależnie od umówionych terminów. Według Marcina wyglądałoby głupio, gdybym licytowała majątek jego krewnych Liteńskich, korzystając z tego rodzaju wygodnej hipoteki rodzinnej. Ma rację. Jeżeli mi zdrowie dopisze, jutro sfabrykuję listy w tej sprawie. Naturalnie zacznę od tego, że zwrócę się do pana Benedykta o wyrażenie zgody na przedwczesną spłatę tej hipoteki, jako zręczny powód podam zamiar sprzedaży tego domu. Noblesse oblige, w tym wypadku zalecona jest w istocie wielka delikatność.

Mam sprzedać kamienicę Marcina przy ulicy Chmielnej jeszcze przed lipcem, wszystko ponad sześćset tysięcy moje. Pozostaje tylko do wykrojenia w hipotece kawałek ogrodu na tyłach oficyny tej realności i przyłączenie go do hipoteki domu przy ulicy Hortensji, który Marcin ma zamiar zatrzymać w dalszym ciągu.

W jesieni po żniwach sprzedam domy przy Mińskiej. Tak to wszystko wygląda, że w styczniu pozostaną jedynie przy moim drugim piętrze na Hortensji. Co do lakierów, to zaraz po powrocie do Warszawy sprzedam je szybko za cenę określoną przez naszych przyjaciół z Mokotowa.

- Tak, jak będą chcieli i jak im to będzie wygodne, nawet za trzy grosze - dodał Marcin już na wesoło.

Wysłuchałam wszystkiego spokojnie i z namaszczeniem, jak uczennica starego belfra krótko przed maturą, i na samym końcu pokornie, lecz z humorem zapytałam:

- A co będzie później? Od Nowego Roku? Co będę wówczas robiła? Dobrze, przyjadę tutaj do Eichel, rozpakuję kufry i walizy, wydobędę z nich drobiazgi, rozmieszczę wszystko w szafach, ale co potem?

Marcin na razie milczał. Dopiero później musnął mnie spojrzeniem i rzekł całkiem obojętnie:

- Odpoczniesz. Będiesz miała Martę niedaleko, w Annecy, pięćdziesiąt kilometrów wygodnym autokarem z Genewy. A gdy ci się znudzi Eichel, kupisz sobie bilet okrętowy pierwszej klasy i wykorzystasz okazję przyszłorocznej Wystawy Światowej w Nowym Jorku, by odwiedzić naszych krewnych w Nowym Świecie. Juliusz w Chicago, wasz przyjacielek Christiano w Sao Paulo, poznasz bratową, sennorę Estrellę, i jej bliźnięta.

Na tym zakończyliśmy berneńskie rozmowy. Marcin zapłacił kawiarniany rachunek, wsiedliśmy do samochodu, a po drodze na dworzec kupił siedem jednakowych pudełek z czekoladkami. Do Montreux zabrał jedno, a mnie z szatańskim uśmiechem obarczył sześcioma kilogramami: dla obu Margot, dla ciotki Hornów, dla pani Horodyńskiej, dla Marty i dla mnie. Mężczyznom doradzał, aby skorzystali z bombonierek ofiarowanych damom. Miał rację. Czerwona Łopata zaraz na poczekaniu dobrał się do pudełka żony i spożył jego zawartość zamiast podwieczorku. Marta ofiarowała swoje pudełko chłopcom, z własnej inicjatywy, ponieważ tego dnia przynieśli jej parę młodych gołębi. Mała Margot zabrała swoje pudełko i podobno schowała w szafie, co wywołało ogólny śmiech. Pani Horodyńska częstowała wszystkich, a ja moje wystawiłam na publiczny widok w pokoju na górce.

- Kto przyjdzie, ten będzie lepszy - powiedział Czerwona Łopata.

A Szwajcarów mają u nas za poważnych i zimnych ludzi. Ot tak wyglądają domowe figle w Eichelbachu.

Koniec z pisaniem. Słyszę przez drzwi, młodzież hałasuje, pewnie było wesoło w kinie. Trzeba będzie się ubrać i zejść na dół. Trudno nie wziąć udziału w rodzinnym omawianiu filmu z Fairbanksem.

Ktoś tupie po schodach. Pewno Marta zrzuca z obuwia resztki śniegu.

Niedziela - 27 marca

Pani Horodyńska powiedziała dzisiaj:

- Wszystko jak w powieści. Nigdy nie byłabym się spodziewała, że sprawy przyjmą taki obrót. Ludzie żyją dziesiątkami lat w jednym mieście i tym samym domu, dlatego śniedzieją im dusze. Gdyby nie było granic i kordonów, ludzie bardziej zbliżyliby się do siebie.

Kłopot z mieszkaniem. Jutro urządzi się pannę Rosę na facjatce, a my we trzy zamieszkamy w pokoju z gankiem wzdłuż południowej ściany domu. Trochę ciasno, ale zmieścimy się. Na dole w gabinecie doktora Horno nie tyłoby przyjemnie, to dobre na dzień, na dwa. Szkoda mi wygodnego łóżka, ale trudno.

Poniedziałek - 28 marca

Wszystko ułożyło się od pierwszej godziny. Panna Rose to wesołe stworzenie. Cieszę się życiem, a to już dużo znaczy. Dzisiejsze popołudnie poświęciłam na pisanie listów.

Środa - 30 marca

Trudno pisać. Ciasno w jednym pokoju, ale miło. Mała w swoim żywiole. Ma chęć do nauki. Jutro przyjeżdża Elza z Matyldą.

Montreux - piątek - 1 kwietnia

Marcina wezwała Mrs Maltz do Paryża, ale wraca za kilka dni. Ja skorzystałam wczoraj z samochodu i wybrałam się do „Acacji”. Florencja samotna, ponieważ wiedeński gość Marcina zamknął się w pokoju, gdzie mu przynoszą posiłki. Nigdzie nie wychodzi, z nikim nie rozmawia. Coś pisze. Czeka obecnie na wizę do Montrealu, gdzie ma krewnych. Przedtem chce w ciszy ochłonąć z wiedeńskiej makabry. Z wizą nie jest obecnie łatwo, ale mu pomogą.

Nic nie robię i myślę o niebieskich migdałach. Zabawiałam się w malowanie rodzinnych portretów, kupowałam domy, które obecnie będę wyprzedawać. Przypominam sobie owe dwa gorączkowe miesiące, gdy starałam się wykończyć domy na Mińskiej jeszcze przed nadejściem zimy. Później dziecinne zachwyty nad figłami z władzami skarbowymi.

Ano, to była freblówka. Dowcip obecnie będzie polegał na tym, aby kartami trzymanymi już w rękę umieć zagrać. Na razie kilka dni odpocznę w „Acacji”. Tego samego pragnie Florencja. Ona również miała gorące dni w ostatnich czasach. W poniedziałek wybieramy się cichutko do teatru w Genewie. Bez odwiedzania Dubowów. W garsonierze Elzy. Po studencku. Florencja miewa czasami takie pomysły. We wtorek rano wrócę do Eichel.

Sobota - 2 kwietnia

Obszerny list od Heinricha. Opisuje, jak się urządził. Wszystko idzie już normalnym trybem. Jak z tego listu wynika, Anna napisała podobny list do mnie pod warszawskim adresem.

Niedziela - 3 kwietnia

Dzisiaj w południe zjawił się u nas Marcin.

Warszawa - środa - 13 kwietnia

W domu. To jest również mój dom. Tysiące szczegółów, tysiące różnych opowieści. Wajnsztokowie zgodzili się na odłożenie licytacji do końca kwietnia. Dr Mireski zgodnie z moimi dyspozycjami nie robił trudności. Starego Liteńskiego zastępuje jakiś krakowski adwokat z sygnetem na palcu, tak określił go Mizres.

Mieszkanie wydało mi się dziwnie puste i spokojne. Pokojówka z Górek, na razie dla mnie nowość jako człowiek. Właściwie to pokojówka Leokadii, ja jestem obecnie na przyczepkę.

Brak mi małej. Przyzwyczaiałam się do dziewczynki, stwarzała mi łagodną atmosferę. Ciekawa jestem, z czym wyskoczą Liteńscy. Z której strony rozpoczną atak?

Jedynym człowiekiem, który ucieszył się z mojego powrotu, był profesor. Od razu pojawił się na obiedzie i kolacji, mimo że stosuje dietę: wieczorem pół filiżanki nie osłodzonej herbaty, bardzo lekkiej, i dwa sucharki bez soli i bez cukru.

Wiadomości: Wiedeńską porcelaną przydzielono niemieckiemu koncernowi, do którego należy Rosenthal. O matce Matyldy w dalszym ciągu brak wieści. Przepadła. W dzisiejszych czasach przepadają ludzie. Od dnia 13 marca 1938 roku Wiedeń to miasto prawdziwych tragedii. Pogrom wśród naszych znajomych. Nie śmiałam tego tak otwarcie napisać w Eichel. Matylda powiedziała mi w Bazylei:

- Dobrze, Anno, że zabrałaś wówczas moje serdeczne pamiątki z lat młodości. Mnie na granicy obdarli ze wszystkiego, ale to były tylko pieniądze. - Matka. Rozumiem doskonale. Może uspokoi się, ocaliła przecież dzieci.

Sobota - 16 kwietnia

Przeskoczyłam prawie dwa tygodnie, ale zapisany bloczek trzeba było zniszczyć.

Rozmowy z Władkiem. Właśnie w tym miesiącu lecą nowe partie *via* Rumunia. Ładują na greckie statki. To są właśnie te transporty, o których nie chce słyszeć Marcin. Nie pytałam o detale, znam je z grubsza, szczegóły nie są ważne. Po cztery procent obaj dotychczasowi wspólnicy, a dodatkowo dwa dla kogoś w ministerstwie. Ponadto dwa dla mnie w Londynie. Urodzaj na gotówkę. Około miliona trzystu tysięcy złotych. Władek jedzie na kilka dni do Londynu w celu spotkania się z młodym „K”. Jeszcze bardziej zdziwiony ode mnie. Na razie jednak nie rozumie sytuacji, ponieważ Marcin powiedział mu jedynie, aby absolutnie wszystkie sprawy załatwiał tylko ze mną. Wyobraża sobie, że jestem w tym wypadku skrzynką pocztową. Może tak i lepiej, nie protestuję. Mniej będzie zawiści. Marcinowi natomiast zależy na faktycznym i całkowitym wycofaniu się z tych interesów.

Wczoraj, mimo Wielkiego Piątku, byłam na brydżu. Nudno, przynajmniej szczęście, że bez odsiadki przy stole, tylko dwie godziny. Po złotówce punkt, ale tak wypadło. Koszty handlowe około półtora tysiąca złotych, zwykła cena dyrektorów departamentu. Zawsze to jednak zręcznie w ten sposób. Zresztą głupia, drobna sprawa. Brydż był u prawie obcych ludzi, lecz w towarzystwie Wirewiczów. Poza tym bilanse i lasy cyfr.

Po powrocie do Warszawy zastałam korespondencję z Paryża, adresowaną do mnie osobiście na ul. Hortensji. Umowa o wyłączne przedstawicielstwo na Polskę do końca roku 1941 dla firmy „Sol” w Warszawie, 45% rabatu loco wagon w Paryżu. Dla mnie to zrozumiałe, gdyż uprzednio uzgodnione z Elzą. W przyszłym tygodniu, gdy będzie dogodny moment, uszczęśliwię Mireskich zgodą na sprzedaż lakierów. Takie sobie zwykle przegrupowanie na froncie. W rodzaju starej garderoby, jako źródło radości dla ubogich krewnych czy znajomych.

Środa - 20 kwietnia

Tfu! W niedzielę po obiedzie świątecznym dobierali się do mnie Orzechowscy, a wczoraj od samego rana wynudzili mnie w komplecie obaj panowie Wajnsztokowie. Pierwsi - w imię rodzinnej zgody namawiali do cofnięcia zabezpieczenia i ostrzeżenia w hipotecę,

mówili gęsto o sprolongowaniu stu dwudziestu tysięcy na dalszy rok i bardzo mgliście(!) o potrzebie rozmówienia się na temat moich posagowych dwustu tysięcy. Dobrzy sobie. Ponieważ był przy tym pan Benedykt, rozmawiałam z uśmiechem i bardzo swobodnie. Odsyłałam co chwilę do moich adwokatów. Mówiłam o likwidowaniu polskich interesów, jednym słowem rodzinne historie finansowe spływały po mnie jak krople deszczu po płaszczu gumowym. Wreszcie powiedziałam wesoło:

- Ależ, moi państwo, jeżeli się zdarzy, że nabędę Podjaski na licytacji, to przecież nic się majątkowi nie stanie. Zostanie w rodzinie, włożę w niego drugie dwieście tysięcy, doprowadzę do kultury. Podjaskom wyjdzie to na zdrowie, co najwyżej Wajnsztokowie spadną ze swoją hipoteką. A moje sto pięćdziesiąt tysięcy po Wajnsztokach - na ostatnim miejscu? Zgódźmy się, że to nie była hipoteka, a jedynie wesoła krotochwila.

Młodemu Orzechowskiemu nie było przyjemnie. W dodatku czułam, że Gabrysi zbiera się na płacz.

- Ostatecznie ja nie upieram się przy posiadaniu tego majątku na stałe. Kupię, kazałam nawet kupić na licytacji całość urzędnika domowego, odrestauruję i każdej chwili będę gotowa odsprzedać go z powrotem panom Liteńskim. Naturalnie za cenę wszystkich wyłożonych nakładów. Bez sprzedawania zboża na pniu. Powiedzmy w terminie rocznym czy dwuletnim. To chyba z mojej strony zdrowa propozycja? Jeden rok i oddaję majątek doprowadzony do porządku.

Wszyscy spojrzeli na mnie, Leokadia z lekka drwiąco, pan Szczytnicki i Maksiu poważnie, obie kuzynki zdziwione, natomiast młody Orzechowski prawie ze złością:

- Dobrze, pani Anno, ale skąd by oni mogli wziąć za rok tyle pieniędzy? Wolne żarty. Obecnie wszyscy kręcą się bez gotówki.

- Nie wiem - odpowiedziałam. - Przypuśćmy nawet, że wycofuję się z tej sprawy. Licytacja nie odbywa się. Wajnsztokowie czekają. Mówili mi moi rzeczoznawcy, że majątek wymaga wprowadzenia stu do stu trzydziestu tysięcy żywej gotówki, i skąd ją wziąć w tym nowym położeniu? Przecież państwo nie żądacie, abym to ja właśnie wyłożyła tę gotówkę?

Rozmowa wysztywniała i w pół godziny później Leokadia powiedziała mi już w domu:

- Cóż to za ciasna mentalność. Starzy Orzechowscy nie pomogą, nie wiem, czy rozporządzają obecnie dziesięcioma tysiącami gotówki. Maksiu nie obdłuży swego majątku, bo gdzie jest na to jakaś ewikcja. Benedykt nie da, ponieważ niegłupi i to mu się już znudziło, a młody Orzechowski mocny w pysku, ale dusigrosz.

Wajnsztokowie. Naprzód sondowanie. Co ja bym zrobiła, gdyby oni kupili majątek na licytacji? Czy poczekałabym dwa lata lub rok na spłatę tej murowanej hipoteki stu dwudziestu tysięcy? Naiwniaki. Potem zapytali mnie, czy ja naprawdę mam zamiar kupić. Żartem odpowiedziałam, że do trzystu tysięcy na pewno.

- A jeżeli będzie więcej?

- Nie wiem, ponieważ nie mam chwilowo gotówki.

Roześmieli się. Od razu mi powiedzieli, że przecież sprzedałam kamienicę na Hortensji. Znali nawet sumę. Dopiero na samym końcu powiedzieli, z czym przyszli do mnie.

Wyobrazili sobie, że zawrą ze mną ugodę. Zaproponowali mi kupno ich hipoteki z zaległymi procentami. Swoją drogą rozsądna propozycja. Kupuję tę hipotekę za czterdzieści tysięcy, zyskuję tym samym dość swobodną rękę przy licytowaniu ponad trzysta tysięcy, a dzięki ostrzeżeniu odnośnie zabezpieczenia kwoty posagowej mogłabym właściwie licytować bez wyjmowania gotówki z kieszeni, ponad owe czterdzieści tysięcy dla kupców z Rymanowa.

- Nie wiem - powiedziałam - mam czas, to dopiero w przyszłym tygodniu. Teraz napijmy się dobrego koniaku. - Nie ustąpiłam, podczas herbaty zjawiała się Leokadia, rozmowa potoczyła się na nowo, kupcy pytali nawet, czy przyjadę na licytację.

- Ależ nie - wybuchnęłam śmiechem - ani mi w głowie, to sprawa moich adwokatów.

Starszy kupiec uśmiechnął się boleśnie, jednakże grzecznie zauważył:

- Pani dyrektor dobrze się śmiać. Pani ma grube miliony, a my jesteśmy drobni kupcy z Rymanowa. Pani przecież wykupiła ten ostatni weksel panów hrabiów Liteńskich na dziesięć tysięcy. On przecież - był już po rozwodzie.

- Trudno uprzedzać fakty, moi panowie - powiedziałam wymijająco. - A może panowie Litenscy zdobędą gotówkę? Do licytacji mamy jeszcze prawie dwa tygodnie. Oni mają bogatych krewnych.

Czwartek - 21 kwietnia

Odwiedził mnie pan Szczytnicki. Opowiadałam mu o kupcach z Rymanowa.

Powiedział, że to propozycja, nad którą warto się zastanowić, ale później, po namyśle, dodał:

- A może i nie warto? To byłoby dobre dla Liteńskich, gdyby wydostali skądś pieniądze. Zawsze taka ugoda lepsza od licytacji. Ale dla nich to nieziszczalne marzenie. Ja jestem zdecydowany, pieniędzy nie dam, a sam nie mam zamiaru stanąć do licytacji. Niech pani pośle tam tego waszego, jak mu tam, doktora Mizresa. Wystarczy. A ponieważ licytacja w sobotę, zapraszam obie panie do siebie na wieś. Przyjdźcie panie w południe, sobota, niedziela i poniedziałek, sproszę trochę sąsiadów, będzie wesoło. Niech pani namówi też profesora.

Liza i Karol pobrali się w drugie święto. Na razie mieszkają na pierwszym piętrze w pokoju Karola, ale od maja urządzią sobie tu w oficynie na drugim piętrze dwa pokoje z kuchnią. Jakoś Hołobla wydłubał. Meble już zakupione. Ciotka Elfryda urządziła im wesele na pierwszym piętrze. Od nas, jak było ułożone, wspólnie pięć tysięcy gotówką. Ponadto każde z nas dało im osobiste upominki. Liza nie usuwa się od pracy w naszej rodzinie. Będzie królowała na pierwszym piętrze, sporo roboty, stryjostwo i profesor. Aniela, pokojówka Leokadii, tylko na górze.

Młodzi są rozpromienieni. No cóż? Przecież to małżeństwo z miłości. Takie również się zdarzają. Przynajmniej oni oboje w to wierzą.

Piątek - 22 kwietnia

Listy od małej i od pani Horodyńskiej. Dopisek panny Rose o dobrych postępach w nauce.

Właśnie dzisiaj miałam u siebie na herbatce oboje państwa Mireskich. Przyszli w wiadomej sprawie. Pozwoliłam im wygadać się trochę, a później od razu, bez głupich ceregieli przeniosłam ich do nieba. W szybkim tempie pokazałam im nową umowę z Paryżem, wyraziłam zgodę na sprzedaż i skierowałam do Wirewiczowej dla ustalenia wysokości ceny kupna. Promienieli. Co prawda wspomniałam o konieczności zawarcia z panną Beatą nowej umowy, powiedzmy na okres trwania obecnej umowy z Paryżem. Nie czynili sprzeciwów w tym kierunku, chociaż skądinąd wiem, że nie bardzo im to będzie na rękę. Ale trudno, naprzód była panna Beata, a dopiero znacznie później Lucynka.

Sobota - 23 kwietnia

Jak zwykle w takich sprawach i z takimi ludźmi - przetargi. Stało na tym, że panna Beata wyjdzie od lipca z biura i dostanie trzyletnie subprzedstawicielstwo „Sol” na miasto Warszawę. Pięć procent od wszystkiego, a dodatkowo trzy procent od zamówień przyniesionych, jak to mówią, osobiście w ząbkach. Już w poniedziałek sprzedaż u notariusza.

Poniedziałek - 25 kwietnia

Leżałam, a zostałam zmuszona do ubrania się i przyjęcia gościa. Tym razem bardzo elegancki adwokat krakowski, ze złotym sygnetem na palcu i koligacjami co dwa słowa.

Poważny jegomość z senatorskim wyglądem. Przyjaciel i kolega starszego pana Liteńskiego, więcej przyjaciel niż radca prawny. Podejmowałam jak zwykle we fiołkowym gabinecie z portretami. Usiedliśmy w fotelach, pod pradziadem Fryderykiem.

Powtórzenie propozycji Wajnsztoków w wydaniu korzystnym dla Liteńskich. Możliwość zaspokojenia, jak się wyraził, żydowskiej hipoteki.

- Wiem - przerwałam - za cenę czterdziestu tysięcy złotych.

Propozycja prolongowania murowanej hipoteki na dalszy rok, a co do posagowych dwustu tysięcy złotych, trzyletni termin spłaty, z dobrym zabezpieczeniem... rodzinnym, co zostało od razu podkreślone, aby nie było żadnych wątpliwości.

- Czyje zabezpieczenie? - bąknęłam zimno.

Okazało się, że tylko weksle z żyrem starszych państwa Orzechowskich. Zamiast odpowiadać na moje ewentualne pytania, ten pan sam zapytał, czy może kwestionuję pewność podpisów „naszych” krewnych Orzechowskich?

- Nie - odparłam krótko - co do państwa Orzechowskich w żadnym wypadku, lecz odnośnie weksli samych panów Liteńskich.

Podniosłam się z fotela, otworzyłam biurko dziadka i zademonstrowałam adwokatowi weksel na dziesięć tysięcy złotych, wykupiony przeze mnie u Wajnsztoków w dniu 20 stycznia w tym roku, już po rozwodzie.

Adwokat jakoś nie mógł zorientować się w wekslu. Objaśniłam daty, po czym powiedziałam:

- Jakoś nie-mam powodu do entuzjazmowania się wekslami panów Liteńskich. Ten weksel wykupiłam w miesiąc po zakończeniu spraw rozwodowych w konsystorzku, proszę wyraźnie przypomnieć tę okoliczność obu panom Liteńskim, sądzę, że zrozumieją powody, dla których wstrzymuję się... A co do samego majątku, to ostatnio w gronie rodzinnym jasno wypowiedziałam moje poglądy na tę sprawę. Zostało mocno nadszarpnięte moje zaufanie, nadużyto go, w niewłaściwy sposób dokonano zapisów hipotecznych, zlekceważono podpisy na intercyzie ślubnej. Nie warto o tym wspominać, panie mecenasie, sprawa nie jest widocznie znana panu w szczególach. Co do sprawy właściwej - ciągnęłam dalej - to niezawodnie, do państwa Orzechowskich ze Starej Wsi dotarła już moja propozycja. Przeprowadzę uporządkowanie majątku, po roku lub dwóch jestem gotowa odsprzedać go w cenie własnych nakładów. Bez zarobku, panie mecenasie, w rodzinie. A co do tego weksla, który leży przed nami, proszę wspomnieć, że go wykupiłam. Proszę dodać, że bez obaw... w tym wypadku...

Po wypowiedzeniu tych słów podniosłam się z fotela i zaprosiłam gościa na herbatę, którą podano w nowym salonie. Staralam się odegrać rolę miłej gospodyni. Przy pożegnaniu pokojówka wydobyla okrycie z szafy, a ja byłam zmuszona odpowiedzieć na jeszcze jedno pytanie człowieka z wyglądem senatorskim:

- A więc? Cóż pozostaje mi do zakomunikowania w Krakowie?

- Nic - uśmiechnęłam się - panie mecenasie.

Drzwi zamknęły się za tym ostatnim chyba już posłem panów L., a ja usiadłam na sfalszowanej skrzyni Strozich i zastanawiałam się, co mi właściwie po tym wszystkim. Ale równocześnie przypominałam sobie kupiecką dewizę moich dziadków, którzy nigdy nie cofali się w połowie drogi. I postanowiłam wytrwać do końca, nie ustąpić.

Odbyłam dzisiaj rozmowę z panną Walczak. Przyszła do mnie podziękować mi za nowy kontrakt. Podobno to urządza ją życiowo, stwarza pewnego rodzaju niezależność w stosunku do przyszłych właścicieli firmy „Sol”. Odmówiła jednak, gdy zaproponowałam jej pomoc w kupieniu udziału mojej siostry Zofii. Skrzywiła się. Nie chce mieszać się do nowego stylu pracy po moim odejściu z firmy.

Trzeba będzie to jakoś inaczej załatwić. Wyobrażam sobie upominek w postaci czeku, na przykład na dziesięć tysięcy złotych. Zrobię to, gdy sprawa sprzedaży jakoś się przetrze,

gdzieś w połowie lub końcu maja. Przecież dzięki panie Beacie mogłam spać spokojnie. Prowadziła mi firmę bez głupich kawałów, wszystko było jasne i przejrzyste.

U notariusza Mirescy położyli na stole dwadzieścia tysięcy gotówką, pięćdziesiąt mam dostać w ciągu dwóch tygodni, a na sześćdziesiąt tysięcy dostałam trzy- i sześciomiesięczne weksle z żyrem Wirewiczowej. Tak sami zaproponowali. Ponadto do końca czerwca firma „Sol” spłaci mi resztę czystego zysku przypadającą na mnie za rok ubiegły i figurującą na otwartym rachunku w księgach przedsiębiorstwa. Weksle zatrzymam u siebie, nie spieszy mi się do gotówki, szkoda byłoby dyskonta, te weksle są murowane.

Dzisiaj nadeszło kilka listów. Nowe fotografie argentyńskich czy też brazylijskich bliźniaczek. Powariowali, widocznie nic innego nie mają na głowie. Pani Woźnikowa pisze, że jest zachwycona listami Marty. Mała przejęła się swoją rolą i pisuje listy do Rabki po francusku. Utrzymuje korespondencję z rabczańskimi koleżankami. Mogłaby jednak nie wymądrzać się z parlefransowaniem, gdy chodzi o Rabkę. Pani Woźnikowa nie umie po francusku, musi korzystać z uprzejmości nauczycielek. A może Martę to bawi i stanowi równocześnie zachętę? Może to panna Rose?

Środa - 27 kwietnia

Dzisiaj otrzymałam zawiadomienie z Poznania o przeprowadzeniu formalności z wymazaniem hipoteki pana Szczytnickiego. To dobrze, Orzechowscy nie zarzucą mi, że licytuję ich krewnego, korzystając równocześnie sama z pożyczek rodzinnych. Pan Szczytnicki nie podnosił obiekcji w tej sprawie, jestem przekonana, że na moim miejscu postąpiłby tak samo.

Piątek - 29 kwietnia

Naprzód był telefon od pana Szczytnickiego, czy mógłby przyjść do mnie razem ze starszym panem Liteńskim. Przyjęłam ich na pierwszym piętrze w moim urzędowym gabinecie. Godzina dziewiąta rano.

- Proszę - powiedziałam, gdy sekretarka zgłosiła. Umyślnie przedtem sprowadziłam do mego gabinetu panią Wiszniewską z bilansem. Siedziałyśmy obie przy okrągłym stole, ja na kanapie, buchalterka na jednym z foteli. Stół był zarzucony aktami. Wylawirowałam bez podawania ręki, jakoś się udało. Po kilku minutach zostaliśmy sami w trójkę w gabinecie i wówczas zadałam pytanie, zwrócone do pana Szczytnickiego:

- Czym mogłabym służyć?

Naturalnie - kilka zdań wprowadzających i wypowiedzianych przez pana Szczytnickiego bez jakiegokolwiek entuzjazmu:

- Pan Liteński, nie zrażony niepowodzeniem misji swego adwokata, zwrócił się do mnie z prośbą, czyby tej sprawy nie można było jednak - w tym miejscu pan Benedykt strzepnął palcami - załatwić w jakiś sposób. Licytacja takiego starego majątku, pani Anno, to zawsze przykra rzecz, bardzo kłopotliwa dla rodziny...

Dalszy ciąg był jedynie skróconym powtórzeniem propozycji sygnetowego mecenasza z senatorską brodą i koligacjami. Słuchałam w milczeniu. Nadszedł jednak moment, gdy panu Szczytnickiemu zabrakło wątku.

Nie podejmowałam inicjatywy i po dobrej chwili pan Szczytnicki, jakby niechętnie i pod przymusem, bąknął:

- No i jakie jest ostateczne zdanie pani, pani Anno?

Spochmurniałam. Lodowatym tonem, jakby biurowym, zapytałam:

- Czy to są propozycje rodzinne, czy tylko ze strony pana Franciszka Liteńskiego?

Pan Benedykt popatrzył na mnie z zaciekawieniem. Oczy mu się rozszerzyły, podniósł brwi i powiedział:

- Rodzinne, rodzinne, pani Anno, przecież to jasne, że wszystkie inne, nie... doszły do skutku i chociażby z tej przyczyny wprzęgnięto mnie do tego.

Pomyślałam krótką chwilę, po czym zadzwoniłam na sekretarkę i zaprosiłam do siebie doktora Mireskiego.

- Panie doktorze - powiedziałam - w imieniu rodziny mojego brata stryjecznego zwrócił się do mnie pan Belina-Szczytnicki i postanowiłam sprawę wiadomego majątku załatwić na innej platformie. Wyobrażam sobie - mówiłam jakby w przestrzeń - załatwienie w taki na przykład sposób:

Zostanie spisana rejentalna umowa. Punkt pierwszy: majątek w całości zostanie przepisany na imię mojej przybranej córki, zamieszkałej obecnie na stałe w Szwajcarii. Punkt drugi: z hipoteki zostanie wymazana kwota stu tysięcy złotych z nazwiskami Rudolfa i Anny Liteńskich. Punkt trzeci: ponieważ obok licytacji majątku ziemskiego miała odbyć się również licytacja ruchomości gospodarczych, oszacowanych na kwotę dwudziestu dwu tysięcy złotych, oraz mebli i ruchomości domowych, oszacowanych na kwotę dwudziestu sześciu tysięcy złotych, obie kategorie ruchomości stanowiąc będą pewnego rodzaju zastaw dla otwartej w dalszym ciągu sprawy drugich stu tysięcy złotych, które w swoim czasie znalazły zabezpieczenie na ostatnim miejscu numerów hipotecznych, co było niezgodne z umową zawartą w intercyzie przedślubnej. Dla tej propozycji wyobrażam sobie termin jednoroczny. Albo pan Liteński spłaci gotówką te sto tysięcy, albo zastaw stanie się moją nieodwołalną własnością. Punkt czwarty i ostatni: w terminie dwuletnim od podpisania tej, pewnego rodzaju... rodzinnej... ugody pan Franciszek Liteński będzie mógł odkupić z powrotem majątek za cenę wszystkich nakładów poniesionych przeze mnie. To znaczy: dwieście tysięcy posagowych, sto dwadzieścia tysięcy mojej hipoteki po panu Pomerskim plus odpowiednie procenty od tej hipoteki, koszty uspokojenia Wajnsztoków oraz te kwoty, które ja w ciągu tych dwóch lat włożę w Podjaski w celu wyprowadzenia majątku z ruiny gospodarczej.

Zapanowało milczenie. Pierwszy poruszył się Mizres i jakimś nerwowym głosem zapytał:

- A jak pani dyrektor ma zamiar załatwić Wajnsztoków? To przecież oni licytują w tę sobotę. - I zaraz dodał: - Jeszcze nie wyjechali z Warszawy, usiłują znaleźć gotówkę, by stanąć do licytacji.

- Owszem - powiedziałam chłodno - byli również u mnie, proponowali mi nabycie wszystkich pretensji, sami postawili cenę, połowę, to znaczy czterdzieści tysięcy. Nie widzę potrzeby targowania się, a zatem nabędę tę pretensję.

Dr Mireski nie wytrzymał i zerwał się:

- Ależ to zbyt wiele. Można by rozmawiać z nimi o dwudziestu tysiącach, maksymalnie o dwudziestu pięciu. Czterdzieści tysięcy dla nich? To byłaby prawdziwa fantazja... przepraszam, zagalopowałem się, ale doprawdy to fantazja!

Na jego bladej twarzy wykwitły rumieńce. Natomiast pan Szczytnicki zmarszczył brwi, co widząc, powiedziałam szybko:

- Trudno, panie doktorze, czasami warto dla fantazji stracić... trochę pieniędzy.

-- Dobrze, ale może jednak warto byłoby skorzystać z propozycji złożonych przez adwokata pana Liteńskiego i przyjąć zabezpieczenie w postaci weksli żyrowanych przez państwa Orzechowskich? - podjął pan Szczytnicki.

- Och - przerwałam - rezygnuję z weksli, jakoś nie mam szczęścia z wekslami. - Zrobiłam krótką przerwę, gdyż dostrzegłam na twarzy pana Szczytnickiego zdumienie. - Nie wypada ponadto trudzić państwa Orzechowskich, proszę o przekazanie im tego mojego powiedzenia. Może wystarczy prosty zastaw na ruchomościach? Pan, doktorze, będzie łaskaw zaznaczyć w piśmie rejentalnym, że te ruchomości liczą się według spisu dokonanego przy zajęciu sądowym... bez wymieniania detali. To chyba wystarczy? - zapytałam się jakby samej siebie.

Pan Szczytnicki próbował jakoś ratować sytuację i podjął się bardzo niewdzięcznej roli tłumacza niepowodzeń majątkowych panów Liteńskich. Sam Liteński milczał do tej pory, dopiero obecnie, zachęcony swobodnymi słowami kuzyna, bąknął coś w tym sensie:

- Tak, to prawda, kryzys z lat trzydziestych, spadek cen zboża i te różne pijawki...

Głupie to było odezwanie i mocno niezręczne. Powiedziałam jedynie z uśmiechem:

- Może tak, a może i nie. Po wojnie na wsi upadły wszystkie hipoteki. Można było rozsądnie gospodarować. Była dobra okazja. Mój stryj Paweł również gospodarował i jakoś wiązał koniec z końcem.

- Ale jednak ci Wajnsztokowie? Pan doktor Mireski miał rację, gdy podniósł tę sprawę.

- Głos był pana Liteńskiego. Zdziwiłam się. Nikomu jakoś nie śpieszyło się do mówienia. Trzeba zatem było dokończyć:

- Panowie Wajnsztokowie przyszedli do mnie, zgłosili się z własnej inicjatywy. Nie wchodzę w ich pobudki, ale jeżeli o mnie chodzi, nie chciałabym, aby mnie ktoś przeklinał. Po co mają kłać również panów Liteńskich, którym zaufali? Takie rzeczy nie pomagają w życiu. Zresztą, proszę państwa, postanowiłam w swoim czasie licytować do kwoty trzystu sześćdziesięciu tysięcy złotych, ponieważ moi rzeczoznawcy na tyle właśnie oszacowali ten majątek. W tych cyfrach zmieściliby się panowie Wajnsztokowie akurat z tymi czterdziestu tysiącami.

Nie oczekiwałam odpowiedzi. Resztę załatwiłam jak jakąś sprawę biurową. Zwróciłam się do doktora Mireskiego:

- Proszę zaprosić panów Wajnsztoków. Możliwie szybko. Dwadzieścia tysięcy przy akcie, reszta w momencie wymazania ich pretensji z hipoteki. Razem czterdzieści tysięcy. Dzisiaj wieczorem pojedzie z nimi pan Hołobla i osobiście to załatwi. Udzieli mu pan potrzebnych objaśnień. Kupno na imię mojej córki. A co do reszty, to byłoby mi wygodnie dzisiaj u rejenta o godzinie siódmej wieczorem.

Zneglizowałam całkowicie pana Liteńskiego, nie zapytałam go nawet o zdanie, nie przewidywałam dalszej rozmowy na ten temat. Powiedziałam tylko bezosobowo:

- A zatem do siódmej, jeżeli chodzi o szczegóły, to proszę do naszego doktora Mireskiego.

Nasz doktorek stanął na wysokości zadania:

- Bardzo proszę w takim razie do mnie - powiedział skłaniając głowę w stronę pana Liteńskiego. Ten machinalnie wstał z fotela i wyszedł z gabinetu. Zostaliśmy sami z panem Szczytnickim. Długą chwilę przyglądaliśmy się sobie w milczeniu. Później pan Szczytnicki powiedział bardzo krótko:

- Dziękuję pani, Anno. Nie miałem przekonania do tej sprawy, lecz moja siostra...

W kwadrans później siedzieliśmy już w samochodzie. Przedtem pan Szczytnicki poprosił sekretarkę o zakomunikowanie panu Liteńskiemu godziny spotkania, którą wyznaczył w hotelu, gdzie się zatrzymał, na trzecią po południu.

- Zrobiłem więcej - powiedział - niż byłem do tego zobowiązany. Niechże teraz w samotności pan Franciszek sam nad wszystkim pomyśli.

Pojechaliśmy prosto przed siebie. To znaczy do Zbójnej Góry. W nie urządzonej jeszcze domu przyjęła nas ciotka Elfryda. Znalazła dla nas zaciszny kącik na tarasie, kazała podać białą kawę z pieczywem, ponieważ nic innego nie było pod ręką. Smarując rogalik masłem, powiedziałam:

- Ano, ciotko Elfrydo, kupuję dzisiaj naszej małej majątek ziemski w Karpatach. Spłacę wszystkie długi, zagospodaruję, pomimo że - zaśmiałam się - na razie nie mam o tym najmniejszego wyobrażenia. W dodatku obie z Martą zjawimy się w tym królestwie dopiero za dwa lata albo... nie zjawimy się wcale.

Szczegóły opowiadał już pan Benedykt Szczytnicki. Ciotka Elfryda wysłuchała i powiedziała:

- Na co ci to wszystko, Anno? Lepiej byłoby, gdyby majątek kupił ktoś inny. Na licytacji... Liteńscy i tak będą wieszać na tobie psy.

Resztę załatwiali różni ludzie, urzędnicy. Jutro w południe jadę do Szczytnik. Leokadia, profesor i Liza, w tym wypadku bardziej jako żona Karola niż pokojówka. W niedzielę rano zjawi się cały Mokotów i oboje stryjostwo Józefowie. Stryjek wraca do Warszawy dopiero jutro późnym wieczorem, ale przyjedzie. We wtorek pierwszy obiad w Zbójnej Górze. Coś w rodzaju małego, na razie bardzo rodzinnego przyjęcia w naszym nowym domu Jamborowym. W połowie miesiąca oficjalne przyjęcie dla wielu obcych ludzi. Tak wypada. Właśnie dzisiaj przed wieczorem obejrzałam sobie szczegółowo nowy dom stryjostwa. Owszem, naprawdę dwa pokoje, dla Leokadii i dla mnie. Czysto, spokojnie, dużo świeżego powietrza. Sporo własnych drzew. Sosny na piasku. Z ogrodem trochę gorzej. Wożą ziemię, ciotka mówi, że nie wie, kiedy przestaną wozić. Leokadia chce, żebyśmy przeniosły się tam na lato, a do biura będziemy dojeżdżać. Brakuje dotychczas jedynie telefonu, ale mają założyć. Może istotnie wyniesiemy się z miasta?

Zmęczyło mnie takie dokończenie sprawy. W dodatku różne śmieszności. Może nawet Mizres dostał jakąś prowizję od rymanowskich kupców? Wajnsztokowie byli u Mireskich na obiedzie i przy tej okazji ofiarowali gospodni pierścioneczek (jak to określiła ciotka Leokadia). Ano, doktor pnie się „po drabce” w górę. Swoją drogą, może i ja... jakiś pierścioneczek dla pani Lucynki? Chyba na imieniny.

Co powie stryj Józef na moje ostatnie pociągnięcie? Już słyszę jego słowa:

- Ty, Anno, zawsze po szlachecku i z pięknym gestem. A tymczasem z taką kanalią... W ten sposób umożliwiacie im dalszą egzystencję. Czas byłby skończyć z tymi błaznami. Więcej fumów niż rozumu, więcej kantów niż uczciwości. Pan Benedykt Szczytnicki? To nie są oni, pan Benedykt przynależy do wymarłej już dzisiaj rasy Don Kichotów. Z nim zejdzie do grobu rycerskość. Liteńscy to przecież pospolici szubrawcy.

Moi adwokaci dodali jeszcze jeden punkt do naszej wczorajszej ugody. Liteńscy mają załatwić wszystko najdalej do 15 maja, wszystko, łącznie z hipotekami. Naturalnie uległam, płacę wszystkie koszty.

Kto sfalszował mój podpis na wekslach? Stary czy młody? Może kiedyś się dowiem. Na razie niech sobie spoczywają. Zawsze lepiej mieć w zapasie nabity pistolet, gdy się ma do czynienia ze zbójami.

Zbójna Góra - wtorek - 3 maja

W Szczytnikach było rojno. Przyjechali młodzi Cielescy i Maksiu. Gabrysia została przy matce, która podobno jest chora. Pani Karśnicka przy nowym dziecku, ładnie byłabym się urządziła. Taka była bidusia, bledziutka, wątła, a obecnie rozrosła się w biodrach i krzyżach. Rzymska bogini Pomona, kapłanka urodzaju. Pilnuje domu, gospodarstwa i hodowli młodych Karśnickich. Za to ma dobrobyt dziedziczki wsi słynnych na kilka powiatów.

Oryginalny pokoik gościnny. Mały, na razie w umywalce zimna woda. W jesieni mają założyć centralne ogrzewanie. Poprzedni właściciel nie wpadł na taki pomysł i ustawił białe piece kaflowe. Oba pokoiki w hotelowym guście. Mój ze ścianami w kolorze niebieskoperłowym, Leokadii w różowym. Mamy wspólny taras dokładnie na południowy zachód. Kwestia leżaków. Ale to głupstwo.

Interesujące było jedynie zwierzenie pana Benedykta. Starszy pan nie mógł wytrzymać i puścił farbę.

Powiedzenie pani Orzechowskiej:

- Pani Anna Jambor popiera raczej Żydów niż naszych biednych krewnych Liteńskich. Ten gest nagle wzbogaconej - był nie na miejscu! A z drugiej strony zawziętość pani Jambor w stosunku do Liteńskich. Przecież majątek został przez nią... wycyganiony. Wykorzystała

trudną sytuację Franciszka i zmusiła go do podpisania umowy. W ten sposób uzyskała majątek za darmo, za jakieś urojone historie z intercyzą. Skąpiła pieniędzy Rudolfkowi i jego ojciec musiał zapożyczać się u lichwiarzy. Gdyby była fair, to pomieściłaby w tej umowie przynajmniej jakieś mizerne gotówkowe pięćdziesiąt tysięcy. Ale tak?

Pani Orzechowska mówiła tak tego samego dnia, gdy została podpisana wiadoma umowa. Tkwiła w pogotowiu u syna i tam właśnie zwabiła wieczorem swego brata Benedykta. Pan Szczyt-nicki uniósł się i powiedział im wszystkim paternoster. Później wstał i wyszedł, a pani Orzechowska rozchorowała się.

Maksiu ma dostarczyć kilkoro służby do naszego majątku. Podobno Leokadia ma na widoku jakiegoś krewnego spod Leszna na zarządcę. Obejrzymy go sobie w niedzielę w Poznaniu. Wszyscy zostaną wysłani 16 maja do majątku, o dacie pan Mireski już zawiadomił listownie krakowskiego adwokata pp. Liteńskich. Wyprawię wszystkich ludzi na razie pod komendą naszego Hołobli, on ma twardą rękę, ale zręczną do tego rodzaju interesów.

Piątek - 6 maja

Bez specjalnej emocji. Otrząskałam się już z różnymi niespodziankami. Francuski telefon tutaj w Warszawie. Jakieś nieznane nazwisko, trudne nawet do zapamiętania. Dodatek, że radca handlowy tutejszego konsulatu Królestwa Rumunii. Prośba o prywatną rozmowę i nie w biurze. Przyjmowałam w gabinecie z chippendale'ami.

Młody, elegancki człowiek, z manierami, wystrojony jak jakiś mistrz mody, wąsiki i wzięcie Adolfa Menjou. Bardziej filmowiec niż rumuński radca handlowy.

- W swoim czasie - powiedział z pewnego rodzaju swobodną, lecz uprzejmą nonszalancją, w tym miejscu strzepnął jakiś urojony pyłek z rękawa swego żakietowego ubrania - spotkało mnie tutaj w Warszawie pewnego rodzaju nieporozumienie. Pewne osoby spłatały mi figła, ale sprawa szybko się wyjaśniła.

Nie mogłam połapać się, słuchałam uważnie.

- Otóż obecnie, po ustaleniu się - te słowa specjalnie zaakcentował - w naszym dyplomatycznym przedstawicielstwie, pragnąłbym powrócić akurat do tego samego momentu, kiedy to starszy Mr Kreiss... zrobił mi owego...

Spojrzałam bystro, ale raczej zdziwiona niż zdetonowana:

- O cóż zatem chodzi, panie radco? - zapytałam mniej więcej swobodnie. - Znam doktora Kreissa, jeżeli to ten sam, ale to znajomość o charakterze raczej towarzyskim. Podobno moi znajomi mieli z nim jakieś kontakty handlowe. Ale?...

- O tak - przerwał mój gość. - Właśnie chodzi o te kontakty. Sporo czasu upłynęło od urwania się moich ówczesnych rozmów, lecz dzisiaj nie chciałbym znów narazić się... na niepewne.

Zapanowało milczenie. Z mojej strony nie pomagałam gościowi w rozwiązaniu węzła. Po chwili radca ciągnął dalej:

- Ale chyba pani, Madame, orientuje się w istocie tych... interesów? Wydaje mi się, że powiązania...

Bawiliśmy się oboje w ciuciubabkę. Zrobiłam minę naiwnej z molierowskiej komedii:

- Ależ, panie radco, ja, to znaczy nasza rodzina pracuje w drzewie. Chyba w pańskiej ojczyźnie nie brakuje drzewa? Nasze pośrednictwo... Chyba na rynkach londyńskich? Ależ...

- Drzewo drzewem - powiedział gość niespodziewanie szybko - a po drodze można by chyba zrobić jakiś dodatkowy interes? W swoim czasie pan „W” (nie wymienił nazwiska) doprowadził już nasze rozmowy do bardzo interesującego punktu...

- Ach... - udałam - to o tamte interesy chodzi? Owszem, ale te okazje już chyba minęły? W Abisynii siedzą Włosi...

- Z naszej strony nie interesujemy się dostawami dla koncernu (dla panów „K” - tak się wyraził). Nie pożądamy nawet jakiegś wyłączności. Wyobrażamy sobie jedynie, że w handlu każdy jest dobry, kto zamawia i płaci.

Mówiący te słowa roześmiał się. Ale nie szczerze, jak bazylejski Colas Breugnon, lecz skrycie, w sposób żurnalowy pod krótko przystrzyżonymi wąsikami. Trudno było nie reagować. Na razie wykorzystałam sytuację, gdyż, wezwana dzwonkiem, zjawiała się pokojówka:

- Proszę podać herbatę. Panie radco? Do starego saloniku.

Zyskałam chwilę do namysłu.

- Chodzi o to - podjął mój gość - że, jak mi się wydaje, najlepiej byłoby dla sprawy, gdyby właśnie pani umożliwiła nam ponowne nawiązanie kontaktów. Może tym razem mielibyśmy więcej szczęścia. Chodzi w tym wypadku o jakieś próbne zamówienie, powiedzmy na sumę około dziesięciu milionów złotych. Co do procentów, to wydawałoby się nam możliwe posunięcie się również o dwa procent wyżej od ofert, które obecnie są realizowane. Prawie identyczne techniczne warunki wysyłkowe, proszę to przekazać panu „W” dla wstępnych informacji.

- Ależ nie wiem - mówiłam - ja jestem tak daleko od tych spraw...

Weszła pokojówka, dygnęła i po przejściu nowego salonu i fiołkowego gabinetu usiedliśmy na fotelikach. Zajęliśmy się herbatą, rozmawialiśmy już o innych sprawach, o polityce małego kalibru, to znaczy o plotkach z korpusu dyplomatycznego. Gość wspomniał o dwukrotnym spotkaniu się z naszym konsulem. Przerzuciliśmy się nawet do Wenezueli, gość swobodnie zapytał:

- A kiedy pani, Madame, zamierza odwiedzić piękną ojczyznę pana „los Dawydra”?

Więcej wiedział, niż przypuszczałam.

Godzinna rozmowa przeszła w wielkim urozmaiceniu. Ostatecznie do niczego się nie zobowiązując, przyrzekłam pomówić na te tematy z „W”, jak go nazwaliśmy. W chwilę przed pożegnaniem mój elegancko wystrojony gość, jak by przypominając sobie coś, rzekł:

- Madame, a jak my się pomiędzy sobą... rozliczymy?

Roześmiałam się, ale jakoś nienaturalnie:

- Ach - powiedziałam lekko - to nie jest z mojej branży. My kobiety rozliczamy się, to znaczy rozliczają się z nami kwiatami, *Monsieur le conseiller*...

W godzinę później zadzwoniono mi z góry do biura:

- Kwiaty, pani dyrektor. Chyba z dwieście róż.

Dzisiaj mamy piątek. Władek wraca z Londynu w poniedziałek. Z jednej strony nie mam specjalnej ochoty do tego interesu, lecz z drugiej Marcin zostawił mi wolną rękę. Zastrzegł się jedynie z terminem: do końca tego roku! Kreissowie również ostatnio nie czynili zastrzeżeń odnośnie wyłączności. A może? Nie wiem na razie, wszystko rozstrzygnie się w poniedziałek.

Jak to właściwie było kiedyś z tą sprawą? Przecież w gazetach był z tego spory huczek. Co prawda obecny dyplomata występuje pod innym nazwiskiem, ale swoją drogą! Od aresztowania i skandalu w gazetach do fotela radcy ambasady czy poselstwa. Ale to są tylko Bałkany. Trudno wymagać. Dziadek obecnego króla Egiptu był w młodości czymś w rodzaju rozbójnika czy przemytnika albańskiego. Trony wyzłacają zbrodnię. Ale pardon, przecież mnie w swoim czasie udekorowali orderem Korony Jugosłowiańskiej. Na wisiorek czy *porte bonheur* przy bransoletce zbyt wielki, a wobec wstęg z gwiazdami u naszego profesora-konsuła zbyt blade.

Notatka na wesoło: moje łóżko w Zbójnej Górze twarde, materac prosto ze składu, niemal spadam z łóżka. Jeżeli się nie uleży, trzeba będzie obstawić się fotelami, by nie spaść w nocy na dywanik, również nowiuteńki.

Od małej nadszedł list z fotografiami. Rozbawiona, rozbrykana, z jakimś psem, kundel do niczego niepodobny, ale Marta pisze: „Przybłąkał się do nas i nie można było go odpędzić. Bardzo wesoły, przyzwyczał się i został. Nazwali go: Kik”. Ano trudno, niech będzie Kik. Mała stale pisze tylko po francusku, polski poszedł w odstawkę. W liście pani Horodyńskiej dopisek: „Panna Rose okazała się bardzo odpowiednia, Marta bardzo się do mej przywiązała. Poza tym porobiłyśmy już znajomości w pobliżu. Z tej strony rzeczki są dwie dziewczynki prawie w wieku Marty, a za rzeczką Marta ma już zaprzysiężoną przyjaciółkę. O dwa lata starsza, córka ogrodnika, który poprzednio dzierżawił grunty doktora Horno. Emilia Tubois, raczej Francuzi niż Niemcy”.

To znaczy Szwajcarzy, ponieważ tam wszystko jest zatarte, zespolone w szwajcarskim patriotyzmie, który przede wszystkim łączy się z pojęciem ziemi i historią ich walk o niepodległość kraju. Kto wie, czy nie piszę o mojej przyszłej ojczyźnie?

W każdym razie bardzo daleka była droga z zamku Jamsborg do starego chłopskiego domu w Eichel. Dobrze, że sprzedano mi ten dom!

Poznań - sobota - 7 maja

Stare poznańskie mieszkanie. O, jakże miło! Leokadia w sypialni, a ja wyciągnęłam się na moim starym tapczanie w gabinecie z książkami. Pragnęłam przypomnieć sobie stare, dobre lata... Sprawa urzędzenia gospodyni. Jakże dobrze Marcin zna ludzi! Przecież ta stara gospodyni już za życia doktora Michalskiego marzyła jedynie o kupnie małego domku, z ogrodem w swoim rodzinnym mieście. W Czarnkowie. Ma tam rodzinę, przyjaciół. Tutaj w Poznaniu po śmierci doktora bała się sprzeciwiać, według niej wola nieboszczyka jest święta. Kupno łatwe. Leokadia ofiarowała się pojechać w poniedziałek do Czarnkowa, obejrzy dom i ustali warunki kupna. Stara gospodyni ma uskładanych siedem tysięcy prócz tych pięciu, które leżą na depozycie z zapisu doktora. Ucieszyła się z takiego obrotu sprawy.

Przeprowadzkę załatwi w całości Hartwig. Powoli i bez pośpiechu. Leokadia zostaje w Poznaniu do środy.

Wtorek - 10 maja

Władek chce mnie kiwnąć. Po pięć procent dla nas obojga, a cztery zamiast dwóch w ministerstwie. Podobno te dwa dodatkowe do umieszczenia - bardzo wysoko. Zamówienie ustalono na osiem dwieście. Reszta okazała się wystarczająca. Zabezpieczenie akredytyw dostateczne. Na odmianę różnice są płatne w szwedzkim banku. Trzeba będzie otworzyć konta w Sztokholmie. Bardzo krótki termin dostawy, jeszcze przed końcem lipca, do dwudziestego piątego. Chwyciło.

Dzisiaj nowe róże. W takich ilościach otrzymuję po raz pierwszy w życiu. Nawet nie mogę napisać: żaden z kochanków nie przysyłał mi takich róż. Bo i jacyż byli ci moi kochankowie? Mizeria, biedota. Psiakrew!

Ten krewniak Leokadii w swoim rodzaju bardzo odpowiedni. Będzie miał twardą rękę w administrowaniu. I trudne zadanie równocześnie. Ale będzie wolny dopiero od czerwca. Dotychczas pracował w „Rolniku”, przedtem był u Kwileckich dzierżawcą na małym folwarczku, ale pokłócił się. Rozeszło się o jakieś pańskie fummy, a Kaczmarki i Ratajczaki tego nie lubią.

Władek pytał:

- A co powie Marcin?

Zapewniłam go zimno, że obecnie Marcin - to ja. Uwierzył i nic nie mówił. Swoją drogą poszło łatwo, bardzo szybko, prawie w ciągu jednego dnia. W dodatku ten nasz „L” jest bardzo gładki, znacznie gładszy od młodego „K”. Jak to on powiedział:

- Madame, obecnie przystępujemy do poprawek w naszej umowie handlowej. Pani powinna przejechać się do naszej pięknej stolicy. Mały Paryż. Cudowne miasto. Po Paryżu najpiękniejsze miasto na świecie.

I od razu rozmowa przeszła na Bukareszt, na ministerstwo przemysłu i handlu, na znajomych. Było mu wiadome nawet to, że siedzę w Centralnej Komisji Przywózowej, zna doskonale prezesa Purskiego, ma wszędzie otwarte drzwi.

Pacta conventa uzgadnialiśmy w fiołkowym gabinecie.

- U pięknej kobiety - powiedział Władek - będzie nam wygodnie, cicho i bezpiecznie.

Pogroziłam mu, straszylam, że pokażę jego żonie ogród z różami i powiem, że to od niego. Na osobności wyśmiał mnie mówiąc:

- Ale obecnie, Anno, nie przyłożysz chyba rączki do wydalania naszego kontrahenta z Polski. Nie udałoby ci się tym razem. Dyplomata - dodał drwiąco.

Odcięłam się:

- A ile zarobiliście na obu Kreissach? Interes kręci się do dzisiejszego dnia. Zresztą takiego dyplomatę można również na przykład odwołać do Bukaresztu. Kwestia dwóch do trzech dni, Władku.

Ale to wszystko były tylko wolne żarty. Jeden z warszawskich banków przejął tymczasową gwarancję w zastępstwie Sztokholmu. Wszystko było zawczasu przygotowane. Dzisiaj pracowaliśmy cały dzień, sprawa bowiem ruszyła z kopyta w tempie wyścigowym.

Piątek - 13 maja

Osobliwa data, ale właśnie dzisiaj zaproponowano mi wyjazd do Bukaresztu. Wezwano mnie do ministerstwa i czarowano pięknnością miasta, romantycznością kraju i przyjemnościami podróży. Odlecimy samolotem w poniedziałek rano. Jak to wszystko szybko się kręci. W południe byłam w ministerstwie, a po południu przysłano mi różę z bilecikiem: „Miłych chwil w naszej pięknej ojczyźnie rumuńskiej. L”

A może ten bubek zabiera się do mnie w ten sposób - z myślą o kobiecie? Chyba nie. Nie jest w moim guście. Nie przepadam za typami z żurnalu, w dodatku ma śniadą cerę, z lekka oliwkową. Na włosach błyszczą pomada, Marczyński dopisałby: „w najlepszym gatunku” i podał markę firmową. Ale te włosy są kędzierzawe, nie wyprostowała ich dotychczas żadna sztuka fryzjerska. Uroda cygańska, taka, jaką widuje się czasami u kawiarnianych skrzypków. W Paryżu. Chciałam dopisać: i w Wiedniu. Wspomnienie tego miasta popsulo mi w tej chwili dobry nastrój. Kończę.

Jutro konferencje w ministerstwie. Wieczorem podejmuję parę osób, tak wypada w związku z naszymi drzewnymi interesami. Brydż, łatwy sposób dawania łapówek bez brania pokwitowań. Bez dawania również. Ano trudno, trzeba żyć.

Niedziela - 15 maja

Imieniny u znajomych. Wład powiedział mi na osobności dziwnie serio:

- Anno, tym razem wstrzymaj się od jakiegokolwiek pisania... tam w Bukareszcie. Mam na myśli stenogramy, o których mówią twoje ciotki. Sprawa jest poważna. Raczej zagraj rolę pięknej kobiety, mało słów, dużo się śmieje, przyjmuj kwiaty, rozdawaj uśmiechy, zabierz sporo toalet, ponieważ to są ludzie, którzy lubią się ubierać i mają pieniądze. Posiedzisz tam ze dwa tygodnie, to nie są jakieś poważne rozmowy handlowe, tym razem jedynie podróże po salonach. Oni praktykują to samo u nas w Warszawie, tylko z mniejszym szykiem, ponieważ u nas nie ma dworu i króla. Zabierz swoje ordery, przypnij je na jakimś raucie, a zobaczysz, że od razu przy wyjeździe wręczą ci dalsze dwa rumuńskie, jeden państwowy z tasiemką na szyję, a drugi, zwyczajowo już, order rumuńskiego Czerwonego Krzyża.

Dziwisz się? Ja tam byłem trzy razy w życiu, w sumie może z tydzień, a dali mi aż pięć orderów. To są ludzie nad miarę ambitni, paplają po francusku, lecz myślą po niemiecku.

Mam na myśli tych, których spotkasz, arystokrację, która siedzi u nich w pałacach i ministerstwach. Lud nie liczy się w tych kombinacjach. My się z nimi przyjaźnimy, ponieważ jest nam z tym wygodnie, ale na przykład przysłali nam kompanię honorową na pogrzeb „Dziadka”. I cóż się okazało? Trzeba było im wydać nowe buty z naszych wojskowych magazynów, bo inaczej byłby wstyd i kryminał.

Notuję to wszystko, póki świeże. Walizy już spakowane. Rymsztunek pięknej, a może po prostu niebiednej damy z towarzystwa. Zabieram nawet brylanty starych moich przyjaciół, komplet od nieżyjącego i żyjącego. Niech się im przyjrzą ludzie. Na co je mam? W tamtym kraju kobieta bez brylantów czułaby się gorzej, niż naga u nas.

Warszawa - 13 czerwca

Od wczoraj jestem z powrotem w domu. A raczej - w Warszawie. Jeszcze pół roku. Trudno, trzeba wytrwać. Nawet pisać mi się nie chce. W dodatku wszystko załatwili już inni ludzie. Trochę rodzina, resztę obcy, prawnicy i inni, za pieniądze.

Stary krętacz nie wykonał tego, do czego zobowiązał się w umowie. Skorzystał ze zwolnienia spod zajęcia, wyprzedził na miejscu, co mógł, naturalnie za bezcen, ogołocił dwór, umeblowanie załadował na ciężarówkę i wywiózł gdzieś w nieznane. To samo zrobił z Krakowem, wynajął nawet swoje mieszkanie na Dębnikach. Zostawił pełnomocnictwo do działania na nazwisko syna, co zostało odkryte dopiero przed kilku dniami. Wyciągnięto je w ostatniej chwili w taki sposób, jak karciany oszust wyciąga z rękawa piątego asa. Później wesoly starszerek zwał i ukrył się w Salzburgu. Koniec.

Wszystko od nowa. Ostatniego czerwca nowy termin licytacji. Tym razem taki, który dojdzie do skutku. Nasi panowie zawzięli się na ten kant. Mówią, że to będzie ostatni. Stryjek Józef sprowadził do Warszawy pana Szczytnickiego, który krótko zakomenderował:

- Licytować, psiakrew, skoro nie chcieli być ludźmi. Anna budowała im złoty most, kwitując ich tacite w ostatniej umowie, w sposób niezwykle nobliwy, z zaprzepaszczeniem jej posagowych pieniędzy. Licytować, nie oglądać się na nic, a jeżeli będzie potrzeba, to zamknąć ich do kryminału, aby ludzie nie mieli z nimi więcej kłopotu.

Od pani Orzechowskiej zastałam nowy list. Dlaczego licytuję? Czy nie dość mam już tych awantur? Kazałam wykonać fotokopię weksla na dziesięć tysięcy i dołączyłam ją do listu, w którym napisałam zaledwie kilka zdań:

„Wielce Szanowna Pani! Jestem w posiadaniu oryginału tego weksla, na którym sfalszowano mój podpis i który wykupiłam w styczniu bieżącego roku. Czy mam wreszcie stracić cierpliwość, która ma również pewne granice, i zrobić z tego użytek? A.J”

List opatrzyłam zaledwie inicjałami, bez zwykłych słów uszanowania i rewerencji, pomimo że wzorem mojej Marty napisałam po francusku.

Poza tym z Rumunii przywiozłam akurat dwa takie ordery, o jakich wspominał Władek Wirewicz. Komandorię jakiegoś orderu i Czerwony Krzyż. W każdym razie w tym kraju przesady, gdzie byłam ostatnio, wypisano na laurkach dyplomowych: Anna Jambor de Jamsborg. Skąd oni na to wpadli? Ponadto Rumuński Czerwony Krzyż zrobił ze mnie doktora. Ano, i to przeżyję.

Na drugi dzień po przylocie do Bukaresztu otrzymałam zwyczajowe już róże z bilecikiem: „Witamy w naszej ojczyźnie!” Takie same róże dostałam wczoraj, po powrocie do Warszawy. Wariat. Widocznie wziął na serio moje odezwanie się o kobietach i kwiatach. Trzeba będzie powiedzieć mu przy okazji, aby przeszedł na jakąś inną serię, nie - kwiatową.

Puściłam prawie trzy tysiące dolarów. To, co wypłacili mi z urzędu, ofiarowałam po drodze służbie w różnych hotelach i pałacach. Wydałam nawet trzy przyjęcia, tak bowiem wypadało. Bawiłam się jak małe dziecko. Dziecko - snob. Życie trzeba brać w sposób kpiący. Brylantów mi nie ukradli. Pilnowałam się. Również nie kupiłam ofiarowanych mi brylantów.

Jedne były w cenie mojej kobiecości, te inne zaś, które chciano sprzedać mi za gotówkę, okazały się fałszywe.

Co do reszty, wszystko w porządku. Władek nabija się ze mnie, że „na listopada” murowana Polonia Restituta. Chyba żart, ale czasami właśnie takie żarty realizują się w faktach. Piszę zgryźliwie, bo też dzisiaj mam do tego dryg, A to złodzieje! Aby nie było najmniejszej wątpliwości, dopisuję wyraźnie: Liteńscy.

Od młodego „K” dalsze zamówienia. Wyrabia się w nim stały odbiorca. Spokojny interes, bez jakichkolwiek wstrząsów, wszystko jak w zegarku. Czasami trudniej sprzedać jabłka na targu niż nasze... towary. Władek był w Sztokholmie, naturalnie samolotem. Stockholms Enskilda Bank A.B. Kungstradgardsgatan 8 - zęby można połamać na wymówieniu nazwy tej ulicy - dwa konta, na razie w koronach szwedzkich. Sto takich koron liczą 11,1 gieldzie po circa 121 złotych. Podobno waluta pewna. Relacja na Londyn. Połowa interesu już zrealizowana. Marcin na razie nic o tym nie wie. Dzisiaj Wirewicz powiedział mi otwarcie:

- Może lepiej, że tak się stało. Sprzedaż na obie strony świadczy o kupieckiej neutralności w polityce. My jesteśmy kupcy, kochana Anno.

Na niedzielę jadę do Zbójnej Góry. Będzie dużo czasu na opowiadania o tym, co widziałam w podróżniczym kalejdoskopie, swoją drogą - nie mogę pisać, czułam się w Rumunii jak młody psiak po raz pierwszy w kagańcu. Ale rolę odegrałam dobrze - do samego końca. Tak myślę. Tak zresztą powiedzieli mi dzisiaj w naszym ministerstwie. Zasłużyłam jednak na to. Podobnie jak baron Chłapowski w Paryżu, tak i ja finansowałam na odmianę w Bukareszcie reklamę polskiej delegacji.

Piszę te słowa z lekką obawą. Wątpię bowiem, czy Marcin pochwali rumuńską eskapadę. Stryj Józef rozmawiał z nim telefonicznie po moim odlocie, wówczas gdy dowiedzieli się o wolcie starego Liteńskiego. Podróż moją nazwał dziecinadą, ale równocześnie doradził odczekanie i niealarmowanie mnie do czasu mego powrotu. I dobrze się stało, że mnie w tym czasie nie było w Warszawie. Nie denerwowałam się. Załatwili wszystko beze mnie, twardo i konsekwentnie, oszczędzili mi sporo zdrowia.

Środa - 15 czerwca

Oj, kanciarze! Na razie telefoniczne wiadomości od naszego zastępcy prawnego w Krakowie. Odnalazł się pan Rudolf Liteński i kolejno przedłożył dwa dokumenty. Notarialne pełnomocnictwo do działania w imieniu ojca, wystawione na początku tego roku z datą 28 stycznia, oraz również notarialne przyrzeczenie sprzedaży majątku jemu przez ojca z daty 2 maja, to znaczy w pięć dni po podpisaniu przez Franciszka Liteńskiego naszej warszawskiej ugody. O głupoto moja! W nowym przyrzeczeniu sprzedaży figuruje klauzula: na konto zawartej umowy, to znaczy podpisanego przyrzeczenia sprzedaży majątku, pan Franciszek Liteński otrzymał od pana Rudolfa Liteńskiego gotówką kwotę czterdziestu tysięcy złotych, a pozostałość w kwocie dwudziestu tysięcy złotych ma zostać uregulowana przy dokonaniu w hipotece zmiany tytułu własności.

Ale to nic. Nie uległam atakowi wściekłości, gdy mi to wszystko referował nasz pan Tadeusz Mireski. Roześmiałam się:

- A to heca, panie doktorze. Nawet bardzo dobrze.

Następnie wezwaliśmy do pomocy naszego specjalistę od hipotek i wertowaliśmy przepisy prawne. Jutro rano jedziemy w trójkę do Krakowa samochodem. Sąd Okręgowy bowiem na podstawie przedłożonego przyrzeczenia sprzedaży majątku wstrzymał termin licytacji, ponieważ pan Rudolf Liteński oświadczył rzekomo gotowość objęcia majątku w tymczasowy zarząd. Prawnicze komplikacje, przypuszczalnie nawet jakieś nowe matactwo.

Kraków - piątek - 17 czerwca

Nasz radca wraca dzisiaj do Warszawy koleją. Mizres pojechał naszym samochodem kupić hipotekę piętnaście tysięcy, a ja nocuję w „Grand Hotelu”. Jutro wczesnym autobusem pojedę do Rabki. Odpocznę w spokoju dwa lub trzy dni.

Po kiego licha wplątałam się w te brudne sprawy z majątkiem? Na co mi to wszystko było potrzebne? Rodzina miała rację. Trzeba było machnąć ręką i przestać na stracie dwustu tysięcy złotych.

Dopiero teraz rozumiem list Orzechowskiej. Rudolfek pojechał do ciotuni i pokazał jej przyrzeczenie sprzedaży oraz zawartą w nim wzmiankę o owym gotówkowym zadatku. Pożyczili sobie tę gotówkę na pół godziny. A to kant! Naturalnie Orzechowska uwierzyła, że Rudolf ma zamiar uratować majątek przed Anną Jambor.

W sądzie stanęło na tym, że przywrócono termin licytacji.

Tym razem moi pełnomocnicy nie zaspali sprawy i wnosząc ponowne ostrzeżenia do hipoteki w sprawie licytacji, nie tylko posłużyli się przedślubną intercyzą odnośnie zastrzeżenia w sprawie dwustu tysięcy złotych, ale z miejsca zaskarżyli sto tysięcy wpisanych do hipoteki pod pozycją: małżonkowie Liteńscy, Rudolf i Anna. Naturalnie rozprawa odbędzie się dopiero po wakacjach, ale to nie przeszkodzi bynajmniej w licytacji. Co najwyżej po licytacji będę zmuszona złożyć rękojmię w wysokości połowy tej kwoty w celu umożliwienia wpisania do hipoteki pilnego tytułu własności. Niech szlag trafi te wszystkie krętaćwa. Nie mam do tego cierpliwości i dobrze zrobiłam, że po uzyskaniu dyplomu prawniczego zwinęłam go w rolkę i wsunęłam do szuflady w szafie. Nasze kupiectwo jest zawodem szlachetniejszym: towar - pieniądze, pośredku w wielu wypadkach wystarcza zwykłe słowo lub list. Otwarte rachunki starych kupców były stokroć rzetelniejsze od dzisiejszych weksli i skryptów.

Nowa klauzula decyzji o przywróceniu terminu licytacji zawiera postanowienie, że licytacja może być wstrzymana po przedłożeniu przez Rudolfa Liteńskiego rękojmi w formie prawem przepisanej, to znaczy w wysokości dwu dziesiątych szacunkowej kwoty wywoławczej, którą ustalono - nie wiadomo dlaczego - w wysokości trzystu pięć tysięcy złotych.

Pierwszego dnia nie można było znaleźć pana mecenasa z sygnetem, po wydaniu przez sąd decyzji od razu się zjawił. Słodki, próbował czarować nas gładkimi frazesami. Ale on był sam, a nas było troje. Nawet czworo, ponieważ rzecz odbyła się w mieszkaniu naszego krakowskiego przedstawiciela. Byliśmy na własnym podwórku. Facet z wyglądem rzymskich senatorów udał wielce zdziwionego, gdyśmy mu przedłożyli warszawską umowę. Czytał i czytał, w końcu oświadczył, że rzecz jest mu znana, ale trudno dziwić się jego klientowi, panu Franciszkowi Liteńskiemu, że nie wykonał tej ugody, skoro zaproponowano mu korzystniejsze warunki i w dodatku sześćdziesiąt tysięcy gotówką.

Gdy wspomnieliśmy o złym zabezpieczeniu mojej sumy posagowej, powiedzieliśmy bardzo delikatnie: złym, zamiast: nierzetelnym, zawodowy ekwilibrysta prawniczymi kruczkami rozłożył ręce i powiedział:

- Hmm, proszę kochanych państwa, warszawska umowa nie zawiera żadnych klauzul wykonawczych i, prawniczo rzecz biorąc, zabezpieczających czy poręczających jej wykonanie.

Miał rację pan Szczytnicki. Nie wytrzymałam tym razem, poderwało mnie:

- A więc taka ugoda nie miała żadnego, bodaj moralnego znaczenia?

- Ach - powiedział prawnik - trudno było wymagać, by skrzywdził samego siebie. Po prostu, proszę państwa, inna oferta była korzystniejsza i...

- ... i - dokończyłam z ironią skandując każde słowo - pan Franciszek Liteński posłużył się faktem odwołania przeze mnie obu licytacji, sprzedał na wsi, co mógł, i zwiął za granicę...

- Tak nie można stawiać sprawy - przerwał mi adwokat. - Był w prawie, w interesach, kochana pani, nie ma sentymentów.

- Tak, tak - powiedziałam - w takim razie pozwolę sobie wyciągnąć naukę ze świątłych rad pana mecenasa. Gdy mi to będzie wygodne, postawię na przykład sprawę pewnego weksla, na którym sfalszowano mój podpis. Weksel znajduje się w moim posiadaniu. Jak mi pan radzi?

Starszy pan wyraźnie się zmieszał i próbował nadrobić tupetem:

- Ale jakież związek mają słowa pani z interesami moich klientów? Rozważamy sprawę majątku, hipotek i licytacji, a pani dyrektor miesza do tego jakieś weksle. Gdzie związek?

- Owszem, jest związek, proszę zapytać w tej materii pana Franciszka Liteńskiego, ten panu będzie mógł udzielić właściwej odpowiedzi.

Adwokat zaperzył się:

- Czy mam to uważać jako aluzję do moich mandantów? Przecież to poważny zarzut i obraza honoru. Ja tego nie mogę słuchać, będę zmuszony wyciągnąć z tego konsekwencje, ja panów tu obecnych wzywam na świadków...

Roześmiałam się. Może nawet cokolwiek za szeroko, jak na damę z towarzystwa. Wszyscy popatrzyli na mnie ze zdziwieniem.

- Och, panie doktorze - powiedziałam, porzucając już mecenasa - ostrożnie i powoli. Zbyt nim pośpiechem w kwalifikowaniu mógłby pan raczej zaszkodzić swoim klientom. Dla ułatwienia sprawy - dodałam poważnie i zimno - mogę podać panu obecny adres pana Liteńskiego w Salzburgu, mimo że nie wykorzystaliśmy go w momencie niemożności doręczenia pism sądowych w Dębnikach i Podjaskach. Dla uproszczenia sprawy wystąpiliśmy o mianowanie kuratora dla nieobecnego. Wówczas zjawił się młodszy z panów Liteńskich z tromfami w kieszeni. Z tromfami, panie doktorze. Ale na tym chyba dzisiaj skończymy?

No i rozeszliśmy się. Po tych słowach sygnetowy pan powstał z fotela, złożył łamany ukłon, taki, jaki zaleca Boziewicz sekundantom pojedyńkowym, po czym opuścił gabinet naszego krakowskiego radcy prawnego bez podawania komukolwiek ręki. Ledwo zamknęły się drzwi, wybuchnęłam śmiechem. Pytania zbyłam kilku słowami:

- Nie pytajcie panowie o szczegóły, to w istocie przykra sprawa z tym wekslem, zbyt przykra jednak, aby puszczać ją przed sądowe kratki. Chyba - gdy zostanę do tego zmuszona.

Ciekawa jestem, co ci szachraje jeszcze wywiną?

Jestem w posiadaniu wszystkich hipotek z wyjątkiem pierwszego numeru bankowego na sześćdziesiąt pięć tysięcy. O ile podstawią mi jakichś hecowników w tej licytacji, zagram sztukę, jakiej jeszcze nigdy nie znały historie komornicze.

Ciekawa jestem, jak zareagują na historii wekslowe? Co wynajdą? Weksla przecież nie zaprzeczą. Świadek Henryk Wajnsztok mówi, że ma paczkę listów Liteńskiego z prośbami o różne prolongacje. Koronni świadkowie, Liteńscy bowiem od lat siedzieli im w kieszeni.

Ale spać, Anno, jutro rano do Rabki i zapomnieć o Liteńskich! Na razie...

Rabka - sobota - 18 czerwca

Bardzo miło. Pogoda i słońce. Leżakuję na balkoniku. Na razie sezon dość słaby. Załedwie połowa pokoi zajęta, ale na lipiec mają sporo zgłoszeń. Przeważnie wszystko znajomi z ubiegłych lat.

Pani Woźnikowa nie może pojąć, że myślę o wyniesieniu się na stałe z Warszawy. Ustawicznie mówi o mojej „posadzie” w spółce akcyjnej, widocznie wielu rzeczy nie rozumie. Nie tłumaczę, tak jest lepiej. Mała przysłała jej widokówkę z budynkami zakładu szkolnego w Annecy. Jest całkowicie pogodzona z przyszłą szkołą, ponieważ napisała równiutkim pismem: „Tu będę chodziła do szkoły po wakacjach”. Bez jakiegoś lamentu, to dobrze.

Czwartek - 23 czerwca

W sobotę przyjęcie w salonach rumuńskiej ambasady. Jak zwykle w takich razach: *L'Ambassadeur da S.M.le Roi de Roumanie et Mme Franassovici...* Wirewiczowie, profesor i ja. Znowu jak zwykle pół dnia siedzenia u Mayerowej w „Institut de beaute” na Krakowskim Przedmieściu.

Na niedzielę zapowiedziała się pomorska rodzina. Wujek Kowalski i szwagier Strękociński. O mój Boże, bardzo nie w porę. Przyjmiemy ich w Zbójnej Górze, gospodyni Leokadia, ponieważ ciotka Elfryda w Gdańsku. Dzisiaj przelotnie rozmawiałam z panem „L” w „Europie”.

Piątek - 24 czerwca

Mireski na serio zabrał się do sprzedaży kamienicy przy ulicy Chmielnej, chce zarobić dwa procent na pośrednictwie. Wykrojenia terenowe w hipotecę załatwione, już przystąpili do odgradzania się murkiem z naszej strony. Kupują jacyś kupcy żydowscy. Sześćset siedemdziesiąt tysięcy dla nas na czysto, dwadzieścia kilka Mizres i różni pośrednicy, w tym Hołobla. Dodatkowo przeznaczam ciepłą ręką pięć tysięcy dla pana Hołobli, który straci administrację tego domu. Dla mnie prawie czterdzieści tysięcy. Na wszelki wypadek zadzwoniłam do Marcina: dobrze. Przy tej okazji dokładna data jego przyjazdu: środa rano, tego samego dnia o czwartej po południu walne zgromadzenie akcjonariuszów naszej spółki, następnego dnia o dwunastej w południe w Krakowie - licytacja majątku.

Sobota - 25 czerwca

Leokadia ubierała mnie na raut jak rodzoną córkę. Tak mi powiedziała. Wspaniała suknia. Od pasa do kolan dość obcisłe stare matowe złoto w delikatną kratkę, biust oraz bardzo obfity dół ze złotej, błyszczącej lamy. Wąziutkie dwa paseczki podtrzymujące to, co okrywa biust, również z matowego złota. Niespodzianka: Leokadia włożyła mi w ostatniej chwili barbarzyński naszyjnik Jamborów, ów jeszcze z czasów gdańskich Wildorfów, wyjęła mi z uszu butony od Zajlicza i wpięła diamentowe „kolce” z tegoż gdańskiego kompletu. Na palcach jedynie siedem karatów od Kreissa i sygnet rodziny von Rosenschwerthów.

Kreacja pochodzi z Paryża. Przesłała mi ją Elza Dubow samolotem w przeddzień przyjęcia na królewskim dworze. Już wówczas wzbudziłam zazdrość u bab. To jednak bardzo miłe dla kobiety, gdy jest ubrana efektownie.

Leokadia już śpi. W domu czuwała jedynie pokojówka. Rozebrała mnie ze wszystkich cudów i powiedziała przed chwilą:

- Pani dzisiaj wspaniale wygląda.

Zapisuję to wszystko, póki świeże. Tym razem wystrzegałam się picia. Nobliwie, uprzejmie, lecz chłodno. Dotykałam kieliszków jedynie wargami. Wirewiczowie podjechali do nas i w ambasadzie zjawiliśmy się razem. Władek osłupiał, gdy mnie zobaczył, i powiedział:

- Nic dziwnego, moja stara, że Anna nie zabrała swoich orderów. Do takiej toalety nadawałyby się jedynie dworskie gwiazdy brylantowe.

Teraz, gdy to już przeszło, czuję się zmęczona. Piszę te słowa w moim fiołkowym gabinecie. Noc. Siedzę pod portretem Fryderyka, tego, którego spalili Szwedzi.

Pan „L” wytworny w każdym calu. W towarzystwie równie efektownie ubranej damy, prawdziwe arcydzieło ręcznego malarstwa na jedwabiu, bez klejnotów, lecz za to hrabiowskie nazwisko, którego nie spamiętałam. Przybyli po nas i przyglądałam się ich wejściu. Opowiadano mi w Bukareszcie historię naszego znajomego. Z najbliższego otoczenia Madame Lupescu, jej bliski krewny. Nic dziwnego. Podobno dawniej coś mu się nie udało, ale zręcznie zakłajstrowali. Miał powody ku temu, aby nie pokazywać się w swojej ojczyźnie. Gdy go nasza policja odstawiła do granicy, występował pod obcym nazwiskiem. Kiedy wrócił, początkowo zrobił się gwałt, ale wszystko szybko ucichło i wkrótce potem wypłynął

w dyplomacji. Naprzód w Paryżu i Berlinie, następnie w Warszawie. Sama się przekonałam, że dużo może. Czułam to w Rumunii na każdym kroku. A zatem obojgu nam wyszło to na dobre. On - dzięki odstawieniu do granicy wygrał, a ja w kilka lat później uzyskałam - obecne okazje.

Ale trzeba iść spać. Jakoś głowa mnie nie boli, dzięki temu, że dotykałam kieliszków jedynie symbolicznie. Nie warto chlać, lepiej natychmiast, gdy się ma katzenjammer, podejść do kredensu i nalać sobie szklaneczkę koniaku. Ale już u siebie w domu. Jako jakieś materialne pendant do powiedzenia: psiakrew.

Na raucie była generałowa Sosnkowska. Bez specjalnego wrażenia. Obnosi się ze swoim Instytutem Maryjskim, skończonym w Petersburgu. Nie rozumiem takiej chwalby. Przecież właśnie z takich instytutów rekrutowały się różne dworskie frejliny, nazywane krótko: probierszczyce, dla młodych wielkich księżąt. Nie zawsze mundur męża, choćby mocno wyorderowany, potrafi pomalować żonę na jakiś możliwy kolor. Oni obecnie lokują pieniądze w terenach kolonizacyjnych w Ameryce Południowej. Kupują tanio od rządu, a później parcelują na drobne kawałeczki. Stary dowcip.

Śmigły był dzisiaj jakiś naburmuszony, wyglądał dziwnie parobkowato, źle ociosany. Beckowa kwaśna, a minister powiedział w obecności Władka:

- Już pani wróciła z pięknego Bukaresztu? - I do Wirewicza: - Żebyś wiedział, że miała wielkie powodzenie, księżęta padali przed nią na kolana. - A do mnie: - Finansuje pani naszą zagraniczną propagandę, należy się pani nasze uznanie, podziękowanie.

- Nic specjalnego - odpowiedziałam. - Bukareszt to nie Paryż czy Londyn, tam niezbyt trudno komuś się podobać czy imponować. Taka sobie prowincja, panie ministrze.

Rozmowa byłaby się może rozkręciła, ale podeszli do nas państwo Franassovici, gospodarze, i na tym się skończyło.

Wirewicz wspomniął dzisiaj, że ostatnio Grabowski robi pieniądze. Na czym - nie rozumiem, taki sobie minister sprawiedliwości to nie jest branża do zrobienia majątku. Swoją drogą poszedł w górę bardzo szybko. Podobno dopiero w tym roku skończył czterdziestkę. Nowy człowiek, nie tak dawno było o nim całkiem cicho i wyskoczył dopiero po Brześciu. Ciekawa jestem, w jaki sposób pozwalają mu robić interesy. W Klubie Jedenastego Listopada? Ale tam nudno. To nie to. Coś w rodzaju wykładów ks. Kornilowicza, tylko na inne tematy. Byłam tu i tam. Wojskowa loża dla popierania trzydziestu ludzi - tak się wyśmiewa Władek, ale sam uczęszcza tam pilnie. W natolińskim pałacyku Grabowski jest bardzo nisko, widziałam to na własne oczy.

Poniedziałek - 27 czerwca

Henryk Wajnsztok. Warto było w swoim czasie wyjść z nimi przyzwoicie. Wiadomości poufne. Rudolf Liteński weźmie udział w licytacji jedynie w charakterze przedstawiciela właściciela oraz jako współwłaściciel owych stu tysięcy z czwartego numeru na hipotecę. Co do tych ostatnich - to zrobiliśmy dostateczne zastrzeżenia i ostrzeżenia w hipotecę, aby przypadkiem Liteńskim nie wpadła do głowy myśl o jakimś podstępny i tanim sprzedaniu tej pozycji.

Natomiast ma zjawić się Blaufuks - ów znajomy z „Piłsudskiego” - podobno już złożył w sądzie wymagane wadium licytacyjne. Blaufuks zwierzył się Wajnsztokom, że ma zamiar podnieść kwotę w licytacji jedynie o dwa tysiące złotych, a później pozwolą mi od razu stanąć na jakichś trzystu dziesięciu tysiącach i koniec. Podrywka polega na tak zwanej „nadlicytacji”, w której każdy uprawniony licytant może w ciągu siedmiu dni od przybiccia licytacji ofiarować cenę o jedną czwartą wyższą od ceny, w której nastąpiło przybiccie. Doskonale znam ten artykuł ustawy. Ślicznie podziękowałam panu Henrykowi W. za ostrzeżenie, ze swej strony nie zwierzałam się z mych zamiarów. Powołałam się jedynie na moje oświadczenie, złożone w okresie pierwszego ich przyjazdu do Warszawy z propozycją

nabycia hipoteki, że będę licytować do jakichś trzystu pięćdziesięciu tysięcy, to znaczy do wysokości faktycznej wartości Podjasek. Wajnsztok powiedział mi obecnie, że majątek wart jest dobre czterysta tysięcy i dlatego oni dawali pieniądze jeszcze na piąty numer.

Zatrzymałam Wajnsztoka na kolacji. Królowałam sama, Leokadia pojechała wcześniej do Zbójnej Góry z naszymi gośćmi z rodziny, dopiero pod koniec kolacji zjawił się profesor na swoją herbatę i dwa sucharki. Zgadało się o dawnych czasach, o Wiedniu, o cesarzu, dowiedziałam się, że pan Henryk skończył w Krakowie jeszcze za czasów austriackich szkołę realną, natomiast brat jego Abram nie wychylał się z Rymanowa. Potem wybuchła wojna, Henryk Wajnsztok powędrował do wojska, był na froncie, został austriackim oficerem. Gdy wojna się skończyła, wrócił do Rymanowa, nie mając ochoty do dalszych studiów. Wojna go zmęczyła, zajął się małymi interesami: żona, dzieci, Rymanów.

Wajnsztokowie handlują z Liteńskimi już w trzecim pokoleniu. Dziadek przywędrował z daleka, z Bessarabii, i rozpoczął jako pachciarz. Dorobili się jednak z czasem tylko średniego majątku, ponieważ dziadek miał furę dzieci. Mam wrażenie, że zaczniemy handlować z Wajnsztokami. Jeżeli okaże się, że Blaufuks naprawdę ma zamiar zrobić mi jakąś woltę podczas licytacji, skreślimy go z listy naszych dostawców i pośredników, co odczuje dotkliwie, ponieważ ma na pewno już pokontraktowane partie drzewa w wysokości obrotów spodziewanych z nami. Dla niego specjalnie obniżymy cenę zakupu i zostanie na lodzie, a w sezonie będzie mu bardzo trudno przerzucić się na nowych odbiorców. Gdy zechcemy, możemy w naszych warunkach zniszczyć go w drzewie.

Powiedziałam panu Wajnsztokowi, aby wspólnie z bratem rozejrzeli się dyskretnie w tamtejszym drzewie. Po licytacji skontaktujemy go z naszymi agentami. Miałam wycucie co do kwoty licytacyjnej. Przy mojej cenie nie grozi mi już jakaś „nadlicytacja”. W tych warunkach byłoby to samobójstwo dla Blaufuksa i spółki, a ja bym doszła nawet prawie do pełnej hipoteki z ostatniego numeru. Ale to nie grozi. Blaufuks nie jest taki głupi czy lekkomyślny.

List z Eichel. Przygotowali już miejsce do przechowania mebli. Fotografia domu Hornów. Budowa mocno postąpiła naprzód. Nic dziwnego, wszystko było od lat przemyślane i przygotowane. Nie mam czasu pisać o sprawach poznańskich. W porządku.

Domek dla gospodyni już kupiony, meble w drodze, nasz wspólny administrator rozglądał się za lokatorami od lipca.

Wujek Kowalski zdziaźniał, mówi tylko o dzieciach Zośki, nawet więcej niż o „Wąbrzeskim Domu Mody”. Strękokociński tak nudny, jak tylko potrafią być nudni inżynierowie. W dodatku obraca się w moim domu jak wiejscy krewni na wsi. Omal nie wchodzi do kuchni, jest wprost kompromitujący.

Wtorek - 28 czerwca

Tkwię od rana w cyfrach. Bilansowe detale. Konieczność przewidzenia wszystkich pytań. Dzisiejsze złotówki za posiedzenie zarządu zarobimy pracownicy. Marcin dzwonił z Berlina, w drodze, przyjeżdża razem z Florencją.

Jak się ubrać do Krakowa? Jadę wieczorem, sleepingiem, razem ze mną nasz warszawski radca prawny. Lepiej niż z Mireskim. Może ubiorę się w angielski kostium z marena. Bardzo skromnie, raczej w urzędowym stylu, tak jakbym występowała na przykład w imieniu naszej spółki akcyjnej.

Kraków - 30 czerwca

„Grand Hotel”. Bardzo krótka historia. Łącznie ze sprawdzeniem dokumentów nie trwała nawet pół godziny. Cena wywołania, szacunkowa: trzysta pięć tysięcy.

- Ja daję trzysta siedem - powiedział dość porywczo pan Blaufuks.

Milczałam. Głos licytującego:

- Trzysta siedem tysięcy po raz pierwszy...
- Ja daję - wszyscy spojrzeli na mnie - czterysta dwadzieścia cztery tysiące złotych. Zdumienia nie potrzeba opisywać.
- Po raz pierwszy czterysta dwadzieścia cztery tysiące, cisza, po raz drugi... i po raz trzeci. Skończyło się, licytujący powtórzył ostatnie formułki, ja z torebki wyjęłam pióro wieczne i podpisując akt, powiedziałam tak głośno, aby wszyscy słyszeli:
- Licytowałam do takiej kwoty, do jakiej majątek przedstawia dla mnie wartość. - A do pana Blaufuksa uśmiechnęłam się, ponieważ złożył w moją stronę jakiś ukłon. - Taka mniej więcej jest rzeczywista wartość tego obiektu.

I wyszłam, a za mną podreptał nasz prawnik ze spółki akcyjnej.
Jutro reszta prawnych formalności. Z tych najważniejsze przekazanie mi zarządu nad majątkiem od zaraz.

To właściwie wszystko. Jutro czeka mnie rozmowa z moim administratorem Kaczmarkiem. Biedak, nie mogąc objąć majątku w pierwszym terminie, wynajął sobie pokój w leśnictwie państwowym i przyglądał się majątkowi z odległości trzech kilometrów. Objeżdżał motocyklem i końmi, czasu nie zmarnował. Ma przedłożyć jutro wykaz potrzebnych rzeczy, koni, bydła itd., które trzeba będzie kupić. Goły dom, gołe ściany, gołe budynki. Liteńscy podobno zostawili w takim stanie, jak by majątek miał objąć jakiś wróg. W dodatku czekają nas różne drobne nieporozumienia sąsiedzkie, ponieważ stary-młody w ostatnim momencie powydzierżawiali, co mogli. Byli tacy, którzy poszli na to, i obecnie będą mieli kłopoty.

W majątku zjawię się, gdy już wszystko będzie urządzone i pola zostaną oczyszczone ze zbiorów różnych dzierżawców. Postanowiłam doprowadzić majątek do wzorowego porządku i już w końcu roku urządzę pierwsze przyjęcie dla rodziny i sąsiadów. Od razu po gospodarstwu, z polowaniem, które było od wielu lat jedyną ozdobą majątku. Liteńscy poszli, nastąpili Jamborowie, Ziemia wszystko przetrzymała.

Swoją drogą te słowa: czterysta dwadzieścia cztery tysiące - to było moje wielkie zwycięstwo. Możliwość wyrzeczenia ich wobec Rudolfa Liteńskiego sprawiła mi wielką przyjemność. Udawałam, że nie dostrzegam jego obecności, zachowałam się bardzo swobodnie. Otrząsałam się już w życiu z takimi sytuacjami. A przecież dwa lata temu decydowałam się właśnie na małżeństwo.

Florencja dziwnie poważna tym razem. Nie było czasu na dłuższe rozmowy. Mieszkają w Montreux, a za kilka dni udają się oboje na miesięczną kurację do Krynicy. Siła przyzwyczajenia. Kto wie, czy nie pojedzie z nimi Leokadia.

Podjaski są moje - to jest obecnie sprawa najważniejsza.

Warszawa - poniedziałek - 4 lipca

Wróciłam z dworca. Marcinowie i Leokadia wyjechali do Krynicy. Zostałam prawie sama na gospodarstwie. Mr David pofrunął do Londynu, cały miesiąc wakacji na wsi u krewnych, gdzieś w Szkocji. Stryj Józef w Gdańsku. Mirescy jutro wyjeżdżają do Wisły, dziwne upodobania. Tkwią w biurze z inżynierem Pakullą, a to jest nudny facet, drobiazgowy i nie nadaje się do rozmów poza drzewem. Jedyna pociecha w naszym konsulacie. W Warszawie zaczyna się sezon ogórkowy. Władek gania w sprawie końcowych dostaw dla „L”. Nowe listy z Londynu, kto wie, czy nie przyjedzie na krótko młody Kreiss. Irenka pokłóciła się z Grabowskim i dzisiaj płakała mi w mankiet na górcie w „Ziemiańskiej”. Głupia, ma przecież kilka domów, jakieś dwa miliony złotych, a nie umie się urządzić. W dalszym ciągu pędzi cygańskie życie w różnych pensjonatach.

Środa - 6 lipca

Nowe zaproszenie: francuska ambasada na 14 lipca. Pójdę w kreacji w kolorze kobaltowym. Suta powiewna suknia. Nie żalowali materiału. Lyoński jedwab. Do tego rubinowy garnitur.

Marcin nie zwymyślał mnie, lecz nie był specjalnie zachwycony nowymi dostawami. Wobec Władka mówił: dobrze. Mnie natomiast powiedział, że właśnie przewidywał taką możliwość i dlatego pragnął się wycofać. Podobno zresztą wycofał się ze wszystkich interesów, ograniczając się jedynie do murowanie pewnych i spokojnych papierów wartościowych. Kupili dwie duże kamienice w Genewie, obiekt wartości koło trzech milionów franków. Gotówkę ze sprzedaży domu na Chmielnej od razu gdzieś ulokowali, Marcin nie zwierzał się, nie pytałam. Oni mają możliwości, pewnie przetrzucili przez granicę. W każdym razie Marcin powiedział stanowczym tonem:

- Musisz, Anno, skończyć z polskimi interesami najdalej do końca roku. Tak się urządź, aby nic z tego nie wyszło poza ostatni grudnia. Gdy nie będzie można, zrezygnuj z reszty na korzyść Wirewicza, on zostaje, utkwiał, no to trudno. Zresztą - jest nam potrzebny tutaj.

Dopytywał się, czy już załatwiłam sprzedaż poznańskiej kamienicy.

Oprócz normalnej pensji członka zarządu procenty i tantiemy dla mnie wyniosą w tym bilansie sześćdziesiąt cztery tysiące złotych. Nowa emisja po trzy akcje dla posiadaczy I emisji i po jednej dla posiadaczy II i III emisji. Całość kapitału wyniesie po IV emisji równe piętnaście milionów złotych, z czego zatrzymamy w rodzinie tylko osiem, a później zobaczymy, jak się ułoży na giełdzie. Dopiero teraz przyznałam się obu stryjkom, że oprócz pięćdziesięciu tysięcy uprzywilejowanych - posiadam od samego początku sześćdziesiąt dwa tysiące zwykłych akcji z pierwszej emisji. Nic nie powiedzieli, tylko spojrzeli na siebie i roześmiali się. Nikogo nie było przy tym.

Sobota - 9 lipca

Traktuję jako humoreskę. Otrzymałam zaproszenie z naszego Urzędu Skarbowego. Jak to dobrze, że od samego początku umieściłam domek w Eichel w moich zeznaniach podatkowych. Odesłali mnie do samego naczelnika, podczas rozmowy asystował jakiś referent. Wypytywali o mój majątek zagraniczny, o ewentualne kapitały w bankach. Postawili niezbyt eleganckie pytanie, skąd wzięłam szwajcarskie franki na kupno realności w Bazylei? Uśmiechnęłam się i powiedziałam, że posiadam sporo krewnych za granicą. Wymieniłam nawet dokładnie cenę nabycia, dwadzieścia i pół tysiąca franków, i powiedziałam na marginesie, że mieliśmy różne zagraniczne rozliczenia pieniężne w rodzinie i z tych rozliczeń wypadła dla mnie pewna kwota. Na końcu referencina wyskoczył z zapytaniem, skąd czerpię pieniądze na kosztowne pobyty za granicą, na zakupy itp. Tym razem roześmiałam się na dobre.

- Panie naczelniku - powiedziałam - gdy przebywam za granicą, goszczą mnie moi krewni. Na odwrót, gdy moi krewni przybywają do Polski, mieszkają u mnie, a nie w hotelu. Drobne rozliczenia nie są praktykowane w naszych sferach - dokończyłam trochę uszczypliwie.

Wyczuwam, że to robota Liteńskich. Zapewne któryś z nich napisał anonim, oni są do tego zdolni.

Gdy Mireski wróci z wakacji, ujawni się historia z zaproszeniem do Urzędu. On tam stale chodzi, ma przyjaciół i chody. Jutro laba w Zbójnej Górze. Namówiłam naszego profesora. Miesięczne zebranie łoży dopiero w przyszłą sobotę. Co mi zresztą do tego? W ogóle Marcin powiedział, że i tak pozostawi na wyłączny użytek profesora całe pierwsze piętro, ponieważ gdy wycofa się z reszty interesów drzewnych, to przestanie przyjeżdżać do Warszawy.

- Zmieniłem kierunek myśli - powiedział tajemniczo - powiały nowe wiatry, żeglują w innych rejonach. W tych stronach wykonałem już moje zadania.

Od małej był dzisiaj list. Dopisek: „Kiedy przyjedziesz? Już się wszyscy stęskniliśmy za tobą!” W załączeniu fotografie. Mała otoczona dziewczynkami, obok przeważnie ta starsza dziewczynka zza rzeki, z wiejskiego subkantonu. Kik na wszystkich zdjęciach. Kundel wyraźnie wyszlachetniał.

Lucynce Mireskiej podarowałam złotą broszkę z dużą kameą włoską. Nie byłam na imieninach, w tym dniu bowiem licytowałam Podjaski. W tamtych stronach spokój. Kaczmarek objął już majątek i gospodaruje. Otwarłam mu konta w dwóch pobliskich bankach. Pisze, że w porządku. To dobrze, ponieważ wówczas w Krakowie obawiałam się, że zrobią mu jakiś nowy kawał.

Czwartek - 14 lipca

U Francuzów na Frascati tłumy. Większość tkwiła w bufecie, my na boczku rozmawialiśmy ze znajomymi. Moja kobaltowa kreacja wypadła doskonale z rubinami i brylantami. Orderów tym razem nie rozdawali. Piszę to żartobliwie, ponieważ wszyscy w Warszawie rozbijają się za zagranicznymi orderami.

Niedługo po moim powrocie z Rumunii odwiedziła mnie jakaś paniusia z naszej arystokracji. Kołędowała z Zakonem Rycerskim Krzyża Jadźwingów. Właśnie otrzymali specjalne błogosławieństwo apostolskie od ojca świętego i dama prezentowała mi fotografię tego dostojnego pisma z podpisem J. Św. Piusa XI. Cóż miałam robić? Powoływała się na - figury. Rozmawialiśmy w dodatku w moim wyportretowanym gabinecie. Trzeba było wyjąć książeczkę czekową, tysiąc złotych. Gdy opowiedziałam o wizycie Władkowi, ten wybuchnął śmiechem:

- Masz szczęście, Anno, zobaczysz, przyślą ci zakonne insygnia, takie duże.

I Władek zakręcił się wkoło, wskazując palcem na dywan.

Ale to jest opowiedziane na wesoło. W gruncie rzeczy byłam uprzedzona o tej wizycie, zalecono mi taką właśnie linię postępowania.

Pannie Beacie Walczak wręczyłam czek na dziesięć tysięcy złotych. Nie spodziewała się czegoś podobnego. Na drugi dzień przyleciała jeszcze raz z podziękowaniami. Uczyniła to w sposób dziwnie staroświecki, takie typy już wymierają w dzisiejszych drańskich czasach. Ona chyba już nie wyjdzie za mąż? Materiał na starą pannę, nawet imię ma odpowiednie. Któregoś dnia, gdy spotkałyśmy się na ulicy, odprowadziła mnie i powiedziała przy pożegnaniu:

- Jak to dobrze, że nie wyszłam za doktora Mireskiego. A już niewiele brakowało...

Z Krynicy skąpe wiadomości. Leokadia zostaje do końca miesiąca. Mieszkają w „Soplicowie”. Wszyscy troje kąpią się według zaleceń lekarzy i spacerują po deptaku z rurkami w szklaneczce. Przesłali fotografie. Mają na nich głupie miny, zdjęcia, jak zwykle, u podnóża mickiewiczowskiego pomnika. U nas niesamowity upał.

Dzisiaj w „salonie piękności” na Krakowskim Przedmieściu spotkałam rumuńską hrabinę. Nie wiadomo, dlaczego przypomniała mnie sobie, i trochę plotkowałyśmy, wyczekując na swoją kolejkę. Pracuje również w rumuńskiej ambasadzie, ma nawet jakieś oficjalne stanowisko.

Sobota - 16 lipca

W Zbójnej Górze. Wyleguję się na leżaku. Spokój i samotność. Profesor celebryje dzisiaj swoje masońskie ceregiele. Dopiero jutro przyjedzie do nas na obiad. Ciotka Elfyda wróci późnym wieczorem. Rozkoszuję się samotnością. Natomiast jutro będzie u nas gwarno. Mokotów. Zosia z nowymi wiadomościami. Wstępowała po drodze do Eichel, chciała zobaczyć się z Martą. To bardzo ładnie z jej strony.

Dzisiaj zostały wyekspediowane ostatnie lipcowe transporty. Na razie spokój. *Monsieur le Conseilleur* gdzieś się zgubił. Powiedziałam mu ostatnio na raucie w ich ambasadzie:

- Już dosyć róż, *Monsieur*.

Nic nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko nieszczercze. A później ruchem cygańskiego skrzypka pogładził się po swoich czarnych karbowanych włosach. Dzikus zawsze wyskoczy bodaj w jakimś drobnym odruchu.

Postanowiłam przyjeżdżać obecnie do Zbójnej Góry codziennie. Lubię sosny na piasku. Są dwa gatunki. Jedne wysokie, z koroną gałęzi wysoko ponad naszymi głowami, drugie, te koło naszego domu, pokręcone, niskie. Może te ostatnie są nawet ładniejsze od zwykłych prostych chojaków.

W tych dniach był obszerny list od stryjka Juliusza. Pisze, że się starzeje i że mu dokucza samotność. Jestem w kłopotcie, co mu odpisać. Nie mam talentu do wypisywania epistoł.

Przynieśli mi podwieczorek. Wiejski, taki - jaki podają w „Nadświdrzańskiej”. Roztrzepaniec ze śmietaną i graham z masłem. Wyobrażam sobie, że jestem małą Anną na wakacjach u krewnych.

W sierpniu pojedę do Szwajcarii. Przed oddaniem Marty do internatu w Annecy. Trzeba będzie ją tam osobiście umieścić. W tych dniach całe Eichel przenosi się w góry pod Interlaken. Mnie także zaprosili. Zobaczę prawdziwą wieś szwajcarską, bez kulis ustawianych dla cudzoziemców.

Sobota - 23 lipca

Poniedziałkowy dzień przyniósł mi list takiej treści:

„Wielce Szanowna Pani, JWPanowie Liteńscy herbu Tępa Podkowa zwrócili się do nas jako czynnika obywatelskiego w naszym powiecie w sprawie niezmiernie przykrej. Według informacji przez nas posiadanych Wielce Szanowna Pani pozwoliła łobie połączyć z nazwiskiem JWPanów Liteńskich słowa, które aczkolwiek nie zostały całkowicie domówione, stworzyły jednak sugestię łączenia z ich starożytnym klejnotem szlacheckim i nazwiskiem jakichś spraw wekslowych, które rzekomo miały nie być załatwione w sposób nobliwy i obywatelski.

Sprawa posiada dla nas znaczenie pryncypialne i zasadnicze wobec nabycia przez Wielce Szanowną Panią majątku, który pozostawał w rodzinie od z górą trzystu lat. Odmienność płci Wielce Szanownej Pani, która uniemożliwia JWPanom Liteńskim zareagowanie na te niedomagania w sposób sprawie właściwy, skłoniła nasze Grono Obywatelskie z najbliższego sąsiedztwa majątku Podjaski do żądania od Wielce Szanownej Pani co najmniej cofnięcia słów wypowiedzianych wobec JWP Mecenasa i krakowskiego Radcy Prawnego w dniu...

Oczekujemy zajęcia stanowiska w tej sprawie, dla której ze względu na jej pilny charakter pozwoliliśmy sobie zakreślić tygodniowy czasokres. Z należnym poważaniem”.

I... aż cztery podpisy. Trzech galicyjskich hrabiów i tylko jeden zwykły podpis jakiegoś nie znanego mi Witolda Strzemię-Trzycieskiego z dodatkiem: z Góry Trzycieskiej.

List odczytałam kilkakrotnie. Później włożyłam go bez złości do szuflady i przespałam najbliższą noc. Na drugi dzień ponownie odczytałam list i napisałam odpowiedź:

„Wielce Szanowni Panowie, potwierdzam odbiór pisma, w którym Grono Obywatelskie powiatu... pozwoliło sobie zainteresować się sprawą moich rzekomo nie domówionych słów wobec krakowskiego zastępcy prawnego panów Franciszka Józefa i Rudolfa Liteńskich w momencie rozmów na tematy związane z licytacyjnym nabyciem przeze mnie majątku Podjaski.

Ponieważ cenię sobie opinię Wielce Szanownych Sąsiadów, z którymi będę miała zaszczyt sąsiedzowania z racji nabycia wymienionego majątku, mimo przykrości i wstrętu, jaki budzi we mnie ta cała sprawa, pozwalam sobie dołączyć do niniejszego pisma fotokopię inkryminowanego weksla. Stwierdzam, że wymieniony weksel polecałam wykupić z rąk

rymanowskich kupców pp. Henryka i Abrama Wajnsztoków w dniu 17 stycznia b.r., pomimo że nigdy tego rodzaju weksli nie podpisywałam, ponieważ w moich warunkach majątkowych jest to zbędne. Powody takiego postąpienia z mojej strony pozwalam sobie pozostawić ocenie Wielce Szanownych Panów.

Gdyby Wielce Szanownych Panów interesowały bliżej «rodzinne» historie, pozwalam sobie skierować Ich do moich zastępców prawnych, w których posiadaniu znajdują się:

- a) akta sprawy rozwodowej Anna Jambor c/a Rudolf Liteński,
- b) akta sprawy nadużycia zaufania przez p. Franciszka Liteńskiego przy wykonaniu intercyzy przedślubnej, której wartości posagowe w gotówce zostały w terminie przed zawarciem związku małżeńskiego złożone do - wiernych rąk - nazwanego p. Liteńskiego,
- c) akta niedotrzymania przez tegoż p. Franciszka Liteńskiego ugody sprzedaży majątku Podjaski w drodze dobrowolnej umowy zawartej w dniu... co się łączy z podstępny wyłudzeniem przez tegoż p. Liteńskiego cofnięcia sądowego zajęcia substancji majątkowej i terminu licytacji, a to w celu usunięcia pewnych obiektów i sprzedaży ich przez nazwanego p. Franciszka Józefa Liteńskiego.

Odnosnie zaś naprowadzonej w piśmie Wielce Szanownych Panów odmienności mojej płci, pozwalam sobie zauważyć, że właśnie ta okoliczność winna była skłonić Wielce Szanownych Panów jako moich sąsiadów, aczkolwiek osobiście mi nie znanych, do obrania innej drogi, o ile w Ich zamiarach leżało ustalenie istotnego obrazu sprawy. Łacińskie przysłowie mówi: *scripta manent* i słusznie. W dodatku nawet w najlepszym winie właśnie osad decyduje o jego wartości.

Mam nadzieję, że obecne informacje skłonią Wielce Szanownych Panów Sąsiadów do wycofania się z tej mało fortunnej interwencji, dla której jedynie nieświadomość faktów może posłużyć jako pewnego rodzaju wyrozumienie. Łączę wyrazy należnego poważania - Anna Jambor von Jamsborg zu Hermsdorf”.

W post scriptum: adres mojego warszawskiego radcy prawnego.

List wysłałam na adres pana Trzycieskiego, ponieważ tylko on jeden dokładnie określił swój adres: Trzycieskie Góry.

Działalam szybko. W czwartek rano miałam już u siebie obu panów Wajnsztoków z plikiem listów od Liteńskich. Również w sprawie weksła, który wykupiłam, oraz poprzedniego, który sami wykupili po zastawieniu w Krakowie skradzionej mi biżuterii. Fantastyczna na przykład jest treść listu starego Liteńskiego, który trzy tygodnie przed naszym ślubem pisał do Wajnsztoków w sposób niezwykle przekonujący:

„Mój syn Rudolf żeni się w najbliższych dniach z pewną milionerką w Warszawie, fenomenalnie bogatą kobietą. Od razu spłacimy wam wszystkie długi i urządzimy nasze stare Podjaski na najwyższej stopie”.

Rymanowscy kupcy wypożyczyli mi cały pakiet korespondencji. Piramidalna lektura. Wkręciłam ich naturalnie z miejsca w nasze interesy drzewne w tamtejszej okolicy. Jeszcze tego samego dnia wysłaliśmy do naszego agenta polecenie proponowania Blaufuksowi cen o dziesięć procent niższych od dotychczasowych. On nie ma z nami umowy na piśmie, niechże się zatem przekona, czy przyjaźnie z Liteńskimi przyniosą mu szczęście w handlu. Równocześnie otwarałam Wajnsztokom kredyt w wysokości pięćdziesięciu tysięcy złotych z moim własnym poręczeniem wobec spółki, co im się przyda przy kontraktowaniu partii drzewa dla nas. Jak dobrze pójdzie, to sobie w ciągu jednego sezonu odbiją straty na hipotecę. Byłam sama w domu i na gospodarstwie, naturalnie podjęłam ich obiadem i owinęłam koło małego palca. W dodatku otworzę im drzwi do interesów w moich Podjaskach.

W piątek rano miałam już w rękach ekspertyzę sądowego rzeczoznawcy w sprawie grafologii. Podpis: Anna Liteńska nie został wykonany ręką któregoś z Liteńskich, kobiecy podpis, użyto nowej stalówki z kulką na końcu, zwykłe pióro nasadzone na obsadkę. Ciekawe. Rzecz prosta, rymanowskich kupców nie płoszyłam i sprawa sfałszowania mojego

podpisu nie stanęła w naszych rozmowach. W każdym razie są wyraźne dowody w korespondencji, że weksel został wręczony Henrykowi Wajnsztokowi przez starego Liteńskiego, a to wystarczyłoby nawet dla sądu. Podobnie było z poprzednim wekslem.

Dzisiaj rano odwiedził mnie mocno wzburzony pan Benedykt Szczytnicki. Doprawdy szkoda jego zdrowia i nerwów dla tak brudnej sprawy. Na wesoło pokazałam mu list „trzech hrabiów i czwartego tylko szlachezca”. Czytał, czytał, później jednak spoważniał i jakimś nieswoim głosem zapytał:

- I cóż pani na to, Anno?

Podaliśmy mu do przeczytania kopię mojej odpowiedzi. Przeczytał jednym tchem, zmarszczył brwi i powiedział:

- A teraz co będzie dalej?

- Nie wiem - odparłam prawie obojętnie. - Sprawa mi się dostatecznie znudziła i obrzydła. Majątek doprowadzę do przyzwoitego stanu, a później sprzedam lub zamienię na inny. Nie oczekuję odpowiedzi od tych panów. To są zapewne znajomkowie Liteńskich od kart i polowań. Kruk krukowi oka nie wykole.

Twardo to powiedziałam, tak twardo, że zrobiło mi się żal pana Benedykta i próbowałam sprawę z lekka bagatelizować. Ale pan Szczytnicki nie mógł już odzyskać humoru. Sytuację uratowało nieoczekiwane przybycie Wirewicza, który swoim zwyczajem zaczął od opowiadania politycznych kawałów. Zaprosiłam obu panów na górę, urządziłam coś w rodzaju śniadanka, które stało się wstępem do obiadu u „Langnera”. Po obiedzie Władek rozpląnął się w przestrzeni, a my oboje z panem Szczytnickim powróciliśmy na ulicę Hortensji.

Ano - trudno. Dobrze przynajmniej, że posiadam doskonałą pamięć, co umożliwia mi odtworzenie tego oryginalnego listu.

„Kochany Benedyckie, pani Anna Jambor, kierując się uczuciem zemsty w stosunku do naszego Rudolfa, podnosi ostatnio różne impertynenckie insynuacje w sprawie jakichś rzekomo źle podpisanych weksli, które od naszego Franciszka wyłudzili Wajnsztokowie z Rymanowa. Wiesz, ta rodzina pachciarzy z Podjasek. Naszym krewnym nic nie wiadomo o podpisie pani Jambor na tych wekslach. Franciszek bawi w tej chwili u mnie i przysięga na wszystkie świętości, że weksle zostały podpisane jedynie przez nich obu, w dodatku taki podpis nie był potrzebny, ponieważ Wajnsztokowie zawsze byli z wielkim uszanowaniem dla Liteńskich, sama to widziałam nieraz na własne oczy, i nie było potrzeby proszenia o to pani Anny Jambor.

W drugiej sprawie ta pani skarży obecnie naszych Liteńskich o hipoteki. To jest prawdziwa bezczelność, ponieważ Franciszek zabezpieczył część posagu pani Jambor w porządku, na kolejnym miejscu, które było wolne w hipotece. Ponadto z tych pieniędzy użył pięćdziesięciu tysięcy na wykupienie jakiejś niewygodnej hipoteki, zdaje się na trzecim miejscu. Drugie pięćdziesiąt tysięcy pochodzą z mojego daru ślubnego dla Rudolfka oraz z jego własnych oszczędności. Fatalnie się jedynie złożyło, że nasi krewni w sposób nieopatrny połączyli te pieniądze razem, nie przypuszczając, że mezalians naszego Rudolfka natrafi na tak wielki brak taktu u „tej pani”, która nie dorosła do pozycji naszej krewnej. Dzięki Bogu, że się rozłączyli, kto wie, na co jeszcze nasz Rudolfek byłby narażony w tym małżeństwie!

Zrób coś, kochany Benedyckie, aby tę osobę powstrzymać od niepoczytalnych kroków i aby nam się nie narzucała swymi niegrzecznymi pismami. Na przykład ośmieliła się przysłać nam fotografię tego jakiegoś weksla. Jakież złe wychowanie! W tej sprawie ta osoba otrzyma w tych dniach pismo od sąsiadów naszych Podjasek, które postawi ją pod pręgierzem opinii w powiecie. Nie będzie miała chyba tak miedzianego czoła, aby się pokazać tam osobiście, chociaż kto wie, ponieważ po takich damach można się wszystkiego spodziewać...”

No - tak. Było mi żal pana Benedykta, gdy czytałam ten list. Może i żałował, że mi go pokazał. Później oboje zapaliliśmy papierosy i pograżyliśmy się w milczeniu.

- No i cóż pani na to? - przemówił w końcu pan Szczytnicki.

- Nic, absolutnie nic - odpowiedziałam. - Nie warto wspominać, nie warto roztrząsać, lepiej o tym nie myśleć i zapomnieć.

- Ale jednak - nalegał mój gość. W tym miejscu wyrwało mi się bardzo nieopatrnie, ale i moje nerwy były już na wykończeniu:

- Panie Benedykcie, gdybym w istocie była taka mściwa, jak to mi imputuje pani Orzechowska, mogłabym usiąść przy biurku i napisać: Szanowna Pani, być może w młodości nie poinformowano pani o niejkiej Grizzi Moden, tancereczce z wiedeńskich tingel-tanglów...

- Na Boga - wykrzyknął pan Szczytnicki - skąd pani to wie, kiedy pani się o tym dowiedziała?

- O, w tym moje nieszczęście, że opowiedziano mi niedawno, dopiero w tym roku... w Wiedniu...

- Kto jednak?

Wymieniłam krótko nazwisko pułkownika od hoteli Matyldy Meissl. Pan Benedykt poderwał się z fotela i długi czas nie mógł się uspokoić. Biegał po salonie i powtarzał bez sensu:

- Grizzi, Grizzi, tyle lat, tyle lat i właśnie w tej chwili...

- Ale co pani więcej opowiedzieli? - nalegał. Nie mogłam naturalnie powtarzać różnych przykrych szczegółów.

- Wszystko, wszystko, opowiedzieli mi nawet sprawy najbardziej intymne. Wstyd byłoby powtarzać. Łącznie z historią tyrolskiego mająteczku.

- No i cóż pani na to?

- Nic - odrzekłam krótko - to były sprawy przekraczające wszelkie granice.

Pan Szczytnicki był tak zmieszany, że przy pożegnaniu musiałam przypomnieć mu o liście pani Orzechowskiej. Wziął go do ręki, chwilę jakby ważył na dłoni, nie wiedząc co z nim zrobić. Następnie schował do kieszeni takim ruchem, jakby się brzydził tego kawałka papieru. Zapytał mnie jedynie, kiedy wyjeżdżam za granicę. No i tyle.

Od dziś za tydzień kryniczanie wracają do Warszawy. Leokadia usiądzie na moim miejscu w drzewie, a ja zabiorę się z Marcinem i Florencją do Szwajcarii. Napluć, napluć na wszystko, odjechać i nie oglądać się za siebie!

Mała od kilku dni przebywa już w górach z rodziną Hornów. Pani Horodyńska wyjechała na kilka tygodni do Paryża. Zaproszenie ciotki Temmi, która wpadła do Lozanny odwiedzić Wieroczkę i przy tej okazji obie zawadziły o Eichel. Mała opisała mi to wydarzenie w sposób następujący: „We wtorek przyjechała do nas w dużym samochodzie nieznajoma mi przedtem starsza pani, która kazała nazywać się babcią i pochwaliła mnie, że dobrze mówię po francusku. Ta babcia była w towarzystwie Wieroczki, u której byłyśmy na święta w Lozannie”.

Ładny kwiatek! Temmi - babcia, a Wieroczka - Wieroczka! Zaprosiny do Paryża widocznie z natchnienia Elzy Dubow. Ciotka Temmi nudzi się w Paryżu, ponieważ Patrycja z dziećmi przebywa w swojej fermie nad morzem. Bardzo dobrze. Zapraszali również Martę nad morze, ale góry zrobią jej lepiej. Musi zahartować się do Annecy, aby nie rozchorowała się w internacie.

Jutro rano przyjeżdża z Gdańska ciotka Elfryda. Gości nie będzie. Mokotów zapowiedział się dopiero po południu na podwieczorek. Zosia Wirewiczówna przywiozła sobie z Lozanny narzeczonego. Młody chłopiec, rodzice mają majątek ziemski pod Ostrołęką. Kolega z uniwersytetu. Obejrzymy go sobie jutro.

Zmęczyło mnie to pisanie. Jak zwykle, opisując jakieś przejście, przeżywam je jakby po raz drugi, ale równocześnie uspokajam się.

Środa - 27 lipca

Wczorajszy dzień moich imienin zaznaczył się jedynie kwiatami i listami pełnymi życzeń. Nie urządziłam przyjęcia. Ponownie moc róż od pana „L”. Miło, że nie zapomniał, że jest uważny. Mimo że do tej pory nie powrócił do Warszawy. Wład nie umie nic powiedzieć ma ten temat.

Piątek - 29 lipca

Według mnie - zbędny teatr. Dwóch ugrzecznionych panów, z tych, którzy podpisali ów list adresowany do mnie. Dwóch pozostałych ma przybyć do Warszawy, skoro tylko powrócą z zagranicy. Podobno zostali fałszywie poinformowani. Jeden z nich posunął się tak daleko, że oświadczył mi, iż drzwi jego domu zostały zamknięte dla panów Liteńskich. Tym razem nie było już mowy o JWP Liteńskich, ograniczono się jedynie do: panów.

Ceremonia trwała kwadrans czasu, bynajmniej nie przedłużany przeze mnie, bodaj przez jakąś towarzyską kurtuazję. Z mojej strony gest w postaci zwrócenia im listu, jaki do mnie skierowali. W sposób wytworny, lecz chłodny. Wyobrażam sobie, że byliby woleli dotknąć gołą ręką rozpalonego żelaza, niż zabierać ten list z powrotem. Przeżyli to jednak i rozstaliśmy się w zgodzie. Usłyszałam słowa zaproszenia do ich dworów:

- Nasze żony i my będziemy mieli zaszczyt powitać panią w naszym skromnym domu...

W godzinę później przysłano mi dwie wiązanki kwiatów z biletami wizytowymi. Dzisiejszy dzień zmęczył mnie.

Sobota - 30 lipca

Kilka dni temu spotkałam u nas w biurze owego młodego człowieka, który urządził mi nowy hall i mieszkanie. Wmówiłam w niego wakacje w Podjaskach. Jutro jedzie z listem w ręce do mojego Kaczmarka. Ma wszystko obejrzeć i zaprojektować odnowienie, nawet coś w rodzaju małych przeróbek.

Wieczorem oczekuję moich gości z Krynicy, przyjadą samochodem. Przygotowaliśmy z ciotką Elfydą powitalną kolację w warszawskim mieszkaniu.

Niedziela - 31 lipca

Był telefon ze Szczytnik. Pan Benedykt dopytywał się o moje zdrowie i samopoczucie. Od razu podziękowałam za wizytę dwóch panów z Galicji, nie jestem bowiem taka głupia, aby w siebie wmawiać, że to był skutek mojego listu. W słuchawce dosłyszałam coś w rodzaju westchnienia.

- Serdecznie dziękuję - mówiłam - teraz, po tym wszystkim, proszę zapomnieć o całej sprawie. Nie warto pamiętać. A w zimie zapraszam na polowanie do Podjasek. Do tego czasu może zdołam się tam jakoś urządzić. Jutro wyjeżdżam z Marcinami do Szwajcarii. Do mojej małej.

Poniedziałek - 1 sierpnia

Władek namawiał mnie na pozostanie do czasu nowego zjazdu legionowego. A mnie to na co? Na tych zjazdach najważniejsze jest tylko spotkanie się starego bractwa i popijawa. Wyjeżdżamy wieczorem.

Dzisiaj rano pojawił się w biurze Mireski. Po drodze wstąpił do sądu. Wszystko załatwił według dyspozycji.

Jedziemy bez zatrzymania. Jutro późną nocą dobijemy do Bazylei.

Przed wyjazdem pożyczyłam stryjkowi Józefowi okrągło trzysta tysięcy na jakiś interes. Nie pytałam, gładką ręką na dwa miesiące bez umawiania się o jakieś procenty. Gotówki mi nie brakuje. Kaczmarkowi postawiłam do dyspozycji sto dwadzieścia, osobno dwadzieścia tysięcy wręczyłam temu technikowi. Nazywa się Waclaw Kondola, ma około trzydziestu lat, żonę i dziecko. Zdaje się gruźlica. Szkoda chłopaka - bardzo zdolny.

Stary Liteński jest obecnie właściwie bez mieszkania. Podjaski stracił, Dębniaki wynajął, a u syna starosty widać nie za bardzo. Gdy wrócę, to z ciekawości pošlę kogoś w tamte strony.

Jadę tym razem bez specjalnego entuzjazmu. Ogarnęła mnie jakaś apatia, wszystko mi obrzydło. W dodatku Marcin spieszy się, ma w końcu tygodnia jakieś narady w Genewie, później oboje jadą do Paryża. Podobno likwidacja nawet tamtejszych interesów. Swoją drogą wielkie pieniądze napłynęły Marciniowi jakby powodziową falą. Mnie również.

Eichel - sobota - 6 sierpnia

W południe jedziemy do Villbach. Przez Bern, wysiadamy w miasteczku Merligen. Dwa kilometry końmi. Nad jeziorem St. Thun. Dobre sześć kilometrów do Interlaken, które leży pomiędzy dwoma jeziorami. Wioska Villbach mniej więcej na wysokości Zakopanego, do krewnych Hornów należy również część hali w górach, wysoko, ponad tysiąc trzysta metrów, a to wszystko u podnóża góry Guggis, ponad dwa tysiące metrów. Villbach ma od północy góry, a od południa daleki widok na jezioro St. Thun.

Wczorajszy dzień poświęciliśmy z Margot na porządkowanie szkolnej wyprawy dla Marty. Mała zostawia w Eichel dobrą opinię, pomimo że wkręcała się z ciekawości, gdzie tylko mogła. Podobno bardzo prędko połapała się w domowym języku niemieckim.

Villbach - niedziela - 7 sierpnia

Mała opalona na jednostajny brąz. Apetyt! W rodzinie jest dziewczynka o rok starsza. Od razu przebrali Martę w wiejskie stroje na dzień powszedni, a nawet w dzisiejszą niedzielę bardzo odświętnie, sporo wykrochmalonych fałd, gorsecik cokolwiek odmienny od zakopiańskiego i osobliwego kształtu kapeluszy z rondem. Gołe kolana, ale mimo upału grube pończochy pod kolanka z białej szorstkiej wełny, u góry trzy zielone paski. Mała rąbie po niemiecku bez zastanowienia, ale nikt w rodzinie tym się nie gorszy. Nigdy nie sądziłam! Od kilku dni Marta przebywa tutaj sama wśród wiejskiej rodziny doktora Horna. Chłopcy wybrali się na dłuższą wycieczkę w góry, Czerwona Łopata w Genewie, a młoda Margot wyjechała na praktykę ogrodniczą do Znaimu w Czechosłowacji. Panna Rose na dwutygodniowym urlopie.

Mała przywitała mnie rezolutnie, nie speszyła się ani trochę. Bardzo dobrze, bardzo dobrze, będzie miała w życiu lepiej ode mnie. Z panną Rose spotykamy się dopiero osiemnastego w Eichel i razem pojedziemy do Annecy. Mała będzie zdawać wstępny egzamin.

Dom krewnych. Stary, kamienny, ustawiony wysoką, wąską ścianą szczytową do placu. Wszystko ciężkie i masywne. Schody na pierwsze piętro mają chyba z trzysta lat, szerniały od starości. Dwie kondygnacje schodów, pokojów, izdebek i różnych zakamarków. Poza tym prymityw. Studnia na podwórzu. Wejście z tej strony na szczyt Guggis jest niemożliwe, strome ściany, coś w rodzaju naszego Giewontu od strony Doliny Strążyskiej.

Dzisiaj po południu przyniesiono strój podobny do tego, w jakim Marta występowała w zborze. Widocznie postanowili traktować mnie od pierwszego dnia jak swoją. Jutro wystąpię w tym kostiumie. Pojutrze mają zabrać mnie na halę, wysoko w górach.

Wszystkie posiłki podają na dole, w wielkiej izbie czy sieni, w której panują zwyczajnie niezmiennie chyba od czasów Wilhelma Tella. Tutaj koncentruje się życie całego dnia,

ponieważ Izdebki służą jedynie do spania. Już zdążyli opowiedzieć mi bajdy o jednodniowym pobycie tu byłego króla Anglii, tego od Mrs Simpson. Wówczas był jeszcze księciem Walii i podróżował prawie samotnie z kilku towarzyszami. Mieszkańcy Villbach nie mogą mu darować, że zjawił się u nich w stroju obowiązującym w Solothurn. Według nich powinien był porzucić tamten ubiór, tutejszy, według nich, jest znacznie efektowniejszy! Dziecinady!

Wtorek - 9 sierpnia

Za godzinę wybieram się na halę. Jeszcze ciemno. Mała uparła się, że chce mi towarzyszyć. Powrót dopiero pojutrze po południu.

Czwartek - 11 sierpnia

Wróciłyśmy. Tam na górze oddycha się całkiem inaczej. Droga jest w istocie trudna, pocieszają mnie, że to tylko na początku. Na dole zastałyśmy doktora Arnolda. Opowiadania o Genewie. Marcinowie zostają w Paryżu do końca miesiąca. Mamy spotkać się dziewiętnastego w Genewie u Elzy - Patrycja z Ksenią. Wieści jakby z dalekiego świata. Czerwona Łopata od razu zrzucił miejskie ubranie. Krótkie skórzane spodnie w kolorze bliżej nieokreślonym, łatane i cerowane. Trofea górskich wypraw. Coś w rodzaju czarnej kamizeli, biała koszula otwarta na piersiach. Na nogach ciężkie buciory, takie jakie tutaj wszyscy noszą. Rozmowy do późnej nocy. Inny świat, inni ludzie. Jakby inne powietrze. Nad głowami szczyt Guggis, przysuwający się ku nam, gdy się zmierzcha, i jakby u naszych stóp - jezioro. W nieco odmiennym kolorze niż na południu. Ciemne, głęboki kolor soczystego szmaragdu. W słońcu jakież inne zjawiają się przestrzenie, horyzont wypełnia się powietrzem i jaskrawością światła. Szmaragd wody ustępuje granatowym odbiciom nieba. Wszystko tutaj jest zespolone z sobą. Góry, jezioro, widoki i ludzie. A nad wszystkim wisi bezmiar nieba z białymi chmurami, które zdają się być blisko, blisko, a jednak szczyty wysokich gór ich nie dosięgają.

Środa - 17 sierpnia

No cóż? Otwarłam ramiona. Reszta nieważna. A później, gdy to już się stało, oboje byliśmy zdumieni i jakby zawstydzeni. Do domu zbudowanego z kamieni i mchu wróciliśmy w ponurym niemal milczeniu. Zdawało się nam, że zaszło coś niesłychanie głupiego. Straciliśmy na chwilę równowagę myślową. Ale są rzeczy, których nie można cofnąć.

W kilka godzin później spożywaliśmy już kolację w radosnym gronie, w wesołym pogwarze rozmów ludzi, którzy się naprawdę napracowali w ciągu dnia. Ludzi, którzy chcieli te wieczorne godziny wykorzystać na opowiadanie o tym, co przeżyli, co usłyszeli i widzieli. Jako goście siedzieliśmy oboje z Arnoldem na honorowych miejscach u góry stołu. Zagadywano nas i starym, chłopskim zwyczajem klepano po ramionach. Słowa były niemal rubaszne w twardej szwajcarskiej niemczyźnie. Marta baraszkowała wśród dzieci. Jeszcze nie spała o tym czasie.

Później, jak zwykle w górach, urwało się. W otwarte okna uderzył chłód nocny i zrobiło się bardzo ciemno. Okna zamknięto z hałasem, wielka izba kuchenna opustoszała i sama nie wiem, jak znalazłam się w naszej izdebce z Martą, która zmęczona wymawiała się od pacierza. Położyłyśmy się obok siebie na wąskim łóżku we wnęce, mała objęła mnie obu rękami i szybko usnęła.

Następny dzień zbudził mnie w zwykły sposób. Na schodach stukały chodaki służącej i wetknięto nam do ręki po wielkim kubku gorącego mleka z pajdą ciemnego chleba z masłem. Na dworze zaledwie szarzało. Na wsi nie ceregielują się. Dla gości nie łamią porządku pracy. To dla nich jakby część prawie religijnego obrządku.

Arnolda już nie było. Wyjechał, co zresztą było postanowione od kilku dni. No cóż, może tak i lepiej, na razie. Przecież to byłby lichej materiał na kochanka dla salonowej damy.

Żona, dzieci, córka dorosła. To, co się stało, nie było następstwem jakichś myśli czy starań. Przyszło jak burza, nagle i niespodziewanie, i w podobny sposób przeszło.

To również nie miłość. Nie namiętność i żądza, budzona i podsycana nadziejami i pragnieniami. Po prostu przygoda w górach. To samo zresztą mogłoby się wydarzyć inaczej, na wycieczce campingowej kajakiem, w namiocie, nad jakimś jeziorem czy w lesie. Jakiś obrazek, jeden z tych, jakie widzi się w przelocie. Mignął i zaraz zgasł.

Pierwotność była w tym wszystkim. Coś jaskiniowego i nieprzemysłanego. O takich rzeczach należy zapomnieć. Im prędzej - tym lepiej.

Mocne ręce samca i czerwona twarda broda szorująca po mojej odsłoniętej piersi. Mocne jak stare wino, zbyt jednak gwałtowne w swej nagłości i pośpiechu. W sumie również nie to, czego wyczekuję w życiu. Pierwotność to tylko prymityw. Jakiś oderwany w swej burzliwości czyn, który rozbudza jedynie, a nie gasi pragnienia.

To nie ów cherubin z komedii francuskiej, o którym wspomniała Elza Dubow. Kochankowie bowiem w życiu kobiety to nie jakieś dodatkowe ciastko obok talerza ze śniadaniem. Zrozumiałam i to.

Do kolekcji jedynie czterech kochanków przybył piąty. Rudolfa nie ma co liczyć w tym bilansie. To był jedynie wyrobnik, a ja niewolnica w małżeńskiej garkuchni.

Cherubina przypuszczalnie nie znajdę. Może właśnie dlatego trzeba będzie zrezygnować z wielu imponderabiliów i powrócić do metody ciotki Leokadii. Na resztę nie warto nawet plunąć. Gdy nie można wygrać na loterii jakiegoś większego haupttreffera, trzeba zadowolić się bodaj zwrotem zwykłej stawki. Zawsze to lepsze od - straconych złudzeń. A lata lecą!

Na początek powinno to być raczej jakieś potulne bydłatko płci męskiej. W miarę nieśmiałe i tylko na zawołanie. Być może takie, które skrzywdzono w życiu, jakaś zawiedziona miłość, bo taki mężczyzna jest pewniejszy. W dodatku na zimno, bez głupich kawałów i cielejących zachwyków.

Upadasz nisko, Anno... ale cóż masz robić? Cóż nam po duszy aniołów, skoro ciało mdłe? A później kobiety gonią za chłopami. Rozwydrzenie. Wyżycie dla biednych, a znudzenie dla bogatych. Teatr w łóżku dla ubogich, a uczta wyrafinowana w prawdziwym teatrze dla bogatych.

W dalszym ciągu analizujesz, biedaczko, wrażenia i przeżywasz wspomnienia. Czas byłby oderwać się od myśli, które spalają. Fizyczność przeżyć konserwuje, natomiast abstrakcje pożerają.

A zatem Leokadia z lat trzydziestych? No cóż? Posty stwarzają anachoretów, a krata z gwoździami jest łóżem tylko dla fakirów. Trudny problem dla ludzi, którzy sypiają pod puchowymi kołdrami. Grzechu w tym nie ma, gdyż to byłoby głupstwem.

Coś to wszystko brzmi jak absencja, ale trudno, człowiek, który myśli - grzeszy. Trzeba będzie to sobie jakoś urządzić. Znaleźć kochanka, takiego rozsądnego, na noce bez dni, oszczędnie, bez odbijania się i bez zgagi, raz w tygodniu, dokładnie połowę tego, co zalecał doktor Marcin Luter. To jest również filozofia życiowa, filozofia dnia powszedniego dla ludzi.

Arnold. Jutro trzeba będzie spotkać się z nim w Eichel. Ale cóż? Przywitam się z nim tak, jak by to był ktoś, z kim spożyło się kiedyś obiad czy kolację w dobrej restauracji. Takie rzeczy powinny w życiu przemijać. Czy potrafię? Chyba - tak. A zresztą - muszę, ponieważ nie może być inaczej.

Paryż - Środa - 24 sierpnia

Funduję pani Horodyńskiej trzy dni w Londynie. Nie mam na myśli pieniędzy, lecz jedynie okazję. Pieniądze nie są ważne. W dodatku będzie to pierwsza w jej życiu podróż samolotem.

W pawilonie przy ulicy du Pont Vert spokój. Patrycja zajęta Sierozką, pani Horodyńska poszła wcześniej spać przed jutrzejszą podróżą, ciotka Temmi na jakimś ekskluzywnym przyjęciu w amerykańskiej ambasadzie. Spokój i cisza. Kopia Fragonarda przebłyskuje na ścianie nagością olbrzymiego ciała kobiety w pozie, powiedzmy... zachęcającej. Jak było wtedy?

Powietrze przepojone chłodem wieczornym. W nozdrza uderzał ostry zapach świeżo skoszonego siana, które tego dnia ogrzało słońce popołudniowego upału. Wieczór zapadał szybko, jak zwykle w górach.

Dreptałam za moim kochankiem. W tej chwili nie myślałam o niczym. Było mi dobrze. Potem nagle zjawiała się przed nami wieś, wyrosły szczyty chłopskich domów. W którymś miejscu otwarły się drzwi i buchnęło w nas światło. Byliśmy w domu.

Tak. Upiliśmy się słońcem, powietrzem, odurzył nas chłód zbliżającego się wieczoru. I stało się. Przyszło nagle i przeszło nagle. Wdarło się w nasze życie jak błyskawica i zgasło.

U progu domu pomyślałam o Margot. Przyjaciółka. Żona mojego przyjaciela. Człowieka, w którym od kilku lat uczyłam się znajdować nauczyciela życia spokojnego. Trudno. Zawahałam się, ale od razu powiedziałam sobie: to się już nigdy nie powtórzy! Postanowienie to pozwoliło mi przekroczyć wówczas próg domu, No i - tyle.

Spotkanie z doktorem po przyjeździe z Martą do Eichel? Proste. Horno był zresztą na budowie, ściągnęli go z niej, aby się ze mną przywitał. Był w podartym kombinezonie, w którym widzujemy go często w ogrodzie przy inspektach.

- Jak się masz, Anno? - powiedział. I wskazał swoją szeroką dłońią na Martę: - Patrz, jak się ta mała rozwinęła w naszym kraju.

Przeszło, nie powstała z tego żadna tragedia. Życie trzeba brać takim, jakim jest. Świat jest własnością raczej ludzi małych. - *Cela est bien dit* - powiedział kiedyś Candide - *mais il faut cultiver notre jardin*.

Postęp, moja Anno, od abstrakcji ducha ku realizmowi ciała. Troszkę późno, w tym roku skończyłaś już trzydzieści lat. A może właśnie dlatego?...

CZEŚĆ TRZECIA WIELKOPAŃSKIE FANTAZJE

Wrzesień - grudzień 1938

Sobota - 11 września

- Ach - powiedziała Erna - o mały figiel nie zostałam żoną brata naszej kuzynki... z Polski, wiesz? Tego Christiana, który z moim bratem wyjechał do Ameryki. Jakoś przeboleł stratę - dodała z lekką ironią - ożenił się z Argentyńką, takie fantastyczne imię - Estrella.

Mąż Erny, wysoki, mocno łysy facet, drugi z rzędu syn lorda Firth. Od święta „robi” w parlamencie, a na co dzień przypatruje się kursom papierów na giełdzie. Sfera zainteresowań w jakiejś kopalni diamentów w dawnym Transwaalu, poza tym własne place do golfa dla licznych przyjaciół Erny.

Co do samej Elfrydy, niby w dalszym ciągu miła dla mnie i serdeczna, ale to już nie to samo co w czasach gdańskich. Zamknęła się w sobie jak ostryga.

Nie pisałam już blisko trzy tygodnie. Po powrocie do Warszawy zastałam młynek różnych spraw. Ale i to było nieważne wobec rozmów z Marcinem, zwłaszcza wobec naszej ostatniej rozmowy w przeddzień mojego wyjazdu z Paryża.

Stańkaś, Anno, w cieniu świecznika świątyni.

Marcin staje się jakimś kapłanem. Czasami, gdy przemawia w ten sposób, z twarzy jego znika cyniczny uśmiech światowca, oblicze wypełnia skupienie. W jakimś małym miasteczku

włoskim widziałam niegdyś twarz maestra, który pociągał za kilka tuzinów sznureczków. Był to teatr marionetek. Twarz groszowego artysty była skupiona, a naprężone jego palce starały się związać myśli z życiem figurek. Palce żyły w przedłużeniu sznurków. Maestro zapomniał jakby o sobie samym i uwielokrotniał się w swoich figurkach ulepionych z wosku i obszytych wielce kolorowymi gałgankami. Postacie ruszały się z iście włoską niecierpliwością, otwierały usta, mówiły dziesiątkami różnych głosów, w czym pomagała żona artysty i jakiś niesamowicie brudny i obdarty wyrostek. Stara jejmość zastępowała głosy tuzina mężczyzn, a wyrostek, być może syn tej pary, mówił na zmianę dyszkantem i śpiewał ludowe piosenki o miłości wysokim sopranem, *con amore*.

Marcin w roli takiego właśnie prestidigitatora, a u jego pomocników jakoby tradycyjna sakralność roli wszystkich uczniów świątyni, rozproszonych po dalekich światach w przeszłości i teraźniejszości. Trudno zrozumieć taką trwałość idei, która w nieprzerwanym ciągu lat realizuje się i odnawia w różnych odmianach i formach. Trwa podobnie - jak życie.

A ja, Anna, wśród tego? W cieniu świecznika świątyni, jak gdyby dla mnie nie starczyło już samego światła. Ale w cieniu stojąc i patrząc w światło, samemu nie jest się widzialnym. Ale może to tylko po prostu jedna z zapasowych lalek, układanych na dnie skrzyni po zakończeniu przedstawienia? Tam we włoskim miasteczku teatr lalek - tutaj na wodach szerokiego świata lalki dla wielkich poczynań. W długim i niestrudzonym szeregu tych - *la vita comincia domani...*

Podwójne życie, podwójny obraz w tych samych ramach. Widziałam już takie obrazy przeznaczone dla prostaczków. Dla patrzącego z lewej strony obraz Matki Boskiej, a dla patrzącego z prawej strony obraz Pana Jezusa. Kwestia odpowiedniego pomalowania - szklanych w tym wypadku - słupków pionowych.

Zresztą sama nie wiem dokładnie, czego chcę i ku czemu dążę. I tak jest szczęśliwie, że dobry los pomieścił mnie w zasięgu czarodziejskiej skrzyni magików. Karuzela wokół tej roli, jaką dla mnie przeznaczył Marcin w tych ostatnich miesiącach mojego polskiego finiszu. Żywot damy. Utopienie w uśmiechu sznurków, które się trzyma w ręku, a których końców się nie widzi. Tylko dama i nic więcej!

Wydarzenia. Jakiś starozakonny antykwariusz w Krakowie odczekał kilka miesięcy i od razu hurtem zaofiarował nowej właścicielce Podjasek to, z czego ogołocił dwór stary Liteński. Coś w rodzaju małego antykwariatu. Owszem, kupiłam. Osiemnaście portretów przedstawicieli rodu Podjaskich, siedem dam w robronach z perukami, dziewięciu na przemian podgolonych polskich szlachciców i we francuskich perukach oraz dwa portrety dziewczynek. Portrety Podjaskich zawisną z powrotem na dawnych miejscach w odnowionej sali stołowej. Nie uzupełnię ich jednak portretami naszej rodziny. Mnie wystarczy, że będę mogła powiedzieć: - Nabyłam majątek, który pozostawał w rodzinie Podjaskich trzysta lat. - Mego uczucia w to nie włożę. Dla fantazji zatrzymam sobie ten kawałek ziemi w Polsce, nawet gdy już wszystko inne wyprzedam. Po to, aby od czasu do czasu sprosić do tego starego dworu towarzystwo polskie czy zagraniczne - na polowania.

Podczas mojej nieobecności w kraju szwagier Tuchołka zlikwidował swoje wiejskie interesy. Starostą już zresztą nie jest od dwóch miesięcy. Zdaje się pośliznęła mu się noga: jakieś niefortunne wybudowanie drogi w złym kierunku - podobno do własnego majątku. Oba majątki nabył Żyd z Dubna nazwiskiem Unger, jednakże z wyłączeniem mebli pałacowych. Te go nie interesowały, pracuje w mięsie, w eksporcie bydła do Czechosłowacji. W porę się o tym dowiedziałam. Zabrałam mojego pana Kondolę i przejechaliśmy się do szwagra. Położyłam na stół gotówkę, ustaliliśmy, co zabiorą z sobą Tuchołkowie, a resztę jeszcze w moich oczach rozpoczęto pakować. Cały kram znajduje u; już na miejscu w Podjaskach. Ogółem 628 pozycji według spisu. Bez pozycji bibliotecznych, te bowiem szwagier Tuchołka zabierze do Poznania, gdzie się mają osiedlić. Rodzina w końcu tego miesiąca, szwagier po wykopaniu kartofli i buraków, czego zapewne po raz pierwszy w życiu sam przypilnuje. Mam

również nadzieję, że po raz ostatni, chyba już wyrósł z fantazji wiejskiego gospodarowania. Pelasia i dziewczynki szaleją z radości, że opuszczają nudną wieś i przenoszą się do Poznania. Będę ich zresztą miała w przejeździe, pewnie z dobry tydzień.

Podobno Tuchołka zostanie jakimś dyrektorem w Poznaniu, ma przyjaciół, nie pozwolą mu zginąć. Takich „strzelców” potrzebują na pewno... w bogoojczyźnianym Poznaniu.

Grubsze remonty w Podjaskach będą zakończone przed listopadem. Remontuję gruntownie nowy dwór, natomiast stary jedynie po wierzchu. Nasz budowniczy ustąpił mi pana Kondolę do wiosny, przeniósł się on już z rodziną i zamieszkał w jednej z oficyn. Wyjdzie mu to na zdrowie, a mnie na pożytek. Sześciu stolarzy ma dłużyć nad meblami, póki wszystkiego nie ponaprawiają i nie odnowią. Roboty chyba na pół roku.

Na Boże Narodzenie zaproszę na wieś całą rodzinę, sprowadzę nawet małą z Annecy. Niech się ucieszy, kiedyś i to stanie się jej własnością. Będzie się nazywało: po matce odziedziczyłam stary dwór w Karpatach.

Sprzedałam listy zastawne ciotki Magdy po 72, dobry kurs. Dołożyłam do równego pół miliona, w najbliższych dniach Władek ma zorganizować przerzucenie tych pieniędzy do Genewy. Podobno za piętnaście tysięcy, niedrogo i w dodatku bez ryzyka, ktoś z PIR-u.

Dla Podjasek kupiłam sześćoosobową tatrę, mocny wóz, dobry na tamtejsze wyboje. Dla siebie zamówiłam nowego buicka w ciemnogrnatowym kolorze. Bardzo reprezentacyjny, pokazywano mi takiego samego, ale w czarnym kolorze. Znudziło mi się jeżdżenie w żałobnej barwie. W Paryżu widziałam ostatnio wozy w kolorze kości słoniowej ze złoceniami, ale to były wozy indyjskich maharadzów. Snobizm, w dodatku mocno niepraktyczny.

Niedziela - 18 września

Pomimo wszystko miałam dzisiaj tłumny obiad. Trochę mnie zmęczyło, ale to nic. Leokadia wieczorem poleciała na brydża do pułkownikowej Mayerowej, ja zostałam w domu. Piszę.

A teraz co powiedział mi Marcin. Krótkie charakterystyki osób z mojego najbliższego otoczenia. Właśnie ów Mayer - podpułkownik z defensywy. Marcin twierdzi, że jest wykluczone, aby tacy ludzie mogli pracować tylko dla jednej strony. Dawał przykłady. Ten salon piękności to jedynie skrzynka dla agentek. Przeważnie różne paniusie z arystokracji. Ostrożnie! To samo z panią Gano. Obserwowano ją ostatnio w Genewie. Marcin wszystko wie. O Sosnkowskim mówi, że kabotyn, ma rację. A jego żona jest taka sama. Nie znoszę tego babsztyla. W dodatku nie wiadomo, dlaczego drą nosa do góry. Kilku naszych generałów kupiło wielkie tereny kolonizacyjne w Brazylii, robią na tym dobre interesy, niewiadome natomiast jest źródło tych funduszy. Lokują gotówkę w amerykańskich bankach, nowość, w której na razie nawet Marcin nie może się połapać. Dlaczego aż tak daleko? Podał kilka nazwisk. Znów generał Kasprzycki. Jakiś w dodatku kant z działkami przeciwlotniczymi, nic dziwnego, generał lubi piękne kobiety i odwiedza kulisy... Marcin wytłumaczył mi rolę „L”. Wyobraża sobie, że nasz znajomy nie miał odwagi zwrócić się bezpośrednio do Władka, chociaż ten na obie strony... To są tylko mali kupcy z „Pocisku”. Rumuński dyplomata jest zasadniczo przedstawicielem I.G. Farben, jego funkcja w warszawskiej ambasadzie to była jedynie fikcja w celu operowania paszportem dyplomatycznym. Nasz interes zbrojeniowy również był zrobiony jedynie na boczku dla stworzenia pozorów i zamaskowania czegoś innego. Niemcy przenikają obecnie bardzo silnie do rumuńskich sfer dworskich przez rodzinę pani Lupescu. Takie pozycje są znacznie silniejsze niż normalne kontakty rodzinne przez dynastię niemieckiego zresztą pochodzenia. Jasne i zrozumiałe.

Obecnie jakiś Sosnowski sypie wszystkich. Różne typy z wysokich sfer wojskowych mają cykorię, jak to określił Marcin, ale według niego cała ta afera rozejdzie się po kościach. Gdy będzie potrzeba, gościa po cichu zlikwidują. Padło parę nazwisk ze sfer towarzyskich.

Dla pamięci. W rodzaju bramek slalomowych dla Banie. Lepiej zawsze obejrzeć sobie trasę przed wyścigiem.

- My? - powiedział Marcin. - Wirewicz to jedynie chorągiewka do sygnalizacji. Gdy zajdzie potrzeba, to go odsuną bez pardonu. Ktoś musi realizować techniczną stronę takich zagadnień. Popieraliśmy go w wypadku Abisynii, no, tak było nam potrzeba. Sama Abisynia w tej sprawie nie była ważna. Rozgrywka szła o zgoła coś innego. Widzisz, Anno, czasami trzeba bodaj sztucznie wywołać ropienie, aby ropa znalazła możliwość ujścia na zewnątrz. Widziałas przecież, już stary Kreiss był również na obie strony, ponieważ tak wypadało dla interesu. Nawet te ostatnie miliony via „L” to również manewr. To dopiero próby tego, co nastąpi w najbliższych latach. Pierwsze posunięcia pionkami. Ale jeszcze sporo czasu upłynie, nim figury wejdą do akcji. I dlatego ja - mówił Marcin - wycofałem się. Natomiast twoja obecna rola, Anno, polega na zmączeniu wody, na zatarciu rzeczywistego obrazu tego - kto, gdzie, komu, jak i w jakim celu. Na razie zatem na wszystkie strony, ale z terminem do końca roku. Kto wie zresztą, czy już w przyszłym roku, gdy się powiedzie... Szwajcarski paszport jest bardzo wygodny, neutralność jest silniejsza niż armaty.

Nasz radca prawny wrócił z Krakowa i zdał relacje z pierwszej rozprawy contra Rudolf Liteński. W charakterze zastępcy tamtej strony naturalnie kochany pan z sygnetem i brodą. Mój co prawda Żyd, ale znakomity prawnik i jako człowiek bez zarzutu. Różne lewe tromfy w dalszym ciągu. Gdy mi się znudzi, każę przedłożyć na rozprawie list starego Liteńskiego do Wajnsztoków. A to będzie śmiech na sali sądowej, niech się prawnicy trochę ubawią! Właściwie ta cała sprawa to dla mnie zabawka, a ja jestem w roli małego kotka, który bawi się kłębkami włóczki porzuconym na podłodze. Zresztą adwokaci również muszą z czegoś żyć.

W przyszłą niedzielę u mnie wielkie przyjęcie dla uczczenia ostatniej niedzieli w tym miesiącu. Robią mi nowe suknie. Przywiozłam wzory paryskie, kopiują w innym materiale. Podczas rozmowy w naszym towarzystwie padło któregoś dnia pytanie:

- Po co ludzie żyją na świecie?

Profesor Wydra otworzył szeroko oczy i spojrzał na mnie. Władek wmieszał się do rozmowy nieproszony i wybuchnął śmiechem.

- Jak to? Oczywiście dla Pana Boga... *ad maiorem Dei gloriam*.

Głupiec w randze generała w stanie spoczynku.

Zosia Wirewiczówna zaciudowana w swoim koledze w sposób poważny. Będzie z tego, zdaje się, drugie wydanie Kubusia i Marysi. Pospolity romans obyczajowy w trzech aktach, zaręczyny, ślub i dowolna ilość trzecich aktów w postaci chrzcin kolejnych dzieci. No, ale tacy również muszą być na świecie. *Ad maiorem...*

Wirewiczowa wierzy jedynie w swoje domy czynszowe. Władek wierzy w „Starachowice”, nawet nie w „Pocisk”, gdzie jest macherem w radzie nadzorczej, stryj Józef w drzewo, a ciotki w gotówkę, naturalnie w porządnym walutach. Natomiast profesor Wydra wierzy tylko w książki, a blaszanego szyldu z kolorowym herbem Wenezueli używa w charakterze merlinowskiej tarczy magicznej. Marcin powiedział mi kiedyś:

- W życiu często tak bywa, że pieniądze płyną jakimś bezmyślnym Paktolem do czasu, gdy ktoś po drodze nie zażąda od nas jakiejś usługi, której nie można wykonać bez pogwałcenia własnego „ja”. Wtedy lepiej się wycofać i uskoczyć w porę. Taki na przykład Kreiss. Ale on uskoczył dopiero pod koniec życia dla Angieleczki z biustem i nóżkami jak sarenka. Mówiono mi ostatnio w Genewie, że to była zwyczajna manicurzystka pracująca w jednym z londyńskich hoteli. Łowczyni starych i bogatych, w tym wypadku złapała nawet męża. Co do Kreissa, to może i lepiej, był już za stary do współczesnych interesów, ożenił się w samą porę. Natomiast w paszczy Molocha pozostawił własnego syna.

Profesor Wydra jedzie za kilka dni do Włoch na cały miesiąc. Tymczasem nabija mi głowę różnymi horoskopami politycznymi. Mówi całkiem obłądnie o nowych wojnach.

Wydaje mi się, że to przesada. Profesor jest wystraszony wzrastającą potęgą obu dyktatorów. Stawia nam jako przykład portugalskiego Salazara. Jego przyjaciel, również profesor, uczony syn jednego z byłych uczniów profesora Wydry ożenił się właśnie bardzo wysoko na dworze króla włoskiego. To są potomkowie tych landgrafów heskich, którzy w końcu osiemnastego wieku sprzedawali swoich poddanych do angielskich wojsk w Ameryce. Ta włoska odnoga książąt heskich jest jakoś na bakier z Hitlerem, podobno pożenili się z bogatymi Żydówkami i stąd nieporozumienia. We Włoszech połowa tamtejszej arystokracji jest w ten sposób pożeniona.

Paryż pytał, komu mają dać przedstawicielstwo na Jugosławię. Następca Zajlicza zarwał ich, to był wynalazek Elzy. Nie udało się, mimo że to był gość z paczki, która organizowała zamach w Sarajewie. Starzy znajomi i nic z tego nie wyszło. Niby nie stracili, ponieważ były gwarancje hipoteczne, ale nie wiadomo, co są warte hipoteki w tamtych stronach. Poleciłam im owego sekretarza konsulatu, u którego mieszkałam w Belgradzie i który zapoznał mnie z Zajliczem. Miał szczęśliwą rękę, oby ze mną też tak było. Do niego wysłałam również list z odpowiednimi informacjami i radami. Ostatnio był u mnie w Warszawie, załatwiałam mu nawet jakiś drobiazg u Beckowej, ale z pominięciem Mokotowa. Właściwie nawet z teściową, ponieważ trzeba było, a to jest właśnie jej rodzinna domena. Podobnie było ze starą Mościcką, gdy staraliśmy się o koncesje leśne. Wygodna droga. Kupiliśmy wówczas za półtora miliona partię drewna, która była warta dwa razy tyle. Stać nas było zatem na wkalkulowanie dodatkowych kosztów.

Ciekawa jestem, czy to chwyci? Właściwie nic na tym nie stracę, ponieważ od Nowego Roku wycofuję się z paryskich lakierów i już nowi właściciele „Czterech Kamieni” będą się martwić. Ciotka Temmi chciałaby jednak oddać firmę z różnymi zagranicznymi przedstawicielstwami, to zawsze bardziej ciągnie nowych nabywców. Podobno dobijają sprawy sprzedaży, kredytuje paryski dom Rotszyldów. Kupuje rodzina żydowska z Niemiec, która zdążyła uskoczyć w samą porę z kontami bankowymi.

Ciekawa była przedślubna umowa państwa Krymułtów, tych co zginęli w katastrofie. Na przeżycie. Oboje zginęli i cały majątek przeszedł na Sierozkę i Ksenię. Śmierć pokryła od razu tajemnicę urodzenia dzieci. Może tak i lepiej?

Marcin i Florencja nie mają dzieci. Właściwie już obecnie można wnioskować, że nie będą mieli. Kwestia spadku, ciekawa jestem, czy Marcin pomyślał o swoich dzieciach. Przecież to są jego dzieci. Czy oni rozmawiają między sobą o tych dzieciach, gdy spotykają się - Marcin i Patrycja. Nigdy tego nie dojdę.

Czwartek - 22 września

Nie pisałam, ponieważ przeżywaliśmy dwa nieprzyjemne dni. Nieporozumienia z Izbą Skarbową. Badali nasze stosunki z londyńską firmą. Skąd oni wpadli na ten dowcip? Przecież u nich nie siedzą aż tacy zdolni ludzie. Za mało płacą. Ustawiczne pytania. Trzeba będzie ich przyciszyć. Przecież w Warszawie płacimy podatki od tutejszych interesów, a tam również nie darują nam podatków. Podobno mają zamiar przeprowadzić wywiady zagraniczne. Dobrzy sobie, jak oni to sobie wyobrażają? Przecież zagraniczne banki nie są tak bardzo skore do pokazywania kont swoich klientów. W Anglii to nawet wręcz niemożliwe. Całe szczęście, że nasze udziały nie są ujawnione w londyńskiej firmie. Oficjalnie występują jedynie angielscy krewni, my pozostajemy w charakterze cichych współników na podstawie umowy rejentalnej. A ta jest jak grób.

Piątek - 23 września

Nowa prowokacja Liteńskich. Anonim został wysłany z Krakowa. Koperta ze znaczkiem pocztowym jest spięta w aktach razem z anonimem. Mamy w rękach odpis anonimu. Dobrze, że zbytnio nie wtajemniczałam ich w nasze interesy. Rudolfowi

Liteńskiemu zależało zresztą jedynie na różnych kwotach kieszonkowych. Noce małżeńskie - nocami, a swoją drogą zaglądnę do damskiej torebki. Gdy to przejrzałam, zabierałam do Krakowa najwyżej dwie pięćsetki. Parę setek wycyganiał teść pod pozorem różnych zakupów, a resztę wypróbował mąż. Gdy jechałam samochodem, to przynajmniej miałam pod ręką Petrasa, jak mi kiedyś zabrakło pieniędzy na osobiste wydatki. Takie to były alfonsowe przyzwyczajenia synka wiedeńskiej Grizzi. Ale dobrze mi obecnie opisywać to wszystko z lekkimi kpinami, gdy już przeminęło.

Czasami, gdy przypominam sobie, że jestem kobietą, wzbiera we mnie złość.

Przyzwyczaiałam się jednak w małżeństwie do tych moich nocnych cotygodniówek. Kto wie nawet, jak by to było, gdyby nie ciąża i historie z fotografiami. Może po jakichś dwóch, trzech latach włożyłabym się do jarzma i powoli obaj panowie Liteńscy byliby mi mocno zredukowali majątek. Najgorsze bowiem są takie dziury, przez które woda przecieka kroplami. Lepiej, gdy od razu pęknie.

Sobota - 24 września

Odwiedziny pana Trzycieskiego i dalszych dwóch hrabiów. Tym razem z herbatą i z dekoracją obu ciotek i profesora Wydry, który przyszedł akurat żegnać się przed wyjazdem do Włoch. Angielskie rozmowy. Zjawił się również Mr David i to właśnie dla niego. Trochę zbyt snobistycznie, bo od razu na stole srebro, lichtarze i tak dalej, ale jakoś poszło. Jeden z hrabiów powiedział:

- Nie mogąc się doczekać na naszym terenie wizyty miłej sąsiadki, my od razu przy okazji w Warszawie.

Ano, zobaczymy, jak to będzie dalej z żonami tych panów. Na początek pojedę z wizytami w towarzystwie Leokadii, przecież to w pewnym znaczeniu obecna właścicielka majątku Górki, o którym zdążyli już usłyszeć. Co do mnie - rozwódka to jeszcze nie wdowa, w każdym razie więcej niż panna i znacznie więcej niż mężatka, w dodatku żona jakiegoś *ci-devant* tylko podpułkownika. Kulawe stanowisko w salonie, ale trudno. Za to majątek bez długu, a w tamtych dzikich stronach wszyscy wszystko wiedzą.

Widocznie cenią sobie moje sąsiedztwo, ponieważ z uznaniem wspominali o rządach Kaczmarka. Nic dziwnego, imponuje im gotówką, ciągnikami, dwoma samochodami ciężarowymi i osobową tatrą. Już zdążyli sobie wszystko obejrzeć. Najbardziej zdziwiło ich centralne ogrzewanie. Tego nie mogli jakoś zrozumieć w tamtych stronach. Kupno koksu to drobiazg, ale transport, całe 23 kilometry do kolei, a pod nosem odpadki drzewne z tartaków. Urządzenie małej elektrowni, na razie na motor ropny, to również nie na ich pojęcie. Powiedziałam wesoło coś mniej więcej w taki deseń:

- W Podjaskach widzę miłe wakacje i trochę świeżego powietrza. Tam jest bardzo ładnie, szkoda nawet, że tak blisko do kolei. Mój brat ożenił się w Argentynie, z jego majątku do kolei jest podobno ponad sto kilometrów. Ale mają swoją awionetkę, gdy potrzeba. Co do polowań - dodałam - to dołożę wszelkich starań, aby podtrzymać starą tradycję rodziny Podjaskich. Czy to prawda, że Podjascy mieszkali tam od kilkuset lat?

Przeskoczyłam stulecie Liteńskich i usłyszałam dzieje ostatniej z rodu Brzusków, którą poślubili Liteńscy już w obliczu własnej ruiny majątkowej. Była brzydka jak śmierć, tak z tego wypadło. Historie się powtarzają!

W każdym razie ustalam sobie pozycję towarzyską w Podjaskach. Wyjadę za granicę, zakończę wszystkie warszawskie interesy, ale w Polsce zostanie mi mój... dwór w Karpatach,

Spać! Jutro czeka nas harówka, tutaj u nas na Hortensji, przyjęcie dla ministrów i generałów. Interes. Brydż w dodatku ze Składkowską - mam z nią grać! Madame S. niekoniecznie pod wszystkimi względami, ale trudno... Business... Zieeewam!

Środa - 28 września

Henryk Wajnsztok w Warszawie. Z uszanowaniem. Oni już wkręcili się w nasze interesy. Zdumieni, że wszystko płacimy gotówką. Wajnsztokowie przestawili się na drzewo, zawarli nawet porozumienie z Blaufuksem, o czym bardzo lojalnie poinformował mnie Wajnsztok. Co mi to szkodzi, Blaufuksa to i tak mocno uderzyło po kieszeni, będzie musiał podzielić się zyskami, a to boli każdego kupca.

Naturalnie z interesem. Chcą pośredniczyć. Zrujnowany tartak, resztki lasów i nieużytki - od lat dzierżawili Liteńscy na owe słynne z kart i pijaństwa polowania. Obiekt do kupienia. Pomiędzy Podjaskami a owymi Wilczymi Hubami jest kilometr porządnego lasu, który należy do pana Trzycieskiego.

Czy ja wiem? Wajnsztoka skierowałam do Kaczmarka, niech jeszcze raz obejrzy dokładnie i wypowie swoje zdanie jako fachowiec. Wajnsztok wspominał, że tam można by wyrąbać jeszcze trochę drzewa, gdyby uzyskać pozwolenie. Z tym nie dla mnie interes, wystarczy, że rąbamy gdzie indziej. Co do tego zrujnowanego tartaku, można by go ożywić dla naszej spółki. Szkoda, że wiadomość nie przyszła wcześniej, byłabym skonsultowała moich sąsiadów. Ale trudno. Właściciele chcą wyjechać za granicę, cena przy gotówce.

Czwartek - 29 września

Izba Skarbowa załatwiona. Sprawę odłożono *ad calendas graecas*. Dwadzieścia tysięcy złotych i od razu spokój. Tymczasem czeka mnie w sobotę występ w „Hotelu Angielskim”. Zakon Rycerski Krzyża Jadźwingów urządza przyjęcie dla pięciu nowych członków, w tym dwie panie, ja również. Imponujące zaproszenie. W dodatku wręczą mi krzyż czwartego stopnia, wszystkich stopni jest siedem. Wyzłocone esy-floresy. Łacina: *Equestris Ordo Jatvingorum Crucis sub tutela Sancti Victoris, Militis et Martyris inclivi Patroni et Protectoris*. Ciekawa jest dewiza tego zakonu: *In adversitate etiam gloriosi*. Do zaproszenia oraz wstępnego zawiadomienia o przyznaniu mi tego odznaczenia i przyjęcia w poczet członków - dołączone zostały dwie obszernie historie tego zakonu, sięgające XV wieku: *La vie chevaleresque* i *Rivista Araldina*, oba numery z tego roku. Naturalnie nowe dwa tysiące złotych, ponadto po pięćset za insygnia i za bankiet. Drobiazg, skoro zaczęłam, trzeba dokończyć. Gdy opowiadałam o tym Marcinowi, roześmiał się, ale później powiedział poważnie:

- A cóż ci to szkodzi? Kto wie, może to się nam nawet przyda. Nosisz przecież trzy niebieskie kule „B.B.”, to możesz przypiąć również Krzyż Jadźwingów.

No - zobaczymy. Mam ubrać się w czarną matową suknię ze stuartowskim kołnierzem, bardzo małym dekoltem i długimi rękawami. Mogę i tak. Podobno bez biżuterii, lecz za to z orderami. Taki zwyczaj. Przyjęcie na czterdzieści osób, z dwoma biskupami i jakimś *monsignorem*, który przyjeżdża z Rzymu specjalnie w tym celu. Popatrz, popatrz... Jakoś zapomnieli czy przeoczyli, że jestem rozwódką, ale prawda, wobec kościoła katolickiego jestem jedynie zbłąkaną owieczką, nawet nie rozwódką. Kwestia tylko odbycia pokuty, klęczenia na kolanach i odmówienia pacierzy.

Przypnę sobie jednak tylko rumuński order Czerwonego Krzyża, to będzie poważnie. W Łodzi jest jakaś posłanka, zdaje się, że nazywa się Ładzina, która obnosi nawet na co dzień pięć orderów.

Były listy od Matyldy. Już spokojniejsze. I od Elfydy z Londynu, ten ostatni tylko z interesami. W dalszym ciągu kupujemy Vickersy. Stale idą w górę. Gotówka na kontaktach w Londynie prawie zjechana.

Sobota - 1 października

Wszystko wali się seriami. Po południu heca z bankietem na Wierzbowej, wśród zaproszonych gości również oboje Wirewiczowie i Kasprzycki. Jutro wieczorem jedziemy z

Leokadią do Wilna. Diabli nas tam niosą, podobno nadszedł świeży transport karakułów i srebrnych lisów. Mogę jechać, ale bardziej dla towarzystwa niż z ochoty.

Niedziela - 2 października

A to była heca! Ubawiłam się doskonale. Oni biorą to wszystko bardzo poważnie. Co do mnie, to w jednej parze z orderami Amman Ullacha, jakiegoś króla czy księcia Afganistanu, który przyjechał przed kilku laty i rozdawał w Warszawie różne śmieszne ordery z pelerynami i tytułami. Wirewicz dostał również. Ale na wczorajszym przyjęciu było sztywno i uroczysto. Dla ozdoby sprowadzili parę staroświeckich matron z historycznymi tytułami. Mimo woli trzeba było zachować kościelny styl. Dyplom na imitacji pergaminu, sporych rozmiarów pozłacany krzyż do noszenia na piersiach na łańcuszku oraz imienne błogosławieństwo J. Ś. Ojca świętego dla mnie osobiście wraz z całą moją rodziną. Skąd to wszystko pochodzi? Nie mogę tego zgłębić. Wśród obecnych zauważyłam dwie twarze widywane przeze mnie na przyjęciach w pałacyku natolińskim. W obu wypadkach moje pełne nazwisko niemieckie. Dyplom po łacinie, błogosławieństwo po włosku, z podpisem kardynała stanu. Doprawdy nie rozumiem. Moją partnerką była hrabina Drohojowska, w średnim wieku. Od razu zgadało się o majątkach. Wypadło dość dobrze. Podjaski złączyłam bardzo zręcznie z osobą pana Benedykta Szczytnickiego z racji jego pokrewieństw. Ale na co mi to wszystko? Podobno mają wybitnych członków za granicą, głównie we Włoszech. Ciekawe! W każdym razie wolę moje „B.B.”, z tym można objechać cały świat. Od przybytku głowa jednak nie boli.

Podjaski - niedziela - 9 października

Nie było czasu do pisania. Trzy dni w Wilnie, dwa w Warszawie i wczorajsza sobota poświęcona na dostanie się do mojego wiejskiego odludzia. Bo też i rzeczywiście pomimo taty i odnowienia rudery z dawnych czasów...

Jeszcze nie wszystko jest ukończone, wszędzie rozgardiasz i nieporządki. Zapach nowych tynków. Agregat do światła jeszcze niegotowy i na razie stare lampy naftowe. Ale mają skończyć do połowy listopada łącznie z centralnym ogrzewaniem.

Kaczmarek zuch, zabrał się do dzieła z istic pruską pedanterią i poznańskim uporem. Natomiast w tym zestawieniu nasz warszawski technik nadaje całości jakiegoś uśmiechu. Uzupełniają się, ponieważ Kaczmarek widzi majątek jedynie w stodołach i oborach. Gdyby od niego zależało, pomalowałby mi ściany we dworze zwykłym wapnem na biało, co najwyżej z domieszką ultramaryny. Tak, jak u nich tam gdzieś pod Leszmem.

Karakuły i lisy nabyłyśmy w podwójnej ilości, aby nie było między nami rywalizacji. W dodatku srebrne lisy dla ciotki Elfrydy, pelerynka, bobry dla stryjka i jeszcze osobno po srebrnym lisie w podarunku dla obu bazylejskich Margot.

W poniedziałek wieczorem odjechała do Warszawy ciotka Leokadia, a ja zostałam. Trochę dla dokończenia interesów futrzanych, trochę dla Irenki. No i stało się. W hotelu „George'a”, gdzie stanęłyśmy, natknęłam się podczas obiadu na moją studencką sympatię, która mnie swego czasu usiłowała przewrócić na tapczan. Tym razem uśmiechnęliśmy się do siebie, zaczęliśmy rozmawiać i usiedliśmy przy wspólnym stoliku. Irenka poszła w odstawkę. Obiad przedłużył się do wieczora, później kręciliśmy się w kółko w jakimś kabarecie. Dość wcześnie wróciliśmy do hotelu i z odprowadzenia mnie do pokoju zrobiła się małżeńska historia do południa dnia następnego. Później rozstaliśmy się równie nagle, jak nagle i niespodziewanie spotkaliśmy się po dziesięciu latach.

Z mojej strony jedynie bardzo oszczędne zwierzenia. Wysłałam za męża, mąż oficer, rozwiedliśmy się i obecnie mieszkam w Warszawie. Była raczej mowa o spółce drzewnej, która go interesowała ze względu na wileńskie majątki żony. Wylewny i gadatliwy. Troje dzieci, żona Litwinka z usposobieniem sentymentalna. Majątek, krewni, ale obecnie już

prawie zapomniany ów pałac w Kaliskiem z wielką ilością pokoi, o którym tak lubił opowiadać w Poznaniu. Było i przeszło. Nie rozumiem, dlaczego wbijałam w siebie tyle złudzeń i wkalkulowywałam do tego „aż” małżeństwo. Przecież nic mi w zasadzie nie grozi. Wówczas równie groziło aż tak bardzo... Tylko tyle, że dawniej goniłam za interesami i moja fantazja fizjologiczna nie dopisywała mi realizacji.

Historia tej nocy? Owszem. Z początku było jakieś oszołomienie i jakby onieśmienie. Przeminięło, ponieważ wyobraziłam, że to jest mój mąż czy kochanek od dłuższego czasu. Nawet w obcej restauracji - podawanie zakąsek wypada zazwyczaj dość sztywno, pieczone już znacznie swobodniej, a przy deserach rozkręcają się humory. W tym wypadku „pan Stanisław w roli... kelnera.

Przeszło. Obecnie trzeba będzie pomyśleć o jakimś trwałym abonamencie w tej dziedzinie. Tylko bez głupstw i szaleństw. Zawsze, gdy zechcę, a nie dopiero wówczas, gdy ktoś zaatakuję moją kobiecość, jak to się zdarzyło nad pięknym jeziorem szwajcarskim...

Kaczmarek już mi zestawiał dzisiaj spis wkładów, których należałoby dokonać po kupnie tego majątku. Według niego jeszcze w tym roku około sześćdziesięciu tysięcy złotych. Dobry sobie!

Warszawa. Już stanęłam w obliczu nowych interesów. Rumuńska hrabianka z niemieckim nazwiskiem. Ktoś - w moim rodzaju, tylko w nieco innym wydaniu. Nie warto wnikać w szczegóły. Jedyne ślad, jaki pozostanie, to będzie dopisanie dalszych kwot w Sztokholmie i w Londynie. Nazwijmy ją zatem Mademoiselle Aurelie. W trakcie naszej handlowej rozmowy przyjrzałam się hrabiance z bliska. Zręcznie roztarte zmarszczki koło oczu, murowana czterdziestka z okładem, również salon piękności „naszej kochanej” pułkownikowej Mayerowej.

Zacząło się od doręczenia mi upominku w imieniu naszego wspólnego znajomego, który przebywa obecnie w Ameryce Południowej. Barbarzyński klejnot. Coś w rodzaju gwiazdy, wisiorok ma szyję na cienkim platynowym łańcuszku, możliwość przypięcia do sukni bez tego łańcuszka. W środku duży brylant, dość nawet płaski, o starym szlifie, jednakże z błędem od spodu, prawie przez połowę. Ponad dziesięć karatów, ale wartości najwyżej pięciu porządnym karatów, odpadki w cenie przeszlifowania. W formie krzyża cztery dwukaratowe brylanty również płaskie, dobrze jednak oszlifowane i efektowne. Pomiędzy tymi brylantami dalsze ramiona gwiazdy, cztery razy po trzy brylanty jednokaratowe, te prawie kuliste, krople silnych światła. Nie miałam czasu na zanieśienie świecidełka do naszego jubilera pod pozorem przeczyszczenia. Ale Leokadia szacuje na jakieś trzydzieści pięć do czterdziestu tysięcy. Nie przyznałam się naturalnie, od kogo to pochodzi, i Leokadia przyglądała mi się dość podejrzliwie. Może myśli, że to upominek od jakiegoś kochanka. Niech sobie myśli. Tacy kochankowie już dawno powymierali, pokutują jedynie na kartach modnych romansów. Porządne kobiety nie otrzymują już takich prezentów, kochankowie przerzucili się z darami na szansonistki. Miłość w tak zwanym towarzystwie przychodzi im dzisiaj niezwykle tanio, bo gratis. Osobiście nigdy nie kupiłabym takiej tandety. Dobrze chyba do ubrania włosów na balu lub jako agrafa przy sukni. Ano, niech sobie leży. Zajliczowe i Kreissowe brylanty były czyste jak łzy.

Nowy interes, mój ostatni w Warszawie, skoro tego wymaga Marcin. Jakież to było w swoim czasie nierozsądne, że naprowadziłam mojego Rumuna na kwiaty i róże. Psiakrew, tego jednak wymagała sytuacja. Tymczasem nowy interes. Konieczność wysyłki jeszcze w tym roku! Jak najprędzej. Powariowali z tymi i terminami. Do czego im się tak spieszy? Akredytywy już otwarte. Niecały milion dolarów, ale bardzo prędko. Zaznaczyłam chłodno:

- Dodatkowe dwa procent, ponieważ trzeba będzie dodać gdzieś u góry, na moje ręce i bez jakiegoś rozliczenia. Mademoiselle Aurelie od razu wyrzekła: - Dobrze - i wystawiła czek na okrągłe sto tysięcy złotych. Moje poręczawicze w tej wysokości. Jeszcze tego samego dnia fiksowałam nowy interes na Mokotowie. Władek powiedział tylko:

- Dlaczego im się tak spieszy? Przecież sytuacja w Paragwaju już prawie opanowana? Adiu Fruziu! W każdym razie chwyciło.

Nie wiem, czy popełniłam gafę, czy też uczyniłam dobrze. Wręczenie czeku miało miejsce w moim chippendalowym gabinecie. Pudełko z brylantowym świecidłem dostałam przy herbacie, a później przeszliśmy do gabinetu, ja z pudełeczkiem w ręce. Nie okazywałam zbyt wielu zachwyków. Gafa być może w tym, że w gabinecie czek schowałam do tego samego pudełeczka. Ale trudno, stało się. W każdym razie obyło się bez cielejących zachwyków i oglądania prezentu. Obojętnie i dość z pańska. Czek schowałam również beznamiętnie, ruchem kasjera, dla którego pieniądze nie przedstawiają większej wartości, ponad obowiązek dokładnego przeliczenia.

A że łgarstwo zawsze idzie w parze ze snobizmem, w hallu powiedziałam do hrabianki, która przyglądała się obrazowi:

- Szwedzi, naturalnie Szwedzi. Nasz rodowy zamek Jamsborg nad Stralsundem również spalili Szwedzi. Dawno, w okresie wojen Fryderyka Wielkiego.

Co do tych interesów - obecnie Paragwaj. Co mnie zresztą obchodzi jakiś Paragwaj? Państwowość w tamtych stronach wyżywa się jedynie i wyłącznie w różnych wojnach i rewolucjach. Mają pieniądze, płacą. Amunicja. Pewnie, że na tabace nie można by robić takich interesów. Generałowie w lakierkach i z brylantami na palcach, a żołnierze na bosaka. Kto ma karabin w ręku, siłą rzeczy musi dorobić sobie do niego jakiś światopogląd, dobry czy zły, to wszystko jedno. Samo myślenie już coś znaczy w tamtych stronach. Tam każdy gentleman jest ozdobiony tytułem doktorskim, nosi na palcu brylanty wielkości pięciogroszówek i każe czyścić sobie lakiery na nogach kilka razy dziennie. Nie starczy w tym jednak miejsca na kulturę i cywilizację, za to Amerykanie budują im w stolicach drapacze chmur. Kto ma pieniądze na karabiny maszynowe, ten z kolei ma władzę. Kto ma władzę, ten ma pieniądze. Proste, trudno o lepszą logikę. W dodatku klimat nie zachęca do pracy, a jakoś trzeba żyć i czymś wypełnić sobie czas. Trzeba również mieć pieniądze na kupno nowych lakierków. Biedni w tych krajach chcą dobić się do władzy, bogaci usiłują za wszelką cenę utrzymać swój stan posiadania. Wśród tego działają nieustannie różne konkurencje, tamtejsi ludzie są zbyt gorący i nerwowi. I stąd u nich nieustanne rewolucje. Dla jednych krew, dla drugich teatr, a dla jeszcze innych... pieniądze.

Tymczasem trzeba pójść spać. Naftowa lampa jednak śmierdzi, mimo okrągłego knota i ulepszanego mechanizmu. Trochę mi kuso z tym spaniem w pustym domu, ale naginam się do roli dziedziczki w tych stronach. Zresztą pilnuje mnie para białych góralskich owczarków. Pies wabi się Janosik, Jansik - jak to tutaj skracają - suka nie wiadomo dlaczego Baca, przez nieporozumienie chyba. Przyniesiono im worek do spania i położono przed drzwiami mojego pokoju. Psy nie odeszły, dzisiaj nad ranem, gdy otworzyłam drzwi, zastałam oboje na posterunku. Jansik wstał majestatycznie i musnął pyskiem moje kolana, suka podniosła głowę i spojrzała uważnie. Przyjaźń, początek przyjaźni. Mój warszawski technik wypełnił moją wolę i odnowił wykute w kamieniu herby Podjaskich na frontonie nowego dworu. Były mocno poprzetręcane. Natomiast oba moje herby kazałam wymalować pod wspólnymi labrami na owalnej blasze i zawieszono je na miejscu dawnej blachy z herbem Liteńskich nad bramą wjazdową. Starą blachę herbową łącznie z blachami leśników i guzikami z liberii służby kazałam odesłać pod adresem starego Liteńskiego do Starej Wsi. Niech ma przynajmniej taką pamiątkę z Podjasek. Skończyły się czasy polowań z kartami, skończyły się. Za to ma obecnie ciepły kąpiel w Starej Wsi, pasjans i ziarnka różańca, gdy przed śmiercią przyjdzie na niego ostatnia fala najtańszej dewocji.

Warszawa - czwartek - 13 października

To było w Krakowie. I tak kiedyś musiało nastąpić tego rodzaju spotkanie. W „Europejskiej”. Ja siedziałam na kanapie, on podszedł, z lekka się skłonił:

- Czy moglibyśmy pomówić?
- Nie - odrzekłam. On nie usiadł, a ja wyjętą z torebki monetą zastukałam na kelnera.
- Dlaczego?
- Bo nie - odparłam po raz drugi. Wstałam. Jemu błysnęło coś niedobrego w oczach. Meł słowo w ustach: - Kurwa. - Tak to zrozumiałam, pomimo że słowo syknęło niezwykle cicho. Natomiast ja ze swej strony powiedziałam dość głośno inne słowo: - Złodziej - po czym nie czekałam na jego ocknienie i szybko zniknęłam w drzwiach. Nie oglądałam się. Nie odważył się mnie gonić. Wsiadłam do pierwszej lepszej taksówki i kazałam wieźć się w stronę dworca. Przeszło.

Wilcze Huby kupiłam. Sto sześćdziesiąt pięć tysięcy gotówką. Koszty po połowie. W tym jeszcze tygodniu hipoteka zostanie załatwiona.

Zostałam zatem dziedziczką na Wilczych Hubach. Nomen omen. Może nawet pociągnęła mnie sama nazwa. Przecież Wolfenhagenowie przybyli kiedyś do Pomeranii z tarczą, na której mieli wymalowaną wilczą paszczkę. W każdym razie posiadłość porządnie się zaokrągliła. Całość jak dotychczas kosztuje mnie już około miliona złotych. Fantazja wielkopańska, ponieważ za te pieniądze można było kupić jakiś dochodowy, porządny majątek gdzieś blisko pod Warszawą, z dobrą ziemią kujawską. Ale trudno, zaczęło się od fantastycznie głupiego małżeństwa, trzeba dokończyć tego również w stylu fantastycznym. A zresztą? Przecież te pieniądze wygrałam znacznie lepiej niż inni w pokera.

Piątek - 14 października

Psiakrew. Dokucza mi silniej niż zwykle. Poleżę sobie do niedzieli. Wyciągam ręce w przestrzeń. Symbolicznie. To bardzo głupie uczucie.

Jak to dobrze, że jutro Pelasia nareszcie opuszcza mnie i jedzie do siebie. Ona wyraźnie cieszy się z tego przeniesienia do Poznania. Pańskie majątki na wsi nie przemawiały do jej wyobraźni. W dalszym ciągu tkwi w niej mała kupiecka duszyczka.

Był list od Kseni, tym razem mała tylko się dopisała. Obie domagają się moich odwiedzin w Annecy. Trzeba będzie. Ale tymczasem leżę. Nie chce mi się nawet wziąć do ręki książki. Nie chce mi się myśleć.

Niedziela - 16 października

Trzeba było wstać, ubrać się pięknie, przypudrować, nabić w toaletę i tkwić pięć godzin przy stoliku brydżowym z generałami. Nasz interes - nasz pan, identycznie jak w sklepach czeskiego Baty. Ale Władek mówi, że dobił do portu. Załatwione łącznie z nowymi zleceniami młodego Kreissa, tym razem dla Boliwii.

Wtorek - 18 października

Stanisław zjawił się w Warszawie. Twierdził, że dla mnie. Czasami przyjmujemy za dobrą monetę nawet takie kłamstewka. Przyszedł z odwiedzinami do biura. Przypadkowo była przy tym Leokadia. Ale ona jakoś w ostatnich czasach przypina wszystkim łatki. Nastroje. Sama to również przechodzę. Sekretarka przez pomyłkę skierowała go naprzód do Leokadii, przecież to również Jambor.

- Ten młody facet? - mówiła. - Kolega jeszcze z uniwerku? Owszem, elegancki, ale wymoczek. Zapadnięta klatka piersiowa pod garniturem od modnego krawca - ciągnęła złośliwie - nie w moim guście. Taki sobie salonowy hrabicz, a nawet nie hrabia. Lubię mężczyzn rozrośniętych, przy kości. Razowy chleb, moja Anno, zawsze jest zdrowszy od ptyśców, te zazwyczaj prędko się starzeją i bardzo często bywają nieświeże.

Zaprosiłam go naturalnie na popołudnie do mieszkania, o piętro wyżej. Chyba nie wziął mnie za biuralistkę? Leokadia bardzo rozsądnie usunęła się. Zaraz po obiedzie wsiadła do samochodu i powiedziała:

- Wracam do Warszawy dopiero jutro w południe.

A ja obecnie oczekuję wizyty tego pana Stanisława. Za godzinę, dopiero za godzinę! Nie znane mi dotychczas uczucie. Jak u dziecka, które rozmyśla, co mu podaruje dobra ciocia. Byle nie jakąś zabawkę, ponieważ dzisiaj mam straszną ochotę na... ciastka z kremem!

Środa - 19 października

Tym razem wszystko w sumie wypadło znacznie gorzej niż przed dwoma tygodniami w Wilnie. Kochanek był jakoś speszony. Widocznie kopciuszek z wileńskiej bajki okazał się zwykłą grand-damą warszawską i osłabiła wyobraźnia mojego kochanka. Ale cóż, trzeba cieszyć się - jak wróbelki. Przecież nawet okruszynki smakują, gdy jesteśmy głodne.

Rozstaliśmy się po raz drugi bez określania przyszłości. Może dobrze, może źle. Dla mnie źle! Wydaje mi się, że odkrywam w sobie coś w rodzaju uczucia głodu. Nie od rzeczy mówił przed rokiem ów genewski specjalista.

Tymczasem - nowy list z Montreux ze zleceniami. Fura tego wobec nieobecności w Warszawie naszego profesora. Trzeba będzie trochę popracować na niedzielny chleb. A głupia Leokadia ciąga mnie po krawcowych. Na co mi to? Ulegam jednak. Jeszcze kilka miesięcy, a jakoś urządzę się w Eichel.

Po raz pierwszy kochanek w moim mieszkaniu, po raz pierwszy w łóżku. Jakoś nic strasznego. Ostatecznie kto mi może tego bronić? Pozory i tak były zachowane, wymanewrowałam, nikt nie widział. A chociażby? Przecież to był mój stary uraz psychiczny z bardzo dawnych czasów, jeszcze z tych cielątkowych uniwersyteckich lat. Takich mężczyzn zawsze można wyrzucić z łóżka, jak psiaka z kanapy. Podczas dzisiejszego obiadu Leokadia zapytała mnie drwiąco:

- No i cóż, Anno, jak wypadły wczorajsze odwiedziny pana Stanisława?

Nic nie odrzekłam, roześmiałam się tylko.

Czwartek - 20 października

Na świecie moc wydarzeń politycznych. Hitler postawił na swoim w Czechosłowacji, nasze kochane żołnierzyki w generalskich mundurach w dziwny sposób podniecone. Ale co mnie do tego? Na wydarzenia polityczne patrzę jak na przedstawienia teatralne. Nasz Władek stał się ostatnio niezwykle nudny. Włożył mundur, nie wiadomo po co, to było przecież u niego we własnym domu. Wyglądało na pidżamę, kurtka była nawet nie dopięta pod szyją. Ludzie są czasami śmieszni.

Wszystkie piękne perspektywy i wszystko w ich legionowym stylu: byczo jest!

Z Wilczymi Hubami były kłopoty. Inny powiat, trzeba było przedkładać zezwolenie władz administracyjnych na kupno majątku. Blisko granicy, oni się wszystkiego boją.

Piątek - 21 października

Wieczorem odwiedził mnie pokurczony staruszek. Archiwista. Kazali mu odłożyć do akt, ale przyszedł do przekonania, że anonimowi będzie wygodniej u mnie niż w jego zakurzonych aktach. Tanio, bardzo tanio, tylko tysiąc złotych. Poczęstowałam go nawet koniakiem. Mam zatem w rękach owo dzieło, niewątpliwie sfabrykowane przez Liteńskich.

Sobota - 22 października

Franuś zwariował i ściąga mnie do Poznania na poniedziałek. Rozmawialiśmy telefonicznie. Jadę jutro samochodem. W dodatku dzisiaj to wymuszone przyjęcie u Mireskich. Widocznie dla uczczenia kupna firmy „Sol”. Dobrze, że pozbyłam się tego kramiku. Niech zatem Mireskim wyjdzie na zdrowie.

Wieczorem. Mirescy zaczynają zadawać szyku. Sprawili sobie pokojóweczkę. Niczego. Przyjęcie bardzo nobliwe. Sporo kwiatów, nowa porcelana, srebro, jedzenie niezłe, lecz

wyliczone, żeby nie zostało. Ano, taki styl życiowy. Prawie północ, juro raniutko do Poznania. Leokadia naturalnie do towarzystwa. Ona lubi jeździć po świecie. Pod pozorem swej kamienicy. Są ludzie, którzy od czasu do czasu muszą na własne oczy oglądać poszczególne obiekty swojego majątku.

Poznań - poniedziałek - 24 października

Mieszkamy z Leokadią w „Continentalu”. Mieszkanie Tuchołków wypełnione po brzegi. Józinkowie z ciotką Katarzyną i oboje Franusiowie. Wszyscy samochodami. Dorobiła się nasza rodzinka! Kombinacje poznańsko-pomorsko-katowickie. Prawdziwe wariactwo. Zarobią notariusze. Naprzód było obciążenie hipoteki „jeszcze” mojego domu kwotą siedemdziesięciu pięciu tysięcy na siedem i trzy czwarte rocznie, na dwa lata. Jutro szwagier Tuchołka kupuje mój dom za osiemdziesiąt tysięcy gotówką i dwadzieścia pięć tysięcy trzymiesięcznymi weksłami, jakieś różne na nich podpisy, ale ostatecznie na końcu żyro Franusia. Urwali mi dziesięć tysięcy i wcisnęli weksle. Nie odezwałam się ani słóweczkiem.

Również jutro Franus kupuje kamienicę Leokadii za równe dwieście tysięcy, w tym sto dwadzieścia gotówką, a reszta w końcu tego roku. Dziwnie niekupieckie określenie. Jako zabezpieczenie pakiet akcji mniej więcej tej samej wartości. Po powrocie do Warszawy Leokadia ma kupić moje domy na Mińskiej. Ustalala się w Warszawie. Cena do omówienia.

W każdym razie urwali mi dziesięć tysięcy od ceny umówionej w Warszawie. W dodatku Pelasia znów w ciąży. Po raz siódmy. Przyznała mi się, czwarty miesiąc. Przed tygodniem w Warszawie jakoś nie zauważyłam, nic dziwnego, miałam co innego na głowie, a nie przyglądanie się siostrze. W dodatku prawdziwy kram z dziewczynkami. Zaczęło się od tego, że umieścili obie bliźniaczki u krakowskich urszulanek, a to drogo kosztuje. Pelasia powiedziała:

- Takie dziesięć tysięcy, Anno, to spokojne dwa lata Jasi i Małgosi.

No, niech tam będzie! Moja chrześniaczka wygląda nieszczerólnie, prawie zdechłak, w dodatku trzeba namawiać do jedzenia. Róża idzie w tym roku do szkoły, ale dopiero od listopada. Przeprowadzki pokręciły naukę dzieciom. Trzyletnia Elfryda poważna i klockowata, ona jedna podobna jest do ojca. O najmłodszej Kazi nie można jeszcze nic powiedzieć, na razie cieszy się z chodzenia i włazi do wszystkich dziur.

Jutro mam zamiar rozmówić się z siostrą w sprawie Anny. Przydałaby się jej Rabka. Nie widzę żadnych przeszkód, aby ją umieścić w „Magdzie”. Obie panie przypilnowałyby jej lepiej niż w Poznaniu.

Głowa mnie boli po tych wszystkich rozmowach. Nie lubię mojej rodzinki w tym wydaniu. Odstaliśmy od siebie. Pelasia głupia. Mela oglądała mnie na wszystkie strony jak jakaś bardzo wybredna klientka modelkę w salonie mód. Ciotka Katarzyna powiedziała mi dzisiaj podczas kolacji:

- Nie wiem, czy dobrze robisz, Anno. Wyprzedajesz się z domów i naśladujesz Tuchołków. Kupiłaś podobno drugi majątek ziemski. Domy przynoszą spokojny dochód, a do takich majątków trzeba dokładać. Skąd weźmiesz na to? Czy nie lepiej było wytrwać przy kupiectwie? Wysupłałaś się pewnie z gotówki i od razu majątki! Tego jeszcze nie było w naszej rodzinie. Co innego Maksiu, on się zna na tym i od dzieciństwa przyglądał się gospodarowaniu na wsi. Wydaje mi się, że źle zrobiłaś, a już cieszyłam się, że jesteś na dobrej drodze. Trzy kamienice w Warszawie i „ta” po doktorze Michalskim.

Bestia prawdziwa - nie ciotka. Nie wytrzymałam i zmarszczyłam czoło:

- Ależ, ciotko, stary doktor zapisał mi jedynie umeblowanie i komorne na pięć lat. Dom kupiłam z pieniędzy wąbrzeskich. Tam sprzedałam, tu kupiłam, aby nie było krzywdy dla Józinka. Dałam tyle, ile Józinek chciał, gotówką, o którą wówczas było trudno, i musiałam dokończyć u stryjka Józefa w Gdańsku. A Józinek chciał wszystko od razu gotówką,

ponieważ były mu potrzebne pieniądze do interesu. Obecnie dostają od Pelasi dziesięć tysięcy mniej i nic nie mówię.

A co do mebli, to przecież wiecie, że kupiłam starej gospodyni domek w Czarnkowie, tam gdzie chciała, i wszystko za moje pieniądze. Głupie babsko, niech sobie myśli, co chce. Ani mi w głowie zwierzać się komukolwiek z mojej rodziny. Nawet i Leokadii. Oni sobie, a ja również sobie.

Warszawa - czwartek - 27 października

Jakoś lżej oddycham, gdy straciłam z oczu Poznań. Nie mam nerwów do takich historii. Pojutrze wraca do Warszawy profesor Wydra, będę miała przynajmniej do kogo otworzyć usta. Obecnie w moim własnym mieszkaniu czuję się jak gość. Wszyscy mnie kontrolują, wszyscy się do mnie wtrącają. Mam tego dość!

Niedziela - 30 października

Głupia historia. Umówiłam się telefonicznie w „Ziemiańskiej” z panną Starzeńską i zaraz na wstępie natknęłam się na Leokadię z panem Jerzym z Torunia. Usiedliśmy ostatecznie wszyscy czworo przy jednym stoliku. Później na złość Leokadii zabrałam wszystkich do domu na obiad. Przecież to moje mieszkanie. Widziałam, że oboje byli speszzeni, ja nie.

Nasz wspólny kochanek nic nie stracił na wyglądzie. Na obiedzie był profesor Wydra i rozmowa potoczyła się po innych tonach. Wielkoświatowe historie. Nawet nie wiedziałam o tym, że Marcin był w Nowym Jorku. - Nasze interesy - powiedział mi krótko profesor na osobności. Wszystkiego cztery dni, ponieważ Marcin musiał wracać do Genewy, gdzie go już oczekiwano. Ale widział się z bratem Juliuszem, który specjalnie w tym celu przyjechał z Chicago.

Są sprawy ważniejsze od panów Jerzych! W przyszłą niedzielę oczekuje nas Marcin w Montreux. Jedziemy w trójkę, stryj Józef, Mr David i ja. Leokadia zostaje sama na gospodarstwie. Do Berlina nocnym pociągiem, dalej samolotem do Genewy. Podobno tylko na jakieś dwa, trzy dni.

W tym tygodniu Pelasia odwozi małą Annę do Rabki. Z radością powitali moją propozycję. Z dzieckiem było podobno trochę płaczu, nic dziwnego. Pelasia ma zostać tam jakiś tydzień, aby Anna przyzwyczaiła się do nowego otoczenia. Na razie będzie uczyć się w domu. Rabka na pewno wyjdzie jej na zdrowie.

Ze Szwajcarią dobrze się składa. Ci z Instytutu Rozrachunkowego załatwili już historię z przekazami. Moje nazwisko nie zostało w Polsce nigdzie wymienione. To najważniejsze.

Z Eichel były wiadomości. Podobno jakieś arabskie historie z moim angielskim sąsiadem, ale Czerwona Łopata pisze, że nie chce mi tym zawracać głowy w Warszawie. Jak przyjadę, to zobaczę.

Poniedziałek - 31 października

Sporo listów. Długie rozmowy z profesorem. Moi obaj panowie wyjechali do Gdańska. Wrócą w piątek rano. Wyjazd do Berlina tego samego dnia wieczorem ze względu na wykupiony już sobotni samolot do Genewy. Zamieszkałam u Elzy, rozmawiałam z nią telefonicznie.

W biurze nastrój świąteczny. Leokadia gdzieś buja. Ja się nie wtrącam do spraw administracyjnych, nie mój resort. Mała się ucieszy, gdy mnie zobaczy. Nie uprzedzam jej, zobaczę ją niespodziewanie po raz pierwszy w szkolnym otoczeniu.

Gdyby nie historie z Orzechowskimi, pojechałabym na grób stryja Pawła. Ale pojedzie tylko Leokadia, jej to jakoś inaczej przyjdzie. Zostanę sama w domu. Odpocznę sobie.

Dzisiaj załatwiałam drobiazgi ministerialne dla panny Starzeńskiej. Teraz kolejno ja dla niej załatwiam w Komisji Przywozowej, Stara panna bierze się po trochu do interesów. Może nieco za późno? Zawsze lepiej późno niż nigdy. Załatwiłam, zarobi kilka tysięcy. Wzdychała, podobno u nich jest niemiła Atmosfera, ludzie kłóca się między sobą. Ponadto mieli przed kilku dniami drakę z premierem Składkowskim. Nie zastał ich rano w biurze, zostawił nie tylko bilety wizytowe na biurku, ale również adiutanta, który następnie konwojował ich do Prezydium Rady Ministrów. Czekali tam na Składkowskiego do późnego wieczora, prawie bez jedzenia. Gdy przyjechał, obrugał ich jak nieboskie stworzenia, a następnie kazał iść do domu, wyspać się i punktualnie przychodzić do biura. Co za głupiec! Gdyby tak było na mnie trafiło, umiałabym mu już powiedzieć. Wirewiczowej udała się nazwa dla niego: stupajkin.

Był okolicznościowy list z Sao Paulo. Podobny mógłby napisać ktoś całkiem obcy. Trudno. Ale i ja sama ustawicznie oczekuję od innych tego, czego sama nie mogę im dać i nie daję. Oni tam również sobie myślą: co my mamy z tej siostry i szwagierki Anny Jambor?

Dzisiaj siedziałam dwie godziny w kinie. Śmiałam się, ponieważ afiszu było napisane: komedia z Franciszką Gali. Ano, trudno, czasami trzeba pójść do kina.

Wtorek - 1 listopada

Dzisiaj profesor Wydra poczęstował mnie lekturą Engelsa. On ma czas na wszystko. Według tego Engelsa: „...państwo powstaje wskutek sprzeczności klasowych jako narzędzie obrony interesów klasy panującej. W epoce wspólnoty pierwotnej nie było jeszcze ani własności prywatnej, ani klas, ani państwa. Ale wzrost produktywności pracy i podział pracy doprowadził do powstania wymiany dóbr, a z nią - do powstania własności prywatnej, klas i państwa jako narzędzia przemocy jednej klasy nad drugą. Ale to, co ma początek, ma i koniec. Nastąpią czasy, gdy klasy społeczne i ich wytwór – państwo - zamrą tak niepostrzeżenie, jak powstały. Stanie się to w epoce ustroju komunistycznego, gdy zostaną zlikwidowane bastiony kapitalizmu...”

Niewesoły obraz przyszłości państwa. Całe szczęście, że to są na razie mrzonki i marzenia fanatyków teorii fantastycznego komunizmu. Każde życie wymaga organizacji, a taka organizacja to już trzy czwarte państwa. Tak odpowiedziałam z miejsca naszemu kochanemu profesorowi i zaraz dodałam, że mnie przemawia do praktycznej wyobraźni raczej obraz państwa Tomasza z Akwinu. Profesor spojrzał na mnie uważnie i z miejsca zapytał, czy przypadkiem nie mam na myśli partackiej pracy Adama Doboszyńskiego. Tak się wyraził. Naturalnie przeglądałam tę pracę, wkręcili mi ją w salonie pułkownikowej Mayerowej. Zresztą Grabowski wspomniał nam ostatnio przy brydżu, że ma zamiar wypuścić z więzienia Doboszyńskiego. Mówił o konieczności mobilizowania wszystkich możliwych elementów do walki z komunizmem. Oni mają obecnie poważne kłopoty, ponieważ polscy komuniści zaryli się bardzo głęboko pod ziemię, podobnie jak to czynią krety w przewidywaniu wczesnej i srogiej zimy. Są to oryginalne słowa naszego ministra. Nasi panowie stracili w ten sposób wroga, który przestawił się podobno na inny rodzaj walki. Grabowski jest jednak dobrej myśli. Podczas naszej rozmowy był obecny wojewoda Kostek-Biernacki. Taki sobie typek legionowy, jak oni wszyscy, tylko bardziej zdeterminowany. Tyle skorzystałam z tej rozmowy, że Kostek-Biernacki przysłał mi na drugi dzień swoją pracę literacką pod tytułem *Diabeł-zwycięzca*, naturalnie z bardzo uprzejmą dedykacją. Teraz dopiero przyszło mi to do głowy, gdy w ustach naszego profesora pojawiło się... „widmo, które krąży po Europie”, widmo komunizmu. Ale to widmo krąży już prawie od stu lat, zdążę zatem umrzeć i na pewno mnie osobiście nie zajrzy ono do oczu. Nasz profesor zbyt szybko myśli, to wspólna cecha wszystkich starych ludzi. Mając przed sobą bliską śmierć, pragnęliby historii wyjść naprzeciw i fakty przybliżyć do własnego życia.

Z Manifestu Komunistycznego rozmowa przeskoczyła na inne tematy, na dwór króla włoskiego i rodzinę heskich przyjaciół j profesora Wydry. To było znacznie weselsze i bardziej frapujące.

Nasz profesor zsyca się. Wchodzi w taki stan, w którym filozofowie doczekają setki lat. Zmniejszył ilość spożywanych pokarmów, na które patrzy z punktu widzenia benzyny do samochodu. Niewiele je, za to bawi rozmową w sposób czarujący. Moje kucharki mają z nim więcej kłopotu niż przyjemności.

Naturalnie od momentu powrotu zaopatruje mnie znów obficie w karteczki z przeglądem wiadomości, jakich nie drukują w dziennikach.

Czwartek - 3 listopada

Wariatka ze mnie, ale trudno. Nie mogłam usnąć, rano poderwałam się z łóżka i wczoraj w południe wylądowałam w... Toruniu. Taksówka z dworca, ulokowanie się w hotelu „Pod Orłem” i o pierwszej siedziałam już w „Pomorzance”. Byłam dobrze zorientowana, jak spędza życie w swoim rodzinnym mieście. Zjedliśmy wspólnie obiad. O godzinie drugiej w nocy siedziałam z powrotem w warszawskim pociągu pośpiesznym. Wykąpałam się, zjadłam śniadanie i punktualnie o dziewiętej zjawiłam się w biurze. Leokadia wróciła ze wsi dopiero po obiedzie. Dopiero teraz rozumiem, dlaczego mężczyźni od czasu do czasu zabierają sobie donny z ulicy. Trudno, widocznie i ja posiadam kawałek jakiejś męskiej duszy. Życie należy brać w sposób prosty, bez jakichś ideowych opakowań.

Żona tego pana jest w ciąży, krótko przed rozwiązaniem. Nie potrzebowałam specjalnych sondowań. Nasza Leokadia wróciła do swego dawnego kochanka. Zresztą cóż w tym złego. Przecież nie można w nieskończoność zatruwać się proszkami, weronalami i bromuralami lub jeszcze inaczej, jeszcze gorzej. Gdy człowiek spaceruje w ogrodzie wśród drzew przeciążonych owocami, trudno powstrzymać mu się od zerwania jabłka i zagłębienia w nie zdrowych zębów, skoro się je posiada.

Ano, będzie mi lżej jechać do Szwajcarii. Człowiek syty czuje się lepiej i nikt go nie skusi jakimś czerstwym chlebem. Będę odporniejsza na ataki, chociaż i bez tego... Problem Czerwonej Łopaty, ale to nic, przywitam go tak, jakby to nam się tylko śniło. Tak będzie lepiej. Widocznie jeszcze nie otrząsnęłam się z drobnych parafianizmów.

Piątek - 4 listopada

Rano. Dzisiejszy dzień będzie wypełniony konferencjami. Zabieramy z sobą moc różnych papierów. W Szwajcarii zapowiada się również harówka. W najbliższy czwartek nowy termin rozprawy. Zrobiłam głupstwo, zaczynając z tą historią. Pojedzie Mizres z naszym prawnikiem do stawania w sądach. Oprócz oryginału tego humorystycznego listu starego Liteńskiego do Wajnsztoków zabierają fotokopię, ale to wszystko tylko w ostateczności, gdyby tamten senator z sygnetem był zbyt agresywny w stosunku do mojej osoby. Nie brakuje mi humoru - spałam doskonale. Też coś warte, nawet wiele. Jadę z małymi bagażami kobiecymi. Do Rzymu nikt nie wybiera się z fotografią papieża, wyciętą z codziennej gazety. Zresztą w podróży najlepiej czuję się w moim skórzanym płaszczu.

Śmiać mi się chce. W torebce symboliczna studolarówka, którą nasi celnicy będą zapewne oglądać ze wszystkich stron. To przecież więcej niż pięćset złotych. Ale spróbuję dla hecy.

Na obiedzie Mokotów. W połowie miesiąca Władek poleci do Sztokholmu w jakichś bankowych sprawach. Nasze interesy w porządku, towar leci obecnie już na pięć procent.

Non possumus velle... Czasami jednak każdemu z nas wydaje się, że ma to, czego chce. A zatem nawet w mądrych sentencjach zdarzają się wyjątki.

Wiem, że Marcin jest bardzo przywiązany do tej szafy pamiętającej czasy kalwińskie. Ale na to jest rada. Skopiowałam już rodzinne miniatury, mogę kazać skopiować szafę. Dobra myśl!

Genewa - sobota - 5 listopada

Podróż dobra. Samolot bez wrażeń, ponieważ chmury były nisko i lecieliśmy na znacznej wysokości, ponad chmurami. Były już wstępne konferencje mimo soboty, moc nowości. Jutrzejsze przedpołudnie poświęcone przyjemnościom, dalszy ciąg rozmów po obiedzie. Krótkie pisanie dzisiaj. Już późno, a jutro rano o siódmej jedziemy w trójkę do Annecy. Florencja, Elza i ja. Ciekawa jestem powitania. Niespodzianka, obie nasze dziewczynki nie zostały uprzedzone o naszych odwiedzinach.

Niedziela - 6 listopada

Mała powitała mnie poważnie, Ksenia hałaśliwie. Po godzinie jednak wesołość się rozkręciła. Nic dziwnego, Marta znalazła się po raz pierwszy w życiu w takich warunkach szkolnego internatu. W dodatku w obcojęzycznym otoczeniu. Dobra opieka, strona wychowawcza bez zarzutu. Cztery dziewczynki w pokoju. Oprócz naszych Norweżka i Dunka. Dunka pierwszy rok w tym zakładzie, przedtem uczyła się prywatnie w Edynburgu, rodzice się rozwiedli, a dzieci powędrowały do internatów.

Marcin kładł mi do głowy jakieś historie graniczne od strony posesji syna handlarza niewolników. Przy nowych pomiarach funtów okazało się, że stary Fox wykiwał w swoim czasie Hornów i postawił murek kamienny na ich gruncie, prawie w pasie dziesięciu metrów w głąb ich posesji. Dobra historia. Według tego, co opowiada Marcin, moja pretensja do tego gruntu nie uległa przedawnieniu. Natomiast przedawniło się prawo do murku kamiennego, który obecnie według praw kantonu bazylejskiego jest moją własnością. Sprawa wyszła na jaw, ponieważ Horno rozgraniczał swoje posiadłości z tej strony rzeki. Obecnie droga znajdująca się pomiędzy naszymi posiadłościami w całości leży na jego terenie, plus pas szerokości dwóch łokci. Mr Fox był w tym czasie w Bazylei i historia z murkiem wyprowadziła go z równowagi. Kazał rąbać pas pomiędzy nim a moją posiadłością. Wyrąbano cztery dęby, całe szczęście, że od strony rzeczki. Dr Horno momentalnie zareagował na wyrąb. Sprawa jakoś się załagodziła. Anglik wstrzymał się z rąbaniem dębów, podobno robotnicy źle go zrozumieli. Kazał wyrąbać pas od nowej granicy, ale na terenie swoich gruntów. Tymczasem robotnicy ścięli cztery dęby rosnące na moim nowym gruncie. Jak na Szwajcarię bardzo brzydka sprawa, mogłabym domagać się odszkodowania za drzewa, lecz według miary *pretium affectionis*. W końcu tygodnia mają urządzić na miejscu konferencję z adwokatami, czekali jedynie na moje przybycie.

A to heca! Zyskuję na tym dziewięć dębów, prócz tego dokładnie 1480 metrów kwadratowych gruntu. Podobno z tym wyrąbaniem czterech dębów to bardzo głupia historia dla Mr Focha. W Szwajcarii prawo własności prywatnej jest szanowane aż do absurdu. Ale na tę historię będzie jeszcze czas.

Mała. Placki z Rabki w nie znanym rodzaju dla mieszkanki internatu w Annecy. Mała była z tego bardzo dumna. Reszta zabawna. Moje zaproszenie dla obu dziewczynek na święta do Podjasek. Pytanie Kseni, czy zobaczy wilki, ponieważ francuskie podręczniki szkolne łączą niezmiennie Karpaty z wilkami. Marta jest już cokolwiek oswojona z faktem posiadania przez nas majątku w tamtych stronach. Przy pożegnaniu pytanie:

- Czy mogę zaprosić do Podjasek Fredde?

Chodziło o tę Dunkę, której rodzice się rozeszli i przed którą była perspektywa pozostania na święta w Annecy. Ależ naturalnie, nawet bardzo dobrze, zaprosiłam również do kompletu Norweżkę. Z tą gorzej, ponieważ jej Christmas koniecznie musi być w domu,

gdzieś pod Lyngdal, nie mam wyobrażenia, gdzie to jest. Zobaczymy, jak wypadnie. Fredda jest doskonale ułożona.

Genewa - środa - 9 listopada

Nareszcie skończyła się harówka. Zostałam niemal sama u Elzy, nawet Marcinowie odjechali już po południu do „Acacii”. Marcin wraca do Genewy dopiero w piątek rano, wyłącznie dla mnie.

Po kolei wszystko. W końcu stycznia nowe zebranie w spółce drzewnej. Leokadia w dalszym ciągu zastępcą członka zarządu, ale z pensją pięćdziesięciu tysięcy rocznie. Na moim miejscu dr Miliz z Genewy, ja otrzymam jednorazowo siedemdziesiąt pięć tysięcy złotych odszkodowania i zostaną tylko w radzie nadzorczej. Moje akcje założycielskie przejmuje Marcin, zostawiam sobie tylko symboliczne dziesięć tysięcy potrzebne do posiadania mandatu członka rady. Za bieżący rok tantiema w końcu maja tego roku, po zatwierdzeniu bilansu. Gdy mnie Marcin zapytał o cenę moich pięćdziesięciu tysięcy akcji założycielskich, śmiejąc się odpowiedziałam:

- Pięćdziesiąt za pięćdziesiąt, po cenie nominalnej.

Marcin spojrzał na mnie zdziwiony, roześmiał się i rzekł:

- Pięćdziesiąt? No to dobrze.

Później zaczął z innej beczki:

- A jak z rumuńską hrabianką?

Miałam gotową, bo przemyślaną odpowiedź. Powiedziałam w tonie aż kpiącym z powagi.

- Tak jak w romansie Hrabia Monte Christo. Gdy właściciel domu handlowego Morrel w Marsylii postanowił zakończyć soją działalność kupiecką któregoś dnia punktualnie o godzinie dwunastej w południe, odmówił przyjęcia dobrego interesu do wykonania, ponieważ klient przybył do kantoru kwadrans przed wyznaczoną godziną.

- I cóż zrobił ten powieściowy pan Morrel - pytał z zainteresowaniem Marcin - bo nie przypominam sobie.

- To była powieściowa postać z charakterem – odrzekłam. - Co do mnie, to takich klientów odeślę prościutko do naszych przyjaciół na Mokotowie, znasz chyba adres?

Marcin roześmiał się. To było we wtorek rano. Dzisiaj krótko przed odjazdem do Montreux doręczył mi jakiś urzędowy papier w kopercie i powiedział:

Przeczytaj to sobie wieczorem w spokoju, gdy już wszyscy się rozjadą i zostaniesz sama w tej... garsonierze naszej Elzy.

No i przejrzałam. Na styczniowym posiedzeniu rady kantonu Waadt, do którego należy Montreux, ma być rozpatrzony wniosek wielce szanownego doktora Martina Jambora o nadanie obywatelstwa szwajcarskiego jego najbliższej krewnej i domniemanej spadkobierczyni, Annie Jambor, zamieszkałej od trzech lat we własnej posiadłości w kantonie bazylejskim i właścicielce nieruchomości w Genewie. Pod uwagę zostanie wzięte wyrażenie przez Rząd Federalny zgody na skrócenie okresu naturalizacji z pięciu lat do trzech, z tym że Frau Anna Jambor, pochodząca z rodziny von Jamsborg und zu Hermsdorf pod Stralsundem na Pomieraniu Niemieckiej, a aktualnie posiadająca obywatelstwo Republiki Polskiej, pełne prawa obywatelskie uzyska po zakończeniu prawem przepisanej pięcioletniej. Dalej już powoływanie się na ustawy i paragrafy. W jakimś pewnego rodzaju uzasadnieniu tej decyzji wymieniłem, że wobec wyrażenia (znów) wielce szanownego doktora Martina Jambora gotowości adopcji... Frau Anny Jambor... co nie stanowi jednak w tej sprawie warunku ultymatywnego...

Ano, dobiłam do portu. Swoją drogą Marcin to porządny człowiek. Nieważne, że krewny, w tym wypadku raczej - człowiek. I te dziwne słowa: „domniemanej spadkobierczyni”...

Pomimo samotności i ciszy w mieszkaniu czuję, że dzisiaj nieprędko usnę. A oto i reszta wiadomości.

Stary Płaton kończy się. Wszystko przyszło nagle, w ciągu kilku godzin. Lekarze zalecili mi całkowite odsunięcie się od interesów. Obecnie męczy go nawet towarzystwo rodzzonego brata. Ten już wywędrował do Wieroczki w Lozannie. Wyznaczono mi na razie kieszonkowe w wysokości pięciuset franków miesięcznie i pozbyto się go z Genewy. W pałacu stary Płaton mieszka obecnie samotnie z dwiema pielęgniarkami pod stałym nadzorem lekarskim. Firma bez zmian, tylko tyle, że obecnie dr Martin Jambor funkcjonuje w charakterze głowy domu bankowego i rodziny. Dr Miliz junior jedynie w roli dyrektora. Warszawska funkcja dr Miliza jedynie dekoratywna z dojazdami, mówi się o kilku dniach w miesiącu. Na razie to jedynie tytuły, nagłówki rozdziałów, które dopiero zostaną wypełnione praktyką najbliższych miesięcy. Mnie pozostawiają kilka miesięcy swobody, będę mogła szaleć na wolności. Ale i mnie biorą w rachubę, Marcin powiedział bardzo zimno i poważnie:

- Elza wyjeżdża prawie na stałe do Nowego Jorku, tam zaczynamy nowe interesy, trzeba będzie zająć tutaj jej miejsce.

Nie pytałam o szczegóły, Marcin tego nie lubi. Gdy przyjdzie czas, uświadomią mnie aż nadto dobrze.

Na Boże Narodzenie wszyscy mają zjechać się u mnie, przywiozą nawet Nika Dubowa. Podobno Wieroczka odgraża się, że przyjedzie. W każdym razie wszystkie nasze kuzynki, nawet ciotka Temmi, przed wyjazdem za morze. Ona ma do mnie wielki sentyment. Paryż już prawie zlikwidowany, zostawili sobie jedynie pawilon w oficynie. Ta żydowska rodzina, która kupiła „Cztery Kamienie”, nazywa się Milch. Pikantne czy sensacyjne w tym jest to, że uciekli z Niemiec, mimo że ich najbliższym krewnym jest hitlerowski generał lotnictwa tego samego nazwiska. Ale on ma podobno jakieś specjalne względy i zwolnienie z ustaw norymberskich. Może właśnie dlatego tej rodzinie udało się uskoczyć za granicę z majątkiem? Dziwne są dzieje na tym świecie.

Co do paryskich kuzynek, to przerzucają wszystkie kapitały do Stanów Zjednoczonych, w tym nawet większą część majątku Patrycji i jej dzieci. Ona sama zostanie na razie w pawilonie, mówi się jednak o tym, że przeniesie się raczej na stałe do Cannes. Może i ja pójdę w te same ślady? Przynajmniej z częścią gotówki. Może przerzucę z Londynu?

Stary Dubow jest rzeczywiście niewidzialny. Podobno wszystko go drażni. Ma jakąś specjalną dietę, leczą go muzyką ze specjalnym repertuarem. Marcin powiedział mi półgębkiem, że Płaton zwariował w ciągu niespełna godziny i prawie siłą musieli przewieźć go z banku do domu. Dom bankowy kręci się jednak bez zmian, interesów pieniądza międzynarodowego nie może wstrzymać w biegu wariactwo jednego dyrektora. Pieniądz to lawina, gdy się ustaje w drodze, od razu przychodzi zagłada.

Czwartek - 10 listopada

Obejrzałam kilkanaście obiektów. W dalszym ciągu dwojaka miara dochodów kamienicznych. Luksusowe domy w cenie od czterystu tysięcy do dwóch milionów franków - mały dochód, lecz pewniejszy, zamożni lokatorzy, przedsiębiorstwa handlowe. W drugiej grupie średnie domy, od stu do trzystu tysięcy - średni urzędnicy, rzemieślnicy, drobne sklepiki. Interes wymagający nieustannego nadzoru, nawet tutaj, w sytej Szwajcarii. Trzecia kategoria nie dla mnie. To domena tych ciułaczy, którzy oszczędzają dwa lub trzy tysiące rocznie. Nieraz dopiero dwa pokolenia składają się na jakąś małą kamieniczkę.

Owszem, podobała mi się kamienica. Nowoczesna budowa, konstrukcja stalowa, apartamenty, nie wiadomo dlaczego dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy gotówką i trzysta tysięcy na hipotecę. Może i mogłabym kupić? Ale wskazania naszego dziadka Jambora zawsze szły w kierunku umieszczania pieniędzy w kilku obiektach.

Zatrzymałam się na kompleksie, który obie moje kuzynki wybrały z wielu innych. Obecnie jest podobno okres poszukiwania kupców na realności, wszyscy pakują gotówkę w akcje przemysłowe. Na rynku panuje ścisk z gotówką. Spokojna Szwajcaria zaczyna spekulować, ustabilizowali się już ze swoim frankiem, lecz jeszcze nie zdołali otrząsnąć się z niespodzianki wywołanej dwudziestopięcioprocentową dewaluacją. Klną Francuzów i ich niestałą politykę od wypadku do wypadku.

Dzisiaj byłam na wieczornym przyjęciu u Milizów. Tacy sobie, dla mnie jakoś dziwnie sztywni i uroczyści. Coś mi się wydaje, że dr Milizowi nie bardzo są na rękę rządu mego stryjka Marcina, pomimo że kładą mu do ręki synekurę w Warszawie, która właściwie za nic przyniesie około stu pięćdziesięciu tysięcy złotych rocznie. Pytałam Marcina, wszystkie jego korzyści w genewskim banku nie przynoszą mu nawet trzydziestu tysięcy franków rocznie. A Warszawa - nawet po zapłaceniu tamtejszego podatku dochodowego - da mu od razu dwa razy tyle. Delikatnie wypytywał mnie o „prawdziwe” interesy warszawskie. Dobry sobie, niech trochę pojeździ, to się sam przekona. Już widzę, że Leokadia nie będzie zachwycona Milizem, liczyła na to, że zajmie gabinet po mnie. A tak zostawią ją jedynie przy buchalterii, pilnowaniu finansów w bankach. Robi to zresztą dobrze, ale wielu rzeczy nie może zrozumieć, nie posiada wyobraźni kalkulacyjnej. Jej kupiectwo datuje się z początku wieku, sztywne, solidne i w dodatku z dokładnymi fenigami na końcówkach. Listy według wzorków widywanych w starych podręcznikach. Piżmo firmy starego Braunholda z Leszna.

W każdym razie Milizowie traktują mnie z pewnego rodzaju chłodną rezerwą. Ona przygląda mi się w sposób chciwy, z cieniowaną naturalnie zazdrością. Uprzejmi, podobnie zresztą jak wszyscy tutejsi konserwatyści w stosunku do ludzi nowych. A przecież i ja należę do tej ostatniej kategorii na tutejszym gruncie genewskim, mocno ekskluzywnym. Marcin tłumaczył mi w swoim czasie różnice pomiędzy obu kantonami, Waadt, na terenie którego leży Montreux, i kantonem genewskim, gdzie jeszcze do tej pory trwają nie załatwione spory z końca ubiegłego wieku. Dlatego starał się dla mnie o naturalizację w swoim kantonie, gdzie jego znajomi posiadają przewagę w radzie. Tutaj w Genewie tkwią jeszcze głęboko zakorzenione arystokratyzmy w finansjerze, wymagające długich lat, gdyby się chciało mocno wsiąknąć w tutejszy grunt. Ciekawa będzie pozycja stryjka Marcina i moja w przyszłości, gdy wejdę do banku Płaton Dubowa. Wszystko ma pozostać po staremu. Ten sam napis, ten sam budynek i ta sama tabliczka, którą zawiesił Płaton w zaraniu swojej bankierskiej kariery. Elza mówi, że genewczycy już się przyzwyczaili do tej tabliczki, a to dużo znaczy w tutejszych stosunkach.

Być może z tych względów wmawiają we mnie przejęcie kramu z kompleksem po Madame Dorells, która na początku tego roku przeniosła się na stałe do córki w Montrealu. Rozwódka po architekcie, czterdzieści kilka lat. Wydała jedynaczkę za mąż tuż po ukończeniu przez nią średniego zakładu naukowego w rodzaju Annecy. Zięć inżynier, Kanadyjczyk, poznanie w górach, na wycieczce w okresie wakacyjnym. Absolwent politechniki w Zurychu i wychowanka szwajcarskiego internatu. Już w trzy miesiące później ślub, Montreal i jakieś wielkie zakłady budowlane. Szwajcarska resztką majątku w postaci dwóch kamienic i umeblowanego mieszkania.

Dwa domy. Trzypiętrowy - rue Charlotte. Drugi również trzypiętrowy na odległej ulicy, bez najmniejszego wdzięku, widać, że budował go architekt na własny użytek. Jakiś wyskrobek zbudowany równocześnie z większym obiektem, z resztek. Na czwartym piętrze dodatkowe klitki w mansardzie. Biedota. Prawie to samo, co kamienica przy ulicy Charlotty, nie zapamiętałam nazwy tamtej ulicy. Coś w rodzaju naszej warszawskiej Mińskiej lub którejś z pobliskich ulic, tylko znacznie czystsza. Zresztą jeżeli kupię, tymi sprawami zajmie się administrator. Kwestia właściciela domu nie jest ważna dla lokatorów, ten czy inny, a i tak trzeba płacić komorne.

Marcin twierdzi, że interesy robi się dobrze dopiero wówczas, gdy się ma za plecami własne domy jako żelazną rezerwę. Jutro zresztą przyjedzie i rozmówię się z nim spokojnie, bez gwałtu i ścisku. Jutro 11 listopada, w Warszawie święto i galówka. W „Monitorze” pewno już ogłosili o moim nowym orderze,] gdyby nie to, że już otrząsnęłam się z gwary poznańskiej, powiedziałabym: - Takie coś...

Bazgrzę. Ale nie mogę spać. W tej garsonierze Elzy coś za bardzo pachnie kokotą, wszystkie kąty są przesiąknięte mocnymi perfumami. W dodatku upał. Kaloryfery. Elza Dubow. Ile ona ma lat? Trzeba policzyć. Gdy po raz pierwszy zjawiłam się w Paryżu, mówiło się o czterdziestce. To było przed sześciu laty. Taki sobie wiek, gdy kobieta osiąga pełnię świadomości tego, co chciała w życiu. Florencja dobiega czterdziestki, to wiek, gdy kobiety patrzą na mężczyzn krytycznie, przyglądają się im z pewnym] lekceważeniem. A ja? Młodość? Trzydzieści lat. Taka sobie młodość w specjalnym wydaniu. Co mnie czeka w najbliższej przyszłości? Elza zdarła się na jeżdzeniu po świecie, nowa zatem i młodsza Anna na posterunku. W imię czego? Właściwie gdybym była mądra, to spasowałabym. Zrobiłabym sobie budżet: spokojnego wydawania pieniędzy i na tym postawiłabym kropkę. Ale cóż? Ludzie nie są mądrzy.

Właściwie należałoby nabyć te domy na imię małej, ale Marcin odradza ze względu na elastyczność kredytową moich przyszłych interesów. Tak się wyraził. Moje przyszłe interesy! Jakie i gdzie? A może wyjdę tutaj za mąż? Przecież jestem dość zamożna, nawet na stosunki szwajcarskie. Ale to głupstwo. Gaszę światło.

Montreux - piątek - 11 listopada

Bez targu kupiłam cały kram razem z umeblowaniem i kompletnym wyposażeniem. Tutaj nie targują się przy takich okazjach. Nie ma zwyczaju. Tylko akcje ulegają wahaniom, ale w nich tkwi pierwiastek ryzyka i obowiązuje urzędowy kurs giełdowy wydrukowany w biuletynie. Sto tysięcy zadatku, we wtorek reszta łącznie z kompletną hipoteką. Ponieważ na frankowym koncie w banku Dubowa miałam tylko 429 tysięcy, dr Miliz zapytywał mnie przy Marcinie, czy mają skredytować mi resztę. Głupie powiedzenie, pomimo całej uprzejmości. Może trochę zbyt snobistycznie, ale uśmiechnęłam się, wyjęłam z torebki wieczne pióro i z miejsca napisałam do mojego banku w Sztokholmie polecenie telegraficznego przekazania mi do Genewy dwustu tysięcy koron szwedzkich. Wyczułam, że Marcinowi zrobiło to przyjemność. Natomiast w oczach dr Miliza pojawiło się na moment zdziwienie. Podczas obiadu w restauracji Marcin powiedział krótko:

- Dobrze zrobiłaś, Anno.

Moje zlecenie będzie w Sztokholmie najpóźniej w poniedziałek, telegraficzny przekaz zdąży na wtorek. W najgorszym razie pomoże mi Marcin, ale nie sądzę, aby to było potrzebne.

Gdy zechcę, zanocuję już we wtorek w moim nowym mieszkaniu. Koldrę, poduszki i bieliznę można kupić w ciągu pół godziny. Przy okazji pierwszego noclegu obejrzę sobie dokładnie, co kupiłam.

Jutro jedziemy w trójkę do Bazylei samochodem. Marcin jest ciekawy, jak urządzili się Hornowie w nowym domu. Podobno rozmieszczeniem mebli z Poznania zajmowała się młoda Margot. Zobaczymy. Florencja ciekawa jest na zakończenie sprawy z Foxem, Podobno to był zawsze przykry facet. Ano – zobaczymy. Mam zamiar obrać linię postępowania - mocno humorystyczną, raczej dowcip niż pieniądze, na których mi przecież nie zależy. Mimo że w proporcji do niego jestem jakąś bidusią...

Ciekawa wiadomość. Ciotka Temmi zdecydowała, że w paryskim pawilonie wszystko ma pozostać bez najmniejszych zmian. Nie wyobrażają sobie potrzeby wpuszczenia tam jakichkolwiek lokatorów. Florencja załatwiała telefonicznie sprawę zaproszeń do Podjasek. Z Paryża przybędą wszyscy, ciotka Temmi i Patrycja z dziećmi. Elza, kto wie, czy nie dr Miliz,

Nik Dubow, wrywa się nawet babcia Wieroczka, mała Fredda, spróbuję zaprosić Hornów. Elfryda z Londynu? Panie z Hermsdorfu, ale te chyba nie przyjadą. Mogłaby jednak przyjechać Brunhilda. Może z matką? Osiemnaście osób, Mokotów pięć, Maksiu nie może, wytłumaczony, rozumiem jego położenie. Stryj Józef i ciotka Elfryda, pan Szczytnicki. Może pani Horodyńska, w każdym razie któraś z pań z Rabki. Może zjawi się Tuchołka? Nie chciałabym tylko widzieć nikogo z Bydgoszczy i Grudziądza. Może Michałowie ze Lwowa? Rzeczywiście ze czterdzieści osób! Gdzie my ich pomieścimy? Kaczmarek mnie pocieszał, że w Podjaskach można urządzić gościnę dla pięćdziesięciu osób.

Chciałabym zaprosić wszystkich. Trzeba będzie zastanowić się nad tym w sposób poważny, z ołoweczkiem w ręce. Liteńscy gościli u siebie do trzydziestu osób naraz, ale bywało to prawie tylko męskie towarzystwo. A tymczasem wśród moich gości sporo pań. Zobaczymy jeszcze. A może przede wszystkim zagranicznych znajomych? Co mi przyjdzie z polskich? I tak mnie tylko obmówią.

Na razie kazałam kupić trzydzieści kołder i trzydzieści pledów leszczkowskich, takich, jakie podziwiałam na „Piłsudskim”, oraz pięćdziesiąt poduszek. Po dwie zmiany bielizny. Mają uszyć. Wszystko na gwałt w ostatniej chwili. Nie wiadomo, jak z łózkami, te, które zostały po Liteńskich, to stare graty. A może kupić ze dwadzieścia amerykańek? Praktyczne, ponieważ na dzień w charakterze kanapki. Coś około dwustu złotych sztuka. Na osobnej kartce spisuję wszystko, co przychodzi mi do głowy! Cała fura! Przecież trzeba będzie nabyć sporo broni, przynajmniej z tuzin różnych strzelb, fuzji, dubeltówek, jak się to wszystko nazywa...

Genewa - środa - 16 listopada

Dzisiaj po raz pierwszy nocuję przy ulicy Charlotty. Wszystko gładko, nawet szwedzki przekaz w samą porę. Jutro rano wraca z Paryża Elza, po południu podejmuję lampką wina moich najbliższych. Bardzo miło. Mój nowy dom! Siostrzenica mojej konsjerżki wystąpi w roli pokojówki. Ojciec jest maszynistą kolejowym, dziewczyna w domu. Na imię ma Ruth - niemieckie nazwisko Lange. Pochodzą ze wsi, spod Zurychu. Tutaj wszystko określa się według kantonów. Zaczęłam od pokojówki, ale przecież to będzie najbliższy człowiek w moim nowym otoczeniu. Poważna dziewczyna, ale uśmiechnięta. Naturalnie dwujęzyczna, wymowa bez zarzutu. Brak jej powiewności francuskich pokojówek, ale kto wie, może to i lepiej? Z usposobienia podobna do Lizy, która mnie zdradziła dla Karola Petrasa.

O godzinie dziewiątej zostałam sama w mieszkaniu. Po zamknięciu drzwi za Ruth, która dzisiaj nocuje u rodziców, zaświeciłam wszystkie żyrandole i lampy i dobrą godzinę spacerowałam po mieszkaniu jak po jakimś muzeum. Przez cały dzień korzystałam ze swobody, ponieważ Marcinowie wczoraj wieczorem odjechali do Montreux. Nikt mnie nigdzie nie zapraszał i miałam cały dzień dla siebie.

Kupiłam dwie kołdry, poduszki, komplet na dwa łóżka i na dwie zmiany. Rosenthal na dwanaście osób, dwa także komplety do kawy i herbaty, nowoczesne srebro duńskie również na dwanaście osób. Kilka obrusów, ręczniki, prześcieradła i płaszcze kąpielowe. Spora paczka drobiazgów kobiecych, z których słynie Szwajcaria. Drobiazgi toaletowe, których nie warto wymieniać. Szlafroki *en tout cas*, sporo tego. Wina, likiery, koniaki, pewnie z pół setki butelek. Zamówiłam na jutro zakąski i zimne dania na dwanaście osób. Wydałam siedem tysięcy franków.

Kredens i szafy wypełniły się nowymi przedmiotami, moja pokojówka miała sporo pracy z wypakowywaniem i układaniem tego wszystkiego. Sklepy dostarczyły wszystko na miejsce. Zresztą tutaj nie trzeba chodzić po sklepach, wystarczy telefonować. W ten sposób nowe połączyło się ze starym. Widziałam, że moje obie Szwajcarki były zdziwione tempem zakupów. Ruth wpatrywała się we mnie jak w jakieś niespotykane przedtem zjawisko.

Szwajcarzy bowiem są oszczędni i praktyczni. Ruth na pewno nie mogła zrozumieć kupna nowych kołder, pomimo że całkiem podobne, równie eleganckie, znajdowały się na miejscu.

A teraz o Eichel! Sobotnia konferencja u notariusza naszej Czerwonej Łopaty. W charakterze partnera do rozmowy inny notariusz, który prowadzi wszystkie sprawy Mr Foxa. Sprawa o murek i wyrąbanie moich czterech dębów już po ujawnieniu się sprawy złego wytyczenia granicy, po wykijkowaniu nowej granicy przez mierniczego. Murek mój, ponieważ prawo tak mówi, i dęby moje bezsprzecznie, ponieważ na moim gruncie. Proste, zimne zapytanie notariusza, który występował w imieniu mojego tajemniczego sąsiada, spojrzenie spod złotych okularów i nieskomplikowane, brutalne w swojej prostocie pytanie o cyfrę żadanego przeze mnie odszkodowania.

- Sprawę pragnęlibyśmy załatwić polubownie, bez sądów, mój klient upoważnił mnie... Prosimy o wymienienie kwoty.

Stryja Marcina nie było podczas tej rozmowy. Poszłam jedynie z doktorem Horno jako znającym te sprawy. Nasz notariusz chciał coś powiedzieć, tymczasem jednak wszyscy trzej panowie spojrzeli na mnie.

- Trudno - powiedziałam - odszkodowanie nie przywróci życia moim starym dębom. Wyobrażam to sobie w taki sposób. Sąsiadów należy cenić, w dodatku jestem sąsiadką Mr Foxa od bardzo niedawna. Mur graniczny ustawiony w swoim czasie na gruncie, który nabyłam, oceniam symbolicznie na jednego franka. Moja prośba jedynie, aby wielce szanowny sąsiad polecił przesunąć mur na swój teren możliwie na wiosnę w przyszłym roku, gdy zamieszkałam w Eichel. Co do ściętych dębów, wyobrażam sobie, że chyba cztery róże to nie będzie zbyt wiele dla sąsiadki, która jest kobietą?

No i zatkało wszystkich trzech panów. Mnie również. Była chwila milczenia, po czym notariusz Mr Foxa powstał ze swego fotela i złożył przede mną staroświecki ukłon, niemal teatralny.

- Madame - powiedział odruchowo po francusku, mimo że przedtem rozmawialiśmy po niemiecku - przekażę mojemu klientowi propozycję wielce szanownej pani. Pozwolę sobie prosić o odłożenie tej rozmowy do poniedziałku.

W trzy godziny po konferencji u notariusza przed mój dom I zajęła czarna limuzyna, z której wysiadł we własnej osobie Mr Fox. Wizyta sąsiada. Pierwsze słowa były jak zwykle nieważne. Byłam sama w mieszkaniu. Gość usiadł pod portretem Chodowieckiego, który młoda Margot przенiosła z górki do salonu na parterze.

- Chodowiecki?

- Tak, Chodowiecki - odparłam. Wstał z fotela, przyjrzał się portretowi starannie z bliska i z daleka. Poniosło go, zachował się w tym momencie jak antykwariusz. Zapytał z miejsca o cenę, o możliwości, jak dodał już miękko, ewentualnego nabycia.

- Monsieur - oświadczyłam - to jest portret mojego pradziada, takich obrazów nie sprzedaje się.

- Ach tak? *Mille pardons*, Madame. - Złagodniał. Rozmowa potoczyła się dalej o obrazach. Później przeskoczył od razu na dęby. - Pani kocha się w dębach? A może Madame spodobać się dęby wokół mojego angielskiego *cottage'u*? Zamienimy się, Madame. *Un petit changement*. Mój angielski *cottage* ze wszystkim... za ten stary szwajcarski dom, w którym obecnie siedzimy.

W pierwszej chwili nie zrozumiałam propozycji. Dopiero po dobrej chwili odpowiedziałam z uśmiechem:

- Jestem przywiązana, podoba mi się ten mój stary wieśniaczy domek, *Monsieur*. Nie pragnęłabym zamiany. Mnie nęcą jedynie dęby, dęby. Kocham się w starych dębach. W mojej dalekiej polskiej ojczyźnie posiadam w górach dom, stary dom wśród lasów, ale tak się złożyło, że na tym terenie są jedynie poręby, tereny do polowania. Daleko, *Monsieur*, w Karpatach.

Użyłam bardzo zręcznie określenia: *un cout des chasses aux Carpathes*. Raczej czułam, niż widziałam, że gość przygląda mi się uważnie. Mówiłam w dalszym ciągu, że w tym roku urządzam Noël u siebie na wsi, że to będzie moje pożegnanie z tamtejszą ojczyzną, ponieważ za kilka miesięcy osiadę na stałe tutaj, w Szwajcarii.

Później nie wiedziałam, jak skończyć, ponieważ mój gość milczał. Spojrzałam na niego. Chwilami patrzył na mnie, chwilami przyglądał się ukradkiem portretowi chłopca.

- Dęby - kończyłam. - Ale trudno, *non possumus velle sicut vellemus...* - kończyłem prawie sentencjonalnie - *non omnia facere possumus* - zmieniałam sens łacińskiej sentencji. – Gdyby było można, z przyjemnością nabyłabym ze sto dębów, ale cóż? Dęby w pańskim pięknym lesie, Monsieur, nie są zapewne nabycia.

Stary Anglik poruszył się w fotelu i ponowił propozycję:

- Wróćmy zatem do naszego *changement*, Madame. Mój *cottage* i dęby wokół niego - za ten stary wieśniaczy domek. Tu i tam i ze wszystkim.

- Chyba nie - odrzekłam - do tego domku prawie się przywiązałam. A zresztą - dodałam - czyż koniecznie musi przegradzać nas jakaś droga, bodaj Słoneczna? Zostańmy lepiej każdy u siebie, pan w Eichelsburgu i w angielskim *cottage'u*, a ja w Eichelbachu.

Nie było nikogo w mieszkaniu. Przeprosiłam na chwilę gościa, wyszłam z pokoju i po chwili wróciłam z tacą w rękach. Butelka wina, dwa kieliszki. Gość przyjął wino, wypił, zabawił jeszcze kilka chwil, po czym odjechał. Gdyby nie taca z butelką wina i kieliszkami, mogłoby mi się wydawać, że to wszystko było nieprawdą, snem, wytworem fantazji. Gdy w pół godziny później mieszkanie wypełniło się gwarem, zastano mnie jeszcze w salonie, wpatrującą się w tacę. Gdy opowiedziałam o wizycie, nie chciano wierzyć.

Na drugi dzień, w niedzielę z rana, przed mój domek podjechał inny samochód. Francuski sekretarz Mr Foxa. Doręczył mi cztery wspaniałe róże i bilet w kopercie. Po czym, nie czekając na odpowiedź, skłonił się przede mną jak przed jakąś księżną krwi i odjechał. Na bilecie było kilka słów po francusku: „Dziękuję, Madame, przyjmuję propozycję w sprawie «muru granicznego i czterech dębów», czego dowodem niech będą cztery róże i frank symboliczny, jak to pani była łaskawa określić. *Mille...* i tak dalej... W.F.” Na odwrotnej stronie biletu wydrukowane nazwisko: William Fox, kilka inicjałów określających jego oxfordzki stopień doktorski oraz jakieś wysokie odznaczenia angielskie. Te ostatnie tłumaczył mi Marcin. Czerwona Łopata po swoim gładził się po wspaniałej kwadratowej brodzie i powiedział:

- No, Anno, król wstążek wykpił się czterema różami i jednym frankiem, ale i to wiele znaczy. Nareszcie przełamaliśmy lody. Nigdy się dotąd nie zdarzyło, aby któryś z Foxów złożył komuś w tych stronach wizytę, prawda, Martin?

W niedzielę było przyjęcie w nowym domu Hornów. Doktor postawił sobie obszerną willę w stylu szwajcarskim. Masywną, o łamanych dachach, złagodzoną jedynie tarasami. Równocześnie zaprojektował zmianę otoczenia, ale to zobaczymy dopiero na wiosnę, gdy się zbudzi roślinność.

Poniedziałkowe dokończenie rozmowy z notariuszami. Trzeba było pojechać z grzeczności. Co do mnie, wstrzymałam się, wybrał się z ciekawości tylko doktor Horno. Wrócił po godzinie dziwnie podniecony - jak na Szwajcara. Notariusz Mr Foxa zjawił się po to jedynie, aby oświadczyć:

- Mój klient i mocodawca przyjął, jak już zapewne wiadomo, propozycję Madame Jambor. Z kolei prosi o wyrażenie zgody na jego propozycję. Wobec zainteresowania się Madame ofiarowuje teren przyległy do jej posiadłości w Eichelbachu „ze stu dębami” za symbolicznego franka.

Długo milczeliśmy. Wszyscy przyglądali mi się i spojrzeniami domagali się odpowiedzi. Dopiero po dobrej chwili powiedziałam:

- Tutaj nie ma się co namyślać. Może trochę z kpiąca wyjechałam z czterema różami, gorzej jeszcze z tym symbolicznym frankiem wobec starego milionera. Nie mam innego wyboru, trzeba się zgodzić! Przecież i tak dałam dostateczny dowód mojego negliżowania pieniędzy, gdy odmówiłam zamiany domów. A ileż być wart taki cottage?

Starsza Margot wyrwała się z pochopnym oszacowaniem:

- Chyba dobre pół miliona franków?

Cznrwona Łopata uśmiechnął się na te słowa:

- Chyba dwa razy tyle z tym wszystkim, co się znajduje w domu.

W dwie godziny później wymknęłam się z willi Hornów i skreśliłam u siebie kilka zdań: „Trudno, Monsieur, słusznie należy się panu rewanż. Przyjmuję pozycję. Bardzo byłoby nam miło powitać pana przy stole wigilijnym w moim wiejskim dworze w Karpatach. Jedzie się na Kraków, stamtąd koleją do miasteczka Krosno, dwór nazywa się Podjaski, dwadzieścia kilometrów samochodem. Proszę o wiadomość pod moim warszawskim adresem, ulica Hortensji... Tymczasem proszę przyjąć w sąsiedzkim upominku obraz mojego dziada, malowany przez Chodowieckiego. A.J.”

List włożyłam do koperty. Odszukałam naszego szofera, poleciłam mu doręczyć w Eichelsburgu jedno i drugie. Wkrótce potem wracaliśmy już do Montreux, gdzie zanocowaliśmy. Na drugi dzień był genewski wtorek, kupno domów, wspólny nocleg z Florencją.

- Pod szczęśliwą gwiazdą urodziłaś się, Anno - powiedziała mi tego wieczoru. - Tu nie chodziło bowiem o pieniądze, lecz o gest czy dowcip.

A teraz tylko to jedno: przyjedzie Mister Fox do Podjasek? Chyba moje Podjaski nie są tak daleko, skoro on czasami odwiedza swoje tkalnie w Kalkucie. Przecież dla niego Karpaty to prawie egzotyka. Psiakrew! Brakuje mi trzech miesięcy czasu. Dopiero bym pokazała przyjęcie! Ale jakoś pójdzie, będzie można przecież powiedzieć: gdy przed pół rokiem nabyłam te tereny do polowania, była tutaj pustka i zniszczenie.

Któregoś dnia zauważył profesor Wydra:

- *Sie begehren eine Vollendung im Glücke, Madame, aber dieses Wort, Vollendung, hat sie nur bezaubert. Eine richtige und wahre Vollendung ist nur: im Nichttun.* - I tłumaczył mi w swój profesorski sposób główne zarysy mitu o Minotaurusie.

Ale to nie dla mnie.

Ciotka Florencja perswadowała mi:

- Wyjdź za tego Foxa za mąż. Problem więzienia w Eichelsburgu czy gdzie indziej. Ale ty, Anno, posiadasz już chyba swój własny milion dolarów? Inny problem - inna pozycja. Podobno angielski szlachcic. Majątek w Anglii, prawdziwy zamek, dobra, bywanie na dworze. Ciekawe życie. Szansa życiowa.

- Nie - odpowiedziałam - to nie dla mnie. Zbyt nużący dodatek w postaci samego Mr Foxa od rana do wieczora.

- Rzeczywiście - podchwyciła matowo, lecz bez ironii Florencja - od rana do... wieczora. Roześmiałyśmy się obie z tych słów i na tym zakończyły się kobiece zwierzenia.

Czwartek - 17 listopada

Wieczorem. Przyjęcie udało się. Z Bazylei niespodzianka w postaci obu Margot, Montreux, z Lozanny Zosia i Nik Dubow, oboje Milizowie, genewski notariusz banku Płatona Dubowa, Elza i ja. Dobrze wypadło, zimne przyjęcie, wystarczyła moja pokojówka.

Krótką naradę rodzinną. Dopłacam czterdzieści pięć tysięcy franków i przejmuję od Marcina jakiś dom czynszowy w Montreux. Kamieniczka niewiele jest warta, stara rudera dwupiętrowa, ale podobno ładny ogród.

Jutro kręcimy się wszyscy po Genewie, na sobotę mam wykupione miejsce w samolocie do Berlina, w sobotę w nocy będę w Warszawie. Z kilku dni zrobiły się bite dwa tygodnie.

Moje oba nowe domy w dalszym ciągu w administracji banku. Bank spłacam gładko, z panem Dorellsem rzecz do omówienia. Mieszka obecnie w Zurychu. Po części klient naszego banku. Tak mi się napisało: naszego banku. Ze starym Płatonem już nikt się nie liczy, ostatnie słowo należy obecnie do naszego Marcina. W dodatku Dubow miał powiązania jedynie z finansjerą, z nowojorskimi Eibenschützami i paryskim Rotszyldem. Marcin ma jeszcze inne, wiadomo jakie. Elza przywiozła moje paryskie prowizje za lakiery w tym roku. Była to ostatnia niteczka, łącząca mnie z „Czterema Kamieniami” i firmą „Sol”.

Tak wygląda mój nowy świat i pierwsze w nim kroki. Na razie to tylko jakieś pozycje likwidacyjne i urzędzeniowe, ale w każdym razie! Ulica Charlotty to mój pierwszy przyczółek mostowy, jakby powiedział nasz domowy Cyrano de Bergerac, czyli legionowy generał Wirewicz.

Małżeństwo Zosi przełożone, pragnie dokończyć studiów. Przypuszczalnie młody Pohorecki przyjedzie na nasze polowanie, krewny Stadnickich, ma zamieszkać u nich. Dla mnie lepiej, bo byłby może kłopot z gością.

Elza przywiozła mi dwie nowe suknie z Paryża. Tutaj na miejscu również kupiłam to i owo. Latałyśmy z Florencją. Obie Margot były zachwycone lisami, dogodziłam im. Trzeba będzie obmyślić prezenty gwiazdkowe dla wszystkich. Gdy wpada mi do głowy jakaś idea, od razu notuję. Czeka mnie sporo kręcenia się, gdy wrócę do Warszawy.

Piątek - 18 listopada

Nic ciekawego. Elza opowiadała o interesach domu bankowego jej ojca. W projekcie jest podobno mój wyjazd do Ameryki na kilka tygodni, ale dopiero gdzieś w końcu lata. Nasz profesor Wydra wystarał się Matyldzie i jej córkom o legalne paszporty wenezuelskie, podobno Matylda nabyła tam niezłe tereny kopalniane. Dobrze i to. Wysłali do Wenezueli owego wiedeńskiego pułkownika, wujka Matyldy, który zdołał uratować się ucieczką na Węgry. Byłoby jednak lepiej, gdyby osiedliła się w Szwajcarii, skąd jest wszędzie blisko.

Dzisiaj byliśmy w teatrze, stara szmira, ale wesoła: *Le roi s'amuse*. Już późno, jutro o tym czasie będę w Warszawie.

Warszawa - niedziela - 20 listopada

Czuje się jak powieściowy Marek Czertwan, gdy przyjeżdżał do Poświęcia. Moc listów, moc propozycji i na dokładkę siostra Zofia - jak zwykle po nowe pieniądze. Starych długów nie oddała w komplecie i w terminie, a z tym, co otrzyma jutro, będzie okrągło pięćdziesiąt tysięcy. Podobno tym razem odda mi wszystko nieodwołalnie dnia 1 marca 1939 roku. Wykłamalam się, chciała więcej. Worek bez dna. Widziałam nawet jakby błysk w jej oczach, po prostu hamowała się, aby mi nie powiedzieć:

- Dla nas nie masz pieniędzy, a utopiłaś miliony w tym majątku „po Liteńskich”. Doskonale była poinformowana o sprzedaży poznańskiej kamienicy, a Leokadia niepotrzebnie wygadała się o domach na Mińskiej. Ciotce Leokadii na osobności powiedziałam, gdy dzisiaj napierała się o dokończenie sprawy sprzedaży tych domów:

- Jaka cena? Ależ to rozumiałe, dokładnie tyle, ile mnie samą kosztowały swego czasu, mam zestawienie. A to, że przy kupnie szkieletów zapłaciłam okazyjnie niską cenę, nic nie szkodzi, przecież korzystałam u ciebie z wielu pożyczek.

Była mocno zdziwiona takim postawieniem sprawy, ale równocześnie zadowolona. Nie można jej odmówić wielkiej serdeczności i zyczliwości dla mnie. Jeżeli chodzi o sprawy spółki drzewnej, jest mocno zagniewana na Marcina, nie może zrozumieć konieczności takiego postawienia sprawy wobec dr Miliza po przejęciu przez Marcina rządów w banku Dubowa. Ale za starym Płatonem stoi jedynie rodzina Milizów, a wszyscy pozostali wierzą raczej w szczęśliwą rękę naszego Marcina. Przecież Warszawa dla młodego Miliza to jest bardzo dyplomatyczne otarcie łez jedwabną chusteczką wartości pięćdziesięciu lub

sześćdziesięciu tysięcy franków rocznie. Ale Leokadia jest mimo wszystko Leokadią i w dalszym ciągu myśli kategoriami prokurentki z poznańskiego banku. Dostanie pensję po mnie, a o resztę nie powinno jej chodzić.

Z listów dwa najciekawsze. Pan Trzycieski zapowiada się u mnie z wizytą na środę, podobno, jak pisze, był w Warszawie przed tygodniem, ale w biurze udzielono mu informacji o moim pobycie za granicą. Proponuje mi kupno hurtem od ręki wszystkich terenów należących do niego po drugiej stronie leśnej drogi z Podjasek do Wilczych Hub. Nazywa się to Sucholesie.

Drugi list - od szwagra Tuchołki. Chce sprzedać trzydzieści dwie paki książek zabranych z pałacu na kresach, około pięciu tysięcy tomów. Ostatnie egzemplarze pochodzą z połowy ubiegłego wieku, wiele starych foliałów. Podobno Uniwersytet Poznański gwarantuje mu za nie trzydzieści tysięcy z licytacji, część chce od razu wybrać dla siebie, a co licytacja przyniesie ponad trzydzieści tysięcy - po połowie. Daleka to jednak droga do gotówki. Szwagier jest hojny, chce ode mnie trzydzieści pięć tysięcy, ale zaraz.

Pomimo niedzieli i zmęczenia podróżą tkwiłam dzisiaj bite cztery godziny przy brydzu. Kasprzycki, Grabowski, ja i jako czwarta - pułkownikowa Gano. Znakomicie ubrana, nic dziwnego, stale kursuje między Warszawą i Paryżem. Wirewiczowa pomawia ją po cichu o handel narkotykami, babsztyl jadał chleb z niejednego pieca. Ale to wszystko mogą być jedynie warszawskie plotki, o które tutaj nietrudno.

Miałam okazję wypróbować paryski model, który przywiozła mi Elza. Błyskotkę od pana „L” upięłam na lewym ramieniu. W początkach naszego brydża kibicował Włodek. Była mowa o sukniach, ponieważ pułkownikowa również wróciła z Paryża. Powiedziała nieopatrznie:

- Ach, patrzcie, pani Jambor, wspaniała kreacja. Wydaje mi się, że widziałam tę suknię na rewii mód - i wymieniła nazwę jakiegoś magazynu. - Panie ministrze - do Kasprzyckiego - jak oni umieją podrabiać biżuterię. W tym miejscu stojący obok nas Wirewicz ryknął po swojemu śmiechem. Wszyscy spojrzeli na niego, a Włodek w swojej bezpośredniości wyrpał:

- Ładna imitacja! Za taką imitację można by kupić niejednego warszawski salon mód czy też salon piękności. - Uszczypliwe powiedzenie pod adresem pani Gano, o której wszyscy wiedzą, że pół życia wysiaduje w salonie Mayerowej.

- Ach - powiedziałam jakimś matowym głosem - głupstwo, środkowy kamień nie jest w moim guście i dlatego „to” przeznaczyłam do upinania sukni. Gdy znajdę porządną kamień do środka, każę przerobić, a stary po przeszlifowaniu oprawię w pierścionek.

Naturalnie oglądano na wszystkie strony. Niby wielcy i historyczni ludzie, a drobiazgowi wobec jakiegoś świecidełka. Takie zresztą oglądanie może przydarzyć się tylko w tych stronach. W Szwajcarii nikt by się nie odważył na jakieś uwagi w stylu pani Gano.

Chyba już wszystko. W końcu listopada w powietrzu było nieprzyjemnie, mocno nas wyhuśtało, w każdym razie jeszcze nie z duszą na ramieniu. Leciałam z japońską delegacją, inny świat, naprawdę bardzo odmienni ludzie. A może to tylko jakieś uprzedzenie, widocznie nie mogę jeszcze przyzwyczać się do ludzi o odmiennym kolorze skóry i wyglądzie.

Wtorek - 22 listopada

Pytałam Tuchołki, co miałabym zrobić z książkami. Kupić ostatecznie mogłabym. Od razu zaprosił się do Podjasek. Trudno! Pytałam profesora, mówi, że można by książki wywieźć do Szwajcarii.

Nie wiem. Na razie jestem ciekawa jutrzejszej wizyty mojego wiejskiego sąsiada.

Pieniądze płyną jak woda, ale to również jeden ze sposobów likwidowania moich spraw w Polsce. Trzeba w istocie wszystko zlikwidować i pozostawić za sobą jedynie górskie tereny do urządzania polowań oraz wspomnienie prawdziwej damy. Powiedziałam: - Wydam na ten

cel milion złotych i żądam jedynie, aby w najbliższych latach nic już więcej nie dokładać do tego majątku. Dochody mają służyć na umocnienie przyzwoitej gospodarki. - Kiedyś w przyszłości, gdy przestanie mnie interesować tamten zakątek, sprzedam, co przyjdzie łatwiej, gdy doprowadzi się to do ładu i ludzkiego wyglądu. Stracę na tym, powiedzmy, sto czy dwieście tysięcy, ale resztę wyciągnę. Wartość ziemi nigdy nie ginie jako kapitał, może być mowa jedynie o zmniejszeniu się dochodu z ziemi.

Czwartek - 24 listopada

List od Mr Williama Foxa. Owszem, przyjął zaproszenie i przyjedzie dokładnie 22 grudnia. Do Katowic koleją, dalej chce się przepychać samochodem. Dwoje służby, szofer i strzelec. Ciekawe. Czy tylko wszystko dobrze wypadnie? List nadszedł prawie równocześnie z wizytą pana Trzycieskiego. Kto wie, czy ta wiadomość nie przeważała u mnie sprawy kupna! Jakoś tylko kulawo było z oceną ofiarowaną przeze mnie, ale z uśmiechem przerzuciłam się na historie szwajcarskie. Otwarcie mówiłam, że cały majątek mam umieszczony za granicą w realnościach i akcjach, z których pierwsze przynoszą mi sześć do siedmiu procent rocznie, bez najmniejszego ryzyka i kłopotu, a drugie - w tym miejscu uśmiechnęłam się -- rozmaicie... zależnie od przypadku i szczęścia.

Stańło na stu czterdziestu tysiącach gotówki i pokryciu przeze procentów za całe drugie półrocze, będzie tego koło piętnastu tysięcy.

Dla obu stron interes niezbyt dobry, tak sobie powiedzieliśmy z uśmiechem już dzisiaj u notariusza. Ale rozstaliśmy się bez żalu i jedna z moich pierwszych wizyt będzie u państwa Trzycieskich.

Sobota - 26 listopada

Rozliczyłam się z Leokadią. Sprzedałam jej ostatecznie domy na Mińskiej oraz pięćdziesiąt dwa tysiące w pierwszej emisji naszej spółki. Zostawiłam sobie jedynie dziesięć tysięcy wymagane dla członka rady nadzorczej. Przyjęłam od Leokadii diamentowy garnitur po naszej prababce Wildorf, według szacunku jubilera: dziewięćdziesiąt pięć tysięcy złotych. Nigdy nie sądziłam, że wejdę w posiadanie tego klejnotu rodzinnego w drodze prostego kupna. Być może ta historia odarła mnie z ostatnich sentymentalizmów. Ucieszyłam się nawet tylko w połowie. W tym momencie bowiem z ciotki Leokadii wyskoczyła zwykła Ratajczakówna spod Leszna. Nie wiem, co na to powie Maksiu, co na to powie Gabrysia! W każdym razie nie widzę przyjemności w specjalnym rozgłaszaniu o tym kupnie. Pudełko przyjęłam, naprzód leżało na biureczku po dziadku, a dopiero później zamknęłam je do skrytki w ścianie. Obojętnie i bez entuzjazmu. Ano, ludzi poznaje się dopiero w takich momentach. Odczułam to jako pewnego rodzaju machnięcie pędzlem umaczanym na przykład w smole po powierzchni wartościowego obrazu.

Kiedyś, za parę miesięcy, gdy będę opuszczać mieszkanie przy ulicy Hortensji, zabiorę z sobą za granicę jedynie kilka przedmiotów. Portret babki Anny, portrety darowane mi przez kuzynki z Hermsdorfu, kopię Chodowieckiego, prababkę Zofię Wildorf, Bacciarellego od Kubusia Cieleskiego, biureczko i zegar po dziadku Benonie i francuską kozetkę podarowaną mi przez ciotkę Katarzynę. Co do reszty, powiem z uśmiechem:

- Niech ci służy, kochana Leokadio, szkoda byłoby psuć całość umeblowania.

Zapomniałam jeszcze wymienić miłe dla mnie drobiazgi: dwa obrazki malowane przez wujka Michała i paryską kopię kredkową nagiej dziewczyny Boucherowskiej. *C'est tout!*

A może i lepiej się stało, że właśnie za gotówkę nabyłam spuściznę po prababce. Odarta ze złudzeń, będę lepiej uzbrojona do walki z moim przyszłym losem.

Tak to bywa na świecie. Uśmiech na twarzy, Anno, nie warto mącić wody w brudnym stawku. Wówczas zniekształciłby się obraz prawdziwy, na razie jest jednak jeszcze trochę czystej wody na wierzchu.

Pojutrze imieniny Florencji, naturalnie jak zwykle kwiaty na odległość, a prezent pod choinką w Podjaskach. Prawda, Florencja prowadzi obecnie życie wykwintne. Ale i to życie zaczęło się dopiero w dobre kilka lat potem, jak wytrąciła rodzonej siostrze kochanka z ramion. Ciekawe, nigdy nie było między nami mowy o tym, jak wyglądało jej życie przed spotkaniem Marcina.

Co prawda i ja. Ale to nie jest taki sam problem. Jerzy - to zgola coś innego. Coś, a nie - ktoś.

Niedziela - 27 listopada

Leżę w łóżku i zrobiłam sobie przedpołudniową labę. Obiad w Zbójnej Górce, tylko rodzina. Kolacja z brydżem na Mokotowie. Interesy.

Zabiorę z ulicy Hortensji jeszcze kilka obrazów, dywan podarowany mi przez pana Szczytnickiego. Nie rozbiorę jednak mojego hallu, niech zostanie w Warszawie jako dowód dobrego gustu Anny Jambor. O taki hall nie jest łatwo, szkoda byłoby zepsuć, wszystko harmonizuje z sobą i znajomi przyzwyczaili się do niego. Może i szkoda, ponieważ podrobioną skrzynię włoską i owe „Zdobycie Kołdyngi” można by z powodzeniem umieścić w Eichel. Obecnie doktor Horno przed oddaniem mi starego domu kazał wstawić nową ścianę pomiędzy kuchnią a pokojem wejściowym. Ścianka podobno została odbudowana dokładnie tak, jak wyglądała przed pożarem.

Wirewiczowa ze swoją protegowaną Lucynką. Usiłowały wyciągnąć mnie na południową górkę do „Ziemiańskiej”. Wykręciłam się obiadem w Zbójnej Górce. Przyszły mnie sondować w sprawie ostatniej podróży do Szwajcarii. Coś niecoś słyszały o moich interesach. Ale jakoś zagadałam. Nie ma potrzeby zwierzać się. Mireska miała ochotę poruszyć temat Podjasek, również wylawirowałam. Zbagatelizowałam całą sprawę, przedstawiłam ją raczej jako „dopust Boży”, potrzebny jedynie dla zaznajomienia się z sąsiadami. Nie bardzo wierzyła w moje gadanie, widocznie czekała, że ją zaproszę.

Poniedziałek - 28 listopada

Piszę w moim gabinecie na pierwszym piętrze. W biurze spokój, królują na gospodarstwie tylko z Mr Davidem. Skoro świt stryjek z inżynierem Pakullą wyjechali gdzieś pod Włodawę, a z Leokadią cała historia. Te baby są niespożyte. Wczoraj na Mokotowie zgadało się o Zaolziu i babska odczekały dzisiaj jedynie do otwarcia banków. Podjęły gotówkę i pogrzmiały do Cieszyna cadillakiem. Nowa trójca: Leokadia, Wirewiczowa i Mireska. Chcą kupić, co się da, podobno tam są tanie domy. Mnie to ani w głowie! Wybuchnęłam śmiechem, gdy mi proponowały. Sprzedałam tutaj na miejscu w Warszawie, a miałabym kupować w czeskim Cieszynie? Dobre sobie.

Marcin mówi całkiem głośno, że ta historia nie przetrwa próby czasu. Według niego - to był największy błąd sanacji po śmierci Piłsudskiego. Mają wrócić za trzy dni. Po południu zatelefonuję do Torunia, urządzę sobie małą sjęstę.

Wczorajsze mlócenie kart bez większych przyjemności. Z nowych ludzi na Mokotowie jacyś państwo Lipsy, wkręcają się obecnie mocno w generalskie towarzystwo. On podobno jakiś obiecujący przemysłowiec, ona taka sobie. Pan Lipski jest obecnie prezesem warszawskiego Klubu Strzeleckiego. Tak wygląda, że mają zamiar nawiązać ze mną bliższe stosunki towarzyskie. Być może, ale ja nie mam zamiaru zrobienia pierwszego kroku. Nie widzę w tym sensu ani interesu w moich obecnych warunkach.

Natomiast bardzo miła była pani Zofia Kannenberg, żona kapitana. Zawołana automobilistka. Podobno w silnej konkurencji mężczyzn uzyskała tej jesieni dwa pierwsze miejsca. Był również pułkownik Tunguz-Zawiślak, ale niezbyt przyjemne spotkanie, ponieważ to kolega Rudolfa L. Przez cały wieczór przyglądał mi się z ciekawością gościa zwiedzającego ogród zoologiczny. Niezbyt taktownie zapytał:

- Czy to prawda, że pani nabyła majątek panów Liteńskich?

Odpowiedziałam z miejsca:

- Owszem, na licytacji.

I na tym skończyła się nasza rozmowa.

Do domu wróciłam mocno po pierwszej i gdyby nie zaolziańska eskapada naszych pań, byłabym pospała sobie do południa. Z innych wiadomości: w czwartek udekorują mnie orderem Polonia Restituta. Za: - stosunki zagraniczne, coś w tym guście. Głupstwo, jak zwykle wszystko w tej całej szopce legionowej. W sobotę urządzam przyjęcie z tej okazji, mają mi podać listę osób, które trzeba będzie zaprosić. Tylko to jedno dobrze, że tym razem bez kart. Same fisze, nic poniżej generała i ministra. Koło dwudziestu osób, jakoś pójdzie. Krzyż naturalnie - oficerski.

Dzisiaj był list od małej. Fredda ma pozwolenie ojca, który podobno już wysłał do mnie w tej sprawie list. Cudzoziemcy są w takich wypadkach bardzo uważający.

Wieczorem. Dzwoniłam do Torunia, przyjedzie jutro wieczorem. Spotykamy się w mieście, w cukierni „Lardellego”.

Środa - 30 listopada

Głupstwo, głupstwo, psiakrew! Do diabła z tą całą moją rodziną! Szwagier Tuchołka przyjechał dzisiaj nad ranem i usiłował dostać się do mnie zaraz po wpuszczeniu go do mieszkania. Słyszałam przez drzwi, jak pokojówka tłumaczyła mu bardzo energicznie:

- Pani dyrektor nie pozwoliła się budzić, bardzo przepraszam.

Zepsuł mi ranne dokończenie nocy i ponadto byłam zmuszona wypuszczać kochanka w sposób romantyczny. Dopiero podczas śniadania dowiedziałam się, że szwagier zadowolił się łazienką Leokadii i śniadaniem, po czym wyszedł na miasto. Zjawił się u mnie w biurze około dziesiątej, miałam czas ochłonąć. Przyjęłam go jak psa w studni. Naprzód odmówiłam, później zrobiło mi się żal Pelasi. Jest mi winien dwadzieścia pięć tysięcy złotych, a dzisiaj wyłudził ode mnie gotówką trzydzieści tysięcy. Dość twardo stałam, nie miałam potrzeby dawać więcej od uniwersytetu. W dodatku zaraz i wszystko od razu. Wyślę z nim do Poznania jedną z naszych urzędniczek, energiczna dziewczyna. Przypilnuje, aby szwagierek nie wyjął ze skrzyń książek i nie wypełnił ich jakąś makulaturą. Po takim typku można się wszystkiego spodziewać. Ma od razu po przyjeździe do Poznania osobiście dopilnować przewiezienia skrzyń do Hartwiga. Wróci dopiero po wyekspediowaniu przesyłki do Bazylei. Jutro trzeba będzie napisać list do Czerwonej Łopaty z prośbą o pomoc na miejscu w Bazylei.

Tuchołka nocuje dzisiaj u mnie. Nudny jak flaki z olejem. Obecnie przeminęła mi już złość, ale... Zrobili go gdzieś jakimś komisarycznym dyrektorem na złość poznańskim endekom, ale to jemu nie wystarcza i wszedł w spółkę z żydowskimi kupcami. Bliżej nie określił mi, co robią, chwalił się tylko, że interes jest na jego nazwisko, ma w nim podobno sto tysięcy. Ano, jest pełnoletni, wie, co robi. Zresztą mnie to jest całkiem obojętne, trudno pilnować go w nieskończoność. Gdy ostatecznie kiedyś zbankrutuje, zawsze będzie czas pomyśleć o zabezpieczeniu losu Pelasi i dzieci.

Panu J. wręczyłam mały upominek, pod pozorem, że imieninowy, mamy w kalendarzu kilku Jerzych, nigdy nie wiadomo, który. Ostatni święty Jerzy drugiego listopada, w sam raz. Męski pierścionek, dwa brylanciki prawie po karacie, w środku na okrągło szlifowany szafir, tysiąc czterysta złotych. Kupiłam okazyjnie. Wyobrażam sobie, że tak jest dobrze. Gdyby nie głupia przygoda z moim szwagrem, całość byłaby niczego sobie. Wyposzczony samiec, żona urodziła mu niedawno dziecko. Imaginacja w dodatku dorobiła na pewno więcej, niż było w istocie. Gorzej byłoby jednak, gdyby to była na przykład moja siostra Zofia, ta usiłowałaby przedostać się do mnie nawet wśród nocy. To wszystko są ludzie niezręczni i bez dowcipu.

Jutro ta głupia awantura z wręczeniem orderu. Przecież ja nie jestem płatnym funkcjonariuszem ministerstwa, a jedynie honorowym konsultantem. Ale płacą mi za

posiedzenia i widocznie dlatego ciągną mnie do siebie na takie hece. Postanowiłam pójść w czarnym kostiumie, również zagraniczna kreacja. Przypnę jedynie rumuński order Czerwonego Krzyża, to wygląda jeszcze jako tako poważnie. Ostatnio straszili mnie na Mokotowie, że jako dalszy ciąg do Krzyża Zakonu Jadźwingów przyślą mi niezawodnie jakiś papieski order. Klóciłam się z Władkiem, że papież rozdaje orderzy tylko mężczyznom, a na przysłanie Złotej Róży osobiście nie liczę.

Tuchołka niestety zjawi się w Podjaskach. Dobrze przynajmniej, że dopiero w drugie święto wieczorem. Ale na polowaniach będzie, jemu tylko o to chodziło, żeby pokazać się w kapeluszu z kitką i fuzyjką w ręce. Bardzo niefortunnie dopytywał się dzisiaj, co robią panowie Liteńscy. Wzruszyłam ramionami. Ale szwagrowi wydawało się, że ja koniecznie muszę interesować się takimi sprawami. Powiedziałam mu:

- A cóż mnie obchodzi jakiś zeszlóroczny śnieg?

Panie z Rabki pisały do Poznania, że moja chrześniaczka poprawia się z każdym dniem i dała namówić się do jedzenia. Widocznie działa już dobre rabczańskie powietrze. Zostaje przez święta w „Magdzie”, krakowskie bliźniaczki ma ktoś okazjnie odwieźć do Poznania, matka innej dziewczynki z internatu. Moją Martę wyślę na dwa dni do Rabki, wypada.

Czwartek - 1 grudnia

Jakoś z dowcipem, ponieważ minister nie brał się do przypinania mi orderu. Wręczył mi pudełko i dyplom i przypomniał o zaproszeniu na sobotę. Co do tego przyjęcia - osiemnaście osób. Jutro rano przyjeżdżają nasze panie. Samochód zostawiają w Katowicach, generałowa wraca tam za kilka dni, podobno kupiła w czeskim Cieszynie dwie spore kamienice. Ano - głupia, ale na to nie ma rady.

Piątek - 2 grudnia

Dwa listy. Z Edynburga od ojca Freddy bardzo grzeczny list z podziękowaniem za zaproszenie córki na święta. Przy okazji zapowiada złożenie wizyty w Genewie i zaprasza obie nasze dziewczynki na następne wakacje do siebie, również wiejski majątek.

Drugi list od Czerwonej Łopaty. W ciągu tygodnia graniczny mur z kamieni został doszczętnie usunięty, teren wyrównano, a kamienie złożono nad stawkiem, na terenie Mr Focha. Równocześnie ogrodzono nową granicę taką samą siatką, jaka istniała już poprzednio wzdłuż Sonnenwegu. Dokładnie sto dębów po mojej stronie. Nie licząc tych dziewięciu, które znajdowały się już na nowym terenie, jaki stary Fox zagrabił Hoferom w okresie ustawiania muru z kamieni. Swoją drogą szkoda murku, przyzwyczaiałam się do niego.

Obecnie mam sto dwadzieścia trzy dęby. Czerwona Łopata rozmawiał z ogrodnikiem Focha, na wiosnę mają zasadzić wzdłuż siatki żywopłot. Doktor Horno pisze, że niezależnie od dębów uzyskałam bardzo poważny teren, dokładnie sto trzydzieści pięć metrów frontu od Sonnenwegu, plus osiem z wyrównania starej granicy. Skorzystałam, ponieważ dęby w tej stronie były rzadsze, natomiast bardzo rozrosłe i stare. Symboliczny frank przyniósł mi dokładnie 18 900 metrów kwadratowych powierzchni, już zdążyli pomierzyć, tym razem bardzo dokładnie. Nową granicę wytyczyli idealnie równoległe do istniejącej i tak, że na tym terenie znalazło się dokładnie sto dębów. Ciekawa jestem, jak to urzędzą z hipoteką. Niesamowita historia z tysiąca i jednej nocy.

Sobota - 3 grudnia

Telefon z Poznania. Jakieś głupie obiekcje z wysłaniem książek do Szwajcarii. Kazałam wysłać skrzynie natychmiast ekspresem do Warszawy. Kto pokręcił? Leokadia szaleje z przyjęciem. Od razu po powrocie zabrała się do dyrygowania. Podobno gdyby nie ona, przyjęcie by nie wypadło i tak dalej. Głupie gadanie, ale nie oponowałam, ponieważ w perspektywie są Podjaski, a tam Leokadia na pewno będzie potrzebna.

Niedziela - 4 grudnia

Ufff! Przeszło. Ale to była tylko nieważna próba przed Podjaskami. Wczoraj zresztą nadszedł stamtąd bardzo obszerny list. Pisze Kaczmarek - jak zwykle szczegółowo. Kondola zatruwa mu życie. Podobno wszystko już prawie gotowe. Ze służbą po panu Trzycieskim pozawierał umowy, wszystko zostało po dawnemu, przejścia dokonał, obecnie rozliczają się z ruchomościami. Za jakiś tydzień na słupach granicznych zostaną zdjęte tablice Trzycieskich i zawieszają tablice „majątku Podjaski” z moimi herbami. Kondola podobno wydziwia, sprowadził kolorowe materie, poprzykrawał i szwaczki szyją i haftują kilka flag z herbami Jamsborg-Hermsdorf. Zuch chłopak, podoba mi się, nigdy nie byłabym o tym pomyślała.

Na miejscu w Warszawie zakupiłam cały arsenał broni myśliwskiej. Zajmował się tym Wirewicz, nawet jego wzięłam do galopu. Można by z tym wytrzymać oblężenie jakiegoś góralskiego Janosika. Czy mój Jansik ucieszy się, gdy mnie zobaczy? Kaczmarek pisze o psach myśliwskich, które również zakupił. Jeździł po nie aż do Łańcuta.

Zapasy żywnościowe również zgromadzone i zakupione na miejscu. Bardzo dobrze, ponieważ Leokadia chciała wysłać z Górek.

Stary kucharz Liteńskich podobno odżył, zalegali mu z pensją od kilku lat, nie upominał się przez grzeczność i z przywiązania do Podjasek, a może nawet i do samych Liteńskich, pracował u nich przeszło trzydzieści lat. Początkowo boczył się, gdy kupiłam majątek, ale obecnie, pisze Kaczmarek, oczarowały go nowe porządki. Nie mógł jedynie zrozumieć, że kazałam odnowić herby Podjaskich na frontonie nowego dworu i zadowoliliam się tylko zawieszeniem nowej blachy nad bramą wjazdową. Nie pojmuję, że Podjascy byli blisko spokrewnieni z Trzycieskimi, Stadnickimi i panem Benedyktem Szczytnickim!

W budynku przy tartaku w Wilczych Hubach odnowiono wnętrza, co prawda zostały wybielone w sposób dworski, ale w każdym razie cztery gościnne pokoje. Również leśniczówkę odnowiono. Myśliwski domek na szczycie Sucholesia został oddany przez pana Trzycieskiego we wzorowym porządku. Był grzeczny, nie zabrał wiszących tam trofeów myśliwskich i portretów. W domku mieszka stale leśnik z żoną, prowadzą małe gospodarstwo. Łatwe możliwości zakwaterowania myśliwych. Futra, kozuchy, worki futrzane na nogi zostały kupione na miejscu. Jeszcze jedno, Kaczmarek pisze o tym po swojemu, ale sto czy dwieście lat temu powiedziano by: służba dworska dostała nową barwę.

Na wstępie jednak informacja zapewne najważniejsza. Kaczmarek doszedł do porozumienia ze wszystkimi dzierżawcami i od wiosny będzie gospodarował już na całości arealu. Wszystkie żniwa w jego ręku. Ważna wiadomość, nawet dla mnie. Skończyło się partackie gospodarowanie poprzednich właścicieli.

Wczoraj rano wpadł do mnie na bardzo krótko Maksiu. Nie ma oczywiście mowy o jego przyjeździe. Gabrysia w ciąży. Pani Orzechowska histeryzuje. Podobno był sądny dzień w Starej Wsi, gdy nadeszły z Podjasek blachy z herbami i guziki liberyjne, pani Orzechowska dostała spazmów z pianą na ustach.

Stary Liteński jest unieruchomiony w fotelu na kółkach, skonstruowali mu specjalny stolik do stawiania pasjansów. Czyta jedynie Paprockiego i Niesieckiego. Nie opuszcza go humor i apetyt. Potraktował sprawę na wesoło i podobno powiedział:

- Lepiej, że Podjaski kupiła moja była synowa, niżby je mieli kupić handlarze!

Prawdę mówiąc, kto wie, czy nie lepiej, że stało się tak, jak się stało? Rozeszłam się z Rudolfem, byłby mi ciężki przez całe życie. Dziecka szkoda, bo było moje własne. Wolałabym, aby wyżyło. Byłabym je i tak zatrzymała. To byłaby kwestia tylko pieniędzy. Ale trudno. Śmierć dziecka zadecydowała o moim dalszym życiu. Syn, który nie doczekał.

Przy najbliższej bytności w Genewie ponowię wizytę u starego profesora. Gdy zajdzie potrzeba, kto wie, czy nie położę się w jakiejś klinice? Można nie pragnąć ciąży, ale jednak kobieta pozbawiona możliwości rodzenia dzieci jest w połowie tylko kobietą.

Poniedziałek - 5 grudnia

Dzisiaj sprzedali mi w banku na giełdzie resztę moich akcji z dokupu czwartej emisji, zarobiłam około trzydziestu tysięcy, całkiem nieoczekiwanie. Ktoś skupuje na giełdzie.

Nowy list od Czerwonej Łopaty. Wpłacił w moim imieniu u notariusza symbolicznego franka i otrzymał na to pokwitowanie. Wszystkie formalności zostały załatwione w hipotece i wszystkie koszty poniósł... sprzedający. Fantastyczne!

Wtorek - 6 grudnia

Pan Szczytnicki. Bardzo miłe odwiedziny. Zmartwiony złym stanem zdrowia swej siostry. Nie miałam odwagi opowiadać mu sądowych historii.

Liteński naturalnie przegrał sprawę. Sąd stanął na stanowisku podziału wspólnej hipoteki na dwie części, nie wchodząc w to, kto wpłacał pieniądze, natomiast co do drugiej połówki Rudolfa Liteńskiego sąd orzekł, że wobec umowy przedślubnej mam prawo domagać się zwrotu posagowych dwustu tysięcy w ciągu roku od daty uprawomocnienia się rozwodu. Obeszło się „bez prezentowania w sądzie listu starego Liteńskiego do Wajnsztoków. To wypadło nawet bardzo dobrze. Nie przyszło mi na myśl, że byłabym została heroiną opowiadań w kołach prawniczych, rzecz przyschłaby do mojego nazwiska i całkiem niepotrzebnie. Naturalnie sprawa nie jest jeszcze zakończona, krakowski adwokat założył apelację. Ale to już sprawa terminów sądowych dla przewleknięcia sprawy.

Środa - 7 grudnia

List ze Lwowa. Przyjedzie Michał, ale dopiero w drugie święto późnym wieczorem. Pani Baumanowa słabo ze zdrowiem i Wigilia z małą Anną przy choince. Szkoda wielka, pani Baumanowa jako najstarsza w rodzinie byłaby prezydowała na honorowym miejscu. A tak kto wie, chyba ja, trudno bowiem wybierać spośród trzech ciotek. Na krótko przed Nowym Rokiem przyjadą oboje Cielescy.

Jadę w sobotę rano. Przyspieszyłam datę wyjazdu, ale tym razem sam stryj Józef mnie wypycha. Nowym buickiem, Karol i Liza w charakterze pokojówki. Profesor Wydra przyjedzie w czwartek rano, przed Wigilią, która w tym roku przypada w sobotę.

Czwartek - 8 grudnia

Bardzo przyjemna wiadomość. Dwudziestego grudnia przyjadą dwie panie z Hermsdorfu, pani von Goltorpp i Brunhilda. Reszta rodziny spędza święta w Zinnrode u starego Goltorppa.

Wydaje mi się, że już wszystko załatwiłam. Jeszcze po południu polatam trochę, poszukam upominków. Część została wysłana pocztą.

Wieczorem. W południe nie było mnie w biurze. Z Marcinem rozmawiał stryj Józef. Mam dostarczyć profesorowi stu pięćdziesięciu tysięcy złotych gotówką. List do profesora w drodze. Wystawiłam czek. Bardzo się cieszę.

Ciekawa jestem, jak wyglądają Podjaski? To przecież są moje Podjaski!

Jutro imieniny Leokadii, ale tylko w rodzinie, bez wystawy. Sama tak chciała. Dzisiaj nadszedł list z życzeniami od Herty. Ale tylko w tonie uprzejmym, bez serdeczności. Siekiera wojenna jeszcze nie została zakopana. Stara pani Kunicka i pan doktor nie podpisali się, jedynie: Herta z rodziną. Właściwie powinnam pokazać kiedyś w rodzinie część listu ciotki Magdy, ale może lepiej i nie, ponieważ Kunicki wściekłby się o ich głupie dwadzieścia tysięcy. Sprawa już obecnie prawie przyschła, został tylko osad, ale i to przemienie z czasem.

Prezent imieninowy dla Leokadii w postaci czarnego szala przetykanego złotymi blaszkami. Dość to nawet delikatne, lecz waży prawie czterysta gramów. Kiedyś podobał jej się taki szal, szukałam i znalazłam.

Piątek - 9 grudnia

A jednak zebrano się dwadzieścia osób, nie licząc w to domowych. Do godziny pierwszej w nocy, lecz bez kart. Kolacja, moc trunków. Bardzo mieszane towarzystwo. Za kilka godzin trzeba będzie wstać i wsiąść do samochodu. Daleka droga. Na imieniny ustroiłam się bardzo skromnie w różowy kolor, garnitur z rubinami. Nawet Mirescy wysadzili się z prezentami. Muszę pójść do łazienki. Mdli mnie. Nie znoszę obzarstwa, ale jak się gada, to człowiek nie myśli i je, co mu podsuną.

Podjaski - sobota - 10 grudnia

Droga była bardzo ciężka. Dobiliśmy dzięki silnym reflektorom. Podła droga przez Jasło. Tutaj mówi Kaczmarek, że lepiej by to jechać na Krosno, mimo że dalej. Od Żmigrodu dziury i wyboje, szkoda porządnego wozu, ale słaby i lekki by nie przejechał. Ostatnie pięć kilometrów nie nadają się do samochodu. Jutro jadę na sumę do Trzycieskich Gór. Kaczmarek pociesza, z drogami będzie lepiej, gdy spadnie większy śnieg i drogi się uleżą. W każdym razie te ostatnie pięć kilometrów będziemy codziennie przecierać pługiem śnieżnym, inaczej zasypałoby nas na amen. Chwała Bogu, że ciepło i jasno w domu. Ze światłem obchodzą się bardzo oszczędnie, ponieważ motor zaledwie piętnastokonny, z czego trzecią część zabiera obsługiwanie hydroforu. Ale światło elektryczne jest porządne, ponieważ motor na ropę, a nie na wiatrak. Naturalnie w okresie świątecznym motor będzie pracował bez przerwy.

Wszyscy chcieli mi od razu składać sprawozdania. Kaczmarek przyniósł nawet zestawienia kasowe i usiłował mnie zainteresować cyframi. Kondola chciał pokazywać wnętrza, odnowione meble. Kucharz przyszedł mi się pokłonić i powiedział z dumą: - Wszystko przygotowane, jaśnie pani. Takich świąt, jak przygotowujemy w tym roku, od lat nie widywały nasze Podjaski.

Najważniejsze, że łazienka na piętrze działa, trzeba jednak uprzedzać, bo piec węglowy. Na razie nie umieli jakoś rozwiązać sprawy ciepłej wody w umywalni i po staroświecku noszą w dzbankach. Mój pokój na górcie obok tej właśnie łazienki. Dawniej nazywała się ona jedynie „pokojem z wanną” i nosili do niej ciepłą wodę z kuchni. Wystarczyło im, kąpali się rzadko. Na codzienny użytek przynosili do pokoju blaszaną nasiadówkę, kładli ją na dywaniku z linoleum, a później dwie dziewczki dworskie na wyścigi nosiły konewki z gorącą wodą z kuchni. Z taką kąpielą była zawsze tragedia. Liteńscy chodzili do pokoju z urządzoną łaźnią rzymską, ja osobiście nie przepadam za taką parówką i w dodatku brzydziłam się tą izbą, przeznaczoną zasadniczo dla służby dworskiej.

Mój pokój. Wielki, na podłodze dość dobrze odświeżony dywan z majątku szwagra Tuchołki. Na pewno by go nie poznał w obecnym stanie. Pożałowałyby mi go. Z biedą wystarczył na całą podłogę, bo pokój wielki. Na wprost drzwi dwa okna, lecz niewielkich rozmiarów, jak w wiejskim dworze sprzed stu lat. Ściany obite spłowiałą materią, jakoś posztukowali zręcznie i wystarczyło. Kolory popielaty z różowym. Łoże sprzed dobrych dwustu lat, z baldachimem na czterech kręconych słupkach. Nowe muślinowe festony. Łóżko na prawej ścianie od drzwi. W rogu pod oknem, po stronie łóżka, stolik mahoniowy z weneckim lustrem. Stara bardzo sztuka, niby toaletka. Na ścianie z drzwiami, po prawej stronie, staroświecka szafa do sukien. Ciężka, masywna, dostojna w swoim wyglądzie. Olbrzym, nie szafa. Z lewej strony drzwi odpowiednik w stylu szafy, komódka. Na ścianie od łazienki owalny stolik, również mahoniowy, i dwa gobelinowe fotele z wysokimi oparciami. W rogu koło drugiego okna kozetka pokryta jedwabiem. Tylko z jednej strony oparcie wyższe zaokrąglone, właśnie od strony okna. Kolory nie za bardzo, o ile można się zorientować przy świetle, spłowiały żółty, zapewne złotawy. W suficie ampla z kryształów. Pomiedzy stolikiem z toaletką a łóżem stolik nocny, również z innej parafii, ale nie razi. Właśnie na nim

ustawiono mi radiowy aparat na baterię. To już wynalazek mojego Kaczmarka. Bielizna, kołdra, pościel, ale to przysłano już z Warszawy. Ciepło. Pod oknami kaloryfery. W tym pokoju nie rozwalono jednak pieca, stoi odnowiony, w całej swej okazałości, w kącie pokoju. Komódka prawie się o niego ociera.

To była niegdyś sypialnia właścicieli, którzy zjawiali się tutaj „między jednym Wiedniem, a drugim”. Mowa naturalnie o dziadkach Rudolfa Liteńskiego, tancerki Grizzi przezornie nie pokazywano w tych stronach...

Inne pokoje oglądałam jedynie bardzo pobieżnie, chcąc zadowolić abicję pana Kondoli. Sień olbrzymia, całe szczęście, że ogrzana. Na intencję mojego przyjazdu wszystko jest dzisiaj czynne, ogrzewanie i światło. Schody z ciemnego dębu, dość szerokie, lecz niezbyt wygodne. Ściany sieni według pomysłu pana Kondoli, surowe w swej bieli, sufit utrzymany w dawnym stylu z pięknym belkowaniem. Drzewo - jodła w ciemnym, czerwonym kolorze, mocno już ściemniałym od wielu lat. Przez środek sieni biegną świeczniki z łosiowych rogów, trzy w jednym rogu. Takie same świeczniki na suficie sieni na parterze, tylko pięć sztuk. Przerobione na elektryczność po pięć żarówek w każdym świeczniku. Pomimo jednak tych świec dolna sień niezbyt jasna. Sień na parterze o suficie również belkowym obrzeżona jest na wysokość jednego łokcia od podłogi płytami z drzewa. Podłoga z dębowych kwadratów, obramowanych czarnymi pasami, mimo starości lśniąca jest i mocno wywoskowana. Nic dziwnego, podczas przyjęć służyła zawsze jako sala balowa. Chyba z dwadzieścia metrów długości, prawie osiem szerokości.

Na górze korytarze, korytarzyki, w amfiladzie jakby hotelowej pięć pokojów. Labirynt zakamarków. Z tych pięciu pokojów trzy bliższe jako gościnne, następnie pokój dla służby z tabliczką z numerami od dzwonek, w końcu pokój służbowy do spania. W nim na razie umieszczono Lizę i Karola. Wiejska pokojówka śpi gdzieś w innym pomieszczeniu, nie była zadowolona z przywiezienia warszawskiej pokojówki, boć przecież w pojęciu takiej wiejskiej dziewczyny to dyshonor i degradacja/ Widziałam, że spląkała się. Tak to jest na świecie, nawet wśród dworskiej służby bywa arystokratyzm pojęć...

Trzy pokoje gościnne od podwórza zostały urządzone w stylu całkiem nowoczesnym. Po dwa tapczany w obramowaniu ze stalowych rur, trzydrzwiowe szafy z jasnego jesionu, taki sam stolik i dwa fotele, umywalnia. Ściany pomalowane jednostajnym kolorem od listwy podłogowej do przecięcia się z sufitem. Niebieski, różowy i żółty, widocznie nasz technik zapamiętał sobie opowiadania o pokojach w „Acacji”. Podłoga z desek malowana olejną farbą na jasny brąz i wywoskowana jak lustro. Dywaniki w popielatym kolorze, jednostajne. Kawalek – hotelu.

Może prościej byłoby napisać: naprzód był stary dwór, a za nim w tyle duża oficyna z kuchnią i izbami czeladnymi. Później to wszystko przebudowywano i doczepiono różne dobudówki. Na końcu zbudowano nowy dwór, ale właścicielom zrobiło się żal tego, co już było, i nie burzyli starych ruder. I w ten sposób z czasem urosło to wszystko do takiego stanu, w jakim się obecnie znajduje. Ale czy burzyć stare rudery?

Spać. Jestem jednak wymęczona podróżą, a jutro trzeba będzie wstać przynajmniej o siódmej. Kościół, suma, zapewne trochę sąsiadów, być może kilka minut rozmowy z proboszczem. Znam go. Przyjechał po kolędzie w okresie, gdy spędzałam tutaj Boże Narodzenie z Rudolfem. Dyplomata wiejski, udawał, że nie wie, iż braliśmy ślub w protestanckiej kirsze. Nic osobliwego, gruby, lubi dobrze zjeść i wypić, datkami nie gardzi, syn miejscowych chłopów spod Gorlic.

Bije jakaś godzina. Kuranty. A więc udało im się naprawić stary zegar przywieziony z kresowego pałacu? Bardzo ładnie, bardzo miło! Myślałam, że to będzie jedynie dekoracja sieni na piętrze. Stary zegar. Pokazywali mi tabliczkę firmową na tym zegarze. Norymberga z XVIII wieku.

W obu sieniach portrety szlachciców w kontuszach i dygnitarzy w deliach. Kobiety w robronach, suknie z różnych okresów. Portrety dziedziców kresowych, których już nikt dzisiaj nie umiałby nazwać z imienia. Mówią za nich jedynie herby malowane w narożnikach i wytarte napisy. Stare ramy. Na dole zawieszono przeważnie portrety do połowy, na piętrze parę olbrzymich portretów naturalnej wielkości, ramy oparte prawie o podłogę. Wśród nich właśnie ów zegar, który również widział niejedno, ale już w późniejszych czasach, gdy państwo kresowe chyliło się ku upadkowi.

Niedziela - 11 grudnia

Piszę w łóżku pod baldachimem. Na dworze zimno i prószy śnieg. Pada bez przerwy od północy. Podobno dobrze, przetrze się drogi i będzie lżej z jeżdżeniem. Dzisiaj moje psy nie chciały wpuścić Lizy do pokoju. Nad ranem sprowadzili je z leśniczówki, obsuszili i zostawili na straży przed drzwiami. Zmyślne owczarki, weszły do pokoju, lecz nie wskoczyły na łóżko. Położyły tylko głowy na brzegu kołdry, jak by czekały na pogłaskanie. Gdy to uczyniłam, położyły się pod drzwiami, tym razem w pokoju.

Do kościoła pojechałam sankami, ponieważ trudno było ryzykować ciężkim buickiem nawet z łańcuchami na kołach. Mocne siwki wyjazdowe, niewysokie, lecz bardzo wytrzymałe. Nie znam się specjalnie na koniach, lecz to duma mojego leśniczego, sam je wybierał.

Przed kościołem wyplątałam się z dachy, którą również kupili dla mnie tutaj na miejscu. Śmiało usiadłam w kolatorskiej ławce majątku Podjaski. Poprzednio, gdy bawiłam w Podjaskach, wchodziliśmy zawsze przez zakrystię, tym razem weszłam do kościoła głównym wejściem. W dobrą chwilę po mnie weszło towarzystwo z Trzycieskich Gór. Trzy panie, dwóch panów i dwie panienki w wieku dwunastu i czternastu lat. Ukłon pana Trzycieskiego, na razie na tym się skończyło, ponieważ wyszedł ksiądz do ołtarza i wszyscy zajęli się nabożeństwem. Miejscowe zwyczaje. Zamiast kropienia dziedziców święconą wodą podają im kropidło w celu dotknięcia przez nich końcami palców i przeżegnania się. Sto złotych na tackę, ponieważ zbierał sam proboszcz, ksiądz Franciszek Kowal.

Po skończonym nabożeństwie moment niepewności, na razie wspólne wyjście do zakrystii, tam zapoznanie się, a raczej przypomnienie znajomości sprzed dwóch lat. Rozmowa z proboszczem na plebanii, przy butelce wina, którego prawie nie tknęliśmy, i niezwykle proste zaproszenie na obiad do dworu Trzycieskich. Dobrze, że mniej więcej byłam ubrana. Wymawiałam się, ale jakoś nie szło, gdyż zaproszenia były bardzo serdeczne. Pani Trzycieska powiedziała:

- Mój mąż był w Warszawie w gościnie u pani, doprawdy nie można...

Pojechałam. Zabawiłam prawie do wieczora, nasłuchiwałam się różnych opowiadań. Oni nudzą się na wsi i na każdą nowość rzucają się z rękami i nogami.

Trudno opisać, o czym mówiliśmy. Ten drugi pan to szwagier mojego sąsiada, jakiś Tyszkiewicz, ma majątki pod Lwowem. Matka pani Trzycieskiej, jakaś kuzynka w średnim wieku, bez bliższego określenia, w każdym razie pani Węzykowa. Co do dziewczynek zgadłam, uczą się na miejscu, mają nauczycielkę. Atmosfera była niewymuszona. Na razie stanęło na tym, że we wtorek złożę wizytę paniom Stadnickim. Hrabia nieobecny, wraca dopiero krótko przed świętami. W majątku żona i siostra żony. Z rozmowy wynikało, że są przygotowani na moją wizytę.

Byliśmy już dobrze po obiedzie, gdy w Górach zjawił się mój leśniczy z Wilczych Hub, Chwiłowicz. Podobno niepokoił się, a ponieważ zdarzył im się pod ręką i z sankami, pojechał. Od razu domyślił się, że mnie zaprosili państwo Trzyciescy. Rozmowa zбочyła na inne tory, pan Chwiłowicz ma tutaj wielkie уваżanie, honorują go. Pan Trzycieski powiedział mi:

- Pan Chwiłowicz pomagał mi stawiać pierwsze kroki w myślistwie, bo rodzice owijali mnie w watę. Wymykałem się do Podjasek, a tam już hulaj dusza. Liteńskich prawie nigdy nie było na miejscu i pan Chwiłowicz pozwalał mi na to, czego zabraniali rodzice. Już kilkakrotnie próbowałem namówić pana Chwiłowicza do nas, lecz na próżno. Przywiązał się do tamtych stron.

Stary leśniczy ma koło sześćdziesiątki, jego ojciec wychował się od małego chłopca w majątkach Podjaskich. Zagrodowa szlachta, syn obecnego leśniczego studiuje medycynę w Krakowie. Mój leśniczy ma autorytet w okolicy i nie należy w najmniejszym stopniu wtrącać się do jego polowań. Od trzech dziesiątków lat, podobnie jak dawniej jego ojciec, organizuje wszystkie większe polowania w tych stronach.

- A zatem ta strona załatwiona - powiedziałam sąsiadowi - w niczym nie zamierzam zmieniać tradycji tych stron i proszę o to samo.

Do domu wróciłam zakutana w dachę i z obu owczarkami w nogach. Nie ruszały się, jedynie wysunęły pyski na wiatr. Po przyjeździe pozwoliły się wysuszyć, po czym ułożyły się pod drzwiami mego pokoju, bez naprzykrzania się. Spodziewają się, że Baca będzie miała w niedługim czasie pierwsze szczenięta. Jansik jest miejscowy, przyszedł na świat w tych stronach. Bacę przywieziono spod Starego Sącza.

Bardzo wiele wrażeń. Ale mimo to nie pragnęłabym na stałe mieszkać w tych Karpatach. Nudy. Książki, może trochę radia. To nie dla mnie. Państwo Trzyciescy wyobrażali sobie, że osiedlą się na stałe na wsi. W sposób lekki, jakby mimochodem, powiedziałam:

- Ależ nie. Właśnie wyprzedaję realności w Warszawie, likwiduję moje tutejsze zainteresowania, a uzyskaną z tej sprzedaży gotówkę umieściłam w majątku Podjaski. To, proszę państwa, jakaś lokata tylko tezauryzacyjna na razie, trudno bowiem liczyć na poważniejszy dochód. Raczej tereny do polowania dla moich przyjaciół. Właśnie zaprosiłam kilkanaście osób z zagranicy. Moi tamtejsi sąsiedzi i przyjaciele. Wszystko, co będzie łączyć mnie z Polską, to właśnie polowania w tych stronach...

Gospodarze byli zdziwieni, zadali odruchowo kilka pytań. Zgadało się również o Annecy, nie było jednak mowy o tym, co posiadam za granicą i co mnie z nią łączy.

Jutro zrewizytują mnie w Podjaskach. Widziałam, że panie były ciekawe, jak się urządziłam w majątku. Wspomniały tylko, że stałam się przedmiotem ogólnego zainteresowania. Okolica nie dziwi się skupywaniu kawałków ziemi, lecz nie może pojąć urządzenia w nowym dworze kaloryferów.

- Ależ to kosztuje majątek! - powiedzieli.

Gdy Trzycieski dopytywał się o remontowany przeze mnie tartak na terenie Wilczych Hub, powiedziałam szczerze:

- W każdym razie nie mam zamiaru wyrąbać lasu, który nabyłam. Mam tak wiele nieużytków, że Sucholesie potraktuję jako rezerwat. - I roześmiałam się. - Mówił mi mój administrator, że w pobliżu schroniska dla myśliwych znajduje się jeleni szlak. Gdybym wyrąbała ten las, jelenie znalazłyby sobie inne ścieżki, a mnie zależy właśnie na dobrych polowaniach.

Obecnie, gdy odkupiłam Wilcze Huby, mój leśniczy namówił Kaczmarka na odnowienie starej leśniczówki i przeniósł się w te pędy na stare śmieci. W starej leśniczówce urządzono obecnie cztery pokoje dla moich gości, podobno bardzo wygodne pomieszczenia. Jutro przed południem pojedę obejrzeć to wszystko na własne oczy.

W starej leśniczówce mam zamiar umieścić naszą młodzież, chłopców, bo dziewczynki zostaną koło mnie w nowym dworze. Do towarzystwa dam im Michała, on się nie obrazi, będzie w swoim wesołym żywiole. Leśniczówkę w Podjaskach po Chwiłowiczu zajął częściowo Kondola z żoną i dzieckiem, dano im jakąś starszą gospodynię wiejską do pomocy. Tam również są cztery pokoje gościnne po dwa łóżka i gospodarstwo z jedzeniem na miejscu.

Umieszczę tam szoferów i trzy samochody, bywało tak zawsze za czasów Liteńskich. Garaż przy dworze z trudem mieści tylko trzy samochody, natomiast pod ręką jest warsztat z kowalem, który podobno czasami wykonywał drobne naprawy. Kaczmarek pamiętał o zapasie benzyny na wszelki wypadek. Dwie pary nowych sanek, naprawili również dawne dwie pary po Liteńskich.

Szczegóły, szczegóły! Drobne prezenty - to wszystko wykonanie moich zleceń przesłanych ze Szwajcarii. Trzy świtki, jak oni tutaj nazywają, wyszywane, skórą na zewnątrz dla dziewczynek, także same kożuszki do pasa dla wszystkich naszych chłopców, nie wyłączając Sierozki. Podawałam rozmiary mniej więcej na oko, ale chyba dobrze wyjdzie? Cała młodzież będzie jednakowo ubrana, ponieważ świtki i kożuszki pochodzą z tej samej pracowni. We wtorek mają pojechać do Jasła i kazać zrobić czwartą świtkę dla mojej Anny. Może zdążą przysłać ją przed świętami. Kto wie zresztą, czy nie przywieziemy małej Tuchołkówny do Podjasek?

A teraz pokój, w którym mam zamiar umieścić Mr Foxa. Naprzeciwko mojego, po drugiej stronie sieni. Garnitur mebli hebanowych, bardzo starych, w stylu zbliżonym do gotyckiego. Inkrustacje z masy perłowej. Stół na jednej nodze z podparciami na cztery strony, czarna okrągła płyta z marmuru, pęknięta przez środek, ale spojona klamrami od spodu. Trochę wyszczerbiona, ale sprzed wielu lat i oryginalna. Cztery jednakowe fotele, pod ścianą także kanapka na dwie osoby. Okrągły stół dokładnie na środku pokoju.

Z prawej strony od drzwi, wzdłuż całej ściany, zasłona na kółkach do przesuwania i podwieszona prawie pod sufitem. Za zasłoną łóżko pod ścianą, a bliżej drzwi staroświecka komódka z szufladami, na niej utensylia do mycia, dzbanek na wodę, miednica, na podłodze wiadro. Stare wyszczerbione sztuki, chyba sprzed stu lat. Saskiego pochodzenia. Blisko drzwi w rogu pokoju stara szafa, jakoś szczęśliwie dopasowana do hebanowych mebli. Pod oknem na ukos szafeczka z biurkiem, również w czarnym kolorze. Na ścianach rozwieszono - gobeliny. A raczej szczątki kilku gobelinów. Zajmują one jednolicie wszystkie ściany, od podłogi do sufitów. Jakieś pomieszane sceny z mitologii, boginie dobrze odkarmione, rycerze w zbrojach gdzieś chyba z Quinquecenta.

Zasłona ze spłowiałego adamaszku, czerwień z kwiatami, zeszyta z kilku kawałków złupionych ze ścian któregoś z pokoi w kresowym pałacu. Nie wiadomo dlaczego w tym pokoju zawieszono na ścianie fragmenty zbroi rycerskiej, półpancerz, hełm i dwa rapiery na krzyż. Wydaje mi się, że sprzed jakichś trzystu lat. Ale umieszczenie tego na ścianie wypełnionej gobelinem chyba niezbyt udane. Prosiłoby się o słuckie pasy...

W oknach okiennice od wewnątrz, takie jak u mnie. Bez firanek, chyba przez zapomnienie? A może celowo - muszę o to zapytać. Dywan zajmujący całą podłogę bez reszty został zeszyty bardzo zręcznie z kilku kawałków. Całość wygląda dobrze.

Świecznik czteroramienny, niezwykle prosty w linii, wykonany z czworokątnego żelaza, skręconego jak strudelki. Podobno według pomysłu Kondoli zrobił miejscowy kowal, mistrz do wszystkiego. Ludzie z gór są zazwyczaj uzdolnieni, mają wycucie sztuki. Widać to po starych kasetonach na suficie sali stołowej na parterze.

Ano, teraz ta sala stołowa. Ciemna, rozświetlona jedynie dwoma oknami od frontu budynku. Na wprost drzwi z sieni znajduje się część portretowa. Portrety Podjaskich, odświeżone i od nowa wyverniskowane. Naokoło sali boazeria z dębu. Powyżej surowa jednostajna biel. Podłoga z kwadratów, na odmianę czarnych, w jaśniejszym obramowaniu. W każdym z nich rodzaj gwiazdy ostrokończystej, z odcieniami wykonania. Stół. Długi, przez całą salę, a raczej ciąg kilkunastu jednakich stołów, które można ustawić w dowolny sposób. Trzydzieści sześć równych krzeseł, wysokie oparcia, ponad głowę, stołki masywne, z dębu, szerniałe. Siedzenia i oparcia wyłożono świeżą skórą. Nad górnym brzegiem oparcia wykonano herby Jamsborg-Hermsdorfów.

Koniec sali przylega do sieni służbowej, stąd w lewo połączenie z sienią dworu, w prawo urządzenia WC, dalej przejścia do kuchni dworskiej. W głębi sali staroświecki wysoki kredens, prawdziwa machina, z dziesiątkiem szuflad. Jedyna to pamiątka z czasów rodziny Podjaskich. Zbyt była ciężka, by ją mógł zabrać chyłkiem i w pośpiechu stary Liteński. Klucze w rękach dworskiej gospodyni. W sieni służbowej stoją osobno szafy na bieliznę i porcelanę.

Dzisiaj modliłam się o śnieg, dużo śniegu. Na tych dzikich drogach pomagają dopiero pługi śnieżne, ale trzeba codziennie przecierać drogę, ponieważ w nocy napada i na rano zasypie. Starzy ludzie w Podjaskach wspominają właśnie takie czasy, gdy śniegi zasypały, a wilki podchodziły aż pod okna w starym dworze. Nomen omen! Wilki, Wilcze Huby i rycerz Wolfenhagen, od którego zaczęła się historia rodziny Utty, ostatniej z rodu Hermsdorf pod Stralsundem...

Poniedziałek - 12 grudnia

Z panem Chwiłowiczem w górach. Dwie gajówki oraz domek myśliwski na małej przełęczy za halą na Bełtuchlach. Wszystko zagospodarowane. Na hali stary owczarz, który dobrze pamięta jeszcze starych Liteńskich, dziadków Rudolfa L. Pokręciło mu się w głowie i podejmował mnie pod kolana, wyobraził sobie, że jestem krewną Podjaskich. Trudno. W domku myśliwskim obsadzony strzelec, podobno bardzo dobry, z żoną, która dawniej pracowała na dole we dworze. Czysto, bardzo czysto, dom z grubych bali, klitki do spania, ale równocześnie duża izba, bogato ozdobiona trofeami myśliwskimi, masywny stół i ławy, miejsce dla trzydziestu osób przy stole.

I rzeczywiście - ów ciąg jeleni, dróżka, którą jelenie wędrują od wieków z węgierskiej strony na polską. Do granicy z dziesięć kilometrów, wszystko lasy i pustkowia. Druga strona zbocza należy do de Gentilsów, ale do ich siedziby daleko, gdzieś dobrze pod Duklą. Dwadzieścia kilometrów po wertepach. Doszliśmy z Chwiłowiczem i psami aż do naszej granicy. Mała ścieżyna, po jednej stronie słupek z tabliczką: Dominium Margrabiów de Gentils et Mangalerie, no i naturalnie spłowiąły od wiatru i deszczów obrazek herbowy. Miecz ostrzem do góry, żółte pasy, chyba na niebieskim polu? U góry korona i nic więcej, ale za to bardzo potężna ta korona. Po drugiej stronie ścieżki inny słupek, tablica, u góry obecne herby Podjasek.

Zrobiłam staremu leśniczemu przyjemność i na tę wycieczkę włożyłam strój myśliwski. Zieleń, guziki z rogu, spódniczka po kolana, sznurowane wysokie buty. Zielony kapelusz z kitką, a nawet dla parady angielska dwururka. Przez ramię torba i dla unowocześnienia tradycyjnego stroju - mocna wiatrówka.

Siedzieliśmy potem w domku myśliwskim dobre dwie godziny, usługiwała nam żona strzelca. Myśliwskie śniadanie, w blaszance pana Chwiłowicza znalazła się dobra dereniówka, przyjął poczęstunek, wypiałam dwa spore kieliszki.

Dowiedziałam się różnych tajemnic o sąsiadach, opowiedziano mi o cieniach mojego górskiego królestwa, ponieważ jego blaski leżą jedynie w możliwości urządzania dobrych polowań. Według pana Chwiłowicza w pierwszych kilku latach nie mogę liczyć na wyższy dochód ponad cyfrę procentów od dawnych hipotek. Radzi dokupić trochę ornej ziemi od strony północnej, po lewej stronie drogi do kolei. Ano, w tym będzie już głowa mojego Kaczmarka, on i bez tego wrywa się właśnie w tamtym kierunku.

Starłam się natchnąć leśniczego ideą dobrego obsłużenia w lesie starego Mr Foxa, opowiadałam naturalnie więcej o jego bogactwach w Indiach niż w Europie. Podkreśliłam, że specjalnie mi na tym zależy. Mówiłam o sir Williamie jako o moim sąsiedzie, a stary Chwiłowicz tylko słuchał i słuchał. Widziałam w jego oczach nieme pytanie i niemal zostałam zmuszona powiedzieć mu: w Szwajcarii...

W drodze powrotnej wstąpiłam do starej leśniczówki. Zlustrowałam wszystko, obejrzałam nawet psy gończe. Poznałam panią Chwiłowiczową. Wszystko to zajęło mi sporo czasu, później był obiad, po obiedzie odwiedziły Trzycieskich. Przyjechali trochę wcześniej. Dobrze się stało, że zaraz po obiedzie ogarnęłam się i przebrałam, ponieważ obiad jadłam pospiesznie w stroju myśliwskim, na który moja Liza patrzyła ze zdumieniem.

Goście naturalnie oglądali wszystkie zmiany we dworze. Interesowały ich przede wszystkim kaloryfery, widziałam, że byliby chętnie zwiedzili kotłownię. Głupio mi było, ponieważ nie umiałam zaspokoić ich ciekawości, ile kosztowało centralne ogrzewanie. Miałam też sposobność powiedzieć:

- Portrety, proszę państwa, w obu sieniach i w pokojach pochodzą z kresowego pałacu, który jeden z moich krewnych nabył przed kilku laty i którego niestety nie umiał utrzymać w swym posiadaniu.

Pan Trzycieski od razu zagadał o portretach, które widział u mnie w Warszawie, pytając, dlaczego nie przywiozłam ich tutaj na wieś. Trzeba było znów tłumaczyć, że w najbliższych miesiącach wyjeżdżam na stałe za granicę. Żalowali, wyrażali zdziwienie.

Na takich głębokich wsiach wizyty sąsiedzkie, nawet pierwsze, nie są odmierzane na kwadransy. Z wizyty zrobił się podwieczorek, były dłuższe rozmowy, które zjechały wkrótce na tematy finansowe:

- Mówił mi pan Chwiłowicz, że nie powinnam ścinać lasów, które ostatnio nabyłam od państwa - uśmiechnęłam się. - Naturalnie ani mi w głowie. A równocześnie nie załatwiliśmy jeszcze do końca tamtych spraw. - Spojrzeli na mnie zdziwieni. - Mój leśniczy doradzał mi dzisiaj spłacenie hipotek rodzinnych przed bankiem. Gdyby zatem takie załatwienie sprawy dogadzało państwu...

Od tego momentu rozmowy nabrały ciepła. Co do siostry pana Trzycieskiego - to zaraz, a ze szwagrem załatwię w najbliższym czasie. Gdy wieczorem opowiadałam o tym Kaczmarkowi, ten zmarszczył się prawie i powiedział:

- Pan Trzycieski ma obecnie trudności gotówkowe, sprzedaż Sucholesia podratowała go nieco, ale majątki w tutejszych stronach to worki bez dna. Oni wszyscy pracują tylko na procenty bankowe. Jestem przekonany, że pan Trzycieski zatrzyma, pieniądze od pani i da w zamian szwagrowi inną hipotekę na swoich terenach.

Przed wyjazdem sąsiedzi ofiarowali mi się z pomocą, gdyby zaszła potrzeba ulokowania gości. Podziękowałam grzecznie, może się zdarzyć.

Tyle o dniu dzisiejszym. Zmęczyłam się, widocznie nie jestem przyzwyczajona do chodzenia po górach i w śniegu. Dzisiaj na szczęście była ładna pogoda. Sporo śniegu, temperatura, jak to mówią, mroźna, ale w południe przeglądało trochę słońca. W jaki sposób psy orientują się w ludzkich stosunkach? Dlaczego we mnie po kilku dniach widzą panią? Baca jest jakby flegmatyczna w usposobieniu, Jansik natomiast wesoły i awanturnik.

Wtorek - 13 grudnia

U Stadnickich zastałam dość liczne towarzystwo. Może się nawet umówili. Pojechałam samochodem, ponieważ była dobra pogoda i drogi jakoś możliwe. Ubity śnieg i już wyjeżdżone koleje. Zresztą za daleko na konie, prawie piętnaście kilometrów. Z wizyty wróciłam bardzo późno. Zrobiła się kolacja. Nie ma czasu na pisanie. Tylko kilka zdań. Pani Trzycieska na boku prosiła mnie o ewentualne załatwienie sprawy hipoteki pięćdziesięciu tysięcy możliwie jeszcze przed świętami - gdyby się udało. Rozumiem to wszystko doskonale. Ponieważ nie przewidywałam takiej okazji i nie miałam przy sobie książeczki czekowej, powiedziałam, że jutro rano przyślę im czek. Pani T. była zdziwiona moim pośpiechem i takimi możliwościami.

- A sprawa z hipoteką? - pytała.

- To później - odparłam - nie ma potrzeby spieszyć się, po świętach...

Jutro wyślę z tym czekiem Chwiłowicza. Na wizytę pojechałam raczej bardzo skromnie. Bez biżuterii, jedynie sygnet prababki i siedem karatów Kreissa, ponieważ te, podobnie jak butony od Zajlicza, są idealnie czyste. Naturalnie w paryskiej kreacji. Obracałam się dobrze, z uśmiechem, ale ze świadomością, że jestem z bardziej realnego świata niż oni. Mają u siebie jakiegoś starego gawędziarza, którego tytułują wujkiem. To „wujek na kółkach”, ale bardzo dzielny staruszek, sam kieruje swoim wehikułem i jedynie przy stole pomaga mu lokaj. Właśnie koło niego posadzono mnie przy stole, a ponieważ staruszek wyżywa się w herbach, od razu zaczął wypytywanie. Zaspokoiliam jego ciekawość:

- Nazywam się, panie hrabio, nieco dłużej, ale równocześnie jestem członkiem zarządu w spółce akcyjnej i takie długie nazwisko byłoby niepraktyczne w użyciu. A zresztą - roześmiałam się tak wesoło, jak tylko na to pozwalają zwyczaje w tej sferze - szlachcie w Polsce nie było wolno zajmować się handlem, nieprawdaż? A zatem...

Moja wesołość była w dobrym guście, z drugiej strony obok mnie siedział ów Tyszkiewicz, poznany w niedzielę, rozmowa ożywiła się. Wujcio jednak naprawdę ramol, ponieważ w pewnej chwili palnął:

- Zawsze mówiłem, że nasz kuzyn Liteński nie jest wart takiej żony jak pani, sąsiadko.

A że rozporządza tubalnym głosem, wszyscy przy stole zwrócili na te słowa uwagę.

Pani domu zagadała natychmiast o czymś innym. Po dłuższej chwili staruszek pochylił się ku mnie:

- Niech się pani nie gniewa na mnie. Trudno staremu zorientować się we wszystkich nowościach w rodzinie. A ten Rudolfek to zawsze był łobuz i nicpoń. Nawet nie wiadomo, kto większy, on czy jego ojciec. A znałem, znałem, jeszcze w Wiedniu. Właśnie dobrze, że go pani przepędziła.

Środa - 14 grudnia

Nie wstawałam dzisiaj z łóżka. Zawsze to wydarza mi się nie w porę. Pod wieczór w dodatku bogowie przywieźli mi gości. O Leokadii wiedziałam, ale pan Henryk Wajnsztok? Z Leokadią już rozmawiałam, z Wajnsztokiem dopiero jutro rano.

Z Warszawy sporo wiadomości. Listy. Chicago i Sao Paulo. Wspólny list od Matyldy i Elzy z Cannes. Matylda nawet i przyjechałaby, ale córki, córki! Bawi u nich znów ta Zofia Gütschow znad jeziora Marklissa. Zamek Tschocha.

Piątek - 16 grudnia

Dobrze, że przyjechała Leokadia. Zdjęła mi od razu z głowy moc kłopotów gospodarskich. Ona się zna na tym.

Interes z Wajnsztokiem. Gentilsowie wysłali go do Warszawy w sprawie sprzedaży drzewa, chodzi o wyrąbanie przeszło stu hektarów w ciągu dwóch lat. Interes na sześćset tysięcy złotych. Leokadia mówiła, że stryj Józef radzi mi kupić ten kawałek lasu.

- No cóż - śmiał się - skoro Anna ma taką szlachecką manię polowania.

Mój Boże! Przecież na polowaniu u pana Szczytnickiego podniosłam do góry lufę na znak, że nie będę strzelała do łani, która wyszła mi pod strzał. Stała jak tarcza na strzelnicy. Stojący za mną strzelec pana Szczytnickiego niemal z pogardą spojrział mi w oczy, gdy łania pogalopowała za linię. Ale było umówione, że nie wolno strzelać w tył, i łania uratowała życie.

Na drugi dzień zastrzeliłam lisa. Lis przechera śmigał chyłkiem popod drzewkami, ale dostrzegłam. Jakoś w ten sposób podratowałam sobie opinię myśliwego. Naturalnie Rudolf z miejsca zrobił mi dziką awanturę o łanię.

Dałam Wajnsztokowi samochód, tatrę, i pojechał do posiadłości Gentilsów. Wrócił tego samego dnia i przywiózł list adresowany do: Szan. Pana Administratora Majątku Podjaski.

Jutro każę Kaczmarkowi napisać odpowiedź na blankiecie z nagłówkiem: Zarząd Dóbr Podjaski tej treści, że właścicielka poleciła odłożyć sprawę do Trzech Króli, ponieważ chwilowo jesteśmy zajęci przyjmowaniem gości zagranicznych.

Ano zobaczymy. Wajnsztok przywiózł wiadomość, że w majątku panów de Gentils bawi... pan pułkownik Liteński. Wyobrażam sobie, co się musi w nim dziać, gdy widzi, a raczej słyszy o moich ostatnich kupnach.

Sobota - 17 grudnia

Od samego rana odwiedziny sąsiada Trzycieskiego. Przyjechali w trójkę. Szwagier i siostra. Siostra z podziękowaniem za gotówkę, szwagier ze zgodą na spłatę. Uśmiełam się i zresztą śmieliśmy się wszyscy. Zatrzymałam na obiedzie, częstowałam koniakiem, jakiego dawno nie podawano w Podjaskach. Było bardzo zręcznie z Leokadią. Ciotka. W sam raz z fumami, nauczyła się ich w Górkach. Goście ciekawie rozglądali się po sali stołowej, byli zaskoczeni obecnością portretów Podjaskich.

- Nie oczekiwaliśmy czegoś podobnego, przecież Podjascy to byli nasi najbliżsi sąsiedzi i krewni, przez miedzę - powiedział sąsiad. - Skąd pani wzięła te portrety? - Byłam zmuszona opowiedzieć o kupnie i o tym, że u krakowskiego kunsthandlera nabyłam tylko te portrety, lecz odmówiłam kupna innych oraz mebli.

Rozmowy były niewymuszone, oglądali herby na krzesłach, wysłuchali opowiadań o pałacach na kresach. Mówili, że dwór dopiero obecnie odżył po wielu latach zaniedbania.

Leokadia zdjęła mi z głowy wielki ciężar. W stosunku do mnie byli onieśmieleni, a obecnie wszyscy od razu walą do niej po dyspozycje.

Dzisiaj był list z Rabki od pani Woźnikowej. Mała Anna dobrzeje z każdym dniem. Obecnie tęskni do domu i do sióstr, zrozumiałe, pierwszy raz w życiu jest tak daleko od rodziny. Kto wie, czy nie przywiezę jej do Podjasek. Leokadia również jest za tym. Pojutrze, w poniedziałek, zjawi się u nas Paryż i dziewczynki. Około południa wysyłamy samochody do Jasła.

Niedziela - 18 grudnia

Nie ma czasu do pisania. W południe zjawił się samochodem pan Szczytnicki. Strzelec i dwa psy do polowania. Prawie siadaliśmy do stołu. Przyjechał wcześniej, nocowali po drodze w Krakowie. Zawołał zaraz przy powitaniu:

- Jak to dobrze, Anno, że pani kupiła te poletka nad Beltuchłami, nie wyobrażałem sobie, że kuzyni Trzyciescy kiedykolwiek sprzedadzą ten ciąg jeleni na górze. Wszystkie bowiem porządne polowania u Liteńskich były oparte właśnie na tym ciągu.

A w sprawie pp. Gentilsów powiedział:

- Przyszła koza do woza, oni zawsze zadzierali nosa, nie wiadomo tylko dlaczego.

Poza tym ogólne urwanie głowy. Telegram od sekretarza pana Focha, że strzelec z czwórka psów zjawi się jutro po południu w Jasle, prosi, aby go odebrać i przewieźć do majątku. A jutro przyjeżdżają nasze panie z Paryża! Ale to jest już na głowie Karola, ja muszę zabawiać pana Benedykta. Na razie wysłuchuję różnych komplementów. Powiedziałam mu otwarcie:

- Ależ, wujku Benedykcie, ja już jestem za stara na takie komplementy - na co usłyszałam jakby westchnienie starszego pana:

- Szkoda, szkoda, że pani nie jest jeszcze starsza, oświadczyłbym się... i...

- Nie zostałamby przyjęty - uśmiechnęłam się - małżeństwa niszczą zazwyczaj przyjaźń.

Roześmieliśmy się wszyscy. Atmosfera była lekka i zaszarżowałam:

- Niech pan lepiej oświadczy się mojej ciotce Leokadii, nareszcie będę miała prawdziwego wujka!

Pan Szczytnicki spojrzął kolejno na nas obie, a po chwili rzekł:

- To byłoby trudne do zrobienia, nasza kochana pani Leokadia nie chciałaby mnie, u niej zawsze byłbym już za stary.

Śmiałyśmy się w dalszym ciągu. Wieczorem Leokadia przyszła do mojego pokoju i usiadła na brzegu łóżka.

- Mogłabyś wyjść za niego - powiedziała. - Stary miałby trochę pociechy, to wszystko nie trwałoby długo. Zresztą? - machnęła ręką. - Tacy mężowie nie stawiają młodym żonom zbyt wielkich wymagań. A swoją drogą pan Szczytnicki posiada parę milionów. Można by na przeżycie...

Oj, Ratajezakówna! Głupie to było gadanie i nic nie odpowiedziałam. Leokadia nie zrażona moim milczeniem zauważyła smętnie:

- Nie zawsze wystarczają sami tylko kochankowie - i ucałowawszy mnie w czoło, wyszła z pokoju.

Nie potrafiłabym. Do tego byłaby zdolna jedynie Leokadia. Przyszła mi na myśl owa scena podpatrzona w pokoiku przy ulicy Młyńskiej. Nie, nie chcę do tego wracać.

Poniedziałek - 19 grudnia

Radość i radość. Trudna do opisanie. Pierwsza hałaśliwa kolacja, dziewczynki rozlokowywane. Chciały od razu przebierać się, gdzieś czytały o przejażdżkach sankami przy świetle pochodni, A to dobre! Pomimo wszystko to bardzo ciasny dom. Trudno wszystkich rozlokować, ale panie same tak zdecydowały. Ciotka Temmi w mocno staroświeckim pokoju obok pokoju przygotowanego dla Mr Foxa, z oknem na łamania dachowe starego dworu.

Wszystkie trzy dziewczynki w jednym z nowoczesnych pokoi. Wstawiono tylko amerykańkę, na dzień będą mieć kanapę do przyjmowania gości - tak mi powiedziały. Głupie trzpioty. W sąsiednim pokoju Patrycja i Elza. W następnym na razie sama Leokadia, ale pewnie i jej wkręcą jakąś towarzyszkę.

Służba nie przyzwyczajona do dzieci, nadskakuje ze wszystkich stron. Marta służy za tłumaczkę. Ciekawe. Starsi usiedli na jednym końcu stołu, dzieci na drugim, bliżej kuchni. Mała Marta małpuje na razie i przewodniczy na tamtym końcu. Jaka mina, nie poznaję mojej przybranej córki. Trzydzieści lat skończy w styczniu. Mój Boże, jak ten czas szybko leci. Ja w jej wieku byłam zahukanym popychłem w domu ciotki Katarzyny, wyjechałam na święta do Wąbrzeźna, starałam się nikomu nie wchodzić w drogę. Siedziałam gdzieś w kątku, aby nie przeszkadzać starszym siostronom i bratu, który nie zawsze był spokojny. Czasami wczepiał się w moje włosy i ciągnął mnie za warkocze. A ja byłam cicho i tylko pochlipywałam w ukryciu. Przynajmniej moja Marta ma lepiej ode mnie. Ja wygrałam na loterii życia sporo pieniędzy, ona wygrywa młodość i radość! Może zdołam uchronić ją od tych rozczarowań, jakie mnie się przydarzyły?

Jutro rano mają przyjechać Hornowie. Chłopców umieścimy w leśniczówce u Chwiłowiczów. Mieszka tam już strzelec Mr Foxa, Anglik, mówi słabo po niemiecku i francusku. Psy w klatkach, dwa duże kufry, dobrze, że oprócz sanek posłali ciężarówkę, zresztą sanki były zbyt ciężkie, ponieważ strzelec nie chciał rozstać się ze swoim myśliwskim bagażem. Podobno cudak, ale jeździ ze swoim panem po całym świecie, nawet do Indii. Zorientowali się i samochód wysłali kolejną do Katowic, tam przesiądzie się ze sleepingu Mister Fox. Dobrze, że obecnie codziennie przecieramy drogę pługiem śnieżnym. Kaczmarek narzeka, szkoda mu koni. Ale trudno.

Już widzę, co to będzie jutro. Dzisiaj wszystkie trzy dopytywały się, czy są u nas dubeltówki. Kozy. Ciotki wyposażyły je w nowy sprzęt narciarski. Gdy im się znudzi starsze towarzystwo na dole, wyślemy całą młodzież w górę na Beltuchle, tam będą miały raj ze śniegiem.

Niewiele co rozmawiałam z paniami, ponieważ zaraz po kolacji poszły spać. Od Elzy jedynie usłyszałam, że Marcin ma obecnie ciężkie dni, podobno sytuacja na świecie mocno

się komplikuje i Bracia mają moc kłopotów. Marcin ma zjawić się dzień przed Wilią i zaraz w drugie święto odjedzie z powrotem do Genewy. Ważne narady. Była nawet mowa o tym, że może w ogóle nie przyjechać.

Dziewczynki zachowywały się jak u siebie w Annecy. Tak mi powiedziała Ksenia. Podobno w internacie nie kto inny, tylko właśnie moja Marta przewodzi we wszystkich psotach. Z francuskim dobrze. W samą porę umieściłam ją w internacie.

Wtorek - 20 grudnia

Leokadię mam u siebie w pokoju. Jej pokój zajęły obie Margot. W nogach łóżka postawiono amerykańkę, bardzo wygodnie na niej, resztę mebli przesunięto bliżej ściany. Rezyduję właśnie na tej amerykańce.

Dopiero obecnie spenetrowałam, że naprzód postawiono nowy dwór cokolwiek odsunięty od starego, później zrobiło im się żal i połączyli oba dwory ustawione do siebie pod kątem prostym. Z tego połączenia powstał ów pokój z czarną ceratową kanapą do spania i z takimiż fotelami. Nazywa się to fajczarnią i od dawnych czasów służyło jako spelunka do gry. Tych mebli nie zabierali Liteńscy, bo też i nie było co zabierać. Przesiąknięte jest to wszystko na wylot fajką i cygarami. Spelunka z małym oknem na świat, ale też do takich celów okno nie było potrzebne. Zresztą nie wiadomo, dlaczego właśnie to okno jest zakratowane.

Psy powitały dziewczynki bardzo przyjaźnie. Marta od razu powiedziała:

- Jansik będzie mój, Baca jest dla mnie za smutna.

Dzieciństwo chodzi własnymi ścieżkami. Dobrze przynajmniej, że nie powiedziała: - A Baca dla ciebie, matko Anno!

Nie. Gaszę światło!

Jutro generalne oglądanie mojego górskiego królestwa. Drugie śniadanie w leśniczówce u chłopców. Już zostały wydane odpowiednie dyspozycje. Jak Marta przyjmie fakt posiadania takiego majątku?

Środa - 21 grudnia

Rewizyta Stadnickich, tym razem obok pań również i sam Stadnicki. Bez kwadransa towarzyskiego, blisko trzy godziny. Pan Benedykt Szczytnicki jako solidna firma w ich oczach. Za trzy dni Wigilia, o mój Boże, oby tylko dobrze wypadło! Jutro wczesnym rankiem wysyłamy samochód do Rabki po małą Annę. Marta rozstrzygnęła jednym słowem. Wszystkie trzy napierały się z jechaniem. Pojechał z nimi Kaczmarek, ma coś do załatwienia po drodze. List do obu pań z zaproszeniem, ale chyba przyjedzie tylko jedna z nich. Przecież w „Magdzie” sezon. Jutro zjawi się Mokotów i profesor Wydra, być może stryjostwo Józefowie. Urwanie głowy. Żeby nareszcie już wszyscy przyjechali i urządzili się w pokojach. Później pójdzie łatwo i składnie.

Towarzystwo Leokadii w pokoju nieszczególne. Zwierzenia, a ja akurat nie mam serca ni głowy do zwierzeń w takim momencie.

Czwartek - 22 grudnia

Cała Warszawa w komplecie. Trzy samochody. Ponadto Wirewicz przywiózł z sobą rumuńską hrabiankę. Bardzo miło, może dobrze, wyobrażam sobie, że nie tylko dla Wigilii i dla polowań, ale z nowymi interesami. Nie chciałabym prowadzić pensjonatu, nie mam do tego ani głowy, ani cierpliwości. Młodego Wirewicza podrzucano od razu sankami do leśniczówki. Wirewiczowie w jednym pokoju, Zosia z siostrą w drugim. Hrabiankę von Falkenhorst umieszczono w tym samym domku, po drugiej stronie, czwarty pokój zajmą Marcinowie. Stryjostwo Józefowie w pokoju Kaczmarka, który się ścieśnił do jednego pokoju, obok nich w gościnnym pokoju starego dworu pani Horodyńska, ponieważ to ona przyjechała z Anną. Pani Woźnikowa zajęta pensjonatem.

W małym domku bardzo wygodnie, brak jedynie kaloryferów, ale piece są dobre i pan Kondola przyłożył i tutaj swoją artystyczną rękę.

Profesor Wydra we frontowym pokoju nad filarkami. Bardzo wygodnie. Pan Szczytnicki również we frontowym pokoju, po stronie Mr Foxa. Brakuje już tylko Marcinów, starego Foxa, obu pań z Hermsdorfu i Sieriożki z Londynu. Wszyscy zjeżdżają jutro w południe. Panie z Hermsdorfu w pokoju frontowym obok mnie, odpowiednik pokoju pana Szczytnickiego.

Czy aby wszystko się uda? Dobrze, że jutrzejsza kolacja będzie jakąś próbą generalną do Wilii. Trzydzieści kilka osób do stołu. Przed dwoma laty również zasiadaliśmy w podobnym komplecie, ale to było towarzystwo z trzeciej ręki, hałaśliwe, legionowe, kompania pijacka i karciana obu panów Liteńskich. Wigilia skończyła się kartograjstwem. Rudolf przegrał moje cztery tysiące, na drugi dzień stary Liteński odebrał gościom trzy tysiące, Rudolf dołożył jeszcze dwa. Wszystko naturalnie obciążało moją torebkę. Niezależnie od tego osobno finansowałam urządzenie tych świąt kwotą dziesięciu tysięcy, złożoną do rąk mojego teścia, który certował się przy tym z miną starego komedianta. Ale wziął. Nad ranem pierwszego dnia mąż zwałił się do mojego łóżka i potraktował mnie jak dziwkę.

Jak to wszystko wyda się Mr Foxowi?

Piątek - 23 grudnia

Rano zjawił się u mnie Karol Petras i powiedział:

- Resztę ja załatwię, niech panią dyrektor o to głowa nie boli. Dzisiaj w nocy ustawimy w sali stołowej choinkę, przygotujemy również choinkę do pokoju panienek. O przyjazdy zagranicznych gości proszę się nie martwić, tutejsi ludzie przepowiadali na dziś pogodny dzień. Rolls-royce sir Williama nie utkwi po drodze.

I wszystko odbyło się w porządku. Kucharz pomimo jutrzejszej Wigilii już dzisiaj zdał egzamin na celująco. Od dzisiejszego dnia przeszliśmy na francuski styl podawania posiłków. Obiad o wpół do ósmej wieczorem. Drugie śniadanie o drugiej, mniej więcej to samo, co na obiad, lecz bez zupy. Wieczorem uroczyście, od jutra w wieczorowych strojach. Będzie rewia mód, ponieważ wszystkie panie z kuframi.

Hermsdorfskie kuzynki z zaciekawieniem przyglądały się obu sieniom i sali stołowej. Na razie do stołu podają wszystkie trzy pokojówki i stary lokaj w granatowej liberii ze srebrem. Ale on pilnuje raczej podawania wina u głowy stołu. Od jutra przybędzie tutejsza dekoracja. Dwóch strzelców w zielonych mundurach z blachami herbowymi na piersiach, w Podjaskach zawsze w ten sposób podawano do stołu. Moje niemieckie kuzynki były zdziwione, gdy siadały do stołu. Obie spojrzały na herby umieszczone na krzesłach, później na siebie, a następnie na mnie. Uśmiechnęłam się, one również.

Od dzisiaj ustalił się ceremoniał siadania przy stole. Ja u szczytu, obok mnie z lewej strony wolne krzesło dla gościa, który jest w drodze - taki zwyczaj miejscowy. Po prawej stronie Mr Fox, po lewej za wolnym krzesłem - pan Szczytnicki. Dalej po obu stronach stołu w linii Mr Foxa i pana Szczytnickiego kolejno najbardziej godni i najstarsi goście, potem coraz młodszy, wreszcie u przeciwległego szczytu - dzieci. Małą Annę wzięłam na razie pod swoje skrzydła i umieściłam obok siebie na nie zajętych miejscach, ponieważ dziecku było trochę smutno. Jutro usiądzie razem z dziewczynkami, które zresztą już dziś pod koniec kolacji podeszły i zabrały ją do siebie. Umówiliśmy się, że to tylko na razie do jutra, później każdy będzie siadał, gdzie zechce, coś w rodzaju okrągłego stołu króla Artura.

Mister Fox, a raczej sir William, poważny i skupiony. Trzyma się prosto, wieje od niego jakiś chłód. Jedynym, który go kiedyś poznał przelotnie, był nasz profesor Wydra. Dawne to czasy - przyjęcie na dworze angielskim, okres, gdy profesor wykładał jeszcze w Getyndze. Przed wojną światową. Wydaje mi się, że dobrze rozmieściliśmy gości. Wybór ciotki Temmi

na sąsiadkę sir Williama również dobry. Bardzo różnorodny towarzystwo. Tak się składa, że panują wszystkie trzy języki. Ale zdaje się, że ustalą się tylko dwa: angielski ze względu na sir Williama i francuski jako łatwy kompromis dla wszystkich.

Mister Fox podobno kazał się budzić jutro bardzo wcześnie rano, prawie w nocy. Jego strzelec już zmontował mu wycieczkę w góry. Naturalnie z Chwiłowiczem. Prosiłam leśniczego, aby coś podstawili Anglikowi. Pan Chwiłowicz uśmiechnął się pod wąsem i powiedział:

- Kiedyś mieliśmy tutaj arcyksięcia i również wypadło.

Mają wrócić w południe. Zobaczymy. Jutro zresztą oba śniadania jak kto chce, my chyba nie, u nas inne zwyczaje, post.

Spisuję to wszystko, ponieważ Leokadia wywiała do generałowej, a Wirewicz zamknął się w fajczarni i podobno rzną w karty. Nawet nie wiem - kto. Nie ciągnęli mnie, bo i tak wiedzieli, że odmówię.

Jutro Wigilia. Kaczmarek przygotowuje wyjazd nocą na Pasterkę. To przecież będzie bardzo egzotyczna atrakcja dla naszych gości z zagranicy. Jutro czekają mnie różne rozmowy. Ciekawa jestem, co mi powiedzą moje kuzynki z Hermsdorfu? Widziałam, że panu Szczytnickiemu było bardzo przyjemnie, gdy zobaczył przy stole takie duże towarzystwo. Chłopcy byli ożywieni. Mówili, że mają bardzo dobrze w leśniczówce. Tylko jednej Patrycji trudno rozstawać się z synem. Ale inni chłopcy wyrwali go z jej objęć. W chwilę później wsiedli do sań, krzyknęli po raz ostatni hu-ha i tyle ich widzieliśmy. Dziewczeta chciały ich odprowadzać, ale na dworze padał gęsty śnieg, bałam się zaziębienia i zostały. One tylko trochę słuchają.

Nasz kucharz promienieje. Kilka razy zaglądał do sali w swoim teatralnym stroju i powiedział mi:

- Proszę jaśnie pani, to prawdziwa radość dla kucharza. Czy to warto gotować tylko dla kilku osób?

A później, by poprawić te swoje „kilka osób”, dodał:

- Takiego towarzystwa u nas jeszcze nigdy nie było, co najwyżej panowie z „Widnia”.

Wilia. Ostatnia być może na długie lata w tym kraju. W nowym roku zamieszkać w Genewie, trzeba będzie nawiązywać nowe stosunki i nowe budować życie. Prawie od samego początku. A Podjaski pozostaną jako jakieś odległe wspomnienie. Kiedy ja w nich po raz drugi zasiądę do Wigilii? Dotychczas zawsze dużą wagę przywiązywałam właśnie do tych świąt i dnia wigilijnego. W dodatku dzisiaj Marcin powiedział mi dziwnie szorstko:

- Przyjechałem, Anno, na bardzo krótko, musimy się jutro rozmówić, nagromadziło się wiele różnych spraw. A z tą von Falkenhorst ostrożnie, póki ci wszystkiego nie opowiem.

Środa - 28 grudnia

Pierwszy dzień polowania udał się. Trudno pisać o wszystkim, historie - jak w bajce. Prezenty i wydarzenia, ale na ich opisywanie trzeba byłoby mieć spokojną głowę i swój własny kąt przynajmniej do spania. Leokadia robi się niemożliwa. Tuchołka zjawił się wczoraj w południe i pcha się wszędzie na miejsce. Nie posiada umiaru i wyczucia okoliczności. Wydaje mu się, że jako szwagier jest moim najbliższym krewnym. Mnie to denerwuje. Podczas dzisiejszego polowania był niemożliwy. Wyjechał z prezentem w postaci jakiejś dubeltówki, w którą wmawiał różne cudowności. Głupiec. Moi gajowi mają lepsze strzelby, przeważnie otrzymane w podarunku od gości.

Marcin wyjechał już w poniedziałek na Katowice do Wrocławia, stamtąd samoloty z góry zamówione. Florencja przyjaźni się Mlle Aurelie, nic z tego nie pojmuję. Mała jest pyszna ze swoim komenderowaniem. Służba stara się jej przypodchlebić. Sir William w stosunku do obcych chłodny, wzór *splendid isolation*.

Opiszę chyba tylko trzy najważniejsze wydarzenia. Pan Szczytnicki ofiarował mi w upominku gwiazdkowym wielki obraz Brandta, dwa i pół na dobre półtora metra. Nie domyślałam się nawet, w jaki sposób przywieźli do Podjasek taki duży obraz z ramami, wzmowie był stary Chwiłowicz. Noc, jakaś grudniowa niepogoda, śnieg z błotem, para rozbieganych koni ciągnie karetę, zapalone latarnie, konie zdają się wyskakiwać z ram obrazu. Bogaty prezent, ze względów uczuciowych i sentymentalnych miłszy od broszy z dużym kwadratowym szmaragdem i ośmioma brylantami, po dwa karaty każdy. Dar naturalnie sir Williama. Można by za to świecidełko nabyć spore gospodarstwo wiejskie, obraz ze swoją tematyką jest dla mnie miłszy. Pomyślałam sobie: nie ma złej drogi do mej niebogi. Na razie zawieszono go sali stołowej, pomiędzy obu drzwiami, naprzeciwko ściany z portretami Podjaskich. Szkoda jednak byłoby takiego obrazu dla pustkowiec w Podjaskach. Gdy się nadarzy sposobność, wywożę obraz do Genewy i zawieszę w salonie. I tak trzeba będzie domieszać tam trochę rzeczy nowych do starych, aby jakoś oddalić wspomnienia Mme Dorells.

Przede wszystkim jednak rozmowa z panem Szczytnickim. Na drugi dzień po Wilii spotkaliśmy się samotnie wczesnym rankiem, ponieważ nasze towarzystwo trochę zasnęło po teatralnym nieco dla nich numerze z Pasterką w wiejskim kościele. Prośba ze strony pana Szczytnickiego, aby jakoś ułagodzić historie procesowe. Propozycja z jego strony, żeby zrezygnować z połowy owych stu tysięcy zapisanych w hipotecę na nazwisko „małżonków Liteńskich” w zamian za pisemne przyrzeczenie pana Rudolfa Liteńskiego, że sprawa zwrotu moich posagowych dwustu tysięcy pozostanie otwarta i że on, Rudolf Liteński, zobowiązuje się tę sumę zwrócić, skoro tylko będzie miał możliwość.

Pan Szczytnicki mówił o tym wszystkim jakoś niezbyt swobodnie, czuło się, że gra obcą rolę i wypowiada czyjeś słowa, na przykład swojej siostry, pani Orzechowskiej. Cóż miałam uczynić? Nie z powodu wigilijnego prezentu i nastroju, lecz aby wszystkie te sprawy ostatecznie raz na zawsze w jakiś sposób zakończyć:

- Dobrze - powiedziałam z jakimś bledziutkim uśmiechem i poprowadziłam pana Benedykta do gabinetu. Wyjęłam z biurka arkusz papieru i napisałam:

„Podjaski, Boże Narodzenie 1938 roku. Niniejszym stwierdzam, że w dniu dzisiejszym całkowicie rozliczyłam się z p. Rudolfem Liteńskim ze zwrotu sumy posagowej i w związku z tym rozliczeniem suma stu tysięcy złotych zapisana na hipotecę mojego majątku Podjaski w powiecie jasielskim na nazwisko Anny i Rudolfa Liteńskich w całości jest własnością p. Rudolfa Liteńskiego i zostanie mu zwrócona w ciągu miesiąca stycznia 1939 roku. Anna Jambor”.

Gdy pan Szczytnicki odczytał treść mojego oświadczenia, odłożył na bok okulary i długą chwilę wpatrywał się we mnie.

- Pani Anno - przemówił wreszcie - nie będę wypowiadał jakichś banalnych słów podziękowania czy pochwały. Pani Orzechowska - nie powiedział siostra - winna była od tego zacząć, a nie od...

Przyglądam ci się, Anno, od dobrych kilku lat, obserwuję różne rzeczy, sprawy, przypadki. Przyglądałem się również, jak pani dobijała się do pieniędzy, do majątku i stosunków między ludźmi. Co do mnie, to chyba pani wie, że kiedyś marzyłem o tym, by oświadczyć się pani. Ale jako człowiek doświadczony i niemłody nie dopuszczałem do siebie tej myśli. Obecnie jednak przyszedłem do przekonania, że właściwsza byłaby inna droga. Czy pani nie uczyniłaby przyjemności takiemu starszemu panu jak ja i nie przyjęłaby mnie na ojca adoptującego?

Chwila milczenia, której nie przerywałam, byłam bowiem w równym stopniu zaskoczona i wzruszona. Pan Szczytnicki snuł dalszym ciągu marzenia:

- Ja, dzięki Bogu i własnemu rozsądkowi, zgromadziłem spory majątek, pani również, Anno, włożyła w te Podjaski pewnie dobry milion złotych, trochę może nieopatrznie, z tego

pani chyba zdaje sobie sprawę. Ale rozumiem te intencje i nawet za nie jestem bardzo wdzięczny. Mnie niezbyt wiele już zostaje życia, pani nikt nie zarzuci, że odgrywa tu rolę majątek, bo pani go również posiada. Ale zamieszkałaby pani w Szczytnikach na stałe, ustaliłaby się na pięknej polskiej wsi i nie szukałaby pani masońskich bogów za granicą naszego kraju.

Owszem, Szwajcaria jest bardzo piękna, ja osobiście kocham się w Lozannie, lubię przyglądać się tam łąbędziom, można czasami pojechać do Davos, nad włoskie jeziora. Ale mieszkać tam na stałe? Szkoda na to życia. Zrobią z pani drugą Elżę Dubow i będzie pani komiwojażerem cudzych milionów. Widzi pani, że ja się we wszystkim orientuję. I ja w młodości przeżywałem takie błyski.

Zostanie pani w Szczytnikach, urządzi pani sobie spokojne i wykwiłtne życie. A ja, stary, będę miał trochę radości, kiedy zobaczę, że pani jest zadowolona, że pani się cieszy. Dla małej Marty ta droga będzie również łagodniejsza, spokojniejsza.

A ja? Niewdzięczna. Podziękowałam panu Benedyktowi ślicznie, podniosłam się z fotela i podeszłam do niego: - Panie Benedykcie, wujciu Benedykcie, zamykam oczy, pan również i niech nam się obojgu zda na moment, że tak jest, jak pan powiedział, że jesteśmy ojcem i córką.

I pocałowałam pana Szczytnickiego w czoło, lecz równocześnie powiedziałam cicho: - Ludzie są źli, niech ta cała nasza dzisiejsza rozmowa pozostanie wyłącznie między nami dwojgiem. Dobrze? Bardzo proszę.

W chwilę później znaleźliśmy się wśród ludzi, którzy nas rozłączyli i którzy nam zamęcili nasze myśli.

Rozmowa z Marcinem. Krótka i treściwa. Być może już nie rekrut wobec kaprała, lecz jakiś młody i ambitny porucznik przed generałem.

- Czas do reszty zmądrzeć, Anno - mówił poważnie, lecz chłodno Marcin. - Podjaski rozumiem, fantastyczny pomysł, tak nawet wypadło, drobiazg, nie mam na myśli pieniędzy. Te nie są ważne w tym zestawieniu. Pojmuję też chęć zlikwidowania dawnych polowań Liteńskich na cudzym gruncie. Głupstwem natomiast było kupienie Sucholesia od Trzycieskich. Jeleni szlak? Tutaj wśród znajomych, krewnych i sąsiadów poluje się na wszystkich gruntach bez różnicy. A Józef niepotrzebnie skierował do ciebie Wajnsztoka z propozycjami tych Gentilsów czy jak się oni nazywają. To przecież nie ma najmniejszego sensu. I tak było lepiej ten milion umieścić raczej gdzieś za granicą.

Mnie nie chodzi o pieniądze, lecz o to, że kupując leśne majątki w tych stronach, zaprzątasz sobie głowę niepotrzebnie sprawami, które leżą z dala od twojej głównej drogi życiowej. Ty już tutaj nie należysz, powinnaś zdać sobie sprawę z tego, że to będą dla ciebie wkrótce drobne sprawy i idee za siedmiu górami i siedmiu rzekami. Na co ci to wszystko? Tereny do polowań? Ależ owszem, w Szwajcarii lub w Anglii czy Skandynawii. Ale tutaj? Przecież jeszcze dobrze nie otrząsnęłaś wody deszczowej z piórek, w które poroślaś, i zamiast ku słońcu wzlatać - miałabyś ochotę kręcić się między Podjaskami, Trzycieskimi Górami i Krosnem czy Jasłem. Obejrzałaś sobie te ósme cudzy świata? Byłaś w Żmigrodzie? Nie? To jeszcze do dziś jakieś niemal średniowiecze, ongiś stolica kultów rabinackich. A zatem, Anno...

I nie czekając na jakąś reakcję z mej strony Marcin instruował mnie:

- Co na tym zyskasz? Gdy ci de Gentilsowie ponowią swoje propozycje, wystawią przypuszczalnie jakąś cenę. Oni podobno roją sobie sześćset tysięcy za drzewo z lasu na jakimś Widłaku czy coś podobnego.

Zaofiarujesz za całość tego Widłaka - przypuścimy - pół miliona złotych. Na pewno nie przyjmą takiej propozycji, może spróbują się targować, a ty, Anno, wycofasz się wówczas z gry. Nasza spółka w miesiąc później kupi drzewo z tych lasów za pięćset, a może nawet mniej tysięcy, ty dostaniesz od spółki drzewnej dziesięć procent za zrzeczenie się tego kupna. Nie

uśmiechaj się, Anno, takiego konkurenta, który kładzie pół miliona na stół w gotówce, nie spotyka się co dzień.

I Marcin uśmiechnął się z przekąsem.

- To wszystko kwestia miesiąca, ponieważ Gentilsowie mają w tej chwili nóż na gardle i nie mogą zapłacić stycziowych procentów bankowych.

Później nasza spółka wydzierżawi od ciebie twój tartak, już to uzgodniłem z Józefem. Dostaniesz za dwa lata z góry sto trzydzieści tysięcy złotych, w tydzień po kupnie drzewa od Gentilsów. Spłacisz tym połowę hipoteki bankowej na Sucholesiu, resztę zostaw na razie otwartą, aby to jakoś wyglądało... dla oka.

W pierwszej chwili byłam zła na Marcina za takie musztrowanie mnie. Ale później, gdy ochłonęłam, przyznałam mu w duchu rację. Nawet z wyrąbaniem drzewa przez naszych panów z Warszawy trzeba byłoby włożyć w ten interes „wiadome” sto tysięcy złotych i w dodatku na mnie osobiście spadłoby w tych stronach odium rąbania lasów. A tak?...

Dzisiaj na polowaniu poznałam tych panów Gentilsów i jakąś zasuszoną arystokratkę z siwymi włosami, ich krewną. Taka była rozmówka:

- Ja właściwie mieszkam stale w Genewie. Warszawa? Ach tak, mam tu również coś w rodzaju pied-a-terre... przy ulicy Hortensji, obecnie Górskiego.

- No a czemuż przypisać... nabywanie lasów... w naszych stronach? - padło pytanie z ust starszego pana Gentilsa.

- Ach, fantazji... kobiecej, panie margrabio - odpowiedziałam - lubię piękne widoki i... ostatecznie trzeba mieć gdzieś własny *week-end* na wsi czy w górach. Poza tym kącik do polowań dla przyjaciół. *Un petit coin pour la chasse*.

I na tym się skończyło, ponieważ podeszli inni sąsiedzi, trzeba było się witać i poznawać.

Sama Wilia? Zasiedliśmy do stołu o wpół do siódmej, a w dobre pół godziny później otworzyły się drzwi z sieni i wtoczył się ostatni gość przy tym stole: proboszcz z Trzycieskich Gór, ksiądz Franciszek Kowal. Trochę się speszył, zdziwił, trzeba było tłumaczyć jego słowa, mówił tylko po polsku. Ale jakoś rozplątał się w tle, nie było z nim kłopotu.

Kucharz Jan Fidelus. Trzeba się uczyć nazwisk i imion polskiej służby. Gdy się kiedyś wzbogacę, zabiorę go sobie za granicę, szkoda go do takiej zapadłej wioski. Ofiarował mi trzy butelki stuletniego tokaju. Otrzymał je kiedyś przed laty od jakiegoś węgierskiego grafa. Przedtem radził się pana Chwiłowicza, czy może to uczynić. Trzeba będzie rewanżować się odpowiednio na Nowy Rok. W ogóle każę wypłacić wszystkim dodatkową pensję miesięczną, czegoś podobnego nie było jeszcze w tych stronach. Oni dostali swoje zaległe pensje tylko dzięki zlicytowaniu majątku, takie bowiem jest prawo.

Sir William nad rankiem w dzień wigilijny ustrzelił jakiegoś fenomenalnego rogowca. Zabiera go w całości do swego zamku w Anglii. Mają go wypchać i ustawić w hallu. Udało się panu Chwiłowiczowi! Taki jeden odstrzał wzbogaci starego leśniczego na pewno więcej niż rok służby u mnie.

Leokadia wstawiła się dość mocno podczas uczyty wigilijnej, a już po powrocie z Pasterki przyniosła do naszego pokoju butelkę koniaku. Nalała pół szklanki i powiedziała:

- Lubię cię bardzo, Anno. Nic sobie nie rób z tego. Jerzy mój, Jerzy twój. Co mi ostatecznie do tego, że sobie ucięłaś jakiś tygodniowy romans wówczas w Zakopanem? Możesz zresztą zawsze, gdy zechcesz. Ja mu i tak płacę po tysiąc złotych miesięcznie i mam go na każde zawołanie. Takich mężczyzn się nie liczy...

Po czym skłoniła się na łóżko i momentalnie usnęła. Zdjęłam z jej nóg obuwie, rozebrałam do koszuli, ułożyłam wygodnie i przykryłam nogi kołdrą, aby nie wypadła z łóżka na dywan. Następnie ułożyłam się na przygotowanej dla mnie amerykance i pomyślałam sobie: ciekawe zakończenie nocy wigilijnej.

Każdy z gości ofiarował mi jakiś prezent. Temmi przywiozła sporo gałązek wyłoczonej jemioli i porozwieszała je nad drzwiami.

Obaj wujkowie Kowalscy zjawili się również, lecz nie robili głupich fumów i umieścili się wśród młodzieży na leśniczówce. Pana Kondolę powstrzymałam od wywieszenia flagi z herbami. Natomiast w dniu dzisiejszym zawieszono flagi jedwabne z batikowanymi herbami nad leśniczówką w Wilczych Hubach oraz na wysokim słupie obok namiotu ze śniadaniem dla myśliwych. Tam wyglądały bardzo pięknie na lekkim wietrze. Jutrzejszy dzień zapowiada się pogodnie.

Wtorek - 3 stycznia - 1939

Wszystko minęło. Dwa dalsze polowania u mnie i na terenach Trzycieskich. Na ostatnim był obecny Rudolf Liteński, widziałam go z daleka. Sobotni bal sylwestrowy odbył się u mnie w Podjaskach, wojskowi muzycanci na tym balu, w podhalańskich strojach, i zapewne w związku z tym zjawił się kuligowy najazd oficerów na sankach, już dobrze po północy. Hałaśliwe towarzystwo, nie odstraszył ich nawet generalski mundur Wirewicza. Bo i cóż mówić o takich gościach, gdy dwóch pijanych kapitanów całuje się od razu z Wirewiczem:

- Daj pyska, Władek. Jak się masz, brachu!

No tak. Wirewicz opowiadał mi kiedyś, że gdy w Legionach ustalono bojowe przydomki, dla niego - już nie starczyło. Koledzy wołali: ty byku, ty capie. Więc jak miało być: Byk-Wirewicz, czy Cap-Wirewicz? Całe szczęście, że sir William zaraz po kolacji złożył mi życzenia noworoczne, przeprosił, że nie weźmie udziału w baliku gospodarskim na wsi, ale już na niego czekał mój leśniczy z sankami. Wyjechali na noc do myśliwskiego domku pod halą, by do dnia usadzić się na jakiegoś rogacza, którego meldowano z węgierskiej strony. Nigdy sobie nie wyobrażałam, że taki chłodny Anglik potrafi zapalić się do jakiegoś głupiego jelenia.

Ja również uciekłam z pobojowiska około godziny trzeciej nad ranem. Cztery krzesła z herbami połamano w sali stołowej, lustro w umywalni i dziura w jednym z portretów w sieni, gdzie urządziliśmy salę balową. Ano, za życia robiono czasami dziury w dygnitarskich ciałach, zwłaszcza na sejmikach. Przydarzyło się to również w trzysta lat później, akurat w Podjaskach. Ciotka Temmi mówiła na drugi dzień:

- Wesołe chłopaki. Żałuję, że nie mogłam sfilmować tych scen. Tego nie można zobaczyć u nas w Ameryce, chyba gdzieś w Texas czy w Mexico.

Na razie trochę opustoszało. Temmi, Elza i rumuńska, a właściwie niemiecka hrabianka oraz wujcio Benedykt umieścili się na górze w domku myśliwskim i dotrzymują towarzystwa sir Williamowi. Tuchołka depcze mi stale po piętach, nie może zrozumieć różnych rzeczy. Powiedział dzisiaj rano:

- Skąd wzięłaś tyle pieniędzy? Kaczmarek mówi, że to kosztowało około półtora miliona złotych. I bez długów.

Po trzykroć głupiec. Powiedziałam mu, że kupiłam cały los na loterię klasową i od razu wygrałam milion złotych. Być może uwierzył, bo odczepił się na kilka godzin.

Do najspokojniejszych gości należą obie Margot, przebywają w towarzystwie pani Horodyńskiej. Ta ostatnia już mnie pytała, czyby nie mogła na stałe zamieszkać w Eichel. Kto wie, może to byłby dobry pomysł?

Jutro wcześniej rano jedziemy na polowanie gdzieś pod Gorlice. Również hrabiowie. W dzień Trzech Króli zaproszenie na obiad do Trzycieskich.

Na ucztę wigilijną ustroiłam się w bladoniebieską kreację dość wydekoltowaną, brylanty kupione od Leokadii. Zdziwienie wszystkich krewnych, zwłaszcza obu stryjków. Pierwszy zapytał Marcin:

- Jak?

- Kupiłam - odpowiedziałam.
 - Może i dobrze - rzekł Marcin.
- Doprawdy strach we dworze trzymać taką biżuterię!

Sobota - 7 stycznia

Zdrajcy. Co prawda pan Szczytnicki uprzedził mnie lojalnie przed wyjazdem do Trzycieskich, że spotkam tam panią Orzechowską i Rudolfa Liteńskiego. Rozmowa w jakimś salonie, ponieważ nie wypadało wyjeżdżać tuż po zjedzeniu obiadu. Prawdziwy rodzinny obiad, z Trzycieskich Gór tylko rodzina, z Podjasek pan Benedykt, stryjostwo Józefowie, Florencja i ja. No i naturalnie oboje starsi państwo Orzechowscy w towarzystwie swego pupila. Później gospodarze tak jakoś wymanewrowali, że zostaliśmy sami w bliskiej rodzinie. Tym razem pani Orzechowska uprzejmiejsza.

- W rodzinie zdarzyły się różne nieporozumienia - mówiła - zgoła niepotrzebne, ale wszyscy powinniśmy sobie wybaczyć. Ostatni piękny gest naszej pani Ani wskazuje na możliwość całkowitego... pojednania się. A nasz kochany Rudolfek doprawdy żałuje i do dzisiejszego dnia nie może się uspokoić. Ale musimy go zrozumieć, prawie sam się wychowywał, później konwikt w Chyrowie (odkąd to oo. jezuici w Chyrowie są złymi wychowawcami?), wreszcie wojsko (to ostatnie rozumiem, cóż bowiem zawiniły moje krzesła w sali stołowej?) i nieodpowiedni koledzy. Wszystko to doprowadziło do tego, że Rudolfek ma słabe nerwy...

Psiakrew! W dalszym ciągu to i tamto, wszystko jednak zmierzało do tego, że powinniśmy się pogodzić, ponieważ małżeństwo to święta rzecz (nagle święta, a pierwsza żona Rudolfa Liteńskiego, poślubiona w kościele katolickim, to pies?) i rodzina (to znaczy kto?) byłaby serdecznie za tym, żebyśmy się z powrotem połączyli.

Zapadła dłuższa przerwa, ponieważ pani Orzechowskiej zabrakło wątku do tak obłudnie haftowanej gry. Ja milczałam również i czułam, że oboje, to znaczy Orzechowska i Rudolf, spoglądają w moją stronę. Spojrzałam z pewnym wyrzutem w stronę pana Szczytnickiego, ten odwzajemnił się spojrzeniem, które mówiło: Dla mnie to taka sama niespodzianka, jak dla ciebie, Anno. Ci ludzie chyba nie mają wstydu lub opanował ich jakiś niepoczytalny obłęd.

Trzeba było jednak coś odpowiedzieć.

- Są rzeczy - mówiłam chłodno i matowo - nieodwracalne. A ja, proszę państwa, w ciągu ostatniego roku inaczej sobie życie urządziłam, przenieśliśmy się na stałe za granicę, wkrótce obejmę tam nowe obowiązki zawodowe, a w dodatku, jeżeli chodzi o moje już bardziej osobiste sprawy - chwila przerwy - to również urządzam sobie nowe życie. Przypuszczalnie wyjdę za mąż już w najbliższym czasie.

Wszyscy milczeli. Wykorzystałam ten martwy moment i zakończyłam z pewną dozą ironii:

- A ponieważ, proszę państwa, każdy niemal dzień przynosi nam nowe doświadczenia, mam nadzieję, że jakoś rozsądniej czy - westchnęłam w sposób niemal teatralny - szczęśliwiej urządzę sobie moją przyszłość... w obcym, nowym kraju, wśród nowych znajomych i przyjaciół, i w ogóle w nowych warunkach. A co do pana Rudolfa Liteńskiego, tego samego i jemu życzę.

Wstałam, inni podnieśli się również, zmieszaliśmy się z resztą towarzystwa. Później przyjechali nowi goście, jakoś wynieśliśmy się, prawie po angielsku, i na tym skończył się chyba już ostatni akt mojego smarkatego małżeństwa. W samochodzie Florencja powiedziała tylko:

- Komedianctwo za trzy fałszywe grosze!

Nie mówiliśmy więcej na ten temat.

Mokotów, stryjostwo Józefowie i Leokadia ubyli nam dzisiaj. Wujowie i szwagier już wczoraj rano. Jutro w południe przyjeżdża dr Miliz, natomiast we wtorek rano odjeżdżają -

Hornowie, pan Benedykt i sir William. Kuzynki z Paryża, dziewczynki i Sierozka wyjadą w czwartek rano, po drodze zatrzymają się jeden dzień w Krakowie. Florencja tego samego dnia wyrusza do Warszawy. Ja opuszczę Podjaski w niedzielę 15 stycznia i spotkam się jeszcze z Florencją w Warszawie. Wyjadę razem z dr Milizem. I na tym zakończy się moja idylla świąteczna w tym... *un petit et joli coin aux Carpathes*. Kiedy znowu? Nie wiem, doprawdy nie wiem.

Czeka mnie jeszcze pożegnanie z sir Williamem, który w dzień wigilijny zapraszał mnie do swych posiadłości w Anglii.

I jeszcze jedna pozycja, tym razem bardzo dodatnia. Szwagier Tuchołka zgodził się, by moja chrześniaczka i imienniczka została umieszczona w Annecy. Wyjdzie to jej na zdrowie. Kto wie zresztą, czy od nowego roku szkolnego nie znajdą się tam również bliźniaczki? Zdejmuję kłopot z głowy mej siostrze. A ponieważ za wszystko w życiu trzeba płacić, zgodziłam się na prolongatę długów mojego szwagra, podobno tylko na dwa miesiące. Zresztą niewysoka kwota. I tak spacerował po całym dworze w Podjaskach i spoglądał takimi oczami, jak by chciał powiedzieć: oszukała mnie ta Anna, kupiła za grosze meble z mojego kresowego pałacu. Ano, każdy myśli tak, jak mu jego własny dowcip dyktuje. A z dowcipem u ludzi bywa rozmaicie.

Mam wrażenie, że wszystkie cztery dziewczynki bawiły się znakomicie. Nawet mała Anna trochę się rozruszała. Pomysł sprowadzenia Anny do Annecy wyszedł od obu naszych dziewczynek, to bardzo ładnie z ich strony.

Pani Horodyńska pojedzie chyba do Eichel? Tam jest tyle miejsca, pusto. Na wiosnę wybuduję przedłużenie domu w stronę dawnej stodoły, książki z pałacu Tuchołki, i tak trzeba byłoby myśleć o kimś do uporządkowania tego wszystkiego. Pani Horodyńska jest porządnym człowiekiem, znakomicie zgadza się z Hornami, lepszego wyboru na pewno nie zrobiłabym. Gdzieś w końcu lutego wyjedzie z Anną, przyjmie się nauczycielkę i powtórzy się historia z przygotowaniem do francuskiego internatu.

Panie z Hermsdorfu brały udział w polowaniach. Brunhilda dobrze strzela, została królową polowania u Trzycieskich. W dodatku zna się na gospodarstwie. Zdążyła wszystko obejrzeć, po męsku, sankami i z gajowym. Powiedziała mi przy pożegnaniu:

- Szkoda, że nie kupiłaś majątku w naszych stronach rodzinnych, pod Jamsborgiem. Wydaje mi się, że byłabyś bardziej wśród swoich niż tutaj wśród tych polskich grafów. Wiesz? Trzeba było odbudować Jamsborg. U nas w bibliotece jest sporo rycin z czasów przed spaleniem zamku przez Szwedów.

Nie, zamiana Polski na Niemcy nie byłaby drogą naprzód. Szwajcaria jest lepsza, to świat otwarty na oścież. A to wiele znaczy w życiu.

W każdym razie warto było popełnić szaleństwo z tymi kupnami. Marcin nie ma racji. Czasami trzeba właśnie popełniać takie szaleństwa czy fantazje. - Gdyby nie szaleństwa, ludzkość do dnia dzisiejszego trzymałaby w rękach maczugę człowieka jaskiniowego - powiedział mi kiedyś nasz profesor. Sir William tylko jego jednego wyróżnia spośród mężczyzn. Z innymi uprzejmie, lecz chłodno. W stosunku do profesora Wydry z uszanowaniem, naturalnie w granicach, na jakie stać Anglika z jego dostojną pewnością siebie. Obecnie zresztą znam po trochu źródło takiego postępowania, wyjaśnił mi Marcin.

Patrycja może byłaby czuła się ze swymi dziećmi lepiej w paryskim pawilonie. W Podjaskach był problem kury, która wychowała kaczkę. Stale jej uciekały. Sierozka z myśliwymi, Ksenia z dziewczynkami i psami. Dzieci tylko patrzyły, aby się wymknąć z domu, trudno jednak było je przywiązać. Ale Patrycja tego nie rozumie, jak każda zresztą matka.

Ale trzeba iść spać. Jutro kościół, na wsi nie można nie pojechać na mszę do kościoła. Taki zwyczaj, takie jest prawo wiejskie w Podjaskach i gdzie indziej.

Poniedziałek - 9 stycznia

Dr Miliz nudny. Darował mi wczorajszy wieczór, lecz już dzisiaj podczas drugiego śniadania kierował rozmowy na sprawy naszej spółki akcyjnej. Jutro masowy exodus gości. Był uroczysty obiad, kucharz wystawił się dla angielskiego lorda, jak określa Jan Fidelus sir Williama. Pan Chwiłowicz dostał od niego w prezencie piękny złoty zegarek z łańcuszkiem.

Piątek - 13 stycznia

Koniec z gośćmi. Wypoczywam sobie dzisiaj w spokoju. Dr Miliz gdzieś w okolicy na polowaniu, na dwa dni, obwozi go leśniczy. Pożegnanie Mr Foxa. Mówił, że się wkrótce zobaczymy, chce urządzić jakieś przyjęcie u siebie w Anglii. To, co o nim opowiadali w Eichelbachu, to były opowieści powstałe jedynie w wyobraźni tamtejszych sąsiadów. Mr Fox przebywa sporo w Anglii i w Europie, Ma własny jacht oraz kilka will na wybrzeżach Morza Śródziemnego, również w Wenecji. Zobaczymy, jak się posunie nasza znajomość. W stosunku do doktorowej Horno owszem uprzejmie, ale nic ponadto.

Nie chce mi się pisać. Dzisiaj poleciłam, aby odesłali mi do Warszawy obraz Brandta oraz dwanaście krzeseł ze sali stołowej. Wyślę do Szwajcarii. Wysyłam w drodze pośredniej via Warszawa, nie chcę ludzi zbyt uświadamiać.

Nasza rumuńska hrabianka. Przyjaźń, prawie miłość z Wirewiczową. Jak ta kobieta zrobiła karierę! Uprzejmości z Florencją, dowcipne rozmowy z Elzą. Zatrwożenie Władka, gdy mu zakomunikowałam, że wycofuję się z interesów. Dlaczego i dlaczego? - Przecież opuszczam Warszawę, a więc komu i na co byłabym potrzebna?

- A kto tym się zajmie?

- Ależ twoja żona, ona doskonale to robi.

Władek osobiście wstrzymuje się od afiszowania w ambasadzie rumuńskiej. Wy tłumaczyłam mu, że to będzie można doskonale załatwić na górcie w „Ziemiańskiej”, mniej na oczach niż w „Europie”. Nie był jednak pewny i jeszcze kilkakrotnie zapytywał później:

- Doprawdy, Anno? Nie chcesz, Anno? Przecież rozpoczęliśmy nowe dostawy i świeże pieniądze wpłynęłyby na twoje konto w Sztokholmie już w pierwszych dniach lutego. Sporo, na razie już około stu sześćdziesięciu tysięcy. Naprawdę nie chcesz?

Uśmiechnęłam się i jeszcze raz powiedziałam: - Nie. - Nigdy dotychczas jedno słowo nie kosztowało mnie tyle pieniędzy. Ale skoro tak trzeba?

Poniedziałek - 16 stycznia

Za pół godziny odjazd z Podjasek. Liza już wczoraj wieczorem wszystko spakowała. Bardzo grzecznie ze strony Trzycieskich. Uprzedzili mnie i złożyli wizytę pożegnalną w chwili, gdy się do nich wybierałam. Zapraszałam do Eichel i do Genewy. Marcinowie zaprosili już poprzednio do Montreux.

CZĘŚĆ CZWARTA

UCIECZKA

Styczeń - czerwiec 1939

Warszawa - 17 stycznia

Piszę w biurze. Nudne rozmowy. Tkwię tu sama, inni pojechali na konferencję w banku. Nieważne, wszystko już zostało ustalone przedtem. Figuranci. Florencja odjeżdża jutro. Moc nowych spraw. Gdy skończą się historie z walnym zebraniem w spółce, ja wyjadę również. W mieszkaniu przy ulicy Hortensji zastałam bardzo miły list od Mr Foxa. Z drogi - podziękowania za gościnę, ponowienie zaproszeń.

Któregoś dnia po Nowym Roku dziewczęta uprosiły obie Margot i w ich towarzystwie zrobiły niespodziankę pani Woźnikowej w „Magdzie”. Była dobra pogoda i wycieczka udała się, naturalnie z nocowaniem w Rabce.

Przed wyjazdem z Podjasek kazałam wysłać Kaczmarkowi uprzejmy list do pp. Gentils tej treści, że pani Jambor obejrzała tereny leśnictwa na Widłaku i jest gotowa nabyć całość terenu za ogólną sumę pół miliona złotych. Zobaczymy.

Sporo listów zagranicznych. Jakies mocno opóźnione życzenia od obu panów „K” z Ameryki oraz od pana „L”, tym razem z Argentyny. Elfryda namawia mnie, bym zawadziła o Londyn. Moje Vickersy poszły znów w górę o równe osiem procent. Dzisiaj wieczorem czeka mnie generalna rozmowa z Florencją. Jutro wyjeżdża koleją na Berlin. Zadłużenie Marcina u mnie wzrosło dzisiaj do dwustu trzydziestu ośmiu tysięcy. To Florencja dokonuje jakichś wypłat. Mamy rozliczyć się w Genewie. Namawia mnie do kupna jeszcze jednego domu czynszowego.

Środa - 18 stycznia

Polecony list ekspresowy. Starania o naturalizację zakończone. Gdy przybędę do Montreux, od razu uzyskam szwajcarski paszport. Czuję się jak człowiek, któremu zdjęto z piersi wielki kamień.

Florencję już wyekspediowałam. Przed odjazdem szepnęła mi, aby sobie nic nie robić z młodego Miliza, oni umyślnie zaprzatają go placówkami zagranicznymi, aby go spławić z Genewy. W przyszłym miesiącu zostanie umieszczony w podobnej spółce jak nasza, ale na Węgrzech. Jakaś elektryczna fabryka. Tylko że tam będzie pobierał znacznie niższe wynagrodzenie. Na naszym walnym zebraniu będę reprezentować trzy miliony z czymś kapitału akcyjnego. Tutaj kilka drobnych banków przygotowuje jakąś akcję czy frondę - jak mówi prezes Fajans - ponieważ nie podoba im się to i owo, ale to będzie bez znaczenia. W rękach naszej rodziny znajduje się co prawda tylko część głosów. Ale reszta akcji w posiadaniu zaprzyjaźnionych z nami banków, a w dodatku jesteśmy zmasowani *en bloc*, a stronie przeciwnej trudno nawet byłoby marzyć o zgromadzeniu na zebraniu chociażby połowy tych drobnych głosów.

W maju odbędzie się jeszcze jedno walne zebranie dla zatwierdzenia zeszłorocznego bilansu, a później Marcin chce zręcznie spławić na giełdzie swoje dwa miliony w akcjach. Zostanie jedynie Londyn, Genewa i stryj Józef w łącznej sumie około trzech milionów złotych.

Jeszcze dwa tygodnie w Warszawie. W sobotę przyjęcie u profesora Wydry, kilka pań, w tym i ja również. W niedzielę przyjęcie u mnie na górze, hałaśliwe i generalskie. Trochę z dyplomacji, Rumuni, z naszych fiszów Kościałkowscy. Tacy sobie. W charakterze atrakcji Boy-Żeleński i adwokat Hofmokl-Ostrowski. Pierwszy podobno dla państwa Kościałkowskich, drugi w interesie Wirewicza. Brydź do samego rana. Ostatnia moja łabędzia pieśń przed wyjazdem.

- Mówiła mi generałowa, że nie chcesz pieniędzy? - pytała Florencja podczas obiadu.

- Ano, taki termin, słowo się rzekło Marcinowi, trzeba go dotrzymać.

Florencja roześmiała się. Bardzo dobrze, niech Marcin wie.

Był list od dziewczynek z Genewy, wszyscy dojechali szczęśliwie.

Poniedziałek - 23 stycznia

Kościałkowscy przyprowadzili z sobą Składkowską. Wstrętna Francuzica, pije jak szofer, a gra w karty jak zawodowa dama brydżowa. Krzykliwa i hałaśliwa. Podobno nasza ulica była obstawiona przez tajniaków.

Przyjęcie u profesora wydało mi się inteligentniejsze. Pięć pań razem ze mną. Przeważnie „B. B.” Ciekawe, że żony tych ludzi są ciche i spokojne. Coś w rodzaju żon pastorów anglikańskich. Poszłam bez najmniejszego kawalka biżuterii i dobrze zrobiłam. W

takim towarzystwie można było imponować jedynie słowami, w dodatku wypowiedzianymi bez taniej błyskotliwości czy frazesu literackiego. Przyjęcie z okazji przyjazdu dwóch profesorów londyńskiego uniwersytetu i dlatego towarzystwo dam.

W powiedzeniach tych ludzi świat nasz całkowicie został odarty ze sztukaterii i znalazł się jakby w białych koszulach alumnów. Uczoność na bosych nogach, a głowy posypane popiołem skromności. Warto było słuchać.

Ale później od razu znalazłam się w objęciach ciotki Leokadii i z miejsca opiałam się pomyj. Leokadia tym razem wyjechała z tym, że Wirewiczowa ma kochanka. Być może, ale cóż mnie to obchodzi? Ma, to dobrze, nie ma - również dobrze.

Boy jest pozycją sam dla siebie. Trudno tu nawet wypisywać jakieś specjalne zachwyty. Marcin powiedział o nim kiedyś, że to jest w Polsce jedyna szczypta soli attyckiej. W moich oczach Boy to jakaś nowa, odmienna wizja Oskara Wildera, tylko bez poetyckich ekscentryzmów ukazanych przez Parandowskiego w jego *Królu życia*.

O Hofmoklu-Ostrowskim mówił Wirewicz:

- Widzisz, Anno, trudno o lepszą ozdobę twoich salonów... To prawdziwy Cyrano de Bergerac w naszej palestrze! Jedyny odważny adwokat, boją się go, gdyż nigdy nie wiadomo, jakim karpim wyskoczy. A nam akurat potrzebny jest taki mocny, bojowy człowiek, reszta to przeważnie tylko wyskrobki z paragrafów.

Wtorek - 24 stycznia

Panowie Wajnsztokowie, obaj na raz. Sprawa leśnictwa na Widłaku. Jutro ma przybyć do Warszawy starszy z panów de Gentils. Nie zwierzał się swoim kupcom lub faktorom, czy ma zamiar złożyć mi wizytę. Wajnsztoków podjęłam drugim śniadaniem, częstowałam dobrym koniakiem. Pan Henryk pił, i owszem, pan Abram kłaniał się, lecz odmawiał koniaku. A ja śmiałam się i podtrzymywałam moje pół miliona za Widłak. Przy pożegnaniu jednak spoważniałam i powiedziałam prawie zimno:

- Wydaje mi się, że to kupno nie przyjdzie do skutku, ponieważ za jakiś tydzień wyjeżdżam z Warszawy i nie wiem dokładnie, kiedy wrócę. Może za jakiś rok lub dwa?

Obaj kupcy wystraszyli się i nie chcieli wierzyć. Mówiłam im o Ameryce - posmutnieli. Rozmawialiśmy już w moim nowym hallu w obliczu rycerskich brewerii umieszczonych nad skrzynią. Usiadłam na tej skrzyni, a kupcy stali przede mną i mówili:

- Pani dyrektor chyba żartuje?

Środa - 25 stycznia

Scena humorystyczna. Pan de Gentils zjawił się u mnie w gabinecie w towarzystwie obu kupców żydowskich. Wyobraził sobie widocznie, że sprzedaż lasu *en gros* to taki sam interes jak sprzedaż partii zboża czy bydła. Ładuje się na wagony i sprzedaje na giełdzie już wówczas, gdy towar jest w drodze. Z rozbijającą miną oświadczyłam, że wyznaję się jedynie na sprzedaży naszego drewna na rynkach zagranicznych. Natomiast nie interesuję się problemami miejscowymi. A później była już gra w ciuciubabkę. Pan de Gentils był łaskaw przypomnieć, że właściwie przybył do mnie jako do reflektantki na nabycie leśnictwa Widłak. Gdy wymawiał te słowa, miał taką minę, jakby się napił najbardziej kwaśnego octu. Udałam zdziwioną:

- Ach tak? A ja sądziłam, że panowie przybyli do mnie jako do członka zarządu naszej spółki akcyjnej? Jeżeli chodzi tylko o moją prywatną osobę, to już wczoraj oświadczyłam panom Wajnsztokom, że nie leżałoby w sferze moich zainteresowań wyjście poza cyfrę pół miliona złotych. Dzisiaj o gotówkę nie jest łatwo, a ja akurat mam pod ręką owe pół miliona.

Pan Gentils otworzył usta, a potem wypowiedział kilka słów, z których wynikało, że ostatecznie gotówka w wysokości pięciuset tysięcy złotych mogłaby posłużyć jako punkt wyjścia, a reszta...

Oświadczyłam chłodno:

- Jeżeli o mnie chodzi, to staram się operować jedynie gotówką, przy kupnie Sucholesia od państwa Trzycieskich również od razu pospłacałam hipoteki. Ale jeżeli panom ta cena by nie konweniowała, gotowa jestem ewentualnie namawiać mego stryja w kierunku ostatecznie - kupna samego drzewostanu, bez ziemi.

I powstałam z fotela, a panu de Gentils zaświeciły się oczy z radości. Przeszliśmy do gabinetu mego stryjka, zapoznałam obu panów i w drugim akcie farsy prezes naszej spółki z miejsca, ale bardzo grzecznie odmówił kupna drewna. Odległości, nieporęczny transport w tamtych stronach, zbyt wielki portfel zakupów już dokonanych, wielka niewiadoma, czy w tamtych stronach można by uzyskać pozwolenie na wyręb, oraz zbyt wysoka cena. A w końcu powiedzenie:

- Moja bratanka oglądała tereny i podobno zaofiarowała panom kwotę pół miliona gotówką. To cena do omówienia, ostatecznie moglibyśmy zrobić ten interes w drugiej połowie tego roku i na dwa lata. Każdy rok z osobna. W dodatku bardzo wysoka cena. Chyba raczej - nie, panie margrabio.

I wówczas dopiero stryjek poczęstował pana de Gentilsa tytułem.

Nie mamy potrzeby spieszyć się. W obecnym stanie rzeczy żadna konkurencja nie wchodzi w grę. Wszyscy są dobrze sobie znani - i obowiązuje niepisana umowa niewchodzenia sobie w grę. Zresztą poważne firmy w naszej branży można policzyć na palcach jednej ręki.

Niedziela - 29 stycznia

W tym tygodniu dwa dni pod rząd, w piątek i sobotę, wytańczyłam się na prywatnych balikach. Skromniutko jednak i bez żadnych ekstrawagancji. Wczoraj jakiś młody człowiek plótł mi do ucha głupie słowa. Akurat wybrał się w porę. Wyobraził sobie, że tylko czekałam na jego propozycję i prościutko pojedziemy tramwajem do jego pokoiku czy garsoniery. Student, krewny nawet gospodarzy, szczeniak, jeden z takich, u których kuchta na co dzień, a dama z towarzystwa od wielkiego dzwonu. Nie mam zamiaru odziedziczyć w ten sposób choroby wenerycznej po strażaku czy wojaku. Wysłuchałam cierpliwie wszystkiego, a gdy skończył się taniec, powiedziałam po prostu:

- Jedno panu radzę, proszę przejść do bufetu i wypić szklanek zimnej wody.

Odprowadził mnie na miejsce, a ja udałam, że nie dostrzegam jego ukłonu, i od razu zagadałam do sąsiadki. I tak bywa na świecie. Jeżeli już, to raczej coś pewniejszego.

Dzisiaj byliśmy z Wirewiczową we dwie na obiedzie u Kościałkowskich. Zwykle towarzystwo, wszyscy dobrze sobie znani. Koło nas klapertował się jakiś młody major ze sznurami oficera Sztabu Głównego. Czyżby to był „on”? Co mnie do tego? Władek w Londynie, wraca za jakiś tydzień, małżonka ma wolne pole. Ja w czwartek wieczorem wyjeżdżam z Warszawy, ze mną zabiera się Zosia Wirewiczówna.

Dzisiaj, już o późnej godzinie, odwiedził mnie profesor i spędziliśmy kilka miłych chwil.

- Bardzo dobrze - mówił profesor - że pani likwiduje już swoje interesy w tej Warszawie. Najwyższy czas! Nie znam miasta na świecie, gdzie byłoby tak duszno jak tutaj. Kto wie, czy Niemcy nie mają racji, mówiąc o „Saisonstaacie” w tych stronach. Tutaj ludzie nie rozumieją się wzajemnie i każdy jest zapatrzony w podwórko własnych, drobnych, tuzinkowych interesów. A każdy z tych panów Polaków chciałby sprzedawać pozłótkę za prawdziwe złoto. Szlachta po wsiach tonie w długach, hipoteki zżerają im cały dochód, dorobkiewiczze wszelkiego autoramentu rozpychają się, gdzie tylko mogą, mieszczaństwa ani śladu, o chłopach nie warto wspominać, robotnicy nie umieją zrobić rewolucji, a inteligencja jest w roli nieważnych parobków biurowych. Soldateska w rodzaju operetkowych

poruczników z generalskimi szlifami. Nie ma z kim mówić, brak partnerów do poważniejszych rozmów.

Przejrzałem tutejszy ludek na wylot. Dziw, że wszystko jeszcze się trzyma, ale tylko prawem bezwładności! W dodatku ciasnowo jest ludziom i stoją w tłumie przylepieni do siebie jak śledzie w beczce. Jeżeli uda im się wyciągnąć rękę z tego gąszczu, to jedynie po jałmużnę, po łapówkę, po jakiś kant. Masy - pyta pani? Masy milczą, masy są głodne, ale zamiast się burzyć i zrobić jakąś porządną rewolucję, zadowolają się wystawianiem w kolejce po zasiłki dla bezrobotnych.

Profesor zamyślił się, wreszcie powiedział:

- Koniec tego wszystkiego? Wiatr, pani Anno, wicher dziejowy, jakieś nowe wojny, nowe rewolucje. A rewolucje oczyszczają atmosferę i stwarzają inny klimat. Czy - lepszy? W tym właśnie tkwi wielka niewiadoma. Ale mnie się wydaje, że w obliczu marazmu czy zastoju zawsze warto ryzykować. Dyktatury. Korporacjonizm Mussoliniego i parada mundurów Adolfa Hitlera. Siedzenie na skrzyniach ze złotem w podziemiach Banku Angielskiego. Supertrusty amerykańskie. Skostniała ceremonialność dogmatów kościoła watykańskiego. Oschłość kościołów reformowanych czy tam-tamy tysiąca sekt amerykańskich. Głód hinduski i pachnące papierki spalane przez Chińczyków przed bóstwami wszystkich przodków. Kapitalizm wreszcie czy komunizm? Kiedyś, może już wkrótce nie wytrzymają próby czasu skłócone z sobą idee i wszystko się na świecie zamąci. Kiedy się to stanie? Nie wiem.

Ja również chętnie wyjechałbym z Warszawy. Ale pani, Madame, już zamknęła swoje księgi handlowe w tym mieście, a mnie trzymają tu jeszcze różne - cudze - interesy, a takie są właśnie najgorsze! Ale i ja niedługo...

Pozdrowienia dla doktora Marcina, on jeden z niewielu ludzi na świecie zdaje sobie sprawę z różnych rzeczy. Jest zresztą blisko źródła... wiedzy i poznania.

Wtorek - 31 stycznia

O wczorajszym zebraniu posiadaczy akcji naszego drzewa - nie warto wiele pisać. Nam, jako właścicielom, potrzebna była pewna forma prawna dla dokonania zmian, a drobni posiadacze akcji przylecieli w nadziei, że kasa spółki nasypie im dodatkowe złotówki.

Tym razem zebranie przeciągnęło się znacznie dłużej. Dobrze, że zaczęliśmy rano, już o godzinie dziesiątej. Było trochę zdziwienia, gdy podczas odczytywania listy obecnych wymieniano obok nazwisk ilość reprezentowanych przez nich głosów. Przy moim nazwisku, wymienionym zresztą na czele, najwyższa ilość: 41 750 głosów na teoretycznie możliwe 146 134 głosy, w tym nasza rodzina z 79 900 głosami. W tych sześćdziesięciu tysiącach obcych, głosów dobra trzecia część z nami związana.

Sprawozdanie składał stryj Józef jako prezes zarządu, z wnioskami występował Wirewicz i prezes Fajans. Zostały już ustalone i zatwierdzone zmiany statutowe, łącznie ze zmianą członka zarządu, gdy dr Mireski szepnął mi do ucha, że szykuje się awantura, którą miała wywołać jakaś drobna płotka. Pasażer podczas pierwszej przerwy odgrażał się, że na końcu we wolnych wnioskach wystąpi z jakimiś rewelacjami. Już poprzednio usiłował wywołać zamieszanie, dopytując się, dlaczego na miejsce polskiego członka zarządu, nie wymienił mnie imiennie, wchodzi nieznany cudzoziemiec dr Miliz, Ja kolejno szepnęłam słówko przewodniczącemu zebrania, zarządziliśmy nową przerwę, która od razu zlikwidowała perspektywę możliwej awantury. Dr Mireski wprowadził krzykacza w jakieś ustronne miejsce i nabył z miejsca jego 11 200 złotych nominalnych za okrągłą kwotę dwudziestu tysięcy, z tym że przestanie interesować się naszą spółką i jej sprawami. Taka sobie - drobna kanalia w cenie dwudziestu tysięcy złotych. Transakcja gotówkowa, ponieważ mieliśmy pod ręką pieniądze przygotowane na wypłatę żetonów obecności członków rady

nadzorczej. Zręcznie załatwione, fikcyjnym kupującym był nasz szofer, pan Karol Petras, i oba końce w wodę, jak to się mówi...

Koniec mojej pieśni w tej spółce akcyjnej. Od jutra moje akcje z pierwszej emisji spoczną w niepodzielnych rączkach ciotki Leokadii, której podniesiono wynagrodzenie zastępcy członka zarządu.

Wczoraj nadszedł nowy list z Montreux. Dodatkowe zlecenia, ale równocześnie ciekawostki z Genewy. Pisze Florencja, a ta nie miała nigdy specjalnego nabożeństwa do starego Płatona Dubowa i w ogóle do tamtejszej rodзинki, z wyjątkiem Elzy. Teraz dopiero wyjaśniło się, dlaczego nie przyjechał do Podjasek stary Nik, który się na to wielce cieszył i przygotowywał z flintą, starymi kawałami i ochotą do kartograjstwa. Otóż w przededniu wyjazdu wezwał go do siebie Płaton i prawie przemocą zatrzymał w swoim pałacu. Stary Dubow ma w istocie „kuku na muniu” i jest mocno trącony w lewy mózdzek, słowa z listu Florencji. Płaton kazał przynieść z banku pudełko złotych eagle'i i zasadził swego brata do grywania z nim w domino. Początkowo była to orgia permanentnej gry, po kilku dniach lekarze, nie mogąc całkowicie sprzeciwić się wariatowi, by go nie doprowadzić do wybuchów szału, ograniczyli ilość partii do trzech dziennie. Wygrywa naturalnie z niezmiennym szczęściem stary kpiarz, Nik Dubow. Płaton nie puszcza go od siebie, każe mu nawet spać w swojej sypialni na kozetce.

Przed tygodniem był zjazd synów, córek i zięciów. Rozważali konieczność ewentualnego umieszczenia starego bankiera w jakimś eleganckim zakładzie dla chorych nerwowo. Stało się jednak na tym, aby raczej urządzić taki dom w pałacu Płatona Dubowa. Zainstalowano tam na stałe lekarza, oprócz dotychczasowych dwóch pielęgniarek, przy czym w dalszym ciągu trwa zabawa w domino i złote eagle. Sprawa jest tuszowana i oficjalnie mówi się jedynie o anginie pectoris. Ładna historia!

Ciotka Temmi i Elza mają odpłynąć francuskim statkiem 10 lutego w południe z Hawru. Zdamę je pożegnać, postanowiłam w najgorszym wypadku pojechać wprost do Paryża.

Namawiają mnie na bal w dniu jutrzejszym. Ani myślę, wszystko mi zbrzydło, mam dość Warszawy! Spróbuję jakoś cichutko pożyć w Genewie z tydzień lub dwa. Obraz Brandta i dwanaście krzesel z herbami już nadeszły do Warszawy. Zostaną wysłane w przyszłym tygodniu specjalnym wagonem do Montreux, razem z obrazami i meblami z pierwszego piętra, wybranymi przez Florencję. Dokupiła inne meble i uzupełniła nimi powstałe stąd szczyby w umeblowaniu. W ogóle Jamborowie wynieśli się z pierwszego piętra, na którym króluje już w całości i niepodzielnie nasz profesor i równocześnie konsul wenezuelskiej republiki w jednej osobie. Stryj Józef wyprowadził się całkowicie do Zbójnej Góry, mojego nowego buicka przejął również profesor, rozliczyła się ze mną Florencja. Pełnomocnictwo do działania w imieniu Marcina przepisano ze mnie na profesora. Komorne z domu Hortensji całkowicie w dyspozycji profesora Wydry. Kuchenne gospodarstwo po dawnemu, za to gratisowe mieszkanie na drugim piętrze, zresztą o takich drobiazgach u nas się nie wspomina. Na pierwszym piętrze Karol Petras i jego żona.

Liza mówiła mi, że oni oboje z wielką chęcią przenieśliby się do mnie na nowe gospodarstwo w Genewie, ale jej Karolowi na to „nie pozwalają”. Dziwnie to zabrzmiało. Rozumiem doskonale, ale cóż ja na to mogę poradzić? Ja przecież sama...

Członków rady nadzorczej i zarząd podejmowano tym razem na Mokotowie. Przyjaciółka słodziutka, nic dziwnego, sto sześćdziesiąt tysięcy piechotą nie chodzi, a tę flotę zgarnie do swojej portmonetki dzięki mojej fantazji podporządkowania się stryjowi Marcinowi.

Wyjeżdżam pojutrze wieczorem, już są kupione bilety, za towarzysza mam dr Miliza. Zosia nie mogła się doczekać i pojechała sama. Tym razem zabieram dwa spore kufrы z różnymi fataląszkami i cztery walizy. Będzie kram na szwajcarskiej granicy, ale w tym mam już pewną wprawę i doświadczenie. Do wagonu, który ma odejść z meblami Florencji,

kazałam dołączyć portrety, które wybrałam, oraz biurko po dziadku Jamborze łącznie z zegarem. Trochę poprzewieszałam, a na miejsce starego biurka kupiłam inne, podobne, w antykwariacie na Mazowieckiej. Zegar również. Jakoś nie będzie razić, a zresztą przestaję już powoli myśleć o Warszawie. Nie trzeba oglądać się w tył. Forward!

Zabieram miniatury znalezione w skrytce dziadka. W Genewie mieszka sporo malarzy, skopiują mi, może nawet lepiej niż te, które zostawiam we fiołkowym gabinecie.

Jutro czeka mnie trochę podróżowania po Warszawie. W interesach Marcina. Wszystko osobiście i w cztery oczy. Jest tego sporo i tym razem znów znaczne kwoty. W biurze namawiali mnie - przez kwiatek - aby urządzić coś w rodzaju pożegnania z powodu opuszczenia stanowiska członka zarządu. Wyśmiałam propozycje, powiedziałam, że przecież zostaję w radzie nadzorczej. Jakoś się wykpiłam. Nie mam do tego głowy. W każdym razie kupiłam drobne prezenciki dla biuralistów, papierośnice, pierścionki itp. *Kleine Geschenke unterstützen die Freundschaft.*

Z Pomorza brak wiadomości. Ciotce Katarzynie wysłę telegram ze Szwajcarii, w Bydgoszczy działa „Fleurope”, a zatem kwiaty. Pisała Pelasia, z jednej strony dziękuje mi za zajęcie się Anną, z drugiej wylewa łzy, że nieprędko zobaczy dziecko. Odpisałam, że każdej chwili może zjawić się u mnie w Genewie czy w Eichel i odwiedzić córkę. Problem matki, która zawsze chciałaby mieć wszystkie dzieci koło siebie.

Weksel Zośki na pięćdziesiąt tysięcy płatny 1 marca oddałam do inkasa zgodnie z jej oświadczeniem, że to będzie ostateczny termin. Historie z podatkowymi zeznaniami załatwi za mnie dr Mireski, ma odpowiednie pełnomocnictwa i dokumenty. Jutro przekażą na moje konto siedemdziesiąt pięć tysięcy odszkodowania w związku z przedterminowym zwolnieniem mnie z zarządu oraz sześć tysięcy z czymś za styczeń. Obecnie łączy mnie z warszawskim drewnem jedynie symboliczne dziesięć tysięcy w akcjach jako członka rady nadzorczej. Koniec, amen!

Pozycja majątku Podjaski z przyległościami jest mi znana. Co do mieszkania przy ulicy Hortensji, to kiedyś przy okazji najbliższej bytności w Warszawie powiem mojej ciotce Leokadii:

- Uwważaj, ciotko, to mieszkanko za swoje własne, gdy kiedyś przyjadę, zamieszkać u ciebie w pokoiku gościnnym... - Powiem w sposób podobny, jak to uczynili w swoim czasie Florencja i Marcin.

Środa - 1 lutego

Wszyscy na mnie gwizdnęli. Bardzo dobrze. Leokadia gdzieś na brydżu, ma wrócić dopiero nad ranem. Wieczorem wpadły do mnie: Mireska i panna Walczak. Niby z pożegnaniem. Po zamknięciu za nimi drzwi powiedziałam pokojówce, że już koniec z odwiedzinami na dzisiaj. Wykąpałam się i ubrałam jakiś stary szlafrok. Usiadłam na starym miejscu pod portretem prababki v. Rosenschwerth, którego jeszcze nie zdążyli zapakować, i tak sobie rozmyślałam po trochu o wszystkim.

Później dzwonił profesor, zapowiedział się jutro na obiad. Tak jednak wypadło, że nie mógł mnie dzisiaj odwiedzić, musiał wykończyć jakieś terminowe listy, które mam zabrać do Montreux.

Rozpaczam nowy etap w życiu. Wszystko mam popłacone, nawet owe sto tysięcy przekazane panu Rudolfowi Liteńskiemu za ostateczne odziesienie się ode mnie.

Hipoteka wymazana, obecnie na Podjaskach figuruje jedynie moja córka na pierwszym miejscu z kilkudziesięciu tysiącami złotych.

W sejfie banku pana Fajansa jakiś mały pakiet przygodnych akcji i trzy tysiące złotych dolarów w monetach. Kiedyś zrobiliśmy ze stryjkiem Józefem i Wirewiczem jakiś drzewny interes na boku, zarobiłam, dołożyłam parę złotych do równego rachunku i nabyłam właśnie

te monety. Tym razem, o dziwo, wywożę za granicę legalnie dwa i pół tysiąca dolarów, wystarali mi się o pozwolenie wywozu. Dla oczu... i dla uszu.

Montreux - sobota - 4 lutego

Wszystko szczęśliwie. Jedyna kość niezgody z moją przyszłą ojczyzną - to osiem kilo czekoladek wedlowskich. Nie uwierzyli, że te wszystkie pudełka pochodziły z rąk odprowadzających mnie na dworzec. Celnik zapytał, dlaczego przywożę czekoladki do królestwa czekolady? W naiwny sposób wyjaśniłam, że o tym nie wiedzieli ofiarodawcy. Miliz był niemal zgorzchniony moją żartobliwą rozmową z celnikiem, ci szwajcarscy kalwini nie znają się na humorze i duszą się niemal w sztywnym kołnierzyku surowej powagi. Jeszcze gorzej od Anglików, ci bowiem w towarzystwie swoich ziomków potrafią czasami opowiadać kawały. W każdym razie poszukam sobie na co dzień weselszego towarzystwa w Genewie, a kwakerskie majestaty zachowam od święta. Nie mam zamiaru przemienić się w Genewie w sopol kalwińskiego lodu.

Niedziela - 5 lutego

Marcin zirytowany. Przed dwoma dniami stary Dubow sprowadził do pałacu notariusza i odmienił testament. Pałac z całym urządzeniem zapisał bratu Nikowi i do tego dożywocie sto tysięcy szwajcarskich franków rocznie. W tutejszych warunkach to spokojny dochód od dwóch milionów franków. Podziwiałam Florencję, która przyjęła to najprzód wybuchem śmiechu, potem jednak spoważniała mówiąc:

- To bardzo dobrze. Dla nas nawet wygodniej, że część pieniędzy po starym Płatonie znajdzie się w rękach Nika. Gdy je spuści, tym lepiej. Z innymi spadkobiercami będzie lżejsza współpraca, gdy będą ubożsi o pałac i stutysięczną rentę.

Dzisiaj wieczorem przyjęcie w sąsiedniej willi, jutro bez zbytecznego pośpiechu jedziemy w trójkę samochodem do Genewy. Miliz zabrał z sobą moje kufry, niech i on coś dla mnie zrobi.

Genewa - poniedziałek - 6 lutego

Uprzedziłam, więc wszystko na swoim miejscu. Wzorowy porządek w mieszkaniu, Ruth na posterunku w pokoju służbowym. Na razie obiad w restauracji, zaprosił Marcin. Oni umieścili się w swoim obecnym *pied-a-terre*, to znaczy w garsonierze Elzy. Nie zdążę odebrać mojego nowego paszportu, ponieważ jutro wieczorem jadę do Paryża. Marcinowie zostają, już się pożegnali. Przyznaję, że gdy wróciłam dzisiaj do mojego mieszkania przy ulicy Charlotty, uczułam się jakoś dziwnie. Marcinowie podwieźli mnie pod dom, konsjerżki już nie było i po raz pierwszy włożyłam klucz do zamka w tym moim domu. Weszłam na schody i nacisnęłam guzik od dzwonka elektrycznego. W drzwiach zjawiała się Ruth i dygnęła jak wszystkie pokojówki w bogatych domach. Jedwabna czarna sukienka, białe koronki pod paskiem i także nad czołem. Kąpiel, a później już była taka samotność i cisza, że aż w uszach dźwięczało. Po prostu musiałam się wstrzymać, aby nie podjąć słuchawki i nie sprawdzić, że w odległości dwóch kilometrów mam w tym mieście kogoś bliskiego.

Paryż - środa - 8 lutego

Gdy wróciłyśmy późnym wieczorem do domu, zastałyśmy telegram: dzisiaj w nocy zmarł Płaton Dubów. Wiadomość nie zrobiła specjalnego wrażenia na naszych kuzynkach. Ciotka Temmi coś mruknęła pod nosem w rodzaju: - Przynajmniej n u; zdąży popelnić dalszych głupstw. - A Elza powiedziała obojętnie:

- Na pogrzebie nic nie pomożemy, o testamencie i tak dowiemy się, a w Nowym Jorku czekają na nas. Śmierć nie może przeszkodzić w wyjeździe, następny statek byłby nie wiadomo kiedy.

I na tym się skończyło, nie jadą na pogrzeb. Co kraj, to obyczaj, ostatecznie stary Płaton to tylko brat matki Mrs Maltz. Z Elzą gorzej, córka, ale to jest bardzo podobne do wszystkiego w jej życiu. Nie odezwałam się ani słowem, między krewnych czy rodzinę nie należy wkładać palców, to ich sprawa, a ja jestem w gruncie rzeczy dla nich całkiem obca. Gdy zapytałam, czy mam wrócić do Genewy, by wziąć udział w pogrzebie, Elza odparła:

- Chyba nie, Anno, tam i tak będzie sporo zamieszania. Dopóki żył ojciec, trzymał wszystkich mocno w garści, obecnie pogryzą się między sobą. Gdy umarła moja babka i zapisała mi prawie wszystkie kamienice, od razu zrobił się gwałt w rodzinie i nastawili się do mnie nieżyczliwie. Domagali się, abym się zrzekła spadku. To samo było po śmierci naszej matki. Nie mam zamiaru przeżywać tego po raz trzeci. Obaj moi bracia są chciwi na pieniądze. Georga jeszcze rozumiem, ponieważ ma czworo dzieci, ale Mikołaj jest bezdzietny i na nic się nie zapowiada z tą rosyjską Żydóweczką. Moja siostra Katarzyna wierzy jedynie w swego syna, obecnie jednak, gdy go w banku zdystansował wasz Marcin, siostra jest zła i ona właśnie nastawała na to, by ojca umieścić w sanatorium po odebraniu mu własnej woli. Co do mnie, to powiedziałam im w oczy, że nasz ojciec może zapisać majątek komukolwiek, nawet którejś z pielęgniarek, gdyby mu przyszła taka ochota i gdyby to miało mu sprawić ostatnią przyjemność w życiu. Zobaczysz, że oni zakwestionują jeszcze pałac i rentę Nika, uwikłają się w długotrwałe procesy. Ja pragnę w tych wszystkich skandalach pozostać na uboczu. Gdy zajdzie potrzeba, poprę stryja Nika. Całe życie nim poniewierali, a nasz ojciec zrobił z niego domowego błazna. Przyjadę nawet specjalnie z Ameryki, aby bronić jego spraw! Cała jednak nadzieja w tym, że Bracia z Łoży nie dopuszczą do awantur i uciszą moje rodzeństwo.

Sam Paryż śliczny jak zawsze, mimo że dzisiaj prószyl śnieg z deszczem i nie można było gapić się na wystawy sklepowe, co bardzo lubię. W tym chyba nigdy się nie zmienię. Gapienie się na wystawy sprawia mi co najmniej tyle przyjemności, ile wchodzenie do wnętrza sklepu. Po wejściu człowiek zajmuje się czymś konkretnie. A ja przepadam za łażeniem po ulicach Paryża, interesują mnie nawet małe sklepiki w bocznych i zapomnianych uliczkach. Lubię wejść do pierwszego z brzegu bistro i po zażądaniu kieliszeczka jakiegoś płynu łącznie z czarną kawą przyglądać się życiu z bliska. Czasami mnie zaczepiają, biorą za amatorkę przygód. Zdarzało się, że podchodzili do mnie alfonsi, gigolacy itp. Ale przecież w jasny dzień nie można nawet w Paryżu tak od razu kogoś zabić, porwać czy dopuścić się jakiegoś gwałtu. W rozmowach poznaje się język, jakiego nie ma w książkach, bada się obyczaje na żywo, na własne oczy. Co najwyżej dochodzi do tego koszt zafundowania typowi calvadosa czy koniaku lub pożyczania jakiegoś wagabundzie pięciu czy dziesięciu franków. Ponieważ może być mowa jedynie o pożyczce. Typy w rodzaju bohaterów Murgera żyją jeszcze dotychczas na przedmieściach Paryża. A bukiniści? A Quai des Fleurs, po to samo chociażby warto przyjechać do Paryża.

Ale trzeba iść spać. Tutaj w pawilonie przy Rue du Pont Vert nic się nie zmieniło. Ten sam pokój gościnny zwany pokojem Florencji i ta sama artystyczna masa ciała kobiecego na kopii Fragonarda.

Tym razem zostanie kilka dni w Paryżu. Nikt mnie nie goni, w Genewie są zajęci innymi sprawami. Patrycja robi się co prawda w ostatnich czasach dziwnie pospolita, ale na to nie trzeba zwracać uwagi. Zawsze można słuchać, gdy ktoś paple, nie potrzeba jednak koniecznie podążać za jego myślami.

Czwartek - 9 lutego

Przed południem długie rozmowy z Elzą. Kto, co, jak, gdzie i dlaczego. Adresy i przekazywanie różnych otwartych drzwi i przyszłych znajomych, którzy podobno już wiedzą o mnie. Po południu kilka osób w gościnie. Na dworcu hałaśliwe towarzystwo Mrs Temmi. Za kilka miesięcy mam zjawić się u nich w Nowym Jorku. Szlaki moich wędrówek wydłużą

się. Opowieści o nieco odmienną rolę, jaką mi przeznaczają. Elza przeważnie zdobywała nowe kapitały, ja na odmianę mam je umieszczać.

Dalszy ciąg różnych niedyskrecji rodzinnych. Krewni szwajcarskich krewnych Elzy. Rodzina Benderów pomieszana ściśle z Mendesami, którzy przywędrowali tutaj z dalekiej Hiszpanii. Posmak historii sprzed dwustu i trzystu lat. Hugonoci na wygnaniu. Ciotki Temmi nie było podczas tych rozmów, bujała po Paryżu razem z Patrycją.

Francuskie kuzynki wyjechały i zostałam sama na placu. Florencja w planie jako uniwersalna rezerwa, ale ona ma również inne - własne zadania, Cała najważniejsza reszta - w mojej własnej głowie, ponieważ są rzeczy, o których się nie pisze i o których przypomina się tylko wówczas, gdy są potrzebne.

Piątek - 10 lutego

Leżę. Jutro również. Prawie cały dzień Patrycja dotrzymywała mi towarzystwa. Takie sobie babskie gadania, jakich nic lubię. Elza opowiedziała mi historię ludzi, z którymi zetknę się od strony sznurków, wprawiających ich w ruch, Patrycję interesują jedynie ich słabostki.

Jutro w Genewie pogrzeb starego Płatona. Po wyjeździe ciotki Temmi w pawilonie spokój i cisza. Czwooro służby, ale prawie jej nie widać. Temmi zabrała z sobą francuskiego sekretarza, owego starszego pana z Legią Honorową w klapie nieskazitelnie wyglądającego zakietu. A zresztą, co mnie to wszystko obchodzi! Elza powiedziała mi, że będę miała lżejszy żywot od niej. Ona podobno musiała wybijać sporo drzwi, gdy się rozkręcały na świecie interesy jej ojca. Ja będę jedynie naoliwiać kółka w mechanizmie, który już się kręci. Zobaczymy.

Zapytałam Patrycję obcesowo, dlaczego nie wychodzi powtórnie za męża. Roześmiała się, a później powiedziała mi szczerze, że jej wygodnie bez męża. Mąż - to tysiące kłopotów, upilnować trudno. Dzieci ma - to jej wystarcza.

Patrycja to taka sobie haremowa hurysa na emeryturze. Sułtanowie nie ukręcili jej karku. Owszem, bardzo miła i serdeczna, ale niczego więcej nie mogę się po niej spodziewać. Powiedziała mi:

- Już skończyłam 44 lata.

Zabrzmiało to jak słowa artystki, która wycofała się ze sceny i pociesza się wieńcami laurowymi, zawieszonymi na ścianie sypialni, w wypadku Patrycji - sporą szkatułką biżuterii i książeczkami czekowymi.

Opowiedziała mi historię trzech synów babki Elzy Dubow, tych, którzy zostali wykiwani ze spadkiem. Nie umiała mi jednak wyjaśnić, co skłoniło ową babkę do zapisania prawie całego majątku wnuczce po córce. Synowie dostali jedynie po jednej kamienicy i sto tysięcy franków w gotówce. Dlaczego Elza pomimo takiego bogactwa nie urządziła sobie życia jakoś inaczej - tego Patrycja również nie umiała mi wytłumaczyć. Według niej - Elza zawsze była narwana.

Czy Patrycja ma kochankę? Prawdopodobnie, przecież w jej życiu musi być ostatecznie coś, co ożywia jej mocno ociężałe ciało. Marcin? Nie, wyraźnie mi to powiedziała. Zamknięta przeszłość.

Niedziela - 12 lutego

Dzisiaj obudził mnie telefon. Dzwonił Wirewicz, prosto z pociągu. Początkowo wystraszyłam się, ale to było głupstwo. Patrycja zaprosiła od razu na drugie śniadanie. Po południu wędrowaliśmy w trójkę po Paryżu, wieczorem wylądowaliśmy nawet w rosyjskim kabarecie. Odnowiony, również nowi ludzie. Te same jedynie dekoracje teatralne i błazeństwa z czerkiesami i chórami. Jutrzejszy dzień poświęcony interesom z młodym Kreissem. Ani mnie ziębi, ani grzeje. Jutro spotykam się z Władkiem na osobności, ma zadzwonić. Na razie odbija mi się po późnej kolacji. Kaukaskie szaszłyki - to jednak

świństwo, nie na moje wydelikaczone i mocno sfrancuziałe podniebienie. Przydałoby się jakieś piórko flaminga.

Poniedziałek - 13 lutego

Róż od młodego Kreissa nie liczę. Władek zwierzał mi się w kawiarence, że jego żona ma kochanka. Naturalnie ów major ze sznurami. Udałam zdziwienie, zapytałam z miejsca, czy on nigdy nie miał kochanek. Zbaraniał, lecz powiedział mi szczerze: - To się nie liczy. - Ja z kolei się roześmiałam i niezwykle cynicznie zauważyłam, że lepiej zatrzymać pięćdziesiąt procent w dobrym interesie, niż się z niego po tylu latach wycofywać. Już poważniej wskazałam mu na dzieci, na stosunki, znajomych i przyjaciół, którzy się do nich obojga przyzwyczaili jako do małżeństwa.

- Dlaczego mielibyście komplikować nam sytuację?
- A co mam robić - pytał naiwnie jak małe dziecko.
- Nic, absolutnie nic, w miarę możliwości usuwać się z drogi i niczego nie zmieniać.
- Nie spodziewałam się po tobie takiej rady.
- A co miałabym doradzić?

Jakże śmieszni są mężczyźni, gdy użalają się przed innymi kobietami na własne żony.

- A więc mam cierpieć w milczeniu? - wyrwało mu się.
- A któż ci każe cierpieć? Czy nie lepiej pocieszać się na boku, jak dotąd zapewne. Tak trzeba lawirować, aby nic wydać się śmiesznym. Od kiedy to się ciągnie? - zapytałam z ciekawości.

- Od roku, od jakiejś Krynicy.
- Ależ to głupstwo, takie rzeczy u kobiet przemijają. A ten major, czy ma żonę?
- Ma i dwoje dzieci.

Roześmiałam się szeroko. Dobrze, że to było w małej kawiarence, rojnej, rozbawionej, i nie zwróciło niczyjej uwagi.

- A czy ty, Anno, masz również kochanka?
- Owszem - odpowiedziałam - współcześnie aż dwóch, z którymi dotychczas nie zerwałam.

Zdziwił się. Może pomyślał sobie w tej chwili: jeżeli jest dwóch, to może i ja zmieszczę się jako trzeci? Ale uprzedziłam taką akcję i powiedziałam bezwstydnie:

- U mnie kochanek to tylko wówczas, gdy mnie się zechce i gdy zadzwonię lub wyślę telegram.

Wirewicz popatrzył na mnie w jakiś dziwny sposób i na tym zakończyliśmy poufale rozmowy. Odwiozł mnie na ulicę du Pont Vert i paryskim obyczajem usiłował pocałować przy pożegnaniu. Wysunęłam mu się z uścisku i powiedziałam niesłychanie drwiąco:

- Ależ Władku? Czy to warto? Przecież nie uwodzi się kobiet, które się zna od dziesięciu lat.

Zgłupiał, a ja tymczasem powiedziałam: adieu i zniknęłam w bramie.

Czybym się jemu oddała? Może nie, a może i tak. Chyba z ciekawości, ale tylko, gdyby nie groziły mi jakieś głupie konsekwencje. Władek należy jednak do tych śmiesznych mężczyzn, którzy w takim stosunczku widzieliby pretekst do przywiązania się do nowej kobiety. A małżeństwo z tym legionowym generałem, któremu w Podjaskach pijani oficerkowie mówili: - jak się masz, brachu - nie dla mnie. Na razie najlepsi są jacyś kochankowie anonimowi. Na przykład pan Jerzy z Torunia. Mężczyzna bez twarzy, bez oblicza.

Wtorek - 14 lutego

Wirewicz proponował mi telefonicznie dwa dni w Londynie. Lecą tam jutro rano, on i młody Kreiss. Głupiec, tego byłoby jeszcze potrzeba, aby widziano mnie w takim

towarzystwie. Wycofałam się z udziału we wszystkich prowizjach, a miałabym się włączyć po lokalach. Stuknęłam dwa razy słuchawką telefoniczną o biurko i powiedziałam mu, że właśnie puknęłam się w głowę, która mi doradziła, aby tego nie robić. Zbaraniał w telefonie, ale po chwili przyznał mi rację, mówiąc, że jestem mądrzejsza od niego. Zawsze o tym wiedziałam - bez niego. Pozbyłam się głupca.

Genewa - czwartek - 16 lutego

Dzwoniła Florencja, aby wrócić, i wróciłam. Sporo zmian w rodzinnym świątku. U siebie zastałam Matyldę, zrobiła mi przyjemność i zajęła od razu do mnie. Trudno pisać, przyjaciółka wypełnia mi cały czas. Jutro rano jedziemy do Lozany załatwić moje szwajcarskie dokumenty. Marcin, Florencja, Matylda i ja. My zostaniemy u babci Wieroczki, Marcin wraca po południu do Genewy.

Eichel - sobota - 18 lutego

Wyrwałam się na jeden dzień, aby odpocząć po rodzinnych rozmowach. Do Genewy wrócę dopiero w poniedziałek wieczorem. Umieściłam się na mojej górcie, tutaj czuję się najlepiej.

Pogrzeb nieważny. Cała rodzina w komplecie wraz z przyjaciółmi. Dwóch notariuszy, rodzina Milizów dobrała sobie własnego. Jakoś nagle stracili zaufanie do bankowego. Całość majątku Płatona Dubowa wyniosła osiemnaście milionów i dwieście z czymś tysięcy. Testament pochodzi z roku 1932, kiedy trudno było odmówić Dubowowi pełni władzy umysłowej. Wszystkie następne kodycyle stale nawiązywały do tego właśnie testamentu. Pierwszy z tych zapisów w wysokości dwóch milionów franków szwajcarskich dla doktora Martina Jambora pochodzi z roku 1935 i jest zaopatrzone uwagą, że suma ma zostać zużyta przez wielce szanownego doktora zamieszkałego w Montreux, w domu własnym, na cele jemu osobiście wiadome. Pozycja całkowicie zrozumiała i nie do zaczepienia przez rodzinnych spadkobierców. Reszta spadku zostanie podzielona na dwie równe części, dla rodzeństwa Płatona, to znaczy siostry Wieroczki i brata Nika, oraz druga połowa do podziału pomiędzy dwóch synów i dwie córki zmarłego. Ostatni kodycył w postaci zapisania bratu Nikowi pałacu w Genewie wraz z całym urządzeniem oraz stu tysiącami rocznej renty mógł być rozumiany jako część osobno wydzielona. W tym ostatnim wypadku dzieci Płatona Dubowa otrzymałyby do podziału tylko pięć milionów i trzysta tysięcy zamiast ośmiu milionów. Ale stary Nik po szlachecku machnął ręką na te dodatkowe możliwości prawnicze z roku 1932, z tym że zgodnie z ostatnią wolą brata przyjmuje pałac w określonej wartości. Ta sprawa zatem została gładko załatwiona dzięki szerokiemu gestowi emigranta, który plunął na genewskie kalwiny. Tak to określiła Florencja, naturalnie w rozmowie ze mną w cztery oczy.

Natomiast pogryzło się rodzeństwo. Najstarsza córka Płatona, zamężna za dr Milizem, lozańskim lekarzem, rodzice młodego Miliza z banku oraz syn Georg, budowniczy zamieszkały w Genewie i ojciec czworga dzieci, pożarli się ze starszym synem Płatona, Mikołajem, lekarzem również z Lozanny, ożenionym z ową rosyjską Żydówką, której rodzina stale wytyka bezpłodność. Jeżeli chodzi o najmłodszą Elzę, to w tym wypadku nasz Marcin przedłożył notarialne pełnomocnictwo do kompletnego działania, datowane sprzed roku. Ponadto Elza w momencie wyjazdu do Ameryki w osobnym piśmie adresowanym do notariusza potwierdziła tę plenipotencję.

Burzliwe rozmowy trwały trzy dni. W końcu arbitrowie rozsądzili sprawę. Nieporozumienia rodzinne nie wyszły poza obręb kancelarii notariusza, a to ze względu na interesy banku. Najstarsza siostra Katarzyna i młodszy brat Georg otrzymali wartości po dwa miliony franków szwajcarskich, a w ciągu jednego roku mają dostać po milionie franków za wycofanie się z banku Płatona Dubowa. Zgodnie z ustalonym jeszcze za życia Płatona

porządkiem głową banku pozostaje w dalszym ciągu niepodzielnie nasz Marcin. Oboje rodzeństwo, Nik i Wieroczka, mają się zainstalować w genewskim pałacu i każde z nich będzie otrzymywało po sto tysięcy franków rocznie. Cała reszta majątku pozostaje w dalszym ciągu we wspólnym zarządzie.

Wieroczka dziwnie rozjaśniona, natomiast Nik po raz pierwszy w życiu poważny i skupiony. Oboje widziałam w Lozannie, gdzie Wieroczka urządziła coś w rodzaju pożegnania przyjęcia. Naturalnie rosyjskie dania. Tamtejsza willa jest własnością naszej Florencji, rozliczenia pomiędzy obu siostrami po śmierci starego generała. Zosia Wirewiczówna zostaje tam do końca roku akademickiego, gospodarstwo bez zmian, mimo iż Wieroczka przenosi się na stałe do Genewy.

Oni są zadowoleni, że pozbyli się dwóch członków rodziny, którzy byłiby im mącili wodę. Lekarz Mikołaj Dubow jest zainteresowany wyłącznie w wysokości rocznych zysków, ponadto od lat przyjaźni się z naszym Marcinem. Wieroczka i Nik - to nie jest problem, a z Elzą bez kłopotu. W ten sposób bank jest w rękach naszego Marcina. Florencja powiedziała mi, że kapitały rodziny Dubowów stanowią w banku jedynie kroplę wody wobec innych depozytów i kapitałów obrotowych, ale aby tym wszystkim obracać i kierować, trzeba mieć jednak bank w swej wyłącznej dyspozycji.

Miliz kończy karierę w genewskim banku za jakieś dwa do trzech miesięcy. Na jego miejsce przychodzi postać dla mnie całkiem nowa. Jacob Mendes z Rotterdamu. Na razie nie wiem nic bliższego o nim, prócz tego, że to wnuk jednego z braci owej babki, która tak hojnie obdarowała Elżę. Babka była z domu Mendes, a wyszła za męża za szwajcarskiego Bendera, z którego córką ożenił się Płaton Dubow po osiedleniu się w Szwajcarii. Testament z roku 1932 nawiązuje do bardzo dawnych lat i Płaton wspomina w nim wyraźnie: „W roku 1892, gdy miałem poważne trudności finansowe w związku z rozszerzaniem agend naszego banku, moja siostra Wiera wspomogła mnie kwotą dwustu tysięcy rubli, która dana przez nią do moich rąk, nie została przeze mnie rozliczona z siostrą w jakiegokolwiek postaci do dnia dzisiejszego”.

Wszystko już zrozumiałe. Co do brata Nika, stary Płaton napisał w tymże roku 1932: „Zapisuję bratu Nikowi czwartą część mego majątku, nie stawiam mu jakiegokolwiek ograniczeń i nie daję żadnych rad. Może postąpić, jak będzie uważał za najlepsze i jemu osobiście wygodne czy przyjemne”.

Ciekawy jest świat ludzi bogatych. Tyle o spadku po starym Platonie. Widocznie i on miał w sobie jakiegoś chochlika, którego nie zadusiły pokrewieństwa kalwińskie czy żydowskie. W dodatku zapis dwóch milionów dla Marcina, tego jednego podobno nikt nie kwestionował. Również rzecz zrozumiała.

Moje sprawy osobiste. Marcin, nie uprzedzając mnie o tym, ściągnął potrzebne dokumenty i moje szwajcarskie obywatelstwo łączy się z paszportem wystawionym na nazwisko: Anna Jambor de Jamsborg-Hermsdorf.

Moje „de” w paszporcie - z powodu francuszczyzny kantonu Vaud, który po niemiecku nazywa się Waadt.

W poniedziałek przedłożę mój nowy paszport u tutejszych władz bazylejskich, a we wtorek spotykam się z Marcinem w Bernie. Trzeba będzie zwrócić polski paszport i uzyskać wizy na prawo wjazdu do Polski. W dodatku dwie obce wizy, niemiecką i angielską, ponieważ na ogół inne wizy nie są potrzebne w szwajcarskich warunkach zgody z całym światem. Tyle.

Jutro około południa przyjeżdża do Bazylei pani Horodyńska z małą Anną. Da sobie znakomicie radę beze mnie, oprowadzać jej nie potrzebuję. Moja Marta, już widzę, urwie mi głowę, gdy się dowie, że kręcę się w pobliżu, a do niej nie zajrzałam.

Czerwonej Łopaty nie ma w Eichel, wyjechał na jakiś kongres w Mediolanie.

Swoją drogą to staroświeckie łoże w niszy jest bardzo wygodne, zwłaszcza w zimie. Nocuję w prawie pustym domu. Służąca śpi w jednym z pokoików w podwórzu. Ale to nie jest tutaj groźne, nikt mnie nie napadnie.

Niedziela - 19 lutego

Pomysł z kalendarza mariańskiego. Jechali przez Poznań, ponieważ doczepił się szwagier Tuchołka. To miała być dla mnie niespodzianka, w istocie trudno inaczej nazwać, tylko że w innym sensie. Musieli mu specjalnie napalić w gabinecie, śpi na mojej starej kanapie z poznańskiego mieszkania doktora Michalskiego. Zdążyli na niedzielny obiad u Margot, pociąg przybył około jedenastej w południe. Z drugiej strony trudno się dziwić ojcu, że pragnął odwiedzić swoje dziecko na miejsce. Niemądry list Pelasi, że powierza mi dziecko, list w stylu piętnastoletniej panienki.

Plotki domowe, cóż mnie to obchodzi? Już powiedziałam szwagrowi, że we wtorek wyjeżdżam, tłumaczyłam to mymi nowymi obowiązkami zawodowymi. Chciał, żebym mu wszystko wyjaśniała, dobry sobie z taką ciekawością. Nie mógł się nadziwić, że będę dyrektorem w zagranicznym banku. A ile będą mi płacić? Jeszcze przed obiadem obleciał dookoła moją tutejszą posiadłość. Chciał wiedzieć, ile to kosztowało. Na odczepnego powiedziałam mu, że prawie sto tysięcy. Uwierzył. Dopytywał się o „jego” książki zabrane z kresowego pałacu. Ma zamiar zostać dłużej w Szwajcarii, mówi o dwóch tygodniach. Bardzo proszę, nie mam nic przeciw temu, ale zapowiedziałam, że wyszukaniem nauczycielki zajmie się pani Horodyńska. Może uda się ściągnąć pannę Rose? To byłoby najlepiej. Jutro zadzwonimy do Zosi w Lozannie, ona utrzymuje z nią stosunki.

Ależ niespodzianka! Dobrze przynajmniej, że pani Horodyńska pamiętała o czekoladkach dla Hornów, na odmianę z krakowskiej fabryki Piaseckiego, ale niezłe. Szwagrowi czekoladki nie wbiły się w głowę, przyjechał z pustymi rękami. Po drodze natomiast nakupił sporo niemieckich papierosów, leciał na blaszane opakowania i miał przykrości na granicy.

Moje dęby. Wszystko mocno przysypane śniegiem. Śnieżna bajka. Oko nie zatrzymuje się na murku, którego już nie ma. Siatka odgradzająca mnie od Mr Foxa rozplywa się, nie widać jej. Swoją drogą takie gesty nie byłyby możliwe u nas w Polsce. Tak mi się napisało po dawnemu, u... nas. Ale mimo wszystko wiele moich myśli będzie wracać do kraju, w którym się urodziłam i który mnie wychował. Ojczyzna z urodzenia i ojczyzna z wyboru. Nostalgia. Na razie jej nie odczuwam. W dodatku z polską ojczyzną łączą mnie Podjaski. Lasy, skałki, poręby. Polowania i jeleni szlak z Węgier. Czy w przyszłym roku urządzę polowania w Podjaskach? Bo w tym roku Boże Narodzenie spędzimy zapewne tutaj. Matylda zaprasza nas wszystkich do swej willi w Davos. Florencja od czasu wiedeńskiego nieszczęścia jest dla niej jakaś serdeczniejsza. Ale i tak powiedziałam wyraźnie Kaczmarkowi i Chwiłowiczowi: - Jeżeli nawet nie przyjadę, nie należy nic zmieniać w Podjaskach! Te same dni polowań, takie samo podejmowanie sąsiadów i taki sam bal sylwestrowy jak od lat.

Mała Anna wytrzymała podróż dość dzielnie. Dziecku Rabka dobrze zrobiła. Już mówiłam z Florencją. Gdyby bazylejski klimat okazał się zbyt surowy, przyślą samochód i umieszczą dziewczynkę wraz z jej przyszłą nauczycielką u siebie w „Acacii”. Montreux posiada w zimie bardzo łagodny klimat.

Później być może pochłoną mnie inne kraje - inni ludzie. Inna mowa nawet, przecież od miesięcy wkuwam hiszpańskie słówka, starym obyczajem po dziesięć i dwadzieścia dziennie. Może lata i dni przebyte w innych warunkach zmieniają mi mowę.

Poniedziałek - 20 lutego

Koło południa przysłano wiązanek róż z biletem. W tym czasie latałyśmy po Bazylei we dwie ze starszą Margot. Ujęłam za słuchawkę telefonu, sekretarz, ale gdy powiedziałam

nazwisko, od razu znalazł się sir William. W godzinę później zjawił się sam osobiście. Poważny, skupiony, ale z błyskami radości w oczach. Dobrze, że dzisiaj kazałam napalić w całym domu. Dzisiaj i we wszystkie inne dni, już wydałam takie polecenie. Podziękowania za jelenie i za miłe chwile. Za sposobność poznania świata, o którym co prawda wiedział, że gdzieś istnieje, ale o którym nigdy nie myślał, aż do momentu poznania mnie. Czy to komplement? Jeżeli tak, to bardzo znaczne postępy w życiu Williama Foxa Esq.

Gdy wspomniałam, że obecnie częściej będę zawadzać o Eichel, gdyż całkowicie przeniosłam się do Szwajcarii, z zaciekawieniem podtrzymał rozmowę i zapytał, gdzie się na stałe urządziłam? Mówiłam naturalnie o Genewie, podałam adres przy ulicy Charlotty, wspomniałam przy sposobności, że zostanę tam do końca tygodnia. Przypuszczalnie złoży mi wizytę w piątek. Pytał, gdzie zamierzam wyjechać później, wspomniałam o londyńskich interesach. Ofiarował się z miejsca z gościnną u siebie, dodał, że w jego londyńskim „domku” króluje daleka krewna po matce, wyglądało to bardzo nobliwie. Lekko przeszłam nad tym mówiąc o bardzo bliskich krewnych w Londynie. Krewni w drzewie, tak to określiłam, na co Mr Fox przypomniał mi z uśmiechem, że jego finansowe zainteresowania utknęły głównie w bawelnie i jedwabiach. Gładko to powiedział, nie czuło się żalu we wspomnieniach o tych właśnie... jedwabiach.

Rozmowa nie trwała długo, bo gdy przybył, byliśmy wszyscy zgromadzeni w salonie. Margot i pani Horodyńska wycofały się dyplomatycznie i jedynie szwagier Tuchołka wytrwał do końca wizyty. Siedział jak na tureckim kazaniu, rozmawialiśmy bowiem po angielsku. Mała Anna była bardzo grzeczna, nawet wyjątkowo śmiała. Udało się jej sklecić kilka zdań po francusku, z których wynikało, że tego pana widziała już w Podjaskach ze strzelbą i psami. Trochę jej pomogłam, jakoś wypadło. Szwagra zaprezentowałam jako starostę, przeskoczyłam nad jego dumą... Mała - jako córka chrzestna. Sir William pamięta, że moja córka kształci się w internacie w Annecy. Powiedział nawet jej imię, Marta. Widocznie nasza mała nie wystraszyła się w Podjaskach angielskiego lorda czy sira. A więc w piątek - w Genewie.

W merostwie powiedzieli mi w sposób miły:

- Zdradziła nas pani, Frau von Jamsborg, trzeba było wytrwać przy naszej Bazylei.

Tłumaczyłam się stryjkiem, rodziną w kantonie Vaud i tak dalej... Śmiali się naturalnie.

Jutro wstaję o szóstej rano. Na razie jakbym się pożegnała. Gospodarstwo zdałam całkowicie w ręce pani Horodyńskiej. Upoważniłam ją w banku do korzystania z mego konta. Zgodnie z jej życzeniem rozliczyłam się z rabcańskich historii pensjonatowych.

Pani Horodyńska wystąpiła ze spółki pensjonatowej, ma zamiar urządzić się za granicą. Dla mnie bardzo wygodnie, to naprawdę wartościowy człowiek. Co do reszty, porozmawiamy przy okazji, wyraźnie to zaznaczyłam. Zawsze mi się przyda, na razie opieka nad Anną, gospodarstwo w Eichel, prace nad uporządkowaniem przyszłej biblioteki, mnóstwo tytułów do wypłacania jakiegoś wynagrodzenia, które również sama określi po rozejrzeniu się na miejscu.

Montreux - wtorek - 21 lutego

Berneńskie historie załatwione. Gdybym zechciała, mogłabym korzystać z podwójnego obywatelstwa. Nie reagowałam na to i podobnie jak w swoim czasie Marcin, zatrzymałam się wyłącznie na szwajcarskim. Bardzo grzeczne rozmowy, ponieważ byłam z Marcinem. Siedzieliśmy na Elfenstrasse w poselstwie. Jakiś radca co prawda wyjechał z tym, że właściwie winnam przedłożyć zaświadczenie władz skarbowych o uregulowaniu w Polsce wszystkich podatków, ale wdzięcznie się uśmiechnęłam:

- Ależ, panie radco, ja bynajmniej z Polski nie uciekam, zatrzymuję tam w dalszym ciągu majątek ziemski, około dwóch tysięcy hektarów.

Poseł zmarszczył się, a radcy zrobiło się nieprzyjemnie, że wyskoczył nie w porę ze swymi uwagami biuralisty. Zresztą było więcej uśmiechów niż słów. Marcin prezentował mnie już jako dyrektora do spraw zagranicznych w naszym banku. Po południu byliśmy podejmowani herbatą w gościnnym domu pana pośła, wymówiliśmy się tylko od wieczoru ze względu na samochodową podróż do Montreux i jutrzejszy wyjazd dalej, do Genewy.

A więc wszystko według programu, niemal jak w bajce: stoliczku, nakryj się! Po drodze Marcin kładł mi do głowy różne wiadomości i informacje, które mogą mi się wkrótce przydać.

Jutrzejszy dzień spędzam w „Acacii” na samotnym dolce far niente z Florencją, pojutrze rano jadę do Genewy. Marcin bardzo uważający i nobliwy, prosił Florencję, aby jutro zaraz z rana zadzwoniła do Eichel i zaprosiła do „Acacii” Piotrusia Tuchołkę. Ano... Była mowa o zaproszeniu całej trójki, pani Horodyńska - zdaje się - na razie dosyć podróżowania, zresztą sprawa zdrowia małej Anny. Niech na razie nie forsuje płuc zmianami zimowych temperatur.

Genewa - czwartek - 23 lutego

Południowe śniadanie wspólnie z Marcinem w restauracji. Na razie nie rozkręcam większego gospodarstwa przy ulicy Charlotty. Trochę przygotowań do jutrzejszej wizyty sir Williama. Równocześnie jutro przyjęcie w pałacu Dubowów. Wieroczka i Nik w roli gospodarzy. Zjawi się też ów Mr Jacob Mendes z Rotterdamu. Jak mówi Marcin - dobrze odżywiona kopia Henryka Heinego, w doskonale skrojonym ubraniu żakietowym, z jeszcze doskonalszą od siebie holenderską żoną z rodziny kakaowej. Na razie jednak bez żony, przygotowali mu apartament w pałacu po starym Platonie. Lekka przesada, po prostu dwa pokoje z oddzielną łazienką i śniadanie przynoszone do łóżka przez kostiumowego lokaja. Drugie śniadanie w mieście, taki tutaj obyczaj, a wieczorny obiad na modłę angielską z przebieraniem się. Wieroczka jemu tego nie przepuści i nie daruje.

Skąd się nagle wzięło tyle powagi i godności w Niku Dubowie? Nie poznałam go prawie dzisiaj. Spotkaliśmy się w banku. Zapowiedział się u mnie z odwiedzinami.

Jutro rano przymocują na drzwiach mieszkania tabliczkę z moim nowym nazwiskiem.

Nadeszło kilka listów. Jeden z Warszawy, inne przedadresowane z zagranicy. Dwa na raz z Ameryki, od stryjka Juliusza i od Heinrichów. Cieszą się z zapowiedzianego przyjazdu paryskich kuzynek, właściwie piszą o Elzie, ciotki Temmi prawie nie znają. Obecnie, gdy się im nie płacze w domu pani von Lewald, od razu nawiązali poprawne stosunki z Eibenschutzami, widocznie szybko się amerykańniają. Już znają przybliżoną datę mojego przyjazdu do Nowego Jorku, widocznie via stryj Józef. Piszą o wyrazach uznania Brunhildy dla mojego zagospodarowania się w majątku Podjaski.

Dzisiaj ustalałam stan moich rachunków w banku: 45 742,75 szwajcarskich franków, 3750 dolarów na rachunku i osobno nienaruszony depozyt dwudziestu pięciu tysięcy dolarów w złotych monetach. W akcjach wartości około dwudziestu dwu tysięcy franków. Nie rozliczone jeszcze warszawskie zadłużenie Marcina. W Paryżu mam w dalszym ciągu około czterech tysięcy dolarów na koncie w Credit Lyonnais. Przed wyjazdem z Warszawy Elfyda przysłała mi trzy cyfry londyńskie: udział w tamtejszym drzewie sześć tysięcy, gotówka w bankach dwa tysiące sześćset - pytała, co z nią zrobić - a moje Vickersy przedstawiają obecnie wartość ponad dwudziestu sześciu tysięcy funtów szterlingów. W Sztokholmie leży 334 tysiące koron z końcówką, nadesłali mi obliczenie per ostatni grudnia. Psiakrew, właściwie głupstwo zrobiłam, trzeba było nie zabawiać się w powieściowe typy, można było uszczknąć jeszcze te ostatnie sto sześćdziesiąt tysięcy. Marcin by się może nie dowiedział, chociaż z drugiej strony takie „może” zawsze jest niebezpieczne. Zresztą pal diabli, było, nie było, nie ma! Jakoś wyżyję bez tego, a słowo się rzekło.

To, co wymieniłam, a z czym zaczynam nową karierę zagraniczną, to samo w sobie już majątek. No i trzy domy w Genewie, posiadłość w Montreux, stary dom chłopski i dęby w

Eichel. W dodatku zadłużenie Marcina u mnie! Dla niego to zapewne niewielki drobiazg, lecz dla mnie wielka przyjemność. Do miliona dolarów brakuje mi dwustu tysięcy złotych. Dziecinna radość, ale właśnie tak jest dobrze. Marcin powiedział mi dzisiaj, że do połowy roku mogę bujać; gdzie dusza zapagnie, ale później czeka mnie ważna podróż do Ameryki, a w jesieni haróweczka, na razie tutaj na miejscu.

Gdy wrócę do Warszawy - tym razem na krótko - trzeba będzie zająć się przerwaniem tamtejszej gotówki do Genewy.

Sobota - 25 lutego

W charakterze przyzwoitki Florencja, niby przypadkiem. Rozmowy, wspomnienia, opowieści. Grzeczne zaproszenie naprzód do wzięcia udziału w jakimś zjeździe rodziny i przyjaciół w Wenecji, później wycieczka jachtem na Wyspy Kanaryjskie, przepłynięcie do Egiptu z zatrzymaniem się po drodze w Neapolu, w końcu maja Londyn, a na początku lipca podróż również jachtem do Nowego Jorku na Wystawę Światową. Powrót w końcu sierpnia lub na początku września. Kilka dni postoju jachtu w stoczniach Clyde, a na początku listopada daleka podróż do Indii. Tegoroczny repertuar zajęć Mr Williama Foxa Esq. Fantastyczna propozycja wzięcia w tym udziału od zaraz, to znaczy w kilka godzin po wyjściu przez niego z mego mieszkania przy ulicy Charlotty. W gronie zmobilizowanych przeze mnie przyjaciół. Fantastyczna propozycja! Może nie zdziwienie z mojej strony, lecz radosny śmiech, naturalnie w miarę tonowany i dyskretny.

Pobył mr Foxa w Londynie pomiędzy siódmym a piętnastym marca. Niby przyjemności, niby wielu przyjaciół na pokładzie tego jachtu („Sokół Morski”), ale wśród tego zapewne niteczka interesów. W Wenecji na przykład spotkanie z wnukiem stryja sir Williama, trzydziestoletnim młodzieńcem, który obwozi po świecie dziedziczny tytuł lordowski rodziny Foxów. Ojciec naszego znajomego był trzecim z rzędu synem, obecny zaś, ósmy wicehrabia, jest wnukiem drugiego syna, który odziedziczył tytuł całkiem niespodziewanie po bezdzietnej śmierci swego kuzyna. Suchy tytuł, jak to określił sir William, co miało oznaczać, że bez większego majątku. W ogóle wszystkie opowiadania nacechowane były powściągliwością. O sobie mówił mało. Trzeba było domyślać się wielu rzeczy.

Bez zobowiązania umówiliśmy się w Londynie koło dziesiątego marca. Zresztą zobaczę, jak wypadnie. Co do obecnego lorda, podobno usiłuje pisywać sztuki teatralne. Z wojskowej rodziny, ojciec spędził całe życie w Indiach, on sam jest tam urodzony, dokładnie w Rangunie. Nie mam pojęcia, gdzie to leży.

Przyjęcie u Wieroczki. Babcia Wieroczka przechodzi obecnie któryś tam z rzędu renesans młodości. Przecież to już dobra osiemdziesiątka. Płaton był starszy od niej zaledwie o dwa lata, ale ostatnio było na nim widać zęb czasu. Nik również odmłodzony w stroju wieczorowym. Już krawcy zdążyli odziać go w najnowsze kreacje. Ale po cóż liczyć lata Wieroczki, ona sama jest niezwykle ożywiona i bardzo zręcznie podmalowana. Włosy również uzupełnione, stara moda, ale bardzo pomysłowa. Oboje z bratem to obecnie orbita, koło której wszyscy się kręcą, nic dziwnego... osiem milionów po Płatonie i pewno jakieś dwa własne Wieroczki... tak przynajmniej mówi Florencja.

Mr Jacob wbrew zapowiedziom przybył z żoną. Rzeczywiście Holenderka w każdym calu. Pięć córek, w tym dwie bliźniaczki. Prosta w obejściu, zdaje się, że będę miała z niej trochę pociechy. Mr Jacob dokładnie według określenia Marcina. Całe życie spędził w banku, od momentu złożenia matury. Dwóch braci, starszy z nich zostaje w Holandii. Człowiek w typie Eibenschutzów, poważny, lecz z miłym, prawie dziecinnym uśmiechem, mimo że choruje na ischias. Na przyjęciu zjawiał się również Georg Dubów, ów genewski budowniczy, ale to było tylko dla zachowania pozorów wobec holenderskich kuzynów. Przy tej okazji dowiedziałam się od Nika, że Georga liczą na trzy miliony dolarów - tutaj zaczynają obecnie

liczyć na dolary - zdążył się dorobić już na własną rękę. W dodatku nie było mu trudno, ponieważ umiał wyciągać gotówkę i kredyt od ojca. Nik okazuje mi dużo sympatii i nie może sobie darować, że nie przyjechał do Podjasek. Powiedział mi dzisiaj:

- Trzeba mi było wyjechać tydzień wcześniej, byłbym uniknął niemądrej zabawy w eagle...

Florencja mówiła, że stary dr Miliz obraził się i ma zamiar wynieść się całkowicie ze swymi lokatami z naszego banku. Jest tego coś koło trzech milionów ulokowanych w przedsiębiorstwach finansowanych przez bank, nie wliczając spadku po Płatonie. Natomiast Georg Dubow dyplomatykuje, nic dziwnego, bank robi w Genewie głównie w nieruchomościach, a Georg buduje domy. Widać jednak, że po śmierci starego Platona rodzina trochę się rozlatuje. Brakło sznurka do wiązania w całość i snopek się rozpada. Florencja powiedziała mi także, iż Marcin zamierza prowadzić własną politykę, ma i tak zapewnione znaczne kapitały, które mogą mieć rozmaity charakter, zależnie od potrzeby, spokojny lub ruchliwy. Rozumiem bez objaśniania.

Zostałam w Genewie, jutro rano jadę do Annecy. Marcinowie wrócili do siebie, aby przyjąć Piotrusia Tuchołkę. Prosiłam, aby zatrzymali go w „Acacii”, jakoś nie mam ochoty do przelewania pustego w próżne. Prosiłam również, aby go zbytnio nie wtajemniczali w moje zagraniczne interesy, pragnę utwierdzić rodzinę w przekonaniu, że zaczynam za granicą prawie od początku. Ze zmianą paszportu również nic im z takiej wiadomości nie przyjdzie, a więc po co?

Dzisiaj już jeździłam samochodem po Mme Dorells. Nie taki znowu stary grat, jak się wydawało. Masywny i bardzo poważny. Na początek może właśnie taki będzie dobry, Szwajcarzy są oszczędni. Szofer na razie z banku, chcieli mi dać szofera z wozem, ale podziękowałam.

Młody Miliz wymówił się od przyjęcia u Wieroczki, od razu chorują im dzieci... Dostał do ręki złote jabłko w postaci synekury w Warszawie i jeszcze mu źle. Od razu jednak objawia gorliwość i zainteresowanie tamtejszymi sprawami, w połowie marca jedzie do Warszawy. Marcin nie wdawał się w dyskusję i powiedział krótko: - Dobrze. - Później Miliz uprowadził mnie do swego gabinetu pod pretekstem zasięgnięcia jakichś dodatkowych informacji o polskim drzewie. Delikatnie wypytywał mnie o członków rady nadzorczej, nie rozumiał pozycji generała Wirewicza w charakterze prezesa rady. Oględnie udzielałam informacji, wmawiałam w niego, że sam przekona się o wszystkim na miejscu. Dobry sobie... Szwajcarska oszczędność, zapytywał o mieszkanie, widocznie wyobrażał sobie, że umieścimy go na stałe w gościnnym pokoju przy Hortensji. Zżywieniem opowiadałam mu o tym, że Mr David urządził się ostatecznie ze służącym w małym apartamencie przy alei Przyjaciół. Wspomniałam, że drugi dom Wirewiczów przy Narbutta będzie gotowy już w połowie czerwca i że znajdą się tam bardzo luksusowe apartamenty ze wszystkimi wygodami. A na końcu żałowałam, że osobiście wyniosłam się już z Warszawy, a moje mieszkanie zajęła ciotka Leokadia. Dlaczego mi przedtem nie mówił?

Właściwie nie naprowadzam młodego Miliza na stryja Józefa, ponieważ stryj zamierza zlikwidować się w Polsce już na wiosnę przyszłego roku. Powoli, lecz systematycznie przerzucają kapitały do Londynu. Gdańsk został już prawie opuszczony jako placówka rodzinna. Przypuszczalnie tamtejsze interesy przejmą bankowi Gardenowie i urzędzą w nich drugiego z kolei zięcia. Rodzinne wędrówki pieniądza i majątków, w zależności od potrzeb i konfiguracji.

Wczoraj nadszedł pierwszy list od naszych kuzynek z Nowego Jorku. Na dowód nawiązania stosunków rodzinnych w tym samym liście dopisali się oboje Heinrichowie. Wzmianka o przyjęciu w mieszkaniu Mrs Maltz. To bardzo dobrze. Któregoś dnia zapytałam Marcina, jak wyglądają interesy majątkowe tych pań, wyraził się, że ciotka Temmi ma około ośmiu milionów dolarów, a co do Elzy, to rozłożył ręce i powiedział:

- Doprawdy nie wiem. Tutaj w Szwajcarii ma około czterech milionów franków w pozycjach kontrolowanych przez bank, nie rozliczone jeszcze miliony ze spadku po ojcu, a co do reszty - w dalekich światach - nie wiadomo, ponieważ Elza robi interesy na własną rękę i gotówkę z nich lokuje rozmaicie.

W każdym razie obie pracują przeważnie w chemii. Mrs Maltz ma punkt oparcia w fabrykach w Pittsburgu, rodzina drugiego męża. Kto te wszystkie majątki kiedyś odziedziczy? Patrycja, Florencja, dzieci Patrycji? Z tego wszystkiego widać również, że Wieroczka i Nik nie mają bynajmniej zainteresowania w rodzinie dzieci i wnuków po Platonie. A zatem w rezultacie Ksenia i Sierozka...

Wczesna godzina, ale trzeba iść spać. Jutro Annecy i cały dzień poświęcony dziewczynom. Polskie czekoladki, istna komedia, na odmianę przyczepią się do nich francuscy celnicy.

Niedziela - 26 lutego

Rygor szkolny, nie można było wylamywać się zbyt nawet z niedzielnego regulaminu. Wróciłam wcześniej i bez zaproszenia zjawiłam się w pałacu Dubowów. Zrobiło to dobre wrażenie, im się wyraźnie nudzi, sprowadzili sobie dzisiaj do Genewy Zosię i zatrzymują ją dwa dni. Wieroczka rozgadana. Nik stracił na swojej oficerskiej bufonadzie. Ciekawe, jak dotychczas - nie poniosło go. W dodatku siostra stara się wypełnić mu cały dzień, podobnie jak to miało miejsce za życia zięcia, generała Zbysławskiego. Dzisiejsza kolacja u Wieroczki nie sprawiała bynajmniej wrażenia posiłku w guście francuskim. Sama Wieroczka zaledwie próbowała potraw, lecz wymagała od nas, abyśmy się obżerali. W ruskim to wszystko było guście. Barszcz, zrazy z kaszą, skąd oni wyczarowali ją w Genewie? Zapewne warszawska Wirewiczówna. A na końcu, jak w małym miasteczku na prowincji, biała kawa z pączkami i chrustem zrobionym w domu. Szczyt i korona wszystkiego. Starzy bawią się. Taki obiad czy kolacja, w cztery zaledwie osoby, rodzeństwo, Zosia i ja. Wieroczka kazała podać w małej jadalni, było to po pomorsku... gemütlich... Skąd mi się tutaj wzięło takie określenie?

Szczęśliwa Wirewiczówna z tym swoim studiowaniem w Lozannie i zamieszkiwaniem u Wieroczki. Namawiałam Zosię, aby pojechała ze mną za kilka dni do Londynu, przecież nie ucieknie jej uniwerek. Niezdecydowana, mówi o rodzicach. Przecież nie jest już taka smarkata. Niech to zwali na mnie. I kto od razu oświadczył gotowość? Ano - Nik. Ale siostra zgasła go jednym spojrzeniem, a później powiedziała żałośnie, z wyrzutem:

- A ja? Dla mnie to za daleko. Mam zostać sama i nudzić się?

Naturalnie Marta: - Dlaczego nie przywiozłaś Anny? - Uspokoila się dopiero wówczas, gdy jej powiedziałam: - Niedługo będziesz miała ją w Annecy od rana do wieczora, kilka lat bez przerwy i aż do znudzenia. - Norweżka z gotowością zabrania wszystkich dziewczynek do swojej rodziny na najbliższe wakacje. Naturalnie wszystkie trzy naopowiadały jej niestworzonych rzeczy o Karpatach, tak się tutaj nazywają moje Podjaski. Moja dziewczynka doskonale wygląda. Od nowego roku szkolnego zacznie uczyć się angielskiego. Na razie ma sporo pracy nad uzupełnieniem francuskiego, to nie tak łatwo od razu przestawić się całkowicie i we wszystkim. Ksenia słodka jak zwykle. Zupełnie inny typ dziewczynki. Jakaś rosyjska miękkość po matce. Po babce raczej, po prababce Wieroczce. Przecież to jest również nasza Jamborowa krew, ale całość wypadła zgoła inaczej.

Samochód całkiem możliwy. Francuscy celnicy, gdy zobaczyli szwajcarskie numery rejestracyjne, machnęli ręką, nie oglądali nawet paszportów. Nie było kłopotu. W szkole doręczyłam zmienione papiery dla małej, wystawiają jej świadectwo już z nowym nazwiskiem. Rozmówiłam się w sprawie mojej córki chrzestnej, bardzo dobrze, że już teraz, ponieważ pod koniec roku mają sporo nowych zgłoszeń. Poradziła mi tak Miss Kora. Prezenty dla niej podwójne, z Warszawy i z Genewy. Przynęca odwiedzić mnie na ulicy Charlotty, gdy

przyjadę następnym razem. W niedzielę. Kto wie, może ze wszystkimi dziewczętami z pokoju Marty? Byłoby ładnie. Mogłabym posłać samochód. To był mądry pomysł z tym Annecy.

Poniedziałek - 27 lutego

Przyjechali wszyscy troje. Po drodze kupili w cukierni dwa torty i przyjechali. Opowiadania o tym, jak to było dawniej w Rosji. Wspomnienia sentymentalne, z łezką w oku. Moja Ruth była zdziwiona takim towarzystwem. Starzy bawili się jak młodzi studenci na urlopie lub na wagarach. Wieroczka powiedziała w przystępie dobrego humoru:

- Gdybym była młodsza, pojechałabym do Londynu z Anną.

Nik zrobił żalowaną minę, ale nie próbował się sprzeciwić. Wieroczka jest za tym, żebym zabrała Zosię.

Marcin był dzisiaj nieuchwytny, konferencje do późnego wieczora. Byłam już w łóżku, gdy zadzwonił wieczorem. Przyrzekł wpaść do Wieroczki w sprawie Nika. Może pomoże, ponieważ Wieroczka patrzy w Marcina jak sroka w kość.

Wtorek - 28 lutego

Jutro na noc jedziemy w trójkę do Paryża. Nik dostał dwa tygodnie urlopu, ale mam odstawić go z powrotem do Genewy. Zosia rozmówiła się telefonicznie z matką, naturalnie zgoda. Wieroczka wymogła na Florencji obietnicę, że w okresie nieobecności Nika zamieszka u niej w pałacu. Oj, ciężkie jest życie z takimi dorosłymi dziećmi. Zosia pojechała do Lozanny po fatalaszki na drogę. Nik szaleje z przygotowaniami. Domagał się wystawienia akredytyw na Paryż i Londyn, Marcin wyśmiał go vesoło:

- Przecież jedziesz z Anną, ona wszędzie po drodze ma pieniądze i znajomych.

Jakoś uwierzył, gdy mu oświadczyłam: - Każdą sumę, wujaszku Niku, nawet milion dolarów. W Paryżu trochę się ogarniemy i dokupimy sobie stroików. Wystarczy na to dwa, trzy dni. Patrycja się ucieszy, gdy nas zobaczy. Odwołałam już wycieczkę z Annecy, rozmawiałam z Miss Korą telefonicznie.

Środa - 1 marca

Listy od stryjka Józefa. Dobili interesu z panami de Gentils. Przypomina sprawę wydzierzawienia tartaku w Wilczych Hubach, prosi o odwrotne napisanie do Kaczmarka. Załatwiłam. Ciekawa jestem, na jakich warunkach kupili drzewo od Gentilów. Od Leokadii jedynie dopisek: „Pozdrowienia, baw się dobrze, ty bujasz po pięknym świecie, a my musimy siedzieć w biurze”. A kto każe jej siedzieć w biurze? Mogłaby nie siedzieć, gdyby chciała. Ja muszę, lecz ona - nie musi.

Paryż - 2 marca

Noc była możliwa, mimo paplania Zosi, która pierwszy raz w życiu zobaczy Londyn. Obiecuje sobie również wiele po Paryżu. Była tam raz kilka dni z matką, ale niewiele widziała, latały jedynie po sklepach. Nik jest wspaniały, próbuje opiekować się nami jak prawdziwy wujek powieściowy. Wieroczka dała mu podobno tysiąc franków szwajcarskich i powiedziała: - To powinno wystarczyć ci na drobne wydatki. Utrzymanie i mieszkanie będziesz miał gratis, powinieneś nam z tego przywieźć jeszcze jakieś drobne prezenciki. I dała mu od razu spis wszystkiego, co by chciała mieć. Marcin powiedział mi, aby w razie potrzeby dostarczyć mu pieniądze w granicach rozsądnych. Co miał na myśli?

Pawilon przy Pont Vert ożywił się, pojawiła się nawet służba i oblatują nas. Dr Miliz namawiał, abyśmy jechali przez Lipsk, na razie jednak nie interesuję się tamtejszymi Targami. Zosia i Nik również. Kto ma do wyboru Paryż i Lipsk... Z państwa Mendesów niewiele mieliśmy pociechy, byli w sumie dwa dni i wrócili do swego Rotterdamu. Mają tam

do rozplątania jakieś większe interesy i zamierzają ustalić się w Genewie dopiero za jakieś dobre dwa miesiące. Na razie rozmówili się z Marcinem, jeździli z nim do Montreux.

Ludzie się koło mnie ruszają, a ja przystanęłam na razie z boku. Moja konsjerżka z ulicy Charlotty usiłowała mnie któregoś dnia zainteresować jakimiś detalami kamienicznymi. Odesłałam ją w połowie zdania do administracji naszego banku. Nie jestem córką Grizzi Liteńskiej, która kłóci się ze swymi lokatorami w Salzburgu.

Liteńscy. Co też oni obecnie porabiają? Ze starym ma kłopot Maksiu, ponieważ mieszka z nim pod jednym dachem. Co zrobił Rudolf ze stu tysiącami złotych? Trochę zapewne długi. Na jak długo starczy mu reszta? A zresztą co mnie do tego. Leokadia, która interesuje się plotkami, twierdziła już dawniej, że on jest obecnie na utrzymaniu jakiejś starszej wydry! Podobno właścicielka majątku w powiecie, gdzie Liteński z łaski Dziadosza starostuje. Jakaś wdowa czy rozwódka, ale z flotą. Może trzyma go ostro i daje mu się dobrze we znaki za obie ślubne żony.

Nika umieszczono w amerykańskim apartamencie Mrs Maltz. Zosia w pokoju Elzy, ja po dawnemu. Ale czas spać. Jutro czeka nas łożenie po sklepach. Postanowiłyśmy, że z Paryża wyjedziemy we wtorek wieczorem, w sam raz, ósmego będziemy w Londynie. Elfryda już została powiadomiona. Ojca nie ma w Londynie, tkwi w swoim wiejskim domku, podobno jest aktualnie dobra passa na duchy. Może lepiej, będzie swobodniej. Ciekawa jestem, czy Elfryda zdecydowała się już na małżeństwo? Podobno jakiś lekarz z zamożnej rodziny. Chodziły w rodzinie różne gadki, ale nawet ciotka, która przecież chyba najlepiej się orientuje w tych sprawach, nie wierzy w małżeństwo swej siostrzenicy.

Dlaczego mam tak mało związków z ciotką Elfrydą? Urwało się. Ciotka w dziwny sposób usuwa się od naszych hałaśliwych znajomych, nie przepada na przykład za Wirewiczową. Idzie do nich tylko wówczas, gdy naprawdę musi. Opancerzyła się w tej swojej Zbójnej Górze i nie nawiązuje z nikim bliższych stosunków. Kiedyś bawiła u niej dwa dni pani Felicja Hartmann, w dodatku w okresie jakichś większych przyjęć u nas na ulicy Hortensji, nawet nie wiedziałyśmy o tym. Wymówili się, a o pani Felicji dowiedzieliśmy się w dobry tydzień później i tylko przypadkiem. Pokręcone są te historie.

Paryż - piątek - 3 marca

Telegramy z życzeniami do Kazi, lepiej wcześniej, i tak nie wiadomo, kiedy dojdzie. Dzień był pracowity, włączyłyśmy z sobą wujka Nika. Kupiłyśmy mu kilka modnych krawatów, pozwoliłyśmy zaprosić się na obiad i zapłacić. Był wniebowzięty. Nieszkodliwy starszy pan. Sprzedawczynie w damskich składach są przyzwyczajone do takich starszych panów w towarzystwie młodych dam.

Londyn - środa - 8 marca

Trudno, czasami trzeba coś przecierpieć czy stracić. Ukradli mi w wagonie sypialnym nową torebkę krokodylową, którą sobie kupiłam w Paryżu. Ukradli mi również pelerynkę ze srebrnych lisów. Całe szczęście, że zaraz po zajęciu przedziału sypialnego obie z Zosią oddałyśmy paszporty i kluczyki od waliz konduktorowi wagonów sypialnych, by oszczędzić sobie dwukrotnego budzenia. Operacji dokonano być może jeszcze na terenie francuskim, tak przynajmniej określali to agenci angielscy sprowadzeni do pociągu jeszcze przed Londynem. Trudno! Całe szczęście, że mam zwyczaj chowania biżuterii do woreczka z irchy, który następnie wkładam do kieszeni pidżamy i spinam dyskretnie agrafką.

Razem z torbą przepadła złota papierośnica, dar stryjka Józefa, waluty wartości koło dwustu funtów angielskich, puderniczka z masy perłowej w złotej ramce, różne drobiazgi, kilka ostatnio otrzymanych listów oraz bloczek z paryskimi notatkami. To ostatnie mocno mnie zirytowało, nigdy mi się nie zdarzyło coś podobnego. Może nawet niegrzecznie

powiedziałam angielskiemu agentowi, gdy usiłował wmówić we mnie, że to na pewno zrobił francuski złodziej.

- Narodowość złodzieja jest mi całkiem obojętna!

A ponieważ angielska prasa działa szybko i jak wszystkie prasy na całym świecie trochę przesadza, już w wieczornych wydaniach mogłam podziwiać wiadomości: „Dzisiaj w nocy w sleep-pingu z Paryża została okradziona obywatelka szwajcarska. Strata wynosi około dwóch tysięcy funtów, a kradzieży dokonano przypuszczalnie jeszcze na terytorium francuskim”. Przyznaję, że pomimo faktu przykrych straty treść notatki rozśmieszyła mnie.

Dobrze, że nie skradziono mi karakułów, byłabym zmuszona paradować w nurkach, a to nie zawsze jest wygodne, bo zbyt zwraca uwagę. Nurki podróżowały zamknięte w walizie i to uratowało je od kradzieży. Co do karakułów, to jakoś przy lokowaniu się w przedziale szarpnęłam za wieszadło, urwało się i dlatego zwinęłam futro w rulon i położyłam na łóżku od ściany. Gdybyśmy podróżowały same z Zosią, byłybyśmy pojechały skromnie drugą klasą, ale Nik uparł się przy pierwszej klasie. Ano, dawne rosyjskie wspomnienia, gdy nie wypadało inaczej jeździć po świecie. W każdym razie straciłam około pięciuset funtów. Koniec, zapomnijmy.

Ojciec i jego żona upoważnili Elfrydę do dysponowania całym mieszkaniem. Wujka Nika umieściliśmy w gościnnym pokoju, a obie z Zosią paradujemy w sypialni państwa domu. Jutro spróbuję zadzwonić na Belgrave Street, również jutro trzeba będzie poświęcić trochę czasu studiom w naszej londyńskiej spółce drzewnej. Z tej ostatniej nie mam zamiaru ustąpić, przyniosła nam w ostatnim roku osiemnaście procent dochodu.

Czwartek - 9 marca

Poinformowano nas telefonicznie, że sir William pojechał do gmachu giełdy, ale zanotowano wiadomość o naszym zjawieniu się w Londynie. Gdy wróciliśmy wieczorem do mieszkania - wuj Nik pęta się z nami bez przerwy, ale to jest bardzo dobrze, przynajmniej go nie porwą i nie uwiodą - zastałam już wytworną wiązkę kwiatów i odręcznie pisane zaproszenie Mr Foxa na jutrzejszy wieczór, na godzinę wpół do ósmej. W drugim zdaniu wzmianka, że będzie u niego kilka osób najbliższych. W trzecim prośba o przybycie w gronie rodziny, u której zatrzymałam się. Bardzo ładnie ze strony mego sąsiada z Eichel.

Stało, że pójdę z Nikiem, Elfryda nie chciała i obie z Zosią skorzystają z jutrzejszych biletów do opery. Elfryda ma jakieś znajomości w sferach artystycznych. Bez tego nie jest tutaj łatwo, nawet gdy się ma pieniądze.

Kupiłam dzisiaj nową pelerynkę z lisów. Futra w Londynie są drogie. Warszawski Apfelbaum to początkujący kupiec w porównaniu ze swymi londyńskimi kolegami. Oczy bolą, gdy się to wszystko ogląda. Na odmianę platynowe lisy. Na jutrzejszym przyjęciu wystąpię w rubinowym garniturze. Najświeższa paryska kreacja, strach pomyśleć, co kosztowała, nie tyle sam materiał i gust, co firma. Majątku jednak nie zabiorę z sobą do grobu, a to wszystko i tak przyda się w podróży do Ameryki. Dobrałam sobie do kompletu małą wizytową torebkę, skromna, ale odpowiednia do całości. Zamiast papierośnicy i puderniczki kupiłam jubilerskie cudo filigranowe w złocie, do przeglądania się i przypudrowania końca nosa.

O Nika się nie boję, ma dobre maniery, czasami w jego towarzystwie wydaje się, że nie było w naszym życiu ostatnich dwudziestu, trzydziestu lat. Ano, służył przecież w jakimś mocno dworskim pułku gwardyjskim, niejedno widział i przeżył. Nie zawsze był popychadłem u swego brata na emigracji.

Dzisiaj było u nas parę osób, kandydata na narzeczonego czy męża Elfrydy jednak nie pokazała. Pojedzie z nami do Szwajcarii, będzie jeszcze sporo czasu na bardziej intymne rozmowy. Mówi się nawet o dalszej podróży Elfrydy do Warszawy.

Nie jestem chciwa czy skąpa, ale jestem zła, że mnie okradli w tak dziecinny sposób. Ponadto nie ma zbyt wiele samotności do pisania.

Piątek - 10 marca

Chyba dopiero za kilka dni opiszę to wszystko, przyjęcie i świeżo poznanych ludzi. Przede wszystkim Gloria Blerwan, kuzynka sir Williama. Zaprzyjaźniłyśmy się od pierwszej chwili. Jutro w południe jedziemy samochodem sir Williama gdzieś pod Bedford, sto kilometrów od Londynu.

Miejscowość nazywa się Hamshead i leży nad rzeką Ouse, o ile dobrze zapamiętałam nazwę. O takich rzekach nie uczono nas w bydgoskim gimnazjum, wówczas wystarczała do szczęścia u belfrów rzeka Tamiza. Wuj Nik zachowuje się nobliwie, stary Fox jest poinformowany o śmierci bankiera Dubowa i od razu połączył oba nazwiska. Nik powiedział w sposób bardzo naturalny:

- Brat zapisał mi rezydencję (?) w Genewie, mieszkamy we dwoje z siostrą, wdową po petersburskim bankierze. Moi bratankowie są pochłonięci jedynie robieniem interesów i dla nich pałac był pozycją bezwartościową.

Nik nie jest głupi i trzyma się mocno w cuglach. Mało opowiada o sobie, krótko wspominał, że był oficerem w gwardii, bez wymieniania stopnia. Opowiada jedynie o polowaniach, a tych przydarzyło mu się w życiu niemało i nie byle jakich. Nawet nie wiedziałam, że na Syberii żyją tygrysy. W tej dziedzinie jestem prawdziwą analfabatką.

Wracamy w poniedziałek w południe. We wtorek pożegnalny obiad na Belgrave, a następnego dnia „Sokół Morski” podniesie kotwicę i popłynie w daleką podróż. Mogłabym jechać, jeszcze dzisiaj sir William ponawiał z uśmiechem propozycje. Bardzo miło prezentował mnie nowym dla mnie znajomym: - Madame de Jamsborg, moja sąsiadka spod Eichelsburga, której przez pomyłkę wyciąłem cztery stare dęby. - I uśmiech starszego pana, który w salonie wygląda zgoła inaczej niż w opowiadaniach szwajcarskiego otoczenia w Eichel.

Londyn - środa - 15 marca

Jutro wieczorem wsiadamy do pociągu. Zosia z Nikiem zwiedzają Londyn, my obie z Elfrydą toniemy w cyfrach. Elfryda zna dobrze Mr Mendesa, zna obu braci, całą rodzinę. Moc dzieci. Mają wielkie zainteresowania terenowe w Indiach Holenderskich, na Jawie. Bogaci ludzie, stosunki z nimi są łatwe, podobno żart Marcina o wyglądzie a la Heine ma pewne uzasadnienie, ponieważ Mr Jacob pisuje... wiersze, w dodatku po francusku. Jego żona maluje akwarelki, nigdy nie byłabym przypuszczała. Ona pochodzi również z bogatej rodziny, natomiast starszy brat ożenił się w sposób fantazyjny, ale Elfryda zatrzymała się jedynie na takim określeniu i od razu przeskoczyła na inne tematy.

Londyn - czwartek - 16 marca

Wszystkie funty wetknęłam we Vickersy. Na koncie zostawiłam jakiś mały drobiazg, właściwie całkiem niepotrzebny w moich warunkach rodzinnych. Dzisiaj zjawili się w Londynie Fryderyk Garden i jego żona. Nie obrazili się o nasz wyjazd do nowych znajomych. Mądrzy ludzie. Namawiałam ich, by odwiedzili Warszawę, uśmiechnęli się tylko. Pytali mnie, czy czytałam ostatnie dzienniki angielskie. Hitler w Pradze czeskiej. Naturalnie, że czytałam, według mnie, to było od dawna do przewidzenia. Wyobrażam sobie jednak, że obecnie będzie dłuższa przerwa, trzeba przecież zagospodarować takie dwa kraje, jak Czechy i Austria. Tak twierdził jakiś wpływowy członek parlamentu z partii konserwatywnej, którego podejmował sir William. To był polityk z najbliższego otoczenia człowieka z parasolem, jak nazywają tutaj obecnego premiera.

Tyle. Przed wyjazdem przyśpieszony nieco, rodzinny obiad. Trzeba się jeszcze przebrać do obiadu, następnie znów ubrać na drogę, spakować itd.

Paryż - piątek - 17 marca

Jedynie w przelocie, wieczorem dalej, z nami zabiera się Patrycja. Przyjazdu domaga się Wieroczek, której się wiecznie nudzi. Kupiłam sobie podobną torbę do tej, jaką mi ukradli.

Już się uspokoiłam. Paczka Vickersów poszła tak mocno w górę, że pokryła wszystkie moje straty z nadwyżką.

Genewa - sobota - 18 marca

Jutro posyłamy samochód po dziewczynki, przyjadą wszystkie w towarzystwie Miss Kory. Pani Horodyńska zjawi się z małą Anną. Kinderbal na ulicy Charlotty, zapowiedzieli się również oboje starszankowie.

Marcin niezbyt zachwycony praskimi wydarzeniami. Przerzucają w dalszym ciągu sporo lokat do Nowego Jorku. Teraz dopiero rozumiem likwidację paryskich interesów i ulokowanie się obu kuzynek w Ameryce. Kupują amerykańskie akcje przemysłowe dużych koncernów, przeważnie stal i maszyny. Marcin żąda, abym wszystko zlikwidowała w Warszawie, powiedział nawet:

- Gdybyś chciała posłuchać, radziłbym sprzedać od ręki te karpackie laski.

Po chwili machnął jednak ręką:

- Ale nie warto myśleć w tył, szkoda zdrowia, nie zwracaj sobie głowy, można o tym na razie zapomnieć. W tamtych stronach łatwo jedynie kupić, natomiast trudniej sprzedać.

Eichel - poniedziałek - 20 marca

Dzisiaj na noc jedziemy do Berlina i dalej do Warszawy.

Warszawa - czwartek - 23 marca

Nasz bank udziela mi kredytu hipotecznego na jeden rok, drogo, po osiem i pół procent. Na Podjaskach sto pięćdziesiąt, na Wilczych Hubach sto pięćdziesiąt i sto dwadzieścia na Sucholesiu. Gotówka już w najbliższy wtorek. Klarowałam w banku, że zamierzam nabyć jeszcze jeden majątek, zresztą niezbyt się wypytywali. Zastrzegłam sobie na wszelki wypadek możliwość przedłużenia na dalszy rok. Załatwiałam te sprawy w kilka godzin po wyjściu z pociągu. Poszło gładko. Stryj Józef zgodził się na zamianę z Londynem na pół miliona złotych, finansują obecnie jakieś większe partie drewna. Jutro mobilizuję drugie pół miliona, zostanę na razie z ogołoconymi kontami. Na drewnie de Gentilsów zarobiłam czterdzieści sześć tysięcy, niestety zapisali jako prowizję, trzeba będzie na drugi rok zapłacić podatek dochodowy. Trudno.

Tak się zaczął mój pierwszy dzień w Warszawie, naturalnie bez rozgłosu i hałasu. Pieniądze z pożyczki na hipoteki przekaże mi Wirewicz, on jest dobry macher do tego. Na niedzielę sprowadzam Kaczmarka, trzeba będzie się z nim rozmówić. W poniedziałek trzeba będzie podpisać umowę dzierżawną z tartakiem, trochę mniej, sto piętnaście tysięcy, ale gotówką.

Dzisiejszy dzień zmęczył mnie, muszę trochę odetchnąć. Jutro jadę do Zbójnej Góry. Jeżeli się uda, zostanę tam do niedzieli, Kaczmarka mogę i tam zaprosić. Z Leokadią prawie jeszcze nie rozmawiałam, wywiata gdzieś na wieczorowe przyjęcie, umówiona przed kilku dniami. Może lepiej, jutro, gdy się obudzę, będę wypoczęta i mocniejsza w myślach i działaniu.

Ano tak, czasami wojny wloką się całymi miesiącami, a później bitwę wygrywa się w ciągu kilku godzin. Tak właśnie pomyślałam sobie, gdy dzisiaj wszystko pozałatwiałam i wróciłam do domu.

Piątek - 24 marca

Nic mi nie mówili, dopiero dzisiaj rano Leokadia przy śniadaniu. Przed tygodniem operowano pana Szczytnickiego, dopuścili do ropnego zapalenia wyrostka robaczkowego. Jak to się mogło przydarzyć porządnym lekarzom? Byłyśmy w lecznicy razem z Leokadią. Bardzo wyczerpany. Lekarze zgodzili się tylko na dziesięćminutowe widzenie, bez mówienia. Uśmiechał się do mnie. Niedobrze.

Sobota - 25 marca

Dzień bez gości, bez odwiedzin i od południa w Zbójnej Górze na tarasie. Pogoda i słońce. Rozkoszuję się ciszą i spokojem. Odpoczywam.

Któregoś dnia w Genewie poznałam w kawiarni ciekawą parę. Rodzeństwo, dzieci Tomasza Manna. Claus, dobra trzydziestka, mocno zblazowany, również literat, ale zwariowany. Elza cytowała mi kiedyś tytuły kilku esejów, ale Florencja twierdziła, że nie warto czytać. Podobno jakieś chorobliwe perwersje, jeszcze gorsze od H.H. Ewersa. Niespokojne dziedzictwo po żydowskiej jakoby matce. Razem z siostrą Eriką pisują niesamowicie zjadliwe historyjki kabaretowe. Wielki ojciec przebywa obecnie w Kalifornii, stryjek natomiast, Henryk, szlifuje paryskie bruczki. Córeczka również jest zwariowana, jakaś artystyczna kopia naszej Elzy Dubow, nawet może bardziej ekscentryczna. Elza jest jednak w szlachetniejszym wydaniu, być może dzięki swoim milionom i poczuciu niezależności. Tego samego dnia kupiłam w księgarni modną książkę tego młodego Manna pod tytułem *Heute und Morgen*, ale zabrałam się do czytania bez entuzjazmu, przekartkowałam i ostatecznie zostawiłam w Montreux. Nie przepadam za ludźmi, którzy szarżują w życiu jedynie, aby przysporzyć sobie sławy ekscentrycznością. Poznałam wówczas oboje.

Podczas pobytu w Londynie w ciągu jednej nocy przeczytałam drugi tom powieści *Der Zauberberg*.

Kiedyś, jeszcze w Bydgoszczy bodaj, przeczytałam od deski do deski oba tomy. Bez wrażenia. Zbyt silnie tkwiłam wówczas w moim zacudowaniu się w Forsytach, którzy dla mnie byli wzorem zdrowych i trzeźwych ludzi, co umieją żyć, znają cenę i wartość życia. Buddenbrookowie to zupełnie co innego. Sama wyszłam ze sfery mieszczańskiej, mocno kupieckiej, toteż historia upadku takiej rodziny nie mogła mnie pociągać ani nawet interesować.

Zauberberg to nagroda Nobla. Ta nagroda dla polskiego Reymonta to była sprawa również przypadkowa, natomiast w przyznaniu nagrody dla twórcy *Quo Vadis* rolę odgrywały inne względy.

Właśnie na temat *Quo Vadis* zgadało się ostatnio w Montreux i Marcin wydobyl z biblioteki esej Leona Daudeta z roku 1923, w którym Francuz wyraża przekonanie, że Sienkiewicz zawdzięcza swoją sławę wyłącznie sferom żydowskim i antykościelnym. Leon Daudet - w artykule umieszczonym na łamach „Action Française” - powiada, że Sienkiewicz to jeden z najbardziej płasko-banalnych pisarzy, jakich wyprodukował wiek XIX. „Mieliśmy we Francji - pisze - pisarzy równie śmiesznych... Nie mieliśmy jednak śmieszniejszych”...

Niedziela - 26 marca

Dzisiaj w nocy zmarł pan Benedykt Szczytnicki. Wiadomość przez Karola Petrasa. Pogrzeb już we wtorek w Szczytnikach, na wiejskim cmentarzu. Nie jestem w stanie pisać. Dla mnie bardzo bolesna strata. Pan Szczytnicki rozumiał mnie i był moim przyjacielem. Nie takim tuzinkowym jak inni z mego otoczenia. Naturalnie jedziemy wszyscy na pogrzeb.

Z Kaczmarkiern rozmówiłam się. Uwierzył w kupno nowego majątku. Zresztą zostawiam go z gotówką w banku, przeszło sześćdziesiąt tysięcy w tej chwili i wszystko popłacone. Ma gospodarować bez myślenia o płaceniu procentów hipotecznych, to ja sama

załatwię. Nie był specjalnie zdziwiony, dopytywał się tylko o ów nowy majątek, jakoś wykręciłam się bez dania konkretnej odpowiedzi, mówiłam, że to będzie interes do spółki z Maksiem. Trzeba go będzie uprzedzić na wszelki wypadek, gdyby się gdzieś spotkali.

Poniedziałek - 27 marca

Odwiedziny. Sama nie wiem, jak to nazwać. Sympatia Marcina, trudno. Jakiś jegomość, mowa o grypsie z więzienia mokotowskiego. Pana Faustyna Kruczka znowu przymknęli, widać nie orientuje się w sytuacji na świecie. Podany adres na Hortensję i dodatkowo: Doktor Marcin Jambor. Ma pomóc - może pomóc.

Pokręcona sprawa z nazwiskiem, ale ostatecznie trafili. Co robić. Trudno telefonować w tej sprawie do Montreux. Tymczasem pięćset złotych do rąk tego typu, który zjawił się u mnie. Sprawę powierzyłam do zbadania Karolowi Petrasowi, na razie wywiad, co i jak. Może i trzeba pomóc? Przygoda, ale któż z nas nie miał przygód w swoim życiu.

Środa - 29 marca

Pogrzeb. Tłumny zjazd rodziny i sąsiadów. Później już w mniejszym gronie nastąpiło odczytanie testamentu. Taka była wola zmarłego. W dniu pogrzebu. Miejscowy notariusz z Kutna. Jako wykonawca testamentu pan Karśnicki, sąsiad. W asyście miejscowego proboszcza, przyjaciela nieboszczyka. Wszystko inne - jak zwykle w takich okolicznościach.

Kamienice w Warszawie - dzieciom młodych Orzechowskich wprost, z pominięciem rodziców. Majątek ziemski tak samo - wprost dzieciom Gabrysi i Maksia. Legaty. Służbie na samym wstępie, długi spis, o nikim nie zapomniano. Dożywocie dla starszych państwa Orzechowskich, gdyby zechcieli zamieszkać w Szczytnikach, pełne używanie dworu i określona roczna kwota dwudziestu tysięcy złotych do rąk, wyraźnie to zostało zaznaczone. Sto tysięcy na budowę nowego kościoła w Szczytnikach, a raczej na jego dokończenie. Pozycja dla Anny Jambor: „Portret mój, pędzla Olgi Boznańskiej, oraz trzysta tysięcy złotych, gdyby zaś pani Anna Jambor tego drugiego legatu nie przyjęła, tenże przechodzi w całości na dalszy fundusz budowy kościoła w mojej parafii, w Szczytnikach ziemi kutnowskiej”.

Cisza i oglądanie się na mnie. Gdzieś w odległości kilku foteli prawie namiętny szept starej Orzechowskiej:

- Nasz Rudolfek nie ma szczęścia w życiu. - Przerwa i mój spokojny głos:

- Księżę proboszczu, proszę przyjąć ten legat również na budowę kościoła. Dla mnie portret pana Benedykta Szczytnickiego starczy na pamiątkę przyjaźni, jaką mnie darzył.

Czy mam napisać, że w tym momencie zapanowała prawdziwa cisza? Kroki proboszcza w moją stronę i jakieś podziękowania, pełne zdziwienia i mocno nieskładne. Koniec odczytywania ostatniej woli zmarłego, małe zamieszanie, kilka słów wymienionych z notariuszem, zdawkowe pożegnania z krewnymi, samochód i o późnej godzinie powrót do Zbójnej Góry. Zabrałam się ze stryjostwem i Elfrydą. Leokadia jechała z Wirewiczami. Powrót w milczeniu, stryj Józef informował obie Elfrydy niezwykle krótko, ponieważ żadna z nich nie rozumie po polsku, że Anna zrzekła się zapisu trzystu tysięcy złotych na rzecz budowy nowego kościoła w majątku zmarłego pana Szczytnickiego. Nie było komentarzy. Ciotka знаła różne przykre posunięcia pani Orzechowskiej. Elfrydzie opowiadałam już później w domu niektóre szczegóły rodzinnych nieporozumień. Naturalnie bardzo oględnie, bez malowania w specjalnie złym świetle kulis mego małżeństwa, które nie przetrwało próby jednego roku.

W dniu dzisiejszym załatwiłam u naszego warszawskiego notariusza sprawę zrzeczenia się spadku. Odpowiedni dokument poleciłam przesłać na ręce pana Karśnickiego.

Czwartek - 30 marca

Zostawiłam kilkanaście tysięcy na koncie bankowym. Wszystko już załatwione, na poczet zeszłorocznych tantiem spółka zaliczkowała mi trzydzieści tysięcy. Po powrocie do Londynu Elfyda uruchomi pół miliona złotych na moim koncie w funtach angielskich. Drugie pół miliona, w dwóch czekach wystawionych przez mój bank na oddział Banku Francusko-Polskiego w Katowicach. Tak chciał Wirewicz, równowartość na moim sztokholmskim koncie znajdzie się najdalej w ciągu tygodnia. Gdy wspomniał o kosztach, uśmiechnęłam się pięknie i powiedziałam słodko:

- Nie mów głupstw, Władku, to jest moje poręczawicze za ostatni interes z Mlle Aurelie. Nic nie odpowiedział, schował czeki do portfela i zapytał:

- Czego się jeszcze napijesz, Anno?

W jakiś kwadrans później zjawiła się w „Europie” Wirewiczowa ze swym adiutantem i wszyscy zgodnie poszliśmy na obiad do „Langnera”. *Sapienti sat.*

Jutro wraca do Londynu Elfyda. Z pominięciem Gdańska, prosto przez Berlin. Moje pół miliona na razie w funtach, bez kupowania Vickersów.

Pragnęłabym odpocząć gdzieś w cieniu i spokoju. Z daleka od ludzi. Kto wie, czy nie przejadę się w nieznaną. Jakiś mały pensjonacik na uboczu, w jakiejś dziurze, na przykład za osiem lub dziesięć złotych dziennie. Ogłaszają takie w krakowskim „Kurierku”. W sam raz dla mojej kieszeni, nie wiem, czy doliczyłabym się w domu trzech tysięcy złotych. Z Marcinem będę miała spokój, przecież powiedziałam mu na dworcu, że zamierzam spędzić na spokojnej kuracji cały miesiąc. Co prawda kwiecień nie nadaje się na kurację. Florencja namawiała na Włochy, ale chyba nie. Zobaczę, zobaczę.

Tutaj spodziewają się przyjazdu dr Miliza, zapowiedział się na dwa tygodnie. Stryjkowi Józefowi przekazałam genewskie szczegóły, oboje z ciotką byli mocno ciekawi. Nie wierzyli, że Nik zachowywał się przyzwoicie i nobliwie. Swoją drogą zaproszenie sir Williama skierowane do mnie i do Nika: „A w lipcu, gdy popłyniemy na «Sokole Morskim» do Stanów, zapraszam nie tylko państwa, lecz również grono przyjaciół, z którymi państwu przyjemnie byłoby pożeglować wspólnie w tamtym kierunku”. Francuska lekkość, a fantazja w nie znanym mi przedtem stylu angielskim.

Wieroczka również w stylu. Kazała sobie wszystko dokładnie opowiadać, oglądała fotografię jachtu, a na końcu powiedziała:

- Nik pojedzie, wszyscy pojedą, a ja?

Pocieszaliśmy ją, jak mogliśmy. Nik zdobył się nawet na bohaterski gest i gwałtownie, po studencku wykrzyknął:

- Zabierzemy cię, Wieroczka!

Ale starsza dama pokazała mu palcem na czoło i powiedziała spokojnie:

- Wariat, miły wariat.

Potem się rozplakała i trzeba było osuszać jej łzy chusteczkami. Obrazek z epoki pluszowych ram.

- Właściwie Nikowi to nie jest potrzebne do szczęścia - powiedziała w końcu Wieroczka. - Żył tak długo bez Ameryki, a wystawę światową w Nowym Jorku może sobie ostatecznie obejrzeć w magazynach lub w... kinie.

Babcia bowiem nie uznaje kina.

Zbójna Góra - piątek - 31 marca

Naprzód zadzwoniła Irena i umówiliśmy się na jedenastą w „Europie”. Gdy obrobiłyśmy już znajomych w przeciągu pierwszego kwadransa, Irena wyciągnęła z torebki kolorowy prospekt „Galu” reklamujący 23 dni na morzu. Dobry mój znajomy sprzed czterech lat, statek „Piłsudski”, wyjazd z Gdyni 7 kwietnia, powrót do Gdyni 30 kwietnia. Lizbona, Neapol, Palermo, Trypolis i Ceuta. Znajoma paplała, że gdyby nie poważna sytuacja, gdyby nie możliwość wybuchu wojny, to nawet ona pojechałaby na tę wycieczkę. Dochodziła

dwunasta, podeszli jacyś znajomi, a ja ulotniłam się prościutko do biur towarzystwa okrętowego. Wszystko, co potrzeba, miałam przy sobie, paszport, pieniądze. Wykupiłam kajutę okrętową niemal jak bilet do kina. Po ten ostatni trzeba czasami postać dobry kwadrans przed kasą. Kabina na pokładzie spacerowym, zewnętrzna, w cenie 1420 złotych plus od razu opłacone wszystkie wycieczki lądowe w cenie 250 złotych. Podobno sporo osób wycofało się z tej imprezy wobec nastrojów wojennych. Dowiedziałam się o tym dzięki niedyskrecji urzędniczki, która załatwiała formalności. Było też zdziwienie, że szwajcarska obywatelka włada tak dobrze językiem polskim i że chce podróżować na polskim statku. Kopertę z biletem i drobiazgami schowałam do torebki i cichutko wróciłam do willi ciotki.

Podczas obiadu rozmawialiśmy o tym, dokąd powinnam jechać. Naturalnie jeszcze raz Włochy. Nie oponowałam i snuliśmy projekty. Ciotka wzdychała, ale odważnie i ofiarnie powiedziała:

- Ja nie mogłabym pozwolić sobie na razie na dłuższe wakacje. Trzeba będzie posiedzieć tutaj jeszcze z rok, nim się to wszystko zlikwiduje. Elfryda namawiała nas, abyśmy już obecnie pojechali na stałe do Londynu, Marcin radzi to samo, ale nie można tak od razu rzucać dwóch firm. Z Gdańskiem również dopiero w przyszłym roku, tam znów takie załatwienie sprawy dogadza Gardenom.

Później rozmowa zesła już na holenderskich kuzynów rodziny Dubowów. Okazało się, że znajomość od kilku lat.

Sobota - 1 kwietnia

Wczesnie rano zjawił się u mnie w Zbójnej Górze Karol Petras z relacją. Faustyn Kruczek rzeczywiście siedzi od trzech tygodni, złapali go z transportem bibuły, grozi mu wywiezienie bez wyroku sądowego do Berezy Kartuskiej. Zarzucają mu należenie do partii komunistycznej. Nie sądziłam, że zaszedł aż tak daleko. Trudno się namyślać i trudno zapytywać przez telefon. Jutro na brydżu u Wirewiczów ma być minister Grabowski, pomówię, przedstawię go jako wariata i maniaka, zobaczę, co mi powie. Przecież on obszedł się tak elegancko z Doboszyńskim, do dziś dnia psy na nim wieszają za to przy Klonowej.

Swoją drogą puszczono Doboszyńskiego właśnie dla zwalczania komunizmu. Ale - spróbuję.

Poniedziałek - 3 kwietnia

Brydż przeciągnął się do późna i zamiast wracać około godziny drugiej w nocy do willi stryjostwa, otworzyłam sobie cichutko drzwi do mojego mieszkania przy ulicy Hortensji. Jakoś nie mogłam usnąć, ponieważ sporo wypięłam i zjadłam, rozmowy były interesujące, przeważnie na tematy polityczne, no i w ogóle...

Leżałam w łóżku, a właściwie przewracałam się i rozmyślałam. Nad ranem zrobiło mi się niedobrze, więc przeszłam do pokoju stołowego i wyjęłam z kredensu butelkę koniaku. Właśnie z tą butelką wędrowałam do mojego pokoju w ciemności korytarzyka, gdy postyszałam szelest kroków dochodzący ze skrzydła zamieszkałego przez Leokadię. Głosów nie słyszałam. Zaciekawiona posunęłam się w kierunku kotary oddzielającej przejście z mojego korytarzyka do hallu i zobaczyłam wielce rodzajowy obrazek.

Leokadia żegnała swego kochanka. Scena była do uwiecznienia na obrazie, fotografii, a w każdym razie, we wspomnieniach. Nagość, kompletna nagość wielce już dojrzałej, lecz w dalszym ciągu znakomicie zachowanej kobiety. Kochanek - jak zwykle wszyscy kochankowie. Jakieś ostatnie pocałunki, a nawet objęcia, za którymi ja na przykład nie przepadam. A gdy się już drzwi zamknęły za kochankiem, zobaczyłam w oświetlonym hallu - ów ruch hetery muskającej swe piersi od dołu, lekkie przegięcie w tył w celu uzyskania efektu stojącej piersi. Jakieś westchnienie, powolne gaszenie świateł i w moich oczach ostatni błysk nagiej sylwetki ciotki Leokadii odwracającej się i odchylającej kotarę.

Po powrocie do pokoju nalałam sobie do szklanki dobrą porcję z pięciu gwiazdkami, po czym od razu zasnęłam. Obudzono mnie koło godziny jedenastej, pokojówka, bo ciotka Leokadia zaraz z rana zeszła do swego gabinetu na pierwszym piętrze. Trzeba było w ciągu dwudziestu minut wrócić do przytomności i ubrać się, ponieważ w salonie czekali na mnie ranni goście z prowincji. Państwo Karśniccy, Maksiu i proboszcz ze Szczytnik. Maksiu przywiózł mi spadkowy portret, a proboszcz wystąpił z przemówieniem w cenie trzystu tysięcy złotych. Nikt z Orzechowskich nie zjawił się. Wówczas po pogrzebie w Szczytnikach mój były mąż siedział pomiędzy panią Orzechowską a ową babcią, która w swoim czasie usiłowała pojednać nas w salonie u młodych Orzechowskich. Błada to była postać na tym zebraniu rodzinnym, przypominam sobie, że patrzyłam na niego dość drwiąco. To mi obecnie przychodzi bez trudu. Sposób patrzenia na ścianę.

Należało zaprosić na obiad, było trochę zamieszania, ale przeszło i mieszkanie opuściłam niemal równocześnie z gośćmi. Do Zbójnej Góry pojechałam kolejką, wysiadłam w Międzyzlesiu, był ładny dzień i spacer zrobił mi dobrze. Jutrzejszy dzień pracowity, trzeba będzie jeszcze pochodzić w sprawie Kruczka. Właśnie po powrocie z brydża rozmyślałam nad tym, aby zabrać Jerzego na te trzy tygodnie. Skromniutko, cichutko, bez afiszowania się z kochankiem na pokładzie i w barach. Mnóstwo kobiet tak robi w różnych kurortach. On osobno i ja osobno. Koszty niewysokie, co najwyżej tysiąc złotych za każdy tydzień. Trzy tysiące plus drobiazgi opłat za wycieczkę. Leokadia mówiła mi kiedyś, że w połowie tego roku urządza sobie kancelarię w jakimś miasteczku na Pomorzu. Właśnie pod pozorem urzędnika mu takiej kancelarii... Już byłam prawie zdecydowana popełnić taką małą wyprawę morską i może nawet w zamiarze podkreślenia decyzji koniakiem wybrałam się do kredensu.

Nie warto rozdrabniać problemu. Krótko i zwięźle. Być może byłoby wygodniej mieć pod ręką na statku takiego kochanka gotowego na każde zawołanie, ale obecnie odeszła mnie ochota w ogóle, a na amanta ciotki Leokadii w szczególności... Przeszło i minęło. Coś w rodzaju zgagi, zażycie sody co prawda w tym wypadku nie wystarcza, ale cóż robić? Musi mi zatem wystarczyć samotność, leżak na pokładzie, słońce i morski powiew.

Faustyn Kruczek. Ciekawy problem. Przecież on nigdy się nie dowie, jak to było naprawdę z jego uwolnieniem. Może nawet tak lepiej? Grabowski podchodzi do tych zagadnień w sposób rozsądny. Wrogów unieszkodliwia się przez oddalenie, w innych wypadkach przez pogrążenie ich w milczeniu, nawet bez odbierania im życia. Paszport zagraniczny, najlepiej Brazylia, szyfkarta, trochę ubrania, tysiąc dolarów do ręki. Zastrzeżenie, że w wypadku powrotu do Polski murowane pięć lat w złych warunkach więziennych. Do wyboru zresztą: Bereza lub emigracja, lecz daleko, do Ameryki Południowej. Ano trudno, sfinansuję, detale ma załatwić Karol Petras, na tym stanęło z Grabowskim. Sama zdecydowałam, nie było czasu na jakieś odwazanie ceregieli. Niech będzie. Utonie w dalekich krajach, odbiegnie go ochota do szaleństw. Jeżeli jest silny, to zwycięży, jeżeli słaby, to nie warto go żałować i pomagać. Robię tyle - ile mogę.

Wtorek - 4 kwietnia

Goście. Nocuję dzisiaj na Hortensji. Od wczesnego rana moi dawni gospodarze z Poznania. On nareszcie został prokurentem, troje dzieci. Walerka w dalszym ciągu na posterunku przy rondlach w kuchni. Goście na kilka dni, zresztą przeze mnie od lat stale zapraszani. Kiedy indziej ucieszyłabym się nawet, ale teraz nie mam głowy do gości, nawet najmilszych. Umieściłam ich naturalnie u siebie, dotrzyma im towarzystwa Leokadia, ona zawsze była z nimi dobrze, przecież to starzy koledzy z banku.

Drugi gość. Stanisław Redivivus, jak go nazywam. Trafił na zły moment u mnie. Obecnie w każdym chłopie widzę amanta Jerzego w momencie żegnania się w hallu z Leokadią. Końcowa rozmowa u „Lardellego”. Skargi wiejskiego małżonka, z których nie tyle

przebijały nieporozumienia z żoną co do rodzenia dzieci, ile wiejska nuda w towarzystwie sąsiadów z kręgu najbliższych kilku mil od majątku. Żale, jeremiady. Czy żona go zdradza? Nie, absolutnie nie. A dlaczego płacze w mankiet? Nie wie. Ale tylko to wie, że potrzebuje gwałtem pocieszenia. W dodatku ustalił, że tylko ja jedna mogę go pocieszyć. Problem rzucenia żony? Łatwy problem, ale taki mężczyzna później jest niewiele wart. Nie, po trzykroć nie!

Ciekawe, ani na chwilę nie przyszedł mi do głowy pomysł, aby wykorzystać tę okazję. Nie. Nie!

Wieczorem rozmowy z profesorem Wydrą o sytuacji politycznej. Leokadia gdzieś wywiała z poznańskimi gośćmi, a myśmy oboje usiedli sobie w kątku, gdzie dawniej portret niemieckiej prababki bronił mnie przed różnymi myślami. Półmrok, jakieś godziny pożegnania przed podróżą. Profesorowi od razu powiedziałam, dokąd jadę. Pochwalił, mówił, że mogę spodziewać się spokojnej podróży. Bo i bo. Usłyszałam mądre słowa, że na ogół wojny zaczynają się zawsze po zniwach. Zebranie plonów z pól to jakaś zachęta do wojny. Zabezpieczone zaplecze głodowe.

Konkluzja: w tym roku nie będzie wojny. To samo słyszałam już w Londynie, ale z dodatkiem: nie jesteśmy przygotowani do wojny i dlatego musimy lawirować w stronę pokoju. Opowiadania o roli Ameryki w wojnie światowej, kto się wzbogacił, a kto stracił. Jeszcze raz o Anglii. Sytuacja Niemiec jako wygrywających w tej konkurencji Nowego Świata ze starym. Ale nie Jestem dzisiaj usposobiona do pisania na te tematy.

Jutro wieczorem jadę z ciotką Elfydą do Gdańska. Po południu, do Gdańska dobijamy późnym wieczorem. Samochodem.

Czwartek w Gdańsku, dawno tam nie byłam. Trzeba będzie odwiedzić rodzinę i znajomych. Jutro rano podczas śniadania powiem Leokadii, dokąd jadę, tak mi radzi stryj Józef.

Piątek - 7 kwietnia

Już kołyszemy się na morzu. Wygodna kabina, pomimo że bez własnej łazienki. Samotność. Na razie nie spotkałam znajomych. Mówili u Gardenów, że przynajmniej połowa pasażerów wycofała się z tego rejsu. Zresztą w Gdańsku panika, nastrój minorowy, obie strony patrzą na siebie z butną nienawiścią. Gdańsk zalany mundurami. Gardenowie półgębkiem i bez humoru. Dziewczęta powychodziły za mąż. Odwieźli mnie samochodem aż pod sam statek. Tłumnie, z kwiatami, trzy samochody. Przy odbijaniu statku od mola było jakoś spokojnie i bez zwykłej przy takich okazjach wesołości. Kiwanie chusteczkami. Ano, wrócimy z powrotem dopiero za trzy tygodnie.

Specjalne względy, zagraniczny paszport robi swoje. Widocznie nastawieni z góry, ponieważ intendent podczas wyznaczania mi miejsca w jadalni przemówił po francusku. Nie prostowałam, odpowiedziałam w tym samym języku. Na razie siedzę samotnie przy stoliku, przydzielił mi towarzystwo, gdy się rozejrzę wśród gości. Zgoda. Widocznie namyślają się, kogo ubrać w towarzystwo obywatelki szwajcarskiej. Proponował mi delikatnie jakichś doktorostwa Sokołowskich z Zakopanego, a w męskim towarzystwie jako oryginalność - literata. Chyba nie. Lekarz i literat - nieciekawe dla mnie towarzystwo. Lekarz mówiłby o chorobach, a literat tylko o swoich powieściach. Zresztą zobaczymy jutro, dzisiaj na statku i tak panuje zamieszanie. Zawsze tak bywa, dopóki wszyscy się nie uspokoją i nie urzędzą. „Piłsudski” to przecież stary znajomy. Najważniejsze, że moja kabina posiada okno na boży świat, świeże powietrze, a to swoją drogą bardzo ważna rzecz.

Niepotrzebnie zabrałam tak wiele bagażu. Kufer i dwie spore walizy. Karakuły, na wszelki wypadek, może być chłodno, nawet zimno. Nie od razu przecież znajdziemy się na ciepłym morzu.

Trzeba iść spać. Od jutra bezmyślność. Leżak na pokładzie. Na razie bez słońca, ale przecież i ono pojawi się na naszym szlaku. Śmieszne, naszemu kapitanowi jest na imię: Mamert. Pierwszy raz słyszę takie imię. Skąd wzięli rodzice taki dowcip, chyba z kalendarza rodem? Mamert Stankiewicz, podobno stary wilk morski. Spać, Anno.

Kanał Kiloński - sobota - 8 kwietnia

Bardzo spokojne towarzystwo przy stole. Państwo Pinińscy ze Suszczyna, Galicja, ziemianie, na razie trudni do określenia. Bez czwartego sąsiada. Obok przy stoliku Osterwowie, artysta z żoną, z drugiej strony polscy konsulostwo z Kanady. Tyle na razie. Na pokładzie sporo głuptaków, którzy przyglądają się ruchowi statków na kanale. Rodzaj pingwinów. Nieciekawe. Skorzystałam ze spokoju i prawie bez trudu przesiedziałam godzinę u fryzjerki. Szkoda moich włosów, tak byłam przyzwyczajona do korony nad czołem. Ale trudno żałować obciętych włosów. Nie wiem dlaczego, ale właśnie dzień dzisiejszy nasuwa mi sporo wspomnień sprzed dwóch lat. Rudolf w swoim krakowskim wojsku, a ja dojeżdżałam do niego z Warszawy jak wariatka.

Stewardessa jakaś do rzeczy. Zaczęłam od tego, że dałam jej klucze od waliz i kazałam wypakować rzeczy niezbędne. Jakoś tak urządzili, że mój kufer zamknęli do jakiejś komórki, nie odsyłając go do składów. Dałam jej pięć dolarów, to przecież jest lepsze od tutejszych bonów okrętowych. Wymieniłam co prawda również tysiąc złotych na bony, ale widzę, że dolary mają większe powodzenie. Z łazienką sobie poradzę, dyryguje służąca, jakoś będzie. Jutro i pojutrze poleżę. Przejdzie bez wrażeń, ponieważ sporo osób zacznie rzygać i pochowa się do kabin. Ta partia morza jest nieciekawa, a podróż po kanale angielskim nudna. Postanowiłam czytać, zaopatrzyłam się w trzy tomy *Rodziny Thibault* po francusku. Może i lepiej, gdy zniknę z pokładu na pierwsze dwa dni podróży. Obmawianie bliźnich nie obejmie mnie w pierwszej fazie. Apetyt mam nie najgorszy.

A zatem zatapiam się w książkach.

Niedziela wielkanocna - 9 kwietnia

Odwiedziny lekarza, wyobrazili sobie, że jestem chora. Chciał poddawać mnie badaniu, podziękowałam, wyjechał z lichą francuszczyzną. Ja z kolei częstowałam go językiem angielskim, ożywił się, zna jakoś lepiej. Nazywa się Ludwik Szygowski. Siedział u mnie dobre dwie godziny, wspomniał na końcu, że jestem pierwszą obywatelką szwajcarską na tym statku. Uśmiechnęłam się.

Po południu złożyła mi wizytę pani Pinińska, sąsiadka od stołu. Rozmowa jakoś się rozkręciła, po kwadransie zboczyłyśmy na polskie tematy. Była zdziwiona moją polszczyzną, widocznie już zdążyli poczynić rekonesans w liście pasażerów i odkryli moje długie nazwisko. Delikatnie napomknęłam o posiadaniu w Karpatach terenów do polowania, okazało się, że znają Stadnickich i de Gentilsów. Poszło już łatwiej, położenie mojego majątku określiłam: - Pośrodku między Stadnickimi, Trzycieskimi i Gentilsami. - Myśliwi, wiedzieli o jelenim szlaku w górze Sucholesia, dziwili się, że udało mi się namówić Trzycieskich na sprzedaż tego obiektu.

Mówiłam, że nie przywiązuję specjalnej wagi do tego majątku, ponieważ moje zainteresowania leżą prawie wyłącznie w szwajcarskiej ojczyźnie. O naszej spółce drzewnej słyszeli, wspomniałam o niej raczej tylko jako o pozycji majątkowej. Poleciałam przynieść do kabiny maszynkę czarnej kawy, ciastka i likiery, znajomość się utrwaliła. Przyznała mi rację, że leżę.

Oni mieszkają z daleka od wielkich ołtarzy i zajmują się gospodarowaniem we wioskach odciętych od świata. Jakiś dość bliski krewny jej męża był w czasach austriackich namiestnikiem Galicji, profesorem uniwersytetu, uczonym itd. Ludzie, jak mi się wydaje, bez zbytnich fumów, naturalni w swej sferze.

Poniedziałek - 10 kwietnia

Huścąmy się już na wodach kanału angielskiego. Z pogodą nieszczególnie, ale to nie sprawia mi kłopotu. Zamówiłam sobie iskrową rozmowę z Montreux na godzinę dziewiątą wieczorem.

Gdyby Marcinów nie było w „Acacii”, mają połączyć mnie od razu z numerem garsoniery Elzy w Genewie. Na razie tkwię jeszcze w kabinie, w jadalni zjawię się dopiero jutro w południe. Ciekawa jestem, co mi powie Marcin.

Od jutra wkręcąm się w życie towarzyskie i rozpocznę przebieranie się po kilka razy dziennie. Zabrałam dwadzieścia sukien i dwa razy tyle możliwości przebierania się. Chyba wystarczy. Moją stewardessę zatkało, gdy jej to wszystko kazałam porządkować i odświeżać. Paryskie nowości. Ano, zobaczmy.

Wieczorem. Godzina jedenasta. Florencja w Montreux. Marcin wyjechał na jeden dzień do Brukseli, ale jest poinformowany o moim pobycie na statku. W Genewie wszyscy śmieją się z mego pomysłu, tylko jeden Nik podobno mówi: - Anna zrobiła mi kawał, bardzo chętnie byłbym pojechał na tę wycieczkę. - Rozumiem go doskonale. Ma pałac, miliony, a Wieroczką traktuje go jak małego chłopca i niemal zagląda w majtki, czy nie przydarzyło mu się jakieś nieszczęście. Biedny Nik, z powodzeniem mogłam go zabrać.

Rozmawiałyśmy siedemnaście minut ku zgorszeniu radiotelegrafisty, ze śmiechami, w dwóch językach, bez pośpiechu. Coś tam powiedział po polsku: - Ile to będzie kosztować. - Ale nie wypuszczając słuchawki z ręki, otworzyłam torebkę i wyjęłam banknot studolarowy. Przemówiłam do niego po raz pierwszy po polsku: - *Monsieur*, to chyba starczy na opłacenie rozmowy. - Zrobiłam to trochę po hochsztaplersku, ale trudno. Ci drobni biuraliści w Polsce są czasami nudni ze swymi odezwaniem się nie w porę.

Florencja powiedziała, że dobrze zrobiłam, i zaśmiewała się jedynie, gdy kilkakrotnie wspominałam o trzech bóstwach na tym statku: leżak na pokładzie, słońce i wiatr. Podobno od Mr Foxa były już dwukrotne pozdrowienia z morza. Pod adresem mojego genewskiego mieszkania. W pierwszej chwili miałam zamiar pytać o adres, ewentualnie o możliwości skomunikowania się ze „Sokołem Morskim” na morzu, ale później zdecydowałam, że to nie byłoby właściwe. Przecież zrezygnowałam z zaproszenia.

Wtorek - 11 kwietnia

Mocno huścą. Podobno w nocy huścąło jeszcze lepiej. Nic dziwnego. Biskaje. Koło godziny dziewiątej wieczorem dobijamy do Lizbony. Sporo osób leży w łóżku. Państwo Pinińscy powitali mnie z wielkimi uprzejmościami. Kelner był zdziwiony, że mam apetyt.

Do kolacji znów nowa kreacja. Później spacer po pokładzie. Piszę te słowa po obiedzie, wróciłam do kabiny, by się przebrać. Pogoda nieszczególna. Wyjdę chyba w karakułach? Jedziemy „po słońce południa”, jak to określili w prospektach, a dużo osób przewidujących zabrało futra. Sporo jest hałaśliwych pasażerów, są również tacy, którzy rozpychają się. Jak wszędzie zresztą. Tylko że na statku takie rzeczy występują w sposób jaskrawy.

Przed obiadem wstąpiłam na moment do baru. Doktor spaceruje po pokładzie, wszędzie go pełno, zdaje się, że wyławia przystojniejsze kobiety. Moja stewardessa znosi mi pokładowe plotki. Jakaś rumuńska Żydówka o palącej urodzie i mocno wypukłych wdziękach zaczęła już forsowanie swej kobiecości za gotóweczkę... Służba okrętowa wie wszystko. Stewardessa pomagała mi w kąpiel, masowała plecy i przy tej okazji opowiadała różne historie. Ma znakomite okazje do obserwowania. „Piłsudski” w pewnych sezonach dochodowych obwozi amerykańską klientelę po morzach południowych, po różnych Kubach i Jamajkach. Prowadzą wówczas na statku kuchnię rytualną pod dozorem rabina i z osobnymi nawet naczyniami. Biorą tym na lep bogatych Żydów amerykańskich. A wśród tego kręci się

również sporo innych Amerykanów, ponieważ ceny na polskim statku są konkurencyjne, jest czysto i wesoło w dodatku.

Jakoś się urządziłam. Ale obecnie czas przebrać się i zajrzeć, jak różne nudzące się wesołki grają w bingo. Taka sobie loteryjka, całkiem jak w domu. Bój o sto czy pięćdziesiąt złotych.

Piszę w łóżku. Lizbona. Niektórzy z pasażerów wybrali się dzisiaj do jakiegoś kabaretu na występy artystyczne i dancing. Trzeba się jednak wyspać. Jutro o godzinie dziewiątej rano wycieczka samochodami do Mafry i Cintra. To wszystko już widziałam przed czterema laty, ale warto obejrzeć po raz drugi. Zamek Pena, ogród Monserrate, klasztor S. Jeronimos w Belem. Wszystko godne oglądania po kilkakroć.

Gdy wrócimy z dzisiejszej wycieczki, pojedziemy na przyjęcie do tutejszego poselstwa. Grandtoaleta, oczy im zbieleją. Ta sama, którą prezentowałam po raz pierwszy na przyjęciu u sir Williama. Z biżuterią.

Przepowiadają pogodę, gdy miniemy cypel Gibraltaru. Leżak, słońce i wiatr, tym razem nie od morza, lecz na morzu.

Sobota - 15 kwietnia

Wszyscy mówią z żalem: - Już upłynął pierwszy tydzień naszej podróży. - A równocześnie potworzyły się partie brydzowe, organizują nawet coś w rodzaju zawodów z nagrodami. Wszędzie to samo, na lądzie i na morzu. Chyba w powietrzu ludziska nie grywają w brydża? Chociaż kto wie? W jakimś Zeppelinie czy na amerykańskim klipperze latającym do Ameryki? Jakaś para wariatów amerykańskich brała niedawno ślub ze spadochronami. Na pokładzie błogosławiono im związek małżeński, a później oboje państwo młodzi w towarzystwie duchownego wyskoczyli ze spadochronami na ziemię. Różne wariactwa przydarzają się w Ameryce, opis czytałam w miesięczniku.

Przyjęcie w poselstwie. Głupia historia. Jakaś dama oparła się plecami o stoliczek z chińską wazą, no i wypadek. Ale podobno takie wazy skleją, dorabiają brakujące części. Nie wiem, jak się to skończyło, ponieważ byłam otoczona licznym towarzystwem. Jeden z sekretarzy urzędował w zeszłym roku w Bukareszcie, od razu mnie poznał i przypomniał moją paradę powodzenia. Reszta gości była nieważna, poseł, różni miejscowi dygnitarze i od tego momentu stałam się persona grata dla imć kapitana Mamerta. Niepotrzebna reklama, ponieważ od tego czasu różne typy i typki obojga płci przyglądają mi się jak. świętecznej choince.

Na przyjęciu w poselstwie poznałam jakiegoś oryginała. Nazywa się Maciej Warszycycki, nikt nic o nim nie wie. Samotny jegomość, podobno z Warszawy, tak mnie informował półgębkiem.

Przypadkowa znajomość, sąsiad leżakowy z pokładu słonecznego. Coś mi upadło na pokład, schylił się, podał z uśmiechem, ale mocno umiarkowanym i nie zachęcającym do zawierania bliższej znajomości. Początkowo myślałam, że to jest ów literat, który pisuje do gazetki okrętowej, podrzucanej tutaj codziennie rano do wszystkich kabin. Być może dlatego zwróciłam uwagę na pana Warszycyckiego. Chyba nie aptekarz, tylko oni forsują zawsze te swoje trzy literki, ale ukrywają przy tym starannie historię kręcenia proszków. Wzięłam go za literata, ponieważ pisze coś ołówkiem w brulionie. Ubrany jest jak wszyscy: na zmianę spodnie kremowe i szare, koszula sportowa, na ręce sweter lub marynarka z samodziału. Amerykańskie okulary od słońca w szerokiej oprawie.

Dzisiaj miał drobny pokładowy spór. Przeciwnik próbował mu wymyślać, lecz mój przygodny znajomy odwrócił się do niego plecami i skinął na pokładowego stewarda. Tamtemu zepsuł się leżak i poradził sobie w ten sposób, że zdjął bilet z dobrego leżaka i przypiął go na swój zepsuty. Leżaki są ponumerowane, mój znajomy miał przypadkiem bilet wynajmu w portmonetce i sprawa została natychmiast załatwiona. Nerwowiec jeszcze się

rzucał, ale ostatecznie steward przyniósł mu inny leżak i załagodził sprawę. Facet od zmiany biletu na leżaku od razu stracił twarz w naszym pobliżu i wyniósł się na drugą stronę komina.

Jutro bardzo wczesnym rankiem dobijemy do Neapolu. Już obecnie jest dużo słońca i włoskiego kolorytu. Niebo jak na obrazku, bez chmur, upał tonowany jedynie słabym wiatrem.

Wieczorem proszą mnie po raz pierwszy do brydża. Państwo Pinińscy i jakaś ich znajoma ze wsi, starsza pani, podobno z domu hrabianka. Pójdę, ale na krótko, wszyscy jutro wstajemy bardzo wcześnie, pragniemy wziąć udział w zbliżaniu się do Neapolu. Trzeba będzie wstać koło wpół do czwartej. Stewardessa zaproponowała mi karty do trzeciej, tak podobno jest w zwyczaju. Kapitan Stankiewicz przynajmniej dwa razy dziennie przychodzi i mówi mi jakieś zdawkowe grzeczności w stylu staroświeckim. Doktor również.

Godzina trzecia rano. Obudzili mnie. Ubieram się. To właściwie już niedziela 16 kwietnia. Może być chłód, zabieram szalik i wkładam futro. Pledy, spróbuję usiąść na pokładzie.

Już wróciłam. Mogę pospać sobie przynajmniej do ósmej. W godzinę później zwiedzanie miasta autokarami, wrócimy dopiero na obiad, około pierwszej. Kapitan bardzo uważający. Możliwe, że stewardessa w pewnym znaczeniu mnie szpieguje. Gdy wyszłam na pokład, zbliżył się do mnie pokładowy steward:

- Pan kapitan prosi.

Poszłam za nim. Kapitan na mostku, który jest tutaj pewnego rodzaju oszkloną werandą na najwyższym pokładzie, komplementy i wygodny punkt obserwacyjny. Pojawiła się nawet butelka wina i kieliszki. Było bardzo miło. Rozmawiałam z konsulostwem z Kanady, mili ludzie, ale tylko urzędnicy. Niczego więcej nie reprezentują, nawet własnej intelektualności. Ale również i tacy są potrzebni na świecie, uprzejmi i tyle, nawet encyklopedia doczepiona, lecz nie wrodzona.

Niedziela - 16 kwietnia

Wieczorem w kabinie. Jestem trochę gapiowata. Mam wszystkie wycieczki wykupione jeszcze w Warszawie i ułożyli je w kolejności dni. Warszawska urzędniczka wyobraziła sobie, że można równocześnie tego samego dnia o dziewiątej rano pojechać w autokarze oglądać Neapol do obiadu i równocześnie od tej samej godziny do późnego wieczora zwiedzać Pompeje i wywindować się kolejką zębatą na Wezuwiusz. Ale trudno. Dobrze; przynajmniej, że zorientowałam się w porę i wsiadłam do właściwego autokaru. Ciekawe, kierownikiem wycieczek lądowych na naszym statku jest niejaki pan Józef Poniński, taki sobie zdeklasowany, podobno hrabia, naturalnie galicyjski. U nich były wielkie urodzaje na hrabiów w okresie cesarza Józefa II. Zostać wówczas baronem czy hrabią - to zależało jedynie od ilości posiadanych opłotków na wsi i wysokości płaconych podatków.

Lunch zjedliśmy w pawilonie Pineta, później była pora partii drogowej do Pugliano, a tam już kolejką zębatą i jak wszędzie na całym świecie angielscy turyści w różnej cenie, z fajkami i bez fajek, w kratkach i nie kratkach, wysuszone Miss, kodaki, Baedekery w rękę, no i przewodnicy Cooka, dbający o to, aby nikt z ich gości nie przewrócił się na prostej drodze, nie wpadł do krateru lub w ręce konkurencji. Na górze niewiele się zmieniło, od czasu jak przebywał w tych stronach Ignacy Kraszewski. *Mille pardons*. Owszem, już nie jeździ się na osiołkach, wybudowano bowiem do użytku osłów kolejkę zębatą.

Po drodze w autokarze trochę ostatnich plotek. To literatowi podobno utarło nosa na pokładzie słonecznym. Zamiast o jakąś piękną Helenę czy Sylwię, spór był o zepsuty leżak. Ano, w charakterze pokładowego bohatera mój sąsiad. A Sylwia to imię tej piersiastej Żydówki czy Rumunki, która stwarza dodatkowe atrakcje dla panów na pokładzie naszego statku. A może zbiera sobie w ten sposób na posag? Kto to może wiedzieć? Pan Warszycycki siedzi o kilka stolików dalej ze starszym panem z Warszawy, jakiś bogaty fabrykant. Podobno

tak się urządzili zawczasu. W naszej jadalni jest zaledwie kilka takich dwuosobowych stolików, mają powodzenie, zwłaszcza u par poszukujących ekskluzywnej samotności. Lub u Maciejów W.

A z tym literatem to heca. Prowadzi gazetkę pokładową, nie jest ona bardzo ciekawa. Numery składam na kupkę, obecnie już nie czytam, nudna piła, Szkoda, że nie jedziemy przez równik, poprosiłabym Neptuna, aby drewnianą piłą obciął przestarzałe kawały w tej gazecie lub ogolił nią „poetników” z „Galu”.

Dzisiaj każdy z nas kupił pakiet gazet. Nowości polityczne. Ale gdy się bierze udział w wycieczce, na bok smutki i na bok gazety! Pogoda, słońce, u mnie w kabinie świeże goździki. Prezent od oficerów, tak mnie naiwnie objaśniała stewardessa.

Poniedziałek - 17 kwietnia

Wycieczka wycieczką. Ale gdy zesliśmy ze statku i wsiedliśmy do autokarów, oczy nasze uderzyło mnóstwo czerwonych chorągwi z dwugłowym czarnym orłem. Gazety nie potrzebowały informować nas o tym, co się stało. Szoferzy od razu powiedzieli nam z błyszczącymi od radości oczami: - Duce, duce, duce... Zajęliśmy Albanię! - Ano, wszyscy coś zajmują. Hitler Austrię i Czechy, Mussolini Abisynię, a obecnie Albanię. Franco na odmianę własną ojczyznę Hiszpanię. Chyba dość w tym roku. Polska również zajęła w zeszłym roku Zaolzie. Całe szczęście, że moja szwajcarska ojczyzna nie posiada takich niezdrowych apetytów. Bo i cóż moglibyśmy zająć? Przecież nie księstwo Lichtenstein? Co by zrobili filateliści? Choćby dlatego nie możemy zajmować... Niech więc śpią spokojnie. A może to właśnie byłaby gratka dla zbieraczy znaczków pocztowych? Przeszono by drukować co dwa tygodnie nowe serie „Lichtensteinów” i od razu stare poszłyby w górę. Ale to są głupstwa, a tymczasem z tonu włoskich gazet widać, że stroili się na jakąś wyższą nutę. Francja będzie miała z nimi kłopot, ponieważ coraz głośniej wykrzykują: Corse, Nizza, a nawet Tunisia! Na razie jednak Francuzi na granicy włoskiej mają sporo celników, dadzą im do obrony pistolety i jakoś poradzą sobie z włoskimi bersaglierami, w których podczas wojny służył pan Benito. Ciekawe, nasz stary warszawski ułan z „Adrii” i „Oazy” jest u nich obecnie polskim ambasadorem. Przyjaźń, podobno sobie radzą i są z siebie wzajemnie zadowoleni. Zięć Mussoliniego nazywa się hrabia Ciano i lubi polską wódkę. Przymierze murowane, choć dobrze na odległość. Podobno nie najgorzej się ulakierował, gdy odwiedził Warszawę. Miał nawet jakieś fizyczne nieprzyjemności. Ale co mnie do tego?

Dzisiaj podróżowałam w towarzystwie pana Warszzyckiego. Powoli jakoś rozgaduje się. W dalszym ciągu nieosobowo, półgębkiem, ale ma miły uśmiech. Koło czterdziestki, nie aptekarz, zapytany, powiedział krótko, że pracuje w przemyśle. Ale nie informował dokładniej. Koło niego kręci się jakaś donna ze Śląska, leżakowa sąsiadka z drugiej strony leżaka. Obojętny na zalecanki. Na palcu obrączka i sygnet. Żonaty, lecz podróżuje samotnie. Prawie z nikim nie rozmawia.

No cóż. Wszystko widziałam już kilka razy. Capri i Anacapri, Lazurową Grotę. Dzisiaj było względnie jasno, bez przygód i bez opowiadań o noclegu w grocie.

A więc Marina Grandę, kolejka zębata do miasteczka Capri, tamże lunch, autokarami do Anacapri, dość głupkowate objaśnienia naszych przewodników i powrót do Neapolu.

Zamiast kolacji na statku, podobna kolacja we włoskiej restauracji w czworo, państwo Pinińscy, pan Warszzycki i ja. Ten ostatni zapłacił rachunek, dyskretnie. Później powrót taksówką na statek i żegnaj, piękny Neapolul Ostatni kwadrans na molo, kupowanie naręczy kwiatów i w miarę oddalania się od brzegów wrzucanie kwiatka po kwiatku w bryzgi fal morskich. Taki zwyczaj od wielu, wielu, może tysięcy lat... A później dansingowa godzinka. Naturalnie jeszcze jedna moja kreacja. W tej mierze nikt mnie nie pobije na statku. Baby zielenieją ze wściekłości. Udaję, że nie dostrzegam. Pan Warszzycki nie tańczy, lecz ubrany

jest starannie, smoking. W barze dopija kieliszki tylko do połowy, w ten sposób chroni się widocznie od ilości, w zamian za jakość.

Spać. Jutro rano już w Palermo. Stary szlak wszystkich wycieczek w tych stronach. Podobno dzisiaj kręć się na parkiecie przez całą noc, ale ja mam dość.

Warszawska urzędniczka z „Galu” była nieprzytomna. W Trypolisie mam znów dublowane dwie wycieczki, nr 8 i 9. Przynajmniej zwrócili mi trzydzieści złotych i przeprosili. Ale obecnie już naprawdę spać! Przyjemny podmuch wiatru. Statek płynie - bez wstrząsów.

Sobota - 22 kwietnia

Dość długa rozmowa z Marcinem. Nic ważnego, ale oczekuje mnie w Genewie najpóźniej w połowie maja. Na statku monotonia. Wszyscy opowiedzieli już sobie historię własnych przeżyć i obecnie spoglądają na siebie z niechęcią nie rozumiejąc, dlaczego to uczynili. Bardzo dobrze, że ja nikomu się nie zwierzam. Ani tutaj na statku, ani gdzie indziej. Nie w moim to byłoby stylu życiowym. Dzisiaj na statku bal. Obecnie czekam na fryzjerkę i z braku lepszego zajęcia gryzmołę w bloczku. Nie mogę ukazać się bez zrobionej fryzury i cierpliwie czekam w kolejce. Wieczorem grandgorset i zmienię toaletę około północy.

Wczoraj spędziliśmy prawie dziesięć godzin w samochodzie. Lunch w arabskim miasteczku Garian. Na końcowym etapie Leptis Magna, zwiedzanie wykopalisk włoskiego miasta. Urozmaicona trasa, doskonale drogi. Pan Warszucki mówi, że Włosi budują dobre drogi nie dla pięknych oczu Arabów, lecz w celach wojskowych. Może zbyt naiwnie wyrwało mi się powiedzenie: - Jakież tutaj mogłyby być cele wojskowe? - Usłyszałam, że to droga do Egiptu i bezpośrednie zagrożenie angielskich interesów w strefie Suez.

W notatniku zapisałam miejscowości: Taggiura, Sidi ben Adem, Uadi Ramla, Carabulli, Gasr el-Chiar, El-Mergheb, Homs. W sumie około trzystu kilometrów. W istocie Włosi włożyli w to wszystko sporo pracy, a jeszcze więcej pieniędzy. Słusznie należy im się ta kraina, która przed pięćdziesięciu laty była pustynią i na której trwały nieustanne walki pomiędzy arabskimi szejkami.

Leptis Magna, rzymskie miasto Septimusa Severa, ruiny, które dotrwały do naszych czasów, świadczą o wielkości kultury rzymskiej na brzegach Morza Śródziemnego. Nic dziwnego, że faszyści podążają starymi szlakami swoich przodków sprzed dwóch tysiącleci. Zrobiłam moc zdjęć. Zmieniłam po drodze taśmę w leice w jakiejś komórce hotelowej.

Wodociąg, łuk triumfalny, forum, liczne kolumnady, świątynie, amfiteatr dobrze zachowany i nowsza już bazylika. Odkopywanie przeszłości trwa w dalszym ciągu. To Rzymianie stworzyli tutaj kulturę, barbarzyńcy natomiast przysypali ją piaskiem zniszczenia i zapomnienia. Zginęli Rzymianie, zginęła z nimi również kultura na wybrzeżach Afryki. Podobno w pobliżu Trypolisu leży jeszcze inne miasto, nie ustępujące w piękności zabytkom w Leptis Magna. Jest to oddalone o sto kilometrów Sabratha, nie umiano podać mi rzymskiej nazwy. W tamtym mieście odrestaurowano całkowicie rzymski teatr, w którym wystawiono przed dwoma laty Sofoklesowego *Króla Edypa*, a w roku ubiegłym *Ifigenię w Taurydzie* Eurypidesa. Informacje pana Warszuckiego.

Gdy patrzę z bliska na dzieła włoskiego dyktatora, sama być może krzyczałabym z tłumem: - Duce, duce! Później w myślach ukazuje się zjawia włoskiego markiza z Montecatini i przypominam sobie jego opowiadania. Na świecie pomieszane są rzeczy złe i dobre. Czasami u celu są rzeczy wielkie i wzniosłe, a po drodze łzy, krzywdy i trupy. Teatr życia naśladuje wszystkie inne teatry. Świetne dekoracje dla oczu widzów, blichtr nawet, a równocześnie odrapane kulisy codziennej rzeczywistości. Z aktorami to samo. Tylko tyle, że w pewnych wypadkach grozi jedynie wyrzucenie z desek, które stwarzają iluzje, w innych śmierć i zapomnienie. Tłumaczył mi kiedyś profesor Wydra, że dyktatorowie nie umierają, lecz giną...

Niedziela - 23 kwietnia

Pokład, leżak, słońce, przybyły jeszcze gry pokładowe, zabawa w koniki nawet, ponieważ podróżni już się nudzą. Wszyscy mówią: - Jeszcze sześć dni. - W dodatku włoskie gazety w tonie napastliwym. Podróżni, którzy kręcili się po Trypolisie na własną ręką i nie wzięli udziału w wycieczkach, opowiadają, że widzieli niemieckie czołgi poprzykrywane plandekami, koło nich obsługa, żołnierze w jakichś podejrzanych mundurach, nie wyglądający na Włochów. Nieprzyjemna atmosfera. W naszych okrętowych komunikatach - woda.

W pierwszym dniu pobytu w Trypolisie byłam na dwóch wycieczkach. Przed południem było zwiedzanie samego miasta Trypolisu, po południu Oaza Trypolis i wyjazd do wsi Tagiura. W miejscowości Suk el Giuma, gdzie przyjrzelśmy się targom arabskim, kupiłam kilka drobiazgow ze srebra i sporą buteleczkę ambry. Następnego dnia przejeżdżaliśmy również przez te same miejscowości, lecz bez zatrzymywania się, w drodze do Leptis Magna. Wieczorem w małym gronie, Pinińscy, Osterwowie i jeszcze kilka osób, wybraliśmy się na przedstawienie do arabskiego teatrzyku. Coś w rodzaju małego, obskurnego zresztą kabaretu, stoliki pod ścianami i picie wrzącej kawy w małych naparstkach. Taniec brzucha, trochę nagości, na modłę arabską, i jakaś kocia muzyka, taka sama, jaką się słyszy czasami, gdy radio zostanie nastawione nieopatrznie na jakąś stację w Afryce.

Wszyscy wyśmiewali się ze starszego pana z kozią bródką. Miał bródkę, a teraz nie ma bródki. Kilku panów zawędrowało po prostu do włoskiego domu publicznego, w którym bractwo upiło się, po czym w przystępie dzikiej fantazji jedna z huryszek wzięła nożyczki i obciąła bródkę turyście z „Piłsudskiego”. Podobno stało się to na jego życzenie, reszta jest już niecenzuralna dla mojego bloczka, który mógłby się zgorszyć.

Odgłosy z baliku. Nie tańczyłam kogoś z kolei tańca i dotrzymałam towarzystwa panu Warszkiemu przy stoliku z winem, oto co mi opowiedział.

Damulka ma wabika, rybak z leiką w ręce, a starszy pan w figlarnej pozycji na taśmie leiki. Już by się zdawało, że historia skończona, a jako epilog szantaż po powrocie do Warszawy. Ale... w pobliżu był pan Warszki i skończyło się inaczej.

- Nic wielkiego - powiedział mi - przyszedłem właśnie w samą porę. *Veni, vidi* i... po prostu wyjąłem taśmę filmową z aparatu fotograficznego. Pan Witold był tak zaskoczony moim gestem, że oniemiał.

- No i jak zareagowali na to bohaterowie humoreski? - pytałam.

- Normalnie - rzekł mój sąsiad leżakowy, zapalając papierosa - damulka nachyliła się do mnie w barze i z wysokości krzeselka powiedziała mi szeptem: „świnia”, po czym podniosła brzeg pelerynki z lisów do wysokości oczu. „Pan. Witold” zapytał mnie w ciemnym korytarzu: „dlaczego?” A niedoszła ofiara funduje mi obecnie w barze, czy chcę, czy nie chcę. Wódka jest tania na „Piłsudskim”, trudno się na nią zrujnować, natomiast warszawskie epilogi byłyby w poważniejszej cenie - dodał z uśmiechem.

Zresztą, proszę pani, sprawy się wyrównały, dama z wabikiem przygląda mi się w sposób interesujący, „pan Witold” pierwszy mi się kłania, gdy mnie spotka. Podróż bowiem wkrótce się skończy, trzeba będzie wrócić do Warszawy, a tam...

I pan Warszki zagadał o czymś innym.

Reszta jest na statku normalna. Kucharze wysilają się na dania, którym nadają różne osobliwe nazwy, trochę z sufitu, zwykły język kuchenny wszystkich „Grand Hoteli” na całym świecie. W dodatku ludzie są nieskończenie durni. Nie wiem, za kogo mnie mają. Pokładowy steward proponował mi kupno zbiorku z nalepkami różnych hoteli ze szlaków, po których pływa nasz statek. Można by sobie tym udekorować kufer i walizki. Także moda, także pomysł. Ludzie z braku lepszego zajęcia - wariują. Widocznie tak działa słońce i upał.

Od dwóch dni kręci się koło ranie jakiś osobliwy typ. Stara się stawać na mojej drodze, wpatruje się we mnie jakimś zbaraniałym wzrokiem. Ponieważ to mnie uderzyło, pytałam, kto zacz. Pan Warszucki podjął się misji zbadania i po godzinie wykrył nazwisko typu: Mieczysław Pągowski, z Warszawy. Podobno właściciel kamienicy przy ulicy Zielnej. Łatwy do zrekognoskowania, ponieważ po drodze kupił małego kameleona, którego ciekawym i naiwnym pokazuje jako wielką osobliwość. To jest również wabik, mowa o kameleonie. Sprawdziłam w prospekcie, rzeczywiście taki Pągowski figuruje w spisie gości w trzyosobowej kabinie w cenie sześćset sześćdziesiąt złotych. Gdy mnie mija na pokładzie spacerowym, kładzie rękę na sercu i zagląda mi w oczy. Koło sześćdziesiątki, gruby, niski, łysy, ogromna cebulasta głowa, usta mięsiste, a nad nimi sumiasty wąs podkrecony do góry. Bałwan. Łowca kobiet. Ale opisuję, ponieważ to jest również jedna z figur pokładowego panopticonu. Każdemu wolno jechać, kto sobie uskłada sześćset sześćdziesiąt złotych; jeden wspólny pokład, co prawda dwie jadalnie, przynajmniej w tym pociecha.

Ceuta - poniedziałek - 24 kwietnia

Ano i Ceuta. Przybiliśmy prawie o dziewiątej rano. Odplynęliśmy o północy. Wycieczka specjalnym pociągiem do starożytnego Tetuanu, właściwie: specjalnie obskurnym pociągiem. Ale sam Tetuan jest interesujący. Przewaga Arabów, Hiszpanie w znakomitej mniejszości. Cóż, kiedy zabytkowy meczet zamknięty nawet dla mężczyzn, jakaś mużulmańska świętość i ostrzegawcze napisy w trzech językach. Niespełna piętnaście lat temu toczyły się tutaj zacięte walki z Berberami. Jeszcze dzisiaj miejscowa ludność patrzy mocno spode łba. Kupiłam kilka drobiazgów na prezenty, ze skóry ze złoceniami. Przecież wszyscy będą mi patrzeć w ręce, gdy wrócę do Warszawy.

Na statek wróciliśmy stosunkowo wcześniej, ostrzegali nas, że nie warto włączyć się po mieście w ciemnościach, miasto pełne jest kolorowego wojska. Rząd generała Franco uzbrojony po zęby. Zwycięstwo świeżej daty, nic dziwnego, że się boją. Dyktator w randze generała. W Ceucie wszyscy Hiszpanie paradują z metalowymi podobiznami generała Franco w klapach, podobnie jak w Polsce ze znaczkiem głowy Piłsudskiego na klapie lub z mieczykiem Obozu Wielkiej Polski pod klapą. Hiszpania, kraj nieustannych rewolucji, oni już we krwi mają mord, w dodatku lubią mordować się wzajemnie. Taki zwyczaj narodowy. To wszystko psuje im jednak interesy, ponieważ żyją z turystów i są częściowo na ich utrzymaniu, podobnie jak Włosi. Gdy rewolucje zniszczą ich zabytki, ruch turystyczny w tych stronach zamrze, gdyż kraj jest skalisty i pustylny, jedynie stare miasta z zabytkami dodają mu uroku. I tradycja - tego, co tutaj się przydarzyło.

Dzisiaj na statku spokojny wieczór. Rozgrywki brydżowe dobiegają końca. Zwycięzcą zostanie podobno aktor Junosza-Stępowski. Nie przepadam za nim. Osterwa przemawia mi więcej do gustu na scenie. Nie poszłam również na deklamację z *Cyda*, to mogę usłyszeć na miejscu w Warszawie, w dodatku nigdy na to nie poszłabym, bo nudne. Problemy również nie dla mnie. Wczoraj po południu wygrałam w koniki trzydzieści złotych.

Wtorek - 25 kwietnia

Huśtamy się na morzu. Ostatnie błyski słońca. Na statku wśród załogi poruszenie. Podobno wieści ze świata są nieszczególne. Co by było, gdyby właśnie obecnie wybuchła wojna? Przecież niemieckie łodzie podwodne pływają na wszystkich morzach. Głupstwo, skąd te strachy.

Środa - 26 kwietnia

Komunikaty bardzo głupie. Konferencje, ten z tym, a tamten jeszcze z kimś innym. Popołudnie poświęciliśmy brydżowi. W mojej kabinie, kazałam przynieść kawę, ciastka i likiery. Moje zwykłe towarzystwo.

Czwartek - 27 kwietnia

Stewardessa mówi, że kapitan kazał rano oddać prywatne radia do przechowania. Głupio. Wieczorem nasz pokładowy lekarz, zapewniał „pod chajrem”, że Hitler wygłosił w Reichstagu bardzo ostre przemówienie, domaga się Gdańska i szerokiego korytarza przez Pomorze. Wojna? Dzisiaj płyniemy podobno w milczeniu i bez świateł.

Pan Warszucki wspominał, że zamówił miejsce na „Batorym” do Nowego Jorku na początek września. Wpłacił dwa tysiące złotych. Wyraża wątpliwość, czy ta jego podróż dojdzie do skutku. Wojna - wszyscy tylko o niej mówią. Strach i cykoria. Byle tylko dojechać. Można by wysiąść po drodze, o ile zmienimy kurs na Kopenhagę. Mówi się o tym. O ile dobijemy do Warszawy bez wojny, trzeba będzie skrócić pobyt w Polsce, bardzo mi jest na rękę wezwanie Marcina na połowę maja. Byle tylko nie dał mi jakiegoś nedorzecznego zadania, na przykład pozostać w Warszawie. Ale chyba nie. Na wypadek wojny wyjeżdżam pierwszego dnia. W najgorszym razie przez Węgry lub Rumunię. Ale chyba wojny nie będzie?

Piątek - 28 kwietnia

Istotnie płyniemy na Kopenhagę. Źle. Kapitan Stankiewicz mocno zdenerwowany, kabina radiotelegraficzna zamknięta dla podróżnych. Znajdujemy się w pływającej pułapce. Dzisiaj wszyscy oglądają pasy ratunkowe, pomimo że tak lekceważyliśmy ćwiczenia i próbny alarm na początku naszej podróży.

Sobota - 29 kwietnia

Mogłam wysiąść w Kopenhadze, ponieważ półtorej godziny staliśmy na redzie, zabraliśmy jakichś dwóch tajemniczych pasażerów. Różnie o tym mówią. Ale wytrzymałam. Podobno sytuacja trochę się wyjaśniła i uspokoiła. Ale w dalszym ciągu żyjemy bez wiadomości.

Ostatnie popołudnie na statku. Siedziałam w czytelnicy, oddawałam wypożyczone książki. Przyglądałam się w milczeniu panu Warszuckiemu i dopiero teraz przyszło mi na myśl, że można było z nim trochę porozmawiać. Nie gonił za kobietami, a to była już pewnego rodzaju zachęta. Pytałam go, co ma zamiar robić w lecie, coś tam bąknął. Nie lubi mówić o sobie, mieszka gdzieś na Pradze, w pobliżu moich byłych domów czynszowych. Ale nie dowiedziałam się nic specjalnego, tylko tyle, że posada jego wymaga kręcenia się po świecie. Połowa miesiąca w drodze. Był w Lipsku na tegorocznych Targach, w roku zeszłym - kręcił się trochę po Italii. Z żoną? Nie, sam. Rodzina jeździ na zmianę nad morze lub do Zaleszczyk. Rodzina, to znaczy żona i chłopiec.

Może i szkoda, że poświęciłam mu mało uwagi. On jeden na statku zachowywał się wobec mnie obojętnie. Nie narzucał się, lecz był uprzejmym sąsiadem leżakowym, ponieważ państwo Pinińscy nie korzystali z pokładu słonecznego i wynajęli leżaki w cieniu na pokładzie spacerowym.

Ale trudno - jutro już Gdynia.

Warszawa - poniedziałek - 1 maja

Spokojnie, prawie spokojnie. Kolacja na Mokotowie, bardzo bohaterские miny. Od razu pierwszego dnia brydż z generałami, musiałam opowiadać, domagali się jakichś przygód. Nie chcieli wierzyć w pokładowy leżak, słońce i wiatry morskie, które opaliły mnie znakomicie. Oglądali moje dwieście zdjęć, tyle natrzaskałam. Wywołali i skopiowali mi jeszcze na statku, po trzy sztuki z każdego. Jeden komplet подарuję w Montreux. Moc różnych listów. Zastałam już na posterunku dr Miliza, w hotelu „Bristol”, nie u nas. Prawie chłodny, dla mnie jednakże uprzedzająco grzeczny.

Na wstępie wiadomość o Faustynie K. Odmówił wyjazdu za granicę, domagał się postawienia go przed sądem. Przed tygodniem wysłali go do Berezki Kartuskiej. Tego się po nim nie spodziewałam, miał ostatnią szansę życiową. Przecież Marcin dostarczyłby mu pieniędzy, mógłby się jakoś mądrze urządzić. Z drugiej strony szkoda go, on z płucami nie jest dobrze. Karol Petras przez swoje stosunki dotarł aż do niego i również osobiście namawiał. Podobno bezczelnie stawiał się policji, pobili go, a później powiedział im parę słów do słuchu, gdy proponowali mu zagraniczny paszport i odstąpienie na pokład statku zdążającego do Brazylii. Jutro napiszę w tej sprawie list do Montreux. Robiłam, co mogłam, trudno było więcej. Nie warto pomagać. Może zmądrzeje w Berezce, gdy sobie trochę posiedzi. Przy okazji, gdy spotkam Kostka-Biernackiego, spróbuję z nim pomówić, żeby mu urządził jakiś znośniejszy pobyt.

Pieniądże zostały przekazane. List do londyńskiej Elfrydy i kopia zawiadomienia do Sztokholmu. Mądrze zrobiłam, Duch Święty mnie chyba oświecił. Tak się to zwykle mówi, ale w rzeczywistości było inaczej, postawiłam w pokera i wygrałam. Obecnie byłyby poważne trudności z uzyskaniem pożyczki na Podjaski, a również i z samym przekazaniem. Stryj Józef wystraszony, mówi, że obecnie wysyłają wielkie partie drzewa do Anglii, ale sztucznie przedłużyli kredytowanie. Londyn zalega im w tej chwili prawie ze stu trzydziestu tysiącami funtów, starają się przewlec sprawę bankowi, dopóki nie skończą wysyłek nowych partii drewna.

Leokadii nie zastałam, pojechała na kilka dni do Górek, ponieważ starzy Orzechowscy wynieśli się na stałe do Szczytnik. Maksiu łżej oddycha. W końcu czerwca Orzechowscy jadą na dwa miesiące do Włoch, to już postanowione.

Dzisiaj nocuję na Hortensji. Nie było wyboru, brydż przeciągnął się prawie do drugiej. Jutro śpię do południa. Na środę umówiliśmy się, jedziemy do Radomia, dawno nie byłam u tego miłego wariata Wierzbickiego. Chociaż niczym mi nie imponuje po kuchni na „Piłsudskim”. Ale dla fasonu i z przyzwyczajenia.

Wtorek - 2 maja

Obiad w Zbójnej Górze. Zaproszenie stryjostwa właściwie dla Szwajcara i Anglika, ja już tylko dla dekoracji. Wieczorem odwiedził mnie profesor Wydra. On również jest mocno wystraszony, nie bardzo wierzy w angielskie gwarancje, według niego Anglia reprezentuje wojskowość jedynie od parady. Nawet nie wiedziałam, że ostatnio wysłaliśmy duże partie działek przeciwlotniczych do Anglii. Ciekawe, bardzo ciekawe, dostawa wprost, z pominięciem pośredników, pomiędzy obu rządami. Ale o tym się nie mówi, przywalili kamieniem siedmiu tajemnic. Ładowali w Gdyni. Ale profesor mówi, że w tym roku nie będzie wojny. A w przyszłym? Nie wie. Ja też nie wiem. Ale w przyszłym roku o tym czasie już będę bardzo mocno wrośnięta w Genewę i Warszawę będę wspominać tak, jak w swoim czasie Poznań, po objęciu posady w skarbie. Każdy z nas szybko przestawia się i przyzwyczaja do nowych warunków pracy i życia. To tylko kwestia oswojenia się z nowymi ulicami, sklepami, z mieszkaniem swoim, znajomymi, ze służbą. Nowe miasto w gruncie rzeczy to jakby nowa kucharka. Inny gust, inny smak, ale gdy nie truje, człowiek przyzwyczaja się i jedynie od czasu do czasu pomyśli sobie: byłoby dobrze zabrać ze sobą kucharza Fidelusa. Ale w tym wypadku sama chęć nie pomoże, trzeba mieć odpowiednie warunki, a ja ich jeszcze nie posiadam. Mnie ta cała zagranica przedstawia się dotychczas w jakiejś postaci mocno płynnej i nie okrzepniętej.

Ciekawe. Zatrwożenie naszego profesora płynie stąd, że obecnie likwidują się w Krakowie agendy Światowej Rady Żydowskiej, która wylądowała tam po wiedeńskich historiach. A raczej jeszcze przed zajęciem Wiednia przez hitlerowców. Bardzo ciekawe, prof. Wydra w tym właśnie widzi poważny alarm Wojenny. Oni przestawiają się na Nowy Jork. Dopiero obecnie łączę wszystko w jeden łańcuch i jestem trochę mądrzejsza.

Jeszcze jedno. Przed moim wyjazdem na morze otarłam się przypadkowo o ów hamulec bezpieczeństwa, który pomógł mi w swoim czasie z rumuńskim konkurentem. Według nich Polska ugnie się przed Hitlerem, podobnie jak Czechosłowacja. W pierwszej fazie sprawa Gdańska, a w drugim podobne zajęcie Warszawy jak Pragi. Sprawa jest jakoby popierana przez Chamberlaina, mimo odmiennych gestów politycznych. Mają zamiar pozwolić Hitlerowi na te podboje, a następnie skierować go na wschód. Podobno bolszewicy zawiedli pokładane w nich nadzieje i ręce niemieckie mają dokonać potrzebnych zmian na wschodzie. Ciekawe! Co powie mi Marcin?

Środa - Trzeci Maj

U Wierzbickiego było niesamowicie nudno. Stare odgrzewane kawały, których już nie warto powtarzać, towarzystwo hałaśliwe. Nasze cztery samochody wypełniły cały lokal. Po raz pierwszy zauważyłam tajniaków w akcji. Oczyszczali teren, czyli lokal, a później sami zasiedli przy drzwiach. Dawniej nie zwracałam uwagi na takie rzeczy. Nie piłam. Nie brałam udziału w jedzeniowej rozpuście. Towarzystwo bardzo mieszane, zabrano nawet dwie aktoreczki. Benefis Kasprzyckiego. Czy to wszystko ma jakiś cel i chociażby trochę dowcipu?

Czwartek - 4 maja

Leokadia wraca dopiero w poniedziałek rano. Mam spokój. Już trochę ochłonęłam. Dzisiaj kupiłam dywan, podobno okazji, przez Mireską. Zabieram perski dywan, podarunek pana Szczytnickiego, do Genewy. Jutro wyślą. Pewnie zapłacę spore cło, ale trudno, może w ten sposób nie będę się czuła tak osamotniona i obca w mieszkaniu po Mme Dorells.

Tymczasem wypoczęłam i mogę pisać. Na tematy londyńskie, ponieważ właśnie dzisiaj przysły dwa listy we wspólnej kopercie. Od sir Williama i Glorii Blerwan. Jesteśmy „na ty”, tak od razu wypadło, taki tamtejszy zwyczaj. Sir William przypomina o naszej obietnicy wzięcia udziału w amerykańskiej wycieczce, prosi również o dobranie sobie towarzystwa. Píše, że od Mr Nika ma wiadomości i że nawiązali z sobą korespondencję. Swoją drogą wuj Nik znakomicie włada językiem angielskim, podobno wspomnienia ze służby w Korpusie Paziów.

Właśnie znalazłam karteczkę, na której Gloria nakreśliła mi drzewo genealogiczne swojej rodziny. Skomplikowane historie, mimo że niewiele wyszły poza okres jednego wieku. Trzeci wicehrabia Blerwan of Tumligt, sir Clarens, służył w marynarce wojennej, przyszedł na świat w pamiętnym roku 1812, a lordem został już w roku następnym. Umarł w roku 1858. Ożeniony był od roku 1831 z panną Głorią Fox, z którą miał trzech synów i córkę, a zaraz po śmierci żony ożenił się w roku 1840 z Greczynką, z którą miał czwartego syna. Dwaj starsi jego synowie kolejno byli lordami, Robert od roku 1858, a Jerzy od 1892 roku. Syn Roberta umarł w 1891, a wnuk 1890. W ten sposób korona wicehrabiowska przeszła na drugiego syna sir Clarensa, Jerzego, który do tego czasu nazywał się krótko: Blerwan. Syn jego był lordem od roku 1900 do roku 1928, po czym tytuł przeszedł na wnuka. Siódmy wicehrabia urodzony w roku 1907 zdążył zjawić się w Izbie Lordów zaledwie kilka razy, stale chorował, a później zmarł na gruźlicę w tempie błyskawicznym. Wymieniony sir Jerzy, drugi syn Clarensa, miał dwóch synów, starszy został lordem, a młodszy, Robert, dosługiwał się powoli w Indiach stopnia generała brygady. Umarł w roku 1915, wkrótce po rozpoczęciu się wojny światowej. Zostawił dwoje dzieci, syna Roberta ur. w 1907 i córkę Głorię ur. w 1909 roku. Po śmierci gruźlika tytuł lordowski przeszedł w roku zeszłym na sir Roberta, który obecnie pojechał do Egiptu zasięgnąć porady tamtejszych specjalistów. Pewnie płuca? Matką rodzeństwa była córka hinduskiego maharadży, w którego kraiku generał Robert Blerwan - zresztą również sir Robert z racji posiadanych orderów - był angielskim rezydentem. Tak to bowiem w tych

czasach nazywali się wojskowi czy też cywilni opiekunowie maharadzów, dodawani im z ramienia władz angielskich. Małżeństwo zostało zawarte legalnie, córka maharadży kształciła się nawet w szkołach angielskich.

To wszystko byłoby jednak bardzo zwykłe i naturalne, ponieważ lordów w Anglii jest bardzo wielu, gdyby nie to, że oboje rodzeństwo, Gloria i jej brat, należeli do paczki złotej młodzieży, która otaczała byłego króla Edwarda, tego od „Simpsonki”. Wyobrażam sobie, że dla tych powodów oboje są dość osławieni na wyspie. Ale lord lordem, a jego siostra pomimo wielkiej ekscentryczności jest bardzo interesująca. W stylu naszej Elzy, ale bez tuszowania oryginalności na zewnątrz i na dzień powszedni, co się tak wspaniale udaje Elzie.

Historię trzeciego syna sir Clarena dobrze zapamiętałam. William uciekł z domu na dalekie morza. Urodzony w roku 1835, szybko zawładnął faktorią na Wybrzeżu Kości Słoniowej i wzbogacił się nie tyle na owym handlu niewolnikami - o czym bajdurzą w Bazylei - ile na wojnie domowej w Ameryce. Był dostawcą broni dla południowców. Dorobił się i zdołał utrzymać majątek. Ludzie są zawistni i stąd powstało od razu: handlarz niewolników i pirat. To ostatnie na pewno, ale zależy, jak kto co rozumie. Bardzo sporna pozycja, nawet w literaturze, mam na myśli Czerwonego korsarza Fenimore Goopera.

Obecny sir William - pozycja znana, przeskakuję zatem. Co do syna Greczynki, to ojciec trzech synów, wszyscy poumierali w końcu zeszłego wieku. Po najstarszym i najmłodszym zostały tylko córki, po średnim, Williamie, zmarłym w r. 1891, pozostał i żyje syn Artur, ur. w r. 1888, generał na emeryturze, skromny mająteczek po żonie. Bezdzienny, z naszym sir Williamem Foxem mocno na bakier. Sir William zatrzymał się na nazwisku przyjętym przez ojca, po matce z domu Fox. Reszta rodziny używa nazwiska Blerwan.

Tak sobie utrwalałam historię angielskiego rodu. Ominęłam kobiety, ponieważ tych było sporo. Jako osobna pozycja matka sir Williama młodszego, mojego obecnego sąsiada z Eichel. Ta matka, która wychowała jedynaka. Córka szkockiego adwokata, a później sędziego, sir Waltera, nazwiskiem Moncan. Stara szkocka rodzina adwokacka od wielu pokoleń.

Opisałam całą rodzinę obszernie, ponieważ to są ludzie, z których zapewne złoży się część naszego towarzystwa na „Sokole Morskim”. Gloria pisze, że przewidują około dwudziestu osób. Ciekawe, mój szwajcarski sąsiad ma grube miliony, a ósmy wicehrabia of Tunligt ma sam tytuł, podobno mocno goły tytuł. W dodatku tylko trochę znajomości na dworze, ale jak wygląda z opowiadań, niezbyt poważnych. Zaszkoziło mu przyjaźnienie się z królem Edwardkiem, jak go tam u nich nazywają. Ale z tego przecież nie można żyć. Pojadę - zobaczę. A może stary Mr Fox Esq. wybrał mnie na żonę dla swego młodego kuzyna? Głupstwo - sympatia czy nie sympatia Mr Foxa, ale sir Robertowi patrzy z oczu niedobrze. Coś z lamparta, nawet nie w przenośni powieściowej, a w rzeczywistości. Brrr, chyba nie dla mnie. Coś w rodzaju Rudolfa uwielokrotnionego. Brr!

O ile już kiedyś, to całkiem inaczej. Na przykład ktoś w rodzaju pana Macieja Warszackiego. Skąd mi się wzięło w myślach to nazwisko? Ejże, za dużo myślisz, Anno, myślenie skraca życie, przybliża starość, potęguje kłopoty. Trzeba się tego oduczyć. Warszacki? Śmieszna myśl. Co ja wiem o nim? Ale co my wiemy o nas samych? Zresztą?

Czas jednak. Pokojówka. Kąpiel. A później sen. Od czasu podróży morskiej sypiam dobrze. Właściwie po co ja siedzę w Warszawie?

Profesor jest przygnębiony. Dzisiaj powiedział mi nieoczekiwanie:

- Kto wie, czy nie zostanę zmuszony do jakichś dalszych wędrówek. Tym razem trzeba będzie wynieść się gdzieś dalej od Europy, a ja w pewnym stopniu przyzwyczałem się do Warszawy, nauczyłem się już trochę tutejszej mowy. Szwajcaria? Dla mnie - chyba nie!

Rozumiem doskonale, profesor Wydra projektuje idee rozłożone na odległe lata, Marcin natomiast realizuje szczegóły we współczesnej rzeczywistości. Idee bowiem muszą żyć na czymś realnym, na jakiejś pożywce. Współczesna historia powszechna jest dla nich jedynie

jakimś nawozem, który w glebie dnia dzisiejszego stwarza inne możliwości - dla dnia jutrzejszego, A to wszystko dlatego, że ludzie są niecierpliwi i za wszelką cenę starają się zbliżyć niebo do swojej bardzo człowieczej ziemi.

Ale czas iść. Pokojówka również pragnie spać, może nawet więcej ode mnie. Co ja mam - a co ma ona? Dla niej świat zamknięty, dla mnie droga do świata otwarta. Ja mam passe-partout według własnego widzimisię, ona musi kupować sobie bilety tramwajowe od przystanku do przystanku. Ale ona być może zasypia snem człowieka zmęczonego pracą, a ja bardzo często biorę proszki na sen, proszki od bólu głowy.

Piątek - 5 maja

Kilka listów. Od pani Horodyńskiej. Anna zdrowa, uczy się. Pani Horodyńska pisze, że jak dobrze pójdzie, to w końcu maja będzie gotowe przedłużenie domu w stronę stodoły. Co prawda budowniczy mówi, że to nie warto, ale ostatecznie budowa posuwa się. Już mury są w stanie surowym. Nowa kuchnia została doładowana również, rozumiem, że stwarzam Arkę Noego, coś w rodzaju karczmy opisywanej w Panu Tadeuszu. Ale może właśnie dlatego, przecież ten stary dom Hoferów powstał też nie od razu. Był budowany na dwie raty, każda w odległości stu lat. Mogę i ja. A zresztą widziałam takie właśnie cuda w amerykańskich magazynach - domy kalifornijskich gwiazd filmowych.

Pani Horodyńska urządziła się, pisze, że już prowadzi oddzielne gospodarstwo. Przyjaźń z Hornami. Obie małe korespondują z sobą - po francusku! Naturalnie Anna z dużą pomocą pani Horodyńskiej i nauczycielki.

Mała kuchnia jest całkowicie zelektryfikowana, bardzo praktycznie. Budowniczy proponuje przesunięcie ścianki pomiędzy starą kuchnią i hallem, chce rozszerzyć hall, pragnie zachować jednak stare palenisko i teatralną dekorację z rondlami i patelniami w tym jakimś nowym przedpokoju do nowej kuchni. Chyba tak, nic na tym nie stracę, zostanie efekt dekoracyjny dla jednych, a poszanowanie tradycji starego domu chłopskiego dla moich szwajcarskich sąsiadów. Jutro napiszę list, całkowite pełnomocnictwo.

Na statku przeczytałam kilka tomów, głównie Weyssenhoff. Wykwintny pisarz, który podobno puścił w swym życiu kilka sporych majątków. Wśród tego znajdował trochę czasu do pisania. W *Żywocie i myślach Zygmunta Podfilipskiego* znalazłam między innymi takie określenie kobiety: „... całość nic nie przedstawia do życzenia: *bonne, belle et bete*, klasyczna”. W dalszym ciągu: „... w tej kondycji powinno by się zawsze utrzymywać kobiety. Ale trudno znowu co dzień zajmować się kobietą. Ja na przykład zaniedbałam trochę jej wychowanie w ostatnich czasach i naturalnie zaraz chimery, aspiracje, żale, cała niepotrzebna, bo źle wychowana praca mózgowa”.

Gdy przeczytałam te zdania mojemu sąsiadowi z pokładu słonecznego, bąknął:

- To są pobożne życzenia większości mężczyzn na tym świecie...

- A pan? - zapytałam.

Odpowiedział mi krótko i niechętnie:

- Ach, ja się nie liczę. Ja należę do takiej znikomej mniejszości, która nie posiada wpływu na te sprawy. Po prostu z innej planety...

Ciekawe. Muszę dowiedzieć się czegoś więcej o moim sąsiedzie z „Piłsiudskiego”. Chyba Karol Petras?

Środa - 10 maja

Być może kobieta nie powinna zbyt wiele myśleć, a więcej cieszyć się życiem. Króluje sama w Zbójnej Górze. Ciotka Elfryda w Gdańsku, stryjek gdzieś w moich wiejskich stronach. W warszawskiej spółce drzewnej Leokadia jakoś sobie radzi z obu zagranicznymi, podobno sporo pracy przed walnym zgromadzeniem. Ja również wystąpię jako pełnomocnik

sporego pakietu akcji. Kto wie, może nawet będę przewodniczyć? Wirewicza w tym czasie nie będzie w Warszawie. Trudno, to przecież i tak mój ostatni występ w drzewie.

Wypadki ostatnich kilku dni. W sobotę około dziesiątej rano obudził mnie posłaniec z wiązką kwiatów. Bilecik: „Czy moglibyśmy się zobaczyć?” Zaprosiłam na obiad. W trójkę ze starym profesorem. Dwie godziny, później zostaliśmy sami.

Mężczyźni według pana Weysenhoffa pragną widzieć kobietę: dobrą, piękną i głupią. Ta ostatnia cecha objawia się u kobiet w dostosowywaniu się do zachcianek mężczyzn i uleganiu im w najdzikszych bodaj szaleństwach. Tym razem ja z kolei odwróciłam sytuację i tego samego oczekiwałam od mojego gościa. Rozstaliśmy się dopiero w poniedziałek prawie w południe, to znaczy wówczas, gdy mnie taka fantazja przyszła do głowy. W ten sposób oboje przekreśliliśmy dwa dni w kalendarzu. Treści nie wanto opowiadać, była właśnie taka, jakiej mężczyźni wymagają od kobiet. Niezbyt myśląca, przyjemna oraz w miarę głupia. Było i przeszło. W kilka godzin później zjawiła się Leokadia, ożywiona, uśmiechnięta i zadowolona. Od razu mi powiedziała, że ostatnie trzy dni spędziła w Toruniu. Widocznie wszyscy ludzie na świecie są jednacy i od czasu do czasu oszukują się wzajemnie pod postacią wymyślnych form, które ambitnie nazywają rozumem.

Nikt mnie nie goni i nie popędza. Na razie poleżę sobie spokojnie na tarasie willi. Wokół domu obudziła się już na dobre przyroda, miło jest i dobrze, zwłaszcza przed południem, gdy wszyscy jadą do swoich zajęć w mieście.

Jestem nasycona - i właśnie dlatego nie rozbieram na gramy tego, co było. Nie wgłębiam się również w szczegóły fizjologiczne, to nic nie daje.

Treść czy historia przeżyć erotycznych odpręża ciało, refleksje natomiast uspokajają wyobraźnię. Właśnie w objęciach przygodnego kochanka, jakim jest mój kolega z uniwersytetu, przypominałam sobie tygodnie spędzone na statku i przed oczyma pojawiała mi się bardzo żywo postać sąsiada z pokładu. Syciłam ciało tym, co było pod ręką, natomiast myśli poświęcałam innemu mężczyźnie.

Cóż powiedział mi Karol Petras? Owszem, nie omyliłam się w określeniu wieku, prawie czterdziestka, wiek najlepszy u mężczyzny do działania na szerokim świecie, lecz już nie dla objęć kobiety, ponieważ te w kochaniu wymagają lat co najwyżej dwudziestu pięciu. Tak twierdzi Elza, to samo powiedziała mi kiedyś Matylda, a przecież one obie znają się chyba na tych sprawach.

Taki sam magister poznańskiej ekonomii, ale nie poznańczyk, urodzony gdzieś w Galicji. Majątku nie posiada, lecz zajmuje dość dobrze płatną posadę w pobliżu swego mieszkania przy ulicy Grochowskiej. Mieszka w nowym domu, na drugim piętrze, w trzech pokojach, lecz raczej skromnie, bez luksusów. Ile zarabia? Pewnie około dwóch tysięcy złotych, informacja już z ust portiera fabryki, w której pracuje. Nie jest dyrektorem, lecz ustawicznie jeździ po świecie, w biurze siedzi najwyżej dziesięć dni w miesiącu. Na przykład obecnie w kwietniu (!) był gdzieś na urlopie, podobno w Zakopanem czy Krynicy, cały miesiąc. Stróż kamienicy wymowny, a kilka domów dalej mieści się szynk. Nietrudny był wywiad. Żona lubi się stroić, dość często zmieniają służące, ostatnia z Wilna okradła ich, ale nie zawiadamiali policji. Pan Warszycki kazał jej tylko spakować się, zawiózł ją na dworzec, wykupił bilet do domu i wsadził do wagonu. Stróż mu w tym pomagał i dlatego wie o całej historii. Piętnastoletni chłopiec z niemieckim imieniem Otton, ale chodzi do trzeciej gimnazjalnej u Zamoyskiego. Odwiedza go sporo kolegów, a nawet on sam (stróż...), ponieważ młody Warszycki ma w domu kino i co kilka dni wypożycza nowe filmy. Pies, rasowy szpic, wabi się Puszek, dobry pies, ponieważ stróż nie ma z nim kłopotu. Co do samego pana W., on jeden w kamienicy daje mu co miesiąc na każdego pierwszego dwadzieścia złotych, komornego płacą 165 złotych. Goście zjawiają się tylko w tym czasie, gdy pan W. podróżuje. Po części zna tych gości, trzy małżeństwa, jedno z ulicy Kieleckiej, daleko, aż na Mokotowie, jeździ tam z kwiatami, gdy są imieniny. Jakiś inżynier z elektrowni.

Nie kłóć się nigdy, a pani ma na imię Aniela. Były kiedyś dwie siostry pani Anieli, z Torunia, ale stróżowi jakoś się nie widziały. Wywoziły z mieszkania paczki, stąd wniosek stróża, że rodzina pani W. jest uboga, „jakieś urzędniki”... W pokoju pana Warszzyckiego bardzo dużo książek, stróż chodzi tam co miesiąc do froterowania posadzek.

A ponieważ pan Petras ma znajomości w policji, również i tam zajrzał. Prawie czysta hipoteka, mimo że przed dwoma laty dopytywano się o pana W. gdzieś z prowincji. Szukali tych notatek, ale nie mogli znaleźć, zaginęły, a urzędnika, który tę sprawę załatwił, zwolniono.

Karol Petras uczynił jeszcze więcej, ponieważ dostarczył mi fotografię rodzinną państwa Warszzyckich. Zdjęcie znad morza, jakby z Helu, pochodzące sprzed roku. Na fotografii chłopiec jest mocno podobny do matki. Właśnie od niego pochodzi ta fotografia w formacie pocztówkowym. Petrasowi powiedziałam krótko, że zamierzamy pana W. zatrudnić u nas za granicą i stąd pochodzi moje zainteresowanie dla jego osoby.

W niedzielę wyjeżdżam. W Bazylei nie zatrzymuję się, jadę wprost do Montreux. Urzędnik z naszej spółki, który załatwił wysłanie dywanu i portretu ś.p. pana Szczytnickiego, uprzedzał mnie, że zapłacę porządne cło w Szwajcarii. Dobrze, że sporo rzeczy umieściłam w wagonie, który wysłali dla Marcina, on miał na to zwolnienie z cła. Korzystam z tej podróży i zabiorę możliwie wszystko z moich osobistych rzeczy, ale głównie garderobę i bieliznę.

Obecnie czuję się w tych stronach obco, jakby na wakacjach w jakimś obojętnym mi mieście. Warszawskie kawiarnie i restauracje wydają mi się dziwnie pospolite. Kolory mi zbladły i widzę odrapane domy po obu stronach ulicy. Tego nie dostrzegałam dawniej, widocznie moje myśli były wypełnione czym innym, interesami i cyframi. Skoro już mowa o cyfrach, aż dziw, że nie zjawia się moja siostra Zofia. Z Poznaniem rozmawiałam któregoś dnia, przy telefonie była siostra. Wypadło z tej rozmowy, że Piotruś wybrał się specjalnie do mnie, a ja zostawiłam go samego i pojechałam zaraz do Londynu. A cóż miałam robić? Guziki mu przyszywać? Głupie wymagania.

W sobotę tradycyjne miesięczne posiedzenie u profesora na dole, w niedzielę rodzinny obiad u ciotki Elfydy tutaj, w Zbójnej Górze. Dr Miliz zostaje w Warszawie do końca maja, zabieram jego prezenty dla rodziny, pewnie już odkrył czekoladki Wedla.

Warszawa - piątek - 12 maja

Wyszukałam dzisiaj w książce telefonicznej numer fabryki, w której pracuje pan W., i zadzwoniłam. Nieobecny, w podróży, przypuszczalnie we Lwowie, wraca dokładnie 30 maja. Pytano o moje nazwisko, chciano zanotować. Nie podałam, rozmowę zakończyłam tym, że zadzwonię po powrocie.

Jak zwykle zlecenia Marcina. Podjęłam dwadzieścia tysięcy w kasie spółki. Wieczorem jedziemy gdzieś na imieninową kolację, dzisiaj, zamiast poniedziałkowej Zofii. Strach mnie wziął, gdy zobaczyłam stertę bagażu, który postanowiłam wieźć do Szwajcarii. Pół pokoju gościnnego. Najgorzej będzie z nadaniem w Warszawie, później pójdzie, w każdym razie ubezpieczam. Załatwia Petras.

Nad ranem. Wróciłyśmy z Leokadią bardzo późno. Każda w swojej łazience, a później Leokadia przysłała do mojego pokoju i wypytywała się, kogo gościłam u siebie w czasie jej nieobecności. Już miałam na języku jakieś głupstwo, ale powstrzymałam się. Powiedziałam tylko obojętnie i jakby przekornie:

- A tak sobie. Pożegnanie z krajem. W Warszawie zjawił się w przejeździe mój były kolega z Poznania, wiesz? Ten Stanisław, któregoś poznała. Zaprosiłam go na obiad.

A ponieważ Leokadia oczekiwała dalszych zwierzeń, zaspokoiliłam jej ciekawość:

- Tak sobie spędziliśmy dwa dni - uśmiechnęłam się i dodałam - i dwie noce.

Leokadia spojrzała ze zdziwieniem.

- Ale - mówiłam - to są wszystko jakieś odgrzewane potrawy czy wspomnienia. Mężczyźni po trzydziestce popadają w tuzinkową rutynę i nie wszystko dobrze wypada. Nawet u tego twojego Jerzego, Leokadio, on jest już również... *un peu rompu*...

Ciotka Leokadia nie zwróciła uwagi na moją dygresję w kierunku naszego wspólnego kochanka i odruchowo zapytała:

- A czegoż ty, Anno, wymagasz od chłopów?

Rozwinęłam po swojemu i sparafrazowałam powiedzenie Weysenhoffa: aby byli młodzi, uprzejmi oraz w miarę niegłupi i nienudni.

- A czy takich już spotkałaś w życiu?

- Nie - odpowiedziałam - a raczej - tak, ponieważ na „Piłsudskim” na pokładzie słonecznym spędziłam dobre dwa tygodnie obok takiego, który, jak mi się zdawało, spełniłby moje oczekiwania, lecz...

- Lecz? - podchwyciła Leokadia.

- Ma żonę, podobno dorastającego już syna, stale podróżuje i gdy wczoraj ujęłam za słuchawkę, powiedziano mi, że go nie ma w Warszawie.

Leokadia wybuchnęła śmiechem.

- A gdzież znajdziecie wasze dwudziestolatki czy dwudziestopięciolatki do konserwowania sex appealu w guście Elzy Dubow, owej nowoczesnej panny czy kobiety?

A później dodała na pocieszenie:

- Wyjechał, powróci, spotkacie się, o ile tego zapragniesz i o ile ta twoja pokładowa sympatia nie straci przy bliższym poznaniu.

A ponieważ Leokadia była jeszcze mocno wstawiona, pomimo zimnej kąpieli po powrocie do domu, przechyliła się na moje łóżko i prawie natychmiast zasnęła. Mnie również niewiele brakowało. Przebudziłam się w jej objęciach. Było już bardzo późno, prawie jedenasta. Ubrałam się znacznie szybciej od niej. Ona się jeszcze do tej chwili grzebie z toaletą. Wykorzystuję czas i bazgrzę w moim bloczku.

Na razie na tym koniec. Za chwilę jedziemy do stryjostwa na obiad, a wieczorem sleeping.

Montreux - wtorek - 16 maja

Miałam przykrości na granicy mojej nowej ojczyzny. Przyczepiono się do moich sukien. Zbyt wiele. Ledwo wytłumaczyłam, że odbywałam miesięczną podróż na morzu, że przyjeżdżam obecnie z Warszawy, gdzie trudno wyobrazić sobie, żeby ktoś kupował paryskie suknie na wywóz do Szwajcarii. Wszystko jakieś głupie ceregiele. Tyle wymogłam, że nie oclono mi tego wszystkiego na granicy i skierowano sprawę do urzędu mojego stałego miejsca zamieszkania, to znaczy w Genewie. Jutro załatwimy wspólnie z Florencją, ona ma więcej spokoju do takich spraw.

Marcin. Powiedział mi, że źle przeprowadziłam sprawę z Kruczkiem. Nie trzeba było sięgać aż do ministrów, lecz załatwić po cichu na dole z pospolitą policją, za pieniądze. Pan Kruczek, według Marcina, jest takim początkującym radykałem, który nie rozumie komunizmu i któremu tylko wydaje się, że jest komunistą. Wystarczyłoby dwa lub trzy tysiące łapówki, a później byłoby można po dobroci namówić go do wyjazdu, na przykład tutaj do Szwajcarii. On by mu już na miejscu wiele rzeczy wytłumaczył.

A więc źle zrobiłam! W dodatku Marcin całkiem serio powiedział, że on sam na jego miejscu również byłby odmówił opuszczenia więzienia na warunkach tak haniebnej deportacji bez prawa powrotu. Kruczek wykazał w tym charakter. To zdanie Marcina, według mnie jednak - tępa i nieelastyczna głupota. Marcin mówi, że obecnie z Berezą będzie trudniej, ale oni mają sposób na Kostka-Biernackiego. Tak wygląda, że go wydobędą i przywiozą nawet tutaj. Co mnie do tego? Umywam ręce, na drugi raz nie załatwiam takich rzeczy.

Brakowało tylko, aby mi Marcin powiedział: Gdy chodziło o usunięcie handlowej konkurencji, umiałaś pociągnąć za hamulec bezpieczeństwa.

Genewa - środa - 17 maja

Niespodzianki! Wszyscy, Marcinowie, Wieroczka i Nik, przewracali mi mieszkanie przy ulicy Charlotty do góry nogami. To znaczy urządzili je po swojemu, na razie nie mogę wyznać się w tym, co było moje i co jest od niedawna również moje. Widocznie urodziłam się pod szczęśliwą gwiazdą. Niepotrzebnie wysyłałam perski dywan z Warszawy. Mieszkanie nabrało innego uśmiechu, jeśli można w ten sposób napisać. W Eichel podobno również dokonali wielu zmian, a pani Horodyńska była z nimi w zмовie, ponieważ nic nie pisała. Z cłem był kłopot, ale załatwili. W każdym razie gdy obecnie pojedę do Warszawy, zabiorę tylko małą walizeczkę.

Nie wiem, ile zyskałam na tych zamianach w tysiącach franków, ale można powiedzieć, że dawny dobrobyt w mieszkaniu Mme Dorells zmieniono mi w jakieś trzy salony pałacowe, Podobno komenderowała osobiście babcia Wieroczka, a doradzały obie siostry, Patrycja i Florencja. Nik od wczoraj pęta się koło mnie i ustawicznie zapytuje:

- Ale zabierzesz mnie, Anno, do Ameryki?

Bo przecież Wieroczka nie puściłaby go samego dalej niż do Lozanny i Montreux. Tym razem nie odwiedzam Marty, rada rodzinna zdecydowała, że nie można psuć dziecka (doświadczenie Patrycji), w dodatku dyrekcja szkoły mocno krzywi się na zbyt częste odwiedziny. Na miejscu jest Miss Kora, która opiekuje się „swoją” Ksenią, a tym samym obu naszymi dziewczynkami. Florencja niedawno zawadziła o Eichel, wiadomości niemal sprzed tygodnia, Anna dobrze wygląda i uczy się zawzięcie. Inna nauczycielka, ale podobno dobra, pani Horodyńska jest z niej zadowolona. Nik zwierzył mi się w wielkim sekrecie, że w Eichel zastanę wielką niespodziankę, ale mimo że napierałam się, nie chciał nic więcej powiedzieć.

Czwartek - 18 maja

Zaprosili się do mnie i trzeba było podejmować. Przyjechała nawet Wieroczka. Nik wystąpił z kwiatami, ja z rosyjskim kawiozem i dobrym koniakiem. Mam wrażenie, że gdybym szafowała większą ilością uśmiechów i jeszcze jakimś pocałunkiem, mogłaby powtórzyć się dominowa historia i Nik Dubów zapisałby mi jeszcze za życia pałac odziedziczony po swym bracie. Ale to byłby niesmaczny kawał w stosunku do rodziny. I zgola - niepotrzebny. Wieroczka bowiem nalega, aby Marcinowie zamieszkali na stałe w pałacu, chodzi jej o towarzystwo i ruch w domu.

Wieczorem byliśmy na obiedzie u Georga Dubowa, architekta. Bogaty dom. Nowoczesne mieszkanie, może nawet ultranowoczesne - całe piętro w śródmieściu. Dzieci są bardzo ułożone, pani domu dystygowana w szwajcarskim stylu. Jutro złożę im wizytę. Z ludźmi trzeba żyć, oni się jakoś jeszcze nie pojednali, ale uspokoili i dyplomatyżują. Marcin spłacił im już całość spadku, nie oglądał się na roczny termin. Gdy go zapytałam o powody takiej przedterminowej spłaty, powiedział mi szczerze:

- Warto było dopłacić do takiego interesu i od razu pozbyć się nudnych współwłaścicieli z naszego banku.

Samo przyjęcie nobliwe, wystawne, dystygowane, wszelkie pozory przyjaźni zachowane. Naturalnie młoda Milizowa z tysiącem pytań, jak się powodzi jej mężowi w... Warszawie. Oni jakoś stracili kontenans po kwietniowej mowie Adolfa Hitlera, ustawicznie dopytywali się, czy Polacy ustąpią, czułam, że gdyby to od nich zależało, dokładaliby wszelkich starań, by powtórzyło się drugie Monachium. Marcin nie ma ustalonego zdania w tej sprawie. W każdym razie wypłacamy w tym roku wysokie dywidendy w warszawskim drzewie, aż sześć i pół procent za wszystkie emisje z wyjątkiem pierwszej, która dostanie dodatkowo dwa i pół procent. No trudno, sprzedałam, nie żałuję.

W każdym razie w kilka dni po walnym zebraniu mam sprzedać wszystkie bankowe akcje z wyjątkiem owych trzystu tysięcy oraz milion sto tysięcy normalnych akcji Marcina. Wydaje się nam, że uzyskamy kurs względnie wysoki, wobec wypłacenia wysokiej dywidendy, mam załatwić to w szybkim tempie. Pieniądze mam przekazać przez moje sztokholmskie konto przy pomocy Wirewicza.

Co do wojny - Marcin jest zdania, że Niemcy dojdą do porozumienia z warszawskim rządem, a wojna, o ile będzie, to w przyszłym roku pomiędzy Niemcami i Rosjanami. Anglia w tym interesie ma stanowić pewnego rodzaju wybalansowanie sytuacji. Gwarancje londyńskie dla Polski są oceniane bardzo pesymistycznie i rozważa się jedynie ewentualne stanowisko Stanów Zjednoczonych. Co do tych ostatnich, wchodzi w grę interesy tamtejszych dziesięciu milionów Niemców i ich mocne powiązania finansowe.

Mimo wszystko Marcin wycofuje się jednak całkowicie z warszawskich interesów. Mówi, że działa w tym wypadku zgodnie z planem sprzed dwóch lat i że ostatnie powikłania polityczne na arenie światowej nie miały na to wpływu. Podobno obrót sytuacji w Hiszpanii nie był całkiem po ich myśli, ale obecnie ustawiają się do tego zagadnienia w nowy sposób.

Gdy mówiłam o moich pociągnięciach z hipotekami w Podjaskach, w oczach Marcina błysnęło zadowolenie i powiedział:

- Szkoda, że to tylko czterysta tysięcy, ale trudno w obecnej sytuacji byłoby dalej obciążać, niech zatem tak zostanie.

Marcina ucieszył więcej mój spryt w pierwszym dniu powrotu do Polski niż owe otrzymane z banku czterysta tysięcy. Stało na tym, że mam pojechać na kilka dni do siebie na wieś i przyzwyczać tamtejsze władze do faktu mojego szwajcarskiego obywatelstwa.

- A więc na wypadek wojny? - pytałam.

- Nie - powiedział Marcin - ale w tamtych stronach mieli zawsze większe poszanowanie dla obcych, ze swoich nic sobie nie robią. Twoje szwajcarskie obywatelstwo zaimponuje tamtejszym starostom, zobaczysz.

W okresie mojej morskiej podróży widziano Władka Wirewicza w Paryżu w towarzystwie naszej znajomej z rumuńskiej ambasady. Czyżby się pocieszał w ten sposób? A może tylko Mille pilnuje swoich interesów? Skąd jednak Marcin wie o tym? Niby przyjaciele, a... Czy oni w dalszym ciągu wywożą za granicę? Podobno interesy kręcą się, a jeżeli tak, to są te same, co dawniej. Dopiero obecnie zdaję sobie sprawę z dobrej rady Marcina. Łatwo było zacząć, trudniej natomiast byłoby się odkręcić, na przykład dzisiaj.

Ale trzeba iść spać. Łóżko wygodne i w ogóle jakoś lżej. Być może dlatego, że ulica Charlotty wypełniła się moimi osobistymi rzeczami, na każdym kroku spotykam swoje własne drobiazgi i jakoś oswajam się z mieszkaniem. Zaczynam uważać je za swoje. Co prawda pustka w dalszym ciągu i niemożność zatelefonowania gdzieś blisko: przyjdź czy przyjeźdź, ale trudno, psiakrew! Nie można wszystkiego mieć na świecie.

Moje obrazy, do których przyzwyczałam się w Warszawie, już wiszą na ścianach. Prababka Anna - w salonie, Brandtowska „Kareta w nocy” - w pokoju stołowym, nie wiadomo tylko, dlaczego króla Stanisława umieszczono w moim sypialnym pokoju? Gdybym się spodziewała dziecka, może powinna bym zapatrzeć się w przystojnego mężczyznę, a takim niewątpliwie był Poniatowski w swojej epoce. Portret pana Szczytnickiego umieszczę również w salonie, delikatny, znać kobiecy pędzel, co prawda nie przepadam za portretami Boznańskiej, wszystko namalowane przez nią wygląda jak za mgłą. Zbyt pastelowe kolory, ale ludziom się podoba. Wolałabym mocny w kolorze portret namalowany przez Lenza, ale widocznie ofiarodawca był innego zdania.

Ruth dopytywała się dzisiaj, od kiedy rozpoczną prowadzić pełne gospodarstwo w Genewie. Już jest poinformowana, wie o Eichel. Słyszała nawet o moim przyszłym stanowisku w banku. Któż by zresztą nie słyszał w Genewie o prywatnym banku

nieboszczyka Dubowa. Służba interesuje się zawsze sprawami swoich chlebobawców, nic dziwnego.

Od jutra dla wprawy powracam do niemieckiej stenografii. Kto wie, czy nie nauczę się francuskiej, inny system, ale nic specjalnie trudnego.

Piątek - 19 maja

Wszystko nieważne wobec wiadomości wyczytanej w paryskiej gazecie: „Donoszą z Kairu... Przybyły tu niedawno lord Robert of Tunligt odebrał sobie życie w sanatorium, w którym umieścił się w celach leczniczych. Zmarły lord liczył trzydzieści lat i godność członka Izby Lordów odziedziczył w roku ubiegłym po swym kuzynie sir Williamie, również przedwcześnie zmarłym. Tytuł przechodzi obecnie na siedemdziesięcioletniego sir Williama Foxa, który jest wnukiem pradziadka zmarłego wicehrabiego Blerwan of Tunligt”.

Wysłaliśmy telegramy kondolencyjne pod adresem Glorii Blerwan w Londynie i Kairze przez tamtejsze poselstwo brytyjskie. Wstrzymaliśmy się natomiast z wysyłaniem kondolencji do nowego, dziewiątego z rządu wicehrabiego. Tak nam doradził Marcin.

Prasa musi zawsze do każdej notatki doczepić sensacyjny ogon informacji. Pisali, że zmarły sir Robert należał do grona najbliższych przyjaciół byłego króla Edwarda VIII. Na co komu była potrzebna taka wiadomość? Ludzie nadmiernie interesują się swymi bliźnimi.

Jutro rano jadę do Eichel, moja genewska pokojówka zaprosiła się do towarzystwa, ostatecznie niech jedzie.

Eichel - sobota - 20 maja

Moje dęby są wspaniałe w swojej krasie wiosennej! Rzeczywiście niespodzianka. W okresie mojej nieobecności angielski dziwak kazał wybudować z kamieni rozebranego murku granicznego pewnego rodzaju pawilon, tuż nad stawkiem, z tarasem i widokiem na ten stawek. Fantastyczny pomysł! Połowa pawilonu stoi na gruncie sir Williama, druga połowa na moim. Wejście z każdej strony na taras, a na moim biurku zastałam list sir Williama datowany z bardzo dawna oraz kluczyk z ozdobną główką. List bardzo miły: „Mur nas rozłączał, niechże ta altana stworzy możliwość częstszego spotykania się”. Coś w tym rodzaju, w dodatku po francusku. Data listu, jakieś bliskie dni po powrocie z Podjasek. Widocznie już wówczas powstał taki pomysł w głowie Mr Foxa. Co prawda gdy dowiedzieliśmy się o wydarzeniach w Egipcie, Florencja powiedziała:

- No, Anno, tytuł angielskiej wicehrabiny nie jest do pogardzenia, zawsze to angielska lady aż do samej śmierci i wstęp na królewski dwór. W dodatku żona dziewiątego wicehrabiego to nie jest jakiś świeży tytuł dla polityka z opozycji, którego w ten sposób kupiono dla rządu Jego Królewskiej Mości.

No - tak, Florencja zawsze widzi wszystko w zwierciadle użyteczności. Poczciwy Nik zrozumiał to po swojemu:

- Dlaczego nasza Anna nie miałaby wyjść za sir Williama? Wszystko ma po temu, jako prezent ślubny ofiarowałbym jej diadem za milion franków.

Wieroczka roześmiała się, lecz nie oponowała, natomiast Florencja patrzyła zdziwiona takim entuzjazmem jej krewnych dla mnie. Marcina nie było przy tej rozmowie.

Małżeństwo z sir Williamem? Owszem, przyjaźń czy też mile sąsiedztwo, ale nie małżeństwo. Twarz wymarszczona, podobna do głowy zółwia, być może nawet ten sam wyraz, rodzaj spojrzenia... Trudno byłoby mi pomyśleć o sypialnianych poufałościach. Nie, raczej nie. Zbyt wysoka cena, zwłaszcza w moich obecnych warunkach. W ten sam sposób odnosiłam się kiedyś w myślach do starego Kreissa. Ale ja nie jestem manicurzystką z londyńskiego „Grand Hotelu”!

Anna całkiem na miejscu. Jakoś nabiera żywości i rezolucyjności. Widocznie w domu była przygaszona, bliźniaczki trzymały z sobą, egoistki, a ona była pozostawiona tylko sobie. Pani

Horodyńska powoli wrasta w stary dom, mówi, że czuje się tutaj wygodnie. W Rabce męczyło ją nieustanne przepływanie zbyt wielu obcych twarzy i spraw.

Nowa budowla prawie ukończona, wygląda lepiej, niż sądziłam. Nowy pokój biblioteczny ma czternaście metrów długości, goła ściana bez okien od strony podwórza, bardzo ładne związanie z murem starej stodoły, którą zresztą przerobi się w przyszłości na coś innego, na razie brak mi dowcipu.

Na południowej ścianie domu pozostała stara szklarnia inspektowa, obecnie już tylko dla kwiatów. Arka Noego, ale cóż? Gorsze widywałam na filmach amerykańskich.

Druga strona biblioteki zakończona jest małym pokoikiem, z którego jest wyjście na podwórko. Okno tego pokoiku zabezpieczono ozdobną kratą, drzwi również jakieś masywniejsze, podwójne, przed wyjściem na podwórze maleńki przedpokoik, lecz już bez okna. Starczyło miejsca i architekt związał nowy parterowy budynek łukiem bramy ze ścianą stodoły. Samo podwórko wyłożono wielkimi płytami kamiennymi. Fantazja moja umieściła na tym podwórku gołębnik na słupie, kazałam wyrysować szkic technikowi w Podjaskach. Gołębnik zamieszkuje obecnie dziesięć par jednostajnie białych gołębi, dałam zlecenie, aby pozbywano się wszystkich innych kolorów.

Na zewnętrznej ścianie pokoju bibliotecznego umieszczono cztery spore okna, w równym szeregu, prawie kwadratowe, podzielone na małe kwatery szybek. Na zewnątrz białe, normalne szkło, od wewnątrz mrożone w kolorze lekko złotawym, szwedzkie okna do otwierania na pionowej osi. Gdy wszystko się ułoży, pomyślę o wyposażeniu dwóch środkowych okien w witrażowe motywy akacji, jakaś kopia ściennego witrażu z Montreux. Ale to już na później. Szafy biblioteczne zajmują jednolicie całą ścianę vis-a-vis okien, podobnie jak w moim gabinecie chippendalowskim w Warszawie. Nad szafami miejsce na obrazy. Długi stół, być może tutaj właśnie znajdą pomieszczenie krzesła przywiezione z Podjasek, które obecnie pilnują stołu w sieni.

Na razie jednak świeże tynki na ścianach czekają na wysuszenie, w tym tygodniu położą dębowy parkiet.

Tyle. Dobrze jest czasami mieć jakieś dodatkowe schronienie. Co o tym wszystkim myśli rodzina Marcina? Na pewno mówią sobie w myślach: a to wariatka! Może przez grzeczność i życzliwość dla minie mówią: Anna ma zwariowaną fantazję. Ale to nie jest ważne, na ogół bowiem ludzie mówią między sobą o znajomych przeważnie źle lub ironicznie.

Długie opowiadania pani Horodyńskiej. Proszona kolacja u Hornów - dwa duże pudła czekoladek Wedla. Czerwona Łopata patrzy na mnie w dziwny sposób, ale w rozmowach nie wraca do wspomnień sprzed roku. Cóż? Ludziom zdarzają się czasami pomyłki czy wykołajenia z granic konwenansów, czyż mamy od razu płakać i rozpaczać? A może rozdzierać szaty na kształt żydowskich płaczek? Nie ubyło mnie. A wspomnienia? Głupstwo. W każdym razie jutro obiad u mnie.

Niedziela - 21 maja

Ranny kościół, taki zwyczaj. Po powrocie do domu zabrałam z sobą moją małą chrześniaczkę i śmiało otworzyłam drzwi do pawilonu. Zewnętrzne ściany z polnego kamienia, wewnątrz jedno z takich, jakie widuje się w pałacach. Olbrzymi pokój z kominkiem w stylu angielskim. Tylko tyle, że zamiast kłód drzewnych - elektryczne grzejniki. Głębokie fotele w ciemnowisniewej skórce, mebli niewiele, lecz masywne. Kilka obrazów na ścianach. Od strony stawku dwie olbrzymie płyty kryształowe zamiast okien. Żaluzje w rodzaju sklepowych. Dwie niewielkie ubicacje zamaskowane zresztą w ścianach, jakieś małe gospodarstwo kuchenne oraz W.C. Szafka z amerykańskim radiem oraz elektrycznym gramofonem, również wbudowana w ścianę, schowana w niej. Obok taka sama szafa w ścianie i dobre kilkaset płyt. W rogu fortepian. Dla niejednego człowieka taki pawilon

stanowiłyby majątek. A na zewnątrz surowe w swej prostocie trzy ściany z polnego kamienia. Kto zaprojektował staremu Anglikowi taki pawilon. Czyj pomysł? Taras z płyt kamiennych, schodki schodzące do wody. Dwa kajaki pod daszkiem. Fantazja.

Dobrą chwilę siedziałam w pawilonie. Wyjęłam nawet dwie płyty i przegrałam je. Wszędzie klucze w drzwiach. Wydaje mi się, że zrozumiałam intencje mojego starego sąsiada. Wyjęłam bowiem z szafki barowej butelkę wina. otworłam ją i po nalaniu trzech kieliszków jeden z nich wypić, trzeci kieliszek pozostawiając na tacy nietknięty. Moja mała córka chrzestna patrzyła na to oczami rozszerzonymi ze zdziwienia. Pozwoliłam jej wypić kilka kropel wina nalanych do jej kieliszka, znalazłam dla niej pudełko czekoladek. Otwarliśmy je i zjadłyśmy kilka z nich, lecz resztę zostawiłyśmy w otwartym pudełku obok tacki z butelką i kieliszkami.

Fantazja ludzi bogatych. Ale na cóż mają oni wydawać pieniądze? Przecież nie mogą budować samych tylko szpitali czy żłobków dla dzieci. Fantazje ludzkie stanowią jakieś radosne filtry, dzięki którym życie nie wydaje się nam tak bardzo jedno-Stajnie szare i smutne. A szczęście ludzkie? Z tym jest trudniej, zależy ono od wygranych na loterii życiowej.

Jutro w południe wracam do Genewy przez Montreux, gdzie zanocuję. Moja Ruth była mocno zdziwiona tym wszystkim, zwłaszcza gdy posłyszała o przywiezieniu mebli z dalekiej Polski.

Podczas obiadu była mowa o mojej zamierzonej podróży do Ameryki.

- Nigdy nie wyobrażałem sobie czegoś podobnego - powiedział Czerwona Łopata. - Podróż na jachcie nie jest tak ważna, ale żeby rozruszać do tego stopnia starego dziwaka. Matki do dzisiejszego dnia straszą dzieci starym lordem angielskim, który handlował niewolnikami. Wystarczy posłuchać, co nasi chłopcy mówią w pobliskich wsiach na ten temat. W dodatku obecnie, gdy Herr Fox odziedziczył tytuł lordowski.

Montreux - poniedziałek - 23 maja

Marcin w Genewie. Ponieważ przyjechałam stosunkowo wcześnie, poszłyśmy z Florencją oglądać ów dom z ogrodem, który kupiłam od Marcina. Taki sobie. Lokatorzy, czynsz, sam ogród rzeczywiście wzorowo utrzymany, dzierżawca, owoce i jarzyny. Rano jedziemy do Genewy, na odmianę autobusem.

Genewa - środa - 24 maja

Marcin radzi, aby lokować pieniądze w Stanach Zjednoczonych. Na razie poleciłam przekazać siedemset tysięcy ze Sztokholmu do Londynu, zostało tam na rachunku dziewięćdziesiąt parę tysięcy koron. Przypuszczalnie z Londynu przekażę okrągło dwieście tysięcy dolarów do banku Eibenschützów w Nowym Jorku. Tam trzyma pieniądze cała nasza rodzina, Marcin, Eiza i ciotka Maltz. Zresztą to są korespondenci Płatona Dubowa od kilkudziesięciu lat. Dolary pewnie umieszczę w chemicznych akcjach rodziny Maltz w Pittsburgu.

Nik opowiadał nam dzisiaj historię rodziny twórcy kasyna w Monte Carlo. Francois Blanc rozpoczął karierę życiową jako kelner w małym szyneczku, a w roku 1877 zostawił wdowie w spadku dwieście milionów franków w złocie. Owa Lotta Hensel była przedtem pokojówką, którą Blanc zapłodnił w sieni - tak opowiadają - a ponieważ Blanc był wtedy tylko współwłaścicielem kasyna gry w Homburgu, pokojówka zagroziła mu szantażem. Opinia publiczna była wówczas wrogo nastawiona wobec kasyna z powodu seryjnych prawie samobójstw graczy. Dwie córki wdowy po Blancu poślubiły arystokratów, i to nie byle jakich, starsza wyszła za księcia Konstantego Radziwiłła, młodsza za księcia Rolanda Bonaparte. Wówczas to dopiero kasyno gry przekształciło się w potężną anonimową spółkę akcyjną, w której księżę Monaco otrzymał zaledwie ósmą część akcji.

W Kasynie zapanował na razie jeden z naturalnych synów Blanca, Kamil Blanc, ponieważ ks. Roland po ślubie sprzedał swoje udziały za gotówkę i wycofał się z interesu. Wojna światowa przyprawiła kasyno o kryzys i wówczas „człowiek ciemności”, jak nazywają Bazylego Zacharowa, włożył do interesu dwa miliony funtów. Dalsze miliony pochodziły natomiast z portfelu jakiegoś awanturnika, Rene Leona, człowieka, o którym nikt nie umie powiedzieć, skąd się wziął i skąd przybył. Zacharow nie trzymał się kurczowo akcji kasyna i sprzedał je z wielkim zyskiem paryskiemu domowi bankowemu Daniel Dreyfuss. Kapitał spółki wynosi około pięćdziesięciu milionów franków, a każda akcja o nominalnej wartości pięćdziesięciu tysięcy franków przynosi obecnie około siedmiuset pięćdziesięciu franków rocznej dywidendy. Niezły interes, może nawet lepszy od akcji Kanału Sueskiego.

W sobotę wyjeżdżam do Warszawy. O ile uda się kupić bilet na samolot, bardzo chętnie, ale obecnie jest dość trudno, ponieważ ruch w dyplomacji. Swoją drogą z tymi córkami pana Blanca... Francuski książę wyzbył się akcji po ślubie, a polski Radziwiłł zatrzymał je w dalszym ciągu. Ciekawa jestem, jak wyglądają dalsze powiązania rodzinne tego Radziwiłła.

Czwartek - 25 maja

Dwa telegramy. Oba z Londynu. W telegramie sir Williama początek od słów: „Bardzo dziękuję za odwiedziny w naszym pawilonie, cała moja posiadłość w Eichelsburgu jest do dyspozycji małej córeczki chrzestnej, intendent zgłosi się po dyspozycje. Prosimy o podanie nazwisk osób, które zaszczytą mój jacht swoim towarzystwem, a to w celu przygotowania kajut”.

Telegram od Glorii również z miłą treścią. Dziękuję za pamięć i równocześnie wyraża radość z powodu bliskiego terminu wycieczki morskiej. Cieszyłaby się z wcześniejszego spotkania, proponuje ewentualnie Paryż w połowie lipca lub jakąś inną miejscowość, na przykład Jersey, gdzie posiada domek.

Wysłałam listy. Pojedziemy w trójkę - Florencja, ja oraz wujaszek Nilk.

Tym razem zabawię w Polsce kilka tygodni. Mam do reszty zlikwidować wszystkie interesy Marcina. W Szwajcarii zjawię się dopiero w końcu czerwca lub na początku lipca. Mnie osobiście bardziej odpowiadałoby Jersey, tam podobno bardzo ładnie. Uradziliśmy, że nasze dziewczynki spędzą letnie wakacje nad morzem. Lipiec na wybrzeżu bretońskim, gdzie Patrycja posiada małe gospodarstwo, a sierpień w Cannes, w domu Elzy, gdzie obecnie na pierwszym piętrze umieściła się Matylda z córkami, w dawnym mieszkaniu wynajmowanym rodzinie angielskiej. Zabiorą z sobą panią Horodyńską i Miss Korę. Reszta gospodarstwa w willi Elzy jest niezmieniona, parter do dyspozycji rodziny, szwajcarska gospodyni i szofer w służbie u Matyldy.

Tutaj w Genewie chodziły dzisiaj nieszczególne wieści. Jakieś mowy i pogrożki z obu stron. Ustawicznie mówi się o konieczności dania Niemcom korytarza przez polskie Pomorze. W Gdańsku podobno nieustanne awantury. Gdyby nie mój szwajcarski paszport, kto wie, czy ryzykowałabym obecną podróż do Polski. Ale trzeba jechać i pozafatwiać Marcinowi do końca różne sprawy.

Marcin radzi, abym wracała drogą na Katowice i Wiedeń. Zobaczę, jak wypadnie. Wyczuwam, że nasi byłiby gorąco za oddaniem Hitlerowi korytarza, sam Gdańsk bowiem jest już stracony dla Polski. Powiedziano nawet po raz pierwszy w mojej obecności, że Polska powinna włączyć się do planów Hitlera i wspólnie z nim uderzyć na Rosję. Mówił pewien wybitny adwokat genewski. Oni chcieliby widzieć osłabienie hitleryzmu, który po zawładnięciu terenami rosyjskimi byłby zmuszony rozciągnąć się na bardzo szerokim froncie i w ten sposób straciłby swą siłę. Dalekie to są horyzonty, ale i o takich trzeba myśleć.

Piątek - 26 maja

Jakoś wykręcili mi miejsce w samolocie do Berlina. Prawie bez bagażu, wszystko zostawiam, aby nie mieć kłopotów po drodze. Dywan i obrazy już nadeszły. Tym razem zapłaciłam cło dość słone, ale trudno. Dzisiejszy wieczór dla rozradowania Wieroczki u mnie w domu.

Do Warszawy przybędę w niedzielę rano. O sleeping nie będzie trudno, obecnie mało kto wybiera się w tamtym kierunku. We wtorek roczne walne zebranie, przypuszczalnie przyjdzie mi przewodniczyć na tej ceremonii spotkania się wielkich akcjonariuszów z małymi.

Warszawa - poniedziałek - 29 maja

Bardzo dobrze, wpadli na pomysł, aby na zebraniu przewodniczył przedstawiciel małych akcjonariuszów, człowiek o wyglądzie rzymskiego senatora, kryształowego charakteru, jednym słowem cudowne dziecko w wieku lat siedemdziesięciu, poza tym dyrektor prowincjonalnego banku na emeryturze. Bardzo dobrze, bardzo dobrze. W dodatku wypłacili mi dodatkowo dziesięć tysięcy wynagrodzenia za zajmowanie się sprawami spółki w lutym i marcu, ponieważ moja kadencja i obowiązki skończyły się zasadniczo ostatniego stycznia. Odszkodowanie za przedwczesne wycofanie się z zarządu nie przewidywało pracy po tym terminie. Jak to mawiano dawniej na Pomorzu: *Handkuss...*

W czasie mojego pobytu za granicą gościła tu pomorska rodzinka. Zośka i Michalscy z Bydgoszczy. Kilka dni, ale musieli mnie obmówić! W przystępie dobrego humoru Leokadia powiedziała:

- Podobno Tuchołka opowiadał w Bydgoszczy, że nie chciałaś wpuścić go do pokoju, gdy przyjechał nad ranem.

Roześmiałam się i odrzekłam na wesoło:

- No cóż. Miałam mu pokazywać kochanka w łóżku? Albo może chować do szafy dla głupiego Tuchołki? Niech mnie obmawiają, nie zależy mi na tym. Przyjdą do mnie, gdy zatęsknią do moich pieniędzy.

- Nie zależy ci na tym? - dopytywała się Leokadia.

- Nie, ani trochę.

Wtorek - 30 maja

Poszło niezwykle gładko. Swoją drogą Leokadia z panią Wiszniewską dokonały cudu buchalteryjnego. Dłużników niewypłacalnych, na których już dawno postawiliśmy krzyżyk, dopisały i w ten sposób urodziły się zyski wyższe o pół miliona. Warto było zapłacić trochę więcej podatku dochodowego, znalazło się jednak miejsce na wyższą dywidendę i tantiemy. Dobrze, że wycofałam się z tych warszawskich cudów akcyjnych. Nie wiem, co oni tam naopowiadali Milizowi, w każdym razie jest zadowolony z dodatkowych tysięcy złotych. Mają mu nawet pomóc w przekazach zagranicznych.

Czwartek - 1 czerwca

Dobry kurs na giełdzie, wiadomość o dywidendzie podziałała. Od jutra zaczynam „akcję sprzedaży akcji”. Stryk Józef wie o istocie sprawy, pewnie użyjemy do tego celu Mireskiego i generałowej.

Tym razem przyjęcie dla rady nadzorczej urządzono w gabinecie restauracyjnym, pomysł odnowionego zarządu w osobie Miliza, aby nie wyglądało na działalność w rodzinie. Ale wynalazł proch! W sobotę wyjeżdża do swojej drugiej kolonii - do Budapesztu. Trochę to śmieszne, ale oni dwaj, Miliz i Mr David, traktują mnie nieco odmiennie od całej miejscowej reszty. Miliz w dodatku formalista i pedant. Tak wygląda, jak by mu w każdej najdrobniejszej sprawie chodziło jedynie o prawdziwość podpisów i pieczętek. Bankowy dyrektor od rachunków bieżących. Nic dziwnego, że Marcin spławił go z naszego banku. Głupi ludzie

ciążą w życiu gorzej od worka z węglem, doczepianego do nóg podróżnym, wrzucanym do morza przez chińskich piratów.

Piątek - 2 czerwca

Ponieważ jestem uparta, zadzwoniłam dzisiaj w południe do fabryki na Pradze. Owszem był, ale zaraz na drugi dzień wyjechał do Krakowa, wraca koło środy na drugi tydzień. Ponieważ nie mam nic do roboty, jadę dzisiaj do Krakowa, cztery godziny, niedaleko. Obecnie czekam na obiad, później pociąg i zobaczymy pana Warszuckiego w cywilu na co dzień, ludzie bowiem w „Grand Hotelach” i na wakacjach przybierają sztuczne pozy.

Mireski wierzył, że chodzi o sprzedaż moich akcji, zrozumiał, że likwiduję interesy w Polsce, i od razu uruchomił się jako pośrednik. Ma dostać dwa procent od interesu, z tym, aby wszystko zostało zakończone najdalej do dziesiątego czerwca.

Atmosfera w Warszawie jest dziwnie duszna. Na zewnątrz dużo wykrzykiwania, lecz Władek opowiada, że w górnych sferach panuje dezorientacja, brak decyzji, dalas i cykoria. Wrócił z Paryża wczoraj rano i spotkaliśmy się na naszej górcie w dużej „Ziemiańskiej”. Aż dziw, że tym razem bez generalskich akselbantów. Nowiuteńkie ubranie paryskie, jakby wykrojone z żurnalu, jasnopopielaty garnitur w cieniutkie paseczki. Wyświeżony i odmłodzony, widocznie sztuczki paryskich fryzjerów jeszcze u niego działają. Na osobności powiedziałam:

- No, Władku, jak tam było w Paryżu z towarzyszeniem Mlle Aurelie?

Zatrwożył się i wysupłał jedynie jakieś sztubackie:

- Skąd wiesz?

- Widziałam was oboje w lokalu. Przejeżdżałam przez Paryż i nie wstępowałam na uliczkę Zielonego Mostu. A zresztą... my... wszystko wiemy - dodałam, żeby się bał i nie miał ochoty zadawać dalszych pytań.

Sobota - 3 czerwca

Naprawdę panna z mokrą głową. Zmarnowałam cały wczorajszy wieczór. Trzeba było całkiem zwyczajnie dać portierowi w „Grand Hotelu” pięć złotych i byłby mi w ciągu kwadransu podzwonił po wszystkich krakowskich hotelach. A tak wysiadywałam kanapki i dopiero dzisiaj w południe natknęłam się aa niego w „Europejskiej”. Już prawie wychodził, ponieważ, nie mógł znaleźć miejsca. Jakoś przywitaliśmy się i rozmawialiśmy dobrą godzinę. Naturalny w obejściu, zupełnie jak na statku. Trochę cyniczny i ostry w sądach o ludziach, sprawdziłam to, gdy rozpoczęliśmy rozmowę od wspomniania przygodnych znajomych ze statku. W pewnym momencie rąbnęłam:

- A cóż pan myśli ma przykład o mnie?

Pan Warszucki roześmiał się.

- Nic, absolutnie nic, proszę pani. Na „Piłsudskim” podczas tej podróży spotkały się dwie kategorie ludzi. Ludzie, którzy chcieli się zabawić, i ludzie, którzy pragnęli odpocząć. Do której kategorii panią zaliczyć? Nie wiem, tak sobie pół na pół.

- Dlaczego tak?

- A bo ja, proszę pani, należałam do trzeciej kategorii, wybrałam się specjalnie w tym celu, aby obserwować jednych i drugich. A ponieważ podróż na statku stanowiła możliwość oddalenia się od codziennego hałasu i harmideru, a zatem była to doskonała okazja wycofania się z Warszawy w momencie tak bardzo wahlwym. Powiedzmy sobie szczerze: jeszcze nie wojna, ale już nie pokój.

Gdy nalegałam, mój nowy znajomy ogarnął mnie spojrzeniem od stóp do głów, po czym tak powiedział:

- W pani daje się zauważyć różne sprzeczności. Do dzisiejszego dnia nie wyrobiła sobie pani ustalonych pojęć o świecie i celach naszego wędrowania po nim. W pani są wahania,

odważa pani każdy krok i zbyt drobiazgowo analizuje dzień codzienny. W ten sposób postępując, zatracą pani możliwość radowania się z rzeczy i spraw nawet wielkich. Proszę mi nie przerywać, Madame, zaraz skończę. W życiu należy ustalić metodę postępowania, realizować ją konsekwentnie i nie poddawać wciąż na nowo rewizji. Czy pani mnie rozumiała? Otóż trzeba ustalić zasady postępowania z ludźmi, a co już znacznie jest trudniejsze... z samym sobą. A potem - roześmiał się, zabłysły jego ciemne, orzechowe oczy - uzyska pani nareszcie równowagę myśli. Bo, proszę pani, nie sięgajmy zbyt daleko, zbyt wysoko i nie fantazujmy o duszy tam, gdzie wystarczy opanowanie chociażby tylko dyscypliny samych myśli.

Zatkało mnie. Na moment przymknęłam oczy i zdawało mi się, że przemawia do mnie ktoś niesłychanie bliski, na przykład profesor Wydra, ale w płaszczyźnie twórczej młodości, a nie krytycznej starości.

Poczęstował mnie papierosem. Na kopercie zwykłej srebrnej papierośnicy wśród różnych monogramów i innych emblematów ujrzałam zielony emaliowany trójkąt, pusty wewnątrz. Na każde z trzech ramion trójkąta była nasadzona złota kula, naturalnie spłaszczona, nie wypukła.

Wzięłam do ręki papierośnicę, nie kryłam zainteresowania.

- Nie - odpowiedział mój znajomy ze statku - u mnie to tylko dar przyjaźni, mam na myśli emblemat z trójkątem. Dla jednych to symbol Kleopatry i Izdy, dla innych klucz *zu drei Weltkugeln*. Ale to są już dawno przebrzmiałe melodie, proszę pani, natomiast złocona litera „M” nad podobnym symbolem w rękach pani, który dostrzegłem na statku, pozwala innym zbliżyć się do niej z ufnością. Czy zgadłem?

Początkowo była w pani chęć dania przewagi przyjemnościom nad wypoczynkiem, ale pod koniec podróży coraz bardziej przeważała chęć odpoczynku. Wyobrażam sobie, że pragnęła pani oderwać się od swego otoczenia i jakby wypocząć przed czymś nowym w życiu. Ale równocześnie wypełnia panią jakiś strach i niepewność przed tym, co się może przydarzyć. Nie... Nie domagam się, proszę pani, jakiegoś potwierdzenia moich wypowiedzi, pozostawiam to... Ossendowskim i innym. Mnie interesują tylko momenty psychologiczne, dalej czy głębiej nie sięgam. Sama treść faktów nie jest dla mnie interesująca, raczej pobudki.

W tym momencie jacyś znajomi kłaniać się zaczęli panu Warszzyckiemu, przeprosił mnie i podszedł do nich na chwilę, ale czar słowa prysnął. Po powrocie do stolika potoczyła się już banalna rozmowa i zaledwie zdążyłam zaprosić go na ulicę Hortensji w Warszawie.

- Tam - powiedziałam - w tym domu, gdzie mieszkam, jest konsulat Wenezueli.

- Owszem, znam, słyszałem, profesor Joachim Wydra z dawnej Getyngi. Nazwisko pani? Ach, pamiętam przecież ze statku: pani Anna Jambor. Wyjeżdżam w końcu miesiąca za granicę.

- Może spotkamy się na wystawie w Nowym Jorku? Pan jedzie na początku września, ja już w końcu lipca, ale przypuszczalnie zostanę dłużej, dwa, trzy miesiące. Mam tam krewnych.

No i rozstaliśmy się. Na pożegnanie miły uśmiech i złagodniałe spojrzenie pana Warszzyckiego. W tym momencie był naprawdę kimś bliskim i życzliwym.

Obecnie spoczywam na łóżku w „Grand Hotelu”, wysoko oparta plecami o poduszki i z podniesionymi do góry kolanami, o które moim starym zwyczajem opieram bloczek do stenografii.

Jutro wczesnym rankiem wsiądę do samochodu przysłanego mi z Podjasek i pojedę oglądać moje polskie fantazje w Karpatach. Po kim ja je mam? Przecież Kaczmarkowie i Kawczyńscy byliby kupili raczej dobre morgi ornej ziemi. Praprababka z Wildorfów? Tej dali w posagu wielkie, barbarzyńsko szlifowane diamenty, które niedawno przehandlowała ze mną w kupieckich rozliczeniach ciotka Leokadia. Przodek Martin? Być może prababka Anna, chociaż tak mało wiem o niej. Kochała, była kochana i tyle. Kochanek malował jej portret, a

później ją poślubił. Jacyś również nieznanymi Gołkowscy, którzy po przegranym powstaniu schronili się za granicę.

Pan Warszawski wspominał, że wyjeżdża na dwa dni do Zakopanego, taki polski urlop. Ale trudno było deptać mu po piętach. Kochanka w Zakopanem? Chyba nie, tacy mężczyźni nie kręcą się koło jakichś kochanek. Żona? O niej było jakoś niezbyt wyraźnie w opowiadaniach stróża, przekazanych mi przez Petrasa. Rozwieść go z żoną i wyjść za niego? Jakże niemądre myśli! Przecież on ma już na pewno jakieś ustalone życie. Czterdzieści lat. Chociaż zazwyczaj myśli wyprzedzają życzenia czy marzenia. Człowiek przyzwyczajają się do pewnych myśli i oswaja z nimi, a potem...

Zna profesora Wydrę. Ciekawe. Skąd? Zapytam. Czy przyjdzie z wizytą? Dobrze, że wspomniałam o połowie miesiąca. Jakaś data, ale czy takie daty obowiązują? W każdym razie to jeden z niewielu interesujących mężczyzn, jakich spotkałam w życiu.

Podjaski - niedziela - 4 czerwca

Kucharz Jan Fidelus wystąpił z paradnym obiadem. Pytał niezwykle ostrożnie, lecz z góralską przebiegłością, czy już urządziłam się za granicą. Nie odpowiedziałam mu wprost, jedynie wspomniałam, że wyjeżdżam na jacht sir Williama, który niedawno, po śmierci młodego, bezdzietnego kuzyna został lordem. Fidelus słuchał i kiwał głową w swojej teatralnej mycce wysztywnionej i wyprasowanej jak obrus kościelny. Czułam, że myśli jego podążają w tym kierunku tylko: a może nasza dziedziczka poślubi tego angielskiego lorda?

Po południu pojechałam z wizytą do Trzycieskich. Zastałam jedynie same panie, sąsiad od kilku dni bawi u krewnych pod Lwowem. Rozgadałyśmy się, było bardzo miło. Zapraszałam do mnie, do Genewy, wybierają się do Włoch i na Riwierę, ale dopiero po żniwach, gdzieś we wrześniu.

Kaczmarek nie ma w Podjaskach, wraca dopiero we wtorek rano. Jutrzejszy dzień poświęcam panu Chwiłowiczowi. Objedziemy sobie moje leśne królestwo. Rozmawiałam z nim bardzo krótko, nie jest zadowolony, że nie nabyłam od panów de Gentils leśnictwa na Widłaku. Nie rozumie sytuacji, powiedział mi:

- Gdyby pani była kupiła, mielibyśmy piękne lasy, tymczasem „te Angliki” wyrąbią i zostaną same pieńki, a tych i tak nie brakuje w naszych stronach.

Baca ma czworo szczeniąt, trzy suczki i jednego psa. Zgodnie z moim życzeniem chowają wszystkie, jutro zobaczę całą rodzinę.

Myśliwski domek nad Sucholesiem - poniedziałek

Nocujemy tutaj. Zabrałam z sobą nowy bloczek, ale nie chce mi się pisać. Jeździliśmy; ale jeszcze więcej chodziliśmy po różnych wertepach, moich i nie moich. Pan Chwiłowicz jest niewyczerpaną skarbnicą wiadomości o całej okolicy.

Zjedziemy na dół dopiero jutro wieczorem. Tutaj taka cisza, że aż głucho. Rankiem podeszliśmy bliżej, było słychać odgłosy rąbania lasu przez Anglików, jak nazywają naszą spółkę. Dobrze, że nie kupiłam Widłaka.

Podjaski - środa - 7 czerwca

Wyleguję się na leżaku ustawionym przed frontowym wejściem do nowego dworu. Trochę niewygodnie, ani kawałeczka jakiegoś tarasu czy balkonu. Widocznie w dawnych czasach mieszkańcy takich wiejskich dworów unikali słońca i powietrza. Karmili gołębie i drób ze sita jak Zosia w Panu Tadeuszu lub zamykali się na klucz w różnych alkowach czy bokówkach i grzebali w biurku jak Telimena. Od czasu do czasu wtykali kluczyk do pokoiku różnym Tadeuszkom i wszystko odbywało się bez krzyku. To nazywało się pruderią starszłachetczyzny i modnymi spazmami francuskimi, zależnie od okoliczności i towarzystwa. Ale czasy były weselsze od naszych. O kredycie decydowali Mortkowie i

Szlomy, a na uroczystościach przygrywali Jankiele. Na wszelki wypadek jeden z synów służył u Aleksandra, drugi u Napoleona. Reszta była zgodna z raptularzami, które znalazłam i okurzyłam z pyłu zapomnienia na strychu w Górkach. Zrobiłam z tych rejestrów prezent profesorowi Rutkowskiemu w Poznaniu i podpisałam list anonimowo: „Jedna z uczennic Pana Profesora”.

Z Kaczmarkiem i Chwiłowiczem omówiłam już wszystko. Myśleli, że przyjechałam po pieniądze, byli zdziwieni, gdy im powiedziałam:

- Nie zabieram, gospodarujcie. Zawsze wypada lepiej, gdy w takiej gospodarce miewa się rezerwy. W wypadkach ważnych lub gdybyście znaleźli się na rozstajnych drogach, zwracajcie się do stryja Józefa.

Pan Kondola utknął w zarządzie majątku. Podoba mu się, uzgodnił z Kaczmarkiem, prowadzi buchalterię. Dzieci małe, mają czas ze szkołą. Wypytywał się o domek w Eichel, pokazywałam mu fotografię nowej ściany. Kiedyś trzeba będzie zrobić mu niespodziankę i wysłać go do Szwajcarii. Niech sobie obejrzy trochę świata, jakieś wakacje, miejsca u mnie dość, kolej nie kosztuje majątku. Może by nawet jakoś poprzestawiał antykwariat stworzony przez Nika przy ulicy Charlotty?

Czwartek - 8 czerwca

Niewyraźnie się dzisiaj czułam, zostałam w łóżku i grymaszę wobec wiejskich pokojówek. Jedna kręci się koło mnie, ponieważ niby sprząta, druga przynosi jedzenie. Jak wyglądałby obecnie koło mnie pan Warszucki? Jak by się zachowywał jako kochanek, przyjaciel, mąż?... Bo tak już jest na świecie, że nieustannie wszystko i wszystkich do siebie przymierzamy.

Kochanek. Nie wyobrażam sobie, stoję wobec braku pomysłów. Przyjaciel. Od przyjaciół wymaga się zbyt wiele, brak granicy, do której można się posunąć, decyduje o niepewności, kto dla nas jest prawdziwym przyjacielem. Mąż. Dobrze, ale dlaczego ustawiczne jeżdżenie po świecie? Po jakimś głupim i nieważnym świecie, ponieważ, jak sam wspomniał, stale w kółko te same miasta: Kraków, Katowice, Lwów, Wilno, Gdańsk, Bydgoszcz i Poznań. Niby punkty na mapie zainteresowań handlowych jego pracodawców. Ale sam nie jest głupi i dlaczego wysługuje się niepotrzebnie ludziom na pewno głupszym od siebie? Mógłby obracać moim milionem dolarów. Ale w jakiej formie czy postaci? Chyba nie w zakietowanej garniturze osobistego sekretarza Temmi? Ostatecznie mogłabym stworzyć jakieś przedsiębiorstwo. A może umieścić go w naszej spółce? To przecież nie byłoby trudne. Mogłabym namówić do tego stryjka Józefa. Jakiś prokurent czy nawet dyrektor. Może tam być Mireski, zmieściłby się i pan Warszucki. Zobaczymy, może zjawi się u mnie z wizytą. Na razie i tak nic nie wymyślę.

Kraków - niedziela - 11 czerwca

Labuję. Pogoda. Zwiedziłam Wawel, byłam w Muzeum Narodowym. Jutro jadę do Warszawy. Rozmówiłam się telefonicznie ze stryjkiem. W Krakowie wielkie podniecenie, moc wojska, rezerwiści, od razu widać.

Warszawa - środa - 14 czerwca

Pertraktacje z bankami dobiegają końca. Dzisiaj odwiedził mnie prezes Fajans i dopytywał się, dlaczego opuszczam Warszawę. Nie wiedział o mojej przyszłej posadzie w genewskim banku, dziwił się takiemu obrotowi wypadków. Mówiłam, że to właściwie przejściowa faza, ponieważ zdecydowałam się osiedlić na stałe w Ameryce. Mam wrażenie, że dobiję do końca z akcjami jeszcze w ciągu tego tygodnia.

Czwartek - 15 czerwca

Dzięki głupiemu pomysłowi Irena umówiła się z Grabowskim w kawiarni u „Lourse'a” o wpół do szóstej - głupie miejsce do spotkań - zadzwonili, mieliśmy pojechać gdzieś na brydża. Pierwsze moje spojrzenie padło na pana W. Siedział samotnie w rogu pod ścianą i przyglądał się ludziom, mimo trzymanej w ręce gazety. Ukłonił się nam ze swobodą ludzi obytych z szerokim światem. Irena zainteresowała się ukłonem, początkowo wyobraziła sobie, że to któryś z mniej znanych adwokatów. Grabowski spojrzał również i widział w nim Włocha. Nie przyszłoby mi to do głowy. Irena twierdziła, że ma palące spojrzenie, nie uważam, żeby tak było. Grabowski wyśmiał przyjaciółkę, twierdząc, że to jakiś aktor. Łatwo mu było tak powiedzieć, ponieważ rzadko chodzi do teatru i ze wszystkich muz, znanych i nieznanymi, wybrał przede wszystkim cztery damy w dwóch kolorach...

Rozmowa potoczyła się dalej.

- Magister ekonomii? W ministerstwie?

- Nie - odpowiedziałam - gdzieś tutaj w Warszawie i w przemyśle.

- No to jest mądry, nie głupi - zakwalifikował Grabowski i na tym się zakończyło obmawianie nieznanego.

A w pół godziny później Irena usiłowała wymusić na mnie zwierzenia, co miało miejsce jak zwykle w przedśionku toalety jako koncesjonowanej zwyczajowo świątyni do tego rodzaju rozmów.

- Jaki on jest?

- Kto?

- Ano, ten magister. Skąd go znasz?

- Ze statku... w kwietniu tego roku...

I znów jeszcze raz:

- A jaki on jest?

Roześmiałam się i odpowiedziałam:

- Nie spróbowałam.

Miała taką minę, jak by chciała powiedzieć: statek, nikt nas nie zna... nie myśl, że jestem taka głupia. Jak zwykle kobiety między sobą. Kiedyś Elza zwierzyła mi się właśnie w kabaretowej toalecie z romansu z garbatym skrzypkiem. Nie było to miłe, ale uśmiechałam się. Opowiedziała mi dokładnie, z detalami. Dopiero znacznie później, w jakiś rok po tym opowiadaniu, przeczytałam *Karla Uhle* i wówczas zrozumiałam taniutki źródło natchnień erotycznych naszej kuzynki.

Tymczasem Irenka westchnęła i szepnęła:

- Szkoda, że nie zdecydowałam się na „Piłsudskiego”, ale u nas tyle mówili wówczas o wojnie.

Brydż jak wszystkie brydże. W dodatku tylko z zimnym bufetem i bez toalet. Piki, szlemiki, kara, co komu karta przyniesie i na jaką kombinację kogo stać. Po złotówce punkt, ponieważ akurat takie było towarzystwo. Niby kraina wszelakich możliwości, a wszyscy partnerzy mówią swoim współofiaram: - Dłaczego pan tak zagrał, trzeba było... - i tak dalej, od razu wywód od Adama i Ewy, a co najmniej od fabrykanta Piatnika. Tym razem jednak ludzie trzymali w rękach karty, licytowali kolory, a wszyscy myśleli tylko o wojnie. Pragnęli się oszukiwać i niechętnie patrzyli na tych, którzy wrywali się z malowaniem obrazów w czarnych kolorach. Dziwna rzecz, w tym warszawskim towarzystwie rozmowy o wojnie to jakby jakieś tabu. Wszyscy tylko o tym myślą, nikt jednak nie chce o tym słyszeć. Dziwne otumanienie!

Piątek - 16 czerwca

Przyszedł. Zagranicznym obyczajem uprzedził telefonicznie. Trzy róże w kolorze obojętnym. „Królowa Nilu”. W ubraniu pochodzącym niewątpliwie od dobrego krawca, granat z cieniutkim paseczkiem, tenis, strój odpowiedni do wizyty, bez przesadnej elegancji.

Właśnie wczoraj profesor Wydra zapytany przeze mnie, czy zna to nazwisko, powiedział spokojnie:

- Maciej Warszycki? Słyszałem o nim przed kilkunastu laty, lecz nie znam osobiście. Indywidualność. Gdyby był zechciał kiedyś zejść z własnej linii życiowej, byłby przez nas wszystkich mile powitany. - Profesor uśmiechnął się, jakby do własnych wspomnień. - Nie, Madame, nie każda indywidualność da się wtłoczyć w ramy idealnego chociażby szablonu. A świątynia wymaga poddania się. Tak było zawsze i trudno byłoby odmienić.

Te ostatnie słowa profesor wymówił twardo, nawet jak na swoją literacką niemczyznę. Po chwili dodał:

- Poza tym? Pochodzi chyba ze starej rodziny. Warszyccy siedzieli w Krakowskim już w trzynastym wieku, niech pani zajrzy do herbarzy.

Trudno było zatrzymać go ponad godzinę, wymówił się grzecznie terminowymi zobowiązaniami swego zawodu. Z chęcią byłabym go zatrzymała do kolacji i prezentowała naszemu profesorowi. Ale nie dało się. Rozmowy w dalszym ciągu były o statku, o naszych wspólnych obserwacjach. Z jego strony przeproszenie za kilka zdań wypowiedzianych ponad normę konwensu, tak się wyraził. Mówiliśmy o samotności, spojrzał na mnie zamglonym wzrokiem:

- Nie zawsze samotność łączy się z ciszą w duszy - powiedział. - My wszyscy na ogół oszukujemy siebie. Gwar otoczenia zabija w nas wrażliwość i pcha w objęcia bezmyślności. Chociaż? Kto wie, co jest lepsze? Przecież ja sam zalecałem pani w Krakowie usztywnienie metody postępowania w życiu. Dlaczego jestem tylko poważny? Maski, maski, ale nie mówmy o tym. Mamy czas, może spotkamy się w Nowym Jorku na wystawie. Do września już niedaleko, chociaż... Wojna... O nią pani pyta? No cóż, wojny muszą zdarzać się ludzkości od czasu do czasu. Co do mnie, to chciałbym, aby ta wojna przydarzyła się dopiero po moim powrocie do Polski. Dlaczego? Różne są powody ku temu. Obowiązki.

Zaoponowałam, wypowiedziałam gładko slogan, że obowiązki ludzie sami na siebie nakładają. Uśmiechnął się. Odpowiedział paradoksem, że są więzy, które trzymają na uwięzi. Dlaczego? Nie umiał na to odpowiedzieć. - Przeznaczenie – dokończył wreszcie. - Przeznaczenie, które nie pozwala przystanąć na raz obranej drodze życia.

- Jaka to jest droga, czy miłość? - narzucałam mu się w sposób lekki i jakby nieważki.

- Może tak i może nie. Są rzeczy inne, które wiążą.

- Jakie?

I znowu uśmiech zamiast konkretnej odpowiedzi:

- Miłość, Madame, wyzwala, lecz nie łączy.

A później przerzucił się na rzeczy prozaiczne, wspomniał o ponownym wyjeździe w najbliższych dniach na dwa tygodnie. Gdzie? Jak zwykle, *autotour de la Pologne*, samo myślenie w życiu nie wystarcza.

- Ale dlaczego w taki sposób? - wyrwało mi się.

Spojrzał na mnie zdziwiony:

- Pani ma na myśli zapewne moje codzienne ogłupiające zajęcie. Może i dobre, nie zobowiązuje do niczego i dostarcza akurat tyle pieniędzy, ile mi potrzeba na co dzień. Nie absorbuje mnie, jeżdżę po świecie w kółko, od czasu do czasu wrywam się w nieznaną, a później powracam i żyję na kształt mego otoczenia. Inne życie? Inaczej? To, co robię w tym moim biurze, to są wszystkie czynności odruchowe, automatyczne, danina za to, że pozwalają mi żyć. Może przy okazji opowiem pani. Właśnie w tym celu, aby mogła pani chłodno i beznamiętnie podchodzić do problemu zrywania kartek z kalendarza. Pani zrywa te kartki i całkiem niepotrzebnie w głąb pani myśli zapada jakiś smutek: jeden dzień bliżej do śmierci. Nie trzeba tak czynić.

Pożegnał się w sposób grzeczny i wytworny. Zaledwie zdążyłam mu powiedzieć:

- A mój nowojorski adres to najprościej za pośrednictwem szwajcarskiego poselstwa. - Podniósł brwi. - Ponieważ tak się składa, że mieszkam stale w Szwajcarii, w Genewie, i posiadam tamtejsze obywatelstwo.

Sobota - 17 czerwca

Listy ekspresowe od Marcina, dwa prawie równocześnie. Nowe zlecenia. Profesorowi Wydrze w gotówce sześćdziesiąt tysięcy dolarów, kupić natychmiast. Osobno sto tysięcy złotych. Inne zlecenia. Po wykonaniu zostaną w moich rękach w dalszym ciągu prawie dwa miliony złotych. Co z tym robić? Dokładnie milion dziewięćset czterdzieści tysięcy. Przekazać. Goniłam i pytałam. W PIRze nie chcą, boją się. O wywiezieniu mowy nie ma. W Warszawie głupi nastrój. Jutro w południe Władek mi powie, ma jakiś pomysł. Oby tylko dobry, szybki i realny! Nie mogę tego zrozumieć, oni w dalszym ciągu kręcą interesy via Rumunia.

Właściwie nic mnie już nie wiąże w Warszawie. Gdyby nie Marcinowe interesy, spakowałabym swoją i tak niedużą walizeczkę i - do pociągu, cichutko i po angielsku. Co najwyżej pocztóweczkę z drogi. Mirescy wniebowzięci, po raz pierwszy w życiu zarobili tyle pieniędzy w ciągu tygodnia. Musiałam pozwolić dzisiaj Lucynce na obcałowywanie mnie. Trudno, dla interesu, chociaż nie lubię tej formy taniej afektacji. Jutro obiad u stryjostwa w Zbójnej Górze, prawie bez obcych.

Dzisiaj skorzystałam z tego, że Leokadia gdzieś poszła, i obchodziłam wszystkie kątki w moim warszawskim mieszkaniu. Chyba nie przyjadę tutaj w tym roku? Boże Narodzenie spędzimy za granicą, może w Anglii? Ciotka Elfyda marzy o takim Bożym Narodzeniu. Tam u nich Christmas ma specjalny styl. Uśmiech pod gałązką jemioli, zawieszona nad drzwiami. Co mnie czeka jeszcze w tym roku? Chyba nie utopię się w morzu?

Podróż do Ameryki. W gruncie rzeczy wolałabym jakiś potężniejszy parowiec, jacht sir Williama to prawdziwa drabina. Piętnastego lipca w Jersey spotkanie z Glorią. Nowa przyjaciółka w galerii stosunkowo nie tak licznej. Po drodze Szwajcaria i Paryż. Interesy i kobiece szmatki.

Wtorek - 20 czerwca.

Dzisiaj rano Władek w towarzystwie Mille Aurelie odleciał do Bukaresztu. Żegnałam ich na lotnisku. Dwie walizy dyplomatyczne. Swoją drogą tupet. Podobno w Rumunii polskie złote uchodzą za mocną walutę. Przekazy stamtąd łatwe, bez przeszkód. Władek wraca przed niedzielą.

Od Marty list, wymówki: „Dlaczego piszesz tak mało? Kiedy przyjedziesz do mnie? Kiedy mnie zabierzesz z Annecy? Po Ksenię przyjeżdża ciocia Patrycja. Byłaś niedawno w Elchel, pisała mi mała Anna!” A ona to jest... duża! Problem starszej i młodszej siostry. I dwie fotografie szkolne z koleżankami. Widocznie szkolna wycieczka, ponieważ pięć dziewczynek na tle wózka z lodami. Dobrały sobie dekorację! Jak od wakacji będzie czuła się lam moja córka chrzestna?

Czwartek - 22 czerwca

Brak wiadomości z Rumunii, a miał telegrafować. Natomiast goście od samego rana. Mela z najstarszą córką. Kasia już prawie dorosła panna, w przyszłym roku zdaje maturę. Na gospodarstwie zostawiła Józinka z ciotką i resztą dzieci. Gdy Mela powróci z wakacji, ciotka Katarzyna wybiera się do Krynicy na sierpień. Umówili się, ponieważ od razu oboje, Pelasia z mężem. Tuchółka ma towarzyszyć bydgoskim krewnym do Krakowa, zabierze stamtąd do domu bliźniaczki, Pelasia zaczeka na niego u mnie w Warszawie. Akurat mam głowę do takich gości. Mela spotyka się w Krynicy z Franusiami, tamci naturalnie z szykiem, samochodem.

Dzisiaj w nocy nie mogłam spać. Rozmyślałam, dusiły mnie jakieś zmy. Przyśnił mi się pan Warszycy, całował mnie. To, za czym nie przepadam. Moje własne wyobrażenie, ponieważ leżeliśmy obok siebie na pokładzie słonecznym przez dwa tygodnie i nie było z jego strony najmniejszej ku temu ochoty czy chęci. Jego leżak ustawiono pomiędzy dwiema kobietami, mną i jakąś farmaceutką ze Śląska. Babsztyl, prawdziwa gidia, leciała na chłopów aż do obrzydliwości. Pan Warszycy powiedział jej pewnego dnia ciekawe słowa. Słyszałam je, mimo że miałam oczy zamknięte i udawałam, że śpię.

- Uskarża się pani na brak towarzystwa? Ależ proszę pani! Na pustyni jest mniej piasku niż tutaj na pokładzie... możliwości towarzystwa. O, widzi pani? Ten pan w średnim wieku, z aparatem fotograficznym w ręce dla dodania sobie fasonu. Pani go jeszcze nie zna? On również wędnie z powodu braku towarzystwa. Podejźmy, przedstawię go pani, poznaliśmy się w barze przy szklaneczce soku pomarańczowego. Poprosimy o zrobienie zdjęcia, naprzód my oboje, później ja państwa zdejmę z kolei... no i...

I ta głupia istota wypytywała się Warszycy o to, co dalej.

Pan Warszycy podniósł się z leżaka, podał rękę towarzysze z drugiej strony i po dobrej chwili powrócił na nasz pokład, ale bez donny. Gładko się jej pozbył. Na drugi dzień leżak obok Warszycy był pusty, donna znalazła sobie inny kącik.

- No i cóż - pytałam.

- Ach, to znaczy, że pani słyszała naszą rozmowę?

Nie zaprzeczyłam.

- Ano - rzekł - trzeba ludziom pomagać, skoro to i nam pomaga do... spokoju.

Roześmieliśmy się, pan W ma ładny uśmiech.

Przyszło mi na myśl, że przecież można by zaprosić pana Warszycy na pokład jachtu. Nic trudnego wobec sir Williama, może nawet byłoby trudniej z samym panem W., ale przecież nie ma takiej drzazgi, której by przy odrobinie cierpliwości nie można wydłubać igłą. Może nawet igły nie byłoby potrzeba. Chociaż - kto wie?

Gdy na świecie zrobiła się jakaś możliwsza godzina, zadzwoniłam do fabryki.

Nieobecny, wyjechał, wraca dokładnie 12 lipca. Trzeba będzie zatem poczekać do innej okazji. Być może przegapiłam, pomysł przyszedł mi do głowy zbyt późno. *Non possumus...*

Piątek - 23 czerwca

Cóż to za głupiec. Przesłał mi telegram: „Wracam jutro sobota”. I nic więcej, pozdrowień bowiem nie można uważać za wiadomości. Dzisiaj kolędowałam z Pelasią po Warszawie. Nakupowałam jej oraz dzieciom moc różnych potrzebnych drobiazgów. Jaka ta moja siostra jest mało zaradna! Prawie piętnaście lat męczy się z tym głupcem i nie potrafiła wyrobić sobie pozycji w swoim własnym domu. Może on nawet umyślnie zabrał ją do Warszawy? Włożyłam jej do kupionej torebki dwie pięćsetki. Ustawicznie dopytuje się, czy aby Annie dobrze jest w Eichel. Odpowiedziałam jej z miejsca:

- Gdybyś była mądra, ja obecnie jadę przez Bazyleję, dałabyś mi bliźniaczki, wszystkie dziewczynki spędziłyby razem wakacje.

Zadrzała niemal na taką myśl, od razu zawołała, że nie, gdyż co by ona robiła sama? Nie widziała ich od Bożego Narodzenia. Proponowałam również wakacje w Podjaskach, przecież dwór jest pusty, mogliby wszyscy pojechać, a przynajmniej Pelasia z dziećmi. Ale moja siostra rozplakała się, a zapytana o powód, przyznała się, że Piotruś wrócił ze świąt w Podjaskach pochmurny i zirytowany. Pelasia nie dopowiedziała, lecz czułam: - Tobie, Anno, udało się z majątkiem ziemskim, a my musieliśmy opuścić pałac. - Głupie historie i histerie. Przynęła mi jednak pomówić z mężem.

W tę niedzielę u mnie na Hortensji wielkie przyjęcie. Coś w rodzaju pożegnania.

Przestałam się jednak denerwować takimi pozycjami domowymi, to kłopot raczej tylko dla służby. O ile naturalnie nie jest się Leokadią, ponieważ ona musi wejrzeć we wszystko.

Sobota - 24 czerwca

Całość została przekazana przez agencję banku Rotszylda na moje konto w Londynie. Gdy Władek naprzykrzał się o nagrodę, zaprowadziłam go do jubilera i zapytałam naiwnie:

- Czy moglibyśmy nabyć jakąś papierośnicę?

Jubiler okazał się głupi, gdyż wyciągnął do wyboru kilka srebrnych papierośnic.

Kupiliśmy naturalnie złotą, i rzecz dziwna - Władek był rozpromieniony:

- Tyle prezentów nakupowano mi w życiu, a nikt nie pomyślał o tym, by mi podarować złotą papierośnicę - powiedział.

Takie to są głupstwa na świecie. Ale trudno mi pisać, ponieważ Pelasia chodzi za mną z kąta w kąt, jak cielę za krową.

Niedziela - 25 czeiwca

Przyjęcie było hałaśliwe aż do obrzydliwości. Podobno w polityce nastąpiło jakieś odprężenie i wszyscy są dobrej myśli.

Postanowiłam wyjechać dokładnie 30 czerwca, normalną drogą przez Berlin. Mam kłopot tylko z zabraniem naszyjnika diamentowego, wszyscy mi odradzają, pewnie trzeba będzie odczekać do jakiejś spokojniejszej okazji. I tak prawie wszystko mam już w Genewie, tutaj zostawiam jedynie naszyjnik po Wildorfach oraz gwiazdę ze świecidłami. Tą ostatnią na pewno nie zaimponowałabym na jachcie. Na codzienny użytek moje dwa garnitury z brylantami i świąteczny upominek od sir Williama.

Gdybym zechciała, być może gładko zostałabym wicehrabiną. Lady of Tunligt. Ale nie za taką cenę. Wolałabym pana Warszyckiego bez tytułu. Piszę głupstwa. Co ma jedno z drugim? Dziwne zestawienie. Ale nasze myśli są czasami rozbiegane jak dzikie konie, gdy się wyrwą z opłotków na wolność. Moja wolność? No, być może, przecież pieniądze dają wolność. Łżej jest obracać się między ludźmi.

Głowa mnie boli po tym przyjęciowym harmiderze. Któregoś dnia - w przystępie szczerości - Leokadia powiedziała:

- Pamiętasz, Anno, jak włożyłam ten naszyjnik podczas przyjęcia weselnego w Poznaniu? Z próżności przebrałam się nawet w suknię szkarłatną, by zrobić większe wrażenie. Szkarłat w dniu ślubu... ot, i miałam szkarłat w życiu.

Może i lepiej, że nie zabieram tym razem rodzinnych świecidełek.

Wtorek - 27 czerwca

Finansowe historie z profesorem już załatwione. Inne również. Dzisiaj nocuję w Zbójnej Górze, muszę pomówić spokojnie z ciotką Elfydą na różne rodzinne tematy. Ona jedna w naszej rodzinie jest naprawdę stateczna i poważna. Brak jej na przykład próżności. Po prostu tylko w niej uznaję ciotkę, prawdziwą ciotkę. Bo Leokadia to fiu-fiu, Florencja jakby starsza siostra. O Tante Katherine nie wspominam.

Pelasi podarowałam dzisiaj drugi tysiąc złotych. Ona jest bezradna, szwagier myśli jedynie o interesach, wierzy w to, że jest powołany do zrobienia wielkich pieniędzy. Ma jakichś współników, ale Pelasia nie bierze w tym udziału, nie jest wtajemniczona. Co najgorsze i wprost obrzydliwe - on jej wylicza grosze. Kontroluje wydatki na gospodarstwo domowe. Jedyne w tym szczęście, że kamienica w Poznaniu została kupiona na jej imię, hipoteka Franusia, ale jak z Pelasią? Gdy Tuchołce to będzie potrzebne, to i tak sprzeda dom.

Środa - 28 czerwca

List z Genewy od Nika Dubowa. Niecierpliwi się, że odwlekam powrót do Genewy, Pisz, że otrzymał bardzo grzeczny list z Anglii, datowany już z Tunligt Castle, koło Edynburga. Zapewne ruiny jakiegoś starożytnego opactwa, a na ich tle nowoczesna willa lub

masywny dom każdorazowego lorda i dziedzica tegoż tytułu. Tytuł przywiązany do ruin, a lordowska wielkość uzależniona od posiadania własnego majątku.

Czwartek - 29 czerwca

Walizkę z bloczkami przywiozłam do Zbójnej Góry i powierzę ją opiece ciotki Elfrydy. Zawsze budziła wielkie zainteresowanie pani Wiszniewskiej i kasjerki naszej spółki akcyjnej. Wyobrażały sobie być może, że w tej walizce znajdują się jakieś wielkie skarby, na przykład kilka kwart brylantów. Zebrałam również fotografie, włożyłam je do pudełka po wedlowskich czekoladkach. Takie mniej interesujące fotografie. Inne już zabrałam do Genewy. Wszystko umieszczę razem ze stenogramami. Mój Boże, ile się tego nazbierało. Wszystko dotrwało do dzisiejszego dnia z wyjątkiem dwóch bloczków. Jeden i nich skradziono mi w drodze do Londynu, z drugim trzeba było się rozstać w Genewie... bo tak chciał Marcin.

Zosia w tym roku zostaje w Lozannie aż do ostatnich doktorskich egzaminów. W październiku. Żałuję, że nie będę na tej promocji. Ślub Zosi z Pohoreckim w drugie święto Bożego Narodzenia. Swoją drogą wygodnie było dziewczynie w gotyckiej willi po generale Zbislawskim.

Ostatnią noc w Warszawie spędzę tutaj. Otworzę sobie stenografowany skarbiec moich wspomnień i poczytam trochę przed wyjazdem. Chętnie zabrałabym walizkę z sobą, lecz trudno byłoby przekonać graniczne kontrole, że stenogramy zawierają jedynie notatki jakiejś Anny Jambor. Gotowi byłiby wziąć mnie za szpiega i nim by się rzecz wyjaśniła, „Sokół Morski” wyszedłby na morze bez mojej skromnej osóбки. Nik byłby biedny i niepokieszony, przecież nie ma mowy, żeby Wieroczka puściła go samego.

Jakie to dziwne! Opuszczam miasto, w którym spędziłam spory szmat czasu, prawie całą młodość, ponieważ szczenięcych lat poznańskich nie warto brać pod uwagę. I dopiero teraz dostrzegam wiele śmieszności w tych lalkach i manekinach, które mnie tutaj otaczały. Jakież pospolite i wulgarne postacie, dziwić się należy, że niektóre z nich zaszły tak wysoko. Nie mówię już o Władku Wirewiczu, który wypłynął na wierzch li tylko dzięki temu, że całe swoje życie pływał tuż przy brzegu i nigdy go nie zalewały jakieś mocniejsze fale. Nie wysuwał się naprzód i tak jakoś chyłkiem i kłaniając się, skromniutko, cichutko dobił się do lampasów. A później nie pchał się już wyżej i ustąpił placu ambitnym tygrysom, którym chodziło o władzę i chęć błyszczenia. W porę uskokczył między pieniądze, a swój generalski mundur i legionowe wspomnienia obnosi tylko od święta, jakby jakiś prowincjonalny król kurkowy.

Natomiast taki sobie Grabowski. Dla jednych piękny Witoldek, dla innych zwyczajnie homo eroticus. Wysoki, z twarzą nieco kanciastą, gdy został ministrem - z dobrym zadatkiem do otyłości, nic dziwnego, z dobrego jedzenia. Moja nudnawa zresztą Irenka była jedynie jedną z wielu, ponieważ właśnie tylko w towarzystwie swego Witoldka wyżywała się w opowiadaniach raczej tłustych niż pikantnych. Kręciła się w jego orbicie jako stała rezerwa umożliwiająca mu spędzenie od czasu do czasu kilku wieczornych godzin w pensjonacie Lesińskiej naprzeciw dworca. Nie wiem, co się kobietom widziało w tym operetkowym bufonie ministerialnym? Blondyn Grabowski znakomicie nadawałby się do odegrania roli zmodernizowanego Bel Ami, gdyby ją na nowo opracował na przykład jakiś Celine.

Wirewiczowa - świątynia wszelkiego rodzaju plotek z towarzystwa - opowiadała mi niedawno, że Grabowski gdzieś na wsi u swoich krewnych czy dobrych znajomych w krótkiej drodze przycisnął do kanapki jakąś młodą panienczkę, posiadającą nawet narzeczonego z miłości. Generalowa twierdziła, że gwałt udał się Witoldkowi, ponieważ rzecz zdarzyła się w momencie, gdy wiejski dworek był wyładowany gośćmi. Panienczka bała się krzyknąć, bała się skandalu, wołała zatem ulec. Bała się kompromitacji i wołała położyć główkę na ołtarzu dobrej opinii. Nie brakło tu jednak pointy. Rodzajowa scenka została nakryta przez rodzzonego brata ofiary, który nie wdając się w jakieś dłuższe rozbabrywanie sprawy, sam sobie

wymierzył sprawiedliwość, bijąc Grabowskiego - relacja generałowej - długo i mocno po mordzie.

Ale ostatecznie tego rodzaju sprawy to jedynie zwykły razowy chleb, nie ma się czemu dziwić lub gorszyć. Humoreska natomiast wydarzyła się kiedy indziej. Przyjęcie w obcym domu, wśród gości państwo Grabowscy oraz jakieś typowe warszawskie małżeństwo, stary mąż z bladą wymacerowaną twarzą i młoda pani tryskająca dziewczęcą urodą. W pewnym momencie ktoś z grających w brydża z panią Grabowską mówi:

- A czy pani wie, że małżonek zamknął się z panią N. w łazience?

Być może fraszobliwy informator liczył na możliwość wzięcia udziału w jakimś erotycznym rewanzu, ale zawiódł się, ponieważ z ust pięknej ministrowej usłyszał odpowiedź osiemnastowieczną w stylu francuskim:

- Ach, ja kocham mojego męża nawet wówczas, gdy się zamyka w łazience z pięknymi paniami.

Sama natomiast pani Grabowska - podobno bez najmniejszego zarzutu.

Taka była Warszawa w owych latach, które w tym mieście spędziłam. Zapewne gdzie indziej nie jest ani lepiej, ani mądrzej. Ale bardzo często powodzenie operetki nie zależy od jej treści. Obskurność lokalu, ordynarność publiczności czy też przeszarżowana gra aktorów może obrzydzić najlepszą nawet treść i muzykę. Przesunięcie się z roli obserwatora na galerii do pierwszych rzędów krzeseł na parterze zniweczyło moje dawne zacudowanie i zamiast pastelowych obrazków z dziecinnych marzeń - dostrzegłam nagle pospolitą szmirę i chamstwo... w momencie opuszczania desek tej tanczuby.

Tak sobie lekko napisałam - chamstwo. Trudno, sama w tym chamstwie brałam udział, ocierałam się o nie, mogłam nawet zostać w nie wdeptana i zmieszana pospołu z tysiącami innych kobiet, takich samych jak ja. Jakoś się udało. W tym leży moja wygrana na tej loterii fantowej. Wyjeżdżam, zostawiam w tym mieście wiele wspomnień różnych, dobrych i złych, mądrych i głupich.

I znów powróciłam do mojego pierwszego bloczka. Do połowy jest on zapisany jakimś dyktandem biurowych listów mojego bydgoskiego dyrektora. Później jakieś rzędy kresek, oddzielenie się nimi od biurowej treści życia i od razu owe słowa, po tylekroć przeze mnie odczytywane w późniejszych latach: „Właściwie niepotrzebnie się zryczałam. W tym tygodniu skończyłam dwadzieścia lat, a pozwoliłam się sponiewierać ciotce, jak jakieś głupie ciele pensjonarskie”.

Jakież to są odległe czasy!

Kiedyś w przyszłości odcyfruję te karty, podyktuję, przepiszę. Ale chyba jeszcze nie w tych latach? Bloczków nie mogę z sobą zabrać. Ale chyba przetrwają?

Wojna. Różnie o niej mówią. Nie biorę pod uwagę śmiesznych słów Kasprzyckiego, taki sobie lalusz kawiarniany. Mydłek, latający z kwiatka na kwiatek. Jak się to jednak ukształtuje? Głupie fanfaronady, skończy się jednak jakimś poważnymi ustępstwami. Hitler nie przepuści, to dla Niemców ważny moment dziejowy. Obecnie nie zaspokoiliby ich same tylko kolonie afrykańskie. Zwykły korytarz przez Pomorze również nie zaspokoiliby już obecnie hitlerowskich apetytów. Mogłaby być mowa raczej o polskim korytarzu do gdyńskiego portu przez niemieckie Pomorze. Czy zrobi się zamieszanie? Opowiadali mi o dramatycznej rozmowie czeskiego prezydenta Hachy z Hitlerem. - W każdym razie Polska nie zaryzykuje wojny z Niemcami - powiedział Marcin - ugnie się. Jak wypadną historie z Rosją? To podobno kwestia najbliższych lat, Polska potrzebna jest Niemcom jako pomost i niemiecka droga na wschód.

Ale czas kończyć. Jutro czeka mnie nowa droga. Wspomnienia pociągną za mną jak cień, czy chcę, czy nie chcę, zjawiają się w moim życiu o każdej godzinie, w momencie czasami najmniej spodziewanym.

Przyznaję, że nigdy nie porzucałam czegoś starego z taką dozą niecierpliwości czy zdecydowania. W dodatku nie wiem, kiedy tutaj powrócę. Ale czas kończyć.

Piątek - 30 czerwca

Na dworze już świta, w czerwcu noce są krótkie. Czas ułożyć zeszyty w walizce. Czytałam kilka godzin.

Czas odłożyć wspomnienia do innych, spokojniejszych czasów. Przecież dzisiaj wsiądę do wagonu kolejowego i wokół mnie potoczy się nowe życie. Spotkam i poznam nowych ludzi, do których jak flądra trzeba będzie ustawiać się jasną lub ciemną stroną swojej ludzkiej dwoistości.

Lecz tylko jedno zanotuję jeszcze w tym bloczku. Dotychczas rzucałam się niejednokrotnie w życie z zamkniętymi oczami. Obecnie rozwarłam je szeroko i byle wiatr, byle przeżycie nie skłoni mnie już tak łatwo do przymrużenia powiek. Chyba jedynie w tym celu, aby zbyt pochopnie oczyma nie powiedzieć tego, co rozum nakazuje zamilczeć.

Żegnajcie, moje bloczki. Nie zdradzę was i do was starych, moi drodzy przyjaciele, przywiozę nowe bloczki ze świeżymi myślami i być może weselszymi obrazami czy wspomnieniami.

Koniec stenograficznych Anny Jambor

CO SIĘ STAŁO Z LUDŹMI Z OTOCZENIA ANNY JAMBOR PODCZAS WOJNY I PO JEJ ZAKOŃCZENIU

Spełniam rolę jakby historyka. W miarę możliwości starałam się po przeczytaniu stenogramów dowiedzieć o losach osób, które zostały wymienione w dzienniku Anny Jambor. Z niektórymi z nich stykałam się w ostatnich trzech latach wojny, z ust innych znów słyszałam różne opowiadania, które ginęły w powodzi innych, ważniejszych, ściśle związanych z klęską wojny.

Wiele z tych osób rozpierzchło się po świecie, słuch o nich zaginął, rozpląnęli się we mgle i zapomnieniu. Niektóre z nich być może wypłynęły znów na wierzch i pojawiły się w innych szatach czy pod innymi maskami. Przekreśliły się tym samym.

Osoba Anny Jambor bardzo często pojawiała się w opowiadaniach „Frau Wischniewski”. Pomimo że ta osoba do samego końca bardzo słabo mówiła po niemiecku, od razu jednak zorientowała się w sytuacji i przypomniała sobie niemiecką matkę. W ten sposób gładko uzyskała niemiecki *Ausweis* i kwadratowy znaczek z hitlerowską swastyką. Wkrótce awansowała na prokurentkę firmy i prawą rękę Elfrydy Jambor, wdowy po Józefie Jamborze, o czym opowiem poniżej.

W ustach Frau Wischniewski wyglądało to tak:

- To wszystko były masony i dlatego pieniądze przychodziły im tak łatwo. Pani Anna Jambor zrobiła grube miliony jeszcze przed ucieczką za granicę i przed poślubieniem starego lorda angielskiego. Oni tutaj wydziwiali na pierwszym piętrze, a stary profesor Wydra był u nich kimś w rodzaju masońskiego papieża. Doktor Marcin Jambor kierował wszystkim za granicą, mieli własny bank w Genewie, gdzie masony z całego świata zwozili pieniądze. Anna Jambor załatwiała im różne nieczyste sprawy. To od razu było widać, że masony. Mieli na pierwszym piętrze pokój obity czarnym aksamitem, do którego nikogo nie wpuszczali. A ten stary profesor chował u siebie dwie wielkie skrzynie wypełnione złotem i walutami. Na własne oczy widziałam, jak pakowali do samochodu. Profesor uciekł razem z zagranicznymi dyplomatami, był amerykańskim konsulem dla zmydlenia oczu. Razem z nim uciekł ten żydowski doktor Mireski, który przedtem nazywał się Mizres, ale kazali mu zmienić nazwisko.

Volksdeutscherka orientowała się doskonale w pieniężnych stosunkach rodziny Jamborów. Wiedziała o londyńskiej firmie, gdzie przerabiano polskie faktury i dokonywano machinacji na kontach bankowych. Wysłuchiwałam tych wszystkich opowiadań, ponieważ prokurentka mimo kwadratowego znaczka ze swastyką nigdy nie pozyskała pełnego zaufania prawdziwych hitlerowców z okrągłymi znaczkami. Nadrabiała miną. Równocześnie w dawnych magazynach lakierniczej firmy urządzono kuchnię dla polskiego personelu. W kręgu własnych pracowników kierownicy starali się odgrywać rolę dobrych Niemców, rozdawali produkty żywnościowe, po kilogramie słoniny i masła miesięcznie, nawet po litrze wódki na głowę. Na ścianach pokoi biurowych wisiały powiększone zdjęcia z frontu, na specjalnych tablicach widniały napisy: nasza firma pracuje dla frontu, dla zwycięstwa Wielkich Niemiec. Dla angielskiej części kapitału ustanowiono treuhandera, naprzód jednego z gdańskich Gardenów, a później majora von Hartmanna, Szwajcarski kapitał uzyskał również wojennego zastępcę, w Warszawie pojawiał się w tym charakterze od czasu do czasu norymberski adwokat dr Bold, wybitny członek NSDAP, w mocno ozdobnym mundurze. Podobno szwajcarski członek przedwojennego zarządu spółki drzewnej, dr Miliz, dwukrotnie przyjeżdżał do Berlina, lecz nie dotarł do ulicy Hortensji. Dyrektor Pakulla na drugi dzień po wkroczeniu Niemców do Warszawy przywdział partyjny mundur, okazało się, że był agentem hitlerowskim od samego początku zorganizowania tego przedsiębiorstwa w Warszawie. Stanowisko w polsko-angielskiej firmie służyło mu znakomicie jako barwa ochronna do podróżowania po całej Polsce.

Dopiero po przeczytaniu pamiętników Anny Jambor uświadomiłam sobie i powiązałam w całość poszczególne fakty. Nie wiem, jak dalece Józef Jambor był powiązany z hitlerowcami w Gdańsku. Być może stary kupiec gdański dla interesu grał podwójną rolę. Anna Jambor przeskakuje nad tą sprawą, zdawałoby się, że wycofanie się Józefa Jambora z żydowskiej afery w Gdańsku zostało podyktowane przez angielskich krewnych. W każdym razie Józef Jambor zginął w zamieszaniu pierwszych dni wojny. Jego żona Elfyda nie zdołała wyjechać z Warszawy i schroniła się w willi w Zbójnej Górze, gdzie w pierwszych dniach znalazła się w trudnym położeniu, z powodu nieznamośności języka polskiego. Ochraniała ją polska służba. Podobno w okresie przedwojennym uchodziła za porządnego człowieka, później jednak twarz jej ściągnęła się, a rysy wyostrzyły.

W Podjaskach nie rąbano lasów. Spłacano hipoteki, dokupiono nawet sąsiednie partie lasów. Interesy majątku doskonale prosperowały. W naszej firmie wiele rozprawiano o polowaniach, które urządzano tam dla Niemców z Reichu. Mówiono, że w majątkach zjawili się niemieccy krewni Anny Jambor, z ich ramienia przybył również administrator i nadleśniczy. Kaczmarek i Chwiłowicz zostali zdegradowani, lecz pozostali w majątku. Kaczmarek zdołano wyciągnąć nawet z więzienia na Montelupich w Krakowie. Podobno w tę brudną sprawę był wplątany były mąż Anny Jambor, jakiś polski pułkownik i starosta, który w okresie okupacji pracował w niemieckich biurach. W pierwszym roku zjawił się w Podjaskach i zaczął się odgrażać, ale niemiecki administrator nie robił sobie ceregieli i przepędził nieproszonego gościa. Majątek był traktowany w specjalny sposób, szanowano w całej pełni szwajcarskie obywatelstwo właścicielki.

W roku 1947, korzystając z wakacyjnego pobytu w Krynicy, urządziłam sobie małą wycieczkę do Podjasek. Rozmawiałam z Kaczmarkiem i Chwiłowiczem. Pan Chwiłowicz był wówczas administratorem państwowych już lasów w Trzycieskich Górach, pan Kaczmarek pracował w charakterze agronoma. Gościli mnie przez kilka dni. Uzupełnili moje wiadomości. Z najważniejszych chyba to, że bliźniaczki Jasia i Małgosia przetrwały wojnę. Sierpień roku 1939 spędzały we dworze w Podjaskach, z powodu wybuchu wojny nie zdołano odwiedzić ich do sióstr urszulanek w Krakowie. Rodzice zginęli na wojnie. Piotra Tuchołkę wywieziono do obozu koncentracyjnego, gdzie zmarł już po kilku miesiącach. Żona jego Pelagia wraz z dziećmi zginęła od bomby lotniczej na szlaku ucieczki z Poznania do Kutna.

Niewątpliwie byliby ocaleni wszyscy, gdyby nie pomysł Piotra Tuchołki sprowadzenia żony z dziećmi z Podjasek do Poznania w dniu 25 sierpnia. Bliźniaczki zostały do końca wakacji, miał je odwiedzić do Krakowa Kaczmarek, dokładnie 1 września. Zaopiekowano się dziewczynkami. Wyrosły na duże panny. W okresie, gdy zjawiłam się w Trzycieskich Górach, dziewczynki miały już za sobą pierwszy rok krakowskiego uniwersytetu. Pomogli im właściwie całkiem obcy ludzie - Chwiłowicz i Kaczmarek. Młody Chwiłowicz, ów student medycyny z okresu polowań Anny Jambor, zginął w Oświęcimiu.

Czyż mam wspominać? To być może nie należy już do rzeczy. Wszystkie moje łzy wypłakałam, gdy wśród cmentarzy i ruin Starego Miasta szukałam w styczniu roku 1945 miejsca, w którym pogrzebano moją przyjaciółkę. Beata Walczak zginęła na żołnierskim posterunku jako sanitariuszka. Pochylałam głowę w milczeniu nad kartką białego papieru i jeszcze raz wypisuję słowa: Beata nie żyje, nie doczekała.

W ostatnim roku przed zakończeniem wojny nadeszło do Podjasek kilka listów, pisanych po niemiecku przez Annę von Jamsborg-Hermsdorf. Z ich treści wynikało, że była doskonale poinformowana o wydarzeniach w swoim majątku. Listy były nadzwyczaj uprzejme, nagłówki w gotyku. Miałam w rękach te listy. Adres: Eichelsburg bei Basel, Schweiz.

Stryj Marcin umarł kilka tygodni przed zakończeniem wojny.

Nie mogłam się dowiedzieć, czy Anna naprawdę poślubiła starego lorda. Z opowiadań pani Zofii Strękocińskiej wynikało jedynie, że siostra posiada w Szwajcarii wielkie majątki, między innymi fabryki jedwabiu i wstążek w samej Bazylei. Stosunki z siostrą prawie żadne, po wojnie całkowicie się urwały, pani Strękocińska nie chciała rozmawiać ze mną na te tematy.

Z samą panią Zofia była tragedia. Inżynier Strękociński zginął na wojnie niemal pierwszego dnia po wejściu do akcji formacji saperskiej. Wdowa dla ratowania majątku podpisała volkslistę. Odebrano jej jednak grudziądzkie śrubki, jak je nazywała Anna Jambor, treuhandem, a później właścicielem został jeden z grudziądzkiej rodziny kominiarskiej. Wdowie pozwolono prowadzić „Wąbrzeski Dom Mody”. Wujek Jan Kowalski został rozstrzelany przez Niemców jako zakładnik już w pierwszych dniach września. W roku 1941 dzieci Zofii Strękocińskiej zmarły na szkarlatynę w ciągu jednego tygodnia. Została sama na świecie. Michalscy w Bydgoszczy nie ulegli hitlerowskiemu amokowi i wytrwali przy polskość. Józef Michalski został konduktorem tramwajowym, wyrzucono ich z mieszkania w willi, pozbawiono całego majątku. Zabrano im nawet meble, zamieszkali w suterenie na dalekim przedmieściu. Tante Katherine natomiast z powrotem wróciła do nazwiska Hell i przeniosła się do swego syna w Katowicach, który na odmianę podpisywał się w tym czasie Franz Schwietlick. Zofia Strękocińska kilkakrotnie odwiedzała w Warszawie Elfrydę Jambor, ta jednak przyjmowała ją chłodno i obojętnie, prawie lodowato. Kunicy uciekli z Grudziądza i nie odnaleźli się, pochłonęła ich wojna. Podobnie brak najmniejszej bodaj wiadomości o rodzinie doktora Michała Kowalskiego ze Lwowa.

Maksymilian Jambor, porucznik ułańskiego pułku, zginął śmiercią żołnierza pod Kutnem, w szarzy polskiej kawalerii na czołgi hitlerowskich najeźdźców. Młody Orzechowski, wojskowy lekarz, zginął również na froncie. Gabrysia zamieszkała z dziećmi w Warszawie, odmówiła przyjęcia pomocy od Elfrydy Jambor. Wspólnie z bratową wypiekały ciastka i zajmowały się kolportażem gazetek polskiej prasy podziemnej. Gabrysia zginęła w Ravensbrück, a młoda Orzechowska poległa jako sanitariuszka na linii frontu w warszawskim powstaniu.

Zofia, siostra Anny Jambor, obozem pracy i dwuletnim więzieniem odpokutowała swoje odstępstwo od polskość. W okresie gdy z nią rozmawiałam, była dziwnie zgaszona, pracowała w charakterze ekspedientki w szczecińskim domu towarowym. Cicha, spokojna, z siwymi włosami, mocno utykająca na nogę.

- Moje życie jest już *aus* - powiedziała mi w roku ubiegłym. - Wyjechać za granicę? Nie, ja zostanę.

W okresie wojny nadchodziły liczne paczki ze Szwajcarii. Niektóre z tych paczek anonimowo, z dalekiej Portugalii, jeszcze inne z adresem Zosi Wirewiczówny. Podobno młody Pohorecki zaraz po wojnie prysnął przez zieloną granicę, kto wie, może połączył się ze swoją narzeczoną?

O samej Annie Jambor niewiele wiadomo w Trzycieskich Górach. Podobno przebywała w tym czasie w Nowym Jorku. W roku 1946 z jej ramienia przybył do Polski Karol Petras w mundurze wysokiego funkcjonariusza UNRRY, odwiedził Warszawę, Podjaski, Grudziądz i Wąbrzeźno. Czynił poszukiwania, rozmawiał ze wszystkimi, badał sprawę spalenia willi w Zbójnej Górze. Swojej żony Lizy nie zdołał odszukać, jedni opowiadali o jej śmierci w powstaniu, inni widzieli ją rzekomo w jakimś obozie pracy w Niemczech. Znałam osobiście Lizę Petras, do ostatka pracowała na ulicy Hortensji.

O czym napisać na zakończenie? W barze generałowej Wirewiczowej na Nowym Świecie blisko rok zmywałam talerzyki, filiżanki i przyglądałam się wszystkiemu. Luksusowe domy na Narbutta zajęli gestapowcy. Mówiono, że Wirewiczowa posiada jeszcze kilka domów na Pradze, co potwierdziło się później w pamiętnikach Anny Jambor. Miała licznych kochanków. Jej współpracownicę, pułkowniczkę Gano, gestapo podczas wojny przerzuciło przez granicę do Szwajcarii, dowiedziałam się tego dopiero ze sprawozdań prasowych z procesu Adama Doboszyńskiego. Generałowa przetrwała wszystkie burze, w lipcu 1944 roku wyjechała na wakacje do Rabki, gdzie w tym czasie gospodarowała jej przyjaciółka, Leokadia Jambor. Tę wiadomość zawdzięczam pani Wiszniewskiej, która o pani Leokadii zawsze wyrażała się z wielkim uznaniem. Przyjaźń pogłębiła się w okresie wojny, gdyż w „Magdzie” zawsze życzliwie podejmowano znajomych z Warszawy. Podobno pani Leokadia handlowała niezwykle pomyślnie walutami do samego końca.

Na początku 1946 roku obie przyjaciółki zlikwidowały w kraju, co było można i ustaliły się w Cannes. Stworzyły sobie własny świat emigracyjny w najbliższym otoczeniu wdowy po marszałku Smigłym-Rydzem. Obie bliźniaczki nie chciały przyłączyć się do nich i pozostały w kraju. Właśnie w tym czasie zdawały maturę. Odmówiły, pomimo bajecznej okazji odbycia tej podróży pod opieką przedstawiciela UNRRY.

Pani Wiszniewska wypłynęła. Nie siedziała w więzieniu jak Zofia Strękocińska. Urządziła się na zachodzie. Kilkakrotnie zmieniała miasta. Specjalizowała się w barach kawowych i składach komisowych. Podobno obecnie mieszka w Warszawie jako niewinny człowiek, gdyż powróciła do swego panińskiego nazwiska.

Wirewicz uciekł do Rumunii, a Londyn był dla niego jedynie przystankiem w drodze dalej. Podobno jest właścicielem wielkich terenów w Brazylii, zakupionych jeszcze przed wojną do spółki ze sanacyjnym generałem Sosnkowskim. Różnie o tym mówią, ale to są już tylko wiadomości zasłyszane na boku i powtarzane; jedna pani drugiej pani. O losie młodego Wirewicza nikt nic nie wie, młodsza córka umarła podczas okupacji. Wiszniewska opowiadała, że w chwili ucieczki generał zapewniał wszystkich:

- To kwestia najwyżej do Bożego Narodzenia, my na pewno wrócimy!

Rano przed ucieczką był jeszcze na Hortensji, przywiózł pieniądze z banku i kazał wypłacić wszystkim pracownikom po tysiącu złotych. Chwalono go za to. A jego żona pozostała tymczasem w Warszawie, aby przypilnować majątku.

Uciekł też z Warszawy dr Mireski, w samochodzie profesora Wydry, jako sekretarz konsulatu republiki wenezuelskiej, ponieważ krótko przed wybuchem wojny udało mu się wśliznąć na ten pierwszy szczebel jakiejś kariery. Jego żona, pomimo powrotu do dawnego nazwiska: Moderska, nie uniknęła smutnego losu i zginęła w warszawskim getcie, nie pomogły jej przyjaciółki ani protektorki. Opowiadano, że została zamordowana w momencie, gdy była bliska wydobycia się z getta, zgubił ją jednak zapas biżuterii i dolarów.

To już chyba wszystko. Reszta rozplynęła się w nicości. Burza, jaka przeszła nad naszym krajem, rozwiała ludzi na wszystkie strony świata. Zagubiła się też nasza znajoma z kart swego własnego pamiętnika, Anna Jambor, ze swoją błyskotliwością myśli, pasją życia dla samej siebie i mimo wszystko - jałowością uczuć.

Warto wspomnieć również o losach domów, mieszkań i mebli, do których bohaterowie tych kart tyle przywiązywali znaczenia. Podobno najeźdźcy wywieźli część mebli, a następnie domy podpalili. Gdy po uwolnieniu Warszawy zjawiłam się tam, z obu domów sterczały jedynie kikuty murów. Z oficyny domu, w którym mieścił się konsulats Wenezueli, ocalał jedynie parter, zaludniony w tydzień później przez ludzi, którzy w ruinach swej stolicy uparcie zaczęli tworzyć nowe życie. Powrócił stary dozorca tego domu, który poczęstował mnie herbatą i zatrzymał u siebie na obiedzie. Podówczas nosiłam na sobie płaszcz uszyty z pledu zabranego z łóżka Anny Jambor w Zbójnej Górze. Dozorca opowiedział mi wiele szczegółów, wszak przeżył w tym domu warszawskie powstanie.

Z dawnego mieszkania Anny Jambor mam w żywej pamięci różne drobiazgi. Znosiłam tam akta, doręczałam na drugim piętrze pieniądze. Przyjmowano mnie chłodno, lecz na ogół uprzejmie. Czasami kazano mi wyczekiwać w hallu, wówczas przyglądałam się obrazowi i fałszyfikatorowi włoskiej skrzyni z doby Odrodzenia. Kilkakrotnie wpuszczono mnie do fiołkowego gabinetu i tam przyglądałam się portretowi Anny Jambor z okresu jej „zimowego małżeństwa”. Postać na obrazie była jakby zgaszona, przygarbiona, a twarz pełna smutku. Olbrzymich rozmiarów portret zawieszono przy oknie w miejscu, w którym wisiał dawniej konny portret jej przodka Fryderyka v. Jamsborg.

W nowym gabinecie w dalszym ciągu figurowały chippendale, jedynie nad rzędem półek bibliotecznych zawieszono olejny portret Adolfa Hitlera w brunatnym mundurze. Nad biurkiem, które we fiołkowym gabinecie zastąpiło biurko Benona Jambora, gdzie wisiał portret Zofii z domu Wildorf, zawieszono dobrą olejną kopię portretu Fryderyka Wielkiego. Patrzył z tego miejsca groźnie na pokój. Na drzwiach wejściowych nie zmieniono tabliczki z nazwiskiem właścicielki: Anna Jambor. Uszanowano własność obywatelki szwajcarskiej, a jedynie pod tą tabliczką przybito bilet wizytowy z białego kartoniku: Elfriede Jambor. Obok umieszczono nawet odpowiednie zaświadczenie szwajcarskiego konsulatu z pieczęciami.

Kamienica na Nowym Świecie leżała również w ruinach. Jakby na potwierdzenie faktu, że na starych ruinach nowe wyrasta życie, ktoś wykorzystał sklepienie bramy i z desek wyczarował mały sklepik, w którym przez kilka miesięcy sprzedawano chleb, kawałki kiełbasy i podawano kubek gorącej herbaty. Obok tej bramy, na ocalałym łuku nad oknami, pozostał również kawałek szyldu kawowego.

Dwa czynszowe domy przy ulicy Mińskiej ocalały. Leokadii Jambor udało się również i te domy spuścić za dolary przed ucieczką za granicę. Informacja od stróża. Szczęście dopisywało jej do samego końca. Podobno uciekła ze swoim kochankiem, jakimś adwokatem z Pomorza. O tym kochanku mówił mi również Kaczmarek w Trzycieskich Górach. W „Magdzie” wszyscy żyli dziwnie zgodnie obok siebie. W chwili jednak ucieczki zostawiono w Rabce żonę adwokata z dwojgiem małych dzieci. Później, gdy zmieniono pensjonat na profilaktorium dla dzieci, mecenasowa opuściła „Magdę” i powróciła z dziećmi do rodziny w Toruniu. Pensjonatowy szyld przemalowano według potrzeby i w dom tchnięto nowe życie. Pani Woźnikowa nie doczekała zakończenia wojny, zmarła w roku 1942.

Nadleśniczy Chwiłowicz podwiózł mnie do Podjasek. Tam również chodziłam wśród ruin. Stary dwór został spalony do fundamentów. Z tak zwanego nowego dworu ostały się jedynie jakieś szczątki z murowanych ścian i jakby na ironię prawie nietknięta frontowa ściana z herbami Podjaskich. Ocalała oficynka z gościnnymi pokojami. Wspominano o tym, że stary kucharz Fidelus uciekł za granicę w połowie 1945 roku, wówczas gdy wszystko u nas było jeszcze bardzo płynne. Podobno zwierzał się ze swymi nadziejami dotarcia do dziedziczki w Szwajcarii.

W Podjaskach trzymały się bardzo długo jakieś bandy esesmanów i banderowców. Przed ucieczką na drugą stronę Karpat spalili budynki. Ci również odgrządzili się, że powrócą. Podobno genewski adwokat Anny Jambor pisywał kilkakrotnie w imieniu swej klientki do miejscowych władz. Powoływał się na przepisy prawa międzynarodowego i wzywał do ochrony mienia obywatelki szwajcarskiej. To samo zresztą opowiadano mi później w Krynicy, gdzie amerykański obywatel John Kiepura przypominał bardzo regularnie o swoich prawach do „Patrii”.

Jeden z listów szwajcarskich, które otrzymał pan Chwiłowicz, pochodził od Marty von Jamsborg-Hermsdorf, która zdążyła już wyrósć na dorosłą pannę. Pisała w imieniu swej matki, zapewniała o tym, że jak tylko pozwolą... okoliczności, dwór zostanie całkowicie odbudowany, a polowania zostaną przywrócone w całej okazałości. List był napisany w języku niemieckim. Dobroć starego leśniczego tłumaczyła niemieckość listu córki Anny Jambor tym, że on, Chwiłowicz, nie znał języka francuskiego...

To chyba już koniec. Historia lat wojennych nie jest już opowieścią o Annie Jambor. Natomiast prawdę o latach przedwrześniowych, takich, jakimi one były w rzeczywistości, najlepiej pokazała ona sama w swoich stenogramach.

Kazimiera Różyc

Stenogramy Anny Jambor

CHRONOLOGIA WYDARZEŃ

Część pierwsza

PIERWSZE DOMY W SZWAJCARII

Rok 1936

Styczeń - Prezent świąteczny kantonu Waadt - Anna kupuje domek w Bazylei - Cyfry - Rozwodowe kłopoty wujka Kowalskiego

Luty - Niedziela w Paryżu - Dyplomową tekturkę przyślą mi pocztą - Myślący urzędnik - Stryjek wyplątuje się z żydowskiej afery - Wojewodzie trzeba dać parasol do ręki - Prawie 102 tysiące dochodu w roku 1935

Marzec - W Krynicy - Dziesięć swatek pod przewodem starszego pana Liteńskiego - Konkurent Rudolf Liteński - Filozoficzne nauki profesora Wydry i jego notatki polityczne

Kwiecień - Koniec śrubkom; wolę drzewo niż bławaty - Panna Beata uskoczyła w porę - Przywitanie w Szwajcarii - Eichelsburskie historie - Małżeństwo Krystynka z tajemniczą Estrellą - Liść akacji łączy

Maj - Genewskie obrady i przyjęcia - Florencja radzi wziąć kochanka - Wynik rozważań rodzinnych: męża zawsze można przepędzić - U Heinrichów w Wiedniu - Spotkanie z Kreissem; pierwszy w życiu własny interes

Czerwiec - Nowe pomysły należy realizować natychmiast - Marcin wypowiada się na temat małżeństwa Anny - Upokarzające warunki ugody

Lipiec - Przeróbka mieszkania rozpoczęta - Góreckie obrazy i trzy tony książek - Szwagier Strękociński w gościnie - Anna chodzi kuchennymi schodami - Hall musi być zaprojektowany z prawdziwie artystycznym smakiem - Otwarcie frontowych drzwi wejściowych - Zjazd zagranicznych gości - Kiedy się pobierzecie - Imieniny na tle wnętrza zawieszonych starymi lub postarzonymi portretami wypadły nie najgorzej

Sierpień - Wirewicz się wygadał - Anna działa szybko - Pośrednictwo wymaga znajomości, dowcipu i... odrobiny szczęścia - Facet rozwiął się w powietrzu - W Eichelbachu jestem u siebie - Paryż i Londyn w ciągu jednego dnia - Londyńska firma - Niezbyt atrakcyjny week-end w wiejskim domku - Kosztowne futro i notatka w rumuńskiej gazecie - Mieszkanie zapięte na ostatni guzik - Pan Szczytnicki w roli swata - Może być i za miesiąc

Wrzesień - Podwyżka pensji do pięćdziesięciu tysięcy - Li-teńscy zgadzają się na wszystko - Co z drugą gwiazdką dla Rudolfa? - Intercyza i rozdział majątkowy - Dwa dni w Rabce - *Va banque* - Ładna kupka złota w Genewie

Październik - Pierwsze potknięcie u progu nowego życia - Anna likwiduje kawalerskie historyjki narzeczonego

Część druga **MAŁŻENSTWO**

Rok 1937

Listopad - W starym domku szwajcarskim - Nie wszystko udaje się w życiu - Interesy to najlepsze lekarstwo - Historie z biżuterią - Anna pragnie załatwić rozwód do Bożego Narodzenia - Andrzejki i co się komu wylało

Grudzień - Wizyta u ginekologa - Rady szwajcarskiego przyjaciela - Nowe życie wstępuje we mnie: postanowiłam przejść do ataku - Akcja pani Orzechowskiej - Hipoteki i długi: niejedno wychodzi na jaw - Kupno hipoteki pana Pomerskiego - Próba pojednania z mężem - Takich świąt nie miałam jeszcze nigdy w życiu! - Romantyczna miłość Lizy i Petrasa - Dziecko zjawia się w życiu Anny w samą porę - Jak Marta przyjęła decyzję Anny

Rok 1938

Styczeń - Ostatnia rozmowa ze starym Kreissem i poznanie jego następcy - Upominkowe karaty - Trochę faktów z przeszłości Franciszka Liteńskiego - Matyldzie i jej rodzinie ziemia pali się pod nogami - Trzy podpisy wystarczyły - Anna wykupuje weksel ze sfalszowanym podpisem - W Sao Paulo bliźniaczki

Luty - Od Tuchołków znowu SOS - Marcinowie w Warszawie - Profesor Wydra wypowiada się na temat przyszłości świata - Telegram o śmierci Krymułtów - Maksiu próbuje uratować coś z majątku Tuchołki - Z Martą w Hermsdorfie - Anna kupuje obraz Chodowieckiego - List pani Orzechowskiej i odwiedziny pana Benedykta

Marzec - Niespokojna noc - Marta urządza się w Eichel i zżywa z otoczeniem - Pierwsza bura - Mrs Maltz wycofuje się z paryskich interesów - Odwiedziny u Kseni w Annecy - Dzieje Matyldy i jej rodziny - Anna dostaje polski paszport konsularny - Marcin wycofuje się z interesów z Wirewiczem

Kwiecień - Anna w nowej pozycji wobec Wirewicza - Z dyrektorami departamentu przegrywa się w brydża po złotówce punkt - Młodzi Orzechowscy usiłują odwlec licytację majątku Liteńskich - Propozycja Anny - Wajnsztokowie - Mirescy kupują lakiery - Odwiedziny krakowskiego adwokata - Anna demonstruje sfalszowany weksel - Ostatni atut - Piękny gest Anny

Maj - Willa w Zbójnej Górze - Radca rumuńskiej ambasady - Dwieście róż - Poznańskie meble wędrują do Eichel - Wyjazd do Bukaresztu - Prestrogi Wirewicza

Czerwiec - Wolta starego Liteńskiego - Pan Szczytnicki komenderuje: licytować - Prowizja na sztokholmskich kontaktach - Hipoteczni kanciarze: na widowni Rudolf - „W interesach nie ma sentymentów”, mówi adwokat Liteńskich - Przyjęcie w rumuńskiej ambasadzie - Leokadia stroi Annę w diamenty Jamborów - Słówko o Klubie Jedenastego Listopada - Wujek Kowalski zdziażdżał - Licytacja Podjasek: Anna daje 424 tysiące - Finta nie udała się Liteńskim

Lipiec - Nabyty majątek i Kaczmarek - Marcin domaga się od Anny zlikwidowania wszystkich interesów do końca grudnia - Zakon Rycerskiego Krzyża Jadźwingów - Dziesięć tysięcy dla panny Beaty - List sąsiadów i odpowiedź Anny - Korespondencja starego Liteńskiego z Wajnsztokami - Hrabiowie przepraszają Annę

Sierpień - Anna pcha gotówkę w Podjaski - Wakacje pod Interlaken - No cóż, otwarłam ramiona

Część trzecia

WIELKOPAŃSKIE FANTAZJE

Wrzesień - Erna i jej angielski mąż - W cieniu świecznika świątyni - Anna kupuje portrety rodziny Podjaskich i meble z pałacu Tuchołki - Warszawski salon piękności - To wszystko próba tego, co nastąpi w najbliższych latach - Adwokaci muszą z czegoś żyć - Izba Skarbowa bada stosunki z Londynem: załatwione - Londyńskie Vickersy idą w górę

Październik - Heca z orderami w „Hotelu Angielskim” - W Wilnie - Z odprowadzenia do pokoju zrobiła się małżeńska noc - Upominkowe świecidełko - Rozmyślenia w pustych jeszcze Podjaskach - Owczarskie psy pilnują drzwi do pokoju Anny - Spotkanie z Rudolfem w krakowskiej cukierni - Sprzedaż poznańskiej kamienicy - Ciotka Katarzyna ciągle swoje

Listopad - Lektura prof. Wydry - Diabeł-zwycięzca - Toruńskie wariactwo - Nowa podróż do Szwajcarii - Graniczne historie w Eichel - Szwajcarskie obywatelstwo Anny - Choroba Płatona Dubowa - Anna kupuje obiekt po Mme Dorells - W garsonierze Elzy czuć kokotę - Wycięte dęby - Trzeba mieć gest i trochę dowcipu - Odwiedziny angielskiego dziwaka: sto dębów za symbolicznego franka - Rewanż Anny - Zaproszenie na polowanie w Podjaskach przyjęte - Kupno Sucholesia - Diamentowy naszyjnik po Wildorfach i utrata reszty złudzeń - Kochanek w sypialni

Grudzień - Polonia Restituta i przyjęcie dla dygnitarzy - Sto dębów Anny - Przygotowania w Podjaskach dobiegają końca - Odnowiony dwór - Sąsiedzi - Anna wybiera się w góry z leśniczym - Lasy de Gentilsów - Gdzie kogo posadzić - Ranne polowanie sir Williama - Gest Anny w stosunku do byłego męża - Pan Szczytnicki chce adoptować Annę - Instrukcja Marcina - Pijane zwierzenia Leokadii w noc wigilijną

Rok 1939

Styczeń - Sylwestrowy bal w Podjaskach - Jak się masz, brachu - Anna odważnie stawia czoło pani Orzechowskiej - Komediantwo za trzy fałszywe grosze - Anna odmawia udziału w dalszych interesach

Część czwarta

UCIECZKA

Styczeń - Z przyjęcia na przyjęcie - Generałowa Składkowska - Uczoność o bosych nogach, a głowy posypane popiołem skromności - Jeszcze lasy panów de Gentils - Polska to *Saisonstaat*

Luty - Stary Dubow się kończy - W nowym genewskim mieszkaniu - Śmierć bankiera - Zwierzenia Wirewicza - Testament Starego Dubowa - Szwajcarski paszport Anny - Tuchołka w Szwajcarii - Wizyta Mr Focha w Eichel - Marcin prezentuje Annę jako dyrektora genewskiego banku - Do miliona dolarów brak Annie jeszcze dwustu tysięcy złotych - Mr Fox w Genewie - Zaproszenie do podróży na jachcie - Anna zabiera Nika do Paryża i Londynu

Marzec - Kradzież w drodze do Londynu - Londyńskie przyjęcia - Anna pamięta o interesach - Kinderbal w genewskim mieszkaniu - Anna obciąża majątki ziemskie, a gotówkę przekazuje za granicę - Śmierć pana Szczytnickiego - Anna rezygnuje z legatu i zadowala się portretem Olgi Boznańskiej - W sekrecie kupiony bilet na wycieczkę morską

Kwiecień - Sprawa Faustyna Kruczka - Widok zza kotary: Leokadia żegna się z kochankiem - Odeszła mnie ochota - Na statku - Rewia paryskich toalet Anny - Leżak, słońce i wiatr - Interesujący pan Warszycyki - O wojnie mówi się już głośno

Maj - Faustyn Kruczek odmawia wyjazdu - Drzewo genealogiczne rodziny Mr Foga - Anna szuka Macieja Warszycykiego - Dwa dni i dwie noce z kochankiem - Znowu Genewa - Wieroczek i Nik przewrócili do góry nogami mieszkanie Anny - Zlecenie Marcina sprzedaży akcji warszawskiej spółki drzewnej - Sir William angielskim lordem - Niespodzianka w Eichel - Marcin doradza lokaty w Stanach Zjednoczonych; Anna przesuwa kapitały ze Sztokholmu do Londynu - Jedziemy na wystawę w Nowym Jorku

Czerwiec - Dobry kurs akcji po uchwaleniu dywidendy - Anna sprzedaje akcje Marcina - W Krakowie - Spotkanie w cukierni - W Podjaskach - Ukłon Warszycykiego - Odwiedziny na Hortensji - Dolary dla profesora Wydry - Co zrobić z dwoma milionami - Wirewicz odprowadza Mlle Aurelie - Złota papierośnica dla Władka - Trzeba zostawić w Warszawie diamentowy naszyjnik Wildorfów - Nie można również zabrać walizki ze stenogramami - Ostatnia noc w Polsce - Co się stało z ludźmi z otoczenia Anny Jambor podczas wojny i po jej zakończeniu.